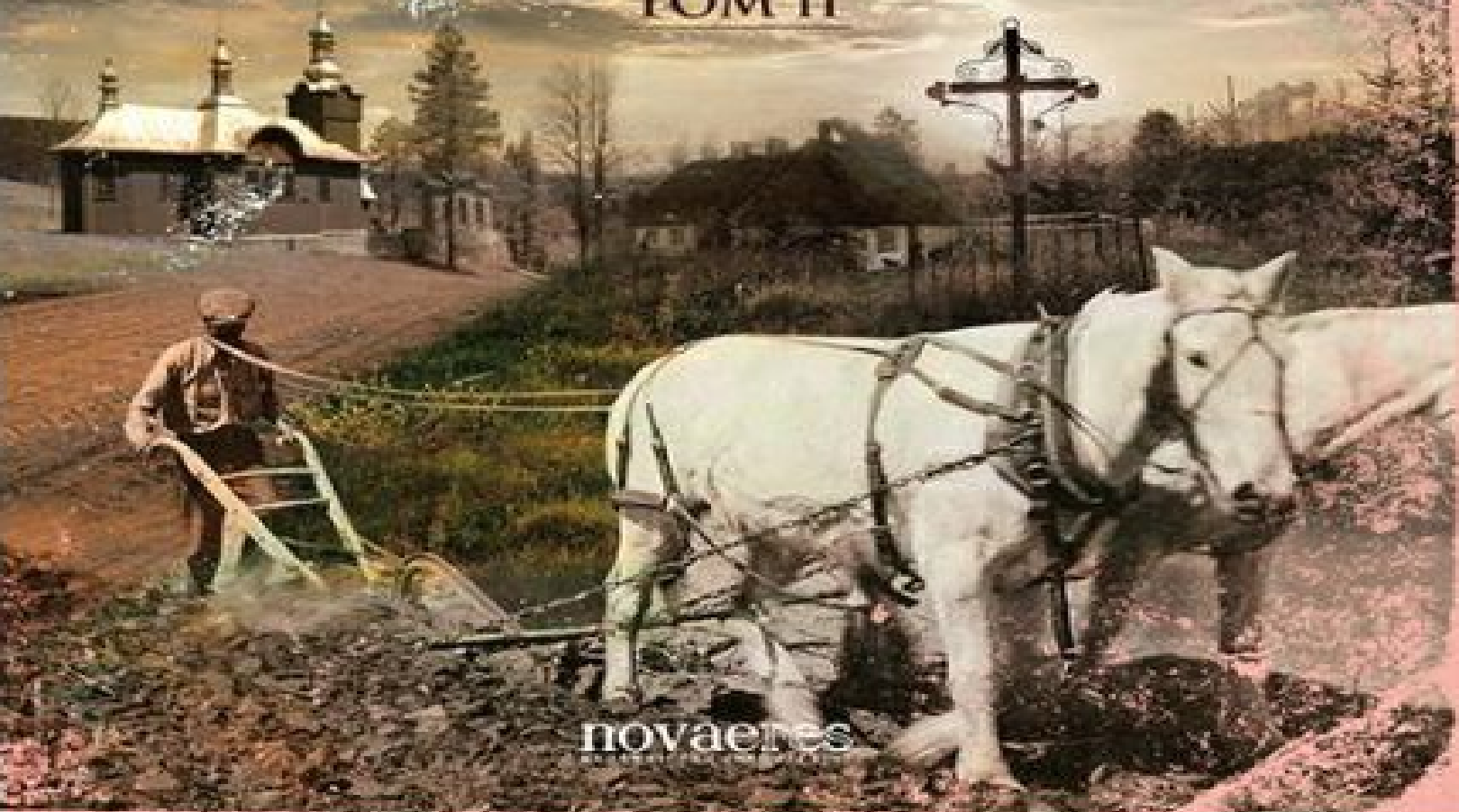


EDWARD ŁYSIAK

KRESOWA OPOWIEŚĆ

Julia

TOM II



novaeres

E-book jest zabezpieczony znakiem wodnym

Edward Łysiak

KRESOWA OPOWIEŚĆ

Julia

Tom II

REDAKCJA: Zuzanna Gościcka-Miotk

KOREKTA: Aleksandra Tykarska

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

SKŁAD: Anita Szejder

© Edward Łysiak i Novae Res s.c. 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wszelkie podobieństwo do realnych postaci i sytuacji jest całkowicie przypadkowe.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-7722-884-5

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

Konwersja do formatu EPUB/MOBI:

Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

Dedykacja

Kresową opowieść dedykuję mieszkańcom Kresów II RP: Polakom, Ukraińcom, Żydom i Ormianom, których sąsiedzkie więzi w tragiczny sposób zerwały wydarzenia II wojny światowej, a także Łemkom, zmuszonym do opuszczenia swojej ojczystej ziemi.

Podziękowania

Kresowa opowieść w znacznej części opiera się na faktach. Choć osoby żyjące tam i wtedy, są pierwowzorami wielu postaci występujących w powieści, to wszelkie podobieństwo do realnych postaci i sytuacji jest całkowicie przypadkowe.

Dziękuję:

Tobie, Żołnierzu Istrebitelnego Batalionu, który chciałeś pozostać anonimowym człowiekiem. Twoja odwaga uratowała wielu ludzi i chociaż odszedłeś od nas kilka lat temu, to żyjesz na kartach powieści jako Michał.

Tobie, Krzysiu. Twoja wiedza o tamtym czasie i zaangażowanie w tworzenie fabuły powieści bardzo mi pomogły i, o czym jestem przekonany, uczyniły ją bardziej atrakcyjną.

Mamie i Babci za zaszczepienie miłości do Ziemi, na której się urodziły, oraz wdzięczności dla Ukraińców, którzy uratowali im życie.

Żonie Wandzie oraz synom Rafałowi i Tomaszowi za wsparcie i wyrozumiałość.

Panu Janowi Sitnikowi. Pana zeszyt ze słowami piosenek śpiewanych wtedy przez Polaków i Ukraińców był bezcennym źródłem informacji, a pomocy w wyjaśnianiu wątpliwości nigdy Pan nie odmawiał.

Romanie Obrockiej za poniesiony trud przy realizacji projektu „Łączy nas wspólna historia” i wiele pozytywnych emocji, jakich dostarczyły razem organizowane wyjazdy na Ukrainę.

Sylwii Frołow za wprowadzanie w tajniki warsztatu pisarskiego i czas poświęcony na ich praktyczne wykorzystanie w powieści.

Ponadto dziękuję Pawłowi Misiorkowi, Dorocie Lutek, Klaudii Maślej-Feluś, Beacie Dżon, Elżbiecie Burgier, Bolesławowi Gruberskiemu, Rozalii Pleszewie, Marii Więcek, Józefowi Skowronowi oraz wielu innym osobom. Bez Waszej pomocy *Kresowa opowieść* nigdy nie uzyskałaby obecnej postaci.

Rok 2009, Karlików

Zofię spotkałem w wiejskim sklepie. Zajęta rozmową z ekspedientką, w pierwszej chwili nie zwróciła na mnie uwagi.

– Dzień dobry – powtórzyłem, puszczając oko do pani Izy.

– Zakochana pani, czy co, że nie poznaje starych znajomych?

– Zakochana? – Zofia wzruszyła ramionami. – Pan chyba żartuje. W moim wieku?

– No wie pani! – udałem obrażonego. – Jestem starszy i wcale tak nie uważam.

– Ani ja – pani Iza, śmiejąc się, wstukiwiała kod cielecych parówek do kasy fiskalnej.

Zofia dobiegała pięćdziesiątki. Była sołtysem wybranym przez karlikowską społeczność już na drugą kadencję. Tę energiczną kobietę, pełną życiowego optymizmu i pomysłów, które realizowała z podziwu godną determinacją, miejscowi bardzo lubili. Na miarę swoich możliwości organizowała życie kulturalne w tej podwrocławskiej wsi.

– Pamięta pani o naszej rozmowie? – zapytałem przed sklepem. – Sądzi pani, że przyjdą?

– Przyjdą – w jej głosie nie było cienia wątpliwości. – Wszystkim dolega SKS i już cieszą się na to spotkanie.

– SKS? – przystanąłem przy samochodzie. – Co to jest SKS?

– Starość, kurwa, starość – zaśmiała się rubasznie. – Niech się pan nie obrazi, ale tak się tutaj mówi. Zdrowia nie ma, w kolejce do lekarzy czeka się miesiącami, no i ta okropna samotność. Po prostu SKS.

Świetlicę w Karlikowie, której czasy świetności przypadły na okres przedwojenny, wypełniał gwar rozmów. Kilkanaście osób w różnym wieku, głównie starszych kobiet, siedziało przy stole przykrytym białym obrusem. W żeliwnym, nieobudowanym kominku z długą rurą, ginącą w ścianie gdzieś pod sufitem, buzował ogień. Dwie dziewczyny wносиły z zaplecza pokrojone ciasto.

– Komu kawę, a komu herbatę? – pytała jedna z nich.

– Niech pan zaczyna – Zofia wkładała do kominka spróchniały pień jabłoni.

– Pani Zosiu – zaprotestowałem. – To pani jest tutaj gospodarzem.

– Co ja z panem mam... – zaśmiała się, wycierając ręce chusteczką. – Drodzy państwo – zaczęła. – Od dawna namawiałam pana Edwarda, żeby chciał opowiedzieć o swoich podróżach. Był w Hiszpanii, na Ukrainie, niedawno wrócił z Włoch. Ale on się broni i mówi, że ma inne plany. No to niech się z nich tłumaczy.

– Dziękuję pani Zosi za doprowadzenie do tego spotkania – powiedziałem – a państwu gratuluję takiego sołtysa.

Kątem oka zauważyłem uśmiech zadowolenia na twarzy Zofii. Siedziała wpatrzone w obrus, obracając w palcach łyżeczkę do herbaty.

– Rzeczywiście, byłem w tych krajach, ale wy znacie je z telewizji. No to po co opowiadać?

Po tych kilku słowach oczywistego wstępu nagle poczułem pustkę w głowie. Projekt, do którego realizacji chciałem wykorzystać wiedzę mieszkańców Karlikowa, był na tyle obszerny, że nie bardzo wiedziałem, jak ich z nim zapoznać. Jak nakłonić do wspomnień? Moje słowa powinny być na tyle wiarygodne, aby zechcieli mówić. Mało tego. Nie tylko mówić, ale jeszcze robić to szczerze. Jeden niewątpliwy atut już miałem – tutaj się urodziłem, tutaj spędziłem połowę życia i znałem wszystkich obecnych na sali. No, może prawie wszystkich. Nie wiedziałem, kim są dwie młode dziewczyny, którym Zofia wyznaczyła rolę hostess.

– Drodzy państwo – zacząłem po dłuższej chwili. – W życiu każdego z nas przychodzi taki moment, kiedy zastanawiamy się, jakie ono było. Zastanawiamy się, czy zrobiliśmy to, co kiedyś chcieliśmy zrobić. To taki remanent jak kiedyś w sklepie, kiedy przywozili towar.

– Jaki remanent? – zapytała jedna z nieznanym mi dziewczyn, marszcząc przy tym czoło. – Co to jest remanent?

– Świetnie, że usłyszałem to pytanie, pani... – zawiesiłem głos w nadziei, że młoda osoba wypowie swoje imię.

– Nazywam się Kwiatkowska – dziewczyna w lot pojęła moje intencje.

– Ma na imię Kaśka – Zofia odłożyła łyżeczkę. – To moja córka.

– Świetnie, że usłyszałem to pytanie, pani Kasiu – powtórzyłem. – Kto z was wie, czym był remanent?

– Ja wiem!

– I ja!

– Ja też! – wołały jedna przez drugą kobiety. Niektóre podniosły rękę.

– No właśnie – uśmiechnąłem się zadowolony, że ryzykowny przykład chwycił. – „Remanent” jest słowem ze świata, którego już nie ma. My jeszcze go pamiętamy, ale młode pokolenie zupełnie nie zna tamtych realiów. Z remanentu mojego życia wyszło, że warto zrobić coś, co ocali od zapomnienia świat odchodzący razem z ludźmi, którzy kiedyś stanowili jego część.

– A co konkretnie masz na myśli? – Marysia, pulchna kobieta, której siwe włosy maskowała czerń jakiegoś odcienia farby Palette, wydeła usta.

– A to chociażby – nie zwlekałem z odpowiedzią – jak razem pasaliśmy krowy. – Pamiętasz?

– Pamiętam – skinęła głową. – Ale po co to tobie? Było, minęło. Szkoda do tego wracać.

– No i tutaj się różnimy – odpowiedziałem i od razu uświadomiłem sobie, że nie będzie łatwo usłyszeć to, na co czekałem. Przypomniałem sobie rozmowę sprzed trzech lat, jaką przeprowadziłem z redaktorem naczelnym jednego z wrocławskich wydawnictw. „Wiem, jaki był pański zamysł” – mówił ciepłym głosem po zapoznaniu się z pierwszą wersją mojej powieści. „To szlachetne, ale pisząc, powinien pan zawsze pamiętać, że wydawca musi na książce zarobić. Dziewięćdziesiąt procent czytelników stanowią kobiety. Niech pan dyskretnie obserwuje, jakie filmy ogląda pańska żona. Dam głowę, że nie są to horrory ani filmy wojenne. Pisząc, musi pan pamiętać o czytelniku i o tym, że prawie zawsze będzie nim kobieta”.

– Pamiętacie rodzinę Jakubowskich? – spróbowałem z innej strony.

– No jak nie? – jedna z kobiet poprawiła się na krześle. – Z Natałką do szkoły chodziłam. Wyprowadzili się do Wrocławia ze dwadzieścia lat temu, jak Mazowiecki nastał i amnestia była. Zapamiętałam, bo ojciec Natałki też

wtedy wrócił.

Nagle wśród kobiet wywiązała się ożywiona dyskusja. Przypominano sobie zdarzenia sprzed lat, przytakiwano i sprzeczano się.

– A romanse to jakieś w Karlikowie były? – dolewałem oliwy do ognia. – A jak ksiądz dzwonnice rozebrać kazał, to pamiętacie? – nie odpuszczałem.

– Uspokójcie się! – milcząca dotąd Zofia uderzyła dłonią w stół. – Mówcie po kolei, bo nic zrozumieć nie można.

Uwaga pani sołtys poskutkowała i przy stole zapanowała cisza.

– Zaczynaj, Maryśka – Zofia skinęła na moją znajomą od pasania krów.

Dyskusja przyjęła cywilizowaną formę. Tylko od czasu do czasu dochodziło do drobnych słownych utarczek. Słuchałem uważnie, a z ożywionych rozmów powoli wyłaniał się obraz powojennej wsi, dobrze zapamiętany przez siedzące przy kominku kobiety.

Karlików i Szczepanów były wsiami leżącymi na nizinie wciśniętej między Wzgórza Trzebnickie, Odrę i Wrocław. Tereny te zostały włączone do Polski po zakończeniu wojny i od razu zaczęto je zasiedlać. Osadnicy przybywali ze wszystkich stron, ale najwięcej z Kresów Wschodnich. Zwykle zastawiali poniemieckie gospodarstwa w dobrym stanie, wyposażone w narzędzia, jakich sami nie znali. Początkowo, z powodu braku koni, nie mogli z nich korzystać, ale to się powoli zmieniało wraz z wdrażaniem programu pomocy UNRRA.

Stopniowy napływ osadników i wyjazd dotychczasowych gospodarzy sprawił, że przez pewien czas jedni i drudzy mieszkali obok siebie. Sprzyjało to przejmowaniu wzajemnych nawyków, zachowań i słownictwa. Proces zastępowania niemieckich słów polskimi odpowiednikami trwał wiele lat, ale jeszcze dzisiaj zdarza się powiedzieć, że *furman* zwozi z pola *kartofle*, które wcześniej wykopano *haką*. Wtedy, tuż po wojnie, murarze używali *wasserwagi*, a po pracy mieli *fajrant*. Młockarnię napędzał *motor*, do kucia muru służył *majzel*, drewno cięto na *krajzedze*, a obrabiano je używając *hebla*. Do precyzyjnego wycinania otworów w *dykcie* stosowano *laubzegę*, a pod śruby podkładano *szajby*.

Szczepanów leżał bliżej Wrocławia niż Karlików. Był wsią większą,

bardziej zadbaną i właśnie w nim znajdowały się kościół parafialny i plebania. Sama świątynia pochodziła z XIV wieku, co łatwo dało się poznać po dużej, nieforemnej cegle, której użyto do jego budowy. Kościół stał na niewysokim wzgórzu, na tyle jednak wyniosłym, że górował nad wsią. Świątynię otaczał cmentarz okolony ceglany murem, wzdłuż którego rosły rozłożyste kasztanowce. Tuż za ogrodzeniem znajdowała się plebania.

Do kościoła prowadziło dwoje drzwi. Z każdego wchodziło się do małego przedsionka, w którym stała kamienna misa ze święconą wodą. Z tylnego przedsionka wąskimi schodami można było wejść na chór z zabytkowymi organami. Z nawy głównej było wejście do dobudowanej zakrystii. Na ścianach w czarnych grubych ramach wisiały obrazy męki Pańskiej, a pośród nich naturalnej wielkości rzeźba ukrzyżowanego Jezusa. Masywne drewniane balaski, zamykane na czas Komunii Świętej, odgradzały wiernych od ołtarza.

W Karlikowie i Ozorkowie kościołów nie było, dlatego wszyscy parafianie spotykali się w Szczepanowie na niedzielnej sumie, odprawianej w samo południe.

Jeżeli parafia była duża i obejmowała kilka wsi, to w niektórych z nich były kościoły filialne. Ksiądz mieszkający na plebanii znajdującej się przy kościele parafialnym był dowożony do nich przez gospodarzy konnymi zaprzęgami. Zimą, zwykle mroźną i śnieżną, wozy zastępowano saniami. Gospodarze pełnili dyżury po kolei, więc wszyscy we wsi z kilkutygodniowym wyprzedzeniem wiedzieli, kto i kiedy ma jechać po księdza.

Zachowanie wiernych podczas wielkanocnych procesji zawsze było powodem zmartwień księży. Kościół, który w zwykłą niedzielę nigdy nie był pełny, w to wielkie święto dosłownie pękał w szwach. Wielu ludzi, nie mogąc wejść do środka, stało na zewnątrz. Zakłócało to porządek tradycyjnej procesji, która zawsze trzykrotnie okrążała kościół. Z każdym „kółkiem” część wiernych zniknęła w kościele i zajmowała miejsca siedzące, a pozostali, rozciągnięci na dużej przestrzeni, śpiewali wielkanocne pieśni na kilka grupowych głosów. Szczególnie hucznie Wielkanoc witała młodzież. Wokół kościoła wybuchały petardy, strzelano z korkowców i w ogóle panował hałas.

Pierwsze Komunie były skromne, a prezenty dla dzieci symboliczne. Komunię poprzedzała spowiedź, ale żeby do niej przystąpić, należało zdać egzamin. Uczono się na pamięć mnóstwa modlitw, które bez większego

zrozumienia klepano na egzaminie.

Po wojnie msze odprawiano po łacinie, a ksiądz i ministranci stali tyłem do wiernych. Msze były śpiewane i podczas każdej odbywała się adoracja najświętszego sakramentu, co sprawiało, że zwykle trwały półtorej godziny. Trudno było wytrwać do końca takiej mszy, zwłaszcza latem, kiedy w kościołach pełnych ludzi panował zaduch.

Nie używano słowa „homilia”, lecz „kazanie” – zawsze głoszone je z ambony. Następnie zbierano na tacę. Ksiądz robił to osobiście, a drogę w tłumie torował kościelny z zapaloną gromnicą w dłoni.

Co kilka lat parafię nawiedzały kopie cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Przyjmowano go uroczyście na granicy parafii, a później wędrował on od domu do domu. Obowiązkiem rodziny było przygotowanie ołtarzyka, na którym umieszczano obraz, a każdej gospodyni zależało na tym, by jej ołtarzyk był najbardziej okazały. Wieczorami gromadzono się na wspólnej, zwykle różańcowej modlitwie. Nie było obowiązku przyjmowania obrazu, ale społeczna presja sprawiała, że robili to prawie wszyscy. Nieliczni mieszkańcy, którzy odmawiali, stawali się przedmiotem wielotygodniowych plotek.

Wśród dzieci i młodzieży popularne było wielkanocne strzelanie, trwające przez cały pierwszy dzień świąt. Używano do tego karbidu, który pozyskiwano od spawaczy z miejscowej cegielni. Do puszkę po farbie wlewano wodę, wrzucano karbid i zamykano szczelnie przykrywką. Do niewielkiego otworu, zrobionego w denku puszkę, przykładano palącą się zapalkę. Wybuch i huk były tym głośniejsze, im puszkę była szczelniej zamknięta, większa, a karbidu naładowano więcej. Najbardziej zdeterminowani pirotechnicy używali już nie puszek, ale dwudziestolitrowych banięk na mleko, które zamykali dopasowanym drewnianym kłosem, wbijanym siekierą. Przy ustawieniu bańki pod odpowiednim kątem taki pocisk potrafił przelecieć sto i więcej metrów, a huk był niemal tak głośny jak wystrzał armatni. Dorośli traktowali te zabawy z pobłażaniem i bardzo rzadko interweniowali.

Od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia domy odwiedzały kolędnicy, którzy nie zawsze byli mile witani przez gospodarzy. Nasłuchiowano, czy nie nadchodzą, a kiedy było wiadomo, że są już niedaleko, gaszono wszystkie światła, udając, że nikogo nie ma w domu. Jeśli otwarto drzwi, pierwszy

wchodził Anioł i mówił:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Czy państwo życzą sobie, aby odegrać jasełka?

Jeśli gospodarze sobie nie życzyli, Anioł wychodził, a kolędnicy śpiewali:

W tej chałupie gołodupie, nic nie mają.

W garnki srają i kolędy nie wpuszczają.

W przypadku zaproszenia przez gospodarzy kolędnicy dawali takie przedstawienie:

Marszałek I

Jam marszałek śmiały, śmiało się odnoszę,

Dla króla Heroda o krzesło poproszę.

Jak było, niech będzie, niech król Herod

U państwa w domu na krześle usiedzie.

Król Herod

Ja, król, monarcha, idę od północnej strony,

Gdzie śnieżny kryształ pokrył zagony.

Ze mną hufce zbrojne, jak na wojnę.

Żołnierze moi, stawić się na moje zawołanie!

Marszałek II

Rozkaz, stoję przed tobą, Najjaśniejszy Panie.

Co tylko rozkażesz, wszystko się stanie.

Król Herod

Chodźcie po całej krainie,

Czyście nie słyszeli o jakiejś nowinie?

Marszałek II

Królu, doszła nas nowina na zamek z pól,

Że się narodził nowy żydowski król.

Król Herod

Ach, głupia była ma ambicja,

Że mnie tak omamiła,

Że mego synalka do grobu wtrąciła.

Wiem, że umrę, wiem, że zginę

Z wrogiej Turka ręki.

Turek

Jam Turek zbrojny, powracam z wojny.

Pamiętasz, królu Herodzie, jak żeśmy się bili
w Pańskim Ogrodzie?

Tobie krew tryskała po brodzie.

Nie pozwoliłem ci dziątek mordować,

Teraz się przyszło na ostre miecze spróbować.

Król Herod

Dalej oręż do oręża, który którego zwycięża.

Jam pogan, tyś pogan, podziękujmy Panu Bogu

Za miecze pożądane.

Ułan

Jadę na koniu, konika podcinam

I ostrą szabelką wszystkich Turków wycinam.

Turek

Kłamiesz, ułanie, jak cię zdzielę szablą, to z konia spadniesz.

Król Herod

Zawołać mi tu Żyda Rabida.

Marszałek I

Żydzie Rabidzie, staw się przed Króla Pana.

Żyd (*zza drzwi*)

Jeszczem krowy nie wydoił,

Jeszczem bydła nie napoił.

Król Herod

Zawołać mi tu Żyda Rabida.

Marszałek II

Żydzie Rabidzie, staw się przed Króla Pana.

Żyd

Już go idzie, bidny Żydzie.

Król Herod

Żydzie, a ile masz dzieci?

Żyd

Czego, czego?

Król Herod

Ile masz dzieci?

Żyd

A, dzieci. I Pasocho, i Sachocha,

Czworo dzieci, razem szesnaścioro.

Król Herod

Kłamiesz, Żydzie, bo sześcioro.

Żyd

Ja Żyd, to osoba świnta, ja mam na to dokumynta.

Jak moje trzy dzieci chorowały na brzucha,

Przyjechało trzy doktory,

Jeden z Prus, drugi z Rus,

A trzeciego diabeł na rogach niósł.

Król Herod

Wtrącić Żyda do więzienia.

Żyd

Ty pchłu, ja ci mówić prawdę.

Ty mnie do więzienia?

Ja mam taki wielki brat,

Co ci zrobi koniec świat,

Kumie, kum.

(Diabeł wbiega do środka)

Król Herod

Idź precz, ty czarny szatanie.

Wolałbym Śmierć ujrzeć niż ciebie.

Diabeł

Kostuś, Kostuś – do pomocy,

Bo mi Król Herod chce wydrapać oczy.

Śmierć

Chodziłam po górach i lasach,

Siedem par butów zdarłam,

A ciebie, królu Herodzie,

W tej chatce nareszcie znalazłam.

Król Herod

Kostuś, kostuś – nie mniej do mnie żalu ani złości,

Zdejm ze mnie purpury, okryj nagie kości.

Śmierć

Ja w purpurach nie chodziłam

I chodzić nie będę,

A takim jak ty, królu Herodzie,

Głowy ścinałam i ścinać będę.

Wszyscy

Za kolędę dziękujemy gospodarzom, Panie,

Niechaj Jezus i Maryja w tym domu zostanie.

Po występie dawano kolędnikom niewielkie pieniądze. W tym samym czasie gospodarzy odwiedzała grupa powszechnie szanowanych, najbardziej udzielających się w kościele ludzi. Nazywano ich bractwem kościelnym, a po wspólnym odśpiewaniu kolędy przekazywano im na potrzeby świątyni znacznie większe pieniądze niż kolędnikom.

W odróżnieniu od skromnych przyjęć komunijnych wesela były okazałe. Z uznaniem mówiło się o tych, na których bawiło się co najmniej sto osób. Weselna zabawa z przygrywającą wiejską kapelą trwała dwa dni, a ten drugi dzień nazywano poprawinami. Nie znano kapel zawodowych. W orkiestrach grywali utalentowani muzycy gospodarze, zwykle z różnych wsi. Słowa przyśpiewek weselnych krążyły wokół spraw damsko-męskich, zahaczały o noc poślubną i ogólnie były sprośne.

Poważne sąsiedzkie spory załatwiano w sądzie, a te mniej ważne we własnym zakresie. Czasem dochodziło do bójek i pyskówek, ale częściej sąsiada nęcano. Zdarzało się, że na pastwisko podrzucano ziemniaki nafaszerowane gwoździami, licząc na to, że krowa sąsiada zje je i zdechnie. Psom podrzucano zatrute mięso. Na niedzielny obiad zabijano kury sąsiadów, które udało się złapać na własnym podwórku. Milicjanci zasypywani licznymi wezwaniami do tego rodzaju spraw podpowiadali często, żeby nie zwracać im głowy, a sąsiadowi obić mordę, tylko bez świadków.

Czasem sąsiedzkie nękanie przybierało kabaretową formę. Na wsi nie było ulicznego oświetlenia, dlatego jesienią szybko robiło się ciemno, a trzeba było świniom dać jeść, jajka zebrać i krowę wydoić. Jeśli jeden z gospodarzy miał lampę na swoim podwórzu, a zwaśniony z nim sąsiad jej nie miał, wówczas pilnowano, aby nie mógł ze światła skorzystać. Jeden z domowników stawał przy oknie, a gospodarz lub gospodyni wychodzili do obory i wtedy domownik włączał lampę. Gasił ją, gdy tylko zobaczył zapalone światło w oborze i mógł odejść od okna. Musiał jednak czuwać, aby zapalić światło na podwórzu, gdy to w oborze zostało zgaszone. Nie zawsze udawało się uchwycić ten moment i gospodarz albo gospodyni czasem wracali po ciemku.

Gospodarz, który na swoim podwórzu nie miał lampy, też czuwał. Wychodził z domu natychmiast, kiedy zobaczył światło na podwórzu sąsiada albo usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych przez niego drzwi. Zwykle mu się udawało i obaj równocześnie wchodzili do swoich obór. Czasem jednak właściciel oświetlonego podwórka przechytrzał sąsiada. Otwierał i zamykał drzwi, sugerując, że wychodzi, a w rzeczywistości wracał do domu. Oszukany w ten sposób sąsiad po ciemku docierał do swojej obory.

Dla mieszkańców wsi rower był podstawowym środkiem komunikacji. Rowerem jeździło się do kościoła, na stację kolejową i do sklepu – latem i zimą, w dzień i w nocy. Milicja czepiała się wszystkiego. W nocy kontrolowała oświetlenie, którego rowery i tak nie miały. Latem karała mandatem rowerzystów, którzy z dzieckiem na ramie i kosą w ręce spieszyli się do pracy.

W każdą sobotę organizowano we wsi zabawy, które były okazją do tańców, ale też do regulowania spornych spraw. Konfliktów nigdy nie brakowało, a większość dotyczyła damsko--męskich relacji. Jeśli dziewczyna pochodziła z tej samej wsi, co konkurenci, wtedy problem miał lokalny charakter i znaczenie dla społeczności niewielkie. Sprawa wyglądała zupełnie inaczej, jeśli chłopak zakochał się w dziewczynie z innej wsi. Choćby była brzydka, choćby pies z kulawą nogą się za nią nie oglądał, obcy chłopcy musieli się od niej trzymać z daleka. Jeśli była ładna, to w ogóle nie było o czym mówić. W takim przypadku organizowano karne ekspedycje. Grupy młodzieży pacyfikowały wieś narzeczonego, wyciągały go z domu i biły. Profilaktycznie w taki sam sposób traktowano wszystkich potencjalnych konkurentów. Dziewczyny, choćby była bardzo zakochana, o zdanie nikt nie pytał.

O tych karnych ekspedycjach ludzie rzadko powiadamiali milicję. Częściowo z tego powodu, że rozumieli tę od zawsze praktykowaną tradycję, a częściowo z braku środków łączności, gdyż telefony były niespełnionym obiektem marzeń, podobnie jak wiele innych, dzisiaj powszechnie dostępnych dóbr. Początkowo znajdowały się one wyłącznie w urzędach pocztowych, później otrzymali je także sołtysi.

Chłopcy z dziewczynami dogadywali się dużo łatwiej, i to niezależnie od miejsca zamieszkania. Nierzadko po zabawie w ustronnych miejscach można było znaleźć części dziewczęcej bielizny, a czasem nawet jej komplet.

Bo kochanie, całowanie nikomu nie szkodzi, od kochania nikt nie umarł, jeszcze się narodził – śpiewano wtedy i nie narzekano na ujemny przyrost naturalny.

Życie wsi zawsze biegło zgodnie z rytmem przyrody. Wiosną kultywatorami spulchniano pola po jesiennej orce, wyrównywano je bronami i siano zboża. Początkowo siewu dokonywano ręcznie, później zaczęto wykorzystywać pozostawione przez Niemców siewniki. Także wiosną otwierano kopce z ziemniakami. Kartofle średniej wielkości przeznaczano do sadzenia, większe do spożycia przez ludzi, a małe i nieforemne do uparowania dla zwierząt. Jeśli do obsadzenia było duże pole i brakowało średnich ziemniaków, wtedy te większe krojono na pół. Czasem sadzono nawet grubo odkrojone łupiny, z których także wyrastały ziemniaczane krzaki.

Kartofle sadzono pod szpadel, pod płużek albo wrzucając do dołków zrobionych przez dołowniki ciągnięte przez konie. Podobnie było z kukurydzą. Do każdego dołka wrzucano po kilka, czasem kilkanaście ziaren. Kiedy wyrastały, zostawiano dwa lub trzy najdorodniejsze pędy, a resztę wyrywano i przeznaczano na paszę dla bydła. Tę czynność nazywano przerywaniem kukurydzy.

Bardzo uważano, aby nie wejść na pole sąsiada. Z tego powodu ziemniaczane zagony nigdy nie dochodziły do samej miedzy, tylko kończyły się kilka kroków wcześniej. Na tej wolnej przestrzeni sadzono ziemniaki w rzędach równoległych do miedzy, które nazywano poprzeczką. Zaorywanie miedzy było częstym powodem sąsiedzkich sporów.

Lato było okresem sianokosów i żniw. Trawę koszono dwa razy w roku. W małych gospodarstwach robiono to ręcznie za pomocą kosi. Po ręcznym koszeniu trawa układała się w wał, który dla szybszego schnięcia należało rozrzucić. Używano do tego wideł lub grabi. W większych gospodarstwach do koszenia służyły konne kosiarki. Tak ścięta trawa leżała równomiernie i nie wymagała rozrzucania. Gdy przeschła, przewracano ją widłami lub grabiami dwa razy dziennie, a na noc składano w stogi nazywane kupkami. Siano w kupki składano także przed zbliżającą się burzą. Wsuszone siano przechowywano na strychu nad oborą lub w stodole. Spanie na sianie było dużą atrakcją, zwłaszcza dla gości z miasta. Siano nie powinno być jednak świeże – uważano, że z takiego snu można się nie obudzić.

Kos i kosiarek używano także w okresie żniw. Do zwykłych kos przytwierdzano pałaki z leszczyny, które czasem obciążano materiałem – i można było kosić. Żniwiarz szedł powoli, krok po kroku, kładąc równy pokos. Za nim podążała kobieta podbierająca skoszone zboże w jednakowej wielkości porcje, które kładła na ściernisku. Dla obojga była to ciężka praca. Bolały plecy, a ręce i nogi kaleczone były przez zboże i osty.

Konne kosiarki do zboża nazywano garściówkami. Ciągnęły je dwa konie i obsługiwało dwóch mężczyzn, z których jeden powoził, a drugi specjalnymi grabiami zsuwał garście zboża na ściernisko w podobnej wielkości porcje jak przy koszeniu ręcznym. Nie znano rękawic ochronnych, a powróła do wiązania zboża w snopki i samo wiązanie wykonywano gołymi rękoma.

Z czasem na wieś coraz powszechniej zaczęła wkraczać mechanizacja. Na początku lat sześćdziesiątych pojawiły się snopowiązałki traktorowe – najpierw w PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych, później w kółkach rolniczych nastawionych na obsługę rolników indywidualnych. Ludzie, często starsi i schorowani, czekali na nie z utęsknieniem. W czasie żniw panem był traktorzysta, a niemożliwym do rozwiązania problemem – brak sznurka do snopowiązałki. Powiązane i leżące na ściernisku zboże składano w kupki, najczęściej liczące dziewięć snopków. Liczba ta nie wynikała ani z tradycji, ani z przesądów, tylko z geometrii. Pierwszy snopek stawiano pionowo, podpierano go z czterech stron i uzupełniano cztery wolne narożniki, tworząc w ten sposób klasyczną kupkę.

Tak składano żyto i pszenicę. Kupki dla jęczmienia i owsa były inne – w rzędzie stawiano po dwa snopki oparte o siebie. Takich par znajdowało się w kupce zazwyczaj sześć, przy suchym zbożu nawet więcej. Ziarno zwożono do stodół i składowano w sásiekach. Również zboże drobnych gospodarzy transportowano do stodół sąsiadów, a później wspólnie dokonywano omłotów. Na czas zwózki dokonywano prostej przeróbki zwykłych wozów na wozy drabiniaste. Były dłuższe, nie miały zatylników i pozwalały na załadunek dużej liczby snopków albo kupek siana. Umiejętnie ułożone snopki lub siano wznosiły się nieraz trzy metry ponad drabiny wozu. Z czasem drewniane koła wozów zaczęto zastępować kołami od traktorów i samochodów. O takim wozie mówiło się, że jest na gumowych kołach.

Jesień była czasem wykopków ziemniaków, buraków cukrowych i pastewnych. Pod koniec września ciągnęły na pola konne zestawy dwóch lub

trzech złączonych ze sobą wozów, a do ostatniego zawsze była przyczepiona kopaczka.

Wozy rozstawiano tak, aby ludziom do każdego było blisko. Konie zaprzęgano do kopaczki, która szerokim lemieszem wyorywała rządki, a obracające się łopaty z zagiętych metalowych prętów wyrzucały ziemniaki na pole. Czasem, jeśli konie były narowiste, a gospodarz młody, kartofle leciały daleko.

Wykopki wymagały udziału kilku, a jeśli pole było długie, nawet kilkunastu osób. Gospodarz dzielił krokami pole, tak aby każda ze zbierających osób, a były nimi głównie kobiety i dzieci, miała jednakowej długości odcinek. Te odcinki nazywano działkami, a ich granicę stanowiły wbite w ziemię gałęzie. Ziemniaki wrzucano do wiader i wiklinowych koszy. Dobrym zwyczajem było, aby zacząć zbieranie swojej działki nie od jej granicy, ale krok lub dwa wcześniej, tak aby ulżyć doli sąsiada. Robili tak wszyscy, dlatego pomijając działki skrajne, gdzie rozpoczynający zyskiwał, a kończący tracił, do zbierania była dokładnie taka sama długość pola, jaką wyznaczył gospodarz. Pełne ziemniaków wozy ściągano z pola pojedynczo i rozładowywano ręcznie specjalnymi widłami.

Buraki cukrowe wrastały głęboko w ziemię, dlatego wykopywano je dwuzębnyimi widłami. Następnie układano w kupki, oczyszczano z ziemi sierpami i obcinano liście. Obcięte buraki rzucano na przyzmy, ładowano ręcznie na furmanki i odwożono do punktów skupu, usytuowanych najczęściej przy stacjach kolejowych.

Buraki pastewne wrywano ręcznie, bez użycia wideł, obcinano liście i zwożono do gospodarstwa. Składowano je w piwnicach, stodołach, czasem kopcowano. Buraczane liście stanowiły paszę dla krów i koni. Robiono z nich także kiszonki.

Po wykopkach bronami zgarniano wyschnięte łęty ziemniaczane i palono je na polach. Na przełomie września i października wszędzie unosiła się charakterystyczna woń dymów, a dzieci pasące krowy piekły w gorącym popiele znajdujące na polu ziemniaki.

W dębowych beczkach kiszono ogórki i kapustę. Beczki były duże, aby ogórków i kapusty wystarczyło do wiosny. Główki kapusty rozcinano na kilka części, wycinano z nich głąby i szatkowano na ręcznej szatkownicy.

Kapusta musiała być mocno ubita, tak, aby puściła sok. W większości używano do tego dębowych ubijaków, ale wśród przybyszów z niektórych stron Polski popularne było udeptywanie kapusty nogami.

Pola orano jednoskibowym pługiem, który ciągnęła para koni. Wiele prac na roli wymagało dużej siły pociągowej, dlatego w gospodarstwach trzymano najczęściej po dwa konie. Jesienią wywożono gnoj. Na polu zdejmowano z wozu zatylnik i zakrzywionymi widłami zrzucano go na małe kupki, które rozrzucano widłami bezpośrednio przed orką, aby nie zdążył przeschnąć. Z gnojem to była dziwna historia. Na wsi zawsze tak się mówiło i nie zmieniła tego nawet wprowadzana powszechnie mechanizacja. Gnoj to był gnoj! Wrósł w wiejski język jak jesion w ziemię i nie potrafiły wytepić go ani urzędowe, ani naukowe herbicydy. Owszem, pojawiały się ładowacze i roztrzasczacze obornika, ale kiedy na wiejskiej zabawie chłopcy brali się za bary, to cedzone przez zęby „ty gnoju!” niosło konkretne przesłanie. Użycie w tej samej sytuacji poprawnego językowo obornika nie wchodziło w grę. Przed odejściem w niebyt w imię lingwistycznej poprawności obronił się też gnojownik. Tak nazywano miejsce do składowania gnoju. Sensownego zamiennika nie wymyślono.

W naukowej literaturze obornik składowano więc na gnojowniku, chyba że jakiś szczególnie wrażliwy autor określał to miejsce w sposób opisowy.

W małych gospodarstwach gnoj ładowano ręcznie, odkrywając jego kolejne warstwy. Pryzma miała od metra do dwóch wysokości. Zależało to od liczby zwierząt w gospodarstwie i wielkości miejsca przeznaczonego na gnojownik. Im pryzma była wyższa, tym gnoj był lepszy. Oczywiście ten na dole, bo pryzma gnoju wcale nie miała jednorodnej struktury. Na górze była słoma zmieszana z krowim łajnem. Właśnie łajnem, bo w stosunku do zwierząt gospodarskich nie używano słowa „gówno” – ono było zarezerwowane dla człowieka i zwierząt domowych, takich jak pies i kot. Trochę głębiej konsystencja gnoju miała charakter próchniczny i trudno było go ładować widłami. Im głębiej, tym próchnica stawała się bardziej zwarta, by na samym dole osiągnąć konsystencję masła. Tutaj widły na niewiele się zdawały i trzeba było używać szpadla lub łopaty.

W gnoju zawsze kwitło życie. W dolnej warstwie żyły dżdżownice. Ludzie nie wiedzieli, czy tak właśnie się nazywały, ale były do tych powszechnie znanych bardzo podobne. Różniły się tylko tym, że nie miały

charakterystycznego pierścienia, a ich kolor był ciemnoczerwony, wpadający w odcień bordo. Kurom takie wątpliwości były obce. O ile ziemne dżdżownice uważały za wyjątkowy przysmak i toczyły o nie walki, o tyle tym z gnoju jedynie się przyglądały, głośno przy tym gdacząc. Dżdżownice cięto się szpadlem razem z gnojowym masłem i wrzucało na wóz, by użyźniały ziemię pod zboża i okopowe.

Gnojownik rzadko był obiektem wolnostojącym i zwykle przylegał do ściany obory. W tym miejscu, z racji lepszego dopływu powietrza, proces gnicia był spowolniony, a sam gnój miał luźną strukturę. Wykorzystywały to szczury, drążąc skomplikowane tunele, na końcu których wygrzebywały prokreacyjne nisze. Kiedy się je odkrywało, dorosłych osobników zwykle już nie było. Czasem jednak brak możliwości ucieczki albo instynkt rodzicielski zatrzymywały je na tyle, że udawało się je unicestwić, waląc widłami przez łeb albo przyszpilając nimi szczura do gnoju. Przebity szczur wił się, chwycił łapkami zabójcze ostrze, gryzł je, ale koniec końców ginął i podobnie jak dżdżownice, użyźniał pole pod zboża i okopowe.

Późną jesienią, kiedy prace polowe były zakończone, pozyskiwano z lasu drewno na opał. Leśnicy pozwalali wycinać wyłącznie drzewa uschnięte, które nazywano suszkami. Drewno zwożono furmankami i układano w przyzmy pod gołym niebem. Cięto je ręcznie, rąbano i składowano pod dachem. Większe gospodarstwa miały specjalne szopy przeznaczone do przechowywania drewna, które nazywano drewnutniami. Drewnem palono w kuchniach i piecach kaflowych, ponieważ węgiel kupić było trudno.

Z powodu ciągłych braków opału i skromnych budżetów w domach panował chłód. W dzień, kiedy przygotowywano posiłki dla ludzi i karmę dla zwierząt, życie toczyło się w ciepłej kuchni, jednak w mroźne zimowe poranki często z okien pokoju skrobano szron, a woda w wiadrach pokryta była cienką warstwą lodu.

Sypialnie zwykle dzieliły całe rodziny. Pomieszczenia te ogrzewano piecami kaflowymi, rozpalanymi dopiero wieczorem. Z tego powodu pościel była wyziębiona, a wejście do łóżka nie należało do przyjemnych. Ceremoniał kładzenia do snu wyglądał tak, że ktoś z domowników przykładał na krótko pierzynę do gorącego kaflowego pieca i ogrzaną przykrywał zwinięte w kłębek dziecko. Często najmłodszy spali razem z kotami, grzejąc się wzajemnie.

Ubikacje, nazywane wychodkami, były zwykle wolnostojącymi drewnianymi domkami, usytuowanymi gdzieś na obrzeżach podwórza. Korzystanie z nich podczas mroźnych zim było dużym wyzwaniem. Z tego powodu w niektórych gospodarstwach wychodki znajdowały się w oborze. Krowy, świnie i konie dawały wprawdzie ciepło, ale problem stanowiły szczury. Po wejściu do obory trzeba było chwilę odczekać, aby żerujące gryzonie uciekły na strych lub do gnoju. Natychmiastowe korzystanie z ubikacji groziło bezpośrednim kontaktem ze szczurami, których droga ucieczki często prowadziła przez wychodek.

Siano dla krów i koni przechowywano na strychach nad oborami i stajniami. Stanowiło ono naturalne docieplenie tych pomieszczeń. W dużych gospodarstwach strychy często nie wystarczały i wtedy siano składowano w stodołach, podobnie jak buraki pastewne, kartofle i warzywa. W małych gospodarstwach, a takich była większość, rolę stodoły przejmował budynek mieszkalny, najczęściej podpiwniczony. W piwnicy przechowywano kartofle, buraki pastewne i warzywa, parter zajmowali ludzie, na piętrach zwykle zimowało zboże, a na strychu – kolby kukurydzy.

Obfitość łatwo dostępnego pożywienia sprawiała, że mieszkańcy wsi ciągle walczyli z plagą szczurów i myszy. Szczury zwykle gnieździły się w gnoju, ale często także w piwnicach lub w miejscach, do których rzadko zagłądano. Gryzonie drążyły tunele w burakach pastewnych i w ziemniakach. Robiły w nich gniazda, w których na świat przychodziły młode. Myszy zamieszkiwały rozległe przestrzenie pod podłogami, a ich żerowiskami były piętro i strych budynku mieszkalnego. O ile szczury nigdy nie wchodziły do pomieszczeń zajmowanych przez ludzi, o tyle myszy gościły tam niemal codziennie. Z tego powodu w każdym gospodarstwie były koty, najczęściej dwa lub trzy. Nie znano sterylizacji i kilka razy w roku przychodziły na świat młode kocięta, które topiono w rzeczce.

Słabo ogrzewane mieszkania sprzyjały chorobom. Opieka medyczna stała na niskim poziomie, więc często leczono się we własnym zakresie. Przy anginach, zapaleniach oskrzeli a nawet płuc stawiano bańki. Tę umiejętność posiadało wiele osób, a szklane bańki były na wyposażeniu niemal każdej domowej apteczki. Dolegliwości żołądkowe leczono naparem z dziurawca, który dojrzewał na rzadko koszonych miedzach. Rany przemywano wodą z mydłem, przykładano liść babki lekarskiej i obwiązywano bandażem. Płaczące niemowlęta kąpano w wodzie z dodatkiem święconych ziół, a na

obolałe miejsca robiono okłady z rozgrzanych otrąb. Kiedy stan chorego pogarszał się i podejrzewano, że może umrzeć, w pierwszej kolejności wzywano księdza, a dopiero później lekarza. Zdarzało się nieraz, że pacjent wracał do zdrowia, a namaszczenie olejkami świętymi nie było ostatnim. Najbardziej cieszyli się z tego księży, gdyż ich posługa nigdy nie była bezinteresowna.

Przed nadejściem mrozów psie budy i piwniczne okienka zabezpieczano gnojem, a w progu stajni czy obory kładziono duży snop słomy. W domu między dwuskrzydłowe okna sypano trociny, które z wierzchu ozdabiano kolorowymi wstążkami. Wszystkie te czynności miały chronić ludzi i zwierzęta przed mrozem i wiatrem.

Wysuszone ziarno wożono furmankami do młynów na przemiał. Zdarzało się, że wilgotnego albo zatechłego młynarz nie przyjmował. Takie ziarno mielono w śrutownikach na paszę dla bydła. Powszechnie stosowaną jednostką wagi był metr, który liczył sto kilogramów. Mówiło się, że do młyna zawieziono trzy lub cztery metry pszenicy, a zabita świnia ważyła dwa metry. Ze zmielonego zboża otrzymywano mąkę pierwszego gatunku, mąkę drugiego gatunku, nazywaną pośladem, a także otręby, które stanowiły paszę dla bydła. Proporcje mąki i otrąb były każdorazowo ustalane przez młynarza. Zwykle z dostarczonego metra zboża otrzymywano pięćdziesiąt kilogramów mąki pierwszego gatunku oraz po dwadzieścia cztery kilogramy pośladu i otrąb. Dwa kilogramy zboża szły na tak zwany rozkurz. Młynów było dużo i zwykle jeden przypadał na kilka wsi. Pracowały do drugiej połowy lat pięćdziesiątych, kiedy w ramach walki z własnością prywatną nastąpiła ich stopniowa likwidacja.

Chleb wypiekano samemu. W chlebowych piecach palono drewnem, wygarniano popiół i czekano, aż piec nieco ostygnie. Temperaturę odpowiednią do pieczenia poznawano w ten sposób, że wrzucano do środka garść otrąb. Jeśli się nie spaliły, wstawiano chleb. W chlebowych piecach pieczono też świąteczne ciasta. Na wsiach były liczne cegielnie, piekarnie, gremplarnie i mleczarnie. Do tych ostatnich odstawiano mleko z wieczornego i rannego udoju. Dostarczano je w ocynkowanych, szczelnie zamykanych pojemnikach, nazywanych bańkami. Każda bańka była podpisana nazwiskiem właściciela i nazwą wsi, w której mieszkał. We wsi znajdowało się kilka miejsc, skąd codziennie z rana zabierał je na konny wóz mleczarz i gdzie koło południa je zostawiał.

Kilka razy w miesiącu mleczarnia oznaczała zawartość tłuszczu w mleku i na tej podstawie dokonywała rozliczeń z dostawcami.

Ludziom zawsze towarzyszyły zwierzęta. Krowy, świnie, owce, kury, psy i koty były w każdym gospodarstwie. Zwykle kupowano parkę prosiaków, czyli świnkę i wieprzka, którego, by lepiej rósł, należało wykastrować. Robiono to żyletką Rawa Lux, a środkiem dezynfekującym była jodyna. Znieczulenia nie stosowano, więc kastrowaniu towarzyszył przeraźliwy kwik prosięcia. Świnie karmiono kartoflami, które najpierw należało uparować. Robiono to najczęściej w mieszkaniu na kuchni węglowej. Gotowanie trwało długo, a kuchnia była pełna pary, która w zetknięciu z zimnymi ścianami zamieniała się w wodę. Ciągłe niedogrzone mieszkania rzadko wietrzono, dlatego większość z nich była zawilgocona i zagrzybiona. Uparowane kartofle odciedzano i rozgniatano drewnianym tłuczkiem. Kiedy ostygły, odpowiednią porcję wkładano do wiadra, zalewano pomyjami zmieszanyymi z resztkami ze stołu, dosypywano otrąb i wyrabiano ręcznie. Często do pomyj dodawano serwatkę, którą w dużych konwiach przywożono z mleczarni. Na świnie mające niezaspokojony apetyt przybysze z kieleckiego mówili, że są *żyrtę*, a na grube i tłuste – *paśne*.

Zwierzęta rosły szybko, a uboju dokonywano zwykle przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Świnia musiała ważyć co najmniej sto pięćdziesiąt, a najlepiej dwieście kilogramów. Ambicją każdego gospodarza było, aby jego świnia miała najgrubszą słoninę. Grubość mierzono złożonymi palcami; cztery palce uznawano za przyzwoity wynik.

Zanim pojawili się rzeźnicy, świniobicie przeprowadzano we własnym zakresie. Często angażowano do tego kilkunastoletnich chłopców, dla których było to traumatyczne przeżycie. Zabójstwa dokonywał ojciec, a rolą syna było łapanie krwi z przerżniętej świńskiej gardzieli. Jeśli dziecko spanikowało, co czasem się zdarzało, i część krwi się wylała, czekało je lanie. No bo co warta jest kaszanka bez odpowiedniej ilości krwi? A spanikować było łatwo, bo zabijało się oswojone zwierzę. Świnia żyła w gospodarstwie osiem, a nawet dziesięć miesięcy. Była inteligentnym zwierzęciem, łasym na pieśczoty, lubiącym drapanie po grzbiecie, za uchem i pod gardłem. W tym czasie nawiązywała się świńsko-ludzka więź, którą brutalnie trzeba było przerwać. Na tylną świńską nogę zakładano pętlę, a powróż wiązano do słupa lub drzewa. Zwierzę, pobudzone nową sytuacją, było niespokojne i należało odczekać, aż znieruchomieje. Gospodarz w tym czasie powoli unosił siekiere,

tak aby zadać cios obuchem. W myślach prosił Boga, aby pierwsze uderzenie było skuteczne i ogłuszona świnia padła na ziemię. Nie zawsze tak jednak było i wtedy w obejściu zaczynała się jatka.

Panował taki zwyczaj, że po świniobiciu najbliższym sąsiadom dawano paczki składające się z kawałka słoniny, boczku, kaszanki, kiełbasy i schabu. Ten zwyczaj zapobiegał psuciu się mięsa, którego dużą ilość bez lodówek i zamrażarek trudno było przechować.

Niezależnie od wielkości gospodarstwa oraz ilości zboża omłoty zawsze wymagały wspólnej pracy co najmniej dziesięciu osób. Żadna rodzina nie była w stanie wykonać tego samodzielnie, dlatego proszono o pomoc sąsiadów, którym później odwdzięczano się w ten sam sposób. Nazywano to chodzeniem na odrobek.

Kukurydzę ścinano sierpami, wiązano w snopki i składano w kopki, podobnie jak żyto i pszenicę. Po zwiezieniu wyłamywano kolby, wyłuskiwano je z łupin, które splatano w warkocze, i wieszano w przewiewnym miejscu do całkowitego wysuszenia. Pozbawione kolb łodygi stanowiły paszę dla bydła, a przechowywano je na strychach nad oborami i w stodołach. Oddzielone od łupin kolby często suszono na strychach domów mieszkalnych.

Kukurydziane ziarno było ulubionym pokarmem kur. Na bieżące potrzeby łuskano je ręcznie, używając dwóch kolb albo kolby i kaczana. Kaczanami nazywano kolby bez ziaren. Te spalano w piecu. Czasem wożono kukurydzę do młyna, aby zemleć ją na kaszę, z której gotowano kuleszę. Ten zwyczaj przywieźli ze sobą ludzie z Kresów Wschodnich. Nie wszystkie młyny meły kukurydzę, ponieważ używanie kaszy kukurydzianej nie było powszechne, a przestawianie młyńskich żaren sprawiało niemałe kłopoty.

Krowa, zwierzę duże i z natury łagodne, była żywicielką wiejskich rodzin. W gospodarstwie mogło zabraknąć miejsca dla koni, świń czy owiec, ale nie dla niej. Mleko stanowiło podstawę egzystencji. Piło się je, zostawiało do zsiadnięcia, zbierało śmietanę, wyrabiało masło i sery. Używano go do kawy zbożowej, robienia ciasta na wypieki i pierogi, gotowano na nim kasze. Nadwyżki sprzedawano do mleczarni, by uzupełnić ubogi domowy budżet.

Krowa rodziła cielaki, otwierając w ten sposób nowe obszary chłopskiej egzystencji. Zanim jednak do wycielenia dochodziło, dziewięć miesięcy

wcześniej krowa całą sobą mówiła, że jest już gotowa. Wtedy trzeba było uważać, aby na własnych plecach nie poczuć kilkuset nastawionych na prokreację kilogramów. Na wsi mówiono, że krowa się goni albo, że się latuje. W pierwszych powojennych latach w takiej sytuacji prowadzono krowę do byka. Później władza ludowa uznała, że byk to przeżytek i postawiła na inseminatorów. Krowę wiązano do żłobu. Gospodarz, jeśli był praworęczny, stawał z jej lewej strony, brał krowią szyję pod pachę, prawą ręką chwycił prawy krowi róg, a kciuk i dwa palce lewej ręki wkładał w krowie nozdrza. Musiał wykazać niemało sprytu i siły, aby podczas inseminacji sytuacja i krowa nie wymknęły się spod kontroli. Inseminator dbał o to, aby w trakcie prokreacyjnego aktu nie było niespodzianki. Zaczynał od manualnej lewatywy. Krowa, zwierzę duże, więc urobić się musiał powyżej łokcia, a kiedy ten etap miał już za sobą, mył ręce w ciepłej wodzie, z torby wyciągał długą szklaną rurkę i fiolkę z byczym nasieniem. Po wprowadzeniu nasienia do rurki, a rurki do krowiej pochwy mocnym dmuchnięciem doprowadzał do wytrysku. I po sprawie. Krowa zdziwiona była, bo nie tak prokreację zapisała jej w genach natura, ale jako zwierzę z tejże natury łagodne i ugodowe nie protestowała. Sztuczne zapłodnienie stosowano powszechnie i trochę z niego żartowano. „A buzi?” – tak w puencie jednego z dowcipów krowa pytała inseminatora.

Wycielenia odbierano samemu. Kiedy zbliżał się koniec krowiej ciąży, często zaglądano do obory. Robili to dorośli, robiły dzieci. Często wycielenie następowało w nocy i rano zastawano już wylizanego cielaczka, czasem jednak, jeśli cielę było źle ułożone i krowa nie mogła się sama wycielić, o pomoc proszono sąsiadów. Trzeba było założyć pętlę z grubego powroza na cielęce nogi i ciągnąć. Bywało nieraz, że i czterech mężczyzn nie mogli sobie z tym poradzić. Po wycieleniu pilnowano, aby krowa nie zjadła łożyska.

Niektóre krowy potrafiły same się wydoić i gospodarzowi zostawało niewiele mleka. Radzono sobie z tym w taki sposób, że na krowi pysk zakładano skórzany kaganiec z gęsto wbitymi gwoździami. Taki jeź boleśnie kaleczył krowie wymię, ale dobrze spełniał swoje zadanie.

Żywiono się tym, co w gospodarstwie udało się wyhodować, uprawić bądź pozyskać od zwierząt. Zwykle jadano skromnie. Wyjątkiem była niedziela, kiedy na obiad musiał być rosół i mięso z kury. Uznaniem cieszył się rosół gęsty, zawieszisty i tłusty. Zwykle taki był, ponieważ zabijano

najczęściej najstarsze, kilkuletnie kury.

Podstawę żywienia stanowiły jajka i mleko. Jajka zbierano każdego dnia, pamiętając o tym, aby zawsze jedno pozostało w gnieździe. Nazywano je podkładkiem. Miało zatrzymać kury przy gnieździe pozostającym pod kontrolą gospodyni. Trzeba było jednak uważać, aby to samo jajko nie było podkładkiem przez kilka kolejnych dni – groziło to jego przegrzaniem i utratą świeżości.

Jajecznicą z ziemniakami i zsiadłym mlekiem, cebula duszona na smalcu ze skwarkami i chleb albo naleśniki z serem były często jedynym daniem obiadowym. Na śniadania i kolacje jadano chleb ze smalcem, zacierki na mleku i kasze. Herbata nie była szczególnie popularnym napojem. Prawie zawsze do śniadania i kolacji podawano kawę zbożową na mleku. W domu robiono makaron i pierogi. W ogóle w domowym menu było dużo dań mącznych. Jedynie w okresie świąt Wielkanocy i Bożego Narodzenia, czyli po świniobiciu, dominowały potrawy mięsne.

Przez Karlików płynęła nieduża rzeczka. Wypływała z pobliskich wzgórz, toczyła wody rozległą równiną i wpadała do Odry. Rzeczka wiała się jak wąż i co rusz na swojej drodze napotykała przeszkody. Najczęściej były to olchy i wierzby lubiące wilgoć, ale i potężne dęby. Przeszkody stwarzali też ludzie, którzy, wykorzystując spadek terenu, wybudowali jaz i zmusili rzeczka do pracy. Jaz był betonowy, a jego konstrukcja umożliwiała podnoszenie i opuszczanie dwóch drewnianych zasuw. Jeśli zasuw były podniesione, rzeczka płynęła starym korytem. Opuszczenie zasuw powodowało spiętrzenie wody i skierowanie jej do sztucznego koryta, przy którym znajdował się młyn. Rzeczka wpadała do betonowej sztolni, wprawiając w ruch młyńską turbinę, a ta całą maszynię. W ten sposób rzeczka mełła zboże przywożone przez mieszkańców okolicznych wsi. Zimą, kiedy mróz ścinał wodę, młyn korzystał z prądu.

Rzeczka, chociaż była wąska i płytka, pełniła ważną funkcję w życiu wsi. Poiła krowy, kiedy wracały z pastwisk, pozwalała żyć rybom i rakom. Drzewa, łąki, krowy, rzeczka i ryby z rakami żyły w pełnej symbiozie. Wprawdzie rzeczka płynęła od niepamiętnych czasów, a nad jej brzegami rodziły się i umierały drzewa, ale to właśnie one zmuszały rzeczka do częstej zmiany kierunku. Bo cóż mogła zrobić, kiedy niepozorny z początku dąb stawał się potężnym drzewem? Rzeczka próbowała z nim walczyć.

Wymywała ziemię spod jego korzeni, ale zwykle ulegała i zmieniała kierunek, tworząc głębokie zakole. Płynęła do następnego drzewa, z którym miała dokładnie ten sam problem.

W rzecznych zakolach woda sięgała kolan, czasem połowy uda. Właśnie tam w płataninie korzeni żyły ryby i raki. Ryb było kilka gatunków. Z mniejszych kiełbie, ślize i cierniki, a z większych szczupaki, karasie i płocie. Jednak zdecydowanie przeważały miętusy. Miętus nie miał łuski ani uzębionego pyska. Przypominał węgorza, ale w odróżnieniu od niego nie był drapieżnikiem. Nie miał ości, a jedynie gibki kręgosłup i smaczne, nieco tłuste mięso. Latem mieszkańcy wsi robili na miętusy polowania. Nie można było złowić go na wędkę, bo rzeczny prąd i korzenie na to nie pozwalały. Pozostawało wejść do wody i ręcznie penetrować krainę korzeni i długich nor, wygrzebanych przez ryby w gliniastym brzegu. Trwając w kucznej pozycji, trzeba się było wręcz położyć na wodzie, wysoko przy tym zadzierając głowę, aby się nie napić. Należało przy tym zachować spokój, co okazywało się o tyle trudne, że krainę korzeni zamieszkiwały także raki i szczury wodne. Teraz pozostawało już tylko szukanie na tyle ostrożne, aby miętusa nie wystraszyć. W tej grze uaktywniały się wszystkie zmysły, a dotyku w szczególności. Kiedy opuszki palców zetknęły się z czymś o delikatności aksamitu, wiadomo było, że to miętus. Wykonując powolny ruch wzdłuż miętusiego ciała, należało znaleźć jego głowę. Miętus zwykle był spokojny. Przyzwyczajony do ruchu wody, który przesunął go wśród korzeni, jeśli myślał, to prawdopodobnie o tym, że obejmująca go i przesuwająca się wolno ku głowie dłoń jest właśnie korzeniem. Kiedy palce docierały do skrzeli, emocje sięgały zenitu. Szybki, mocny chwyt i wijący się miętus opuszczał na zawsze swoją krainę.

Rzeczka potrafiła być zdradliwa. Poila krowy, ale czasem zastawiała na nie pułapki. Działo się tak zwłaszcza po ulewach, kiedy brzegi rzeczki stawały się rozmiękłe. Krowa, zwierzę duże i ciężkie, wchodziła z ufnością do wody i niepostrzeżenie zapadała się coraz głębiej. Jeśli tylko do kolan, to mogła się o własnych siłach uwolnić. Jeśli bardziej, wtedy z pomocą przychodzili ludzie. Mieszkańcy wsi prości byli, więc i metody przez nich stosowane do skomplikowanych nie należały, kiedy jednak wszystkie zawodziły, brano leszczynowy kij i bito nim krowę tak mocno, że zwykle udawało się jej samodzielnie wyjść z pułapki.

Rzeczka bywała kapryśna. Szczególnie wiosną, kiedy po śnieżnej zimie

nie mogła pomieścić nadmiaru spływającej wody. Wtedy podtapiała wiejskie gospodarstwa. Niemcy, ich poprzedni właściciele, bronili się, otaczając wieś ziemnymi wałami i pozwalając rzeczce zalewać pola, ale nie wszystkich dało się w ten sposób ochronić. Stali więc ludzie nad brzegiem, obserwując brudną, wzburzoną wodę, modlili się, płakali, czasem złorzeczyli. Trzeba przyznać, że ludowa władza próbowała powodziom zaradzić. Służyły temu prace społeczne nazywane szarwarkami, na które każda rodzina musiała obowiązkowo poświęcić dzień lub dwa w roku. Egzekwowanie nakazu spadało na sołtysa, a gmina pomagała czasem, dostarczając materiały potrzebne do pracy. Ludzie umacniali faszyną podmywane brzegi, poprawiali wały przeciwpowodziowe i udrażniali rowy melioracyjne. Robili to bez fachowego kierownictwa, ot, tak na chłopski rozum. Prości byli, ale swój rozum mieli. Nikt nie dopuszczał myśli, że ktoś inny może być mądrzejszy od niego, więc w trakcie szarwarków dochodziło nieraz do burzliwej wymiany opinii. Szarwarki miały się dobrze aż do październikowej odwilży, po której je zlikwidowano.

Szarwarki nie były jedynymi pracami, które ludność wsi wykonywała wspólnie. Razem szukano też stonki ziemniaczanej. Przed planowaną akcją sołtys metalowym prętem uderzał wiszącą na drzewie rurę, co dla mieszkańców było sygnałem do zbiórki. Przychodzili przed dom sołtysa z butelkami, w których była nafta, a później razem ruszali na pola.

Poszukiwania stonki były metodyczne i kilkudziesięcioosobowa grupa przemierzała wszystkie ziemniaczane zagony. Początkowo akcje nie dawały żadnego rezultatu. Później zaczęto znajdować pojedyncze osobniki, a w końcu stonki pojawiło się tak dużo, że ze względów ekonomicznych naftę zastąpiono wodą. Po zakończeniu akcji zawartość butelek wylewano do rzeczki.

Mieszkańcy Karlikowa często jeździli do Wrocławia. Najpopularniejszym środkiem komunikacji był pociąg. Problem zaś stanowił brak mostu na Widawie, zniszczonego podczas wojny. Ruch kolejowy odbywał się wahadłowo. Od strony Poznania pociąg dojeżdżał do rzeki, ludzie przechodzili kładką na drugą stronę, gdzie czekał skład, który przywiózł tych wracających z Wrocławia. Kiedy pasażerowie wsiedli, maszyniści odjeżdżali w przeciwnych kierunkach. Początkowo było tylko jedno takie połączenie w ciągu doby, więc wyprawa do Wrocławia oznaczała konieczność nocowania w tym mieście.

Na targu sprzedawano mleko, ser, jajka i drób, kupowano podstawowe towary, a później szukano noclegu. Nie było to trudne, ponieważ wielu mieszkańców Wrocławia żyło z wynajmu pomieszczeń. W takich pokojach nie było wygod, nikt o nie zresztą nie pytał. Ludzie spali na podłodze, po kilka osób w jednym pomieszczeniu. Problem noclegów został rozwiązany wraz z odbudową mostu i uruchomieniem większej liczby kolejowych połączeń.

Na kolei również następowały zmiany. W pociągach przewożących ludzi wagony towarowe zastępowano osobowymi. Były dwuosiove z półokrągłym dachem, wystającym ponad szerokie platformy z przodu i z tyłu wagonu. Wzdłuż obu boków miały szerokie, długie stopnie. Pociągi były przepelnione i często pasażerowie podróżowali na platformach i na stopniach wagonów. W latach sześćdziesiątych wprowadzono wagony dla młodzieży. Informowała o tym tablica umieszczona na wagonie, a podział na młodzież i dorosłych był surowo egzekwowany przez pasażerów i obsługę pociągu. Po latach zrezygnowano z tego pomysłu, ponieważ młodzież, pozbawiona kontroli, paliła papierosy, grała w karty, a pasażerskich nowicjuszy poddawała szczególnego rodzaju chrtowi. Na hasło „na kolano” rzucano nieszczęśnika na kolana siedzących i bito po tyłku ile sił. Kolejowego chrztu nie przechodziły dziewczyny. Szerokie stopnie wagonu służyły gapowiczom do ucieczki przed konduktorami, ale nie zawsze się to udawało, ponieważ obsługa pociągu dobrze o tych praktykach wiedziała.

Składy wagonów były prowadzone przez parowozy. Parowozy pociągów osobowych i towarowych różniły się. Towarowe miały większą liczbę osi i mniejsze koła, a osobowe odwrotnie. Na większych stacjach znajdowały się składy węgla oraz zbiorniki z wodą dla obu rodzajów parowozów. Linie kolejową z Wrocławia do Poznania zelektryfikowano w końcu lat sześćdziesiątych i parowozy zniknęły z wiejskiego krajobrazu.

W szkole podczas przerw lekcyjnych dziewczynki grały w klasy albo ćwiczyły na skakance. Wśród chłopców popularne były zabawa w wojnę oraz podwórkowa gra o tej samej nazwie. Sal gimnastycznych nie było, dlatego zajęcia wychowania fizycznego odbywały się na dworze. Grano w piłkę nożną, w dwa ognie i w palanta. Zimą i w deszczowe dni pozostawano w klasie, wykonując ćwiczenia gimnastyczne.

Drogę do szkoły prawie zawsze odbywano pieszo. Czasem zdarzało się,

że uczynny gospodarz, jadący w tę samą stronę, pozwalał wsiąść na wóz, częściej jednak nie, a tych, którzy próbowali wskoczyć, bił batem po rękach.

Lekcje w szkołach odbywały się przez sześć dni w tygodniu, a wobec nauczycieli obowiązywało absolutne posłuszeństwo. Uczniowie stwarzający problemy wychowawcze otrzymywali kary cielesne.

Najczęściej byli bici „po łapie” linijką i drewnianym piórnikiem, czasem wykręcano im uszy. Rodzicom nikt się nie skarżył i nie zdarzało się, aby rodzice mieli nauczycielom za złe stosowanie kar cielesnych.

Trudność utrzymania się wyłącznie z pracy na roli i bliskość Wrocławia spowodowały, że wieś zamieszkiwali w większości tak zwani chłoporobotnicy. Zwykle zawodowo pracowali tylko mężczyźni, a kobiety zajmowały się prowadzeniem domu. Dojazdy do miasta i praca zajmowały praktycznie cały dzień, dlatego większość czynności w gospodarstwie musiały wykonywać panie. Prano ręcznie, używając tarki, balii lub wanny i wiórków szarego mydła. Białe rzeczy gotowano w ocynkowanych kotłach, mieszano je drewnianą kopyścią, używano mąki ziemniaczanej do krochmalenia i prasowano żelazkami z duszą, a później elektrycznymi.

Pierwsze powojenne lata były bardzo niespokojne. Często zdarzały się napady rabunkowe z bronią w rękę, kradzieże kur, bydła, końskich ogonów i grzyw. Z tych powodów, ale i na wszelki wypadek nierzadko trzymano w domu broń, dobrze ukrytą przed milicją i dziećmi. Obowiązkowe były społeczne nocne warty patrolujące wieś. Brało w nich udział dwóch lub trzech kolejno wyznaczanych gospodarzy. W długie zimowe wieczory łątano i cerowano worki. Spotykano się również na pierzakach, czyli wspólnym darciu gęsiego pierza na poduszki i pierzyny.

Rok 1948

Julia i Natalka szły po krowę pasącą się na łące pod lasem.

– Zobacz, córeczko – Julia przystanęła, pokazując złożone snopki pszenicy. – Stoją równo jak wojsko.

Dziewczynka, która skończyła już pięć lata, kiwała głową, a jej ciemniejące z roku na rok włosy opadały rytmicznie na ramiona. – Tak, mamusiu, jak wojsko – powtórzyła. Pochyliła się nad skrajem ścierniska i czemuś uważnie przyglądała. – Co to jest, mamusiu? – zapytała zdziwiona.

– To konik polny. Duży, prawda?

– Tak, mamusiu – dziewczynka podniosła się i zaczęła tańczyć, obracając się dokoła. Nagle znieruchomiała i wyciągnęła rękę w stronę wsi. – Pan listonosz idzie, pan listonosz idzie! – zawołała głośno.

Polną drogą od strony Karlikowa rzeczywiście zbliżał się Tkaczuk. Szedł powoli, z trudem pchając rower.

– A dzisiaj jest coś dla nas? – zapytała Julia, kiedy był już blisko. – Już od dawna listów pan nie przynosi. Ładnie to tak?

– Jest – zdawkowa odpowiedź zwykle rozmownego listonosza zdziwiła ją. – Polecony. Niech panienka podpisze.

Tkaczuk wręczył list i oddalił się w pośpiechu, bez słowa pożegnania.

– Obraził się, czy co? – Julia wzruszyła ramionami.

– Czy tatuś do nas napisał, mamusiu?

– Nie, nie tatuś, córeczko – uważnie przyglądała się kopercie. – To Czerwony Krzyż.

– Mamusiu – Natalka zmarszczyła czoło – przecież nie ma czerwonych krzyży.

Kiedy weszły do domu, Julia natychmiast otworzyła kopertę. Szybko przebiegła wzrokiem krótki tekst i zamknęła oczy.

– Boże, Boże! – powtarzała bez przerwy.

Rok 1952

Radiofonizacja wsi przebiegła sprawnie. Dwie brygady wkręcały izolatory w drewniane słupy poniemieckich linii telegraficznych, montowały je w ścianach domów i rozciągały między nimi stalowe druty. Głośniki, z których wszyscy odbierali ten sam program, ludzie otrzymali za darmo. We wsi cieszą się, że władza ludowa dba o swoich obywateli.

Julia i Elżbieta siedziały przy stole. Natałka odrabiała lekcje w sąsiednim pokoju, a z głośnika słychać było kapelę Feliksa Dzierżanowskiego.

– Musisz wziąć się za siebie – Elżbieta położyła dłoń na ramieniu sąsiadki. – Do pracy jakiejś byś poszła, żeby pieniądze na pierwszego były. Na gospodarce robota ciężka, a zarobek niepewny. No i męża znaleźć powinnaś koniecznie. Młoda jesteś, całe życie przed tobą, a samej ciężko.

Kapela skończyła granie, spiker spóźniał się z zapowiedzią następnej audycji i w kuchni zapanowała cisza.

– Dlaczego tak się stało, powiedz, dlaczego? – Julia miała łzy w oczach. – Banderowcy go nie zabili, wojnę przeżył, a polski sąd na śmierć go skazał. Tyle lat minęło, a ja ciągle nie mogę w to uwierzyć.

Informujemy obywatelkę, że 18.08.1947 wyrokiem Sądu Wojskowego w Rzeszowie obywatel Jakubowski Michał, syn Macieja i Herthy, urodzony w Rybakach w ZSRR 12.10.1919 roku, został skazany na karę śmierci za próbę zabicia radzieckiego oficera.

Treść tego listu pamiętała tak dobrze, jak słowa modlitwy *Ojcze Nasz*.

– Przecież go nie zabił, bo napisaliby, że za zabójstwo – powtarzała kolejny raz.

– No masz, a ona ciągle swoje – Elżbieta kręciła głową. – Zapomnij o tym, tak będzie lepiej. Było, minęło, a ty myśl, jak sobie życie ułożyć. Dobrze wiesz, jakie są teraz czasy. Swoich myśli człowiek się boi, a co dopiero głośno o tym mówić. W Szczepanowie spółdzielnię zakładają – mówiła łagodnie. – Na pewno jakaś praca dla ciebie będzie.

Rok 1953

Julia rozpała ogień i wstawiła do gotowania mleko z porannego udoju. Pracę w spółdzielni zaczynała o ósmej i powoli szykowała się do wyjścia. Wcześniej jednak chciała ugotować zacierkę, którą bardzo lubiła Natałka. Głośnik włączyła z przyzwyczajenia. Zdziwiła się, że zamiast słownej audycji, jaką zawsze o tej porze nadawano, usłyszała żałobną muzykę. Dokładnie o siódmej muzyka umilkła.

– Przestało bić serce współbojownika i genialnego kontynuatora dzieła Lenina, mądrego Wodza i Nauczyciela Partii Komunistycznej i narodu radzieckiego – grobowym głosem informował spiker. Z jego dalszych słów wynikało, że zmarł Józef Wissarionowicz Stalin.

Nie wiedziała, dlaczego odeszła od kuchni. Kiedy wychodziła z domu, poczuła woń spalenizny. To mleko wykipiało na kuchenny blat.

W środku wsi spotkała kilku mężczyzn. Kitman, Nowak, Zawadka, Chwedoruk i Dejak stali obok sklepu i półgłosem ze sobą rozmawiali.

– Wie pani, że Stalin umarł? – twarz Zawadki nie wyrażała żadnych emocji.

– Wiem – kiwnęła głową. Kitmana i Nowaka znała dobrze. Zawadkę, ojca Tomasza, trochę. O Chwedoruku i Dejaku niewiele wiedziała. Chwedoruka z żoną i dwójką dzieci przywiozło wojsko w 1947 i ludzie we wsi mówili, że to banderowiec. Na początku dokuczano im, raz nawet ktoś wybił okno, ale w końcu dano spokój. Dejak przyjechał rok później z jakiejś kieleckiej wioski. Miał żonę i pięcioletniego syna, a w Karlikowie nabył kilkuhektarowe gospodarstwo. Był człowiekiem małomównym, zamkniętym w sobie, ale uczynnym. Teraz wszyscy oni stali zagubieni, tak jakby umarł ich własny ojciec.

Środkiem drogi na starej poniemieckiej damce jechał Tkaczuk. Już z daleka przyjaźnie machał ręką, a w końcu zatrzymał się, oparł rower o płot i dołączył do zebranych.

– Co, polskim węglem się udławił? – zapytał zaczepnie i wszyscy w jednej chwili zamilkli. – Może nieprawda, co? Węgiel do Ruskich idzie, a my w domach marzniemy! Do dupy z taką polityką! – wsiadł na rower i odjechał.

Julia nakrywała stół do kolacji, kiedy rozległo się głośnie pukanie.

– Kto tam? – zapytała.

Podeszła do drzwi. Zostawiony w nieładzie obrus zsunął się na podłogę.

– Otwórz, to ja, Elżbieta – usłyszała.

Przekręciła klucz i sąsiadka weszła do sieni. Była cała przemoczona.

– Co za okropna pogoda – mówiła, strzepując z rękawów wilgotne płatki śniegu. – Deszcz ze śniegiem pada.

Zdjęła płaszcz i czapkę.

– Chodź do kuchni – Julia powiesiła płaszcz na haku. – Będzie nam ciepłej.

Elżbieta usiadła i przez chwilę przyglądała się Natalce, która przy naftowej lampie odrabiała lekcje.

– Wzrok dziecko straci – powiedziała z wyrzutem. – Kiedy wreszcie będziecie miały prąd?

– W energetyce mówili, że w czerwcu – Julia podniosła obrus z podłogi. – To tylko trzy miesiące.

– Oby, oby – Elżbieta przysunęła się bliżej. – UB Tkaczuka zabrało – szepnęła. – Godzinę temu.

– Tkaczuka? A za co?

– A skąd to mogę wiedzieć? Takie teraz czasy, że za byle co biorą.

– Jeszcze rano z nim rozmawiałam – Julia nie mogła uwierzyć w słowa Elżbiety. – Do Szczepanowa jechał i przed sklepem się zatrzymał. Mówił, że Stalin polskim węglem się udławił i... – nie dokończyła zdania. – Jezu kochany! – złapała się za głowę. – Ktoś musiał na niego donieść.

Świetlica w Karlikowie, w której przed wojną odbywały się zebrania, wesela i zabawy, nie zmieniła swojej funkcji także po wojnie. Duża sala służyła do zabaw, ustawiania biesiadnych stołów albo ławek i krzeseł, kiedy we wsi pojawiał się ktoś znaczący.

Ogłoszenie wiszące przed sklepem i prośba, jaką z ambony wygłosił ksiądz Władysław, sprawiły, że w świetlicy zebrała się niemal cała dorosła społeczność Karlikowa. Na scenie stał stół przykryty czerwonym suknem, za którym siedzieli trzej nieznani nikomu mężczyźni. Kiedy jeden z nich powstał, na sali zapanowała cisza.

– Obywatelki i obywatele – zaczął ochryłym głosem nieznajomy. – 6 marca odszedł od nas wielki człowiek, towarzysz Józef Stalin. Zostawił w żałobie i smutku swój naród i swoją ojczyznę. W tej żałobie i w tym smutku z wielkim narodem radzieckim łączy się cała Polska. Łączą się ludzie wsi i miast, chłopi, robotnicy i inteligencja. Łączą się, rozumiejąc, że odszedł ich przyjaciel i ojciec – prelegent, walczący z coraz większą chrypką, nagle zaniemówił. Jeden z jego towarzyszy podał mu szklankę wody. Wypił całą i mówił dalej: – Czy jednak wszyscy z nas pograżyli się w żałobie? Czy wszyscy wiedzą, jakim nieszczęściem dla całego świata jest śmierć wielkiego Józefa Stalina? Czy wszyscy go opłakują? – zamilkł i uważnie przyglądał się zebranym. Ludzie, zwłaszcza ci siedzący najbliżej sceny, niepewnie spoglądali na siebie. – Otóż nie, nie wszyscy! – prelegent zaciśniętą pięść z wyciągniętym palcem wskazującym skierował gdzieś do środka sali, czym wprowadził wśród ludzi tam siedzących spore zamieszanie. – Są wśród was ludzie podli! Są wśród was ludzie niegodni bycia obywatelami Polski Ludowej – uderzył pięścią w stół. – Są wśród was burżuazyjni szpiegowie, którzy wysługują się amerykańskim imperialistom. Są wśród was ludzie, którzy cieszą się ze śmierci towarzysza Stalina, którzy obrzucają go oszczerstwami, obwiniają o przejściowe kłopoty, z jakimi boryka się nasza umęczona przez wojnę ojczyzna! Takich ludzi trzeba eliminować, o takich ludziach trzeba informować partię! – prelegent znowu zachryplł i ratował się kolejną szklanką wody. – Wasz sołtys i listonosz, człowiek, któremu zaufaliście, był takim szpiegiem! – rękawem marynarki wytarł usta. – Był, ale już nie będzie i to przez długie lata. Za obrazę towarzysza Stalina i lżenie władzy ludowej został skazany na osiem lat więzienia.

Przez salę przetoczył się pomruk niedowierzania i niezadowolenia, który prelegent w jednej chwili przerwał, uderzając otwartą dłoń w stół.

– Kto z was chce bronić sługusów Ameryki? – wodził wzrokiem po sali. – No śmiało, są tacy? Budujemy komunizm – mówił już spokojnym głosem. – Budujemy ustrój sprawiedliwości społecznej, bez panów i wyzyskiwaczy. Musicie w tym dziele wspierać władzę ludową. Musicie piętnować takich

ludzi jak Tkaczuk.

„Kto doniósł na Tkaczuka?” – to pytanie towarzyszyło Julii w drodze powrotnej do domu. „Zawadka, Kitman, Nowak, Chwedoruk i Dejak. Który z nich?”. Przypominała sobie zebranie przed sklepem. Pamiętała, że po słowach Tkaczuka wszyscy nagle zamilkli, a kiedy listonosz odjechał, rozeszli się bez słowa. Była pewna, że jeden z nich doniósł.

Julia i Natalka jadły kolację, kiedy rozległo się gwałtowne pukanie.

– To ja, Stefan – usłyszały zza drzwi. – Szybko, otwórzcie.

Nowak wbiegł do sieni i natychmiast zamknął za sobą drzwi. Oparł się o ścianę i z trudem łapał powietrze.

– Dejaka zabili – mówił. – Ludzie gadają, że bandyci są we wsi. Zamknijcie drzwi i nigdzie się nie ruszajcie.

– Jezus Maria! – Julia chwyciła go za ramię. – Mów, kiedy to się stało?

– Godzinę temu. Przez okno strzelali i w brzuch dostał. Ludzie mówią, że bogaty był, chociaż żył skromnie.

– Jak bogaty, to pewnie byli złodzieje.

– Tak mówią, że złodzieje – Nowak kiwał głową – ale nic nie ukradli. Musiał ich ktoś wystraszyć. Karetka do Trzebnicy go zabrała, bo żył jeszcze. We wsi pełno milicji, dom po domu przeszukują. W Karlikowie czegoś takiego jeszcze nie było. No ale na mnie już czas. Do domu wracać muszę. Elżbieta boi się i dzieci też, chociaż duże już są. Zimno u was – zatrzymał się przy drzwiach. – Rozpał w piecu, bo wieczór długi, a na dworze wiatr i deszcz ze śniegiem. Jeszcze się pochorujecie.

Julia zamknęła drzwi na klucz i dla pewności na zasuwę.

– Ja też się boję, mamusiu – Natalka objęła ją w pasie. – I zimno mi.

– Zaraz rozpalę – gładziła córkę po twarzy. – Nie masz gorączki? – zaniepokoiła się. – Czoło takie ciepłe...

– Nie mamusiu, nie mam, tylko się boję.

Jej uwagę zwrócił dziwny hałas dobiegający z zewnątrz. Uwolniła się z objąć córki, ale zanim podeszła do okna, rozległo się gwałtowne łomotanie do drzwi.

– Otwierać! Milicja! – krzyczał ktoś.

– Nie otwieraj, mamusiu – Natalka przywarła do niej całym ciałem i rozplakała się.

– Otwierać, bo wyłamiemy drzwi!

Posadziła córkę przy stole i wyszła do sieni. Ledwie otworzyła drzwi, do domu wpadło trzech milicjantów z pistoletami w rękach. Dwaj od razu pobiegli na górę, a trzeci w stopniu kaprała rozglądał się po kuchni.

– O co chodzi? – Julia przytuliła Natalkę. – Kogo szukacie?

– Człowieka we wsi zastrzelili – kijem od szczotki milicjant odchylił narzutę i kłuł przestrzeń pod łóżkiem. – Bandytów szukamy. Kto dzisiaj był u was?

– Stefan Nowak, nasz sąsiad. Niedawno stąd wyszedł.

– Nie o niego nam chodzi! – kaprał machną ręką. – Pytam, czy kogoś obcego nie było!

– Nie. Nie było.

– Sprawdziliśmy wszystkie pomieszczenia, towarzyszu dowódcu – milicjanci przeszukujący dom weszli do kuchni. – Nie ma nikogo.

– Psiakrew! – kaprał wsunął pistolet do kabury. – Cała wieś przeszukana. Przepadli jak kamień w wodę.

Chodził po kuchni, bez przerwy kręcąc głową, a w końcu dał znak do wyjścia.

– Gdybyście coś zauważyli – zatrzymał się w sieni – natychmiast meldujcie! I pamiętajcie, że władza ludowa nie ma litości dla tych, co ukrywają bandytów. Szkoda by było, żeby taka śliczna dziewczynka została sama – spojrzał na Natalkę.

Wiatr, który przez cały dzień wciskał się przez drzwi i okna do domu, pod wieczór osłabł. Julia i Natalka powoli dochodziły do siebie po przeżyciach, jakich dostarczył im dzisiejszy dzień.

– Zimno mi, mamusiu – dziewczynka skuliła się na kanapie. – Rozpal w piecu.

– Dobrze, córeczko – Julia uśmiechnęła się. – Już idę po to drzewo.

Założyła wełniany beret, okręciła szyję długim szalem i z wiklinowym koszem wyszła na dwór. Natychmiast ogarnęły ją ciemności. Chwilę trwało, zanim zobaczyła niewyraźne kontury stodoły i przylegającej do niej szopy. Powoli ruszyła w jej stronę, ostrożnie stawiając nogi. Bała się.

Drzwi szopy zaskrzypiały i otoczył ją zapach wyschniętego świerkowego drewna. Wokół panowała cisza, ale coś podpowiadało jej, że nie jest sama w tym pomieszczeniu. Ogarnęło ją przerażenie.

– Kto to? – zapytała drżącym głosem, kiedy usłyszała jakiś szmer, którego nie umiała zidentyfikować. – Kto tutaj jest?

Cofała się powoli, z ręką wysuniętą do tyłu, usiłując odnaleźć drzwi. Zrobiła jeszcze krok i nagle poczuła silny uścisk na szyi. Nim zdążyła krzyknąć, mocna dłoń zakneblowała jej usta. Próbowwała się wyrwać, kopiąc i zadając ciosy łokciami, ale napastnik nie zwalniał uścisku.

– To ja, Tomek Zawadka – usłyszała znany dobrze głos. – Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Jej opór natychmiast ustał, a gwałtowność przeżyć sprawiła, że odwróciła się nagle, zarzuciła mu ręce na szyję i wybuchła płaczem.

Gładził i całował jej włosy, przyciskał mocno jej drżące ciało. – No już dobrze, nie płacz – prosił łagodnie. – Czy oni już poszli?

– Kto? – Julia pociągała nosem.

– Milicja i wojsko.

– Poszli. A ty, to znaczy oni... – nie dokończyła zdania.

– Mam do ciebie prośbę – nie podjął tematu. – Tutaj jest list do księdza Władysława, ale musisz przekazać go bez świadków. Zaraz pójdę. Uważaj na siebie – mocniej uściśnął jej dłoń.

– A wtedy kolacja na ciebie czekała – wtuliła się w jego ramiona. – Nie przyszedłeś.

– Nie mogłem – ujął w dłonie jej twarz i pocałował w usta. – Naprawdę

nie mogłem. Przepraszam.

W Karlikowie zmarłych darzono największym szacunkiem. Trudno powiedzieć, czy było to wynikiem przekazywania tych uczuć z pokolenia na pokolenie, czy też obawy przed śmiercią i tym, co każdego po niej czeka. Wszyscy wierzyli, że zmarły zna już tę tajemnicę i trochę mu zazdrościli, dlatego w pogrzebach zawsze brało udział wielu ludzi. W przypadku Dejaka dodatkowym powodem, który zgromadził niemal całą wieś, była gwałtowna śmierć, jaka go spotkała. Ksiądz Władysław, zwykle wychwalający mniej lub bardziej zasłużenie cnoty zmarłego, tym razem ograniczył się do zdawkowych słów o życiu i śmierci, po czym szybko opuścił cmentarz. Kitman, Nowak i Chwedoruk wprawnie zasypywali trumnę, a na koniec uformowali ziemny kopczyk, w który wbili drewniany krzyż. Ludzie powoli rozchodzili się do domów.

– Młody był – mówiła do sąsiadki jedna ze starszych mieszkanek Karlikowa. – Ledwie trzydzieści років skończył. Bogactwo go zgubiło.

– Jakie tam bogactwo! Tać on od was biedniejszy.

– Ode mnie? Być nie może. Ludzie mówią, że złoto zakopane w ziemi miał, a do złota bandziorów ciągnie.

– E tam – kobieta machnęła ręką. – Inne znowu mówią, że zamężną kobitę w Szczepanowie miał i mąż go zastrzelił, ale kto to wiedzieć może, jak naprawdę było?

Julię cały czas dręczył niepokój. Dejaka, Tomasza i księdza Władysława łączyła jakaś tajemnica, której nie potrafiła odgadnąć. Im dłużej o tym myślała, tym więcej dramatycznych i coraz mniej zrozumiałych scenariuszy podsuwała jej wyobraźnia.

„List, list” – powtarzała w myślach. „Muszę oddać ten list”.

Wiklinowy kosz wyłożyła sianem, włożyła dwadzieścia jajek i przykryła je lnianą serwetką. List, schowany dotąd głęboko w kredensie włożyła za bluzkę, którą zapięła pod samą szyję.

– Wrócę przed wieczorem – oznajmiła córce i wyszła. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitała księdza w drzwiach plebanii.

– Na wieki wieków. A co ciebie tu sprowadza? – ksiądz Władysław stanął z boku, gestem dłoni zapraszając do środka.

Weszli do przestronnego pomieszczenia, które pełniło funkcję jadalni i kancelarii jednocześnie.

– Usiądź, proszę – ksiądz odsunął masywne krzesło z wysokim oparciem.

– Dziękuję, to znaczy Bóg zapłać.

– „Bóg zapłać” czy „dziękuję”, wszystko jedno – proboszcz uśmiechnął się. – Jedni tak mówią, drudzy tak.

– Mszę za duszę męża chciałam zamówić.

– Rocznicą śmierci?

– Nie wiem. Skazali go na śmierć w czterdziestym siódmym. To już sześć lat – zamyśliła się.

– To już sześć lat – powtórzył jak echo kapłan. – Sama widzisz, jak czas szybko płynie, a ty młoda jeszcze jesteś. Nie myślałaś o małżeństwie? Samej w życiu ciężko.

– Nawet bardzo! – rozplakała się. – Nie wie ksiądz, jak bardzo.

– Przepraszam – ksiądz Władysław uniósł dłoń jak do błogosławieństwa.

– Mnie też się zdarza powiedzieć coś niewłaściwego. Raz jeszcze przepraszam.

– Jajka przyniosłam – pociągała nosem. – To za mszę.

W każdej wsi na Wielkanoc święcono pokarmy. Święcenie odbywało się w kościele, a jeśli kościoła nie było, swoje mieszkanie udostępniał któryś z gospodarzy. Za posługę czasem płacono niewielkie pieniądze, jednak ludzie byli biedni, więc najczęściej dawano jajka. Bywało tak, że po święceniu ksiądz zabierał ze sobą kilkaset jajek.

– Jajka za mszę – powtórzył ksiądz Władysław. – Tak, oczywiście, to znaczy niepotrzebnie. U ciebie w domu bieda.

– Bieda, ale kur trochę mam i jajek nie brakuje, to przyniosłam. I jeszcze list od Tomasza.

– Od jakiego Tomasza? – ksiądz złapał ją za rękę.

– No, Zawadki – zdziwiła się. – Innego Tomasza w Karlikowie nie było.

– Boże, Boże – ksiądz Władysław ukrył twarz w dłoniach. Widać było, że wiadomość przekazana przez Julię wywarła na nim olbrzymie wrażenie i że nie umie sobie z tym poradzić. Nagle wstał, zasłonił okna i zamknął drzwi na klucz. – Gdzie go widziałas? – zapytał.

Kiedy opowiedziała o wszystkim, co spotkało ją w dniu, w którym zginął Dejak, ksiądz osunął się na fotel. Siedział wtulony w pluszowe oparcie, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Zdawał się zapadać w sobie, kurczyć tak, jakby chciał jak najszybciej zniknąć.

– Boże, Boże – powtarzał bez przerwy.

– Co się stało? – zapytała drżącym głosem. – Czy może mi ksiądz wyjaśnić?

– Tak, mogę – odpowiedział bezwiednie. Nagle spojrzął na nią wzrokiem, w którym były strach i determinacja. – Nikomu o tym nie mówiłaś? – zapytał ostro.

– Nie, to znaczy o czym?

– O spotkaniu z Tomaszem i o liście.

– Nie, ale nic z tego nie rozumiem.

– To dobrze. Im mniej wiesz i rozumiesz, tym lepiej. Lepiej dla wszystkich

Dzień był słoneczny, ale chłodny. W powietrzu unosiły się białe nitki babiego lata i zapach kartoflanych łętów, palonych poprzedniego dnia na polach. Ludzie szli na sumę do Szczepanowa. Rozmawiali, a jedynym tematem było aresztowanie kardynała Wyszyńskiego.

Wiadomość, którą pierwszy z Wolnej Europy usłyszał Zawadka, przekazywana szeptem z ust do ust, lotem błyskawicy obiegła całą wieś. Ludzie nie wiedzieli, dlaczego i gdzie więziony jest prymas, dlatego liczniej niż zwykle szli do kościoła, wierząc, że ksiądz Władysław wszystko im wyjaśni. On jednak, podczas kazania nie odezwał się o tym ani słowem i ludzie byli zawiedzeni.

Suma zbliżała się ku końcowi i kiedy wszyscy uklękli, czekając na błogosławieństwo. Ksiądz Władysław niespodziewanie zabrał głos.

– Drogie siostry, drodzy bracia w Chrystusie Panu – zaczął drżącym głosem. – Tydzień temu władze państwowe uwięziły naszego prymasa, człowieka prawego i szlachetnego. Nie wiemy, gdzie on teraz jest, ani jaki los gotują mu komuniści. Pomódlmy się za prymasa, aby Pan dał mu siłę wytrwania i zesłał Anioła Stróża, który uchroni go od zła. Ale pomódlmy się również za jego prześladowców, aby Pan oświecił ich umysły i aby poznali, że zło czynią.

Ksiądz Władysław uniósł ręce. Spoglądał w sufit, tak jakby wśród starych malowideł dostrzegł tam samego Boga.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie – zaczął modlitwę.

Rok 1954

W latach pięćdziesiątych na wsi często widywano cygańskie tabory. Czasem Cyganie zatrzymywali się w pobliżu wsi na nocleg i wtedy trzeba było dobrze pilnować obejścia. Wchodzili bez pukania i zabierali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Ich szczególnym zainteresowaniem cieszyły się kury.

Tabor rozbił obóz na łące pod lasem, niedaleko domu Julii. Tym razem wędrowcy zatrzymali się na kilka dni, a wiejska plotka głosiła, że ma się odbyć cygańskie wesele. Z okien domu Julii widać było kolorowe wozy, pasące się luzem konie, dymy ognisk oraz ludzi ubranych zwyczajnie i kolorowo. Słysząc było orkiestrę grającą to skoczną, to rzewną muzykę, a wśród instrumentów niepodzielnie królowały skrzypce.

– Chodźmy tam, mamusiu, chodźmy – Natalka tańczyła w rytm cygańskiej muzyki, unosząc w palcach szeroką kolorową sukienkę.

– Jak to? – Julia uśmiechnęła się. – Przecież nikt nas nie zapraszał.

– Ojej, mamusiu – dziewczynka zmarszczyła czoło. – No, tylko tak się drogą przejdziemy.

Od kilku minut stały na skraju drogi i przypatrywały się zabawie.

– No chodź już, idziemy – Julia bezskutecznie próbowała nakłonić córkę do dalszego marszu. – Tak nie wypada.

– Jeszcze trochę popatrzmy, mamusiu.

– No widzisz! – wzięła córkę za rękę, kiedy zobaczyła grubą kobietę podążającą w ich stronę. – Zaraz będziemy miały za swoje.

Twarz Cyganki nie zdradzała żadnych emocji, ale kiedy była blisko, uśmiechnęła się szeroko, pokazując równy rząd złotych zębów.

– Prosiemy paniusie do nas, prosiemy – mówiła przyjaźnie. – Wina weselnego napić się trza za zdrowie młodej pary – pulchnymi palcami chwyciła Julię za ramię i pociągnęła do obozowiska.

Otoczyła je grupa dzieci i młodzieży, uformowana w długi wąż, który w radosnym tańcu przemierzał łąkę. Porwał w końcu Natalkę, ale Julii Cyganka nie puściła. Posadziła ją na ziemi wśród innych kobiet przy dużym

miedzianym garze, zawieszonym nad ogniskiem.

– Zjecie z nami, paniusiu – mówiła, krojąc grubą pajdę chrupiącego chleba. Zanurzyła chochlę w garze i ostrożnie wylała jej zawartość na chleb.
– Jeno uważajcie, bo piekący jak ogień jest – ostrzegała.

Chleb był tak gruby, że ugryzienie go przychodziło Julii z największym trudem. Kawałki mięsa w gęstym, ostro przyprawionym sosie smakowały wybornie.

– Dobre – mówiła z uznaniem. Siedzące obok kobiety potwierdzały jej słowa milczącym kiwaniem głowy.

– Wina też musicie, paniusiu, spróbować – Cyganka podała kubek czerwonego płynu. – Słodkie, żeby i młodym słodko było.

– To też dobre – Julia uśmiechnęła się. – A... – zawahała się przez chwilę.
– A wróżyć wy potraficie?

– Jakżeby nie! – Cyganka obruszyła się. – Każden u nas wróży. Wiedzieć trza, co jutro będzie, co los nam gotuje. Bez wróżenia żyć nie sposób. Ot, widzicie, paniusiu – wyciągnęła spod zapaski poniszczoną talię – karty zawsze przy mnie są. Potasowała karty i podała do przełożenia. – Tylko lewą ręką i do serca – pouczała.

Poślinionymi palcami rozkładała karty na trawie, to figurami do góry, to do dołu. W końcu zaczęła się drapać po okazałym podbródku. – Trzy pany koło was, paniusiu – mówiła wolno. – Jeden młody. Jak letnia gwiazda zabłyśnie i zgaśnie – odkryła kolejną kartę.

– Z drugim ciężki wóz ciągnąć będziesz, całkiem bez miłości. A trzeci – jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – Wielkie namiętności da tobie trzeci, wielkie – powtórzyła z naciskiem. – Twojej córce też wróżbę zrobię – położyła dłoń na ramieniu Julii. – Wiedzieć dziecko musi i ty musisz, co kiedyś ją spotka.

Kiedy pełne wrażeń wracały do domu, zauważyły Elżbietę idącą w ich stronę. Sąsiadka podbiegała co chwilę. Nagle przystanęła obok przydrożnej wierzby i trzymając się za serce, z trudem łapała powietrze. Julia i Natalka przyspieszyły kroku i wkrótce były obok niej.

– Co się stało? – Julia chwyciła Elżbietę za ramiona. – Mów, co się stało?

– UB księdza Władysława zabrało – kobieta przeżegnała się ciężko oddychając. – Godzinę temu.

Przez trzy kolejne niedziele msze w Szczepanowie odprawiali duchowni z Trzebnicy, ale w dniu Wszystkich Świętych pojawił się na plebani ksiądz Jan. Nowy gospodarz był średniego wzrostu, miał około czterdziestu lat, wysokie czoło, a niezbyt gęste, jasne włosy cesał do tyłu. Przyjechał niebieską warszawą, którą sam kierował. Przywiózł ze sobą ładną, może trzydziestopięcioletnią kobietę o imieniu Bogusława i dziesięcioletniego chłopca – Krzysia. Kobiety od razu zauważyły, że mały jest bardzo podobny do księdza Jana.

– Stare odeszło, nowe przyszło – żartował duchowny podczas pierwszego kazania. – Jak to mówią, każda miotła inaczej zamiata. Z tego, co wiem, to sprzątanania będzie niemało, bo to i pijaństwo się szerzy i mężczyźni do kościoła nie chodzą.

Z satysfakcją obserwował kobiety kiwające głowami i wymieniające między sobą pełne jednomyślności spojrzenia.

– Są i tacy, co bez ślubu żyją i w grzechu nieczystości trwają, zgorszenie czyniąc. Kościół i plebania zaniedbane. Pieniądzy na remont skąpicie, a przecież kapłan jak ostatni dziad wyglądać nie może i jak zwierz dziki w norze mieszkać nie powinien – pouczał. – To wszystko musi się zmienić i po to mnie kuria do was przysłała. Jedną rzecz chcę wam jeszcze powiedzieć – zamilkł, czekając, aż ucichną rozmowy wywołane uwagą o skąpieniu pieniędzy. – Wiem, że ksiądz Władysław sam gotował i prał. Może właśnie przez to kościół zaniedbał? Ja na to nie mam czasu, dlatego przywiozłem gosposię. To dobra kobieta. Jestem pewien, że ją polubicie.

Rok 1956

Dzień był słoneczny i ciepły. W sadzie przekwitały wiśnie i jabłonie, a ocalałe od przymrozków kwiaty zawiązywały zalążki owoców. Wśród nich uwijały się pszczoły z pasieki Kitmana.

Julia była w sadzie. Chodziła od drzewa do drzewa, ciesząc się perspektywą bogatego urodzaju, i od pewnego czasu obserwowała drogę, którą od strony lasu zbliżał się starszy, zgarbiony mężczyzna. Szedł, powłócząc prawą nogą. W ręce trzymał kij, którym podpierał się jak laską. Na plecach niósł niewielki tobolek. Kiedy był blisko, zobaczyła znajomą, pokrytą kilkudniowym zarostem twarz.

– Dzień dobry, panienko Julio – usłyszała znany sobie głos i podeszła do parkanu.

– Pan Tkaczuk? – zapytała z niedowierzaniem.

– Tak, panienko – mężczyzna mocno ścisnął jej rękę. Jego oczy w jednej chwili stały się szkliste, a na poszarzałej twarzy pojawił się grymas uśmiechu.

– Listy panience przynosiłem. Amnestia była i z więzienia wracam. Szczęście wielkie, bo jeszcze pięć lat zostało – zaczerpnął powietrza i zakaszał. Stał, trzymając się drewnianych sztachet, i ciężko oddychał. Początkowo krótki kaszel, w jednej chwili zmienił się w gwałtowny atak, którego nie potrafił zatrzymać. Z kącika ust wąską strużką spływała krew.

– Zdrowie mi, panienko, całkiem zabrali – splunął mieszaniną śliny i krwi i wytarł usta rękawem. – Jeszcze trochę i całkiem po mnie by było. No ale na mnie już czas.

Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się.

– Listów to już nosić nie będę, panienko Julio – powiedział. Kiwnął kilka razy głową i wolno ruszył w stronę wsi.

Julia czytała „Przyjaciółkę”, ale coraz bardziej intrygowały ją słowa płynące z głośnika.

– Wierzę głęboko, że okres ten przeszedł w niepowrotną przeszłość –

mówił lekko zachrypły męski głos. – System ten gwałcił zasady demokratyczne i praworządność. Przy tym systemie łamano charaktery i sumienia ludzkie, deptano ludzi, opluwano ich cześć. Oszczerstwo, kłamstwa i fałszywe służyły za narzędzia sprawowania władzy, niewinnych ludzi posyłano na śmierć. Wielu ludzi poddawano bestialskim torturom. Siano strach i demoralizację. Na glebie kultu jednostki wyrastały zjawiska, które naruszały, a nawet przekreślały sens władzy ludowej [1].

Odłożyła gazetę. Potem pospiesznie ubrała się, wzięła „Przyjaciółkę” i wyszła.

Dom Nowaków był zamknięty na cztery spusty. Długo musiała pukać, nim zobaczyła na progu Elżbietę.

– Dzień dobry – powiedziała. – Przyszłam oddać gazetę.

– Wejdz! – w głosie sąsiadki pobrzmiwało zniecierpliwienie. – Słuchamy przemówienia Gomułki. A w Wolnej Europie mówią, że Rusczy na Warszawę idą.

Teraz słuchali przemówienia we trójkę, komentując między sobą od czasu do czasu.

– Cicho... – Julia nagle drgnęła. – Ktoś puka.

Elżbieta podeszła do okna i uchyliła firankę.

– To Natałka – spojrzała na sąsiadkę pytającym wzrokiem.

– Nie wiem, dlaczego przyszła – Julia wzruszyła ramionami.

Kiedy Elżbieta otworzyła drzwi, dziewczynka wbiegła do pokoju.

– Mamusiu! – wołała podekscytowana. – Jakiś pan do nas przyszedł. Mówi, że jest moim tatą.

– A cóż ty, dziecko, opowiadasz? Jaki znowu tata?! – kobieta patrzyła na córkę, niczego nie pojmując.

– To on tak mówił – Natałka wzruszyła ramionami.

– Daj mi wody – Julia spojrzała na Elżbietę – źle się czuję...

Nie mogła utrzymać szklanki w drżących dłoniach.

– Uspokój się – sąsiadka próbowała się do niej łagodnie uśmiechnąć. –

To musi być jakaś pomyłka. Mówiłaś przecież, że on nie żyje.

– Czerwony Krzyż tak napisał...

– A może... – Elżbieta zawiesiła głos. – Szybko, chodźmy tam! To na pewno jakiś zły człowiek! Złodziej, bandyta, a sam w domu został! Dobrze, że Natałka zdążyła uciec! Stefan, ubieraj się.

Biegli całą drogę, zostawiając Julię z tyłu, bo miękkie jak wata nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Kiedy w końcu dotarła, przez uchylone drzwi do kuchni zobaczyła, że Stefan serdecznie się z kimś wita. Nieznajomy był odwrócony tyłem, ale ona tę sylwetkę pamiętała bardzo dobrze.

– Tyle lat, tyle lat – kręciła głową, powtarzając te dwa słowa jak mantrę.

Naprzeciwko niej siedział człowiek, którego przecież kochała, który był ojcem jej dziecka. To na jego listy czekała, to z jego powodu widok Tkaczuka pchającego rower zawsze przyspieszał bicie jej serca. Tęskniła do niego, nie wierzyła, że nie żyje, a kiedy stworzyła już świat, w którym jego nie było, nagle wszystko legło w gruzach.

– Byłam pewna, że nie żyjesz. Czerwony Krzyż tak napisał – podeszła do kredensu i wyjęła tekturowe pudełko. Podała mężowi list PCK z datą 1947 roku.

Michał, czytając go, zmarszczył brwi.

– Źle to zrozumiałaś – wolno powiedział, oddając jej kartkę papieru.

– Jak to źle? – zapytała. – Napisali, że skazali cię na śmierć!

– Skazali... – odparł cicho i zawiesił na chwilę głos, spuszczać oczy. Widać było, że cały ten miniony czas odżywa w nim boleśnie, otwiera wszystkie dopiero co zablźnione rany. W jednym momencie przybyło mu lat niczym stuleci pełnych strachu i śmierci. Siedział przed nią starzec, bezradnie próbujący wygładzić fałdy mocno zniszczonych spodni. – Ale wyroku nie wykonali – widząc zdziwienie żony i córki, hardo uniósł głowę. – No co? – zapytał ostro. – Zawiodłem was, że żyję?

– Bzdury opowiadasz! – Julia zamachała rękami.

Siedzieli po przeciwnych stronach stołu z opuszczonymi głowami, tylko

Natalka tuliła się do matki, nie przestając przyglądać się ojcu.

– Przepraszam, nie chciałem – pierwszy przerwał milczenie. – Wtedy, w 1946, kiedy zabrali mnie z transportu – nie podnosił głowy – zostałem przydzielony do grupy dywersantów. Kilku nas było. Chyba z pół roku nas szkolili, a potem dali zadanie – podniósł głowę, a jego wzrok spotkał się na krótko ze spojrzeniem Julii. – W Bieszczadach miałem przeniknąć do banderowskich oddziałów – przerwał i miarowo kiwał głową, przypominając sobie miesiące szkoleń i wędrówkę przez górskie bezdroża. – Złapali mnie i nożem tryzuba na plecach wycięli.

– Jezu drogi! – wyrwało się Julii. – Banderowcy?

– Nasi! – zacisnął pięść.

– Jak to nasi? – nie mogła zrozumieć. – Dlaczego nasi?

– Banderowcy nikomu nie ufali. Gdyby odkryli, kim naprawdę jestem, zabiliby mnie od razu. No, może nie od razu – poprawił się. – Pewnie umierałbym kilka dni – zamilkł, przywołując w pamięci śmierć brata i Kasi Nowak. – Ale urosłaś – uśmiechnął się do córki. – Taką malutką ciebie pamiętam – uniósł dłoń na wysokość stołu.

Natalka mocniej przytuliła się do matki, zawstydzona tą uwagą.

– Z tym tryzubem to dobry pomysł był – powrócił do przerwane opowiadania – ale niewiele brakowało i wykrwawiłbym się na śmierć – zacisnął zęby i nerwowo bębnił palcami po stole. – Na drugi dzień banderowcy mnie znaleźli. Oni mnie uratowali. Nieufni byli, ale w końcu uwierzyli i Łemkom mnie oddali do wyzdrowienia. Napiłbym się – przetarł palcami wyschnięte usta. – Od rana nie piłem.

– Ja zrobię herbatę, mamusiu – Natalka zerwała się na równe nogi. – Dobrze?

Julia kiwnęła głową i dziewczynka w jednej chwili znalazła się przy piecu.

– Ładna dziewczyna z niej wyrośnie – zauważył półgłosem. – Przed chłopakami...

Julia skarciła go wzrokiem, przykładając palec do ust.

– Później z nimi byłem, no, z banderowcami. Więcej niż pół roku, ale

mówić o tym nie chcę. W każdym razie zadanie wykonałem.

– I za to ciebie na śmierć skazali? Za to medal ci się należał, a nie sąd!

– Proszę tatusiu, pij – Natałka podała herbatę.

– To, że zabrali mnie z pociągu – obracał w palcach kubek – to, że wycięli tryzuba i rozłączyli z wami na tak długo, to wszystko zawdzięczam jednemu człowiekowi – zamilkł na dłuższą chwilę. Widać było, że to, o czym chce powiedzieć nie jest dla niego łatwe.

– W kantynie w Krośnie to było – wsypał cukier i zamieszał. – Siedział przy stoliku i pił wódkę. Był sam. Nie zastanawiałem się ani chwili. Jednemu z oficerów wyrwałem pistolet i ruszyłem w jego stronę. Nie chciałem strzelać w plecy ani w tył głowy. Zamierzałem zabić skurwysyna, patrząc mu prosto w twarz!

– Nie używaj takich słów, proszę – Julia skrzywiła się i przytuliła córkę, zasłaniając jej uszy dłońmi.

– Oficer, któremu zabrałem pistolet, doskoczył do mnie. Inni, widząc, co się dzieje, rzucili się mu na pomoc i przy stoliku wywiązała się szarpanina. Zdążyłem pociągnąć spust, ale tylko przestrzeliłem mu ramię – zamilkł i zacisnął zęby. – A później był sąd wojskowy – mówił już spokojnie. – Za to, co chciałem zrobić, kara mogła być tylko jedna. No i skazali mnie na śmierć. Nie wiem, dlaczego zwlekali z wykonaniem wyroku. W końcu karę śmierci zamienili na dożywocie. Też nie wiem, kto i dlaczego to zrobił, bo ja o litość nie prosiłem. W 1950 dożywocie zamienili na 15 lat, a w końcu ogłosili amnestię. Znałaś go – patrzył na Julię, której twarz powoli stawała się coraz bielsza. – To mój dowódca z Kut, enkawudzista z istrebitielnych batalionów, Izaak Wise – opuścił głowę i miarowo stukał palcami w blat stołu.

Nie zauważył, że Natałka nagle odwróciła się w stronę matki, a w jej oczach malowało się bezgraniczne zdziwienie.

Całe popołudnie i wieczór prawie ze sobą nie rozmawiali. Próbowali, ale rozmowa się nie kleiła.

– Dziesięć lat żyliśmy osobno, tyle się w tym czasie wydarzyło, niewiele o sobie wiemy i nie potrafimy o tym rozmawiać – zamyślił się. – Powiedz, dlaczego tak jest?

Wzruszyła ramionami i wyszła do pokoju. Kiedy zaczęła ścielić łóżko, bardzo się zdziwił.

– To dla mnie? – pytał z niedowierzaniem.

– Tak, dla ciebie – kiwnęła głową.

– Ale przecież... – zawiesił głos.

– Daj mi trochę czasu, proszę – odwróciła się i wyszła z pokoju.

– Z Tkaczukiem jest źle – Elżbieta już w sieni dzieliła się z Julią tą przykrą wiadomością.

– A na dworze wciąż pada – powiesiła płaszcz i weszła do kuchni.

– Co się stało? Siadaj i mów.

– Od kiedy z więzienia wrócił – Elżbieta dyskretnie rozglądała się po domu – to ciągle kaszle i krwią pluje. Tkaczukowa psa zabiła i smalec wytopiła. Gorący był, jak do picia dała. Wypił wszystko, ale nie pomogło. Prawda, pies chudy i mało smalcu było. Sama jesteś? – ściszyła głos.

– Sama – Julia kiwnęła głową.

– W Szczepanowie w ośrodku lekarz Tkaczuka zbadał i skierowanie na prześwietlenie dał. Jak go prześwietlili i jeszcze badania porobili, to wyszło, że gruźlicę ma.

– O Boże – Julia złożyła ręce jak do modlitwy. – Jeszcze tego mu brakowało!

– W Leśnym, w Obornikach teraz jest. Ludzie mówią, że z tego nie wyjdzie. No ale zostawmy Tkaczuka – przysunęła się do Julii. – Jak minęła noc poślubna? – trąciła ją łokciem. – Opowiadaj. Tyle nie byliście razem. Wiesz, tak sobie myślę, że długie rozstanie ma jedną dobrą stronę, bo zbliża ludzi. Nie to, co w moim małżeństwie.

– W twoim małżeństwie? Przecież żyjecie w zgodzie. Nawet ksiądz Władysław dawał was za przykład.

– To wszystko pozory – Elżbieta machnęła ręką. – Tylko pozory. Stefan dobry jest, nie powiem, ale... – szukała odpowiedniego słowa. – No wiesz, pięćdziesiąt osiem lat na wiosnę skończył.

– A ty trzydzieści pięć! No i co z tego?

– Trzydzieści cztery. No wiesz...

– Nie, nie wiem! – Julia zdjęła ze sznurka flanelową ścierkę, polała ją wodą i wykręciła nad zlewem. – Muszę wydoić krowę, nie gniewaj się – zabrała wiadro i wyszła z kuchni.

Od dawna spały już osobno, dlatego Julia zdziwiła się, kiedy w swoim łóżku zastała córkę.

– Posuń się, kochanie – szepnęła, jakby bała się ją obudzić. – Dlaczego nie śpisz?

Natalka nie odpowiedziała, tylko przytuliła głowę do jej ramienia.

– Źle się czujesz?

– Nie – dziewczynka wzięła ją za rękę i przyciągnęła do siebie. – Połóż się, mamusiu, proszę.

Bez słowa spełniła jej prośbę.

– Mamo, chciałam cię o coś zapytać.

– Pytaj. Odpowiem, jeśli potrafię.

– Tato opowiadał o złym człowieku, którego chciał zabić. U nas kiedyś też był wujek Izaak – spojrzała pytająco. – Czy to jego chciał tatuś zabić?

Nagle wydało się jej, że wszystko wokół zaczyna wirować w szalonym pędzie. Stół, krzesła, łóżko, ona i Natalka przemieszczały się z zawrotną prędkością w drodze do nicości.

– Pamiętasz go? – zapytała szeptem.

– Tak, mamusiu.

– Co pamiętasz?

Cisza, która zapanowała, była pełna jej domysłów, niedomówień, obaw i strachu. Zza zamkniętych drzwi pokoju Michała dobiegało stłumione skrzypienie sprzężyn.

– Ładnie grał na organkach, mamusiu.

– Wujek Izaak wyjechał – drżącą dłonią gładziła włosy córki. – Wyjechał i już nie wróci. Zapomnij o nim i nie mów tatusiowi, dobrze?

Rok 1957

Kwietniowy poranek przywitał wiernych niewielkim przymrozkiem, który pokrył łąki srebrzystym szronem, a kałuże ściał lodem. Organista zaintonował *Wesoły nam dzień dzisiaj nastał*, dając tym samym znak do rozpoczęcia procesji. Michał, który w niedziele nie chodził do kościoła, na rezurekcję wybrał się razem z żoną i córką. Julia i Natałka szły w procesji tuż przed nim, kiedy niespodziewanie jego wzrok przyciągnął starszy, kulejący mężczyzna, prowadzony pod rękę przez kobietę będącą w jego wieku. Oboje byli daleko, ale przy starym kasztanowcu procesja skręcała i ta odległość w naturalny sposób musiała się zmniejszyć. Czekał na tę chwilę z niepokojem. Kiedy nadeszła, słowa pieśni utknęły mu w gardle.

– Źle się czuję – szepnął do Julii. – Wracam do domu.

W Karlikowie była dzwonnica. Wymurowana z cegły i otynkowana, stała w miejscu, gdzie od głównej i jedynej szosy, wybrukowanej szarą granitową kostką, odchodziła polna droga na stary poniemiecki cmentarz. Tuż obok dzwonnicy, na niewielkim wzgórku znajdował się obelisk z czarnego granitu, wokół którego rosły cztery dęby. Zawadka od Reitnerów dowiedział się, że obelisk ufundowała i dęby posadziła niemiecka właścicielka karlikowskiego folwarku, której mąż i trzech synów zginęli podczas pierwszej wojny światowej.

Dzwonnica nie miała drzwi, a gruba lina przytwierdzona do dzwonu zwisała swobodnie do samej ziemi. Chociaż stanowiła naturalną pokusę dla dzieci, które lubiły się bawić w tym miejscu, żadne z nich nie odważyło się bez powodu za nią pociągnąć.

Dzwonnica odzywała się jedynie wtedy, kiedy umarł któryś z mieszkańców wsi. Tak było od dnia wybudowania jej przez Niemców, a tę tradycję podtrzymywali Polacy.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! – Julia przeżegnała się, kiedy usłyszała głos dzwonu. „Pewnie Tkaczuk umarł” – pomyślała i nie pomyliła się.

Tkaczuk leżał w skromnej sosnowej trumnie. Był wychudzony, z odcisniętym na twarzy cierpieniem. W złożonych rękach, oplecionych

czarnym różańcem, trzymał poniszczony obrazek – pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej. Tkaczukowa siedziała przy nim. Jedną ręką oparła na jego ramieniu, a drugą przesłoniła twarz i cicho płakała.

– Ojcze nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w Niebie tak i na Ziemi – Gałązkowa rozpoczęła kolejną dziesiątkę różańca.

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, i nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego, amen – kontynuowały kobiety zgromadzone przy zmarłym. Odmówiły cały różaniec, kilka litanii i zaczęły żegnać się z wdową.

– A wie pani, że u nas to całkiem inaczej było? – Julia zagadnęła Luizę Kitman, która zatrzymała się przed domem Tkaczuków.

– Jak było, pani, powiedz – Luiza już całkiem dobrze mówiła po polsku, jednak starała nie używać wyrazów zawierających „r”, z których wymową miała problem.

– Przy zmarłym czuwaliśmy bez przerwy. Nie zostawialiśmy go samego. Kobiety modliły się cały czas, a mężczyźni w pokoju obok grali w karty.

– To mocno gut – Kitmanowa kiwała z uznaniem głową. – Ludzie bać się być sami w takiej chwili. To mocno gut.

Ksiądz Jan odmówił modlitwę i wyszedł przed dom. Tkaczukowa przytuliła twarz do policzka męża i rozplakała się na głos. Ludzie podchodzili do trumny i w ostatnim pożegnaniu dotykali dłoni swojego listonosza.

– Pani Tkaczukowa, chodźmy – Zawadkowa delikatnie ujęła ramię wdowy. – Kiedyś wszyscy się z nim spotkamy.

Czekali przed domem, ale kiedy dobiegł ich odgłos wbijanych gwoździ, wdowa znowu wybuchła spazmatycznym płaczem. – Zabili go! Życie mu zmarnowali – wygrażała pięścią.

Tłum rozstąpił się i w drzwiach ukazali się Chwedoruk, Nowak, Zawadka i Jakubowski niosący trumnę. Zatrzymali się w progu i trzy razy podnieśli i opuścili trumnę. Tak stary Tkaczuk żegnał się ze swoim domem. Trumnę położyli na wozie Kitmana przykrytym czarnym sukniem i zaprzężonym w parę koni. Ksiądz Jan zaintonował żałobną pieśń i kondukt wolno ruszył w

kierunku świątyni. Taka to była tradycja, że w drodze na cmentarz wstępowano do kościoła, aby wspólnie ze zmarłym wziąć udział w ostatniej mszy świętej.

– Żalem wypełnia serca nasze odejście każdego człowieka – ksiądz Jan żegnał starego listonosza. – W takiej chwili zadajemy sobie pytanie, czy można było tej śmierci uniknąć, Zdziwicie się, ale odpowiem, że tak. Wystarczyło po prostu być lojalnym obywatelem.

Michał, Julia i Natałka usiedli do kolacji.

– Nie rozumiem słów księdza – Michał smarował chleb i dzielił się swoimi wątpliwościami. – Co miał na myśli, kiedy mówił o lojalnym obywatelu?

– To stara historia – Julia postawiła na stole dzbanek z kawą. – W 1953, kiedy umarł Stalin, Tkaczuk powiedział, że tamten udławił się polskim węglem. Ktoś musiał donieść do UB i listonosza aresztowali. Osiem lat dostał, trzy odsiedział. Wyszedł po amnestii, ale w więzieniu zachorował na gruźlicę.

– Za śmierć Tkaczuka ksiądz nie wini UB, ale jego samego? Nie wydaje ci się to dziwne?

– Wydaje – przyznała, nalewając kawę. – Turka nie było, to kupiłam Dobrzynkę.

Upił nieco i skrzywił się.

– Nie lubisz Dobrzynki?

– Lubię, ale gorąca.

– Powiedz – zapytał po chwili – kto pomagał nieść trumnę? Stefana i Zawadkę znam, ale tego trzeciego nie. Mówił z takim dziwnym akcentem. Ukrainiec jaki, czy co?

– Zgadłeś, Ukrainiec. Chwedoruk się nazywa. W czterdziestym siódmym przyjechał.

– W 1947?

– Tak. Kilka rodzin wojsko przywiozło, ale jakoś bez głowy to zrobili.

Zamiast razem ich dać, bo miejsce było, to Chwedoruka zostawili u nas, a jedną rodzinę w Ozorkowie. No i chyba do Szczepanowa też kogoś zawieźli – przypomniawszy sobie. – Ludzie mówią, że to banderowcy, ale ja tam nie wiem.

Michał odłożył chleb i odsunął kubek. – To ja już sobie pójdę – powiedział.

– Źle się czujesz?

– Nie, tylko zmęczony jestem. Ten pogrzeb, a zresztą... – machnął ręką i wyszedł do swojego pokoju.

Sierpniowe słońce paliło niemiłosiernie, a na błękitnym niebie nie było ani jednej chmury. Kto mógł, wracał z pola, aby w domu odpocząć po ciężkiej pracy. Michał siedział na ławce w cieniu rozłożystej papierówki, a Julia i Natalka krzętały się po kuchni.

– Co będzie na obiad? – zapytał, kiedy córka wyszła do ogródka.

– Jajka z kartoflami – Natalka usiadła obok niego. – Kartofle ugniecione ze śmietaną i posypane koperkiem. Takie, jakie lubisz, tato. No i kwaśne mleko – uśmiechnęła się. – Zimne, z piwnicy.

– Dobra z ciebie dziewczyna – przytulił córkę – a jaka ładna.

Natalka nie odpowiedziała. Lubiała te ojcowskie przejawy miłości, a on jej ich nie szczędził, starając się nadrobić stracony w więzieniu czas.

– No, muszę już iść, tato – pocałowała go w policzek. – Mama na mnie czeka.

Wyprostował nogi, założył ręce na karku i oddał się błogiemu lenistwu. Obserwował osy krążące nad wlotem do podziemnego gniazda.

Drogą od strony lasu zbliżał się drabiniasty wóz, załadowany wysoko ułożonymi snopkami. Ciągnęły go dwa konie, z których jeden należał do Chwedoruka. Wóz kołysał się, ale dobrze ułożone snopki nie spadały. Woźnica co jakiś czas uderzał lejcami końskie grzbiety. Za nim siedział starszy mężczyzna. Kiedy przejeżdżali obok, Chwedoruk wychylił się w jego stronę.

– Ale grzeje – machnął przyjaźnie dłonią. – A wam w cieniu to dobrze.

– Nawet bardzo dobrze – Jakubowski odwzajemnił powitalny gest. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, uśmiech zniknął z jego twarzy. Tyłem do woźnicy siedział ten sam człowiek, którego widział na wielkanocnej procesji.

Obiad jadł powoli i w milczeniu.

– Nie smakuje ci, tatku? – szczebiotała Natałka. – Wszystko świeżutkie. I jajka, i kartofle, i koperek, i nawet zsiadłe mleko.

– Wiem, córeczko – uśmiechnął się kwaśno. – Wszystko jest smaczne, ale ten upał mnie wykańcza.

Nie dopił zsiadłego mleka. Wytrzeł usta wierzchem dłoni i wyszedł.

Leżał całe popołudnie. Zaniepokojona Julia weszła, aby zapytać, czy nie trzeba wezwać lekarza.

– Nie trzeba – obruszył się. – Samo przejdzie, jak upał minie.

Dręczyła go świadomość, że to spotkanie jest nieuchronne. Zbyt blisko mieszkają i zbyt wiele ich w przeszłości łączyło, aby mogło być inaczej. Wiedział, co wtedy powie. Żona, dziewięć lat więzienia, przyjazd na Ziemię Zachodnie. To wszystko umiał wytłumaczyć i właściwie był spokojny, tylko ta Natałka. W czterdziestym szóstym miała już trzy lata.

– Michał! Michał! – usłyszał wołanie Julii. – Chodź szybko, ktoś do ciebie przyszedł.

Odłożył kosę, a jego wyobraźnia natychmiast przywołała obraz człowieka z procesji, którego kilka dni temu widział na wozie Chwedoruka. Szedł wolno, niczym skazaniec na spotkanie z katem, ale kiedy wyszedł z za domu, odetchnął z ulgą.

– Dzień dobry, sąsiad – Chwedoruk powitał go śpiewnym kresowym akcentem.

– Dzień dobry – uściśnął wyciągniętą dłoń. – Co sąsiada do mnie sprowadza?

– Potrzeba, widzi sąsiad, potrzeba – Chwedoruk rozczesywał palcami

skręcone włosy. – Zboże w sąsieku trzeci tydzień leży, no i omłócić go trza, a ludzi do roboty brak. Dwanaście ludzi trza.

– Aż dwanaście?

– Nu, a jak sąsiad myśli? Do sąsieka dwie, i na młockarnię dwie, liczy sąsiad?

– No liczę, liczę. Razem cztery.

– Nu tak, nu tak – powtarzał Chwedoruk. – Pięć do słomy, nu wiązać i wynosić słomę trza, to dziewięć – dodawał w pamięci. Jeden do worków i do plewów jeden – Chwedoruk prostował kolejne zgięte palce.

– Jeśli to wszyscy, to wyszło jedenaście – Jakubowski podsumował liczenie.

– Nu, jedenaście – Chwedoruk zamyślił się. – Trudno i tyle zebrać. My Łemki ze sobą trzymamy, ale co tam nas jest? Ja tutaj, jedne w Ozorkowie. A, trzy ludzi stamtąd przyjdzie – przypomniał sobie. – Basłaki w Szczepanowie są, ale Makryna chora bardzo, a wnuczka ich mała, to i Dmytro nie przyjdzie. Po świecie nas rozrzucili – kiwał głową. – Wiater liści tak nie nosi, jak nas rozrzucili i pomieszali, sąsiad, pomieszali. Ja koło Gorlic mieszkał, a Basłak Dmytro, na ten przykład, Krosno blisko miał. Ot i prosić Polaków musim, a one przyjsć nie chcą. Mówią, że my banderowce, a to prawda nie jest.

– To mówicie, że Basłak nie przyjdzie?

– Nie, sąsiad, nie przyjdzie. Makryna chora, a dziecko małe.

– Jakie dziecko? – dopiero teraz Jakubowski uświadomił sobie, że Chwedoruk mówi o jakimś dziecku.

– Basłaka wnuczka – Łemek zdziwił się. – Ja przecie mówił, że to wnuczka.

Jakubowski leżał na łóżku i rozmyślał. Im głębiej wnikał w szczegóły sytuacji, w której się znalazł, tym większej nabierał pewności, że przyjazd do Karlikowa był błędem. Nie wiedział, dlaczego Julia traktuje go tak obojętnie. Nie mógł powiedzieć, że o niego nie dbała, bo i opierała go jak przykładna żona, i dobrze gotowała, ale dawne uczucie zupełnie znikło. Nie było

czułości, pocałunków i miłosnych uniesień, które kiedyś ich łączyły. Ciągłe pamiętał jej słowa, że potrzebuje czasu. Zastanawiał się, dlaczego go potrzebuje i czy rok to dla niej za mało.

Z drugiej strony była rodzina Basaków. Słowa Chwedoruka wprowadziły go w świat domysłów i pytań, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Przypomniawszy sobie rozmowę z pułkownikiem Prochorenką. „Polski żołnierz zastrzelił rodzającą łemkowską dziewczynę” – powiedział wtedy pułkownik. Pamiętał, że było to podczas wysiedlania Łemków z Porohatego Wyżnego i że czas się zgadza. Czy to była Katryna? Jeśli tak, to czy dziecko mogło urodzić się po jej śmierci? Chwedoruk mówił, że to wnuczka, ale nie powiedział, że Basaków. Może wychowują inne dziecko? Im dłużej myślał o tym wszystkim, tym więcej miał wątpliwości.

W końcu uznał, że nic nie ma sensu i zmęczony usnął.

– Śpi, mamusiu – Natałka nasłuchiwała pod drzwiami. – Mamo, co jest z tatusiem?

– Nie wiem, córeczko – odpowiedziała niepewnie. Ze wszystkich sił próbowała odpędzić natrętnie powracającą myśl, że ktoś powiedział Michałowi o wizycie Izaaka. – Może jest chory?

– Tak, chyba jest chory – zgodziła się Natałka. – Słyszałam, jak ciocia Ela mówiła do pani Luizy, że tatuś ma chorą duszę.

– Nu, to po robocie – Chwedoruk rozlewał wódkę. – Lepiej poszło, niż spodziewał się ja. Ziarno grube, suche, to i mąka dobra będzie. Na zdrowie – wznosił toast.

Jedli kolację spoceni, zmęczeni i zakurzeni. Ledwie ręce po młocce zdążyli umyć.

– Rad ja bardzo – gospodarz, nie kryjąc zadowolenia, klepał Michała po plecach – że takich sąsiadów mam. We wsi Łemków nie lubią i straszno myśleć mnie było, jak omłoty zrobim. Basaki chore, a Baziuki pogniewali się. Jakby nie wy, to całkiem zboże na zmarnowanie by poszło. Nawet pan Zawadka, chociaż z miasta osiadł, mnie pomagał. A wy co, chore jakie, że jedzenia nie jecie? Świnie zabilim, dobre wszystko, nie stare. Narzekać nie mogę – mówił lekko bełkotliwym głosem – dobre ludzie we wsi są. Jak my

tylko przyjechali, to i dokuczali, i zaczepiali, ale teraz spokojno jest. Basłakom gorzej. Banderowcy na nich wołają, dziewczynkę w szkole od Ukraińców wyzywają, a oni także jak my Łemki są, zwyczajno.

Zjedli, wypili i wychodzili kolejno, żegnając się i umawiając na następne omloty. Michał przepuszczał wszystkich i w końcu zostali sami.

– A rodzice tej wnuczki Basłaków to gdzie są? – zapytał gospodarza.

– O Kasi sąsiad myśli?

– Może. Nie znam jej imienia.

– Szkoda gadać – Chwedoruk machnął ręką. – Szkoda, sąsiad gadać.

– Witajcie sąsiedzie, witajcie – Jakubowski wyciągnął rękę na powitanie.
– Co u was słychać?

– A co też może być słychać? – Chwedoruk przywitał gościa mocnym uściskiem dłoni. – Do chyży zachodźcie, siądziem taj pogadamy.

Weszli do izby, ni to kuchni, ni pokoju. Panował tam półmrok.

– Firanki odsłoń – gospodarz polecił żonie. Chwedorukowa wykonała to polecenie i do środka wpadło nieco światła. Usiedli przy stole na dębowej ławie. – Kartofli wykopać nam trza – schylił się, aby zawiązać but – a ludzi nie ma. – Szlag by cię trafił! – zaklął nagle, podnosząc się ze sznurowadłem w rękę. – Ot, zerwała się cholera jedna! Sznurówka znaczy się.

Ściągnął but, położył go na stole i zastanawiał się, co zrobić.

– A ty durny jaki, czy co? – Chwedorukowa zabrała but i wyszarpnęła sznurowadło. – Gdzie buty na stół kłaść, no gdzie?

– Z babą zadzierać nie ma co – machnął ręką.

– Oj nie ma, nie ma – Jakubowski pokręcił głową. – Ja do was też w sprawie kopania kartofli przyszedłem. Sami z Julią jesteśmy, córka do szkoły we Wrocławiu poszła, a na kopanie już czas.

– Wnet październik – gospodarz patrzył spod oka na żonę. – Nać całkiem uschła, kartofle wyleżałe, to i kopać trza.

– No to może my wam najpierw pomożemy, a później wy nam?

– Może tak być! – twarz Chwedoruka rozjaśnił uśmiech. – Ja także samo myślał i do was miał pójść, bo tu moja – ruchem głowy wskazał żonę – zgodna ze mną.

– A zgodna – przyznała kobieta, podając but.

– O Basłaków dziecko wy mnie kiedyś pytali – gospodarz niespodziewanie zmienił temat rozmowy. – O Kasię, znaczy się.

– A tak, rzeczywiście – Jakubowski przygryzł wargę.

– A wam to wiedzieć po co? – Chwedoruk zmierzył go pytającym wzrokiem.

– Wspominaliście, że dziadkowie wnuczkę chowają, że do omłotów przyjść nie mogli, to pomyślałem o rodzicach, ale zapomnijcie o tym. Wojna była, ludzie ginęli, mnie nic do tego.

– Nie wojna! – Chwedoruk zacisnął pięść. – Po wojnie to było, Dmytro wszystko mnie powiedział.

Chociaż Jakubowski domyślał się, że Chwedoruk dużo wie o rodzinie Basłaków, to słowa, które usłyszał, przyspieszyły bicie jego serca. Domyślał się, co powie Chwedoruk. Bał się tego, ale i bardzo chciał to usłyszeć. Poczul, że ślina wysycha mu w gardle.

– Maj był, czterdziesty siódmy. Porohate Wyżne ich wieś była, od Krosna niedaleko mieszkali. Syna i córke mieli, Katryna jej było. Dziecko rodziła, kiedy wojsko przyszło. Wieś opuścić kazali, a Basłaki nie mogli, bo niby jak? – Chwedoruk zamilkł i patrzył nieruchomym wzrokiem w blat stołu. – Mówić mnie trudno, bo i nieszczęście wielkie Basłaka naszło – kręcił głową. – Młody ten wojskowy był, co Petra i Katryne zastrzelił. Co mu w głowie pomieszało? Mówili, że partyzanci żonę i synów jego zamordowali, że jego pomsta za to była. No ale to nie Basłaki, co one winne?

– Macie rację – Michał przełknął ślinę. – Basłakowie niczemu nie byli winni, to straszna tragedia.

– Straszna – Chwedoruk złożył ręce jak do modlitwy. – Jedne szczęście, że Katryna najpierw dziecko porodziła.

– Jeszcze złączone z nią było – Chwedorukowa, siedząca w rogu izby, odłożyła druty i kłębek wełny – jak ją zabił. Bunt we wsi powstał – wycierała

zapaską wilgotne oczy. – Wojsko trzy dni dać musiało, by pogrzeb należyty był. Później załadowali wszystkich do pociągu i po świecie rozwieźli – zamilkła, kładąc dłoń na ramieniu męża.

– Tak i Basłaki w Szczepanowie znaleźli się. Dziecku chcieli dać Katryna, to ksiądz Władysław sprzeciw zgłosił i Kasia jej dali, znaczy Katarzyna, że niby to samo, co Katryna.

Jakubowski milczał. Poczł bezgraniczną pustkę, która sprawiła, że nie potrafił znaleźć choćby jednego słowa współbrzmiącego z ciszą, która nagle zapadła.

– To od was czy od nas kopanie rozpoczniem? – wyrwał go z zadumy głos Chwedoruka.

– Już powinna być w domu – Julia spojrzała na ścienny zegar. – Może się jej coś stało?

– Pewnie się na pociąg spóźniła – Michał odłożył gazetę. – Do dworca daleko ma, a tramwaje różnie jeżdżą.

– Oby, oby – zmartwiła się. – Zobacz, czy kartofle dla świń uparowane.

Michał podszedł do kuchni i podniósł przykrywkę kotła. Pomieszczenie w jednej chwili wypełniły kłęby pary.

– Gotowe – powiedział, sprawdzając przykrywką miękkość parujących kartofli. Przykrył kocioł, chwycił go oburącz przez szmatę i trzymając przed sobą, był gotów do wyjścia. Julia w pośpiechu otworzyła drzwi. Kiedy wyszedł na ganek, zobaczył odświętnie ubranego Chwedoruka, stojącego przy furtce.

– Dzień dobry, sąsiad – Łemek ukłonił się. – Ja do was sąsiad przyszedł. Zło wiadomość mam.

Do izby wrócił po kwadransie. Położył kocioł przy piecu i dębowym tłuczkiem ugniatał kartofle.

– Czego chciał Chwedoruk? – Julia zainteresowała się ich długą rozmową.

– E, nic takiego – nie przerywał pracy. – Chwedorukowie w

Szczepanowie na pogrzebie byli. Basłakowa umarła.

– I tylko to ci powiedział? Przecież my tych Basłaków zupełnie nie znamy.

Nie odpowiedział. Włożył ugniecione kartofle do wiadra, wsypał otręby, zalał to wszystko pomyjami i zaczął wyrabiać jedzenie dla świń.

– Ale ten chłopak do księdza podobny – Elżbieta wysypała pierze na stół.
– Jak kropla do kropli.

– A mnie się zdaje, że do niej bardziej – Zawadkowa położyła na kolanach garść gęsiego pierza.

– A wy już tam wiecie, że to jego syn jest – Tkaczukowa stanęła w obronie proboszcza.

– Może za gosposię wziął pannę z dzieckiem? Mało teraz takich?

– Pannę to może i wziął, ale dziecko jej zrobił – Chwedorukowa także włączyła się do rozmowy. – Prawda jest, że chłop bez baby długo nie wytrzyma, ale i baba bez chłopca też. Taki Pan Bóg zamysł miał, kiedy świat tworzył. Powiedzieć, żeby o Boguśkę nie dbał, nie można. Dbaj jak mało który o swoją.

– Dbaj, bo ma – Elżbieta wzruszyła ramionami. – Same na tacę dajemy, a i do kieszeni, kiedy po kolędzie chodzi, też. Chrzcziny, pogrzeby wesela. Za wszystko płacić trzeba, to i pieniądze ma.

– Ale obraz Przenajświętszej Pani to ładnie ksiądz Jan od Grzymkowa przyjął – Tkaczukowa próbowała skierować rozmowę na inny, bardziej dla księdza łaskawy temat. – Strażaki ze Szczepanowa na koniach pojechali, a ubrane były odświętnie jak wojsko. I na trąbach grali i bębnie.

– Niedługo i do nas obraz przyjdzie – Chwedorukowa zamyśliła się. – Mój mówi, że największy ołtarz w Karlikowie zrobi. Może nawet ksiądz z ambony pochwali?

– Nie pochwali, pani Chwedorukowa – Julia, która dotąd nie brała udziału w rozmowie, nagle zabrała głos. – Nie pochwali, bo i skąd ma wiedzieć, jaki u was ołtarz będzie? Ksiądz do domów razem z obrazem nie chodzi.

– A wy, Chwedorukowa, to grekokatoliki są – Tkaczukowa spojrzała z wyrzutem na sąsiadkę – to jak wam Przenajświętszą Panienkę przyjmować?

– Prawda – Łemka przerwała skubanie. – Z grekokatolikami prawda, jednakowoż i u nas Panienka też Przenajświętsza jest, to musowo ją przyjąć. Nie pamiętacie, jak na języki ludzie nauczyciela wzięli, kiedy obrazu nie wziął? Pół roku gadali, że kształcony niby, a głupi.

– Oj, nie głupi on, nie głupi – Elżbieta kręciła głową. – Nie mógł przyjąć, bo w partii jest, a komuniści Kościół tępią.

– A do kościoła też nie chodzi – Tkaczukowa nie ustępowała. – No ten nauczyciel nie chodzi, komunista jeden.

– A nie pamiętacie, Tkaczukowa, jak dziecko nocą chrzcili, żeby nikt nie widział? – włączyła się do rozmowy Zawadka.

– Wielkie mi co – Tkaczukowa wykrzywiła usta. – I tak wszyscy wiedzą, a z partii go nie wyrzucili.

– Nie wyrzucili, bo oficjalnie partia nic nie wie. Tam też różni ludzie są, a większość to dla kariery. Na praktyki nierzucające się w oczy patrzą z pobłażaniem, no ale jeśli ktoś się ze swoją wiarą afiszuje, to już nie mogą. Dlatego nauczyciel obrazu nie przyjął.

– Pani Zawadkowa uczona taka – Tkaczukowa nie przerywała darcia – że mnie, prostej babie, pojąć trudno, co mówicie. Jednakowoż ja kociarzy wyrzuciła, a pani nie. Chyba z godzinę u pani byli.

– A byli – Zawadkowa nie zaprzeczyła. – Herbatę im zrobiłam, porozmawialiśmy trochę.

– Chryste Panie – Tkaczukowa przeżegnała się. – Herbatę kociarzom? Ksiądz Jan pędzić na cztery wiatry każe, a pani herbatę dla kociarzy robi? Pojąć tego nie można. No chyba że pani... – przeżegnała się po raz drugi na samą myśl, że Zawadkowa też należy do świadków Jehowy.

– No wie pani! Co innego porozmawiać, a co innego myśleć jak oni. Ksiądz Jan nie powinien mówić, żeby ich przepędzać, bo każdy człowiek wolną wolę ma i wierzyć, w co chce, może. Jak dla mnie ich wiara jest naiwna. Może dzieciom by się podobała, ale jak ktoś myśleć potrafi, to się nie przekona. Ja to całkiem inny problem mam – zasępiła się.

– Jaki? – zapytała któraś z kobiet i wszystkie w jednej chwili przerwały darcie pierza, czekając na słowa wyjaśnienia. Spodziewały się usłyszeć, że może Zawadkowa albo Zawadka chorzy są, albo że Tomasz przyjedzie. A może Zawadka babę znalazł i o rozwodzie myśli, a Zawadkową zgryzota zżera? Tak, to możliwe, bo taka markotna ostatnio się zrobiła.

– Pięćdziesiąt dwa kilo żywca mam odstawić – Zawadkowa rozłożyła ręce. Gęsi puch uniósł się w powietrze. – Skąd wezmę, jak jedną świnie w chlewie mamy?

– Phi – Elżbieta wzruszyła ramionami. – Żaden problem. Kitman z piętnaście świń trzyma. Tylko dwie w roku ubija, a resztę sprzedaje. Z nim niech pani porozmawia. Jak jedną za panią odstawi, to jeszcze panią pochwałą i deputat na węgiel większy dadzą.

– Tak pani myśli? Myśli pani, że będzie chciał?

– Tego to nie wiem, ale tak się w Karlikowie robi, a Kitman na lepsze się zmienił.

– Prawda to. Z Luizą tydzień temu w gremplarni w Grzymkowie byliśmy. Rozmowna taka zrobiła się i wesoła, nie to, co kiedyś. Słowa wyciągnąć z niej nie było można.

– Jak wełnę pani skrempowała, to do Pastuszkowej dać – Tkaczukowa służyła radą.

– Dużo nie bierze, a nitkę tak cieką i równą przedzie, że popatrzeć miło i robić na drutach przyjemnie.

– Chyba skorzystam z pani rady – Zawadkowa uśmiechnęła się. – Rękawiczki wnuczce obiecałam zrobić, to nitka musi być cienka.

– A skąd wy wnuczkę wytrzaśli? – Tkaczukowa aż usta otworzyła ze zdziwienia.

– Jak to skąd? To przecież Tomasza córka.

– Ta z Anglii?

– Ta sama. Cztery latka niedługo skończy, a śliczna taka, że aż miło patrzeć.

– To po ojcu musi mieć – Tkaczukowa uśmiechnęła się kwaśno – nie po

matce. Wasz jej zdjęcie pokazywał.

– Jakie zdjęcie? – Zawadkowa zmarszczyła czoło.

– No tej Angielki. To pani synowej nie widziała?

– Widziałam, widziałam. Ale rękawiczki wnuczce zrobię.

– Z dwoma palcami czy z pięcioma? – Elżbieta tłumiała kichanie.

– Z dwoma – Zawadkowa przycisnęła pierze do fartucha. – A z kichaniem to proszę uważać.

– „Przyjaciółkę” czytałam i z pięcioma palcami umiem robić – Elżbieta rozcierała nos. – Jak pani chce, to mogę nauczyć.

– A ja dom ze szmatów i butelek oczyściła – Tkaczukowa zmieniła nagle temat rozmowy. – A było tego tyle, że garnek, sześć talerzów i sześć kubków ja dostała.

– Chryste Panie – Chwedorukowa załamała ręce. – To szmaciarz we wsi był?

– A był, był. W zaprzeszłym tygodniu jakoś. Musi wy w polu byli, jak go nie widzieli.

Dzieliły się zdarzeniami znanymi, zasłyszanymi i plotkami. Darły pierze, śpiewały, czasem się przemawiały. Szybko nadeszła północ.

Długo walczył ze sobą, ale kiedy podjął decyzję, nie chciał, aby go ktokolwiek widział. Szczepanów spowiły jednak wieczorne ciemności i oprócz kilku psów, które obszczały go z bezpiecznej odległości, nie natknął się na nikogo. Kiedy stanął przed drzwiami, zawahał się. Z niezwykłą mocą odżyły wspomnienia, budząc niepokój, ale też chęć działania. Doszedł do wniosku, że to pokuta za grzechy. Grzechy, których wcale nie żałował.

Zapukał cicho i nasłuchiwał. Za drzwiami panowała cisza. Zapukał mocniej i cofnął się o krok. Zauważył cień przesuwający się za zasłoniętym oknem. Po chwili usłyszał odgłos przekręcanego w zamku klucza. Drzwi zajęczały żałośnie.

– A to kto? – starszy, zgarbiony mężczyzna podniósł naftową lampę i blade, rozedrgane światło padło na twarz Jakubowskiego.

– To ja, Mychajło. Poznaje mnie pan?

Gospodarz opuścił lampę i oparł się o ścianę. Chwilę stał bez ruchu, a w końcu cofnął do sieni. – Zachodźcie do izby – zrobił niezdamny ruch ręką. Lampa zatoczyła dziwne koło.

Izba, jak się okazało, była kuchnią i sypialnią równocześnie. Kafłowy piec, chociaż wygaszony, dawał jeszcze przyjemne ciepło.

– Siadajcie – mężczyzna wskazał drewnianą ławę stojącą przy ścianie. Sam usiadł na stołku, który przysunął do pieca. – Mychajło, mówicie – podniósł z podłogi blaszany kubek. – Nie dziwujesz się, Mychajło, że ja spokojny taki?

Jakubowski nie odpowiadał. Nie wiedział, co na takie słowa powinien powiedzieć.

– Ja swoje przeszedł i Makryna przeszła, jak my w kościele ciebie poznali – Dmytro wolno kiwał głową. – Łatwo nam nie było, nie. Pamięć, jak ty u nas był i Katrunia tobą opiekowała się, przyszła na nas, a smutna taka, aż żalność brała – roztarł palcem łzę. – Chwedoruków znamy, to o was powiedzieli. Że żonę macie, powiedzieli, i dziecko też – zamyślił się. – A Katrunia tak was kochała i złego słowa powiedzieć nie dała, no, ja do was ufności nie miał. Czemu ty nas oszukał, Mychajło? Dziecko twoje czternaście років ma, to kiedy ty do nas przyszedł, trzy miało. Czemu ty nas oszukał?

– Kiedyś panu powiem – Jakubowski gniótł w rękach czapkę – ale nie dzisiaj.

– Kłamałby ja – Dmytro przesunął dłoń po zarośniętej twarzy – że Katrunia szczęśliwa nie była. Była szczęśliwa i takież odeszła, a nam dziecko zostawiła. Kasia na imię my jej dali, że niby po naszymu Katrunia. Katrunia nazwać ksiądz nie pozwolił – smutny uśmiech zagościł na jego twarzy. – Moja pomarła, a ja słaby bardzo. Kasi dopiero dziesięć років przeszło – zamyślił się. – Opiekę dać jej trza i o tobie ja myślał, jednako Makryna jak żyła, zgody dać nie chciała. – On żonę i dziecko ma – mówiła. – Biedy jeno nam i jemu napytasz.

Jakubowski słuchał w milczeniu. Ogarniał go coraz większy niepokój, ale w głębi duszy dziękował Makrynie. Nie wyobrażał sobie, co mogłoby się zdarzyć, gdyby sprawa jego romansu z Katryną i nieślubnej córki stała się powszechnie znana. Nie miał też pojęcia, co będzie z dziewczynką, kiedy

Dmytro umrze.

– Ty, Mychajło, spokojny być możesz – gospodarz zdawał się czytać w jego myślach. – W mieście dobrzy ludzie mieszkają i ja z nimi rozmawiał. Kasię wezmą jak córkę, bo dzieci u nich nie ma. Bogactwo u nich jest i w Kanadu kogoś mają, no, rodzinę jakąś. Ty, Mychajło – zakaszał i przełknął ślinę – baczenie na dziecko miej. Sekretne, inaczej być nie może. Kasia nie wie i miastowi nie wiedzą, że ty jej ojciec jesteś. Także i musi zostać, Mychajło.

– Pani Julio! Pani Julio! – usłyszała znajomy męski głos i odwróciła się zdziwiona. Na drodze stał Zawadka.

– Gdzie tak pani się spieszy? – ledwie łapał powietrze. – Żeby w moim wieku uganiać się za młodymi...

– Pan jak zwykle szarmancki – z zadowoleniem skwitowała komplement.
– Nie taka znowu młoda jestem – odruchowo poprawiła sukienkę. – Trzydzieści trzy lata skończyłam.

– To piękny wiek, pani Julio, a mnie już do sześćdziesiątki niedaleko – Zawadka zamyślił się.

– Ale co my o latach mówimy? Tomek z Londynu list napisał! W Gdyni jakiś marynarz go nadał, no i z żoną bez przerwy czytamy.

– Wiem, że jest w Anglii – kiwnęła głową. – Na pierzaku pana żona powiedziała. Ale do wczoraj nie wiedziałam, że wyjechał z Polski.

– I my nie wiedzieliśmy. Wie pani, jak to jest, kiedy ma się rodzinę za granicą. Dla władzy człowiek od razu podejrzany, a ludzie zwyczajnie zazdroszczą.

– A co u niego słyhać?

– A wie pani, że Tomek pyta o to samo? To znaczy, co u pani słyhać, chce wiedzieć. O nikogo więcej nie pyta, tylko o panią.

Julia uśmiechnęła się. Przypominała sobie wieczór sprzed lat, kiedy czekała na niego z kolacją. Nie przyszedł. Zamiast niego pojawiła się jego matka i powiedziała, że nagle musiał wyjechać. Bardzo żałowała, że to spotkanie nie doszło do skutku.

- Tomek ożenił się z Angielką, pani Julio. Nawet przysłał jej zdjęcie.
- Pokaże mi pan? – zdobyła się na odwagę.
- Pokażę, a jakże – Zawadka gładził palcami brodę – ale... jakby to pani powiedzieć? – skrzywił się. – No, ładna nie jest.

Był grudniowy wieczór. Płatki śniegu padały bezgłośnie na śnieżną poduchę okrywającą mały drewniany domek, stojący pod lasem. W oknach paliło się przyciemnione światło.

Julia podeszła do okna i uchyliła firankę. Zdziwiła się, kiedy na wąskiej dróżce zasypanej śniegiem zobaczyła młodego mężczyznę, ubranego w długi czarny płaszcz, sięgający kolan. Nieznajomy miał na głowie kapelusz z dużym rondem, a wkoło szyi okręcony wełniany szal. Widziała, jak wchodzi na werandę i strzepuje śnieg z rękawów. Po chwili usłyszała pukanie.

Otworzyła drzwi, ubrana w niebieski szlafrok przewiązany paskiem.

– To ty, Tomaszu? – zdziwiła się.

Nie lubiła samotności, dlatego widok znajomego bardzo ją zaskoczył, ale i ucieszył. Mężczyzna patrzył niepewnie. Wyczuła, że nie wie, czy ma odejść, czy zostanie zaproszony do środka.

– Co za niespodzianka! Wejdz proszę – powiedziała.

W małym pokoju, pod jedną ze ścian stała kanapa, a przy niej stolik. W kafłowym piecu buzował ogień, dając przyjemne ciepło. Pod oknem stała komoda, a na niej choinka połyskująca maleńkimi bombkami. Na podłodze leżał gruby wełniany dywan.

Tomasz podszedł do pieca, by rozgrzać zmarznięte dłonie, a ona udała się do kuchni. Wróciła z gorącą herbatą i drożdżówkami z kruszonką. Upięła je po południu i zapach świeżego ciasta unosił się w całym domu. Widziała, że Tomasz z uwagą się jej przygląda. Położyła tacę na stoliku i podeszła do niego. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Zamknęła oczy, wtulając się w jego ramiona. Zastygli w bezruchu, ciesząc się bliskością ciała, ich zapachem i ciepłem. Czuła, jak jej serce rozpoczyna szalony taniec, a ciało przebiegają dreszcze. On też to czuł. Uśmiechnął się, przytulił ją jeszcze mocniej i delikatnie pocałował.

– Nie czujesz chłodu? – zapytała. Podeszła do komody, nad którą wisiał pokojowy termometr. – Piętnaście stopni – oznajmiła. – Mam dla ciebie propozycję – uśmiechała się zalotnie. – Zostań ze mną na noc.

Ubrani we wszystko, co dało się na siebie włożyć, brnęli przez puszysty śnieg.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytał, kiedy las zrobił się tak gęsty, że musieli odsuwać świerkowe gałęzie, gnące się ku ziemi pod ciężarem świeżego śniegu.

– Ciii – położyła palec na ustach. Przytrzymała go za rękę i bez słowa wskazała coś, co znajdowało się przed nimi. Spojrzał w tamtą stronę. W niewielkiej odległości na osłoniętej polanie zobaczył kilka saren. Stały, rozgrzebując śnieg i zagłębiając w nim pyszczki. Co jakiś czas podnosiły łby i rozglądając się uważnie, przeżuwały zmarzniętą trawę.

– Zawsze tam przychodzą – tłumaczyła, kiedy późnym popołudniem wrócili do domu.

Wygarnął resztki popiołu i zabrał się do rozpalania kaflowego pieca.

– Rano powinno być ciepło – zauważył półgłosem.

– To dobry piec – oparła głowę na jego ramieniu. – Ciepło będzie już za godzinę.

Siedzieli w wygodnych fotelach. Czasem rozmawiali, czasem milczeli. Pilnowali ognia.

Obudziła się przykryta kocem. Fotel, w którym siedział Tomasz, był pusty. Zauważyła go dopiero po chwili. Leżał bez ruchu na kanapie, przykryty pierzyną.

Zajrzała do pieca. Po otwarciu drzwiczek dopalające się resztki drewna rozżarzyły się obiecująco. Dołożyła sosnowych polan. „Jeszcze się rozpali” – pomyślała. Zamknęła drzwiczki i wsunęła się pod pierzynę.

Tomasz nie spał. Zmieszana, naciągała koszulę na odkryte piersi, ale kiedy podał jej rękę i przyciągał do siebie – usiadła. Patrzył na nią tak, jak bardzo lubiła. W jego oczach widziała odwagę i nieśmiałość, wstyd i wyuzdanie, spokój i szaloną namiętność. Ekscytowało ją każde z tych zachowań, a on bezbłędnie odczytywał jej oczekiwania.

– Ta noc jest nasza, Julio – powiedział, całując ją w policzek.

– Wiem – szepnęła. – Bardzo na nią czekałam. Tak jak wtedy z kolacją.

Po południu całował ją na pożegnanie. Nie mówił nic, ona też milczała. Stała na werandzie, a kiedy zniknął za zakrętem zasypanej śniegiem drogi, uśmiechnęła się i zamknęła drzwi. Usiadła w fotelu obok ciepłego pieca i zamyśliła się. Pod oknem naprzeciw drzwi stała komoda a na niej mała choinka, połyskująca anielskim włosiem. Zbliżały się święta.

Ze snu wyrwał ją jakiś hałas. To stukanie słyszała już wiele razy, jednak nastrój, w jaki wprawiło ją nocne śnienie, spowodował, że nie potrafiła rozpoznać jego przyczyny. Przykryła głowę pierzyną i wsunęła dłoń między uda, przedłużając senne fantazje.

Kiedy stukanie nie ustawało, wolno zwlokła się z łóżka i ziewając, podeszła do okna. Odsunęła firankę i uśmiechnęła się. Na stołku przy dębowym pniu siedział Michał i klepał kosę.

Ksiądz Jan powoli kończył kazanie. Mówił, że Bogu i mamonie służyć nie można, a że swoim postępowaniem kompletnie temu zaprzeczał, mało kto przejmował się jego słowami. Przeczytał jeszcze zapowiedzi przedślubne i kiedy wydawało się, że zejdzie z ambony, aby w asyście kościelnego przejść z tacą po kościele, nagle zamilkł. Przyglądał się tej części kościoła, którą zajmowały kobiety. Przyglądał się i milczał. Nastrój wyczekiwania natychmiast udzielił się wszystkim i w kościele zapanowała przejmująca cisza.

– Baby jedne! – uderzył nagle otwartą dłonią w ambonę. – Chłopom gacie prać i gary zmywać, a nie plotkować! Wara wam ode mnie! Macie swoje domy, to ich pilnujcie! Plebania nie jest waszym domem i nie życzę sobie, żeby mnie nachodzić. Od jutra wszystkie sprawy będę załatwiał w zakrystii! – przerwał i groźnym wzrokiem lustrował zdziwione twarze kobiet. – Dobrze wiem, kto i co o mnie mówi! Nie zapominajcie, że są chrzty, komunie, wesela i pogrzeby, a ja pamięć mam dobrą! Jeszcze przyjdziecie do mnie, a wtedy pogadamy!

Słowa księdza zrobiły na wszystkich tak duże wrażenie, że po mszy ludzie nie poszli od razu do domów, tylko zostali pod kościołem i rozmawiali w grupkach.

– Chyba ksiądz o naszym pierzaku mówił... – Julia dzieliła się domysłami. – Trochęśmy wtedy poplotkowały, prawda.

– Zawadkowa, Tkaczukowa i Chwedorukowa na pierzaku były – Elżbieta przypominała sobie nazwiska kobiet. – Jak myślisz, która z nich księdzu donosi?

– Może żadna?

– Jak to żadna? – Elżbieta spojrzała pytająco. – Nikogo innego nie było!

– A my? – Julia roześmiała się. – Zapominasz o nas, moja droga!

Kuchnię wypełniał zapach smażonej cebuli i kaszanki, którą z rana przyniosła Elżbieta. Natalka siedziała przy stole i co chwila spoglądała na kuchenny blat.

– Może już wystarczy, mamusiu? – pytała, przełykając ślinę.

– Jeszcze trochę – Julia przewróciła kaszankę na drugą stronę. – Musi się dobrze przysmażyć. Jest gruba i na pewno w środku zimna.

– Ale ja jestem głodna.

– Upływa szybko życie – nagle z werandy dobiegł je bełkotliwy śpiew, przzerwany głośnym rumorem. – Kolano, kurwa mać! – głos z zewnątrz wydał się im znajomy.

– To chyba tato? – Natalka spojrzała pytająco na matkę.

– Nie, to niemożliwe. Przecież tatuś nie pije i nie przeklina.

– Otwieraj, kurwo jedna! – krótką ciszę przerwało łomotanie do drzwi.

– Boże drogi – Julia przeżegnała się – to jednak on.

Michał wtoczył się do kuchni, a wraz z nim bimbrowy fetor, który szybko wypełnił pomieszczenie. Mężczyzna był ubłocony i ledwie trzymał się na nogach. Stanął przy stole w rozkroku, głośno beknął i zaciśniętą pięścią wygrażał Julii. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zatoczył się tak bardzo, że prawie upadł.

– Co się stało? – Julia w jednej chwili znalazła się przy nim, usiłując wziąć go pod rękę.

– Odejdź! – wybełkotał, machając rękami. – Kurwa jesteś i tyle! Ludzie wszystko powiedzieli! Ja w pudle gniłem, dupę mi obrabiali, a ty się puszczałaś! Dziwka, kurwa – powtarzał bez przerwy. – Pani wielka się znalazła, jasna cholera! – oparł się o ścianę, chowając twarz w dłoniach.

Natałka bez słowa wyszła do pokoju, a pod Julią ugięły się nogi. Od razu przypomniała sobie wizytę Izaaka, o której ludzie we wsi wiedzieli. Była pewna, że ktoś Michałowi o tym powiedział.

– Pierdolony Warszawiak! – Michał oparł o ścianę szeroko rozłożone ręce. – Panisko wielkie z miasta przyjechało! Myślał, że jak z miasta, to wszystko mu wolno! Cudzą żonę jebać też! – nie mógł się uspokoić.

– O czym ty mówisz?

– Zawadka! Mówi ci to coś? – Michał splunął na podłogę. – Tomasz miał na imię!

– Z Tomaszem nic mnie nie łączyło – odetchnęła z ulgą. – Pomagał mi, nawet bardzo, ale niczego między nami nie było!

– Nie było? – zaśmiał się głośno. – A ja wiem, że było! Normalna kurwa jesteś, tyle ci powiem! – wybełkotał.

Nagle chwycił ją za bluzkę i otwartą dłonią uderzył w twarz.

Rok 1961

Karlików

Z góry dochodziło tupanie, szuranie i inne odgłosy, których nie umiała rozpoznać. Melodia *Diany* wypełniała dom już od godziny i do tego zdążyła się przyzwyczaić, niepokoiła ją jedynie cisza. Wtedy odkładała „Przyjaciółkę” i nasłuchiwała.

Robert odwiedzał ich od roku. Mieszkał we Wrocławiu i chodził do tego samego liceum, co Natałka. Był klasowym prymusem, ale nie umiał tańczyć, a przecież do studniówki zostały tylko dwa tygodnie. Od niedawna Natałka pomagała mu nadrabiać taneczne zaległości.

Nawet lubiła Roberta. Był inteligentny, dobrze wychowany i opiekuńczy. Po cichu chciała, żeby został mężem Natałki, ale potrafiła zrozumieć, kiedy córka oburzała się i mówiła, że najpierw oboje muszą skończyć studia. Z żalem kontestowała, że ona takiej możliwości nie miała.

– Na dzisiaj już koniec? – zapytała, kiedy oboje zeszli z poddasza.

– Koniec, mamusiu – Natałka pocałowała ją w policzek. – Ale Robertowi kiepsko idzie. Na studniówce będzie podpierał ściany, a ja będę się bawiła.

– Nie bądź taka przemądrzała! – pogroziła córce palcem. – A tej piosenki to już chyba nauczyliście się na pamięć?

– Zgadła pani – Robert uśmiechnął się. – Może przyda się na maturze?

– *Diana* na maturze? Nie rozumiem.

– Robert chce studiować anglistykę, no i z angielskiego będzie zdawał maturę, mamó. A wiesz, o czym jest ta piosenka?

– Skąd mam wiedzieć? Nie znam żadnego obcego języka. No, może trochę ukraiński.

– Co to za język? – Natałka machnęła ręką. – Nikomu do niczego niepotrzebny. Powiedz mamie o *Dianie* – trąciła łokciem chłopaka.

– Paul Anka miał szesnaście lat, kiedy pierwszy raz zaśpiewał *Dianę* – Robert przełknął ślinę. – Ja myślę, że to piosenka o nim samym – spojrzął niepewnie na Natałkę.

– No śmiało, mów – kiwnęła głową. – Przetłumacz mamie *Dianę*.

– Kochanie, ludzie mówią, że dzieli nas zbyt duża różnica wieku. Mówią, że jestem za młody, ale dla mnie to nie jest ważne. Modlę się, abyśmy oboje byli wolni jak ptaki, i proszę, żebyś została ze mną, Dajano – Robert zaczerwienił się po same czubki uszu i spuścił głowę.

– Piękne słowa! – Julia zamyśliła się.

– Naprawdę ci się podobają? – Natalka objęła ją za szyję. – Mnie też – dotknęła palcem jej nosa. – No ale na nas już czas. Robert ma pociąg za pół godziny. Odprowadzę go na stację. Wiesz, jakie są u nas chłopaki.

Kiedy wyszli, Julia przysunęła krzesło do pieca. Kot, śpiący na podłodze, natychmiast wskoczył jej na kolana.

– Wiesz, że Tomasz też był młodszy ode mnie? – powiedziała półgłosem, patrząc w kocie oczy.

Rok 1962

Stół przykryły białym obrusem, do szklanek wypełnionych pszenicą wstawiły świece, a między nimi ustawiły krzyż z figurką Jezusa.

– Nie widziałaś butelki po occie? – Julia przeszukiwała kredens. – Takiej z korkiem.

– Nie ma jej – Natalka przeglądała się w lustrze.

– Jak to nie ma?

– Zwyczajnie – dziewczyna włożyła bluzkę do spódnicy. – Robiłam porządki i wyrzuciłam. Jakies paprochy pływały w środku.

– O Boże! – Julia usiadła na krześle.

– Co się stało? – tym razem Natalia sprawdzała, jak wygląda w bluzce na spódnicy. – O co, mam, chodzi?

– Tam była woda święcona – Julia ukryła twarz w dłoniach. – I co my teraz zrobimy?

– Och, mam, mam. Kiedy przestaniesz przejmować się takimi drobiazgami? – zaczerpnęła wody z wiadra, naląła na talerz, a obok położyła kropidło. – No i po sprawie.

– Ale to świętokradztwo. Nie możemy tak Boga oszukiwać.

– A ksiądz Jan to jak postępuje? Ludzi i Boga na każdym kroku obraża.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. O, już idą – opuściła firankę. – Gdzie są zapałki?

Ministranci tupali zawzięcie, strzepując śnieg z butów i spodni. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – wyrecytowali równocześnie.

– Na wieki wieków, amen – Julia wsunęła im do kieszeni po dwa złote. – No i co u was słychać?

– E tam, nic dobrego – młodszy z chłopców drapał się po głowie. – Jutro Trzech Króli, a pojutrze szkoła.

– No tak, to rzeczywiście nic dobrego. A księdza to gdzie zgubiliście?

– Nowaki obiad mu dali – młodszy z chłopców przełknął ślinę. – Ale na pewno przyjdzie.

Jakby na potwierdzenie jego słów z sieni dobiegł odgłos wycieranych butów i ksiądz Jan wszedł do izby.

– Pokój temu domowi – wymówił w progu powitalną formułkę.

Wspólnie odśpiewali kolędę i zmówili *Ojcze nasz*.

– Porządny dom – ksiądz Jan umoczył kropidło i machnął nim kilka razy.
– Nie wszyscy wodę święconą mają. Usiadł przy stole i otworzył gruby zeszyt. – A mąż to gdzie jest? – zapytał.

– W pracy – Julia zmieszała się. – Na drugą zmianę dzisiaj poszedł.

– Na drugą zmianę? – ksiądz uśmiechnął się. – Ludzie mówią, że w separacji żyjecie. Prawda to?

Julia spuściła głowę i milczała.

– I do kościoła tylko dwa razy w roku mąż przychodzi. Zły przykład córce dajecie. Nic dziwnego, że bez ślubu z chłopakiem żyje. Natalka zacisnęła zęby, a ministranci uśmiechnęli się pod nosem.

– Zaległości na kościół w Ozorkowie macie – stukał ołówkiem w blat stołu. – Osiemset złotych, a na budowę pieniędzy trzeba.

– Osiemset złotych? – Julia przeżegnała się. – Matko Boska, a skąd aż tyle?

– Rok temu nie zapłaciliście – ksiądz Jan przewrócił kartkę. – No i teraz.

– No to czterysta, proszę księdza, a nie osiemset!

– Ale tu dwie rodziny mieszkają. Przecież w separacji żyjecie.

– U nas z pieniędzmi ciężko i jeszcze córka studia rozpoczęła.

– W Polsce nauka jest bezpłatna – ksiądz zamknął zeszyt. – Jak chcecie – zatrzymał się w drzwiach – ale pamiętajcie, że w niedzielę wyczytam tych, co na kościół dali, a ludzie słuchają, oj, słuchają. Może nawet bardziej niż moich kazań.

Rok 1963

Natalka od razu poszła do swojego pokoju. Julię zdziwiło, że się nie przywitała, a przecież zawsze całowała ją, kiedy w sobotnie popołudnie wracała do domu. „Ot, dziewczęce fochy” – pomyślała i zabrała się do smażenia naleśników.

– Obiad gotowy! – krzyknęła. – Naleśniki z serem. Takie, jakie lubisz.

Kiedy córka nie wychodziła, zaniepokojona zapukała do drzwi.

– Wejdz – usłyszała słaby głos.

Okno było zasłonięte i w pokoju panował półmrok. Natalia leżała skulona na kanapie. Była przykryta kocem i głęboko oddychała.

– Co ci jest – Julia wzięła ją za rękę. – Źle się czujesz?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Masz gorączkę? – położyła dłoń na czole córki.

– Nie mam. Tak ogólnie źle się czuję.

– Naleśniki stygną.

– Nie mam, nie będę jadła – odwróciła się, przykrywając głowę kocem.

*Trzecią godzinę zegar wskazuje,
Ksiądz przy oltarzu was oczekuje.
Żegnaj, Natalko, swoje panieństwo
I proś rodziców o błogosławieństwo.
Moi mili goście, zróbcie trochę miejsca,
Niech młodzi uklęką do błogosławieństwa.
A ty, młody panie, tylko się nie lękaj.
Jak rozciągną obrus, śmiało na nim klękaj.*

– Elżbieta, której przypadła rola starościny, skończyła śpiewanie i położyła na podłodze biały obrus. Natalka i Robert uklękli przed rodzicami.

W Szczepanowie i w Karlikowie na co dzień niewiele się działo, dlatego ślub i wesele zawsze wzbudzały zainteresowanie i ciekawość, a parafialny

kościół wypełniony był wtedy po brzegi. Dzisiejsza uroczystość była o tyle niezwykła, że luźna suknia Natalii nie mogła już ukryć zaawansowanej ciąży. Państwo młodzi i weselny orszak stali pośrodku kościoła przed balaskami, a Julia, Michał i rodzice Roberta siedzieli w pierwszej ławce. W kościele było duszno. Julia szepnęła coś do Roberta i oboje usiedli obok rodziców. Ksiądz Jan widział to, kiedy wchodził na ambonę.

– Drodzy bracia i siostry – mówił jakby od niechcenia, szukając czegoś w grubym notesie. – Spotykamy się na uroczystej mszy świętej. Robimy to każdej niedzieli, ale dzisiaj jest dzień wyjątkowy. Nasza parafianka Natalia wstępuje w związek małżeński i właściwie powinniśmy się cieszyć – zamilkł, wydymając usta. – Powinniśmy, ale jakoś nie możemy. Przynajmniej ja nie mogę, kiedy widzę pannę młodą z brzuchem. Ale może jestem człowiekiem starej daty? Może teraz taka moda? Może powinienem pochwalić odwagę panny Natalii? Naprawdę niemałej odwagi trzeba, aby w takim stanie wejść do kościoła.

Natalia siedziała z kamienną twarzą. Mocno ścisnęła dłoń Roberta i nerwowo przełykała ślinę.

– I jeszcze biały welon na głowę założyła. Dziewczyno – wychylił się w stronę Natalii – czy ty wiesz, co oznacza biały welon? Dam wam ślub – mówił już spokojnie. – Dam, byście jak ludzie żyli, a nie zwierzęta. Pamiętajcie jednak wszyscy, że pierwszy i ostatni raz to robię! Na kościół płacić nie chcecie, ale w grzechu będąc, po sakramenty święte jak po swoje przychodzić wam nie wstyd. Jak tak można? – przetarł dłonią spocone czoło. – Ale Kościół święty miłosierny jest, sakramentu udzieli, a na pieniądze poczeka.

W drodze powrotnej do Karlikowa Julia i Natalka wybuchły głośnym płaczem.

– Jak mógł to zrobić? – Julia nie mogła uwierzyć w to, co się stało. – Taki wstyd i to przy wszystkich. A i ty nie jesteś bez winy – spojrzała z wyrzutem na córkę. – Ja z tatą dopiero po ślubie, a ty przed i od razu ciąża! Taki wstyd!

Orkiestra już czekała przed domem. Kapelę polecił Michałowi Chwedoruk, który poznał ją na jednym z wiejskich wesel.

– Będziecie radzi, sąsiad – zachwalał. – Głośno grają, a tak przyśpiewują, że młode ze wstydu czerwone są jak raki.

– Kapela z Grzymkowa wita serdecznie państwa młodych – wąsaty akordeonista pokłonił się nisko. – Szczególnie witam rodziców chrzestnych i wszystkich gości na tak wielkiej uroczystości weselnej Natalii i Roberta. Życzymy państwu wesołej i przyjemnej zabawy.

– I ja w imieniu rodziców witam państwa młodych – Elżbieta, trzymając na białej serwecie chleb i sól, stanęła przed kapelą. – Przyjmijcie to błogosławieństwo chlebem i solą.

*Sto lat, sto lat, niech żyją, żyją nam,
Sto lat, sto lat, niech żyją, żyją nam,
Jeszcze raz, jeszcze raz niech żyją, żyją nam,
Niech żyją nam!*

– zagrali i zaśpiewali muzykanci.

– A teraz wejdźcie, państwo młodzi, do tego domu, w którym spędzicie wielkie uroczyste chwile waszego pierwszego życia w towarzystwie zaproszonych gości weselnych – Elżbieta pokłoniła się i gestem dłoni zaprosiła do środka. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, zwróciła się do Natalki i Roberta:

*Dziś odbyła się uroczysta chwila,
Która was, państwo młodzi, ślubem połączyła.
Droga Natalko, przy ołtarzu klęczałaś
I swojemu Robertowi szczerze ślubowałaś.
Wianek wonny z mirty drobnej
Dziś ostatni raz tve skronie zdoła.
Możesz się ubrać w zioła i bławaty,
Ale już nigdy, nigdy w te ślubne szaty.
Pięknie ci w tym wianku, panno młoda
Jak róża kwitnąca piękna twa uroda.
I Młodego Pana postać bardzo miła,
Boś mu swą rączką poślubiła.
A ty, młody panie, gdy wrócisz z pracy,
Miłego spojrzenia doznasz od swej żony.
Ona ci każdą kroplę rosy z czoła zbierze,
A Najświętsza Panienska, co króluje w niebie,
Niech błogosławi ciebie.*

*Aniołowie zbierają ciernie i kładą róże w bramie.
Życie, państwo młodzi, w zgodzie i miłości,
A wy, goście weselni, bawcie się do rana.
A wy, państwo młodzi, nie zapominajcie zaprosić bociana.
Niech was Bóg błogosławi na nowej drodze życia.*

Kucharki zaczęły podawać rosół. Weselisko duże było, ale jadła nie brakowało. Cała świnia Jakubowskich na to poszła i jeszcze tuzin kur. Kiedy pojedli, popili i potańczyli, zaczęły się przyśpiewki.

*Natalko, Natalko, posłuchaj mnie, grajka,
Dziś w nocy podrapiesz Robertowi...*

– akordeonista zawiesił głos i przywołującym gestem dłoni pokazywał, że czeka na odpowiedź.

– ...jajka – usłyszeli jakiś piskliwy kobiecy głos.

– Ale z was świntucha – akordeonista udawał obrażonego. – U nas, w Grzymkowie, to nie do pomyślenia. Szyję młoda podrapie mężowi. Szyję, droga pani.

*Robertcie, Robertcie, zamiast złowić rybkę
Dziś w nocy pogłaszczesz swej Natalki...*

– ...cipkę – podпиты mężczyzna w sile wieku zaśmiał się rubasznie.

– Drodzy państwo – akordeonista rozłożył ręce – gdzie ja jestem? Na jakie rozpustne wesele trafiłem? Młody będzie głaskał włosy pani Natalii, te na głowie.

– A pan muzykant to gołej baby nie widział, co? – bełkotał autor odpowiedzi.

– Daj spokój, Stasiek – pulchna blondyna z dużym biustem próbowała uciszyć męża. – Wypity jesteście, bredzisz i wstyd tylko przynosisz.

– Pani Julio! – matka Roberta próbowała przekrzyczeć panujący hałas. – Nie podoba mi się to. Nie po to przyjechałam, żeby pożał się Boże jeden z drugim muzykant obrażał moje dziecko. Niech pani coś zrobi.

*Przerzucę, przerzucę jajko przez sadzawkę,
Wziął se młody żonę, będzie miał zabawkę.*

– No właśnie – fuknęła jak kotka. – Oni ciągle swoje.

*Pamiętaj, Robercie, masz żonę szanować,
Odchodząc do pracy, w rączki pocałować.
W jedną pocałować, żeby jeść ci dała,
W drugą pocałować, żeby z tobą spała.*

– Pani Małgorzato – Julia próbowała załagodzić narastający konflikt – tutaj taki zwyczaj. Wszyscy trochę sprośne piosenki śpiewają.

– Trochę sprośne? Pani używa eufemizmów!

*Chwalił się raz teściu, że ma kamienicę,
A on ma dwa samce i kotną samicę.
Chwalił się raz teściu, że ma dwa ogiery,
Pełna góra owsa, bidy do cholery.*

– No proszę! Nie dość, że syna, to jeszcze męża mi obrażają! Może tu taki zwyczaj, ale mnie się on nie podoba.

– Ależ pani Małgorzato – Julia nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. – Proszę nie brać tego do swojej rodziny. Michał dla Roberta też jest teściem.

*A ten nasz muzykant niedużego wzrostu
Pędził świnie do miasta, wrócili go z mostu*

– zaśpiewała jedna z kobiet.

– No widzi pani – Julia miała nadzieję, że personalne przyśpiewki, tak drażniące matkę Roberta, wreszcie się skończyły. – Tu każdy każdemu może przygadać i nikt się nie obraża.

*Czemu, druhny, nie śpiewacie?
Czy żelazne buzie macie?
Czy żelazne, czy drewniane,
Czy na kłódki zamykane?*

– dwaj podpici družbowie zaśpiewali na głosy.

– Prostactwo i prymitywizm – mruzczała pod nosem teściowa Natalii.

Teściowo, ty stary rowerze,

Tylko pedałów ci brak.

Ja ci pedały przyprawię,

Pojadę na tobie w świat.

Siedzący najbliżej i przysłuchujący się rozmowie spojrzeli na matkę Roberta. Na jej twarzy malowała się wściekłość. Julia szybkim krokiem podeszła do Michała, który przysiadł się do Zawadki i o czymś żywo z nim dyskutował.

– Ty załatwiłeś orkiestrę, to idź i powiedz, żeby przestali śpiewać – szarpała go za ramię. – Jeszcze trochę, a rodzice Roberta wyjdą z wesela i wstyd będzie.

– Której to paniusi ucho delikatne takie? – akordeonista był zdziwiony prośbą Michała. – Tej, co obok waszej siedzi? Od razu widać, że miastowa. Wyruchać ją trza, to inaczej będzie gadać.

– Dajcie spokój, chociaż z drugiej strony... – Jakubowski inaczej niż zwykle przyglądał się teściowej Natalii. – Na uniwersytecie wykłada, uczona jest i do naszych obyczajów nieprzywykła.

– Ja tam swoje wiem – akordeonista podkreślił sumiastego wąsa. – Weźcie ją na siano, zróbcie co trza i spokój będzie. Ale jak chcecie stypy, to śpiewać nie musim.

– Nie będzie stypy – Elżbieta pokładała się ze śmiechu, kiedy powtórzył jej rozmowę. – Zaraz sam się zdziwisz.

Podeszła do orkiestry, ujęła się pod boki i tak zaśpiewała:

Co to za orkiestra, że nie umie wygrać?

Dać jej skórkę chleba i do domu wygnać.

– Hola, hola, starościno – akordeonista odłożył pieczone kurze udko. – Prędko się nas nie pozbędziecie – wierzchem dłoni wytarł usta, założył akordeon i skinął na kompanów. – Zobaczym, kto kogo przetrzymie – uśmiechnął się do Elżbiety.

– Ano zobaczymy – starościna położyła ręce na biodrach i kołysała się zalotnie. Śpiewała donośnym, czystym głosem, kapela jej przygrywała, a weselni goście słuchali, wymieniając półgłosem swoje opinie.

*Na samym początku
Śpiewania mojego
Życzę młodej parze
Szczęścia najlepszego.
Szczęścia najlepszego,
Wszystkiego dobrego,
By się w waszym życiu
Nie działo nic złego.
Myślałaś, Natalko,
Że Robert lelija.
Nieraz ci on, nieraz
Oczka popodbija.
A ty nie bądź głupia,
Ty jego nie żałuj.
Jak największym garem
To w łeb mu przysmaruj.
Gardziłaś, Natalko,
Chłopakami czasem,
Ale se wybrałaś
Męża z krzywym nosem.
Męża z krzywym nosem,
Z krzywymi nogami,
A u nas tak żydek
Chodził za jajami.
W moim ogródeczku
Kanareczek nuci:
Już ci się, Natalko
Wianeczek nie wróci.
Nie wróci, nie wróci
I wrócić nie może,
Dwa serca złączone
W południowej porze.
Bądź zawsze wesola
Jak rybka we wodzie,
By nie było mowy
Nigdy o rozwodzie.
Szanuj żonkę, szanuj,*

*By szczęśliwa była,
By się nigdy na cię,
Nigdy nie żaliła.
Siedzi nasza druhna,
Siedzi jak bidula,
Bo się do niej družbant
Wcale nie przytula.
Leciały gąseczki,
Zgubiły pióreczka.
Zbieraj ty, Natalko,
Będzie poduszeczka.
Natalko, Natalko,
Gdzieś wianek podziata?
Upadł ci do studni,
Jakżeś wodę brała?
Chwaliłeś się, Robert,
Że masz wielkie wiano,
Masz spodnie podarte,
Wylazło kolano.
Natalko, Natalko,
Oj, będziesz ty płakać.
Siedzieć se pod piecem
Będziesz spodnie łatać.
Będziesz spodnie łatać,
Małego kołysać.
Robert sobie pójdzie
Gorzałkę popijać.
Oj, żebyś ty Robert,
Bardzo nie był w strachu,
Jak ty już zobaczysz
Bocianów na dachu.
Natalko, ty nie płacz,
Nie bierze cię smarkacz,
Bierze cię uroda,
Chłopiec jak jagoda.
Świeci słońko, świeci,
Zaczyna przygrzewać,*

*A nasze drухenki
Nie umieją śpiewać.
Po co żeście drухny
Na wesele brały?
One młodej parze
Dziś nie zaśpiewały.
Druźbowie, druźbowie,
My śpiewać będziemy
Podajcie nam piwka,
To się popijemy.
Druźbowie, druźbowie
Jeździli po polu,
Nie poznali żyta,
Narwali kąkolu.
Myślałaś, Natalko,
Że cię wziął dla stroju?
Weźmiesz wideleczek
I pójdziesz do gnoju.
A cóżeś ty myślał,
Że się gnoju boję?
Pójdę, gnój potrząsę
Przyjdę, się wystroję.
Robert się Natalce
Tak bardzo zalecał,
Jak szedł na zaloty,
Portek se pożyczał.
Natalko, Natalko,
Ty idziesz za niego
On się z tobą żeni,
A portki nie jego.
Gospodarzu domu,
Coś wykombinował?
Wziąłeś se starostę,
Gości nie pilnował.
Chodził i coś mruzczał,
Gości nie pilnował,
Tylko po kieszeniach*

*Wódeczki se chował.
Moja starościno,
Nie umiecie śpiewać,
Idźcie lepiej dzisiaj
Pokrzywy pozbierać.
A nasz pan starosta
To chłopak morowy
Jak rozdaje wódkę,
To chowa pod stoły.
Ale my się tego
Wcale nie boimy,
Jak nam będzie trzeba,
To go poprosimy.
Nasze kuchareczki
Dobrze nam gotują
I wszystkie potrawy
Bardzo nam smakują.
Nie wierz, dziewczę, chłopcu,
Choćby krzyżem leżał,
Bo on cię uwiedzie,
Nikt nie będzie wiedział.
Bo on cię uwiedzie
Jak rybka na wędkę,
Będiesz po nim miała
Do śmierci pamiątkę.
Na naszych chłopaków
Wszyscy tak mówili:
Dobrze by to było
By wódki nie pili.
Czy jesteś bogata,
Czy biedna, czy jaka,
Żebyś se nie wzięła
Za męża pijaka.
Dalej bym śpiewała,
Ale nie mam chęci,
Jeden z muzykantów
Gębą na mnie kręci.*

*Zagraj mi, muzyczko,
Ładnego oberka.
Niech se potańcuje
Stara kawalerka.
Laboga, chłopaki,
A co za przyczyna,
Że prosić do tańca
Ma pierwsza dziewczyna?
Albo tańczuj lepiej,
Moje tańcowadło,
A kiedy nie umiesz,
Lepiej byś usiadło.
Zagrajże, muzyczko,
Nie żałuj se smyczka,
Ja tobie zapłacę,
Jak ja sprzedam byczka.
Natalka i Robert
Bardzo są szczęśliwi,
Że dzisiaj ich razem
Ślubem połączyli.
Rodzice kochani,
Dobrzeście zrobili,
Żeście dziś wesele
Tu w domu zrobili.
A wy, goście mili,
Bawcie się wesoło,
Złapmy się za ręce,
Obróćmy się wkoło.
A wy, muzykanci,
Nie żałujcie smyka.
Weselna zabawa
Trwać będzie do rana.*

– Aleście nas, starościno, wymęczyli – akordeonista wycierał chusteczką spocone czoło.

– A wy coście tacy słabi? – Elżbieta przymknęła oko. – Baby to z was w łóżku żadnego pożytku chyba nie mają?

– Mają, mają – jeden z muzykantów odłożył skrzypce. – Chcecie zobaczyć mojego smyka?

– Nie musicie pokazywać – odgryzła się. – Leży koło skrzypiec.

Kiedy minęła północ, Elżbieta stanęła przed orkiestrą.

– Dobry wieczór gościom! – zawołała. – Proszę się nie gniewać, bo teraz będziemy do wianeczka śpiewać – pokłoniła się muzykantom.

*Zagraj nam, muzyczko,
Ładnej jarzębiny.
Będziemy zaczynać
Robić oczepiny.
Pomału mnie rozbierajcie,
Za włosy mnie nie targajcie,
Bo mnie mama wychowała,
Za włosy mnie nie targała.
Natalko, Natalko,
Miłowanie moje,
Będziemy se żyli
Tylko se we dwoje.
Leciały żurawie,
Padały na rowie.
Nie daj se zrujnować
Wianeczka na głowie.
Oj, nie daj, Natalko,
Wianeczka rujnować.
Musi cię twój Robert
W buzię pocałować.
Dziś wasze serduszka
W kościele pukali,
Jak jedno drugiemu
Prawą rączkę dali.
Dałaś prawą rączkę,
Ksiądz ci dał obrączkę.
Zalała się łzami
Przed jego oczami.
Nasza pani młoda*

*Tak pięknie ślub brała,
Świeczki się świeciły,
A muzyczka grała.
Nie będziesz ty więcej
Chłopaków kochała
Boś dziś Robertowi,
Przysięgę składała.
A ta jest przysięga
Bardzo ważna sprawa,
Żebyś ją w tym życiu
Nigdy nie złamała.
A ty, mój Robercie,
Mogłeś się nie żenić,
Mogłeś se co tydzień
Kawalerkę zmienić.
Moje starościny,
Coście wy zrobiły,
Żeście panią młodą
Krzywo oczepiły?
Złóżcie się na czepek,
Straciła wianeczek.
Złóżcie na paciorki,
Będą ładne córki.
Złóżcie się na czepek,
Złóżcie na bursztyny,
Żeby też w przyszłości
Miała ładne syny.
Moja gospodyni,
Co siedzicie z kraja,
Złóżcie się na czepek
Sprzedaliście jaja.
Drużbowie, drużbowie,
Macie znak na głowie,
Macie znak na piersiach,
Pieniądze w kieszeniach.
Druhenki, druhenki,
Pięknych drużbów macie,*

*Złóżcie się na czepek,
Prędeż się wydacie.
Piękna starościno,
Pięknieście śpiewali,
A my nie widzieli,
Czy wyście co dali...
Ładny masz wianeczek,
Bo jest przy nim różga.
Niechże się podkupi
Ten najstarszy družba.
Ładny masz wianeczek,
Bo przy nim świeczuchna.
Niechże go podkupi,
Ta najstarsza druhna.
Ładny masz wianeczek,
Bo przy nim różyczka.
Niechże go podkupi
Roberta siostrzyczka.
Ładny masz wianeczek,
Jest przy nim kieliszek.
Niechże go podkupi
Roberta braciszek.
Ładny masz wianeczek.
Bo jest przy nim natka.
Niechże go podkupi
Tej Natalki matka.
Ładny masz wianeczek,
Bo jest przy nim oset.
Niechże go podkupi
Tej Natalki ojciec.
Ładny masz wianeczek,
Bo jest przy nim trzcina.
Niechże go podkupi
Nasza starościna.
Zapłać za wianeczek,
Bo ci go nie damy.
Natalkę odmówimy,*

*Innym go sprzedamy.
Dziękuję muzyce
Za tak piękne granie,
Naszym miłym gościom
Za wysłuchiwanie.
Bardzo was przepraszam,
Proszę się nie gniewać,
Bo to na weselu
Wszystko można śpiewać.*

Chociaż zabawa trwała do białego rana, już od trzeciej pojedynczy goście zaczęli opuszczać weselny dom Jakubowskich.

– Miarka się przebrała, sąsiadko – Stefan Nowak zatrzymał się na chwilę w sieni. – No z księdzem Janem – wyjaśnił, widząc niepewną minę Julii. – Ludzie się zbuntowali i list do kurii będą pisać.

Rok 1964

Michał leżał z założonymi na karku rękoma, wpatrując się w brudny sufit. Pokój, w którym zamieszkał po powrocie z więzienia, od dawna wymagał malowania, ale on nie miał na to najmniejszej ochoty. Oschłe, a od pamiętnego incydentu wręcz napięte relacje z Julią odbierały mu chęć jakiegokolwiek działania. Żonę wprawdzie przeprosił, ale nie zmniejszyło to emocjonalnego dystansu, jaki ich dzielił. Dla sąsiadów nadal byli zwyczajnym małżeństwem z długim stażem, ale w domu prawie ze sobą nie rozmawiali. Ich wzajemne kontakty ograniczały się do minimum niezbędnego dla wspólnej egzystencji. Rzeczywistość, w jakiej przyszło mu żyć i przeszłość, o której nie mógł zapomnieć, stawiały wyzwania. Nie umiał sobie z nimi poradzić. „Jak żyć” – myślał – „kiedy mam dwie córki?”.

Natalia niedługo po ślubie urodziła córeczkę i zamieszkała we Wrocławiu u rodziców Roberta. Jego ojciec był dyrektorem jednego z biur projektowych, a matka pracownikiem naukowym uniwersytetu. Materialnie dobrze się im powodziło, małą Dorotką zajmowała się dochodząca opiekunka, dzięki czemu Natalia mogła kontynuować studia. Młodzi małżonkowie przyjeżdżali do Karlikowa tylko w niedzielę. Michał był pewien, że głównie po prowiant.

Kasia uczyła się w tym samym liceum, które ukończyła Natalia. Mieszkała w Szczepanowie, opiekując się coraz słabszym dziadkiem. Była równie ładna jak Katryna, więc nie dziwił się, że wielu chłopców zabiegało o jej względy. Ona jednak ignorowała ich umizgi.

Kasia regularnie chodziła do kościoła. Dla niego była to jedyna okazja, by móc ją zobaczyć i chociaż wiarę Boga dawno stracił, zaczął także bywać na niedzielnych sumach. Jego światopoglądowa przemiana nie uszła uwadze mieszkańców wsi, ale nie zgłębiali jej przyczyny. Było to dla niego o tyle ważne, że żył w ciągłej obawie, iż sprawa nieślubnej córki ujrzy światło dzienne. Wiedział, że takie niebezpieczeństwo istnieje i nie był na nie przygotowany. Obrócił się na bok. Sprężyny zaskrzypiały piskliwie.

Rok 1965

– Co się stało? – Michał przerwał koszenie. – Źle się czujesz?

– Nie, nie – Julia wsparła się oburącz na wbitych w ziemię widłach i ciężko oddychała. – Nic mi nie jest!

– Przecież widzę. Zdejmij sweter – sięgnął po osełkę. – Żar leje się z nieba, a ty się ubrałaś, jakby to była jesień.

– Nie jest mi gorąco – w jej głosie była apatia. – Zaraz mi przejdzie.

Od pewnego czasu wiedziała, że z jej zdrowiem dzieje się coś dziwnego. Zawsze lubiła ciepło, ale ostatnio marzła nawet wtedy, kiedy na dworze panował upał. Męczyła się podczas lekkich prac i zdarzało się, że nagle w środku dnia ogarniała ją senność, której musiała ulec.

Dotąd była kobietą szczupłą – sąsiadki mówiły nawet, że chudą – jednak mimo drobnej budowy ciała dostrzegła nowe fałdki na brzuchu i udach, a przecież więcej niż zwykle nie jadła. Zaniepokoiły ją też nieregularne miesiączki i obrzęknięte powieki. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Do lekarza nie poszła, no bo i po co, jak gorączki nie ma?

– Idź do domu – Michał układał trawę na wózku. – Idź do domu – powtórzył, kiedy wzięła grabie. – Sam trawę zagrabię.

Lipcowy dzień był upalny i parny. Grupki odświętnie ubranych ludzi ciągnęły ze wszystkich stron do Szczepanowa. Szli asfaltową drogą z Karlikowa i polną z Ozorkowa, jechali rowerami, a nawet samochodami, bo wysłużone warszawy, syrenki i żuki miało już kilku bardziej zamożnych gospodarzy.

Niewielki plac przed kościołem zastawiony był straganami, na których można było kupić baloniki, szmaciane i plastikowe lalki, pluszowe misie, drewniane motyle na kółkach, fujarki, pukawki, pierścionki, paski, plastikowe zegarki, piłeczki ma gumce, kółka hula-hoop i dziesiątki innych rzeczy. Przy straganach tłoczył się tłum dzieci i dorosłych, którzy oglądali i kupowali. Atmosfera odpustowego święta udzielała się wszystkim bez wyjątku.

– Otwórzcie okna.

Ksiądz Jan przecierał chusteczką spocone czoło. Stał na ambonie, podpierając się obiema rękoma, i z zadowoleniem lustrował wypełniony po brzegi kościół. Przeglądał kartki z przygotowanym kazaniem, zerkając spod oka na mężczyzn szarpiących się z oknami. Kiedy je wreszcie otworzyli, do środka wtargnęło ożywcze powietrze.

– Drogie siostry, drodzy bracia w Chrystusie Panu – rozpoczął odpustowe kazanie. – *Hanna* w języku hebrajskim oznacza łaskę, co dla nas jest podwójnie ważne. Po pierwsze, święta Anna – czyli święta łaska – jest patronką naszej parafii, a po drugie, każdy z was łaski może dostąpić poprzez wyspowiadanie się i przyjęcie ciała Chrystusa Pana – przerwał na chwilę, schylając się po kartkę, którą zrzucił mocniejszy powiew wiatru. – Wielu z was z tego skorzystało – przycisnął arkusz brewiarzem. – Wielu jednak pozostaje w grzechu. Czy zastanawiacie się czasem nad swoją wiarą? Czy zadajecie sobie pytanie, jaka ona jest? Czy głęboka i żarliwa, jak świętej Anny, czy może płytka i powierzchowna? – zawiesił głos. – Mąż Anny miał na imię Joachim – mówił już po chwili. – Wspólnie przeżyli dwadzieścia lat, ale dzieci nie mieli. W Izraelu brak potomstwa uważano wtedy za hańbę, za karę Bożą i z tego powodu małżonkowie doznawali wielu upokorzeń, nie tylko od ludzi, ale też od kapłanów. Anna jednak wierzyła, że zostanie matką. Usilnie prosiła o to Boga w codziennych modlitwach. W końcu Pan jej prośby wysłuchał i w wieku czterdziestu pięciu lat urodziła córkę. Dziewczynka otrzymała imię Maryja. Tak, to ta sama Maryja, to Najświętsza Panienka, a święta Anna była babcią Chrystusa – przerwał, wodząc wzrokiem po zdziwionych twarzach wiernych. – Dziwicie się? Ja też się dziwiłem, kiedy na religii zadałem to samo pytanie. Nikt nie wiedział, kim była święta Anna, a kiedy zapytałem, co dla nich oznacza odpust, to wiecie, co mi wasze dzieci powiedziały? Że one na odpuscie mogą kupić różne zabawki, a dorośli w strażackiej remizie potańczyć! – uderzył dłońmi w ambonę. – Taka jest ta wasza wiara! Zabawa w remizie i straganowe świecidełka! – wytarł palcami zaschniętą w kącikach ust ślinę. – Może zastanawiacie się, dlaczego o tym mówię? Może myślicie, że nie mam do tego prawa? Otóż mam do tego prawo. Na modlitwę i pogłębianie wiary czasu nie macie, ale na obrzydliwe plotki tak. Już kilka razy prosiłem, ale wy mnie nie słuchacie. Wara wam od mojego prywatnego życia. Wara wam od plebanii. Ja do niczyich domów nie zaglądam i tego samego żądam od was. I jeszcze jedno – podniósł wskazujący palec. – W Ozorkowie cała parafia

buduje kościół. Nikt z was nie wie, ile kosztowało załatwienie pozwolenia na tę budowę. W dzisiejszych czasach jest to prawie niemożliwe, ale mnie się udało. Czy ktoś z was zna inne miejsce, w którym też budują kościół? No śmiało, podnieście rękę – kiwał głową, przyglądając się milczącym ludziom. – Wy na kościół płacić nie chcecie, a pieniędzy na budowę ciągle brakuje. Dlatego dzwonnica w Karlikowie zostanie rozebrana, a dzwon przeniesiony zostanie do nowego kościoła w Ozorkowie.

Wiadomość o planach zburzenia dzwonnicy zbulwersowała mieszkańców Karlikowa. Już dawno wiejska świetlica nie była świadkiem tak licznego i gorącego zgromadzenia.

– Jak on mógł coś takiego powiedzieć? – Stefan Nowak nie krył oburzenia. – Traktuje nas jak śmiecie, przestawia z kąta w kąt jak miotłę i wcale o zdanie nie pyta.

– Miarkujcie, sąsiedzie, co mówicie! – Gałązkowa poczerwieniała ze złości. – Ksiądz Jan sutannę ma i święcenia. On wykształcony, a wy prosty chłop jesteście. Nie wam ksiądz sądzić.

– A wy to bez wazeliny w dupę księdzu byście wlażyły! – Nowak uderzył pięścią w stół. – Nie widzicie, jakie zgorszenie robi? Tylko o pieniądzach mówi, nikomu nie odpuści, nawet jak kto biedny, to za pogrzeb płacić musi jak bogaty. Że syna z gosposią ma, to już nawet nie kryje, a nas jak pies pilnuje. To diabeł, a nie ksiądz jest!

– To prawda! – młody mężczyzna próbował przekrzyczeć panujący hałas. – Ja w Szczepanowie mieszkam, blisko plebanii, to dużo wiem. Ksiądz i gosposia goli po domu chodzą i nawet okien nie zasłaniają. Wieczorami dzieciaki na drzewa w ogrodzie włączają i wszystko oglądają. Normalna Sodom i Gomora na plebanii jest!

– A wy to czego dzieciów do siebie puszczaacie? – Gałązkowa zerwała się z miejsca. – Sami też pewnie na drzewa włączacie – wygrażała zaciśniętą pięścią. – Chamstwa nigdzie nie brakuje!

– A jak mam ich upilnować? – bronił się mieszkaniec Szczepanowa. – W sadzie dzień i noc siedzieć mam, czy jak?

– Psa spuście, to tyłki dzieciów poszarpie i się uspokoją! – Gałązkowa

usiadła, ale po chwili zerwała się znowu. – A was Nowak, to za obrazę do sądu podam. Odechce się wam wazeliny, zobaczycie. Jak można na swojego księdza napadać? On stara się jak może, kościół w Ozorkowie buduje, a ludzkiego zrozumienia nie ma.

– Do kurii trzeba napisać! – Michał Jakubowski podniósł rękę.

– Ty, Michał, to całkiem pamięci nie masz! – Nowak kręcił głową. – Nie pamiętasz, jak myśmy dwa lata temu do kurii pisali? Twojej córki broniliśmy, zapomniałeś? I co to dało? Kuria nie odpisała, a ksiądz na kazaniu jeszcze nas zwymyślał.

– Rzeczywiście, pisanie do kurii nic wtedy nie dało – Zawadka starał się łagodzić emocje.

– Spróbować jednak trzeba. Co nam pozostało?

– Zanim napiszemy, zanim kuria odpowie, to ksiądz dzwonnice zburzy! – Nowak nie dawał za wygraną. – Bronić nam jej trzeba.

– Bronić? – Zawadka kręcił głową. – Jak bronić? Widły i siekiery ludziom przynieść każecie? Powstanie we wsi chcecie zrobić?

– Wy, Zawadka, dobry człowiek jesteście, ale od razu widać, że miastowy i niepraktyczny – Nowak po raz pierwszy uśmiechnął się. – Pewnie, że bić się nie będziemy, ale nie dopuścić do dzwonnicy tych, co ją burzyć by chcieli, to możemy. Jak wszyscy murem staniemy, to nic nam nie zrobią i dzwonnice obronimy.

– Wyobrażacie sobie, sąsiedzie, że cała wieś dzień i noc przy dzwonnicy będzie stała?

– Nie ma takiej potrzeby. W nocy nikt burzyć nie będzie. Za dnia wartę postawimy. Jak burzyć przyjadą, to dzwon wszystkich zwoła.

– Na mnie nie liczcie – Gałązkowa wstała z miejsca. – Ja naprzeciw księdzowej woli stawać nie będę.

– Ani ja – Tkaczukowa zawiązała pod szyją chustę i wyszła ze świetlicy. Za nią podążyło kilka starszych kobiet.

– Zamknijcie – Nowak zwrócił się do siedzących przy wyjściu. – Nawet drzwi za sobą zamknąć nie raczyły stare dewoty. Myślą, że jak chłop sutannę założy, to od razu święty się staje. Co za ciemnota.

– Mam propozycję, aby delegację do księdza wysłać i zwyczajnie z nim porozmawiać – Zawadka kolejny raz zabrał głos. – To nic, że o dzwonnice nas nie zapytał. Zobaczymy, co powie, kiedy odwiedzimy go na plebanii.

– Ja tam myślę, że to sensu nie ma, ale sprzeciwić się nie będę – Nowak był już całkiem spokojny. – Mówcie, kto najbardziej do delegacji się nada?

Zgłaszano kandydatury i wycofywano je. Jednych krytykowano, innych chwalono, a w końcu postanowiono, że do księdza pójdą Nowak, Zawadka, Jakubowski i Kitman.

– Ksiądz Jan baby lubi – zauważył mężczyzna ze Szczepanowa – a wy żadnej do delegacji nie wybraliście.

– Dobrze młody mówi – Nowak poklepał go po ramieniu. – Macie którąś na oku?

– Ewa – Zawadka nie miał wątpliwości – wasza córka najlepsza będzie. Młoda jest, ładna i po uniwersytecie. W Karlikowie lepszej nie ma.

– Ale ona męża ma i z brzuchem chodzi.

– No i co z tego, że ma brzuch? Ksiądz się jej brzucha nie wystraszy. U Boguśki nie tylko brzuch widział.

Godzinę później spotkali się u Kitmana, który samochodem zawiózł wszystkich do Szczepanowa.

– Ksiądz Jan wyjechał – informowała gospościa przez zamknięte na łańcuszek drzwi. – Mówił, że wróci wieczorem.

Kiedy wracali zawiedzeni do samochodu Kitmana, Nowak nagle przystanął.

– Zobaczcie – pokazywał palcem murowany garaż, stojący obok budynku plebanii.

Przez niedomknięte drzwi widać było reflektor samochodu księdza Jana.

– Proszę się ubrać – lekarz odłożył stetoskop i usiadł za biurkiem. – Płuca ma pani czyste. Serce też jest w porządku. Sięgnął do koperty z dokumentacją choroby. Chwilę przeglądał wyniki badań i opinie specjalistów. Na nieco dłużej zatrzymał wzrok na zdjęciu rentgenowskim.

- Gdybym pani nie znał, to pomyślałbym, że pani symuluje, a tak... – uśmiechnął się – ...mogę dać skierowanie do szpitala. Zgadza się pani?
- Sama nie wiem. Niby żyć z tym można, ale ciężko czasem.
- No właśnie – lekarz zamyślił się. – Położy się pani, zrobią badania i na pewno znajdą przyczynę. To co? Piszemy?
- Niech pan pisze – usiadła i przyglądała się, jak lekarz wypisuje skierowanie. – Trzebnica? – zdziwiła się. – A nie można do Wrocławia?
- Niestety nie można. Nasz rejon jest w Trzebnicy.
- Do Wrocławia łatwiej dojechać – tłumaczyła się, wychodząc z gabinetu. – Do widzenia panu.
- Do widzenia – lekarz otworzył drzwi. – A z symulowaniem to żartowałem – uśmiechnął się pojednawczo.

Michał wbił widły w parującą stertę gnoju i od razu przypomniał sobie teściową Natalkę i jej zachowanie podczas wesela. „Czy miastowi znają zapach gnoju?” – pomyślał. „Nie obornika, ale właśnie gnoju, no i jego zapach, bo gnój wcale nie śmierdzi”. Wyobraził sobie, że matka Roberta, pracownik naukowy Uniwersytetu, stoi obok niego w gumiakach i razem ładują gnój na wóz. Zaśmiał się sam do siebie.

Nagle usłyszał pojedynczy dźwięk, po nim drugi, a w końcu całą okolicę wypełniło regularne bicie dzwonu. Zdawało mu się, że dźwięk jest szybszy i głośniejszy niż zwykle, tak jakby dzwonnik bardzo się spieszył. Rzucił widły i ruszył biegiem do dzwonnicy.

Dzwon wzywał bez przerwy, a ludzie, biegnący co sił w nogach i tchu w płucach, wiedzieli, że w jego głosie słychać prośbę o pomoc.

Przy dzwonnicy było już kilkadziesiąt mieszkańców wsi i ciągle dochodzili nowi. Ksiądz Jana, porucznik milicji i dwóch szeregowców otaczał coraz ciaśniejszy ludzki pierścień.

Nieco z boku stał samochód ochotniczej straży pożarnej ze Szczepanowa i spychacz na gąsienicach.

- Dlaczego ksiądz nas nie pytał, czy chcemy dzwon oddać? – Nowak

wysunął się przed szereg. – Nie ksiądz dzwonnice wybudował, to nie księdzu ją burzyć. Ludzie przywykli do niej.

– I nie wyście ją, Nowak, budowali, więc się zamknijcie! Swojej baby lepiej pilnujcie – rzucił kapłan przez ramię z drwiącym uśmiechem. – Ludzie ciekawe rzeczy mówią.

– Ty... – Nowak zacisnął zęby, a krew napłynęła mu do twarzy, zmieniając w jednej chwili jej barwę z nijakiej na jaskrawoczerwoną. – Ty chamie jeden – wyrzucił z siebie kipiące złością emocje.

Tkaczukowa i Gałązkowa przeżegnały się i patrzyły to na księdza, to na Nowaka wzrokiem na przemian pokory i nienawiści.

Ksiądz Jan zbladł. Nigdy nie spotkał się z taką bezczelnością, dlatego jego zaskoczenie było zupełne. Zwolennicy i przeciwnicy księdza, prowadzący dotąd głośne słowne utarczki, także zamilkli w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń.

– Jak wy mówicie do świętej osoby! – Chwedorukowa pierwsza odzyskała mowę. – W piekle wasze miejsce, nie w Karlikowie – splunęła Nowakowi pod nogi.

– Choć głupia z was baba – Nowak ciągle kipił złością – to tyle wam, Chwedorukowa, powiem, że wy bardziej święte od niego jesteście. Dupę gosposi to on, za przeproszeniem, lepiej obrabia jak wasz Reks sukę Tkaczukowej. Wiem, co mówię, bo nawet okien na plebanii nie zasłania.

Zaskoczenie księdza Jana powoli ustępowało. Widać było, że odzyskuje zwykłą pewność siebie, nieznającą litości dla tych, którzy ośmielają się kontestować jego postępowanie.

– Za obrazę przy ludziach do sądu was podam – mówił spokojnie i stanowczo, mierząc w Nowaka palcem, niczym pistoletem – no i modlić się za was będę.

– Jaki ksiądz miłosierny – Chwedorukowa złożyła ręce. – Jednak po tym, co księdzu powiedział, modlitwa za Nowaka się nie należy!

– Nie należy! – powtórzyła Tkaczukowa.

– Modlić się będę, aby Bóg karę na Nowaka zesłał, bo na opamiętanie już za późno. Komendancie... – zawiesił głos.

– Tak, oczywiście – milicjant poprawił wymiętą bluzę, otworzył drzwi łazika i stanął na jego stopniu. – Ksiądz wszystkie dokumenty załatwił – mówił donośnym głosem – i dzwonnice zburzyć ma prawo. Wasze zgromadzenie jest nielegalne i musicie się rozejść. Kto nie posłucha i w rozbiórce będzie przeszkadzał, ten przed sądem odpowie. Możecie zaczynać – skinął na strażaków.

W dużym pokoju, pełniącym funkcję poczekalni, panował półmrok. Zasłony w tonacji ciemnego brązu i gęsto tkane firany, sięgające podłogi, skutecznie broniły dostępu promieniom wiosennego słońca. Czarny kot z białą łatą na piersi leżał na podłodze i lizał łapę. Nie zwracał uwagi na mrówki, wychodzące z szerokiej szpary między deskami podłogi, wędrujące po ścianie i znikające pod okiennym parapetem. Na krzesłach siedziało kilka osób w kolejce po nadzieję i zdrowie, których nie potrafili dać im lekarze.

– Tylko on mnie został – zgięta chorobą staruszka pochlipywała, pociągając nosem. Palcem pokazywała drzwi, za którymi przyjmował znachor. – Tylko on. W brzuchu pali, jakby kto ogień położył. Rak jaki, czy co? Sama nie wiem – dzieliła się ze wszystkimi swoim nieszczęściem.

Julia była w gabinecie znachora już od kwadransa. Michała niepokoiło, że wizyta trwa aż tak długo. „Widać poważna sprawa” – myślał.

Przyjechał z żoną do Krotoszyna. Prosiła go o to, a on nie potrafił i nawet nie chciał odmówić. Dziwna choroba Julii, wymykająca się dotąd lekarskiemu szkiełku i oku, zbliżyła ich do siebie na tyle, na ile obojętnych sobie ludzi może zbliżyć niebezpieczeństwo zagrażające ich wspólnemu bytowi.

– Taj nie o garb mnie chodzi – staruszka gestykulowała przed siwym mężczyzną. – Ja do garba przywykła. Tu pali, o tu – dotykała ręką brzucha. – A waszej to co dolega? – zaczęła Michała. – Długo ją doktor bada, musi chora mocno.

– Nie wiem – Michał wzruszył ramionami.

– Prawda – kobieta kiwnęła głową. – Jakby wy wiedzieli, toby tu nie przyszli.

Julia wyszła po dwudziestu minutach. – Chodźmy – powiedziała. – Po

drodze ci powiem.

Pożegnali się z oczekującymi na wizytę i wyszli.

– Doktor mówi, że to tarczyca. Jakieś zioła zapisał i do bonifratrów iść kazał.

Przemierzali w milczeniu smutne miejskie ulice, już niepokryte brudnym śniegiem i jeszcze nieumajone wiosenną roślinnością.

– To coś poważnego? – zapytał na dworcu PKS.

– Nie wiem – usiadła ciężko na ławce. – Chyba tak, bo do szpitala iść kazał.

Rok 1966

– *W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu wyciągamy do Was, siedzących tu, na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie. A jeśli Wy, niemieccy biskupi i Ojcowie Soboru, po bratersku wyciągnięte ręce ujmiecie, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze Millenium w sposób jak najbardziej chrześcijański. Zapraszamy Was na te uroczystości jak najserdeczniej do Polski. Niech tym kieruje miłosierny Zbawiciel i Maryja Panna, Królowa Polski, Regina Mundi i Mater Ecclesiae. Amen [2]* – ksiądz Jan zamknął brewiarz i bez słowa komentarza zszedł z ambony.

– Do dupy z takim kościołem! – Stefan Nowak splunął na drogę. – Ksiądz rozwała dzwonnice i w dupie ma nasze prośby!

– Chryste Panie – Gałązkowa zrobiła na piersiach znak krzyża. – Coście się, Nowak, dupy uczepili? Grzeszycie i bluźnicie jak młody jaki, a siedem krzyżyków niedługo wam stuknie. Miarkujcie się i zgorszenia nie róbcie.

– Wam, Gałązkowa, to już nic nie pomoże – Nowak kipiał złością. – Wystarczy, że chłop sutannę założy, to choćby rogi, ogon i kopyta miał, to i tak dla was święty. Za co biskupi Niemców przepraszają? No powiedzcie, za co? Za to, że wojnę zrobili i nam bronić się przyszło? Za to, że tyle ludzi zamordowali? W cholerę z nimi!

– Z Niemcami?

– Wy to, Gałązkowa, naprawdę głupia jesteście, czy tylko udajecie? Pewnie, że z biskupami. Chociaż z Niemcami też.

Szli w milczeniu przez kwitnące majem pola i łąki, a kiedy dochodzili do pierwszych zabudowań Karlikowa, Nowak zatrzymał się.

– Kto chce, niech po obiedzie do mnie przyjdzie. Dzieci z miasta przyjechały, a że mądre są, to i list do kurii pomogą napisać.

– Nikt nie może dwóm panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i mamonie – wikary Kazimierz zamilkł. Przyglądał się z ambony zgromadzonych w kościele, ale nie szukał

konkretnej osoby. Na plebanię wprowadził się zaledwie dwa tygodnie temu i wszystkie twarze były dla niego jednakowo obce. – Drogie siostry i drodzy bracia w Chrystusie Panu – mówił stremowany. – To moje pierwsze spotkanie z wami i proszę o wybaczenie, jeśli kazanie nie będzie takie, jakiego każdy z was by oczekiwał. Ksiądz Jan okazał wielkoduszność i dzisiaj mogę odprawić mszę, ale jak dobrze wiecie, początki są trudne. I dla mnie dzień dzisiejszy nie jest łatwy. Nie jest łatwy także dlatego, że święty Mateusz słowami swojej ewangelii stawia nas przed trudnym wyborem. Chce, żeby każdy z nas odpowiedział sobie, kto jest jego panem: Bóg czy mamona, a prościej mówiąc – Bóg czy dobra doczesne. Wybór jest trudny, bo nie można pogodzić jednego z drugim. Opowiem wam historię, jaka miała miejsce w mojej poprzedniej parafii – powoli opanowywał zdenerwowanie. – Otóż mieszkało tam dwoje starszych ludzi. Byli małżeństwem, ale Pan Bóg nie obdarzył ich potomstwem. Oboje chorowali, a kiedy nie byli w stanie pomóc sobie nawzajem, poprosili sąsiadów o opiekę. Ich sąsiedzi byli bogatymi ludźmi, którzy każdej niedzieli chodzili do kościoła, dawali na tacę i nie żalowali pieniędzy na budowę plebanii. Staruszkowie wiedzieli o tym i byli pewni, że od takich ludzi dostaną dobrą opiekę. Całe gospodarstwo, a nie było ono małe, całe pole i wszystkie zwierzęta przepisali na nich, a oni zobowiązali się do dożywotniej opieki. Staruszek umarł szybko, ale kobieta żyła jeszcze kilka lat. Kiedy i ona umarła, proboszcz odprawił uroczystą mszę, a w kazaniu pochwalił sąsiadów za troskliwą opiekę. Zdziwił się, że przez kościół przetoczył się wtedy pomruk niezadowolenia. „Jak ksiądz mógł to powiedzieć?” – jedna z kobiet po pogrzebie podbiegła do proboszcza. „To nie katolicy są, ale katy!” – mówiła oburzona. „Zastraszili staruszków, nikomu nie pozwalali ich odwiedzać. Moje świnie w chlewie czyściej miały jak oni w pokoju. Wszystko im zabrali i tylko czekali, kiedy umrą. Pewnie, że do kościoła chodzili, na tacę dawali, spowiadali się i aż dziw, że ksiądz proboszcz o niczym nie wiedział!” – nie mogła opanować oburzenia.

Wikary zamilkł, obserwując skupione twarze wiernych.

– Moi drodzy – mówił już po chwili. – Czy nie jest to najlepszy przykład na potwierdzenie słów świętego Mateusza? Niech każdy z was rozważy to w swoim sumieniu. Amen.

– Ten nowy wikary to nieźle proboszczowi przygadał – Nowak z uznaniem kiwał głową.

– Ale proboszcz niczego nie wiedział – Gałązkowa rozłożyła ręce. – Przecie z tego mu się nie spowiadali.

– Oj, Gałązkowa, Gałązkowa! – pokręcił głową. – Nie o tamtego proboszcza mi chodzi, tylko o naszego. Wy to chyba już niczego nie zrozumiecie.

– Pani młoda jeszcze, a mój koniec blisko – staruszka z trudem odwróciła się na bok. – Sto lat na urodziny śpiewają, ale na co to komu? – uśmiechnęła się smutno. – Ja już dwadzieścia pięć lat sama na tym świecie. Mój pomarł, dzieci poszły na swoje i sama ja została. Jak kamień u nogi ja dla wszystkich, całkiem nikomu niepotrzebna. Jak ta wierzba spróchniała, co ją robactwo toczy, tak i moje życie podobne – dwie łzy popłynęły po pooranej zmarszczkami twarzy.

– Niech pani tak nie mówi – Julia gładziła kobietę po twarzy. – Dzieci zajęte swoimi sprawami, jak wszystkie, ale przecież o pani nie zapominają.

– Prawda, nie zapominają – staruszka zamknęła oczy. – Na święta do mnie zachodzą. Dwa razy na rok. Ja taka rada wtedy, pani Julio, taka rada – przykryła twarz rękoma i z trudem tłumiała płacz. – Dawniej świat nie taki był. Dzieci przy matce i ojcu do końca byli, za rękę trzymali, kiedy zemrzeć im przychodziło. Teraz inaczej całkiem. Mówią, że nowocześnie, a mnie ten stary świat podobał się, pani Julio. Stary człowiek poważanie miał, a teraz jak ten śmieć jest, co go nikt nie chce.

Julia usiadła na łóżku. Chciała pomóc, pocieszyć, ale nie wiedziała, jak ma to zrobić. „Swojej samotności nie potrafię zaradzić, a innych chcę pocieszać?” – targały nią wątpliwości.

– Pani Zofio – dotknęła wychudzonej, żółtej jak wosk dłoni staruszki – jest pani potrzebna. Swoim dzieciom jest pani potrzebna. Do kogo przyjadą na wigilię, jak pani zabraknie?

– Tak myślisz, drogie dziecko? – na twarzy kobiety pojawił się ledwie widoczny grymas, będący substytutem uśmiechu.

– Tak. Tak właśnie myślę.

– Pięć tygodni leżę, pani Julio – staruszka odgarnęła z czoła kosmyk siwych włosów – pięć tygodni. Syn i córka we Wrocławiu są, z pracy

mieszkania dostali – ścisnęła dłoń Julii. – Żadne u mnie nie było, a Trzebnica niedaleko Wrocławia. Ja im już niepotrzebna, dziecko drogie. *I jeszcze, pani Julio, ja ich rozmowę słyszała. Mleko w sieni z wiadra do bańki ja przelewała, coby do mleczarni odstawić, a one mówiły głośno. Dom po mojej śmierci chcą sprzedać. Serce mnie tak zakłóło, że nie do wytrzymania. No bo jak sprzedać ojcowiznę? Jak? Córkę ja w tym domu urodziła, mój, jak pomarł, trzy dni w tym samiuśkim pokoju leżał. Dzień i noc ja przy nim była i modliła się ja za duszę jego. Na tej samej kanapie ja córkę rodziła, mąż mi pomarł i ja dalej spała nim do szpitala przywieźli mnie. A oni chcą to wszystko sprzedać. Przyjdzie nie wiadomo kto, szacunku mieć nie będzie, a to świętość, pani Julio. Dla mnie to świętość.*

– Pani Zofio – lekarz stanął przy łóżku kobiety. – Dlaczego nie wzięła pani lekarstw? Dobrze pani wie, że nie można przerywać kuracji.

– Można, panie doktorze – staruszka wykonała nieporadny gest ręką. – Można.

– Co ja z panią mam, pani Zofio? A pani za dwa dni wychodzi – spojrział na Julię. – Potrzeba pani spokoju i jodu, jednym słowem morza.

– Ale ja nie mam rodziny nad morzem.

– Są sanatoria, pani Julio – lekarz uśmiechnął się. – Nikt nie mówi o rodzinie. W wypisie napiszę, że konieczne jest leczenie sanatoryjne.

Uczucie Michała i Julii bezpowrotnie zagubiło się na wojennych ścieżkach, które w ich przypadku rozeszły się w Stanisławowie. Ona pojechała dalej, a jego zabrało NKWD. Od tego zdarzenia oddzielnie doświadczali sytuacji pełnych niebezpieczeństw i niespodziewanych spotkań. W samotności szli ścieżkami, które prowadziły tam, gdzie nigdy nie byli, zmuszały do zachowań, których nigdy nie doświadczali, i poddawały próbom, których dotąd nie znali. Kiedy po latach los ponownie połączył ich drogi, ze zdziwieniem stwierdzili, że nie są już tymi samymi ludźmi. Chociaż mieszkali razem, więcej ich dzieliło, niż łączyło. Wprawdzie w codziennych zmaganiach z rzeczywistością potrzebowali siebie, jednak noce spędzali osobno.

– Jesteś moją żoną – Michał nie umiał się z tym pogodzić. – Chcę się do ciebie przytulić, chcę się z tobą kochać – powtarzał przy każdej okazji. Ona

jednak konsekwentnie odmawiała i prosiła o czas, który miał przywrócić to, co ich kiedyś łączyło. Ale upływający czas tylko utrwał to, co miał zmienić. W końcu oboje przyzwyczaili się, że tak już musi być.

Kolację jak zwykle zjedli w milczeniu.

– To wszystko nie ma sensu – powiedział Michał, wycierając usta wierzchem dłoni.

Julia, która sprzątała ze stołu, spojrzała na niego pytająco.

– To nasze życie nie ma sensu. Żyjemy jak obcy sobie ludzie, a nie jak mąż i żona.

– O co ci znowu chodzi? – odłożyła talerze i usiadła przy stole.

– Wiesz dobrze, nie udawaj!

– Przestań – wzruszyła ramionami. – Mieliśmy o tym nie mówić.

– I nie mówimy, ale mnie to męczy – zacisnął usta. – Nie rozumiesz tego?

– Jeszcze nie jestem gotowa – wstała od stołu, dołożyła węgla do kuchenki, a garnek z wodą przesunęła na środek rozgrzanego blatu. – Nic na to nie poradzę, a zmuszać się nie będę – wytarła ręce o fartuch.

– Masz kogoś? – zapytał.

– Ty to już całkiem zdurniałeś! – Julia kręciła głową. – Lepiej przynieś węgla, to może ci przejdzie.

Podniósł się ciężko, jakby na plecach miał worek pszenicy. Kiedy zakładał kufajkę, rozległo się pukanie do drzwi. Było delikatne i w pierwszej chwili myślał, że mu się tylko zdawało.

– Proszę wejść! – zawołał głośno, kiedy pukanie się powtórzyło. – O Boże! – krzyknął. Kopnięte wiadro przewróciło się z łoskotem. – Co się księdzu stało?

W progu stał wikary. Miał spuchniętą twarz i rozciętą wargę, a z kącika ust sączyła się wąska stróżka krwi.

Szli kamiennymi uliczkami Ostrowa Tumskiego. Mijali turystów, grupki

zakonników, zakonnic i kleryków podążające do katedry i studentów śpieszących na zajęcia. Drogę znali, więc kroczyli pewnie, kiedy jednak zatrzymali się przed drzwiami kurii, ogarnęło ich zwątpienie.

– Może nas za dużo? – Stefan Nowak spojrzał niepewnie na córkę.

– Dajcie spokój – Jakubowski położył dłoń na ramieniu sąsiada. – Ewa mądra jest, to nam się przyda. Nie wiadomo, jak z biskupem rozmawiać, a ona ma doktorat, to prędzej sobie od nas poradzi.

– Dobrze sąsiad mówi – milczący dotąd Kitman nerwowo poprawił krawat.

– Wiem, że sobie poradzi. O to mi tylko chodzi, że rodzic ma za dwa miesiące i spokoju jej trzeba.

– Oj, tatko, tatko – Ewa wzięła głęboki oddech. – Ty o swoje serce się martw, nie o mnie, a poza tym... – nagle zamilkła.

– Co poza tym? – Nowak ścisnął dłoń córki. – Co chciałaś powiedzieć?

– Poza tym nie myślę, żeby było nerwowo – uśmiechnęła się.

Przed oblicze biskupa jednak nie trafili. Drzwi otworzył im ksiądz, który najpierw zapytał, po co przyszli, a później zaprosił ich do kancelarii.

– To mówcie, co wam na sercu leży – gestem dłoni poprosił, żeby usiedli.

Trochę chaotycznie, ale opowiedzieli całą historię parafii, od kiedy nastał w niej ksiądz Jan.

– Tak – ksiądz zamyślił się. – Czy wasz proboszcz naprawdę taki jest, jak opowiadacie?

– Naprawdę – Nowak tłamsił czapkę. – Zgorszenie w parafii sieje, z kobietą żyje, wikarego pobił, a ludzi za nic ma. Inaczej byśmy nie przyszli, nerwów i czasu nie marnowali. Z biskupem chcemy rozmawiać.

– A ona? – ksiądz spojrzał na Ewę. – To też sprawka księdza Jana? – zaśmiał się głośno.

– To miał być żart? – dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Może? – kapłan nie przestawał się uśmiechać.

– To prostak z księdza i zwyczajna świnka – dziewczyna cedziła słowa

przez zaciśnięte zęby.

– Nas jednak ksiądz łatwo się nie pozbędzie. Chcemy rozmawiać z biskupem.

– Hola, hola! – w jednej chwili uśmiech znikł z twarzy kapłana. – Przychodzicie bez zapowiedzenia, obrażacie mnie i jeszcze macie czelność stawiać jakieś żądania? W głowach wam się całkiem poprzewracało!

– Chcemy widzieć się z biskupem! – Nowak zrobił krok do przodu. – Wpuści nas ksiądz czy mamy wejść siłą?

– Straszycie? – ksiądz stanął przy drzwiach i rozłożył ręce. – Milicja nie takich jak wy stąd wyprowadzała. Świętego miejsca uszanować nie umiecie. A zresztą biskupa nie ma i niepotrzebnie się kłócimy. List do jego eminencji napiszcie. Przeczyta, jak wróci.

– Akuratnie – Nowak zachnął się. – Trzy listy do kurii wysłaliśmy i nic.

– A czego byście chcieli? – ksiądz opuścił ręce. – Myślicie, że na każdy donos ksiądz biskup odpowiedzieć musi? Myślicie, że na każde ludzkie widzimi się proboszcza od razu zmienia? Anarchia by była, gdyby wszyscy do kościelnych spraw chcieli się wtrącać.

– To nie wpuści nas ksiądz do biskupa? – Nowak zmarszczył czoło.

– Ile razy mam powtarzać, że biskupa nie ma? Ile razy mam powtarzać, żebyście list napisali?

Kiedy wyszli, ksiądz otworzył drzwi, których tak dzielnie bronił przed delegacją. Biskup poprawił się w fotelu.

– Co to była za kłótnia? – zapytał. – Pracować w spokoju nie można. Musi ksiądz coś wymyślić, żeby awanturników do pałacu nie wpuszczać.

– Delegacja z Karlikowa przyjechała – ksiądz zasłonił firany i zapalił światło. – Na księdza Jana ze skargą.

– Znowu? – biskup machnął ręką, jakby chciał odpędzić natrętną osę. – Wikarego tam wysłaliśmy, to czego jeszcze chcą?

– Wszystkim trudno dogodzić – ksiądz usiadł przy stole. – Nie wie wasza eminencja, jak to z wsiowymi ludźmi jest? Prostactwo i ciemnota. Mnie od świni wyzwali.

– No tak, no tak – biskup zamyślił się. – Kościół zawsze był policzkowany. Taki już nasz los, ale Pan nad nami czuwa i opamiętanie im da. Pomyślą, trochę czasu minie i zapomną.

Rok 1967

– Cicho u nas jak w rodzinnym grobowcu – Michał zamieszał herbatę, dzwoniąc przy tym łyżeczką. – Natałka tak rzadko przyjeżdża, jakby o nas zapomniała.

– Kultury to ty chyba nigdy się nie nauczysz – Julia z dezaprobatą kręciła głową. – Tyle razy powtarzam, ale do ciebie to nie dociera.

– E tam – machnął ręką. Upił łyk herbaty, siorbiąc przeciągle.

– No właśnie. Do ciebie mówić to jak grochem o ścianę.

– Gorąca, inaczej nie można – odfuknął. – No, co się tak patrzysz?

– Nieważne. Ty odpoczniesz ode mnie, ja od ciebie – podeszła do okna. – Będziesz sobie siorbał do woli, dzwonił łyżeczką i nos w rękaw wycierał. Nawet ją będziesz mógł zaprosić.

– Kogo? O czym ty mówisz? Jaką ją?

– Elżbietę! – odwróciła się. – Nie udawaj, że nie wiesz. Myślisz, że nie widzę, jak na nią patrzysz? – usiadła przy stole. – Podanie o sanatorium złożyłam. Powiedzieli, że szybko dostanę.

Michał siedział przy łóżku i rozmawiał z Dmytrem, ale wzrokiem wodził za krzątającą się po izbie córką. „Dwadzieścia lat to piękny wiek” – myślał. „Tyle samo miała Katrunia, kiedy ją poznałem”.

Kasia była podobna do matki. Miała takie same brązowe i smutne oczy, takie same jak ona włosy, które tak lubił gładzić. Nawet sposób chodzenia, pełen wdzięku i łemkowskiej dumy, był taki sam.

– Charna, że aż – Dmytro dźwignął się na łóżku, wykrzywając z bólu twarz. – Całkiem do Katruni podobna, jednako z ciebie nic nie ma – przyglądał się Michałowi uważnie. – No, może charakter – uśmiechnął się. – Skryta, jak i ty, Michajło.

Jakubowski milczał. Chociaż cała ta sytuacja zdawała się go przerastać, to cieszył się, że Dmytro nie dopytywał, skąd się wziął w Porohatem Wyżnem i dlaczego teraz żyje wśród Polaków.

– Wychodzę, dziadku – dziewczyna, która dłuższy czas spędziła w pokoju obok, z torebką przerzuconą przez ramię zatrzymała się przy drzwiach. – Wrócę za dwie godziny. Do widzenia, panie Michale.

– Do widzenia – powtórzył jak echo. – Ślicznie wyglądasz.

– Dziękuję – uśmiechnęła się i wyszła.

– Narzeczonego ma – Dmytro poprawił zsuniętą skarpetę. – Mówi, że dobry chłopak z niego. W Szczepanowie mieszka i na uniwersytet jak ona chodzi. A ciebie to serce nie boli? – spojrzał zmęczonym wzrokiem.

– Mnie? – Michał przyłożył wskazujący palec do piersi.

– A ciebie. Ojciec jesteś, a córka randkę ma.

– Młoda jest – Michał podszedł do okna, odsunął firankę i wzrokiem odprowadzał córkę. – Młoda, to i randkować może. A ja do was ze sprawą przyszedłem.

– Bożeż ty mój! – Dmytro przeżegnał się. – Z jakąż znowu sprawą ty przyszedł?

– Na grób Katruni chcę pojechać – podszedł do Dmytra i położył dłoń na jego ramieniu. – Powiedzcie, jak znajdę jej grób?

– Bożeż ty mój! – Dmytro zbladł. – Czemuż ty jechać chcesz? Tam nic nie ma. Chaty spalone, ziemia chwastem porośnięta i ducha żywego nie uświadczysz.

– Sumienie! – poklepał Dmytra po plecach. – Sumienie spokoju nie daje. Tyle lat minęło, a ono gryzie jak pies. Na pogrzebie nie byłem, to chociaż kwiaty na grobie złożę.

Dmytro wstał, podpierając się na krześle, i niepewnym krokiem podszedł do kredensu. Oparł się o blat, próbując otworzyć przeszklone drzwiczki, ale zachwiał się i zatoczył. Jakubowski w jednej chwili znalazł się przy nim.

– Co z wami? – objął go oburącz.

– Słabowity jestem. Sił mnie ubywa co dnia. Jakby nie Kasia, dawno po mnie by było. Do łóżka mnie prowadź, Michajło. W kredensie pudełko jest – usiadł ciężko. – Ze zdjęciami. Poszukaj, Michajło.

Dmytro powoli wykladał fotografie, przyglądając się każdej uważnie.

Czasem uśmiechał się, czasem jego twarz poważniała i kiwał albo kręcił głową. Jakubowski siedział obok, przyglądając się w milczeniu to rozrzuconym na łóżku zdjęciom, to trzęsącym się dłońmi staruszka. „Ciekawe, czego szuka?” – myślał.

– Jest – twarz Dmytra rozjaśnił szeroki uśmiech, który jednak szybko zniknął. – Pogrzeb Katruni jest – wyciągnął dłoń ze zdjęciem. – Zobacz.

Jakubowski przyglądał się fotografii w kolorze sepii, porysowanej ostrym ołówkiem.

– Kasia, jak mała była, zdjęcie zamazać chciała – Dmytro pochylił się, zbliżając twarz do fotografii. – Ledwo z rąk my jej wyrwali. Że jej matka jest, nie wiedziała, a krzyczała, a płakała, jakby wiedziała, jakby sama na pogrzebie była – oddychał ciężko. – Jak Katrunię zastrzelił – no, ten wojskowy – tak na wsi bunt powstał. Wszystkie Łemki krzyk podnieśli, na wojsko rzucili się jak stali. Major, co wojskiem dowodził, w powietrze strzelać rozkazał i spokój zrobił. Potem gdzieś dzwonił i czas na pogrzeb dał. Tak i Katrunię my pochowali i Petra też. Jednak ciężko było wyjechać. Dzieci nasze w grobie, Kasia malutka taka, ledwie dwa dni miała. Szczęściem inna kobieta dziecko karmiła i ją przygarnęła – ciężko westchnął. – My od pogrzebu na grobie Katruni nie byli – rozcierał palcem kręcącą się w oku łzę. – I nie mogli my pojechać i nie chcieli. Taka żałość serce gniotła, że aż strach. Ty naprawdę chcesz do Katruni jechać, Michajło? – spojrzał pytającym wzrokiem.

– Tak. Sumienie każe mi tam pojechać.

– Taki ja rad, Michajło – Dmytro chwycił dłonie Jakubowskiego i przyciągnął je do ust. – Taki ja rad.

– Przestańcie! Dajcie spokój z tym całowaniem – Jakubowski usiłował wyrwać dłonie. – Nie jestem biskupem, żebyście mnie po rękach całowali.

– Wojsko niewinne było – Dmytro wycierał dłonią spływające po policzkach łzy. – Im kazali. – Jak Katrunię do grobu kładli, tak wojsko honory jej dało. Niektóre klęczeli, niektóre stali, a wszystkie czapki zdjęli. Jeden tylko zdjęcia robił i mnie potem przysłał. Jak nas znalazł, ja nie wiem, ale tu do Szczepanowa Tkaczuk zdjęcia przyniósł – Dmytro zamyślił się i w kuchni zapanowała cisza. – Wody mnie daj, Michajło – Łemek głośno przełknął ślinę. – O, lepiej mnie teraz – odstawił blaszany garnuszek. – Nim

ze wsi my wyjechali, na grób dzieci my poszli. Żona moja aniołka szklanego w domu znalazła. Katrunia, jak mała była, zabawkę z niego zrobiła. Raz aniołek z rąk upadł i skrzydełko ułamało się. Katrunia bardzo płakała. „On chory” – mówiła. Z Makryną my ziemię rozgarnęli i aniołka na trumnie położyli. Dziw, że głęboko jej nie zakopali. Tak i razem Katrunia z aniołkiem przy jesionie leży.

– Jezus natomiast udał się na Górę Oliwną, ale o brzasku zjawiał się znów w świątyni. Cały lud schodził się do Niego, a On, usiadłszy, nauczał ich. Wówczas uczeni w Piśmie i faryzeusze przyprowadzili do Niego kobietę, którą pochwycono na cudzołóstwie, a postawiwszy ją pośrodku, powiedzieli do Niego: „Nauczycielu, tę kobietę dopiero pochwycono na cudzołóstwie. W Prawie Mojżesz nakazał nam takie kamienować. A Ty co mówisz?”. Mówili to wystawiając Go na próbę, aby mieli o co Go oskarżyć. Lecz Jezus, nachyliwszy się, pisał palcem po ziemi. A kiedy w dalszym ciągu Go pytali, podniósł się i rzekł do nich: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień”. I powtórnie nachyliwszy się, pisał na ziemi. Kiedy to usłyszeli, wszyscy jeden po drugim zaczęli odchodzić, poczynając od starszych, aż do ostatnich. Pozostał tylko Jezus i kobieta stojąca na środku – ksiądz Jan zamknął brewiarz i oburącz wsparł się na ambonie. Milczał, wodząc wzrokiem po twarzach wiernych i cały czas kiwał głową, jakby się litował nad nieszczęśnikami zgromadzonymi w kościele, których za chwilę pochłonie ogień piekielny. – Tak napisał święty Jan – rozpoczął wprost, bez zwyczajowego „Drodzy bracia i siostry w Chrystusie Panu”, do czego zdążyli się już przyzwyczać. – Dzisiejsza ewangelia opowiada o faryzeuszach, którzy donoszą Jezusowi na kobietę lekkich obyczajów. Przykro to mówić, ale w naszej parafii ani faryzeuszy, ani kobiet lekkich obyczajów nie brakuje. Dziwicie się? – tryumfował, kiedy przez kościół przebiegł głośny pomruk. – Otóż dawniej faryzeuszami nazywano ludzi wykształconych, którzy dobrze znali Pismo Święte. Jednym słowem faryzeusze to byli ludzie mądrzy. Przykro mówić, ale takich w naszej parafii na palcach jednej ręki mógłbym zliczyć. Tak, na palcach jednej ręki – podniósł dłoń. – Ale dzisiaj czasy mamy inne – mówił już po chwili. – Dzisiaj faryzeuszami nazywa się ludzi fałszywych i obłudnych. Tak, fałszywych i obłudnych, a takich u nas dostatek, oj dostatek. Kobiet lekkich obyczajów też nie brakuje. Myślicie, że kłamie? – wychylił się z ambony. – Tajemnica spowiedzi mnie obowiązuje,

to nazwisk nie podam, ale w parafii rozpusta szerzy się jak w Sodomie i Gomorze. Niejeden z was zdziwiłby się, do czego jest zdolna jego żona! – zawiesił głos, a w kościele zapanowała zupełna cisza. – Niejedna z was zdziwiłaby się, jak żyje jej mąż. A przecież wszystkiego nie wiem. Do komunii wszyscy jak jeden idą, ale do spowiedzi już nie. We Wrocławiu się spowiadają, swojego proboszcza się wstydzą – wytarł usta chusteczką. – Podłość ludzka nie zna granic – kontynuował kazanie. – Jak można na swojego proboszcza donosy robić? Jak można wtrącać się w jego życie? Czy ja – położył dłoń na piersi – wtrącam się w wasze? Jeżeli to robię, to tylko w obronie świętego miejsca, jakim jest kościół! – uderzył pięścią w ambonę. – Nie może tak być – mówił już spokojniej – że gzi się jedna z drugą bez ślubu, a potem z brzuchem przed ołtarzem staje i o święty sakrament prosi. Nie może tak być i nie będzie – znowu podniósł głos. – Ja takiej ślubu nie dam. Niech sobie innego księdza szuka. A pijaństwa i złodziejstwa ile w parafii jest, to lepiej ode mnie wiecie. Żony bijecie, na kościół płacić wam ciężko, ale na wódkę to pieniądze zawsze są – wziął głęboki oddech. – I tacy ludzie potrafią swojego proboszcza przed biskupem błotem obrzucić. Tacy podli ludzie. Tyle razy was prosiłem, abyście się do mojego życia nie wtrącali i co? I nic! Moje prośby nic nie dały. Jednak modłę się za was bez ustanku. Modłę się do Pana naszego, aby opamiętanie wam dał, a tych najbardziej zajadłych, tych zapiekłych w ślepej nienawiści do Kościoła świętego i do mnie, tych, dla których już znikąd pomocy nie ma, aby tych przykładnie ukarał. Amen.

„Cukier, mąka, cukier waniliowy” – Julia wykladała z kredensu torebki, powtarzając półgłosem nazwy składników. Natalia i Robert z Dorołką zapowiedzieli swój przyjazd już jutro i chciała upiec ciasto z kruszonką, które bardzo lubili.

Tęskniła za córką i wnuczką. Ich przyjazdy, ostatnio coraz rzadsze, wносиły radość i młodzieńczy optymizm, których tak bardzo jej brakowało. Relacje z Michałem nie uległy żadnej zmianie. Chociaż mieszkali razem, to emocjonalnie w dalszym ciągu nic ich nie łączyło. Nie mogła, nie umiała i chyba nie chciała tego zmienić, mimo prób, które on często podejmował. Zauważyła nawet, że im on bardziej starał się zbliżyć, tym ona bardziej się od niego oddalała.

– W pani duszy jest zadra – usłyszała kiedyś od lekarza, któremu

odważyła się opowiedzieć historię swojego małżeństwa. – Żyje pani z poczuciem winy z powodu przelotnego romansu i jednocześnie obwinia męża za to, że go wtedy przy pani nie było. Nie ma na to lekarstwa, bo nie ciało tutaj jest chore, ale dusza.

– Czy to znaczy, panie doktorze – zapytała wtedy – że tak pozostanie już do końca?

– No cóż – lekarz zamyślił się. – Trudne pytanie i trudna odpowiedź. W którym roku mąż do pani wrócił?

– W 1956, po amnestii.

– No więc trwa to już jedenaście lat. Jeśli przez ten czas nie udało się wam odbudować normalnych małżeńskich relacji, to problem jest poważny. Domyśla się pani, o co mam na myśli?

Kiwnęła głową, że wie.

– Zwykła codzienność i zwykłe drobne sprawy, którymi żyjecie, dotąd niczego nie zmieniły i obawiam się, że niczego już nie zmienią. Tutaj potrzebny jest wstrząs – spojrzał jej prosto w oczy. – Pani wstrząs.

– Nie rozumiem – powiedziała przejęta. – Jaki wstrząs?

– Musi się wydarzyć coś, co zburzy system wartości i uprzedzeń, jaki pani w swojej psychice wytworzyła.

– Nadal nie rozumiem.

– A ja nie wiem, co tym wstrząsem może być – lekarz rozłożył ręce. – Wiem tylko, że jeśli to się stanie, będzie pani miała szansę na budowanie od początku swojego związku z Maciejem.

– Z jakim Maciejem?

– No, z pani mężem.

– On ma na imię Michał – uśmiechnęła się po raz pierwszy.

„Rodzynki, mleko, jajka” – powtarzała w myślach.

– O Boże! – zawołała przejęta, kiedy odwinęła szary papier, w który zapakowane były drożdże. Brunatna, kleista maź wolno wypływała na stół, wypełniając kuchnię nieprzyjemnym zapachem.

„Sklep już zamknięty” – pomyślała, patrząc na ścienny zegar, który pokazywał dziewiątą. „Ciekawe, czy Michał zechce pójść po drożdże do Nowaków? W końcu to jego córka i wnuczka mają przyjechać”.

Zapukała do drzwi i nasłuchiwała. Kiedy nie odpowiadał, nacisnęła klamkę. Michała w środku nie było. „A ten gdzie się podział?” – pomyślała. Nie miała ochoty wychodzić z domu, ale musiała to zrobić. Wiedziała, że Elżbieta często wypieka ciasto i że drożdże prawdopodobnie ma. Ubrała się pospiesznie i wyszła na dwór. Szła szybko, potykając się w ciemnościach na piaszczystej drodze. Wkrótce stanęła przy furtce sąsiadów. Dom Nowaków tonął w ciemnościach. „Dziwne” – pomyślała. „Tak wcześnie poszli spać?”.

Pchnęła drewnianą furtkę. Cicho zaskrzypiała, a na podwórzu zaszczekał pies. Była już przy drzwiach, kiedy zobaczyła wąską smugę światła. „No tak” – pomyślała. „Nie śpią, tylko zamknęli okiennice”.

Nie wiedziała dlaczego, ale podeszła do okna. Zbliżyła twarz do pionowej smugi światła. Przez wąską szparę zobaczyła spodnie Michała leżące na stole.

„Co jest?” – zdziwiła się. Ujęła jedną z okiennic i ostrożnie pociągnęła do siebie. Poddała się z oporem, ale bez skrzypienia. W świetle stojącej na stole świecy zobaczyła ich oboje. Elżbieta leżała na tapczanie i udami obejmowała głowę klęczącego Michała.

– Co ci się stało? – zagadnął, kiedy wrócili z przystanku PKS. – Dzieci pojechały, to chyba możesz powiedzieć, co?

Nie odpowiedziała, tylko zabrała się za zmywanie naczyń. Widok męża i sąsiadki w miłosnym uścisku wstrząsnął nią do głębi. Była rozdrażniona i zła.

„A co mnie to wszystko obchodzi?” – powtarzała w myślach. „Niech robi, co chce. Jest mi wszystko jedno i tak z nim nie śpię. Ale Elżbieta? Czterdziestopięcioletnia kobieta?”.

I nagle przypomniała sobie rozmowę dzień po powrocie Michała z więzienia.

– Jak minęła noc poślubna? – zapytała ją wtedy Elżbieta. – Opowiadaj. Tyle nie byliście razem. Wiesz, tak sobie myślę, że długie rozstanie ma jedną dobrą stronę, bo zbliża ludzi. Nie to, co w moim małżeństwie.

– W twoim małżeństwie? – zdziwiła się wtedy. – Przecież życie w zgodzie. Nawet ksiądz Władysław daje was za przykład.

– To wszystko pozory, tylko pozory. Stefan dobry jest, nie powiem, ale... no wiesz, pięćdziesiąt osiem lat na wiosnę skończył.

Rzuciła ścierkę. Pomyje wylały się na podłogę.

Michał zamknął się w pokoju. Przez uchylone okno obserwował koguta uganiającego się za kurami. „Ten to ma zdrowie” – uśmiechnął się, kręcąc głową.

Leżał na plecach z rękoma złożonymi na karku i wpatrywał się w sufit. „Do dupy takie życie” – myślał. „Kiedyś było inaczej. Kuty, Rybaki, Czeremosz. Gdzie ta miłość? Dlaczego ona teraz mnie ignoruje?”. Kiedy jednak przywołał w pamięci Katrynę, jego nastrój nagle się zmienił. „No tak” – skonstatował. „Nie mogę w Julię rzucić kamieniem. Cholerny świat, pieprzona wojna”.

Odwrócił się na bok, kładąc rękę pod głowę. „Julia, Katryna, Elżbieta” – jego twarz wykrzywił gorzki uśmiech. Trzy kobiety. Tak różne i tak dla niego ważne.

Z Elżbietą szybko znalazł wspólny język. Pamięta ten wieczór pod lasem, kilka miesięcy po powrocie z więzienia. Poszedł wtedy po krowę, ale ona pasła się w najlepsze. Nie chciał zabierać jej z pastwiska, w domu nie czekały żadne pilne sprawy, więc usiadł pod dębem, opierając plecy o zwalisty, poorany bliznami od piorunów pień. „Dobrze, że nie ma burzy” – pomyślał wtedy. Wiedział, że w czasie burzy i deszczu ludzie chowali się pod drzewami, ale nigdy pod tym dębem.

– Wy uważać – ostrzegał Hans Reitner, zanim wywieźli go do Niemiec. – Tam bić piorun. Dwa człowieki tam zginać.

Elżbieta też przyszła po krowę i podeszła do niego.

– Siadaj – klepnął wtedy dłonią ziemię. – Dajmy im jeszcze pół godziny.

Usiadła obok. Usiadła tak blisko, że ich ramiona zetknęły się i wtedy stało się coś dziwnego. Ujął jej dłoń, a ona jakby na to czekała. Wprawdzie pogroziła mu palcem, ale oparła głowę na jego ramieniu. Tak zaczął się ich romans. Rzadko się widywali, ale ich spotkania pełne były szaleństwa i namiętności. Starali się przy tym zachować ostrożność i byli pewni, że nikt

nie wie, co ich łączy. Zwątpili po ostatnim kazaniu księdza Jana, ale nie mieli tyle siły, aby zakończyć ten związek.

„Katryna” – splótł dłonie na piersiach – „urodziła mi córkę, a ja nie byłem na jej pogrzebie. Nie byłem nawet na jej grobie” – przygryzł wargę. Postanowił, że dotrzyma słowa, które dał Dmytrowi, i przy najbliższej okazji pojedzie do Porohatego Wyżnego.

– A co pan ma dzisiaj dla mnie? – Julia z miłym uśmiechem przywitała listonosza.

– Nie wiem, pani Julio – listonosz speszył się. – Ale to jakieś urzędowy list.

Zamknęła drzwi i usiadła przy stole z kopertą w dłoni. Przypomniała sobie rok 1946, kiedy czekała na wiadomość od Michała, a stary Tkaczuk przyniósł jej list od Izaaka. Wkrótce przyjechał on sam. „To były najszczęśliwsze dni w moim życiu” – pomyślała. „Dwadzieścia lat. Jak ten czas szybko leci. Izaak już nigdy się nie odezwał, stary Tkaczuk umarł, a teraz listy roznosi jego syn. Niby tradycja w rodzinie została, ale to już inne pokolenie. Stary Tkaczuk wiedziałby, co to jest za pismo i czego dotyczy” – pokręciła głową i uśmiechnęła się.

Nożem otworzyła kopertę.

– Skierowanie do sanatorium – przeczytała na głos i szybko przejrzała treść zawiadomienia. – 24 sierpnia, Ustka – ucieszyła się. – Sam koniec lata.

Michał obserwował żonę od kilku dni. Ciągle przeglądała szafę, przymierzała sukienki i bluzki, a maszyna do szycia z Łuczniaka ciągle była rozłożona. Coś szyła, przerabiała, prała i prasowała. Wyłużona walizka powoli się wypełniała.

Dwa razy była we Wrocławiu. Domyślił się, że na zakupach, kiedy zauważył nowe buty na wysokim obcasie. Wiedział, że szykuje się do wyjazdu, ale nie miał odwagi zapytać, dokąd się wybiera.

„Nie twój interes!” – był pewien, że tak mu odpowie, o ile w ogóle będzie chciała mówić.

– Pojutrze wyjeżdżam nad morze – oświadczyła niespodziewanie, kiedy rozpalał w piecu.

Odłożył gazetę i zapałki.

– Jak to, nad morze? – zdziwił się. – Nad jakie morze?

– A jakie morze niby mamy? Czerwone? – kpiła. – A może Czarne?

– Nie o to mi chodzi – tłumaczył się. – Chciałem zapytać, do kogo jedziesz. My nie mamy nad morzem rodziny.

– No i dobrze – odwarknęła. – Rodzina nie jest potrzebna, a ty powinieneś się cieszyć. Dom będzie pusty. Nikt wam nie będzie przeszkadzał.

– Nie wiem, o czym mówisz? – poczuł, że podłoga usuwa mu się spod nóg.

– Nie udawaj – usiadła przy stole. – Zresztą nieważne. Tak jak wszystko w naszym życiu. – Sanatorium w Ustce dostałam – powiedziała po chwili.

– A wiesz, że ja też chyba wyjadę – usiadł obok.

– A jedź sobie, gdzie chcesz. Ją też możesz zabrać.

– W góry pojedę, w Beskidy.

– Mało ci wojny było? – spojrzała zdziwiona. – Co ciebie tam ciągnie?

– Nie wiem – skłamał – ale czuję, że powinienem pojechać.

– Szlag by to trafił! – Nowak nie wytrzymał, kiedy zamknęły się za nimi drzwi kurii biskupiej. – Znowu nas splawili. To wszystko jedna sitwa. Razem ze sobą trzymają i krzywdy swoim zrobić nie pozwolą!

– Macie rację, sąsiedzie – Kitman splunął na chodnik. – Bawią się z nami jak kot z myszą, a wikary dalej u ludzi mieszka.

– Najgorsze, że proboszcz w nos nam się śmieje. Firanek nawet nie zasłania, jak gosposię pieprzy, a chłopcy ciekawskie, to i podglądają. Niemożliwe, żeby na niego rady nie było. Jak dalej tak będzie, to nam samym przyjdzie sprawę załatwić.

– O czym sąsiedzie mówicie? – Kitman przystanął. – Samosąd chcecie

zrobić?

Pociąg wjechał na stację, ale Julia nie śpieszyła się z wyjściem. Wiedziała, że w Ustce pociąg kończy bieg. Czekala, aż szkolna wycieczka z Poznania opuści korytarz. Trwało to kilka minut, ale w końcu znalazła się na odkrytym peronie. Słaby wiatr niósł od morza mieszaninę zapachów morskich wodorostów, surowych ryb oraz ropy i smarów z rybackich kutrów, cumujących w pobliskim porcie. Chwilę rozglądała się, niepewna kierunku, w jakim ma się udać, a w końcu dołączyła do młodzieży z Poznania.

– Pomogę pani – piegowaty rudzielec wyciągnął rękę.

– Dziękuję – odpowiedziała mile zaskoczona, podając walizkę. Podziękowała raz jeszcze, tym razem przy postoju taksówek.

– Sanatorium „Radość”? – znudzony taksówkarz zwłóknął się z odrapanej ławki. – To przy promenadzie. Nad samym morzem – dodał, wkładając walizkę do bagażnika wysłużonej warszawy. – Proszę wsiadać.

– Niech pani bierze pokój od strony miasta – radził kierowca, kiedy uregulowała należność za kurs.

– Uchowaj Boże od morza. Turystów wszędzie pełno, łażą promenadą do późnej nocy i spać nie dadzą.

– Chce pani pokój z widokiem na morze? – pulchna blondyna w średnim wieku, pełniąca dyżur w recepcji, przeciągle ziewnęła. – Przepraszam – usprawiedliwiała się. – To zmęczenie.

– Tak – Julia zapomniała o przestrodze taksówkarza. – Proszę o taki pokój.

– Na trzecim piętrze może być? – blondyna przeglądała jakieś papiery.

Pokój był dwuosobowy, a na łóżku przy oknie stała wypchana torba podróżna.

– Ktoś mnie uprzedził – pomyślała. – Gdybym była pierwsza, też zajęłabym to miejsce.

Wyszła na balkon. Był pusty, z metalową balustradą, oddzielony ażurowymi ściankami od balkonów z sąsiednich pokoi. Budynek sanatorium

stał tuż przy promenadzie. Po drugiej stronie ruchliwego deptaka rósł szpaler młodych drzew, a za nimi był szeroki chodnik, z którego schodziło się prosto na plażę.

– A więc tak wygląda Bałtyk – powiedziała półgłosem, kierując wzrok nad wierzchołkami drzew ku lekko pofalowanemu morzu.

– Dzień dobry – usłyszała nagle za sobą i odwróciła się. W balkonowych drzwiach stała zgrabna i ładna brunetka około czterdziestki.

– Ale mnie pani wystraszyła – powiedziała. – Nie słyszałam, jak pani weszła.

– Jaka pani? – kobieta uśmiechnęła się. – Mam na imię Agata. Będziemy mieszkały razem.

– A ja jestem Julia – wyciągnęła rękę. – Julia Jakubowska.

W pokoju panował półmrok i chociaż wszystko było przez Kasię poukładane i posprzątane, czuć było nieprzyjemną woń moczu, rozgrzanego kuchennego blatu i gotujących się dla świń kartofli.

– Gdzie mnie umierać przyszło? – z ust Dmytra, pochylonego nad wiadrzem, sączył się śluz zmieszany z krwią. – Na obcej ziemi. Całkiem na obcej ziemi. Płuca chore, w nogach niemoc jakaś. Pora mnie do Makryny, Michajło.

– E tam – Jakubowski starał się nadać głosowi łagodne brzmienie. – Od razu do Makryny byście chcieli. Wnuczkę macie, dla niej żyć trzeba.

– Ty mnie pocieszać chcesz, Michajło? – Dmytro z trudem łapał powietrze. – Ty mnie? Ja dla niej ciężar taki jak dębowa kłoda. Tyle roboty ma, tyle nauki i ja jeszcze. Ciężko jej, oj, ciężko – zajęczał. – Zobacz, Michajło, czy kartofle gotowe.

Jakubowski podniósł przykrywkę kotła. W jednej chwili pomieszczenie wypełniły kłęby pary, a krople wody spadały z sykiem na kuchenny blat. Z łatwością wcisnął postawioną na sztorc przykrywkę w miękkie kartofle.

– Uparowane! – zawołał.

– To Kasię wołaj, Michajło – Dmytro poprawił się na łóżku. – W pokoju

uczy się. Przerwę niech zrobi, kartofle utłucze i żryć świniom da.

– Ja sam to zrobię – Jakubowski przesunął kocioł na brzeg kuchni. – Gdzie macie tłuczek i otręby?

– W sieni, Michajło. W sieni za szafką tłuczek, a ospa w worku. Oj, dobry z ciebie człowiek.

Jakubowski odcedził i utłukł kartofle, przygotował całe wiadro żarcia i poszedł do obory.

– Te wasze świnie tak kwiczały, jakby tydzień nie jadły – mówił po powrocie, wycierając ręce o spodnie.

– Żyrte są, Michajło – twarz Dmytra wykrzywił słaby uśmiech. – Choćby ty pięć razy na dzień je karmił, zawsze im mało.

– Słuchajcie, Dmytro – Jakubowski przysunął krzesło do łóżka. – Mówiłem, że na grób Katruni chcę pojechać.

– Ty chciał powiedzieć, że rozmyślił się? – Łemek uniósł się na łokciach, a na jego twarzy pojawił się smutek.

– Nie, nie – Michał uśmiechnął się. – Chciałem wam powiedzieć, że za dwa dni tam jadę.

Kitman i Zawadka siedzieli przy stole, a Nowak rozkładał kieliszki.

– Wypijemy po jednym – powiedział i wyciągnął z kredensu butelkę żołądkowej gorzkiej.

– Dla odwagi, bo z księdzem przeprawa trudna będzie.

– Ale tylko po jednym, sąsiedzie – Zawadka splótł dłonie. – Odwagi nam trzeba, ale trzeźwość obowiązkowo musi być.

Właśnie wznosili toast za pomyślne załatwienie sprawy, kiedy usłyszeli jakiś hałas.

– To w sieni – Nowak odłożył kieliszek. – Poczekajcie, sprawdzę. Zanim podniósł się z krzesła, ktoś zapukał do drzwi. – Otwarte – powiedział głośno. – Proszę wejść. To wy, Gałązkowa? – zdziwił się i szybko przykrył dłonią kieliszek.

– A ja! Co, nie poznajecie mnie? – kobieta ujęła się od boki. – Kieliszka nie chowajcie jak młodzik jaki i mnie nalejcie.

– Po coście Gałązkowa przyszli? – Nowak nalewał wódkę dla niespodziewanego gościa. – My z delegacją zaraz do księdza idziemy.

– Ja w tej sprawie do was przysła – Gałązkowa wypła jednym haustem. – Nie może być, żeby on gził się na plebanii, a wikary po ludziach się włóczył – wytarła usta rękawem. – Zgorszenie ino robi, dzieciów od Kościoła odpycha, antychryst jeden.

– A wam to co się, Gałązkowa, stało? – Nowak nie wierzył własnym uszom. – Złego słowa na proboszcza powiedzieć przy was nie było można. Skąd u was taka zmiana?

– Bom głupia była! – spuściła głowę. – Głupia i zaślepiona. Chłop w sutannie dla mnie święty był. Tako matka i babka mnie uczyły, a ja im wierzyła. Oj, głupia ja była, głupia.

– Dajcie, Gałązkowa, spokój z tą samokrytyką – Zawadka zdjął okulary i przecierał przekrwione oczy. – Tak, jak mówicie, powinno być, ale księdzu Janowi do świętości więcej niż wam brakuje. W ogóle to wszystko to jest jedna wielka lipa.

– Że niby co? – Gałązkowa spojrzała pytająco. – Co jest lipa?

– No, ten nasz Kościół katolicki, to prowadzenie nas do Boga.

– W imię Ojca i Syna – przeżegnała się. – Co wy, sąsiedzie, mówicie? Błuznierstwa jakieś wypowiadacie.

– Jak się nad tym, Gałązkowa, zastanowić, to głupstw nie opowiadam – tłumaczył Zawadka. – Jeszcze przed wojną dużo na ten temat czytałem, a i teraz w bibliotece możecie ciekawe książki wypożyczyć.

– Ja tam książków nie czytam – Gałązkowa machnęła ręką. – W kościele ksiądz wszystko powie.

– No właśnie! – Zawadka uśmiechnął się. – No właśnie! Powie wam to, co wy chcecie usłyszeć i to, co on chce, abyście usłyszały.

– Co też wy, Zawadka, mówicie? Mnie, prostej babie, pojąć to trudno. Ja tam jemu wierzę. Żeby tylko łajdaczyć i gzić się przestał.

– W książkach piszą, że religię i Boga wymyślili ludzie – Zawadka chętnie dzielił się swoją wiedzą. – Religia zawsze była dla ludzi prostych i biednych, którym na ziemi źle się powodziło. Czy można było jakoś ulżyć ich losowi? Można, ale swoim majątkiem musieliby podzielić się bogacze, a oni nie zamierzali tego robić. Wtedy właśnie pojawili się ludzie nazywani prorokami, którzy mówili, że po śmierci wszyscy będą równi, że nie będzie bogatych i biednych, że Pan Bóg na Sądzie Ostatecznym ludzi złych wtrąci do piekła, a sprawiedliwym da zbawienie wieczne.

Kitman, Nowak i Gałązkowa słuchali z zaciekawieniem, a Zawadka kontynuował swoją opowieść.

– Po prorokach przyszedł Jezus, który powiedział, że jest Synem Bożym i że umrze na krzyżu za ludzkie grzechy, aby wszystkim dać zbawienie. Jezusowi pomagali uczniowie, którzy po jego śmierci głosili to, co on za życia im przekazał. To właśnie apostołowie stali się początkiem Kościoła, który najpierw był prześladowany, ale później stał się instytucją potężną, bogatą i wpływową. Dzisiaj prowadzi rozliczne interesy, a najważniejsze dla niego nie jest zbawianie ludzi, ale to, aby mieć ich przy sobie jak najwięcej. – Sąsiedzie, dajcie wody, bo mi w gardle zaschło – Zawadka kiwnął na Nowaka. – Jak najwięcej – odstawił szklankę – bo ludzie to pieniądze. Na tacę, za śluby, chrzciny, pogrzeby i zamawiane msze święte. Ludzie, to pieniądze na remont kościoła, plebanii i dostatnie życie księży i biskupów.

– A niechby i tak było – Gałązkowa machnęła ręką. – Tylko żeby babów nie mieli.

– Oj, Gałązkowa, Gałązkowa – Zawadka pokiwał głową. – Przypomnijcie sobie młode lata. Nie oglądałyście się za chłopakami? A za wami to chłopcy nie latali?

– Oj, latali, jeszcze jak latali – rozmarzyła się, ale szybko spoważniała. – A wam nic do tego. To moja sprawa.

– Oczywiście, że to wasza sprawa. Mówię tak ogólnie, bo każdego chłopca do baby ciągnie, to i księdza też. Tylko tak jest, Gałązkowa, że miastowi o swoich księżach i ich kobietach nic nie wiedzą, a my na wsi wiemy wszystko. Nawet jakby w mieście proboszcz wikarego wyrzucił, to mało kto by wiedział. Nie to, co u nas.

– Ale ksiądz postępowy bardzo – milczący dotąd Kitman mrugnął do

Zawadki. Uświadomienie w parafii szerzy. Chłopy w nocy przez okna na plebanię zaglądnę, a później to samo z żonami robią.

– Tfu! – Gałązkowa splunęła na podłogę. – Przestańcie takie świństwa opowiadać.

Ustalili, że poproszą proboszcza, aby zgorszenia dłużej nie robił i pozwolił wikaremu zamieszkać na plebanii.

– Jak już, Gałązkowa, jesteście, to chodźcie z nami – Nowak założył odświętną marynarkę. – Ze Szczepanowa jeszcze do nas dołączą, to różnie będzie.

– A pewnie, że pójdę – kobieta obracała w palcach pusty kieliszek.

Poszli w siedem osób, ale znowu nic nie załatwili.

– Nie mamy o czym rozmawiać! – ksiądz Jan krzyczał zza zamkniętych drzwi. – Jak dalej będziecie mnie nachodzić, to milicję wezwę. Że też człowiek we własnym domu spokoju mieć nie może!

Michał zapukał dwa razy, odczekał chwilę i znowu zapukał. Nasłuchiwał, ale za drzwiami panowała cisza. „Co jest?” – pomyślał. „Czyżby zapomniała?”. Kiedy podniósł rękę, aby powtórzyć pukanie, drzwi uchyliły się.

– Wejdz, proszę – usłyszał szept Elżbiety. – Nikt ciebie nie widział? – prowadziła go za rękę przez ciemny korytarz.

– Nie, nikt.

– A Julia?

– Przecież jest w sanatorium. Zapomniałaś?

– A tak, przepraszam. To wszystko nerwy – pocałowała go. – Wiesz, wydaje mi się, że Stefan coś podejrzewa.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie wiem, może to kobieca intuicja?

– Julia przed wyjazdem też była jakaś dziwna – przypomniał sobie zachowanie żony po wizycie Natalii i Roberta. – Sądysz, że ich coś łączy?

– No coś ty – wtuliła się w jego ramiona. – Stefana kobiety już dawno przestały interesować. Ale nie rozmawiamy o nich – zaczęła go rozbierać.

Leżeli w ciemnościach, złączeni w miłosnym uścisku dwóch nagich ciał.

– Muszę ci coś powiedzieć – przygryzł delikatnie jej ucho.

– Uhm – zamruczała, mocniej ściskając jego ramię. – Jak musisz, to mów.

– Muszę, bo nie daje mi to spokoju. Nie wiem, może przez to z Julią mi się nie ułożyło...

– Coś kręcisz – położyła kolano na jego udzie.

– Miałem romans – słowa ledwie przecisnęły się przez ściśnięte gardło.

– No wiesz! – usiadła na łóżku. – Jak mogłeś mi coś takiego zrobić? Jesteś cham skończony! – rozplakała się. – A ja ci tak wierzyłam! Wszystko ci oddałam! Wyjdź stąd!

– Uspokój się, proszę – już żałował, że zdradził swój sekret. – To było dawno, dwadzieścia lat temu, tuż po wojnie.

– Przepraszam – położyła głowę na jego ramieniu. – Myślałam, że teraz, tu, w Karlikowie. Zrobiło mi się przykro, bardzo przykro.

– Nie, w czterdziestym szóstym, w Beskidach – gładził jej włosy. – Taka wojenna przygoda. Żałuję, ale wiesz, jakie to były czasy. Partyzantka, śmierć na każdym kroku.

– Ładna była?

– Ładna.

– Jak miała na imię?

– Katryna.

– Katryna? Kochałeś się z Ukrainką?

– Nie była Ukrainką. To łemkowska dziewczyna.

– Powiedziałeś o niej Julii?

– Nie.

– I dobrze zrobiłeś – przypomniała sobie wizytę Izaaka, o której przez rok

we wsi opowiadano z wypiekami na twarzy.

– Dlaczego? – zainteresował się.

– No wiesz, jak to jest. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Tobie może by ulżyło, ale wasze małżeństwo mogłoby się rozpaść.

– I tak praktycznie nie istnieje.

– Miała męża?

– Nie miała.

– No to nieźle się wpakowałaś. Utrzymujesz z nią jakiś kontakt?

– Nie.

– Wyszła za mąż? Ma dzieci? – zgadywała.

– Nie – zawahał się. – Nie żyje. Zginęła podczas wysiedlania wioski.

– Wiesz – przytulił ją mocniej – gdyby nie ty, tobym chyba zwariował.

– I nawzajem – wtuliła się w jego ramiona.

– Ładnie tu – Agata, zwrócona w stronę otwartego morza, głęboko wdychała powietrze. – Nie to, co w Łodzi.

– Mieszkasz w Łodzi?

– A nie mówiłam ci?

– Może mówiłaś, ale nie zapamiętałam.

– Łódź to brzydkie miasto, takie szare i zaniedbane. Gdybym mogła, wyprowadziłabym się stamtąd.

– A nie możesz?

– Nie, mąż jest kierownikiem w Wólczance, dobrze zarabia i to nas trzyma – schyliła się i podniosła muszelkę. – Zobacz, jaka ładna. Mnie praca z Łodzią nie wiąże. Zarobki marne, no wiesz, jak to u nauczycieli.

– Jesteś nauczycielką?

– Uhmhm – zrobiła kilka kroków, zanurzając dłoń w wodzie. – Biologii w podstawówce uczę.

– Ja nie mam się czym pochwalić. Mieszkam na wsi pod Wrocławiem, mąż pracuje w pegeerze.

– No nie, nie wierzę! – Agata odwróciła się. – Niech ci się jeszcze raz przyjrzę – lustrowała Julię od stóp do głów. – Nie wyglądasz na wieśniaczkę. Mówisz ładnie, gustownie się ubierasz, a sylwetki niejedna miastowa mogłaby ci pozazdrościć. Po prostu dama.

– Zobacz to – Julia wyciągnęła przed siebie rękę.

– Fakt – Agata na chwilę zamilkła. – Spracowane, z odciskami. Ale szybko wydelikatnieją, zobaczysz. Trzy tygodnie to dużo czasu. Jakie masz zabiegi?

– Dokładnie nie wiem. Jakieś kąpiele i chyba coś jeszcze. Lekarz powiedział, że najbardziej potrzeba mi jodu, a jego najwięcej jest na plaży.

– Tarczyca?

– Tarczyca.

– Mam to samo. No to będziemy chodziły na długie spacerzy.

– To chce ten pokój, czy nie? – niska i gruba kobieta w niemodnej sukience nie przestawała robić na drutach.

Siedziała w pomieszczeniu z niewielkim oknem i napisem „Recepcja”. Swoim wyglądem i sposobem bycia idealnie pasowała do tego obskurnego miejsca, które ktoś nazwał hotelem. Wąski i ciemny korytarz straszył niebieskimi lamperiami odłóżącej płatami farby i żółtym światłem słabych żarówek. Pajęczne sieci dumnie zwisały spod sufitu, a ich wielkość i misterne wzory mówiły, że nikt od dawna się nimi nie interesował.

– Sam nie wiem – Jakubowski podrapał się po głowie.

– Skąd przyjechał?

– Z daleka – odpowiedział zdawkowo.

– Widzę, że nie tutejszy! A konkretnie to skąd?

– Z Wrocławia.

– Taki szmat drogi, to i nad czym jeszcze myśli? W mieście lepszego

hotelu nie dostanie – w jednej chwili rozwiąła jego nadzieje. – Przyzwyczaj się. Łazienka i kibel są na miejscu.

– W pokoju?

– A jeszcze co? – zachichotała. – Tam są – wychyliła się przez okienko i ręką z kłębkim wełny pokazała odrapane drzwi z napisem „WC”, znajdujące się na końcu korytarza. – Umie czytać?

– Biorę ten pokój – w głosie Jakubowskiego nie było choćby odrobiny entuzjazmu.

– Tu klucze ma – recepcjonistka podała drewnianą rączkę z odręcznie wymalowaną cyfrą sześć i dwoma kluczami przymocowanymi metalowym skobelkiem. – Do pokoju i do kibla – wyjaśniła. – I dowód niech zostawi – rozkazała. – Meldunek zrobić trzeba.

Długo nie mógł usnąć. Leżał na plecach z założonymi na karku rękoma, wpatrując się w zwisający z lampy lep, czarny od much i komarów. Kiedy mieszkał w Rybakach, nie przypuszczał, że miasto, do którego teraz przyjechał, odegra w jego życiu tak ważną rolę. To tutaj próbował zastrzelić Izaaka, tutaj skazano go na śmierć i stąd zabrano do Wronek, kiedy karę śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie. „Tyle wspomnień” – pomyślał. „Tyle złych wspomnień”.

Już przed szóstą zszedł do recepcji. Kobieta, którą poznał wieczorem, spała w fotelu. Szalik, wełna i druty leżały na jej kolanach.

– Dzień dobry – powiedział półgłosem, jakby bał się ją obudzić.

– Dobrze spał? – recepcjonistka przeciągle ziewnęła, pokazując niekompletny rząd żółtych zębów.

– Ujdzie – oszczędnie wyrażał swoje myśli. – Jak mogę dojechać do Porohatego Wyżnego?

– Czego? – spojrzała na niego wyłupiastymi ze zdziwienia oczyma.

– Porohate Wyżne – powtórzył.

– Że niby co to ma być?

– Wioska w górach. Łemkowska wioska.

– Niech głowy nie zawraca! – schyliła się po kłębek wełny, który spadł

na podłogę i potoczył się pod fotel. – Nie ma takiej wsi i Łemków nie ma. Spalone wszystko. Po próżnicy taki świat drogi przejechał.

Szedł przez miasto bez pomysłu na to, co dalej ma robić. Pytał o wioskę przypadkowo spotkanych ludzi, ale wszyscy bezradnie rozkładali ręce.

– Porohate Wyżne? – z wyglądu pięćdziesięcioletnia, gustownie ubrana kobieta powoli kręciła głową. – Nie wiem, ale proszę pójść ze mną. Może Makryna będzie wiedziała.

– Makryna? – przystanął zdziwiony, przypominając sobie, że właśnie tak miała na imię matka Katryny.

– Niech się pan nie dziwi – kobieta uśmiechnęła się. – To łemkowskie imię. W końcu jest pan w Beskidach.

Spotkana kobieta okazała się dyrektorką szkoły, a Makryna – nauczycielką historii.

Makryna miała około trzydziestu lat, ciemne, spadające na ramiona włosy, duże brązowe oczy i pogodne usposobienie. „Podobna do Katryny” – myślał, kiedy pochylona nad mapą powtarzała na głos nazwy okolicznych wsi.

– To tutaj – pokazywała palcem jakiś punkt.

– Jak mogę tam dojechać? – pochylił się nad mapą, niechcący dotykając jej ramienia.

– Najlepiej pekaesem do Rymanowa – odsunęła się speszona. – Do samego Zdroju, a potem proszę pytać o Szklary. Myślę, że tam też dojedzie pan autobusem, ale do Porohatego Wyżnego będzie jeszcze z pięć kilometrów. Na piechotę – uśmiechnęła się. – Zapamięta pan?

– Tak, myślę, że tak.

– Tylko proszę nie spodziewać się tablicy z nazwą wsi – nagle spoważniała. – Proszę niczego się nie spodziewać.

– Wzięłaś wszystko? – Agata rozczesywała włosy, umyte po kwasowęglowej kąpieli.

– Chyba tak – Julia zajrzała do płóciennej torby. – Mam ręcznik, klapki i

bieliznę na zmianę.

– A po co ci bielizna? Golutka do wanny wchodzisz, moja droga. Taka, jaką Pan Bóg cię stworzył. Też mi coś – Agata nie mogła wyjść z podziwu. – Kapać się w majtkach. I pamiętaj o karcie zabiegowej.

Zakład przyrodoleczniczy był oddalony od sanatorium o pięć minut spokojnego spaceru. Jego korytarze wypełniali kuracjusze czyniący zgiełk, przez który co jakiś czas przebijał się donośny głos personelu.

– Pani Jabłońska! – postawna kobieta stanęła w drzwiach z napisem „Kąpiel kwasowęglowa”.

– Ja byłam wcześniej! – jedna z kuracjuszek zerwała się z krzesła, próbując wejść przed wywołaną kobietą.

– Ale karty zabiegów to mi pani nie dała, to skąd mogę wiedzieć? Niech pani da. Ludzie! – krzyk kobiety na chwilę uciszył zgiełk – czytać się nauczcie! Po to zabiegi się planuje, żeby kolejek nie było. A pani to ma dopiero za godzinę i nie u mnie, tylko tam – wskazała koniec korytarza. – Solankę pani ma, nie kwasowęglówkę. Skaranie boskie z tymi ludźmi – energicznie zamknęła za sobą drzwi.

Julia oddała kartę i zajęła miejsce po pani Jabłońskiej. Była sanatoryjną nowicjuską i z ciekawością czekała na pierwszy zabieg. Ustka spodobała się jej. Rybacki port pełen kutrów, latarnia morska, szerokie, piaszczyste plaże, wysokie wydmy i nowo poznani ludzie wносиły do jej życia odmianę, której bardzo potrzebowała. „A przecież to dopiero trzeci dzień pobytu” – myślała.

– Pan Wise! – donośny głos kobiety wyrwał ją z rozmyślań. Usłyszane nazwisko wydało się jej znajome. W pierwszej chwili nie skojarzyła go z konkretną osobą, ale odruchowo spojrzała na podnoszącego się z krzesła mężczyznę. W jednej chwili poczuła drętwienie postępujące szybko od stóp aż do głowy.

Nie pamiętała, czy wzięła kąpiel, nie wiedziała, jaką drogą wróciła do sanatorium. Torbę rzuciła na podłogę i w ubraniu rzuciła się na wersalkę.

– No i jak było? – Agata, która w skupieniu malowała paznokcie, nie zwróciła uwagi na dziwne zachowanie Julii.

Julia nie słyszała pytania. Nie mogła uwolnić się od tysięcy sprzecznych myśli, atakujących ją ze wszystkich stron i robiących mętlik, z którym nie

potrafiła sobie poradzić.

– Co się stało? – Agata przerwała malowanie i z uniesionymi rękoma usiadła na brzegu wersalki. – Złe się czujesz? Mam wezwać lekarza?

– Odczep się! – rozplakała się i przykryła głowę poduszką. – Daj mi święty spokój!

Szły obie zatłoczoną plażą, uskakując przed nadbiegającymi falami.

– Nie gniewaj się na mnie – Julia wzięła Agatę pod rękę. – Przepraszam. To wszystko mnie przerosło.

– No dobra już, dobra – Agata mocniej przycisnęła jej ramię. – Jasne, że się nie gniewam, skoro jestem z tobą na spacerze. Ale powiesz mi, co się stało?

– Powiem.

– No to mów – w głosie Agaty pobrzmiwało zniecierpliwienie potęgowane milczeniem Julii.

– Powiem, ale jeszcze nie teraz. To stało się tak nagle, że nie umiem sobie poradzić.

– Mężczyzna?

– Nie, no nie męcz mnie, proszę. Muszę raz jeszcze w spokoju wszystko sobie poukładać.

– Jak chcesz, ale myślałam, że jestem twoją przyjaciółką.

– Bo jesteś i wszystko ci powiem, ale jeszcze nie teraz.

Wchodziły na piętro, mijając idących na kolację kuracjuszy.

– Zobacz! – Agata chwyciła Julię za rękę. – To chyba przed naszymi drzwiami?

Autobusy PKS kursowały dość często i chociaż pierwszy z nich, przeładowany mieszkańcami okolicznych wsi powracającymi z targu, nie zabrał Jakubowskiego, to w drugim bez problemu znalazł miejsce. Po czterdziestu minutach był już w Rymanowie, ale na autobus do Szklar musiał

czekać blisko dwie godziny.

– Do Zdroju niech pan jedzie – kioskarka sięgnęła po mapę. – Niech pan zobaczy, do Szklar pekaesy przez Zdrój jadą, to sobie pan tam wsiądzie. Tu nic ciekawego, a tam po lesie pochodzić można i świeżego powietrza się nawdychać.

Siedział na parkowej ławce, wsłuchując się w śpiew ptaków schowanych gdzieś w koronach drzew. Bliskość miejsca, w którym poznał Katrynę, wprawiała go w dziwny stan sprzecznych emocji. Chciał tam być i jednocześnie bał się wspomnień. Zatopiony w rozmyślaniach, ledwie zdążył na autobus.

Szklary okazały się malutką wsią, osadą nieledwie, leżącą na odkrytym terenie i otoczoną łagodnymi, zalesionymi wzgórzami. Rozglądał się, ale jedyną osobą, jaką zobaczył, była starsza zgarbiona kobieta, pasąca krowę blisko przystanku. Bez entuzjazmu skierował się w jej stronę.

– Dzień dobry – powiedział i uśmiechnął się. – Drogi do Porohatego Wyżnego szukam. Pomoże mi pani?

– A wy to Łemko są? – kobieta przysłoniła ręką oczy.

– Nie, nie Łemko.

– To po co wy przyjechali? – staruszka przywiązała krowę do płotu. – Same Łemki tu zaglądają i z żalości aż płaczą. Nic się nie ostało, wszystko popalone i wyszabrowane. Trawy, chwasty panoszą się jeno. Nic nie ma, całkiem nic. No, mnie nic do tego. Wy pytali, to i drogę wskażę. O, tędy pójdziecie – pokazywała wąską ścieżkę ginącą w zaroślach czarnego bzu. – Do strumyka dojdziecie i cały czas jego trzymać się. Do góry i do góry, aż w las zakręci, no wam dalej iść trza, aż drogę zobaczycie. E, taka to znowu droga – machnęła ręką. – Ścieżka prosto szeroka na konia i wóz, nie więcej – usiadła na ławeczce i w milczeniu patrzyła gdzieś przed siebie.

– A pani to całe życie tutaj mieszka? – zapytał.

– Nie całe – kobieta wsparła się oburącz na sękatym kijku – od wesela jeno. Poczekajcie troszku.

Weszła do chaty. Wróciła po kilku minutach z poniszczonym zdjęciem.

– To pani ślub? – Jakubowski przyglądał się wyblakłej fotografii.

– A mój – odpowiedziała z nieukrywaną dumą.

– Gdzie to było?

– Niech odwróci, to zobaczy.

– Porohate Wyżne, 1921 – przeczytał na głos. – Naprawdę brała pani ślub w Porohatem Wyżnem?

– Nu, jak nie? Czemu dziwuje się? Cerkwa tam była, że drugiej by takiej nie znalazł. I ludzie w zgodności żyli, pomagali wzajemnie, kiedy trza było. Mówić szkoda, wojna wszystko zabrała. Mój u partyzantów był, wsi bronił i ubili jego.

– Kto zabił pani męża? – słowa staruszki zaskoczyły go.

– Polaki, wojsko. A wy co tak pytacie, jakby nie wiedzieli?

– Tak pytam, bo słyshałem, że straszne rzeczy tutaj się działy.

– To i prawda i partyzanty święte nie były. Jak Polaki Łemków do wyjazdu przymusiły, to młodą dziewczuszkę taką koniami na pół rozdarli. Że niby sama jechać chciała. Ale gdzie tam sama. Ojciec chciał, a ją rozdarli, tak i ludzi wystraszyli i zostali. A Polaki i tak wszystkich przepędzili i jeszcze Katrynę Basłaków zastrzelili, jak rodziła.

– To pani znała rodzinę Basłaków? – serce podeszło mu do gardła.

– A znała. Niemało ludzi ja znała, ja miejscowa, to i znała. A wy, co tak dopytowujecie, jakby tako samo Basłaków znali? Jak wy nie Łemko to Polak może, ha?

– Różna krew w moich żyłach płynie – improwizował. – Ukraińska, polska i ormiańska. Brat też w partyzantce walczył i zginął gdzieś koło Porohatego Wyżnego. Musiałem tu przyjechać i zobaczyć.

– To miarkujcie, że południe przeszło, a do Wyżnego dwie godziny iść trza.

– Ale nie powiedziała pani, gdzie mam pójść, jak drogę znajdę.

– Może ja i nie powiedziała, no zawsze do góry iść trza. Niżnego nie znajdziecie, no Wyżne musowo. Cerkwa została. Wieś spalili, a cerkwy bali się, to i została. Podupadła całkiem, jednako stoi, to i znaleźć można.

Jakubowski szedł wzdłuż strumyka szerokim zakolem omijającego

niewielkie wzgórze i chowającego się w gęstym lesie. Nie miał pewności, czy zarośnięta i wyboista ścieżka była tą drogą, o której mówiła kobieta, ale poszedł nią, kiedy po kilku minutach marszu w górę strumienia innej drogi nie znalazł.

„Dwie godziny iść trzeba” – przypomniał sobie słowa staruszki. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. „Idę półtorej” – policzył w pamięci. „To musi być już niedaleko”.

Droga ciągle prowadziła pod górę, a kiedy minął zakręt, zobaczył cerkiew.

– Ta sama – ucieszył się. – Tylko dach się zawalił. Próbował wejść do środka, jednak masywne drzwi nie chciały ustąpić i odszedł zrezygnowany.

Cmentarz znalazł bez trudu. Kopce mogił odznaczały się wyraźnie i tylko krzyży nie było. „Drewniane, to i zgniły” – pomyślał.

Wokół cmentarza rosło kilka dębów, buków i jeden jedyny jesion. „Razem z aniołkiem Katrunia przy jesionie leży. Dziw, że głęboko jej nie zakopali” – przypominał sobie słowa Dmytra.

Dwie mogiły były wyraźnie bliżej jesionu niż pozostałe.

– Petro i Katryna? – zastanawiał się głośno. – Dmytro nic nie mówił o pogrzebie Petra. Może pochowali ich w jednej mogile, a może w tych dwóch?

Z drugiej strony drzewa zobaczył dużą gałąź. Zwiędnięte liście świadczyły, że wiatr złamał ją dość dawno. Wiedział, że będzie twarda i dobrze spełni swoje zadanie. Z niemałym trudem odłamywał boczne gałązki, ale wkrótce miał prowizoryczną motykę. Chwilę zastanawiał się, od której mogiły zacząć, a w końcu wybrał tę od strony cerkwi.

Z zapalem rozkopywał kopczyk, wytrząsając ziemię z kęp trawy, które wyrzucał pod jesion. Spulchniał ziemię głęboko i nagle zobaczył błyszczące, chociaż przybrudzone ziemią szkieleko. Ukłąkł i rozgarniał ziemię rękoma.

– O Boże – przeżegnał się, trzymając w dłoni aniołka bez skrzydełka. – To tutaj.

Długo szukał ułamanego skrzydełka, ale także je znalazł. Najpierw myślał, że aniołka w całości odda Dmytrowi. Później, że zostawi go na

grobie Katryny, a w końcu doszedł do wniosku, że aniołka zostawi, a skrzydełko zabierze.

Wyjął pudełko z landrynkami. Cukierki wysypał do kieszeni plecaka, a w ich miejsce nasypał ziemi z mogiły Katryny i na niej położył skrzydełko.

Z pobliskiego lasu wykopał wrzosa i posadził je na grobie. Dwa proste kije związał drutem i ten prowizoryczny krzyż wbił w kopczyk mogiły. Ukląkł, aby porozmawiać z Bogiem. Nie klepał wyuczonych modlitw, tylko rozmawiał jak z dobrym znajomym. O piątej ruszył w drogę powrotną.

– I znalazł, czego szukał? – staruszka przywitała go pytaniem.

– Znalazłem – zdjął plecak. – Tak dobrze pani drogę wytłumaczyła, że od razu znalazłem.

– Ech – kobieta machnęła ręką. – Tyle razy, co ja do Wyżnego szła, to jak dobrze nie powiedzieć?

– A autobus do Rymanowa to o której jedzie? – Jakubowski rozcierał obolałe nogi.

– A jedzie, pewnie, że jedzie – staruszka w szerokim uśmiechu pokazała dwa samotne zęby. – Rano pojedzie. O ósmej.

– Jak to? – nerwowo spojrzał na zegarek.

– Normalno. Ludziów mało, to i pekaesy jeno cztery na dzień jadą. Nie nerwuje się, na siano spać pójdzie. Dawno koszone, to strachu nie ma. Mówio: jak świeże, to i zemrzeć można, no moje dawno koszone.

– Dziękuję pani – powiedział bez przekonania.

– Ja śmietana cztery dni zbierała – kobieta wyjęła z kredensu duży garnek. – Masło urobić trza. Pomoże? – spojrzała prosząco. – Maselnica wyparzona, no śmietane lać i ubijać.

– A pomogę – wziął garnek z rąk staruszki – pewnie, że pomogę.

– Tak silno bić nie trza – ścierała ze stołu rozbryzganą śmietaną.

Zwolnił ubijanie, a po kwadransie poczuł wyraźny opór, świadczący o tym, że praca zbliża się ku końcowi. Rozebrał maselnicę. Wyławiał grudy masła i wkładał je do szklanej miski.

– No i widzi – kobieta wyciskała łyżką maślanekę i zlewała ją do

maselnicy. – Trudno nie jest.

Kiedy masło było już dobrze wyrobione, uformowała je w osełkę, odciskając łyżką półkoliste wzory.

– Niech je i na zdrowie niech mu będzie – zapraszała, kładąc na stole masło, maślanekę i okrągły bochen chleba.

– Bida u mnie. Jeno gadzina przy życiu mnie trzymie.

– To gdzie to siano? – zapytał, kiedy skończył kolację.

– Taj wie przecie – staruszka wytarła usta fartuchem. – Ja pokazywała.

– No to do jutra – podniósł z podłogi plecak.

– Lyżnik niech weźmie – kobieta przyniosła złożony w kostkę wełniany koc.

Wyszedł do sieni, ale po chwili zawrócił.

– Ja też znałem rodzinę Basłaków – powiedział przez uchylone drzwi.

– No, no – jedna z kobiet siedzących przy stoliku z kwaśnym uśmiechem kręciła głową. – Kosz czerwonych róż. Szczęściara z ciebie. Żeby mi ktoś takie przyniósł – westchnęła. – A on – obracała w dłoniach kubek herbaty – jaki przystojny jest. Gdzie takiego faceta znalazłaś?

Julia siedziała ze spuszczoną głową i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Agata, która przyglądała się jej z uwagą, wiedziała, że zaraz wybuchnie.

– Wam to tylko jedno w głowie – zamachała ręką, dając znak, by więcej nie mówiły. – Daj spokój – pocieszała Julię, kiedy znalazły się w pokoju. – To zwyczajna babska zawiść. Wyrwały się z domu, chciałyby zaszaleć, ale widzisz, jak jest. W sanatorium same baby, a chłopów jak na lekarstwo. – No rozchmurz się! – podeszła do okna i odsłoniła firanki. – Na dworze słońce, a ty wyglądasz jak chmura burzowa. – Wiesz – ujęła ją za rękę, ścisząc głos – jutro jest wieczorek taneczny. Prawda, że pójdziemy?

– Czy mogę prosić do tańca? – szczipły, wysportowany mężczyzna z lekko szpakowatymi włosami i różą w ręce stanął przed Julią. Zjawił się

niespodziewanie. Musiał obserwować stolik zza drzwi, bo podszedł niezauważony, chociaż nieliczni mężczyźni byli uważnie obserwowani przez siedzące przy stoliku kobiety.

– No! – wycedziła przez zęby Agata, trącąc ją pod stołem i jednocześnie obdarowując mężczyznę czarującym uśmiechem.

– Nie mam nastroju do tańca – Julia powiedziała ledwie słyszalnym głosem. Wpatrywała się w blat stołu, skupiając na sobie wzrok wszystkich kobiet siedzących przy dwóch złączonych stolikach.

– Julia miała dzisiaj ciężki dzień – Agata próbowała wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Będzie mi miło, jeśli zechce pan zatańczyć ze mną. – Idiotka – szepnęła do ucha koleżanki.

Mężczyzna uśmiechnął się, położył na stole różę i podał rękę Agacie.

– Idiotka – powtórzyła raz jeszcze, kiedy przed północą wróciły do pokoju. – Taki facet. Subtelny, delikatny i czuły. Już dawno tak dobrze się nie bawiłam.

Julia długo nie mogła usnąć. Przewracała się z boku na bok walcząc ze wspomnieniami z odległej przeszłości i z terażniejszością.

„Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata” – przypomniawszy sobie spotkanie z Izaakiem w Karlikowie. „Teraz mam dorosłą córkę i jestem dwa razy starsza niż wtedy”.

Nie wiedziała, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie.

Izaak czekał na nią przy drzwiach stołówki.

– Chcę z tobą porozmawiać – powiedział, kiedy skończyła śniadanie.

– Nie mamy o czym – odburknęła, nawet się nie zatrzymując. Weszła do pokoju i zamknęła drzwi na klucz.

– Jak dziękować tobie mam? – Dmytro przyciskał do piersi pudełko po landrynkach. – Ja nie mógł do Katruni jechać i Makryna nie mogła, a Katrunia sama do nas przyszła. Dobry ty człowiek, Michajło, oj, dobry.

– A Kasi to w domu nie ma? – Jakubowski ściszył głos.

– A nie ma – Dmytro położył pudełko na łóżku. – Późno wróci. Mówiła,

żeby ja nie nerwował się.

– Grób Katruni od razu znalazłem – zdawał relację. – Zarośnięty był, tak jak cały cmentarz. Trawę i chwasty wyplewiłem, ziemię spulchniłem i posadziłem wrzosi.

– Katrunia lubiła wrzosi – Dmytro zamyslił się. – W chyży suchy wrzos u nas ciągiem wisiał. Katrunia go rwała. Dobrze ty zrobił, Michajło, i Katrunia rada w niebie jest, i Makryna, i ja, a i Petro.

– Coś wam pokażę – Jakubowski sięgnął po pudełko. Zdjął pokrywkę i wyjął szklane skrzydełko. – Poznajecie? – zapytał.

– Nu, jak nie? – Dmytro wycierał wilgotne oczy wierzchem dłoni. – Ja sam go na grobie zagrzebał. Dobry ty człowiek, Michajło, oj, dobry. Kasi, jak wróci, to powiem, żeby ziemię i skrzydełko do trumny, jak zemrę, włożyła i tako z Katrunią razem leżeć będziem.

– I jeszcze z patyków krzyż Katruni zrobiłem i w ziemię zatknąłem – Jakubowski zbierał się do wyjścia.

– Krzyż? Nasz krzyż?

– Wasz. Taki sam, jaki na cerkwi widziałem.

– Taj i mnie spokojno już zemrzeć będzie – Dmytro uśmiechnął się i mocno ścisnął dłoń Jakubowskiego.

– Jak ten twój wielbiciel ma na imię? – Agata przymierzała kolejną bluzkę. – Tyle to chyba możesz mi powiedzieć? No i jak ci się podoba? – obróciła się na palcach jak baletnica. – Może być?

– Może – Julia spojrzała na nią krytycznym okiem. – Pewnie, że może. Przy twojej sylwetce wszystko dobrze się układa.

– Nie masz dzisiaj zabiegów? – przyjaciółka dobierała do bluzki korale.

– Mam. Za pół godziny. A ty dla kogo tak się stroisz?

– Tajemnica, moja droga, tajemnica – Agata mrugnęła okiem. – Ty masz swoje tajemnice – zakładała ciemne pończochy – i ja mam swoje. – No dobrze – poprawiła spódniczkę. – Ma na imię Roman. A twój? Nie odpowiedziałas.

– Izaak.

– Żyd?

– Tak jakby.

– Podobno Żydzi są obrzezani. To prawda?

„Prawda” – pomyślała, przypominając sobie spotkanie sprzed lat.

– Nie wiem – odpowiedziała pewnie. – Skąd mogę to wiedzieć?

– No wiesz... – Agata zawiesiła głos.

– No to na mnie już czas – Julia przerzuciła torbę przez ramię. – Nie zapomnij zostawić kluczy na portierni. – O Boże! – wyrwało jej się, kiedy wyszła na korytarz.

Przy stoliku obok szafy pełniącej funkcję sanatoryjnej biblioteki siedział Izaak, a na kolanach trzymał wiązanek czerwonych róż. Wstał, kiedy przechodziła obok.

– Dzień dobry – powiedział głośno. – Piękne kwiaty dla pięknej kobiety – wyciągnął rękę z wiązanek. – Weź, proszę. Na zgodę i pojednanie.

Lubiła kwiaty, a róże w szczególności. „Kiedy ostatnio dostałam kwiaty?” – pytanie pojawiło się niczym błyskawica. Nie pamiętała, ale widziała ciekawskie spojrzenia kuracjuszek.

– Dziękuję – wzięła róże. – Wyjdźmy stąd, proszę.

– Przestań mnie nachodzić – podniosła głos, kiedy szli przez park. – Wstyd mi tylko przynosisz.

– Tak źle wyglądam?

– Dobrze wiesz, że nie o to chodzi – warknęła.

– Chcę tylko porozmawiać – nie ustępował. – Jeśli zgodzisz się na rozmowę, jeśli będziemy się spotykali tak jak inni, to nie będzie żadnego wstydu.

Czekał na nią po zabiegach.

– A gdzie róże? – zdziwił się.

– Zostawiłam kobiecie od zabiegów – spieszyła się. – Głupio wyszło.

Kiedy weszłam do pokoju, od razu zapytała, czy to dla niej. Co miałam powiedzieć?

– E tam, róże – machnęła ręką. – Ważne, że wreszcie zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

– Chciałam cię przeprosić – powiedziała, kiedy wracali przez park. – Usiądźmy zresztą na ławce.

– To za co chciałaś mnie w końcu przeprosić? – zapytał po długiej chwili milczenia.

– Za taniec – przesuwała butem kamyczek. – To znaczy za odmowę.

– Rzeczywiście, głupio się wtedy czułem – przyznał. – Pierwszy raz w życiu znalazłem się w takiej sytuacji. Na szczęście była Agata.

– To mądra dziewczyna – zgodziła się. – No ale chyba musimy już iść – spojrzała na zegarek. – Na pewno musimy, bo za pół godziny mamy obiad.

– Ach, te śniadania, obiady i kolacje – Izaak zachnął się. – To one wyznaczają rytm całego dnia. Ale po obiedzie pójdziemy na spacer. Obiecuj.

– Zbiera się na burzę – Elżbieta była zaniepokojona. Odsunęła zasłony, jednak do kuchni nie wpadło zbyt dużo dziennego światła. – Nad Szczepanowem niebo granatowe i błyska się, a krowy zostały na łące. Trzeba je przyprowadzić – położyła dłoń na ramieniu Stefana. – Boję się burzy. Pójdziesz?

Wstał bez słowa. Włożył sweter i gumowce, przeżegnał się i wyszedł na dwór.

– Weź pelerynę – wybiegła do furtki. – I pospiesz się.

Od kilku dni niepokoiło ją zachowanie męża. Zawsze wesoły, pogodny i rozmowny, nagle spowaźniał, zamknął się w sobie i popadł w apatię. Nie podjął rozmowy, kiedy zapytała, co się dzieje i czy nie trzeba wezwać lekarza. Nawet sprawa księdza Jana przestała go interesować.

– Źle się czuję – powiedział do Zawadki, który przyszedł wczoraj w sprawie kolejnego listu do kurii. – Musicie to sami załatwić.

Nie wiedziała, co o tym sądzić, ale z wizytą u lekarza postanowiła jeszcze

poczekać.

Nagły podmuch wiatru otworzył okno. Firanki i zasłony rozpoczęły szalony taniec.

– Boże, żeby tylko zdążył – z trudem zamknęła okno. – Żeby tylko zdążył – powtarzała.

Zapaloną świeczkę położyła na parapecie. Zawsze tak robiła, kiedy nadciągała burza. Wierzyła, że ochroni to dom przed piorunami i wiatrem.

Wiatr pędził tumany kurzu, liści i drobnych gałęzi, a drzewa gięły się pod jego naporem jak ludzie przed księdzem niosącym Pana Jezusa do umierającego. Granatowa chmura zakryła słońce, przyjmując ołowiany kolor. W szybę uderzyły pierwsze krople deszczu.

– Żeby tylko zdążył – przeżegnała się, kiedy kuchnię wypełniło światło błyskawicy i rozległ się krótki suchy trzask. „Gdzieś blisko” – pomyślała.

Przeszła do pokoju i lekko uchyliła firankę. Wiatr ustał. Z nieba lały się strumienie wody, tworząc na podwórzu ogromne kałuże, a z drogi spływała szeroka struga błotnista maź. Pioruny uderzały coraz dalej i rzadziej. Gwałtowna burza oddalała się powoli. Elżbieta otworzyła okno. Deszcz natychmiast zmoczył jej włosy, ale zanim cofnęła głowę, zdążyła zauważyć, że drzwi obory są otwarte, a w środku nie ma nikogo. Zaniepokojona przeszła do kuchni. Zgasła świeczkę, a kiedy wycierała włosy, usłyszała dziwny hałas, zagłuszany przez odgłos padającego na blaszany parapet deszczu. Rzuciła ręcznik na krzesło i podeszła do okna. Przed zamkniętą bramą stały dwie ociekające wodą krowy i przeciągle ryczały. Stefana przy nich nie było.

– Matko Boska! – przeżegnała się.

Narzuciła na ramiona nieprzemakalny płaszcz i wybiegła na dwór. Szybkim krokiem przemierzała drogę na łąkę pod lasem. W końcu zaczęła biec. Rozpryskiwała kałuże, potykała się o złamane przez wiatr gałęzie. Nie zwracała uwagi na ciągle padający deszcz, tylko uważnie rozglądała się na boki. Stefana nigdzie jednak nie było.

Łąka także była pusta. Zrezygnowana chciała zawrócić, kiedy jej uwagę przyciągnął samotny dąb. Tuż obok pnia leżało coś, co ją zaniepokoiło. Nie wiedziała, co to jest, bo drzewo było daleko i powoli zapadał zmierzch, ale

była pewna, że musi to sprawdzić.

– O Jezu! – krzyknęła, kiedy poznała buty i sweter męża. – Matko Boska! Stefan!

Nowak leżał na wznak z rozłożonymi rękoma i głową przykrytą peleryną. Obok niego, wbita ukośnie w ziemię, tkwiła długa szczapa, odłupana z dębowego pnia. Łąka wokół usiana była kawałkami dębowej kory. Pień samotnego dębu nosił długą, świeżą bliznę.

– Stefan! Stefan! – szarpała bezwładne ramię mężczyzny. – Rusz się! Powiedz, że to nieprawda! – krzyczała przez łyzy, odruchowo ściągając pelerynę. – Matko Boska! Jezu! – zamknęła oczy. – Stefan! Stefan nie żyje – krzyczała, biegnąc przez łąkę.

Wpadła do pokoju, rzuciła się na łóżko i przykryła głowę poduszką. Krzyczała, uderzając pięściami w pierzynę. Bała się. Pomimo zamkniętych oczu ciągle widziała siną twarz męża.

– Z Krosna przyjechałem do Wrocławia – Izaak mówił powoli, jakby bał się, że jedno nierozważne słowo zburzy tę kruchą więź, która zaczęła ich łączyć. – To był koniec lat czterdziestych – zamilkł na chwilę. – Tak, dokładnie 1949 rok. Miasto było zburzone, a z różnych stron Polski ciągle jeszcze przyjeżdżali ludzie. Było niebezpiecznie, a zresztą sama wiesz. Chciałem się uczyć, a ponieważ byłem dobry z matematyki i fizyki, wybrałem Politechnikę. Już podczas studiów zaproponowano mi zostanie na uczelni. W 1954 roku uzyskałem dyplom i ożeniłem się. Miałem wtedy trzydzieści pięć lat. Dużo jak na absolwenta, ale to wojna zabrała mi całe dziesięć lat. Miriam urodziła się dwa lata później – zamyślił się. – Wiesz, że w urzędzie stanu cywilnego nie chcieli nadać takiego imienia? W końcu się zgodzili, ale łatwo nie było. Trafiłem na urzędnika antysemitę.

– Takich nigdzie nie brakuje – Julia przyznała mu rację. – Nadal pracujesz na uczelni?

– Tak i muszę ci się czymś pochwalić – przystanął. – Zrobiłem doktorat, a teraz kończę pracę habilitacyjną.

– Robisz karierę – wyczuł zawód w jej głosie.

– Można tak powiedzieć. A ty? Co teraz robisz?

– A co mogę robić? – Siedzę na wsi, jak wtedy. Ledwie wieczorówkę skończyłam, no wiesz, liceum. Samej trudno było wychowywać dziecko, a o studiach to nawet marzyć nie mogłam.

Szli przez las w stronę Rowów. Od kilku minut nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Na niewielkiej polanie Izaak się zatrzymał. – Będziesz miała okazję naprawić niewybaczalny błąd – powiedział i uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie rozumiem, mów jaśniej.

– Dzisiaj po kolacji zapraszam na wieczorek taneczny. Mam nadzieję, że ze mną zatańczysz.

– *Lat minionych, dni minionych, żadne modły już nie cofną* – piegowaty rudzielec prezentował własną aranżację Anny Marii.

– To prawda – szepnął jej do ucha. – Niestety.

– *Kyrie eleison. Chryste eleison. Kyrie eleison. Chryste, usłysz nas. Chryste, wysłuchaj nas. Ojczy z nieba Boże, zmiłuj się nad nami...*

– Zamknijcie drzwi – Zawadka skinął na Kitmana. – Baby niech klepią te swoje zdrowaśki. Stefanowi to już ani pomoże, ani zaszkodzi. Elżbiety tylko szkoda. Sama na gospodarstwie została.

– Dla mnie to wszystko dziwne – Kitman zapalił papierosa. – Co chłopu do głowy strzeliło, żeby w burzę pod dąb się chować? Wiedział, że nie można, innych ostrzegał, a sam o śmierć się prosił. No i dostał, czego chciał – strzepnął popiół do węglarki.

– A ja to jednego się boję – Jakubowski bębnił palcami po stole. – Stefan do kurii jeździł, listy pisał, a ksiądz Jan bardzo pamiętliwy, oj, bardzo.

– Myślicie, sąsiedzie, że go nie pochowa? – Kitman zaciągnął się głęboko i zakaszłał.

– Rzućcie w cholerę to paskudztwo! – Zawadka machał ręką, starając się rozwiać papierosowy dym. – Nie dość, że sobie, to jeszcze innym zdrowie niszczyacie.

– Tak myślę – Jakubowski wolno kiwał głową. – Myślę, że nie pochowa.

Msza dobiegła końca. Ludzie myślami byli już przy swoich sprawach i tylko czekali na błogosławieństwo, aby z ulgą opuścić duszny kościół. Ksiądz Jan też zdawał się myśleć o dobrym obiedzie, a kiedy podniósł dłoń, wszyscy spodziewali się sakramentalnego „Pan z wami”.

– Spójrzcie w niebo! – zamiast błogosławieństwa usłyszeli donośny głos księdza i zobaczyli jego uniesioną rękę. Niektórzy podnieśli głowy, ale zamiast nieba zobaczyli kościelny sufit, pilnie wymagający malowania. – Spójrzcie w niebo – powtórzył ksiądz Jan, jakby chciał podkreślić wagę tego, co za chwilę powie. – Spójrzcie i zastanówcie się nad sobą. Niektórzy mówią, że Boga nie ma. Niektórzy mówią, że nasza wiara jest nic niewarta, że to ciemnota, że zabobon – opuścił rękę. – Mówiłem wam, że modłę się do Pana, aby dał opamiętanie tym, którzy chcą zniszczyć nasz święty Kościół. Prosiłem go o to w codziennej modlitwie, na kolanach prosiłem. Patrzyłem na was z nadzieją, że Pan mnie wysłucha. Ale wy nie chcieliście się zmienić i pisaliście donosy. Jeździliście do kurii, zajmując cenny czas biskupa. Myślicie, że o tym nie wiedziałem? – uśmiechnął się, ale za chwilę spoważniał. – Wszystko wiedziałem i w końcu zacząłem prosić Pana, aby przykładowo was ukarał. Może ktoś pomyśli, że to nie po katolicku? Może ktoś pomyśli, że tak nie można? Może ci, którzy znają Pismo Święte, powiedzą, że to postępowanie niegodne, że tak nakazywał Stary Testament, a Nowy zaleca pokorę? Może, to wszystko może, ale moja cierpliwość została poddana zbyt ciężkiej próbie – zacisnął pięść. – Od wczoraj – mówił spokojnie – wszyscy przeżywacie śmierć Nowaka. Rodzina pewnie już była w urzędzie, pewnie już ma akt zgonu, ale do mnie nikt nie przyszedł. Nikt o nic nie zapytał. I wiecie, co wam powiem? Powiem, że nie ma po co przychodzić. Powiem, że niczego nie wyprosi. Ja nie pochowam zmarłego. Pan z wami – nie czekając na odzew, skłonił się przed ołtarzem i dał ministrantom znak do wyjścia.

– Podarłeś mój list? – Julia stanęła przed Izaakiem, a na jej twarzy malował się gniew. – Naprawdę to zrobiłeś?

Nie odpowiedział, tylko skinął głową.

– Dlaczego? – sięgnęła po chusteczkę. – Dlaczego go podarłeś? Dlaczego

wtedy nie przyjechałeś?

– Była wojna – zaczął, kiedy zeszli z wydmy na brzeg. – Wojna tyle zmieniała, tyle ludzkich losów pospłatała i pourywała. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, to w pokoiku obok koszar w Kutach?

– Pamiętam. Mówiłeś wtedy o Miriam i o tym, że jestem do niej podobna.

– Właśnie – zamyślił się. – Kiedy do Kut wkroczyli Rosjanie, zacząłem szukać Miriam, ale dopiero od Michała dowiedziałem się, że uciekła z transportu, że ukrywała się, a później została złapana, upokorzona, zgwałcona i utopiona w studni. Zrobił to Dywczuk – kolega ze szkoły, Ukrainiec. Od kiedy poznałem los Miriam, ona zaczęła mi się śnić. Prawie każdej nocy była ze mną, rozmawiała, tańczyła, czasem nawet się śmiała – zamilkł.

Długi czas szli w milczeniu. Zagłębieni we wspomnieniach z przeszłości, nie próbowali uciekać przed falami kończącymi na plaży swój żywot.

– To było już w Krośnie – schylił się po muszelkę. – Polacy nadzorujący wysiedlenia Łemków wpadli w zasadzkę UPA i zostali rozbici. Po tym zdarzeniu całe noce spędzaliśmy na naradach, przygotowując akcję przeciwko banderowcom. Spaliśmy mało, ale właśnie wtedy Miriam też mi się przyśniła. Prosiła, abym Michałowi i Natalce nie odbierał szczęścia, abym nie krzywdził ciebie. To było kilka dni przed moim przyjazdem do Karlikowa. W sny nie wierzę, ale może tym razem bym jej posłuchał gdyby nie to, że wszystko miałem już przygotowane, no i bardzo chciałem ciebie zobaczyć. Przyjechałem – rzucił muszelkę do morza. – Pamiętasz?

– Było, minęło – wzruszyła ramionami. – Oczywiście, że pamiętam.

– Wiesz, że twój list czytałem kilka razy? – przystanął.

– Ale w końcu go podarłeś.

– Kiedy czytałem list, nagle przypomniałem sobie słowa Miriam.

– I co? – przekrzywiła głowę w zadziornej pozie. – Uwiodłeś mnie, zostawiłeś i uważasz, że to nie była krzywda? Masz dziwny system wartości. Bardzo dziwny.

– To bardziej skomplikowane, niż myślisz.

– Nie, twoje postępowanie nie jest skomplikowane. Byłam twoją zachcianką, a kiedy została spełniona, ty odszedłeś.

– Nie upraszczaj, proszę – dotknął jej ramienia. – To dla ciebie przyjechałem do Wrocławia.

– Zniszczyłeś moje małżeństwo, wplątałeś Michała w szpiegostwo przeciw UPA.

– Był najlepszy.

– I co z tego? Był też dobrym mężem i ojcem, a teraz co?

– Nie rozumiem.

– Z więzienia wrócił całkiem inny człowiek. Zupełnie obcy, którego nie darzę żadnym uczuciem, rozumiesz? – rozpląkała się. – Śpimy osobno, nigdy mnie nie przytulił i nie pocałował! To przez ciebie! A najgorsze jest to – cicho chlipała – że to moje uczucie wygasło, nie jego. Ludzie we wsi myślą, że u nas wszystko w porządku, a to nieprawda.

Szli noga za nogą, zostawiając ślady bosych stóp na wilgotnym piasku.

– Musisz wiedzieć – odezwał się po dłuższej chwili – że to ja spowodowałem zamianę kary śmierci na dożywocie.

– Też mi coś – zachnęła się. – Lepiej, żeby go od razu powiesili.

– Nie mów tak – przystanął. – Skąd mogłem wiedzieć, że to wszystko tak się potoczy? Skąd mogłem wiedzieć, że będzie chciał mnie zabić? Nie umiałem wtedy podjąć decyzji – rozłożył ręce. – Naprawdę nie wiedziałem, jak mogę ci pomóc. Byłem przekonany, że Michał resztę życia spędzi w więzieniu, a ponieważ czułem się za to odpowiedzialny, sumienie nakazywało mi zająć się tobą.

– Co masz na myśli?

– No, wiesz – nie wytrzymał jej spojrzenia. – Ale kiedy w 1953 roku umarł Stalin, wiedziałem, że prędzej czy później będzie u nas amnestia i Michał wróci do ciebie. Dłużej już nie czekałem i rok później się ożeniłem.

– Zaraz, zaraz! – zmarszczyła czoło. – Chcesz powiedzieć, że myślałeś o małżeństwie ze mną? Jeśli tak, to jesteś wyjątkowo bezczelny! Wyjątkowo! – krzyczała. – Wsadziłeś Michała do więzienia i chciałeś się ze mną ożenić? –

wymachiwała rękami.

– Jeśli już, to byłem – próbował się tłumaczyć. – Dawno zrozumiałem swój błąd. A Michała nie wsadziłem do więzienia – zaprzeczył ruchem głowy. – To sąd go skazał.

– Tak mi wtedy ciebie brakowało, Izaak – niespodziewanie zmieniła głos. – Tak bardzo, że napisałam list, w który włożyłam całe swoje serce, całą miłość.

– Wiem.

– Co ty możesz wiedzieć? Nie wiesz, co wtedy czułam, nie wiesz!

– Wiem – uśmiechnął się smutno. – Drogi Izaaku – cytował z pamięci, patrząc w stronę morza, schowanego za wydrami. – Piszę ten list, ponieważ od dawna nie mam od ciebie żadnych wiadomości. Martwię się o ciebie. Czasy, jak sam mówiłeś, są teraz takie niebezpieczne. Modlę się do Boga każdego dnia, aby nie spotkało ciebie nic złego. Pamiętam noc z tobą. To dzięki tobie poczułam się wtedy kobietą taką, jaką zawsze chciałam być. Teraz brakuje mi twoich ust, twoich pieszczot, ciepła twojego ciała i dotyku twoich rąk. Kocham ciebie, choć nie powinnam, ale to jest silniejsze ode mnie. Całuję, twoja Julia – podniósł złamaną gałązkę jarzębiny.

– Pamiętasz mój list sprzed dwudziestu lat?

– Pamiętam.

Kazanie księdza Jana zjednoczyło mieszkańców Karlikowa. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby kapłan odmówił pochówku. Nigdy jeszcze groźba pożegnania człowieka bez modlitwy nie była tak realna.

– Jak psa go zakopujemy? – pytali siebie nawzajem.

Prawda, zakopywali psy i koty. Zakopywali szczury, kury i nawet świnię, chociaż w gromadzkiej radzie mówili, że świni nie powinni, że mają obowiązek zgłosić. Zgłaszali tylko zdechłe krowy i konie, bo duże i zakopać było trudno. Ale człowiek? Człowiek zawsze grzebany był jak człowiek – z szacunkiem, powagą i zadumą. W kościele słyszeli, że modlitwa prowadzi duszę zmarłego przed oblicze Boga, a on sprawiedliwie ją osądza. Ale gdzie pójdzie dusza Nowaka, jak ksiądz nad grobem się nie pomodli? Niebo

wysoko, tyle gwiazd po drodze, że zabłądzić łatwo, a Nowak prosty chłop był, tylko dzieci miał uczone. No i u spowiedzi dawno nie był, to z grzechami przed obliczem Pana stanie i co wtedy powie? Sam jeden jak ten palec, z grzechami, bez modlitwy, bez spowiedzi i bez pokuty? Wieczne potępienie jego duszę czeka, jak ksiądz nad grobem się nie pomodli. Tego byli pewni.

– Tyle razy go prosiłam – Elżbieta chodziła po kuchni tam i z powrotem.
– Tyle razy mówiłam, żeby nie walczył z Kościołem. A on nic, a on swoje. Że ksiądz zgorszenie robi, że na pośmiewisko siebie wystawia, że wikarego na poniewierkę wysłał. No i ma teraz. Jak psa, bez księdza przyjdzie go pochować. Taki wstyd, taki wstyd – wybuchła płaczem.

Chwedorukowa, Tkaczukowa, Gałązkowa i Jakubowski siedzieli w milczeniu. Chcieli pocieszyć sąsiadkę, ale sprawa wydawała się beznadziejna.

– Znam księdza – Jakubowski nagle przypomniał sobie więziennego kapelana. – Teraz jest w Trzebnicy. Równy chłop z niego był, to na pewno pogrzeb odprawi.

Ustalili, że Jakubowski pojedzie do Trzebnicy i choćby pogrzeb miał kosztować nie wiadomo ile, to z księdzem sprawę ugada.

Pojechał, nie było go pół dnia i wrócił dopiero przed wieczorem.

– Nic z tego – mówił już w drzwiach. – Ksiądz najpierw się zgodził, ale jak powiedziałem, że Nowak do kurii ze skargą na proboszcza jeździł, to zrezygnował. „Nie chcę z kurią zadzierać” – powiedział mi na ucho, bo gosposia była w pokoju. „Tylko raz się postawiłem, ale do dzisiaj to pamiętam”.

– A grekokatolik to nie może być? – Chwedorukowa wsparła się oburącz na sękatym kiju. – Nasz ksiądz pod waszą kurię nie podlega, to może i pogrzeb zrobi? Bóg przecie jeden i ten sam u was i u nas jest.

Słowa listu, które on pamiętał, sprawiły, że cała złość i cały żal uszły z niej w jednej chwili. Znowu poczuła się tak jak wtedy w Kutach, kiedy pierwszy raz dotknął jej dłoni.

– Zapraszam na spacer – zaproponował jej po śniadaniu. – Zabiegów nie ma, to przed obiadem zdążymy się niezłe zmęczyć. Co ty na to?

Zgodziła się bez oporu, przyjmując tę propozycję z ledwie skrywanym zadowoleniem. „Co się ze mną dzieje?” – stawiała w myślach pytanie, na które nie umiała odpowiedzieć.

Dochodziła jedenasta, kiedy minęli ujście Orzechówki i znaleźli się na pustej plaży. Mimo wczesnej pory sierpniowe słońce prażyło niemiłosiernie.

– Za godzinę musimy wracać – Izaak spojrzął na zegarek. – Proponuję zakończyć marsz i trochę odpocząć. Zdjął wypchany plecak i z ulgą wyprostował ramiona.

– Ciężki? – zapytała, przysłaniając dłonią oczy.

– Wypchany tylko, ale ciężki nie jest.

Rozgarnął nogą piasek robiąc niewielki grajdołek, i wyciągnął z plecaka koc.

– Pomożesz rozłożyć? – nie czekając na odpowiedź, podał jej dwa rogi koca.

Był przygotowany na opalanie. Rozebrał się do spodenek i celebrował wcieranie olejku. Pokrywał nim ramiona i uda, nacierał piersi.

– Nasmaruj plecy – poprosił, podając olejek i odwracając się tyłem.

Zawahała się. Nie spodziewała się takiej prośby.

– No, śmiało – zachęcał. – Chyba nie boisz się dotknąć obcego mężczyzny?

Trochę się zdziwiła, że się nie bała i że ta czynność jej się podoba.

– A ty? – zapytał, zakładając ciemne okulary, kiedy skończyła. – Rozbieraj się, jest gorąco.

– Nie wzięłam stroju. Nie powiedziałeś, że będziemy się opalać.

– To opalaj się nago – zachęcał. – Ja często to robię.

– No wiesz! – była szczerze oburzona. – Jak mogłeś o czymś takim pomyśleć?

– Zobacz, jesteśmy sami – zatoczył ręką koło od Ustki w stronę Rowów. – Nikogo tutaj nie ma. Trochę odwagi.

– Nic z tego – zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ech ty... – machnął ręką i położył się na brzuchu.

Siedziała na kocu, obejmując rękoma ugięte w kolanach nogi, i bezwiednie wpatrywała w widoczny na horyzoncie żaglowiec.

– Wiesz – powiedziała nagle ledwie słyszalnym szeptem – że od naszego spotkania nie dotykałam mężczyzny?

Odwrócił się zaskoczony, a na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Chcesz powiedzieć, że od dwudziestu lat żyjesz w celibacie? – podniósł się na łokciu, zdejmując okulary.

Skinęła głową.

– A Michał? – patrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy. – On też?

– Mówiłam, że nasze małżeństwo praktycznie nie istnieje.

– Niemożliwe – kręcił głową. – Żaden chłop bez kobiety tyle nie wytrzyma. Cudów nie ma.

„Masz rację, przedstawicielu samczego gatunku” – pomyślała.

Trumna z jasnego dębu spoczywała na przykrytym czarnym suknem wozie Kitmana. Powoził sam Kitman, ubrany w garnitur i białą koszulę z krawatem. Prezentował się dostojnie, zupełnie nie przypominał człowieka, którego wygląd znali wszyscy z całorocznych prac polowych.

Za wozem szedł ksiądz, ten sam, o którym mówiła Chwedorukowa, a za nim w żałobnej zadumie podążali mieszkańcy Karlikowa i Szczepanowa. Jedni szli, bo Stefana znali, a inni ze zwykłej ciekawości. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się w parafii chować człowieka zabitego przez piorun i nigdy jeszcze pochówku na katolickim cmentarzu nie prowadził greckokatolicki ksiądz.

Kondukt żałobny zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami kościoła, które Zawadka bezskutecznie próbował otworzyć.

– Zamknięte na klucz – bezradnie rozłożył ręce. – Dziwne, bo zawsze były otwarte. Poczekajcie chwilę – sprężystym krokiem ruszył w stronę

plebanii.

– Dobry Jezu, a nasz Panie – zaintonował kolejny raz organista.

– Kurwa mać! – zza drewnianego płotu otaczającego plebanię usłyszeli krzyk Zawadki. – Jeszcze za to odpowiesz!

Organista i żałobnicy zamilkli. Przekleństwo statecznego Zawadki zaskoczyło wszystkich. Nie mogli zrozumieć, co takiego się stało, że człowiek, który nigdy nie podnosił głosu, klął jak większość mężczyzn we wsi.

– Nie dał kluczy! – Zawadka nie mógł ochłonąć. – Po prostu nie dał kluczy! Piekłem nas straszył. Krzyczał, że świętokradzki pogrzeb odprawiamy, że on tego tak nie zostawi, a waszą świątobliwość – pokłonił się greckokatolickiemu księdzu – wyzwał od najgorszych.

– Dajcie temu spokój – łagodny głos kapłana ledwie przebijał się przez głośnie rozmowy. – Nie miejsce to i nie pora, żeby tak się zachowywać. Wasz Stefan na to nie zasłużył. Na cmentarzu mszę odprawimy, a Pan w Niebie na pewno naszej modlitwy wysłucha.

Izaak siedział w fotelu obok recepcji. Przeglądał „Trybunę Ludu” i co chwila zerkał to na zegarek, to na drzwi stołówki, przez które wylewał się tłum kuracjuszy.

Julia wyszła razem z Agatą. Obie kobiety prowadziły ożywioną rozmowę, nie zwracając uwagi na otoczenie.

– Poczekajcie – zawołał, kiedy przechodziły obok. – Pani pozwoli – ukłonił się Agacie – że porwę pani uroczą przyjaciółkę.

– Oczywiście – Agata puściła do Julii oko. – Jak najbardziej pozwalam. Tylko proszę nie zrobić jej krzywdy – pogroziła palcem.

– Słuchałem prognozy pogody – powiedział, kiedy zostali sami. – Mówią, że jutro będzie lato.

– No to będziemy siedzieli w pokojach. I tak nie możemy narzekać. Dotąd mieliśmy ładną pogodę.

– Masz rację – uśmiechnął się – jutro nigdzie się nie ruszymy.

Oczywiście, o ile prognoza się sprawdzi. Chodziło mi jednak o to, że dzisiaj jest ostatni dzień ładnej pogody. Jak się domyślasz, chcę ciebie zabrać na wspólne opalanie. Co ty na to? Tylko nie mów, że się nie zgadzasz.

– Ładny kostium – pochwalił, kiedy zdjęła sukienkę. Miała na sobie białe bikini w duże niebieskie grochy. – Ciągłe masz piękne ciało.

Zarumieniła się jak panienka z dobrego domu. „Zaraz, zaraz” – pomyślała. „On pamięta nie tylko słowa listu, ale też nasze spotkanie”. Od razu stanęła jej przed oczyma scena, kiedy oddani miłosnej ekstazie nie zauważyli rozbudzonej Natalki, przyglądającej się ich igraszkom. „Miała wtedy cztery latka” – przemknęło jej przez myśl. „Ciekawe, czy coś z tego pamięta?”.

Zajęta wcieraniem olejku, kątem oka zerknęła na Izaaka, który ociągał się z rozbieraniem. Grzebał w przepastnym plecaku, to wydając z niego olejek i przeciwsłoneczne okulary, to je do niego wkładając. „Wygląda na zdenerwowanego” – pomyślała. „On? Zawsze taki pewny siebie?”.

Położyła się na wznak, przykryła twarz słomkowym kapeluszem i przysnęła, zmęczona długim marszem w pełnym słońcu.

– Pójdziemy do wody? – głos Izaaka wyrwał ją z drzemki. – Upał jest nie do wytrzymania.

– Dobry pomysł – przyznała, odkładając kapelusz. – O Boże! – wyrwało się jej, kiedy usiadła.

– Tak strasznie wyglądam? – uśmiechnął się. – Wiem, czas robi swoje.

– Nie, nie – mówiła chaotycznie. – Nie oto chodzi, ale ty... – nie wiedziała, co powiedzieć.

– Przecież mówiłem, że często opalam się nago.

– Dzień dobry sąsiadowi – Michał przywitał Chwedoruka w ogródku przed domem. – Co was tu sprowadza? Rzadko do mnie zaglądacie.

– E, całkiem niedobry, pan Michał, całkiem niedobry – Chwedoruk wyglądał na przygnębionego. – Dmytro zmarł. W nocy i cicho. Wnuczka z rana go znalazła. Jak spać szedł, to Katrunia ciągiem wołał, mówiła. Znaczą córkę swoją wołał. W rękach szkiełko trzymał, a cisnął tak, że ręce pociął –

Chwedoruk wytarł rękawem spocone czoło. – Doktor mówi, że serce jemu pękło. I dobrze, mówi, męczyć by się jemu przyszło, a tak już z Makryną, Katrunią i Petrem w niebie razem jest.

Nie mogła pozbierać sprzecznych myśli, które nachodziły ją nieustannie po dzisiejszym spacerze. Tak wiele sobie powiedzieli, tyle spraw wyjaśnili, a tyle przemilczeli, że potrzebowała czasu, aby to wszystko poukładać. No i to opalanie, którego nie mogła zapomnieć i za którym już zaczynała tęsknić. Nie poszła na wieczorek taneczny, chociaż bardzo ją namawiał. Zdziwiła się, że rozrywkowa zwykle Agata jest już w łóżku, ale o nic nie pytała. Wzięła prysznic i położyła się spać. Sen przyszedł prawie natychmiast.

Smutna i zamyślona weszła niezauważenie do pokoju Izaaka. Miała na sobie krótką koszulę, sięgającą połowy uda, a zwykle rozpuszczone włosy tym razem upięła w kok. Stała przy kanapie i patrzyła to na niego, to na puste miejsce obok, a w końcu wyciągnęła rękę.

Zerwał się na równe nogi, ujmując jej dłoń, i przeproszał za to, że przez niego jest smutna. Uśmiechnęła się i położyła głowę na jego ramieniu. Zastygli w tej pozie, czekając na kolejny krok, którego nie mieli odwagi zrobić.

– Połóżmy się – powiedział, siadając na kanapie.

Usiadła razem z nim, a kiedy się położył, zajęła miejsce obok i mocno przytuliła, kładąc głowę na jego piersi.

– Lubię być z tobą – szepnęła, gładząc jego ramię.

Chciał coś powiedzieć, ale położyła palec na jego ustach i przytuliła się jeszcze mocniej.

– Nic nie mów – prosiła.

Płynęli przez obłoki marzeń, rozwiewane podmuchami oczekiwania i niepewności, aż w końcu znaleźli się w dziwnym miejscu.

– To on? – zapytała, pokazując starego człowieka, który z glinianą misą zbliżał się do nich bezszelestnie.

– Chyba tak – potwierdził niepewnie.

– Czy znacie smak miodu? – zapytał stary człowiek.

– Znamy, oczywiście znamy – odpowiedzieli równocześnie.

– A ja myślę – stary człowiek wolną ręką rozczesywał długą, siwą brodę – że tylko się wam tak wydaje. Wszystkim się tak wydaje – powtarzał raz po raz, a kiedy w końcu położył glinianą misę na ziemi zobaczyli, że jest pełna miodu.

– Zanurzcie palce w glinianej misie – stary człowiek uśmiechnął się smutno. Zdziwieni spełnili żądanie.

– A teraz spróbujcie miodu ze swoich palców. Czy znacie ten smak?

– Tak, znamy! – odpowiedzieli jednym głosem. Stary człowiek uśmiechnął się.

– Teraz ty – dotknął ramienia Izaaka – włóż swój palec do jej ust, a ty Julio włóż swój palec do jego ust. Zrobili, o co prosił, dziwiąc się jeszcze bardziej.

– Czy czujecie ten sam smak miodu?

– Ja nie wiem – w głosie Izaaka była niepewność. – Niby taki sam, ale nie jestem pewien.

– Ani ja – potwierdziła.

Stary człowiek pokiwał głową, podniósł glinianą misę i zniknął.

Leżała naga i czekała, a on, nie wstając z kanapy, sięgnął po słoiczek z miodem. Otworzył go, zanurzył palec i ociekający słodkością w kolorze bursztynu przyłożył do jej ust.

– Miód – powiedziała zdziwiona. – Skąd wzięłeś miód?

– Jest na stole.

– Na stole? – zdziwiła się. – A skąd się tam wziął?

– Nie wiem.

Dotykał jej ciała, a ona prężyła się i wyginała przy każdym jego dotyku. W końcu rozpuściła włosy, które okryły jej ramiona i szyję klejące się do miodu. Dwie duże łzy wolno spływały po jej policzkach.

– Teraz jestem twoja, cała jestem twoja – przyciągnęła jego ręce do

swoich odkrytych piersi. – Kochaj mnie. Kochaj bez opamiętania. Kochaj najlepiej, jak potrafisz.

Już nie chciała bezruchu, chciała zwierzęcej dzikości pożądania i on jej to dał. Dał więcej, niż mogła to sobie wyobrazić.

– Przestań, to boli! – krzyknęła.

Kiedy otworzyła oczy zobaczyła Agatę. Siedziała obok i szarpała ją za ramię.

– Miałaś koszmarne sen – mówiła. – Krzyczałaś, rzucałaś się i musiałam cię obudzić.

– Ta będzie dobra – Kitman przyglądał się świerkowej desce – no i ta. Jak myślicie? – zwrócił się do Zawadki – dwie wystarczą?

– Pewnie – Zawadka nerwowo pocierał brodę – i nie zapomnijcie o gwoździach i młotku.

– Ludzie ze Szczepanowa mają przynieść – Kitman wkładał deski na wóz – ale macie rację, dla pewności i ja wezmę.

Przed kościołem zebrał się spory tłum. Ludzie stali, głośno dyskutując. Czuło się narastające z każdą chwilą emocje. Nikt nie pamiętał, żeby zdarzyło się gdzieś nie wpuścić proboszcza do kościoła. Wiedzieli, że to, co robią, jest czymś niedobrym, jednak wobec bierności kurii nie potrafili znaleźć lepszego sposobu rozwiązania sprawy księdza, jego gosposi, ich wspólnego dziecka oraz wikarego, który nadal nie mógł wrócić na plebanię.

– No, nareszcie! – krzyknął ktoś z tłumu, kiedy przed kościelną bramą stanęła furmanka Kitmana.

Odgłos wbijanych gwoździ musiał być dobrze słyszany na plebanii, dlatego nie zdziwili się, kiedy zobaczyli księdza Jana biegnącego w ich stronę. Był w cywilnym ubraniu i już z daleka widzieli złość malującą się na jego twarzy.

– Barbarzyńcy! – krzyknął, kiedy zobaczył dwie przybite na krzyż deski. – Tak drzwi poniszczycie! Milicję zawołam! Kościół z XIV wieku, to i konserwator zabytków przyjedzie! Wszyscy zgnijecie w więzieniu!

– Niech nas ksiądz milicją i więzieniem nie straszy – Zawadka wystąpił przed tłum. – Zaraz delegacja do kurii jedzie – mówił spokojnie – ale nie z prośbą, jak zwykle, tylko z ultimatum. Jeszcze dzisiaj ksiądz ma wyjechać i więcej się nie pokazywać, bo jak nie...

– Gównu mi zrobicie! – ksiądz Jan kipiał z wściekłości. – Nigdzie się stąd nie ruszę!

– ...bo jak nie – kontynuował Zawadka – to na taczkach księdza wywieziemy.

Częste rozmowy, spotkania i spacerzy sprawiły, że między Julią i Izaakiem zaczęła się tworzyć szczególnego rodzaju więź. Początkowa złość kobiety, jej żal i gorycz powoli ustępowały miejsca zaciekawieniu, pewnego rodzaju zażyłości i fascynacji. Już nie unikała Izaaka, nie bała się spotkań, ale szukała pretekstów, by jak najczęściej go widywać. Teraz też czekała. Siedziała na ławeczce przed zakładem przyrodolecznictwem i czekała, aż on skończy zabiegi.

– Na dzisiaj koniec? – zapytała, kiedy stanął przed nią.

– Na szczęście tak – Izaak wkładał koszulę do spodni. – A ty przed czy po?

– Już po – przysłoniła ręką oczy. – Chciałam zaprosić cię na kawę.

– O, to raczej ja ciebie powinienem – położył torbę z ręcznikiem i klapkami obok niej. – Jaki lokal wybierasz?

– Ale ja chciałam zaprosić cię do mojego pokoju.

– Do pokoju? – zdziwił się. – Dziękuję, ale wiesz, że nie przepadam za Agatą. Wolałbym jakiś romantyczny spacer.

– Agaty nie będzie. Dopiero jutro przyjedzie.

– A ona to gdzie wybyła?

– Nie wiem. Roman ją gdzieś porwał.

– Roman?

– Tak, jej kolega z pracy.

– Zaraz, zaraz – usiadł obok niej. – Chcesz powiedzieć, że Agata i Roman mają romans?

– Chyba tak. Ale jakie to ma znaczenie?

– Oczywiście nie ma żadnego, ale mamy wolny pokój, więc można też powiedzieć, że ma olbrzymie.

– Och, Izaak, Izaak – uśmiechnęła się. – Znowu na filozofowanie ci się zebrało. Chyba byłbyś dobrym rabbim.

Spotkali się po kolacji. Rozmawiali, wspominali, dzielili się wrażeniami z pobytu w sanatorium. Nawet nie spostrzegli, kiedy zrobiło się późno.

– Już dziesiąta – Izaak wyciągnął rękę na pożegnanie. – Na mnie już czas. Dziękuję za ciastka, kawę no i za miłą rozmowę. Dobranoc – objął ją i pocałował.

Nie wiedziała dlaczego, ale dłużej niż zwykle przytrzymała jego dłoń.

Michał leżał na łóżku z rękoma splecionymi na karku i rozmyślał, a miał o czym. Tyle wydarzeń ostatnio miało miejsce, że potrzebował czasu, aby wszystko jakoś poukładać.

Był na grobie Katryny. Spełnił tym swoją wewnętrzną potrzebę, która powstała natychmiast po tym, kiedy dowiedział się o jej śmierci. Kochał ją. Urodziła mu śliczną córkę i nie potrafił żyć ze świadomością, że się z nią nie pożegnał. Z drugiej strony cieszył się, że ona nie żyje. Nie umiał wyobrazić sobie spotkania Julii i Katryny i nawet nie myślał, co mogłoby się wtedy stać. Nagle jednak stanął przed poważnym moralnym dylematem, bo gdyby Katryna jednak żyła, to może i on miałby normalną rodzinę? „Kto to może wiedzieć?” – pomyślał.

Żałował, że Kasia ma przeprowadzić się do Wrocławia. Wiedział, że przestanie ją widywać i chodzić do kościoła. „Jeśli Bóg istnieje, to po co mi kościół?” – zastanawiał się. „To Kasia była i jest moim Bogiem. Tylko dla niej chodziłem do kościoła, ale teraz?”

Cieszył się jednak, że córką zaopiekują się bogaci ludzie. „Dmytro mówił, że mają krewnych w Kanadzie” – przypominał sobie. „Dobrze dziewczyna będzie miała, studia skończy, a potem pewnie rodzinę założy. Ot,

zwyczajna kolej rzeczy. Julia...” – zamyślił się. Nie wiedział, co dalej będzie z ich małżeństwem. Utrzyma się, a może wezmą rozwód? Pomyślał, że nie byłoby to złe rozwiązanie. W końcu żadne uczucie już ich nie łączy, są sobie prawie obcy i może mógłby zacząć normalne życie z Elżbietą? Ich romans trwa już dziesięć lat i może warto go zalegalizować?

Szybko jednak odrzucił taką myśl. Przede wszystkim nie dostałby rozwodu kościelnego. Poza tym nie mógłby mieszkać z Elżbietą, spotykając każdego dnia Julię. Wiedział, że to nie wchodzi w rachubę, ale zdawał też sobie sprawę, że tak jak jest, dalej być nie może.

„O co w tym wszystkim chodzi?” – zastanawiał się kolejny raz. „Dlaczego Julia ciągle trzyma mnie na dystans? Tyle razy próbowałem z nią rozmawiać, tyle razy chciałem to zmienić i nic z tego nie wyszło. Może wie o Katrynie albo Elżbiecie?”. Analizował zapamiętane fakty, słowa i postępowanie żony, ale nie znalazł niczego, co świadczyłoby o tym, że sprawa jego związków z Katryną i Elżbietą jest Julii znana. Nie wiedział, co ma o tym sądzić. „Przecież taka wielka miłość nas kiedyś łączyła” – zamyślił się.

Przypominał sobie jej pierwszy pocałunek w kościele w Kutach, kiedy ksiądz Szmaliński błogosławił ruszających na wojnę, narzeczeństwo, małżeństwo i przysięgę, którą złożyli nad Czeremoszem, ucieczkę na Bukowinę, kiedy była w ciąży, a później ciągły strach przed banderowcami, kiedy urodziła się Natalka. Nie wiedział, dlaczego wszystko się skończyło, ale postanowił, że raz jeszcze spróbuje to zmienić.

Izaak długo nie mógł usnąć. Przewracał się z boku na bok, a kiedy wreszcie zmęczenie wzięło górę, natychmiast pojawiły się senne majaki. Nie pamiętał, co mu się śniło, wiedział jedynie, że były to pogodne marzenia.

Przebudził się niespodziewanie. Podeszedł do okna, za którym niezmiennie królowała ciemność. Nocną ciszę zakłócał jedynie wiatr wiejący od morza. Stał chwilę, wpatrując się w mrok, a w końcu założył szlafrok i wyszedł na pusty korytarz. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. „Nic dziwnego, że nikogo tutaj nie ma” – pomyślał.

Zszedł piętro niżej i zatrzymał się przed drzwiami pokoju Julii. Wiedział, że tej nocy jest sama.

– Agaty dzisiaj nie będzie – powtórzyła mu po kolacji. – Wróci dopiero jutro.

Ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte, czemu się zdziwił. Wszedł do przedpokoju i przekręcił za sobą klucz. Drzwi do pokoju były uchylone. Kiedy pchnął je delikatnie, otworzyły się cicho. Chwilę trwało, zanim przyzwyczaił się do ciemności, a kiedy to się stało, ostrożnie usiadł w fotelu.

Julia leżała na boku z podkurczonymi nogami, przykryta kołdrą i oddychała miarowo. „Śpi” – pomyślał i sięgnął po koc. Kiedy się odwracał, przewrócił szklankę stojącą na stole. Była pusta, a odgłos upadku stłumił obrus, ale Julia przestała oddychać.

– Kto tam? – zapytała. – To ty, Agato?

– Nie, to ja, Izaak – wyszeptał.

– Ty? – zdziwiła się. – Która godzina?

– Północ.

– Po co przyszedłeś? – odwróciła się na plecy.

„Po co przyszedłem?” – powtórzył w myślach. – Chciałem zobaczyć... – zawahał się przez chwilę – chciałem zobaczyć, czy we śnie wyglądasz tak, jak w moich marzeniach.

– Chcesz powiedzieć, że pojawiaam się w twoich marzeniach?

– Czasem tak. Czy mogę zostać do rana? – przykrył się kocem, nie czekając na odpowiedź.

– Nie wiem – odpowiedziała, wierzchem dłoni tłumiąc ziewanie. – Przepraszam, ale ta pora... – tłumaczyła się. – Zostań, ale powiedz, o czym chciałeś rozmawiać?

Ucieszył się. Nie miał ochoty wracać do swojego pokoju i jej przyzwolenie bardzo mu odpowiadało. Nie miał niestety pomysłu na konwersację w środku nocy.

– Właściwie, to nie wiem. Nie wiem, jaką rozmową mógłbym cię zainteresować.

– O tej porze? O tej porze marzę tylko o jednym: spać, spać i jeszcze raz

spać.

– Jasne – zgodził się bez protestu. – To co, mam ci powiedzieć dobranoc?

– Myślę, że to dobry pomysł – nie czekając na odpowiedź, przykryła się kołdrą i odwróciła twarzą do ściany.

Chwilę panowała cisza, ale wkrótce usłyszał jej miarowy oddech. Poprawił się w fotelu, przykrył kocem i wszystkimi zmysłami odbierał ją śpiącą.

Obudził go jakiś hałas. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i co się dzieje, ale szybko odzyskał świadomość.

Julia spała, jednak co chwila wymachiwała rękami, jakby się przed kimś lub przed czymś broniła. Coś mówiła, czasem podnosiła głos tak bardzo, że stawał się podobny do krzyku. Nie miał wątpliwości, że dręczył ją jakiś koszmarne sen.

Znał takie sytuacje. Często próbował uciekać, ale stał w miejscu, mimo że biegł. Albo musiał wejść na wysokie piętro, ale okazywało się, że schody są zerwane i trzeba wspinać się po pionowej ścianie, a on cierpiał na lęk wysokości. „Swoją drogą to ciekawe, że lęk wysokości mam i w realnym świecie, i we snach” – snuł filozoficzne rozważania.

Przeciągle zagwizdał. Wiedział, że to jedna z metod, aby uchronić się od koszmaru chrapania współlokatora, ale nie miał pewności, czy będzie skuteczna w przypadku koszmarnego snu. Szybko się przekonał, że nie była. Wstał z fotela. W tym samym mdłym świetle ulicznej lampy zobaczył odkryte ramię Julii.

Usiadł na skraju wersalki, unosząc dłoń jak pianista przed zagranieniem pierwszego akordu. Chwilę walczył z wątpliwościami, ale w końcu ujął ramię kobiety i delikatnie nim potrząsnął.

– To tylko zły sen – szepnął jej do ucha.

Czuł delikatność skóry i odurzający zapach włosów. Chciał trwać w tej pozycji do rana.

Przestała oddychać i w tej samej chwili dotarło do niego, że obudziła się i myśli, jak na tę sytuację ma zareagować. Kiedy położyła dłoń na jego dłoni, pomyślał, że za chwilę poprowadzi go do raję, że jak Ewa da mu zakazany

owoc, że on go skosztuje, że będzie delektował się jego cudownym smakiem, że...

– Odejdź, proszę – jego myśli przerwał jej cichy głos, ale dłoń ciągle była na jego dłoni.

Już chciał odejść, ale przypomniał sobie, że jest tutaj po raz ostatni.

– Jutro po południu wyjeżdżam – mówił półgłosem. – Chciałbym zabrać ze sobą ciepło twojego ciała, aksamitność skóry i zapach włosów. Pozwolisz?

Nie powiedziała „tak”, nie powiedziała „nie”. Nic nie mówiła, ale on tę ciszę interpretował na swoją korzyść. Wsunął dłoń pod kołdrę i położył na jej udzie – było przyjemnie ciepłe, wręcz gorące. Poruszyła się, a jego serce, które biło jak oszalałe, zamarło na chwilę.

„Wszystko zepsułem” – pomyślał. „Taka szkoda”. Ale ona zastygła w bezruchu, jakby na coś czekała. On też czekał i chyba oboje czekali by bez końca, gdyby nie jego wewnętrzny głos. „No odważ się” – zachęcał. „Już nigdy więcej jej nie dotkniesz”.

Zdjął szlafrok, ostrożnie wsunął się pod kołdrę i całym ciałem przylgnał do jej ciała.

Odwróciła się na plecy i zanim zdążył odpowiedzieć, delikatnie ujęła jego dłoń i położyła ją na swojej szyi. Wydawało mu się, że zamknęła oczy.

Leżała na plecach z rozpuszczonymi włosami. Włosami miękkimi, puszystymi i pachnącymi wiosną. Wtulił w nie twarz, a opuszkami palców muskał jej szyję, policzki i nos. Przesuwał je po ustach, wyczuwając równy i spokojny oddech. Gładził je delikatnie, aż nagle poczuł jej język. Był wilgotny, zmysłowy i zdawał się prowadzić jakąś grę.

Trochę się wystraszył, kiedy przygryzła jego palec, ale był to uścisk delikatny, subtelny i fascynujący. Chciała coś powiedzieć, ale położył palec na jej ustach.

Leżeli bez ruchu: ona na wznak, z rozpuszczonymi włosami, on z twarzą wtuloną w jej włosy.

– Odpowiesz na jedno pytanie? – zapytała po chwili i przytuliła policzek do jego twarzy.

– Pytaj.

– Czy wierzysz w miłość prawdziwą, wielką i czystą? I czy może on trwać i trwać bez końca? Znasz takie przypadki?

– Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć – zamilkł, szukając właściwych słów. – Zadałaś trudne pytanie. Ja uważam, że miłość zmienia się z upływem czasu i kształtują ją warunki, które stawia życie. Praca, dzieci, pranie, sprzątanie, gotowanie – to jego proza, która nie sprzyja miłosnym uniesieniom. Zauważ, że w filmach o miłości o tej prozie życia się nie mówi.

– Czyli nie ma wielkiej i czystej miłości? – usłyszał zawód w jej głosie.

– Nie, tego nie powiedziałem. Ludzie kochają się niezależnie od wieku, ale z upływem lat to jest już inna miłość. Pozbawiona młodzieńczych uniesień, szalonego bicia serca i tej pozytywnej zazdrości, ale za to miłość dojrzała, tolerancyjna i odpowiedzialna.

W pokoju zapanowała cisza.

– Wiesz... – zaczął, ale ona przykryła dłonią jego usta.

– Ciiii – wyszeptała i splotła palce ich dłoni.

Rozłożył ramiona i całym sobą wtulił się w jej ciało. Czuł falowanie nabrzmiałych piersi i wiosenny zapach włosów. Całował jej twarz, szyję i ramiona, a ona zdawała się to akceptować. Milczała, ale mówiło za nią jej ciało. Mówiło, że chce tego, że pragnie więcej.

Opuszkami palców poznawał jej talię, błędził po biodrach, delectował się aksamitem ud. Przesuwał dłoń powoli, delikatnie, jakby nie chciał jej zbudzić, chociaż dobrze wiedział, że nie śpi. Nie śpi i czeka. Ta sytuacja go onieśmiała. Brak reakcji z jej strony mógł znaczyć wszystko. I to, że odda się bez opamiętania, bez jakichkolwiek zahamowań, z dzikim pożądaniem, ale i to, że wybuchnie, że raz na zawsze zakończy się ich znajomość. Toczył więc ze sobą walkę, której wynik był jednak do przewidzenia.

Ciągle delectował się dotykiem jej ciała. Niby błędził dłonią, niby dbał o to, aby nie przekroczyć niewidzialnej granicy, która jednak przesuwiała się coraz niżej. Zastygł w bezruchu, kiedy dotyk aksamitnej skóry zmienił się w miękkość włosów waginy. Ta chwila wydała mu się wiecznością, czasem pracującym z każdą sekundą dla niego i oczywistym pozwoleniem na więcej. Kiedy wyobraźnia w przyspieszonym tempie podsunęła mu obraz tego, co stanie się za chwilę, Julia nagle się poruszyła. Ujęła jego dłoń i powoli

odsunęła.

– Nie – wyszeptała. – Jeszcze nie teraz.

Michał przywitał się z Elżbietą jak zwykle czule.

– Co u ciebie słysząc? – zapytał zdawkowo.

– A co ma być słysząc? – kobieta odstawiła czajnik z wrzątkiem. – Pustka i jeszcze raz pustka. Dopiero teraz widzę, jak bardzo Stefana brakuje. Dobrze, że chociaż ty jesteś – zalała herbatę w szklankach.

– Ja właśnie w tej sprawie przyszedłem. Przemyślałem wszystko dokładnie. Moje małżeństwo, nasze spotkania i naszą przyszłość. Przemyślałem i mam do ciebie prośbę.

– Mów – twarz Elżbiety stała się biała jak obrus.

– Przestańmy się spotykać – położył dłoń na jej dłoni. – Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Julia ciągle była pod wrażeniem spotkania, które sama przerwała. Zastanawiała się, dlaczego to zrobiła, skoro tak bardzo pragnęła jego miłości i czułego dotyku.

– Gliniana misa – powiedziała półgłosem, wzbudzając ledwie maskowaną ciekawość Agaty. – Wiesz – odwróciła się do niej – dwa dni temu miałam dziwny sen.

Agata w jednej chwili odłożyła „Przekrój” i zamieniła się w słuch.

– No mów! – nie wytrzymała.

– Śniła mi się gliniana misa pełna miodu. W moim śnie była ona symbolem prawdziwej miłości – zamyśliła się. – W końcu zjawił się przystojny mężczyzna, który bardzo mi się podobał. Ja jemu zresztą też, bo szybko zaczęliśmy się kochać.

– Nie mów! – Agata przysunęła się do niej, jakby się bała, że nie usłyszy wszystkich szczegółów. – Naprawdę miałaś taki sen? Mów, co było dalej?

– Naprawdę. To znaczy on próbował się kochać, ale ja nie pozwoliłam –

dodała z poczuciem winy.

– Głupia jesteś, czy co? – Agata nie wytrzymała. – Dlaczego się nie zgodziłaś?

– Uspokój się, to był tylko sen. Jak mogłam zmienić swój sen?

– No faktycznie, nie mogłaś, ale jak znam ciebie, to gdyby to nie był sen, też byś się nie zgodziła. A wiesz, jak nazywają ciebie w sanatorium? – zapytała niespodziewanie.

– To mnie jakoś nazywają?

– Tak, „Zakonnica” na ciebie mówią – Agata patrzyła tryumfująco na speszoną koleżankę – bo unikasz facetów.

– Ja nie unikam facetów. Codziennie spotykam się z Izaakiem.

– A co to za spotkania? Łazicie na jakieś spacer, pewnie wążacie kwiatki, może czasem trzymacie się za rączki jak małe dzieci i ty to nazywasz spotkaniem z facetem? Spałaś z nim? – zapytała niespodziewanie.

– No... no nie – Julia była tak zaskoczona bezpośredniością Agaty, że to drobne kłamstewko wypowiedziała z zauważalnym wahaniem. „Ech, Agata, Agata” – pomyślała. „Gdybyś wiedziała o wszystkim...”.

– No właśnie! – kobieta kiwała z politowaniem głową. – Niepotrzebnie tracisz czas, a turnus za dwa dni się kończy. Wrócisz do swojego Michasia, do prania skarpet, gaci, gotowania obiadów, udawania miłosnych uniesień i innych dupereli. Korzystaj z tego, że jesteś poza domem. Ale co ten twój senny amant chciał zrobić, że dałaś mu kosza? – przypomniała sobie przerwana opowieść.

– Chciał całować moje łono i jeszcze tam niżej – spuściła głowę. – Nie byłam pewna, czy mnie kocha, bo nie przyniósł glinianej misy, więc się nie zgodziłam.

– Wariatka jesteś, tyle ci powiem! Z powodu głupich mis, garów, czy innych cholernych naczyń stracić taką okazję! – nie mogła się uspokoić. – Gdyby mnie ktoś chciał tak całować... – rozmarzyła się, chcąc powiedzieć, co wtedy by było, ale przerwało jej pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – powiedziały równocześnie.

W drzwiach stanął Izaak. Miał na sobie dżinsowe spodnie, beżową koszulę z krótkimi rękawami i sportowe buty. Był opalony, a w rękach trzymał trzy czerwone róże związane wąską białą wstążeczką.

– Przepraszam za wczorajszą noc – powiedział, tak jakby w pokoju byli zupełnie sami. – Te róże są dla ciebie, a dzisiaj zapraszam na długi spacer. Będę czekał na promenadzie przy wejściu na plażę. Za pół godziny – dodał już w drzwiach.

– Co mu się tak śpieszyło, za jaką noc? – Agata była zdezorientowana. – Co tu się działo, jak mnie nie było? Ale przystojniak to on jest – dodała z uznaniem. – Tylko dlaczego znowu chce zabrać cię na spacer? Wiesz, to ja pójdę na długi spacer i pokój będziecie mieli wolny – na jej twarzy zagościł tajemniczy uśmiech. – A właściwie to za co on ciebie przeproszał?

– Nieważne. Wolałabym o tym nie mówić. Lepiej poradź, co mam na siebie włożyć.

– Jak chcesz, ale pomyśl, czy zamiast męczyć się rozmową na spacerze, nie lepiej przyjemnie spędzić czas w tym pokoju...

Koniec lata to pora kwitnienia wrzosów. Właśnie wtedy budzą się do pełnego życia, przykrywając polany, osłonięte od wiatru wzgórza i południowe stoki wydm. Cieszą wzrok każdego, kto zostawi urokliwe uliczki Ustki i nadmorskimi ścieżkami pójdzie w stronę Rowów i Słowińskiego Parku Narodowego.

Julia i Izaak szli w milczeniu, podziwiając zalesione pagórki i pokazujące się od czasu do czasu morze. Kiedy minęli ujście Orzechówki, która, wijąc się wśród buków niczym olbrzymi wąż, kamienistym ujściem wpadała do morza, Izaak zatrzymał się i objął kobietę ramieniem.

– Julio, Julio kochana – szeptał.

Lubiła te słowa. Objęła go za szyję, pokrywając jego twarz dziesiątkami delikatnych muśnięć warg.

– Jesteśmy na szlaku – przypomniała, kiedy zaczął ją rozbierać. – Chodź – pociągnęła go za rękę i poprowadziła przez polanę pełną wrzosów.

Nie znali tej okolicy. Wiedzieli jedynie, że chcą odejść jak najdalej od morza, szlaku i ludzi. Szli szybko, prawie biegli i wkrótce znaleźli się na małej polanie, otoczonej niewielkimi pagórkami. Przy sośnie rosnącej u

wejścia do dolinki dosłownie obsypał ją pocałunkami.

Rozbierali się nawzajem i już po chwili nadzy stali naprzeciw siebie. Właśnie wtedy przypomniała sobie Michała i Elżbietę. Nie zastanawiając się ani przez moment, położyła dłonie na jego ramionach, lekko je naciskając. Kiedy ukląkł, objęła jego głowę i mocno przycisnęła do swojego łona. Odczytał jej zamysł natychmiast i już po chwili doprowadzał ją do szaleństwa, jakie nigdy nie było jej udziałem.

– Jeszcze – prężyła ciało w miłosnej ekstazie. – Proszę, nie przestawaj.

Kiedy wstał, objęła go za szyję obsypując dziesiątkami delikatnych pocałunków.

– Jestem twoja – szeptała. – Cała jestem twoja.

Nogami oplotła jego biodra.

To, co stało się na wrzosowisku, obezwładniało ją i chociaż wzięła prysznic, do kolacji nie zdążyła ochłonać. Namiętność, tłumiona przez lata samotności, kiedy mężczyzny nawet nie dotknęła, znalazła wreszcie swoje spełnienie. Spełnienie, które tak się jej spodobało, że wszystkie zasady moralne, jakimi dotąd się kierowała, nagle przestały dla niej istnieć. Zawładnęło nią pożądanie w swojej najprostszej, niemal zwierzęcej postaci. Nie umiała i nie chciała z nim walczyć.

Kolacji prawie nie tknęła. W podświadomości zanotowała jedynie, że Agaty w stołówce nie było. Kartka, zapisana nierównym pismem, jaką znalazła po powrocie do pokoju, informowała, że jej współlokatorka wróci około północy.

– Co ona znowu wymyśliła? – powiedziała półgłosem, poprawiając przed lustrem sukienkę. – Jak ona czasu nie traci, to i ja nie będę.

Wiedziała, że Agata zostawiła jej wolny pokój i że za dwa dni turnus się kończy. Wiedziała, że wróci do zwykłego, szarego życia, w którym największym uniesieniem będzie radość z dobrze przygotowanego obiadu, z faktu, że pranie zdążyło wyschnąć przed wieczorem, że udało się złożyć siano przed burzą, że... Wiedziała to i postanowiła jak najszybciej spotkać się z Izaakiem. Znalazła go przed budynkiem sanatorium. Siedział na ławce, przypatrując się mewom szukającym pożywienia w koszu na śmieci.

Nie zwracali uwagi na ciekawskie spojrzenia kuracjuszek, kiedy szybkim krokiem przemierzali korytarz, nie słyszeli półgłosem wypowiedzianych zdań i wkrótce weszli do jej pokoju. Przyłgął do niej całym ciałem tak mocno, że ledwie zdołała zamknąć drzwi. Od dawna tłumiona namiętność wybuchła niczym wulkan po stu latach ciszy.

Drzwi plebanii otworzył młody, najwyżej czterdziestoletni ksiądz.

– O co chodzi? – zapytał łagodnym głosem.

– Chciałam się wyspowiadać – Julia nie wytrzymała spojrzenia.

– Pani turnus jutro się kończy?

– Tak – uniosła powieki. – Skąd ksiądz wie?

– Proszę chwilę poczekać. Włożę coś na siebie.

– Księżo Zenonie – usłyszała zza drzwi głos starszej kobiety – a co z obiadem?

– Pani chęć wyspowiadania się jest typowym zachowaniem – usłyszała w konfesjonale. – Na swój użytek nazywam to syndromem końca turnusu.

– Nie rozumiem – mówiła szeptem, trzymając dłonie przy ustach. – Co to znaczy?

– Pobyt w sanatorium daje namiastkę swobody – głos księdza przyjął mentorski ton. – Oderwanie od domu, od codziennych spraw i kłopotów sprzyja takim zachowaniom, które powodują konflikt sumienia, a dla ludzi wierzących właśnie spowiedź prowadzi do oczyszczenia. W konfesjonale powiedzą księdzu o swoich grzechach i będą przekonani, że sumienia mają czyste. Tak im się w każdym razie będzie wydawać.

– Jak to, będzie się wydawać? – z trudem nadała za tokiem rozumowania księdza. – Czy to znaczy, że naprawdę jest inaczej?

– A kto to może wiedzieć? – kapłan zamilkł na chwilę. – Kto może wiedzieć, czy Bóg naprawdę istnieje?

– To ksiądz nie wierzy w istnienie Boga?

– Nie, nie! – zaprzeczył zdecydowanie. – Tak nie jest. Ja tylko wątpię. Niebo, piekło, Bóg, diabły, anioły, raj czy sąd ostateczny – to wszystko jest

kwestią wiary. Nikt tego nie widział, nikt stamtąd nie wrócił, nikt na pewno niczego nie wie. Dlatego nie umiem pani odpowiedzieć, czy spowiedź naprawdę oczyszcza sumienie. Jeśli Bóg istnieje, to ma tyle ważniejszych spraw do załatwienia niż grzechy pojedynczych ludzi, że wcale bym się nie dziwił, gdyby go to w ogóle nie interesowało. W tym sensie spowiedź wydaje się niepotrzebna, chociaż przyznaję, że może uspokoić grzesznika. Gdybym miał dać pani radę, to powiedziałbym, że należy tak postępować, aby nie krzywdzić nikogo. Nie Boga, ale swoich najbliższych – rodzinę, sąsiadów czy znajomych.

– A jeśli popełniło się grzech – pogubiła się. – Co wtedy? Przyznać się czy nie?

– Nie ma na to jednej odpowiedzi. Czasem grzech jest ewidentny i pytanie o to, czy się przyznawać, nie ma po prostu sensu. Niekiedy jednak grzech jest ukryty i chociaż krzywdzi człowieka, to lepiej go przemilczeć. Przyznanie się do grzechu może nawet człowieka zabić. Proszę mi wierzyć, znam takie przypadki. Więc mówić, to może niekoniecznie, ale na pewno tak postępować, aby naprawić skutki swojego grzechu. Ale rozmawiamy bardzo ogólnie. Proszę powiedzieć, co naprawdę sprowadza panią do konfesjonału?

Opowiedziała ze szczegółami o wszystkim. Mówiła o Michale, Izaaku i Tomaszu. Swoją postawą ksiądz Zenon zdobył takie jej zaufanie, że nie wahała się powiedzieć o najbardziej intymnych szczegółach jej małżeństwa i znajomości z Izaakiem. Kiedy przyznała, że więcej grzechów nie pamięta, ksiądz zamilkł na dłuższą chwilę i Julia odniosła wrażenie, że ta sprawa go zwyczajnie przerosła. Myliła się jednak.

– Mimo całej złożoności sprawy – ksiądz mówił poważnym głosem – rada jest prosta. Musi pani zrobić wszystko, aby ratować małżeństwo.

– A pokuta? – zapytała, widząc, że ksiądz szykuje się do udzielenia rozgrzeszenia.

– Jeśli chce pani odmawiać litanie albo różaniec, to nie zabraniam, ale sensu w tym nie widzę. Pokutą będzie przełamywanie urazów i uprzedzeń, które przez lata powstawały w pani psychice. Jeśli to się pani uda, to proszę mi wierzyć, że Bóg ucieszy się o wiele bardziej, niż gdyby nawet tysiąc razy usłyszał *Ojciec nasz* czy *Zdrowaś Mario*.

– Nie dziwią panią moje poglądy? – zapytał, kiedy wyszli z kościoła.

– Prawdę mówiąc, to szokują – przyznała bez zastanowienia. – Czy ksiądz stosuje się do zaleceń soboru watykańskiego?

– O nie, nie – ksiądz Zenon uśmiechnął się. – Aż takiej rewolucji sobór nie wprowadza. To moje własne przemyślenia. Niestety kuria tego nie akceptuje i przenosi mnie gdzieś na południe Polski.

– To może do nas ksiądz trafi? Nasz proboszcz takie zgorszenie robi, że o większe trudno, a kuria ciągle milczy.

– Może – ksiądz Zenon zamyślił się. – Kto to może wiedzieć?

Ksiądz Jan, gosposia i ich syn kończyli obiad, kiedy kilku mężczyzn wtargnęło na plebanię.

– Tutaj jest! – krzyknął jeden z nich, uchylając drzwi pokoju pełniącego funkcję jadalni.

Ksiądz Jan jednym susem znalazł się przy sekretarzyku. Chwycił krzyż i trzymając go oburącz, skierował w stronę napastników.

– W piekle zgnijecie! – krzyczał. – Przeklinam was w imię Chrystusa Pana za zbrukanie świętego miejsca i podniesienie ręki na sługę bożego.

Wśród mężczyzn zapanowała konsternacja. Teatralny gest księdza i jego pełne emocji słowa zrobiły jednak wrażenie. Pierwszy ochłonął Zawadka.

– Powiem krótko i dosadnie: zamknij się! To ty zgnijesz w piekle! Zgnijesz za to, że za nic masz ludzi, że łapskami, którymi obmacywałeś dupę gosposi, dotykasz świętego krzyża i hostii, za to...

– Bogna, dzwoń na milicję! – ksiądz Jan, nie opuszczając krzyża, rzucił w stronę gosposi. – Tylko szybko!

– Niedoczekanie twoje! – dwaj mężczyźni doskoczyli do księdza. Figurka ukrzyżowanego Chrystusa upadła na podłogę.

– Ratunku! Bandyci! – przeraźliwy krzyk duchownego wypełnił plebanię. Chłopiec wybiegł na dwór, a gosposia rzuciła się do telefonu.

– Zamknij się, mówię! – Zawadka związywał wykręcone ręce księdza Jana. – Nie chciałeś wyjechać po dobroci, to ci pomożemy.

Kiedy wyszli na podwórze plebanii, otoczył ich tłum nieprzyjaźnie do

księdza nastawionych ludzi. Stali w milczeniu, ale na ich kamiennych twarzach malowały się tłumione emocje.

– Właż – wycodził przez zęby Zawadka, wskazując taczkę trzymaną przez rosnącego mężczyznę. – Właż i nie kombinuj, jeśli nie chcesz oberwać.

Pchali taczkę przez wieś, zmieniając się co jakiś czas. Po drodze dołączali do nich kolejni mieszkańcy Szczepanowa i wkrótce w tej dziwnej procesji szło kilkadziesiąt osób.

– To nie Boże Ciało, księżuniu! – krzyknął ktoś z tłumu. – Taczka to nie baldachim. Zgorszenie tylko siałeś. Miałeś drogę do Boga pokazywać, a to my pokazujemy ją tobie.

Zatrzymali się dopiero na przystanku PKS.

– Masz na bilet – Kitman rzucił na ziemię garść monet – i nie próbuj do nas wracać!

Nagle zza zakrętu wyjechała na sygnale milicyjna Nyska.

– O Boże – jęknął ktoś w tłumie – zaraz się zacznie.

Samochód zatrzymał się na poboczu drogi, wzbijając tuman kurzu. Ten sam porucznik, który osłaniał rozbiórkę dzwonnicy, energicznie zeskokczył na ziemię.

– Co jest? – zapytał. – Co się tutaj dzieje? Co to za zgromadzenie? Mamy zgłoszenie o napaści na plebanię i o rozboju.

– Ja nic o tym nie wiem – Zawadka rozłożył ręce. – Może ktoś z was słyszał o napaści na plebanię? – zwrócił się do stojących kobiet i mężczyzn.

– Nie, nie, nie – zaprzeczali kolejno.

– Ksiądz prosił, żeby podwieźć go do autobusu, no to go podwieźliśmy, ale żeby jakiś napad?

– Ale pieprzycie, Zawadka! – porucznik zaśmiał się. – Taki stateczny z was człowiek, a kłamiecie jak z nut – pokręcił głową i wszedł do Nyski. – Wracamy – rozkazał kierowcy.

Siedzieli na pustej plaży oparci o siebie plecami.

– Chciałbym, żeby nasze spotkanie zmieniło twoje małżeństwo – Izaak pierwszy przerwał panującą ciszę. – To jest możliwe, a Michał jest dobrym człowiekiem.

– Nie powinieneś tak mówić – Julia kreśliła na piasku jakieś linie. – Może coś się w moim małżeństwie zmieni, a może nie, ale to ja i Michał będziemy o tym decydowali.

– Źle mnie zrozumiałaś – głos miał spokojny. – Ja tylko bym chciał.

– Spotkamy się jeszcze? – w jej głosie usłyszał niepewność i nadzieję.

– Może – zamyślił się. – Może tak, ale chyba nieszybko.

– Dlaczego?

– Wczoraj miałem telefon od żony...

– Jasne! – zachnęła się, przerywając mu w pół zdania. – Musisz do niej wrócić. Drugi raz spełniłeś swoją zachciankę i ci wystarczy – wstała. – Żałuję, że się spotkaliśmy, bardzo żałuję.

– Pozwól mi coś powiedzieć – prosił.

– A co tu jest jeszcze do powiedzenia? Dla mnie wszystko jest jasne – otrzepała z piasku sukienkę i ruszyła w stronę Ustki.

Spotkali się po kolacji. Siedziała na ławce przed budynkiem sanatorium, chociaż nigdy nie widział jej w tym miejscu. Odniósł wrażenie, że na niego czeka. Bez słowa usiadł obok.

– Chciałbym dokończyć naszą rozmowę – patrzył przed siebie. – Pozwolisz?

– Jak musisz, to mów – odpowiedziała krótko.

– Moja żona jest poważnie chora – zaczął od razu, jakby się bał, że znowu nie pozwoli mu dokończyć. – Dotąd lekarze nie potrafili postawić diagnozy, ale wczoraj przyszły wyniki kolejnych badań. Niestety to nowotwór – zamilkł. – Pytałaś, czy jeszcze się spotkamy – dotknął jej dłoni. – Jestem pewien, że tak, jednak teraz muszę być przy żonie. Zrozum mnie, proszę.

Chociaż nie włączała się do rozmów prowadzonych przez pasażerów,

pobyty w Ustce dostarczył jej tylu emocji, że podróż nie dłużyła się wcale. Było już ciemno, kiedy spóźniony pociąg wjechał na peron stacji w Obornikach Śląskich.

– To ty? – stanęła jak wryta, kiedy zobaczyła Michała.

– Tak się zmieniłem przez trzy tygodnie, że mnie nie poznajesz? – uśmiechnął się. – To dla ciebie – wręczył bukiet czerwonych róż, który trzymał za plecami. – Cieszę się, że wróciłaś.

– Byłeś w Beskidach? – pytała podczas kolacji.

– Byłem.

– Że też ci się chciało – oparła brodę na złożonych dłoniach. – Po tym wszystkim, co przeszedłeś.

– A ty? To sanatorium coś ci dało? Czujesz się lepiej?

– Tak – wstała, zbierając ze stołu sztucce i talerze.

– Zostań – przytrzymała go za ramię, kiedy szedł spać do swojego pokoju. – Przemyślałam wszystko. Myślę, że powinniśmy jeszcze raz spróbować.

– Mów, co słyhać w Karlikowie? – wtuliła się w jego ramiona.

– Dużo się zmieniło – gładził jej włosy. – Ksiądz na taczkach ludzie wywieźli, a gosposia z dzieckiem to sama uciekła.

– Niemożliwe! Naprawdę tak było?

– Uhm... – kiwnął głową. – Stefana piorun zabił, a ksiądz nie chciał go pochować, no i ludzie wpadli w szal.

– To Stefan nie żyje? – usiadła na łóżku.

– Nie żyje – zamyślił się. – To dziwna sprawa. Ludzie mówią, że sam o śmierć się prosił. Po krowę poszedł i pod lasem burza go zastała. Nikt nie wie, dlaczego pod dębem usiadł, chociaż wszystkim powtarzał, żeby tego nie robić. Do sanatorium pojechałaś, to nie wiesz, ale on się zmienił. Nieswój jakiś był, ludzi unikał, no i ten dąb...

Nagle wydało jej się, że wszystko wokół zaczyna rozmazywać się i znikać. Słowa męża zdawały się dochodzić z jakiejś przepastnej otchłani, dudniły przeciągle, jakby chciały rozsądzić jej czaszkę. „Boże, Boże” –

pomyślała. „Dlaczego mu o tym powiedziałam?”.

– W kościele wy nie byli, panienko Julio, to i nie wiecie, jaki nowy ksiądz nam nastał – głos Tkaczukowej był pełen emocji. – Młody i ładny, a mówi, że tchu człowiekowi brak.

– Proszę usiąść – Julia podsunęła krzesło. – To mówi pani, że mamy nowego księdza?

– A mamy, mamy. Ludzie rade z niego są, po rękach go całowali. Całkiem inny od księdza Jana jest. Mówi, na ten przykład, że grzech nie Boga krzywdzi jeno ludzi, a przecie ksiądz Jan mówił, że Boga, to ja już sama nie wiem. No i bez gosposi przyjechał. Ludzie gadają, żeby ja księdzu gotowała, ale ja tam nie wiem. Sobie to ugotuje, ale żeby księdzu?

– A jak się ten ksiądz nazywa? – Julia, coraz bardziej podekscytowana, usiadła obok Tkaczukowej.

– Nazwisko mówił – Tkaczukowa zdjęła chustę szykując się do dłuższej rozmowy – ale nie pamiętam. Młode jakie dziewczuszki to może i zapamiętały, no ja stara już, to mnie wszystko jedno.

Rok 1970

– Pani Julia Jakubowska? – młody mężczyzna stanął w uchylonych drzwiach.

– Tak – odpowiedziała zdziwiona. – A o co chodzi?

– Jestem studentem – przybysz uśmiechnął się tajemniczo – i mam list. Mój wykładowca prosił, abym doręczył go pani osobiście.

– Jaki wykładowca? Nie rozumiem.

– Doktor Wise. Nie zna go pani?

– Ach tak – czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. – Znam. Oczywiście, że znam. Trochę się pogubiłam, przepraszam. Proszę, niech pan wejdzie.

– Dziękuję, ale niestety nie mogę – wręczył jej białą podłużną kopertę. – Koledzy na mnie czekają.

Dopiero teraz zobaczyła stojącą przed domem syrenę.

„Tel Aviv” – odczytała na pieczętce i w pośpiechu rozerwała kopertę.

Droga Julio – zaczęła czytać. Od naszego spotkania miną wkrótce trzy lata. Wtedy w Ustce nie przypuszczałem, że u mnie tak się wszystko pogmatwa. Moja żona miała nowotwór, to wiesz. Poruszyłem niebo i ziemię, żeby jej pomóc i kiedy leczenie zaczęło przynosić skutek, przyszedł rok 1968. Musieliśmy wyjechać z biletem w jedną stronę, bez prawa powrotu do Polski. Wyjazd i podróż żona zniosła źle, a leczenie musiała przerwać na miesiąc. W Izraelu nic już nie dało się zrobić i jesienią 1968 roku był jej pogrzeb. Od tamtej pory jestem sam w kraju ogarniętym wzajemną wrogością Żydów i Palestyńczyków. Robię remanent swojego życia, a Ty, chociaż spotkaliśmy się zaledwie kilka razy, jesteś jego znaczącą częścią.

Julio Najdroższa. Z nostalgią wspominam nasze spotkanie w Ustce. Ile razy o nim myślę, tyle razy chciałbym Ci gorąco za nie podziękować. Podaję swój adres i czekam na list. Ucieszę się, kiedy napiszesz, że jesteś szczęśliwa.

Twój Izaak

Usiadła na kanapie i zamyśliła się. Niespodziewany list od Izaaka przywołał wspomnienia i wprowadził ją w taki nastrój, w jakim od dawna nie była. Znowu chciała spacerować pustą plażą, pragnęła jego dotyku, takiego,

jakim obdarowywał ją w tę pamiętną noc, i tęskniła do tej szalonej namiętności, którą dali sobie wzajemnie wśród kwitnących wrzosów.

Ścienny zegar pokazywał czwartą, kiedy zaczęła gotować obiad. Michał wracał o piątej i nie miała zbyt wiele czasu, ale jeszcze dwa razy zdążyła przeczytać list. „Szkoda, że to już nie wróci” – uśmiechnęła się smutno.

Otworzyła drzwiczki pieca. Gorące powietrze buchnęło jej w twarz. W żrenicach odbijały się płomienie drewnianych polan trawionych przez ogień.

Rok 1996

Escort ledwie wcisnął się między samochody zaparkowane na wrocławskim Nowym Targu. Średniego wzrostu kierowca o owalnej twarzy i kręconych jasnych włosach spojrzął na zegarek. Była za dziesięć jedenasta. „Jeszcze dwadzieścia pięć minut” – pomyślał. Przerzucił przez ramię niewielką torbę podróżną i ruszył w kierunku Rotundy Panoramy Racławickiej.

We Wrocławiu był po raz pierwszy, ale tego fragmentu miasta nauczył się z mapy na pamięć. Minał gmach Muzeum Narodowego, skręcił w lewo na most Pokoju i wkrótce stał oparty o balustradę. Przed sobą miał jeden z ładniejszych miejskich widoków. Ostrów Tumski z Katedrą, most Grunwaldzki, porośnięty bluszczem budynek Muzeum Narodowego i szary łukowaty kształt gmachu Urzędu Wojewódzkiego były w zasięgu jego wzroku.

Miał wykonać kolejny wyrok, ale nie denerwował się – w końcu był zawodowcem. Tym razem nie znał zleceniodawcy, wiedział jednak, że musiał być nim ktoś naprawdę bogaty, bo trzydzieści pięć tysięcy dolarów, które podał jako propozycję do negocjacji, pośrednik przyjął bez słowa sprzeciwu.

Człowiek, z którym się umówił, był punktualny i wkrótce jego golfem jechali wzdłuż Odry Wybrzeżem Wyspiańskiego.

– Za pięć minut będziemy na miejscu – odezwał się milczący dotąd mężczyzna, kiedy minęli Politechnikę i skręcili na most Zwierzyniecki. Minęli Halę Ludową i skręcili w biegnącą przez Park Szczytnicki ulicę Kopernika.

– Jak na czerwiec mamy wyjątkowo zimny dzień – kierowca usiłował nawiązać rozmowę. – Niektórzy mówią, że to spóźnieni majowi ogrodnicy.

Nic nie powiedział. Przełożył pistolet z torby podróżnej do wypełnionej gazetami torby listonosza Poczty Polskiej, która zgodnie z umową znajdowała się w samochodzie, i wprawnie nałożył tłumik. Kiedy zaparkowali przy ulicy Okrzei, był gotowy do akcji.

– Poczekaj – odezwał się po raz pierwszy. – Muszę sprawdzić, czy klient jest w domu.

– Powinien być – kierowca wzruszył ramionami. – Prowadziliśmy obserwację przez dwa tygodnie.

Zadzwoił z automatu telefonicznego. Kiedy usłyszał w słuchawce wywoławcze „halo”, poprosił Krystynę.

– Pomyłka – usłyszał ochryply głos.

– Gówno, nie pomyłka – pomyślał. Dobrze wiedział, że żadna Krystyna pod tym adresem nie mieszka.

Doszedł do ulicy Partyzantów, minął pocztę, zbudowany z czerwonej cegły gmach Szkoły Podstawowej nr 45 i wkrótce stał przed drzwiami. Pewnie nacisnął przycisk domofonu.

– Poczta, list polecony – powiedział lekko śpiewnym głosem. – Proszę otworzyć.

Poranna bryza znad jeziora ledwie poruszała gałęzie sosen rosnących w ogrodzie. Na równo przyciętej trawie osiadły drobne kropelki rosy. Czerwcowy dzień budził się ze snu.

Po salonie obszernej willi przechadzał się nerwowo czterdziestodwuletni mężczyzna, co chwilę spoglądając na aparat telefoniczny. „Dlaczego nie dzwoni?” – zastanawiał się. „Czy wszystko poszło zgodnie z planem?”. Takie myśli zaprzętały jego umysł od kilku już godzin.

Kiedy usłyszał dźwięk telefonicznego dzwonka, w jednej chwili znalazł się przy aparacie.

– Przesyłka została doręczona – usłyszał. – Wracam na pocztę.

Odłożył słuchawkę i usiadł na kanapie. Właśnie na takie słowa czekał. Stres, który towarzyszył mu od kilku dni, powoli ustępował.

Przywołał psa, założył smycz i wyszedł na zewnątrz. Wąską uliczką, biegnącą wzdłuż jeziora, doszedł do parku i usiadł na ławce. Wolno puścił owczarka, który natychmiast zainteresował się dwiema baraszkującymi wiewiórkami.

– Tyle lat – mówił półgłosem. – Tyle lat.

Wiadomość o zabójstwie Michała Jakubka szybko obiegła Sępólno. Na całej szerokości ulicy Partyzantów i na obu chodnikach gromadził się rosnący z każdą minutą tłum gapiów. Do starszych ludzi, którzy dobrze znali Jakubka, dołączali ciekawscy uczniowie pobliskiej podstawówki. W końcu nie każdego dnia jest się świadkiem prawdziwej zbrodni.

– Co z wami? – nadkomisarz Andrzej Pilarski krzyczał na policjantów, którzy z największym trudem powstrzymywali napierający tłum. – Wszędzie gapie, ruch zablokowany, ludzie wkrótce zapełnią klatkę schodową! Zróbcie coś, do jasnej cholery! Wezwijcie posiłki, jeśli we dwóch nie potraficie opanować sytuacji! – odwrócił się i kręcąc z dezaprobatą głową, powrócił do mieszkania denata, gdzie ekipa dochodzeniowa powoli kończyła pracę.

– Zdjęliśmy wszystkie odciski palców – pośpiesznie tłumaczył kierownik ekipy. – Zabezpieczyliśmy cztery łuski, kilka włosów i niedopałek papierosa. Zrobiliśmy fotografie całego mieszkania. Panie nadkomisarzu – wierzchem dłoni przetarł spocone czoło. – Pracuję w policji już szesnaście lat, ale tak zmasakrowanego ciała dotąd nie widziałem. Ten mężczyzna praktycznie nie ma twarzy. Nikt nie będzie mógł go zidentyfikować.

– Ma pan rację – Pilarski zapalił papierosa. – Ja też nie spotkałem się z takim przypadkiem, chociaż... – zmarszczył czoło. – Podobnie wyglądał facet, którego dwa lata temu znaleziono w lasku na wyspie Opatowskiej. Pamiętam, że tam chodziło o gangsterskie porachunki. Gość współpracował z nami, sypał kompanów, a ci szybko dobrali się mu do skóry. Strzał w twarz jest znakiem osobistej zemsty, a w gangsterskim półświatku w ten sposób zabija się zdrajców.

– Podejrzewa pan, że Jakubek był gangsterem?

– Tego nie powiedziałem – Pilarski zaciągnął się głęboko. – Ja tylko skojarzyłem te dwa przypadki.

Po zabraniu ciała do Zakładu Medycyny Sądowej nadkomisarz Andrzej Pilarski nakazał zamknąć i zaplombować mieszkanie.

Mimo młodego wieku nadkomisarz Andrzej Pilarski był cenionym pracownikiem Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Ten absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego trafił do policji pięć lat temu. W międzyczasie dał się poznać jako ceniony i skuteczny detektyw,

co kierownictwo potrafiło docenić, szybko go awansując.

Z powodu chronicznych braków kadrowych i mnogości prowadzonych spraw przez Wydział Kryminalny z innego wydziału komendy do sprawy zabójstwa Jakubka oddelegowano też młodszą aspirantką Ewę Konieczny.

– Dostanie pan pomoc – informował szef Pilarskiego. – Jest młoda i ładna.

– Baba? Jeszcze tylko niedouczonej baby mi brakowało – nadkomisarz zmiał w dłoniach kartkę papieru.

– Niech się pan uspokoi. Ma dobre referencje, no i IQ sto pięćdziesiąt dwa. Oczywiście pan będzie jej szefem.

Ewa – ładna szatynka o figurze modelki – ukończyła z wyróżnieniem Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Miała dwadzieścia pięć lat i od roku mieszkała we Wrocławiu w jednopokojowym służbowym mieszkaniu.

„Stary jak zwykle miał rację” – nadkomisarz Pilarski przypomniał sobie słowa szefa, kiedy Ewa weszła do jego biura.

Atrakcyjny wygląd dziewczyny i jej bezpośredniość złagodziły nieco jego nieufność, jednak nie mógł się wyzbyć obaw, że praca w tym tandemie przyniesie same kłopoty.

– Zaczniemy od przesłuchania sąsiadów Jakubka – informował chłodnym, ale przyjaznym głosem. – Wiem, że dotąd pani się tym nie zajmowała, dlatego pójdziemy razem. Myślę, że będę mógł panią czegoś nauczyć.

– N-na to liczę – dziewczyna uśmiechnęła się kwaśno, nerwowo zaciskając dłonie. – T-to zadanie jest moim nowym doświadczeniem zawodowym.

„Moim też” – pomyślał. „Z jakąś jeszcze nie współpracowałem”.

Nieoznakowany samochód zaparkowali kilkadziesiąt metrów od bramy, w której mieszkał Jakubek. Pilarski nacisnął przycisk domofonu i wkrótce oboje stanęli przed drzwiami znajdującymi się na wprost mieszkania ofiary. Starszy mężczyzna przez uchylone, ale zamknięte na łańcuszek drzwi

upewniał się, czy rzeczywiście ma do czynienia z policją. Ostatecznie przekonała go nie tyle służbowa legitymacja Pilarskiego, ile uśmiech towarzyszącej mu kobiety.

– Michał był człowiekiem tajemniczym i nieufnym – zaczął swoją opowieść. – Właściwie z nikim poza mną nie utrzymywał kontaktów, chociaż nie powiem, jeśli ktoś poprosił go o drobną przysługę, to nigdy nie odmawiał. Mieszkał sam, trochę chorował, ale jak na swoje lata trzymał się dobrze. Jego żona miała na imię Julia. Zmarła osiem lat temu na raka. Michał mówił, że w jej rodzinie było to dziedziczne. Miał córkę, Natalia jej było. Młodo wyszła za mąż, ale jej małżeństwo rozpadło się po kilku latach i została sama z dzieckiem. Z tego, co wiem, to nie związała się na stałe z żadnym mężczyzną. Po śmierci matki opiekowała się ojcem, a przez kilka miesięcy nawet razem z nim mieszkała. Później wróciła do swojego mieszkania na Psim Polu, ale o ojcu nie zapomniała. Każdej niedzieli zapraszała go na obiad, czasem zabierała na krótkie wycieczki. Między nimi nie było nieporozumień. „Natalia zginęła w wypadku samochodowym trzy lata temu” – mężczyzna zamyślił się. Patrzył, w okno nerwowo bębniąc palcami w blat stołu. – Michał bardzo przeżył śmierć córki – zaczął po chwili. – Został sam, zamknął się w sobie i nawet ze mną niechętnie rozmawiał.

– Czy pana Jakubka ktoś odwiedzał? – Ewa uprzedziła pytanie Pilarskiego.

– Nie, nikt go nie odwiedzał. Miał wnuczkę, ale ona po śmierci matki zamieszkała z ojcem i zerwała kontakty z dziadkiem. Takie życie. Nie wiem, czy oprócz wnuczki Michał miał jeszcze jakąś rodzinę, ale nikt go nie odwiedzał. A, prawda – mężczyzna podrapał się po brodzie – zupełnie bym zapomniał. Raz w tygodniu przychodziła kobieta z opieki społecznej. Sprzątała mieszkanie, robiła podstawowe zakupy. Michał korzystał z tej pomocy skwapliwie, chociaż w pozostałe dni tygodnia sam chodził do sklepu.

– Czy pana zdaniem Jakubek miał jakichś wrogów? – Pilarski otworzył notatnik.

– Nic nie wiem na ten temat, ale chyba nie. Komu może przeszkadzać starszy człowiek, dobiegający końca swoich lat?

– A jego przeszłość? Czy mówił gdzie pracował, co robił, z kim się

spotykał?

– Wie pan – mężczyzna przesunął serwetkę po stole – to dziwna sprawa. Michał przeprowadził się na Sępólno jakieś piętnaście lat temu, tak, za „Solidarności”, ale zjawił się tutaj jakby znikąd. Nigdy nie mówił o przeszłości, nigdy nie odpowiadał na pytania. Nie, nic na ten temat nie potrafię powiedzieć.

Zofia Kaczmarek mieszkała przy ulicy Monte Cassino, na wprost kościoła pod wezwaniem Świętej Rodziny. Pracę w opiece społecznej traktowała nie tylko jako swoją powinność wobec starszych ludzi, ale i sposób na zabicie wolnego czasu, którego po przejściu na emeryturę nagle zrobiło się dużo.

– To był starszy spokojny człowiek, ze swoimi przywarami i przyzwyczajeniami – mówiła do Ewy, której Pilarski tym razem pozwolił samodzielnie prowadzić rozmowę.

– Przychodziłam do niego w każdy piątek o jedenastej. Zawsze gotowałam zupę pomidorową, która wystarczała mu na trzy albo nawet cztery dni. Nie to, żebym innej ugotować nie potrafiła, ale on przepadał za zupą pomidorową. Ścierałam kurze, układałam książki i gazety, bo pan Jakubek z natury był bałaganiarzem. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, ale wiem, że prowadził jakąś korespondencję. Kiedyś na stole znalazłam znaczki pocztowe. Zapytałam nawet, czy będzie pisał list, ale mi nie odpowiedział. W pokoju miał stary kredens z szufladami. W jednej trzymał rachunki, takie za prąd, telefon, a w dwóch następnych były sztuce i lekarstwa. Czwarta, najniższa szuflada zawsze była zamknięta. Nawet nie pytałam, jakie skarby tam przechowuje, bo i tak by mi nie powiedział. Dlatego bardzo się zdziwiłam, kiedy w ostatni piątek, no, dzień przed swoją śmiercią powiedział, że ktoś wieczorem do niego przyjedzie.

– Kto? – Ewa spojrzała na Pilarskiego. – Czy mówił coś więcej na ten temat?

– Nazwiska nie powiedział. Mówił tylko, że to starsza osoba i że zostanie u niego kilka dni.

– Nie zna pani żadnych szczegółów?

– Żadnych.

– Nie mówił, czy spodziewa się mężczyzny, czy kobiety?

– Nie mówił, ale znając pana Jakubka, nie podejrzewam, aby to była kobieta.

Szli zacienionym chodnikiem wzdłuż ulicy Partyzantów. Gęsty szpaler klonów dawał przyjemną ochronę przed południowym słońcem. Minęli okazały gmach z czerwonej cegły, który przed wojną był ewangelickim kościołem, po wojnie kinem Światowid, by od kilku lat znowu gromadzić ewangelickich i katolickich wiernych.

– Niewiele nam pani Zofia powiedziała – Ewa przerwała milczenie.

– Niewiele – uwaga asystentki wyrwała Pilarskiego z zadumy. – Zgadzam się z panią.

Blisko poczty dwóch mężczyzn w przedemerytalnym wieku wolno popijało piwo, przypatrując się bezpańskim psom przeszukującym przewrócony kontener ze śmieciami.

– Panie nadkomisarzu – Ewa ściszyła głos i ruchem głowy wskazała piwoszów. – Oni siedzą na tej ławce dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ile razy byliśmy tutaj, zawsze ich widziałam. Może coś widzieli?

– Może, zaraz się przekonamy – Pilarski, nie zastanawiając się ani chwili, wszedł do pobliskiego sklepiku. – Cztery Tyskie poproszę – sięgnął do portfela. – Dzień dobry panom – powiedział, siadając obok piwoszów. – Jak leci? Słyszeli panowie o zabójstwie Michała Jakubka?

– A pan, to coś za jeden? My tu pana nie widzieli – niższy z mężczyzn przyglądał się Pilarskiemu spod oka.

– Z żoną na zakupy przyjechałem, a w sklepie tylko o jakimś Jakubku opowiadają.

– Tak, my słyszeli. No powiedz, Józek, że ty też słyszał – mężczyzna szturchnął kompana łokciem.

– Tak, ja też słyszał, no i co z tego? Był człowiek, nie ma człowieka, jak to w życiu – wyższy z mężczyzn głośno beknął.

– Jesteśmy z policji i chcemy tę sprawę wyjaśnić. Pilarski poczuł nagle

karcący wzrok Ewy i uświadomił sobie, że popełnił błąd.

Świadomość, że mają do czynienia z policją, wprawiła obu mężczyzn w stan widocznego niepokoju. Patrzyli to na policjantów, to na siebie, nie wiedząc, jak mają się zachować.

– Proszę się nie obawiać – Pilarski położył na ławce dwie puszki piwa. – My do panów nic nie mamy.

Z satysfakcją zauważył nieskrywany uśmiech na twarzach obu mężczyzn.

– A teraz niech panowie przypomną sobie ostatni piątek, no dzień przed zabójstwem Jakubka. Czy w tym dniu widzieli panowie coś szczególnego?

– Znaczący niby co? – kumpel Józka sięgnął po puszkę.

– Coś nowego, coś innego niż zwykle, na przykład jakieś obce osoby.

– Po południu w piątek przyjechało czerwone audi. Znaczący się taksówka na warszawskich numerach.

– W so... – Józek głośno beknął – ...sobotę.

– Co w sobotę?

– Audi przyjechało w sobotę.

– W jaką sobotę? W sobotę była policja i tego audi my by nie zapamiętali? W piątek audi przyjechało – wytarł usta otwartą dłonią.

– No i co z tym samochodem, panowie? – Pilarski wiedział, że pojawia się nowy, interesujący trop. – To w końcu w piątek czy w sobotę?

– A niby co ma być? Wysiadł z niego starszy gościu, powiedział coś do domofonu i wszedł do środka.

– Czy coś mówił? Może słyszeli panowie jego głos?

– Z choinki się pan urwał? – kumpel Józka położył puszkę na ławce. – Musiał coś mówić, bo ktoś otworzył mu drzwi.

– Chodzi mi o to, czy panowie słyszeli, co on mówił: jakieś imię, nazwisko, może coś innego.

– My nie słyszeli, my byli za daleko.

– A może zapamiętali panowie numer tego samochodu?

– Coś pan? – mężczyzna pociągnął kolejny łyk piwa. – Po jaką cholere pamiętać takie pierdoły?

– To skąd wiedzą panowie, że auto było z Warszawy?

– Ja zapamiętał litery WZA – milczący dotąd Józek włączył się do rozmowy. – Wrocław ma WR, WO albo WC – wypalił jednym tchem, czym wprawił Pilarskiego w osłupienie.

– Skąd pan to wszystko wie? – pytał z niedowierzaniem. – WC czy WZ są bardzo podobne do siebie.

– Na drzwiach była wymalowana goła baba z ogonem karpia czy innej ryby. Kij nad głową trzymała, jakby przywalić chciała.

– Prawda – niższy z mężczyzn kiwnął głową. – Jakbym swoją babę widział.

– To twoja ma ogon? Mutant jaki, czy co?

– A w mordę to chcesz? Nie ogon, tylko mietłę ma.

– Panowie! – Pilarski wkroczył do akcji. – Co jeszcze panowie zapamiętali?

– Auto nie miało kołpaka – mężczyzna zgniótł butem puszkę i schował ją do kieszeni.

– Prawego – uzupełnił Józek.

– Lewego i z przodu!

Józek podniósł się z ławki i odwrócił w stronę, w którą odjechało wzbudzające tyle wątpliwości audi.

– Ty masz rację – poddał się. – Auto nie miało lewego kołpaka.

– Przedniego.

– No, lewego przedniego kołpaka.

– No to mam dla pani zadanie – Pilarski otworzył drzwi samochodu. – Proszę odszukać kierowcę czerwonego audi, taksówki z Warszawy o numerze rejestracyjnym zaczynającym się od WZA, bez przedniego lewego kołpaka. W ostatni piątek ten kierowca miał kurs do Wrocławia ze starszym mężczyzną.

– To nie będzie łatwe, panie nadkomisarzu – Ewa z gracją wsiadła do samochodu.

– Wiem, ale wierzę w panią.

Pilarski i Ewa z uwagą przeglądali fotografie zrobione przez ekipę techników w mieszkaniu Jakubka, jednak zdawało się, że wszystko było na swoim miejscu. Nie zauważyli śladów plądrowania.

– Jeśli to napad rabunkowy, panie nadkomisarzu, to morderca wiedział, gdzie było to, po co przyszedł – Ewa odłożyła kolejne zdjęcie.

– Moim zdaniem – Pilarski oparł dłonie na biurku – z dużym prawdopodobieństwem możemy wykluczyć motyw rabunkowy. Mieszkanie wygląda na nietknięte.

– Przecież mówiłam, panie nadkomisarzu, że morderca mógł wiedzieć, gdzie jest to, po co przyszedł, albo został przez coś lub przez kogoś wystraszony.

– Początki każdego dochodzenia zawsze są takie same – nad trafną uwagą asystentki Pilarski przeszedł do porządku dziennego. – Dopiero później sytuacja rozwija się, chociaż bez specjalnych reguł i często w sposób trudny do przewidzenia. Myślę, że tak samo będzie tym razem.

– Jeśli to nie był napad rabunkowy, to co? Ma pan jakąś hipotezę?

– Nie mam, ale motyw rabunkowy jednak bym wykluczył. Czy nie wydaje się pani dziwne, że ktoś, próbując obrabować skromnego emeryta, używa broni palnej o tak dużej sile rażenia?

– A może napastnik został rozpoznany przez Jakubka? Nie sądzi pan? Chęć uniknięcia kary mogła go skłonić do morderstwa.

– Może – Pilarski ponownie zaczął przeglądać zdjęcia.

Na większości fotografii widniał duży, staromodny stół. Były na nim gazety, książki, talerz z pieczywem i dwa takie same porcelanowe kubki. Najwidoczniej stół służył Jakubkowi i do jedzenia i do pracy.

– Dwa kubki? – Pilarski zmarszczył czoło. – Jasne – przypomniał sobie rozmowę z kobietą z opieki społecznej, która mówiła, że Jakubek spodziewał

się gościa.

Jednak im dłużej przyglądał się zdjęciom, tym więcej miał wątpliwości niemożliwych do szybkiego rozstrzygnięcia.

– Nie mamy wyjścia, pani Ewo – powiedział urzędowym tonem. – Raz jeszcze musimy pojechać do mieszkania Jakubka.

Po godzinie byli na miejscu. Ekipa dochodzeniowa szukająca śladów zbrodni tym razem zachowała się profesjonalnie. Mieszkanie wyglądało tak jak w dniu zabójstwa. „Gazeta Wyborcza”, dwumiesięcznik „Na Rubieży” i książki leżały na swoich, utrwalonych na fotografiach miejscach. Pilarski dobrze pamiętał, że na licznych szkoleniach bardzo zwracano na to uwagę.

– Macie pracować tak, aby nie pozostawić żadnych śladów – mówił wykładowca. – Jeśli po was przyjdzie inna ekipa, nie może znaleźć niczego, co świadczyłoby o tym, że tu byliście.

Przez flanelową szmatkę otwierał szuflady starego kredensu. Poddawały się łatwo i zawierały dokładnie to, o czym mówiła Zofia Kaczmarska. Dolna szuflada stawiała jednak opór.

– Kobieta z opieki mówiła, że ta szuflada zawsze była zamknięta – Ewa zmarszczyła czoło. – Nie pamięta pan?

– Jasne! – odfuknął, poirytowany swoją amnezją. – Zupełnie o tym zapomniałem. Na wszystko są jednak sposoby.

Ku zdziwieniu Ewy wyciągnął z kieszeni kilka gwoździ dziwnie zagiętych z obu końców i zaczął manipulować przy zamku.

– Ma pan oryginalne umiejętności, panie nadkomisarzu. Nigdy bym pana o to nie podejrzewała.

– Łódź i Bałuty – uśmiechnął się, nie przerywając pracy. – Tam spędziłem dzieciństwo. Jeśli kiedyś przeprowadzi się pani do Łodzi, to tej dzielnicy radzę unikać. W podstawówce miałem kolegów, którzy lepiej znali dzielnicowe komisariaty niż szkolną bibliotekę. Tego i owego się od nich nauczyłem – uśmiechnął się tajemniczo.

– Gotowe – powiedział po chwili. – Ten nie był skomplikowany.

Ostrożnie wyciągnął szufladę. Była pusta, tylko w jej tylnej części znajdowała się niewielka drewniana kasetka.

– Odkryliśmy skarb, pani Ewo.

– Może ma pan rację? Niech zgadnę: złoto, brylanty... – uwolniła wodze wyobraźni. – Niech ją pan otworzy. Tylko proszę pamiętać o niepozostawianiu śladów – pogroziła palcem.

Wiek kasetki dało się łatwo otworzyć. Na dnie, na metalowej baretce obciążonej wstążką koloru szarego leżał krążek ze srebra ze skrzyżowanym karabinem i szablą. Pilarski odwrócił go i przyglądał się czemuś w skupieniu.

– Zna pani rosyjski?

– Znam. Dlaczego pan o to pyta?

– Co tu jest napisane?

– „СССР” i „За Bojewyje Zasługi”.

– To znaczy?

– Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich – Ewę zdziwiła lingwistyczna indolencja szefa. – Państwo, którego już nie ma – dodała. – No i „Za zasługi wojenne”.

Dwugodzinne poszukiwania w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Wrocławskiego nie dały żadnego rezultatu i Ewa zmuszona była poprosić o pomoc.

– Poszukuję informacji o odznaczeniach radzieckich – przerwała lekturę harlequina jednej z bibliotekarek. – Konkretnie chodzi o medal za zasługi wojenne.

– Niech pani poczeka – kobieta niechętnie odłożyła książkę. Ton jej głosu nie budził wątpliwości, że wie, gdzie ma szukać. Po kilku minutach cienka, bogato ilustrowana książka leżała przed Ewą.

– Tylko proszę pamiętać – przypominała bibliotekarka – że z tej książki może pani skorzystać wyłącznie na miejscu.

– Medalem za zasługi wojenne nagradzani byli żołnierze Armii Radzieckiej, Floty Wojennej, wojsk ochrony pogranicza, wojsk wewnętrznych oraz inni obywatele radzieccy – Ewa czytała notatki zrobione

w bibliotece. – Medalem mogły być nagradzane również osoby niebędące obywatelami ZSRR. Medal ten przyznawano za umiejętne, śmiałe i aktywne działania w walce, mające wpływ na wykonanie zadania przez oddział lub pododdział, męstwo przy obronie granicy ZSRR, bardzo dobre wyniki w szkoleniu bojowym i politycznym, w opanowywaniu nowego sprzętu bojowego i utrzymywaniu wysokiej gotowości bojowej oddziału i pododdziału oraz za inne zasługi w czasie pełnienia służby wojskowej. W okresie tzw. Wielkiej Wojny Ojczyźnianej nadano ponad cztery miliony medali. Medalem dekorowano głównie szeregowców i podoficerów, rzadziej młodszych oficerów i osoby cywilne [3].

– Jednym słowem spisała się pani na medal – Pilarski zdobył się na komplement.

– Jaki medal? – zalotnie przekrzywiła głowę. – Za zasługi bojowe?

– Może. Jednak ta wiedza nie posuwa naszego śledztwa ani trochę do przodu. Proszę zauważyć, że podczas wojny przyznano aż cztery miliony tych medali. Co dziesiąty, może co dwudziesty żołnierz był nim odznaczony, co może oznaczać, że Jakubek niczym szczególnym się nie wykazał. Poza tym nie wiemy, czy jest to medal Jakubka. Nie znaleźliśmy dokumentu potwierdzającego jego przyznanie.

Ciszę, jaka zapadła, przerwało pukanie do drzwi.

– Ktoś obcy – powiedział półgłosem Pilarski. – U nas się nie puka. Proszę wejść.

W drzwiach stanął młody chłopak ze skoroszytem w dłoni.

– Panie nadkomisarzu – mówił do Pilarskiego, nie spuszczając wzroku z Ewy – przyniosłem protokół z opisem miejsca zdarzenia i wyniki sekcji zwłok pana Jakubka.

Pilarski pokwitował odbiór dokumentów. Młody człowiek, kłaniając się Ewie, wyszedł z pokoju.

– Nowy pracownik. Na razie pełni funkcję gońca – wyjaśniał Pilarski, trzymając dokumenty w obu dłoniach i przeskakując wzrokiem z jednego na drugi.

– Nawet przystojny, panie nadkomisarzu.

– Pani też mu się spodobała. Po prostu rozbierał panią wzrokiem. Muszę jednak przyznać, że facet ma dobry gust.

– To miał być komplement?

– Nie. Luźna uwaga, stwierdzająca pewną oczywistość – uśmiechnął się, widząc rumieńce na twarzy dziewczyny. – No dobrze, przejdźmy do spraw służbowych. Ja zajmę się protokołem, a pani wynikami sekcji zwłok.

Przeglądał dokumenty z coraz większym zaciekawieniem i po kwadransie zaczął dzielić się zdobytą wiedzą.

– Jednak ktoś był u Jakubka – zaczął. – W mieszkaniu znaleziono odciski palców trzech osób. Można sądzić, że należą Jakubka i Zofii Kaczmarek, ale kim była trzecia osoba? Morderca? Gość Jakubka? – myślał głośno. Nie zwrócił uwagi na zdziwienie malujące się na twarzy Ewy, która spoglądała to na niego, to na wyniki sekcji zwłok i z niedowierzaniem kręciła głową.

– Czy pani mnie słucha? – zapytał oschle. – Dlaczego pani nic nie mówi?

– Pan też zaniemówi – odpowiedziała spokojnie. – Denat był obrzezany.

Wyniki sekcji zwłok rzeczywiście zaskoczyły Pilarskiego.

– Musimy coś sprawdzić – mówił, spoglądając na zegarek. – Cholera – zaklął. – 19:40. Chyba za późno na wizytę w kościele.

– Na modlitwę nigdy nie jest za późno, panie nadkomisarzu.

– Pani kpi czy o drogę pyta? – Pilarski nie miał nastroju do żartów.

– Ja kpię? – Ewa wskazującym palcem dotknęła mostka. – Panie nadkomisarzu...

– Jeśli pani nie kpi, to do widzenia – odprowadził kobietę do drzwi. – Spotkamy się jutro o dziesiątej przy postoju taksówek przed kościołem Świętej Rodziny. Tylko niech pani włoży dłuższą spódniczkę. Ja sam nic nie mam przeciwko miniówkom, ale miejsce jest szczególne i nie chciałbym na wstępie zrazić naszego rozmówcy.

– Dobrze, dobrze – dziewczyna uśmiechnęła się tajemniczo. – Jak pan sobie życzy, panie nadkomisarzu.

Ewa przyszła punktualnie.

– No i jak? – obróciła się na pięcie jak baletnica. – Czy ubrałam się właściwie? – zapytała z czarującym uśmiechem.

Pilarski przyglądał się czarnym legginsom i krótkiej, kończącej się wysoko nad kolanami tunice.

– Przecież panią prosiłem – kręcił z dezaprobatą głową. „No właśnie” – pomyślał, kiedy otwierający drzwi młody ksiądz na chwilę zaniemógł i głośno przełknął ślinę.

Pilarski krótko zrelacjonował cel wizyty.

– Niestety – ksiądz rozłożył ręce – jestem tylko wikarym. Sprawa, z którą państwo przyszli, przekracza moje kompetencje, ale proszę wejść. Zaraz zawołam proboszcza.

– Michał Jakubek? – wysoki, może czterdziestoletni proboszcz powtórzył pytanie Pilarskiego. – Tak, słyszałem o tej sprawie. Pytają mnie państwo, czy przychodził w niedziele do kościoła? Tego nie wiem, mamy ponad dwadzieścia tysięcy parafian. Jestem tutaj dopiero od roku, ale zaraz coś sprawdzę – wyjął z biurka dużą, grubą księgę. Przeglądał ją dłuższą chwilę, wydymając od czasu do czasu usta.

– Z naszych zapisów wynika, że przyjmował księdza po kolędzie, a ostatnio zamówił mszę w rocznicę śmierci swojej żony – podsumował przeczytane notatki.

– Interesuje nas, czy Michał Jakubek zawsze był katolikiem.

– Nie wiem, co pani ma na myśli... – pytanie Ewy zdziwiło proboszcza.

– Chodzi mi o to, czy był katolikiem od urodzenia, czy przeszedł na tę wiarę z innej religii, na przykład z judaizmu.

– Nie – proboszcz pokręcił głową – taką informacją wprost nie dysponuję. Musiałbym głębiej zajrzeć do archiwów.

– Mógłby nam je ksiądz udostępnić?

– Przykro mi – ksiądz złożył ręce jak do modlitwy. – Proszę jednak zadzwonić późnym popołudniem. Tutaj jest numer telefonu – podała wizytówkę.

– Niestety, nie mam dla pana dobrych wieści – usłyszał Pilarski, kiedy

wieczorem zatelefonował do proboszcza. – W archiwach nie znaleźliśmy żadnej wzmianki na interesujący pana temat.

– Pani Ewo – głos Pilarskiego zabrzmiał bardzo oficjalnie – proszę przygotować sprawozdanie z prowadzonego dochodzenia. Prokurator Kietliński naciska szefa, a on mnie. Rozumie pani. I proszę się pospieszyć.

– Klasyczna psychologia, panie nadkomisarzu – w głosie Ewy pobrzmiwały emocje. – Taka z najsłabszym ogniwem na końcu.

– Tak się składa, że to pani jest tym ogniwem, więc bez komentarzy proszę.

Ewa wyszła, trzaskając drzwiami.

– Co za smarkula! – Pilarski zachnął się. – Okres ma, czy co? Ledwie w majtki sikać przestała, a już się stawia.

Kiedy został sam, spróbował zrobić bilans dotychczasowego śledztwa. Zastanawiał się jak połączyć wizytę tajemniczego gościa Jakubka z obrzezaniem denata, ale nic sensownego nie przychodziło mu na myśl. Informacje uzyskane od proboszcza pośrednio wskazywały na to, że Jakubek był katolikiem. Więc może to nie on jest ofiarą? Można założyć, że gość Jakubka był Żydem, ale jeśli tak, to dlaczego został zamordowany? Że przez Jakubka, to oczywiste, ale dlaczego? Z drugiej jednak strony, kto, będąc przy zdrowych zmysłach, zaprasza do siebie człowieka, którego zamierza zabić? No, chyba że Jakubek był psychicznie chorym człowiekiem? Jeśli tak, to gdzie jest teraz? Co się z nim stało?

Dziesiątki pytań cisnęły się mu do głowy. Snuł kolejne hipotezy i natychmiast je obalał. Zrezygnowany zamierzał zrobić kawę, kiedy nagle zadzwonił telefon.

– Andrzej Pilarski, słucham – wypowiedział standardową formułkę. Usiadł przy biurku i długopisem rysował na kartce jakieś geometryczne wzory. Nagle na jego czole pojawiła się głęboka, coraz bardziej powiększająca się bruzda.

– Jak to? – wybuchł w końcu. – Kto wydał na to zgodę? Wiem, że nie pan, przepraszam, ale to na pewno nie byłem ja – zaczął się w końcu tłumaczyć. – Tak, zdaję sobie sprawę z konsekwencji – mówił zgaszonym

głosem. – Na pewno wyjaśnię tę sprawę. Wiem, oczywiście wiem. Do widzenia, panie prokuratorze – rzucił słuchawkę na widełki aparatu.

Chodził od drzwi do okna z założonymi na plecach rękoma. W końcu wezwał przez telefon swoją asystentkę. Ewa przysłała natychmiast.

– Przepraszam za swoje zachowanie – mówiła skruszonym głosem – no i proszę o wyrozumienie. Nie zabrałam się jeszcze za pisanie sprawozdania. Na razie porządkuję fakty, a trochę się ich uzbierało.

– Nie w tej sprawie panią wzywałem! – Pilarski machnął ręką. – Nie w tej sprawie, rozumie pani?

– J-jeśli mam być szczerą, to nie. D-dlaczego pan na mnie krzyczy? N-nie zasłużyłam sobie na to.

– Nie na panią krzyczę. Przepraszam, jeśli tak to pani odebrała, ale sytuacja się skomplikowała. Dzisiaj o trzynastej na cmentarzu na Sępolnie odbędzie się pogrzeb Michała Jakubka. Teraz rozumie pani moje zdenerwowanie?

– O-o Boże! K-kto wydał na to zgodę? – głos Ewy zamienił się w szept.

– Dokładnie o to samo zapytał mnie prokurator Kietliński, a ja zapytałem jego. Nie wiem, do jasnej cholery! Nastąpiło jakieś koszarne nieporozumienie – pchnął krzesło pod biurko.

– Nieważne zresztą, czy to były kompetencje prokuratury, czy policji. Szykuje się niezła afera. Musimy przygotować się na najgorszy scenariusz. Przypuśćmy, że zamordowano obywatela Izraela. Wyobraża to sobie pani? – pytał rozdrażniony. – Pogrzeb Żyda prowadzony przez katolickiego księdza na katolickim cmentarzu! Ambasada Izraela potraktuje to jako prowokację.

– N-nie można odwołać tego pogrzebu?

– Oczywiście, że nie! – Pilarski spojrział na zegarek. – Jest dwunasta. Została tylko godzina – podszedł do okna. – Na cmentarzu wszystko przygotowane, ludzie powiadomieni. Na pewno nie można odwołać pogrzebu. Co do ludzi, to nie myślę, aby przyszło ich zbyt wielu, bo Jakubek żył samotnie, jednak kilka osób powinno się zjawić. My też tam będziemy – odwrócił się. – To, co powiem nie jest może odkrywczym, ale stare policyjne powiedzenie głosi, że morderca zawsze powraca na miejsce zbrodni.

– Ale przecież Jakubka nie zamordowano na cmentarzu.

Gdyby wzrok zabijał, Ewa już by nie żyła.

– Przepraszam, nie chciałam pana urazić – powiedziała, spuszcżając głowę.

– Pojedzie z nami fotograf – skrucza asystentki udobruchała Pilarskiego.

– Z dyskretnie zrobionych zdjęć można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Pani też powinna mieć oczy i uszy otwarte.

Po kwadransie zaparkowali służbowego passata przy ulicy Smętej i weszli na cmentarz. Była trzynasta i właśnie zaczynało się nabożeństwo żałobne.

– Chodźmy nad Odrę – Pilarski stanął przed drzwiami kaplicy. – To potrwa jakieś pół godziny, a ja nie przepadam za tego rodzaju uroczystościami.

– Jest pan ateistą? Nie wierzy pan w Boga?

– Nie wierzę w tych, co uzurpują sobie prawo do bycia pośrednikami między ludźmi a Bogiem.

Dochodzili do cmentarnej bramy, kiedy tuż przed nią zatrzymał się czarny mercedes. Młody mężczyzna, siedzący na miejscu pasażera, wysiadł i otworzył tylne drzwi samochodu. Z auta z największym trudem gramolił się starszy człowiek. Kierowca wyjął z bagażnika wózek inwalidzki i chwilę męczył się, aby go rozłożyć. Obaj mężczyźni pomogli usiąść w nim staruszkowi i wszyscy trzej udali się w stronę cmentarnej kaplicy.

– Dziwni ludzie ci z mercedesa – Ewa pierwsza wspinała się na przeciwpowodziowy wał. – Nie sądzi pan?

Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, odwróciła się. Pilarski stał zamyślony u podnóża wału.

– Wracamy na cmentarz – powiedział stanowczo. – WA i białe litery na niebieskim tle – zauważył półgłosem, kiedy przechodzili obok zaparkowanego mercedesa. – To rejestracja samochodów, którymi jeżdżą dyplomaci. No pewnie – ruchem głowy wskazał proporczyk z flagą Federacji Rosyjskiej, leżący na tylnej półce samochodu.

Kondukt żałobny opuścił kaplicę i wąską alejką zmierzał do miejsca

pochówku. Nieduży to był kondukt – liczył najwyżej dwadzieścia osób. Młody mężczyzna pchał wózek ze zgarbionym staruszkiem, a kierowca mercedesa szedł kilka kroków za nimi. Kiedy zatrzymali się nad mogiłą, Pilarski uważnie przyglądał się żałobnikom. Jego szczególną uwagę zwróciła młoda, drobna dziewczyna o jasnych, krótko obciętych włosach, podtrzymująca starszą, może siedemdziesięcioletnią kobietę, oraz około sześćdziesięcioletni mężczyzna w kraciastej koszuli i ciemnej dwurzędowej marynarce. Mężczyzna rozglądał się dokoła i przestępował z nogi na nogę.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym – ksiądz wymówił sakramentalną formułę i rzucił garść ziemi na trumnę.

Staruszek siedzący w wózku inwalidzkim wstał z trudem i zasalutował. Dopiero teraz Pilarski zauważył, że jest w mundurze generalskim, a na jego piersi wisi kilka medali.

Drobna blondynka płakała, a dziwnie zachowujący się mężczyzna odwrócił się i odszedł na bok.

Kiedy opuścili cmentarz, Ewa z trudem tłumiała emocje.

– Wie pan, panie nadkomisarzu – mówiła szeptem – cały czas stałam obok tego mężczyzny w marynarce. Kiedy ksiądz rzucił ziemię na trumnę, on półgłosem powiedział: „nareszcie”, tak jakby się z tego pogrzebu cieszył. Może to moje subiektywne odczucia, ale to słowo słyszałam wyraźnie.

Pilarski czytał pisma przygotowane przez asystentkę.

– Sprawozdanie dla prokuratora Kietlińskiego musimy poprawić, ale list do Ambasady Federacji Rosyjskiej jest dobrze napisany. Proszę od razu zlecić jego wysłanie – oddał dokument.

– To sprawozdanie do prokuratury sam pan poprawi czy mam pomóc?

– Dam sobie radę, proszę zająć się wysyłką listu.

Ewa, wychodząc z gabinetu, spotkała się w drzwiach z Krystianem – policyjnym fotografem.

– Dzień dobry, pani Ewo – ukłonił się nisko. – Ładnie pani w tym czarnym kostiumie.

– Ma pan jakąś konkretną sprawę czy przyszedł pan flirtować? – Pilarski był rozdrażniony.

– Tak, oczywiście, panie nadkomisarzu – fotograf położył na biurku służbową teczkę. – Mam zdjęcia z pogrzebu. Są dobrej jakości.

– Niech pani poczeka – Pilarski wyjmował fotografie z dużych szarych kopert. – A panu już dziękuję.

Krystian, uśmiechając się do Ewy, wyszedł z pokoju.

W skupieniu oglądali twarze ludzi, których spotkali na cmentarzu kilka godzin wcześniej.

– Tę fotografię zatrzymam dla siebie – Ewa, pokazała zdjęcie z generałem i dziewczyną ze starszą kobietą.

– Rzeczywiście, ładnie pani wyszła – Pilarski kątem oka przyglądał się zdjęciu. – Zwłaszcza w tym czarnym kostiumie.

– Zgryźliwość jest pana mocną stroną – odgryzła się. – Zamierzam zidentyfikować osoby z tej fotografii.

– Ambitne zadanie, gratuluję. Zwłaszcza jeśli chodzi o tego rosyjskiego generała.

– Lubię wyzwania, ale pan nie bardzo chce, abym mu pomagała.

– Skąd takie przypuszczenia? Oczywiście proszę się tym zająć. W tej chwili jednak najważniejsza jest identyfikacja mężczyzny w kraciastej koszuli. Wydaje się, że ma on bezpośredni związek z zabójstwem.

Słowo „nareszcie”, wypowiedziane na cmentarzu przez tajemniczego mężczyznę, wystarczyło do uzyskania nakazu przeszukania domu, w którym się zatrzymał. Prokurator Kietliński uznał, że trop z człowiekiem w kraciastej koszuli jest ważny, a w każdym razie interesujący.

Wczesnym rankiem policyjny volkswagen zatrzymał się przed jedną z willi w szeregowej zabudowie przy ulicy Canaletta. Pilarski kilka razy nacisnął przycisk dzwonka, zanim w uchylonych drzwiach zobaczył zaspaną twarz kobiety. Jedną ręką trzymała klamkę, a drugą poły niebieskiego szlafroka.

– O co chodzi? – zapytała zachrypłym głosem. – Kim państwo są?

– Nadkomisarz Andrzej Pilarski z Komendy Wojewódzkiej Policji. Mamy nakaz przeszukania tego mieszkania – podsunął pod nos kobiety służbową legitymację. Proszę nas wpuścić.

Dwaj policjanci bezzwłocznie i bez zachowania szczególnej dbałości o porządek zaczęli przeszukiwać mieszkanie. Pilarski i Ewa obserwowali kobietę. Była zaskoczona i zdenerwowana. Próbowwała zapalić papierosa, ale łamała kolejne zapalki.

– Proszę – Pilarski wyciągnął rękę z zapalniczką.

– Może zechcą mi państwo powiedzieć – kobieta zaciągnęła się głęboko – czemu zawdzięczam waszą wizytę o takiej porze? – spojrzała na zegarek. – Jeszcze nie ma siódmej.

– Wczoraj po południu do tego mieszkania wszedł starszy mężczyzna w koszuli w kratkę.

– Miał prawo. Czy to zabronione?

– Chcemy z nim porozmawiać.

– Czego państwo chcą od mojego ojca?

– To pani ojciec?

– Tak. Czy to dziwne, że mam ojca? Jest na górze, zaraz go zawołam.

Jej przeciągłe „tatooo” wypełniło mieszkanie. Po chwili na schodach ukazał się mężczyzna, którego wczoraj widzieli na cmentarzu.

– Schodź ostrożnie i trzymaj się poręczy – przypominała kobieta. – Ci państwo są z policji. Mają do ciebie jakąś sprawę – patrzyła z dezaprobatą na policjantów przeszukujących mieszkanie, którzy właśnie wchodzili na górę.

– Nadkomisarz Andrzej Pilarski z Komendy Wojewódzkiej Policji – wyrecytował powtórnie.

– Witam – mężczyzna gładził dłonią kilkudniowy zarost. – Czego państwo chcą ode mnie?

– Usiądźcie – kobieta odsuwała krzesła. – Chyba nie zamierzacie rozmawiać na stojąco?

Pilarski i Ewa usiedli obok siebie, a starszy mężczyzna po przeciwnej stronie stołu.

– Co pan robił w sobotę między godziną dziesiątą a czternastą? – Pilarski nie marnował czasu.

Zapytany zamyślił się. Nagle opuścił głowę i zaczął skubać frędzle obrusa.

– Nie pamiętam – wytarł wierzchem dłoni spocone czoło.

– Nie pamięta pan? – głos Pilarskiego był stanowczy. – W pana interesie jest, aby pan jednak pamiętał.

– Chce mnie pan o coś oskarżyć?

– Jeszcze nie, ale wkrótce to może się zmienić.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Panie nadkomisarzu – meldował jeden z policjantów przeszukujących piętro. – Znaleźliśmy pistolet i aparat fotograficzny. Były w czarnej skórzanej teczce.

– To chcę powiedzieć, że jest pan zatrzymany. Na razie na czterdzieści osiem godzin.

Kobieta rozplakała się.

– Zostawcie ojca w spokoju – prosiła – on jest niewinny. On jest bardzo chorym człowiekiem.

– Obie kobiety ze zdjęcia zostały zidentyfikowane – Ewa założyła nogę na nogę. – Czekam na pochwałę, panie nadkomisarzu.

– O! – Pilarski z trudem przeniósł wzrok z kolan asystentki na dokumenty leżące na biurku. – Kim one są?

– Młodsza nazywa się Dorota Woroniecka, mieszka w Trzebnicy i jest daleką krewną Michała Jakubka.

– Jakie to pokrewieństwo?

– Jest wnuczką siostry Jakubka.

- To Jakubek miał siostrę? Myślałem, że był zupełnie sam.
- Rzeczywiście mieszkał sam, ale siostrę miał. To ta starsza pani stojąca obok Doroty.
- Rozumiem – Pilarski sięgnął po fotografię.
- To jeszcze nie wszystko, detektywie – Ewa zalotnie przekrzywiła głowę.
- Proszę się ze mną nie droczyć – ton głosu Pilarskiego wyrażał zniecierpliwienie – tylko mówić wszystko, co pani wie.
- No dobrze już, dobrze. Nie wiedziałam, że z pana taki służbista. Rosyjski generał miał medal Złotej Gwiazdy. Otrzymywały go osoby odznaczone tytułem Bohatera Związku Radzieckiego. Było to najwyższe wyróżnienie za bohaterskie czyny i wybitne zasługi dla Związku Radzieckiego. W czasie wojny przyznano tylko jedenaście tysięcy takich medali. Sądzę, że nasz generał był kimś naprawdę ważnym.
- Jakie pani zdaniem ma to dla nas znaczenie?
- A ma, i to duże. Również Jakubek musiał być kimś ważnym, skoro generał osobiście pofatygował się na jego pogrzeb, będąc tak chorym człowiekiem. Sam pan zresztą widział. Poza tym wszystkim zastanawiam się, w jaki sposób Ambasada Federacji Rosyjskiej dowiedziała się o śmierci i dacie pogrzebu Jakubka. Czy to pana nie dziwi?
- Dziwi – Pilarski przyznał bez wahania. – Dziwi, i to bardzo. Być może stoją za tym służby specjalne Rosji. Jeśli tak, to dla nas sprawa się kończy. Nie możemy wchodzić na podwórko Wojskowych Służb Informacyjnych – zamknął gruby segregator. – Pani Ewo, jest pani kompetentną osobą. Zrobiła kawał dobrej roboty. I pomyśleć, że z taką rezerwą podchodziłem do pani umiejętności. Przepraszam.
- Miło to słyszeć, panie Andrzeju – twarz Ewy rozjaśnił pogodny uśmiech. – Dziękuję.

- Tadeusz Pytel? – Pilarski przeglądał paszport zatrzymanego mężczyzny. – Jest pan obywatelem Stanów Zjednoczonych?
- Tak. Od 1953 roku mieszkam w Chicago.

Nadkomisarz uświadomił sobie, że po raz pierwszy przesłuchuje obywatela innego państwa. Nie był pewien, czy nie łamie tym jakichś procedur, międzynarodowych umów. „Może powinienem mieć zgodę ambasady USA?” – zastanawiał się.

Zatrzymany mężczyzna nie podnosił jednak kwestii nielegalności przesłuchania, więc Pilarski przeszedł nad tymi wątpliwościami do porządku dziennego.

– Pytam pana ponownie, co pan robił w ostatnią sobotę między godziną dziesiątą a czternastą.

Mężczyzna zmieszał się.

– Czy moglibyśmy zostać sami? – zapytał. Spoglądał kątem oka na Ewę, która była obecna przy przesłuchaniu.

– Pani Ewo – Pilarski bez wahania zgodził się spełnić tę prośbę. – Proszę sprawdzić, czy przyszła odpowiedź z ambasady rosyjskiej, OK?

– To krępująca dla mnie sprawa – zaczął Pytel, kiedy drzwi za kobietą zostały zamknięte. – Właśnie dlatego w mieszkaniu córki odpowiedziałem, że nie pamiętam, co robiłem w sobotę w południe. Na moje szczęście uwierzyła w to. Powiedziała, może niepotrzebnie, że jestem chorym człowiekiem, ale mówiła prawdę. Widzi pan – zaczął po chwili przerwy – ja rzeczywiście jestem chory. Lekarze stwierdzili początki Alzheimerera. W moim wieku niestety to się zdarza.

– Niech pan mówi – Pilarski oparł łokcie na biurku. – Słucham.

Pytel zaczerpnął powietrza, aby kontynuować opowieść, ale w tej samej chwili do pokoju wszedł Krystian z grubą szarą kopertą.

– To było w aparacie zatrzymanego – położył przed Pilarskim kopertę wypełnioną zdjęciami. – Fotografie zostały zrobione tydzień temu. A pani Ewo to dzisiaj nie ma? – zapytał niepewnym głosem.

– Nie ma, sprawdza pocztę. Gdzie indziej musi jej pan szukać – nadkomisarz z zainteresowaniem przyglądał się fotografiom.

– To ja już pójdę.

– To dobry pomysł – Pilarski uniósł rękę, nie odrywając wzroku od zdjęć.
– Zrobił pan zdjęcia domu, w którym dokonano morderstwa – oznajmił

spokojnym głosem. – To było dwa dni przed zbrodnią. Jak pan to wytłumaczy?

– Wiem, o co mnie pan podejrzewa – Pytel przetarł dłonią spocone czoło.
– Rzeczywiście, przyjechałem do Polski po to, aby zabić Jakubowskiego. – Chciałem zamordować tego skurwysyna, ale spóźniłem się – zacisnął zęby. – Ktoś mnie zwyczajnie uprzedził. Co do pańskiego pytania... W sobotę w południe byłem w agencji towarzyskiej. Mówiłem, że to krępująca dla mnie sprawa, dlatego prosiłem, abyśmy zostali sami.

– To prawda – Pilarski kiwnął głową. Zatrzymaliśmy pana w związku z zabójstwem Jakubka. Naszą uwagę zwróciło pańskie zachowanie na cmentarzu i jak widać, intuicja nas nie zawiodła. Czy przyznaje się pan do popełnienia zabójstwa?

– Nie, nie – Pytel zatrzepotał rękoma. – Przecież powiedziałem. Chciałem go zabić, ale ktoś mnie uprzedził.

– Sprawdzamy pański pistolet. Jeśli z niego strzelano, proszę spodziewać się poważnych problemów – Pilarski zapisał coś w notesie. – A więc mówi pan, że w sobotę około południa był pan w agencji towarzyskiej?

– Tak.

– W której agencji?

– W tej – Pytel sięgnął do portfela. Chwilę w nim grzebał, a w końcu położył na biurku biały kartonik.

– Gdzie to jest? – Pilarski nie kojarzył lokalizacji podanej na wizytówce.

– Na Zaciszu.

– Sprawdzimy. Pamięta pan imię dziewczyny, z którą spędził czas?

– Ma na imię Karina. Mieszka niedaleko Poznania, a z zawodu jest nauczycielką. Panie komisarzu – Pytel pochylił się nad biurkiem – proszę jej nie przesłuchiwać. Karina jest mężatką. W agencji pracuje w soboty i w niedziele, a jej mąż o niczym nie wie. Jest kierowcą w firmie transportowej, często wyjeżdża za granicę.

– Skąd pan to wszystko wie?

– To smutna rzeczywistość – Pytel machnął ręką. – Pan jest jeszcze

młody, to nie może wiedzieć, ale przyjdzie taki czas, że w kobiecie zobaczy pan już tylko partnerkę do rozmowy, do niczego więcej... – zawiesił głos. – No wie pan. Dlatego z Kariną dużo rozmawiamy.

– Jasne – Pilarski ponownie zapisał coś w notesie. – Jednak to wszystko, o czym pan powiedział, musimy sprawdzić. Nie ukrywam, że to leży także w pana interesie. Obiecuję jednak zachować takt i dyskrecję. Ma pan moje słowo.

– Bardzo pana o to proszę – Pytel złożył ręce jak do modlitwy.

– Powiedział pan, że chciał zabić Jakubowskiego.

– Tak, to prawda. Chciałem go zabić.

– Dlaczego? Dlaczego Jakubka nazywa pan Jakubowskim?

– W 1944 roku on nazywał się Jakubowski – Pytel zacisnął pięści. – Nazwisko zmienił po wojnie. Pewnie chciał uniknąć kary, ale dla mnie on zawsze będzie Jakubowskim. Może pan myśleć, co tylko pan chce, ale cieszę się, że tak właśnie skończył. Żałuję tylko, że to nie ja go zabiłem.

Szczerze wyznanie Pytla zdziwiło Pilarskiego. Chciał o coś zapytać, ale na jego biurku zadzwonił telefon.

– Słucham – rzucił niedbale do słuchawki. – Czy jest pani tego pewna? Dobrze, zapytam – położył dłoń na mikrofonie. – Moja asystentka pyta, czy może już do nas przyjść? Pieprzy jakieś farmazony o dyskryminacji kobiet. Mówi, że komenda nie jest muzułmańskim meczetem. Wie pan, jak to jest z babami.

– Oczywiście, niech przyjdzie – Pytel ze zrozumieniem kiwnął głową. – Trochę znam kobiety. Tylko proszę, niech pan nie pyta przy niej o moje alibi.

– OK. No i mam dla pana dobrą wiadomość. Ekspertyza wykazała, że z pańskiego pistoletu nie strzelano od wielu miesięcy.

– Opowiem państwu, dlaczego chciałem zabić Jakubowskiego – zaczął Pytel, kiedy Ewa weszła do pokoju.

– Posłuchamy z uwagą – Pilarski rozsiadł się w fotelu. – Prawda, pani Ewo? Sprawa jest na tyle poważna, że musi pan to powiedzieć.

Ewa w milczeniu kiwnęła głową.

– W czasie wojny mieszkaliśmy w małej wiosce nad Czeremoszem – Pytel poprawił się na krześle. – To była wioska, w której stało pięćset ukraińskich domów i tylko trzydzieści polskich. Zdarzało się, że młodzi ludzie pobierali się, nie patrząc na narodowość, najczęściej jednak zawierali małżeństwa w obrębie swojej nacji. Polaków mieszkało tam mało i dlatego każdy dla kogoś był jakimś krewnym. Pewnie z tego powodu Michał Jakubowski był moim wujkiem, bo prawdziwego pokrewieństwa nigdy nie udało mi się ustalić. W 1942 roku mój ojciec został wywieziony na roboty do Niemiec i matka została sama z czwórką synów. Miałem starszego brata Janka i dwóch młodszych – Władka i Zygmunta. We wrześniu 1944 roku babcia zaprosiła Janka i mnie do siebie. Mieszkała w górach za Kutami. Kiedy byliśmy u niej, widzieliśmy Jakubowskiego z oddziałem banderowców. Szli przez wieś, nie kryli się. Wszystkim o tym mówiliśmy, ale nikt nie chciał nam wierzyć. Trzy miesiące później banderowcy napadli na naszą wioskę. Zabili dwudziestu trzech Polaków, zamordowali moją matkę i trzech braci. Mnie uderzyli nożem jedenaście razy. Niech państwo zobaczą – Pytel wstał i zdjął koszulę. – Niech państwo to zobaczą.

Lewy bok i plecy Pytla pokrywały liczne blizny.

– Leżałem na podłodze. Banderowcy wrzucali na mnie ciała innych zamordowanych, a w końcu podpaliли dom i odeszli. Ledwie udało mi się wydostać spod trupów i wyjść z płonącego domu. Szedłem po ciemku przez wioskę. Kiedy byłem blisko kościoła, który banderowcy też podpaliли, znowu zobaczyłem Jakubowskiego. Był wśród tych samych ludzi, których widzieliśmy w górach. To oni napadli na Rybaki. Do babci szedłem całą noc. Udało mi się przeżyć, ale już wtedy przysięgałem zemstę – zamyślił się. – Po wojnie moje życie różnie się układało. Kiedy babcia zmarła, jakiś daleki krewny zabrał mnie do Ameryki. Kilkanaście lat temu w jednej z polonijnych gazet przeczytałem artykuł, do którego dołączone było zdjęcie z jakiejś uroczystości. Na fotografii rozpoznałem Jakubowskiego. Trzy lata zajęło mi ustalenie, że mieszka we Wrocławiu. To wszystko, o czym wam teraz mówię, opisałem i wysłałem do prokuratury w Warszawie. Po roku otrzymałem odpowiedź, że śledztwo nie potwierdziło moich oskarżeń i sprawa została umorzona. Wtedy postanowiłem sam wymierzyć sprawiedliwość. Okazało się jednak, że Jakubowski zniknął. Tym razem szukałem go rok. Zmienił nazwisko, przeprowadził się, ale pozostał we Wrocławiu. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Kiedy w ubiegłym roku stwierdzono u mnie Alzheimera, uznałem,

że nie mogę dłużej czekać. Tak, przyjechałem do Polski z zamiarem zabicia Jakubowskiego, ale ktoś mnie uprzedził.

Karina była szczupłą brunetką o wyrazistych brązowych oczach. Skąpy ubiór i delikatny makijaż miały kusić mężczyzn i robiły to znakomicie.

„Szkoda, że jestem tutaj służbowo” – pomyślał Pilarski.

– Jaki rodzaj seksu pan preferuje? – kobieta usiadła mu na kolanach i delikatnie objęła za szyję.

– Na policjanta – zażartował z kwaśnym uśmiechem. Bezpośredniość i uroda Kariny sprawiły, że poczuł się jak przed randką, na której pierwszy raz pocałował dziewczynę.

– Na policjanta? – Karina zaczęła rozpinąć przezroczystą bluzkę. – Pan wybaczy, ale nie znam.

– Zaraz to pani wyjaśnię – ujął jej dłonie i poprosił, aby usiadła obok. – Proszę się jednak nie bać.

– Mam się nie bać? – na twarzy dziewczyny pojawił się grymas niepokoju. – Co chce pan przez to powiedzieć?

– Nazywam się Andrzej Pilarski i jestem z policji – wyciągnął legitymację. – Pani szefowa o tym nie wie, ale przyszedłem tutaj służbowo i zapewniam, że nic pani nie grozi, nie spotka panią żadna krzywda.

– Z policji? – kobieta zbladła. – Jest pan prywatnym detektywem? Czy pracuje pan dla męża? – schowała twarz w dłoniach i rozpłakała się.

– Nie jestem prywatnym detektywem. Mówiłem, że nic pani nie grozi. Proszę przestać płakać i spróbować mi pomóc – wyciągnął fotografię Pytla. – Czy zna pani tego człowieka?

Karina, pociągając nosem, spoglądała to na fotografię, to na Pilarskiego.

– Znam – wyszeptała. – To pan Tadeusz, mój najlepszy klient.

– Najlepszy klient?

– Tak – uśmiechnęła się. – Jest taki delikatny, taki czuły. Naprawdę miło spędzam z nim czas.

- Kiedy ostatni raz pani się z nim widziała?
- Niedawno, kilka dni temu.
- A dokładnie? Pamięta pani, jaki to był dzień?
- Chyba sobota. Tak, to było w sobotę około południa. Pan Tadeusz przyjechał na dwie godziny.
- Czy mówił coś interesującego, coś szczególnego? Może był zdenerwowany?
- Pan Tadeusz zdenerwowany? – Karina kręciła głową. – Pan Tadeusz nigdy nie był zdenerwowany. Pyta pan, o czym mówił? No cóż – uśmiechnęła się – jak zwykle był miły, zapewniał, że jestem jego najlepszym psychologiem. Rozmawialiśmy o filozofii życia i o przemijaniu. Ot, taka zwykła przyjacielska rozmowa.

- A-a więc był pan w agencji towarzyskiej – Ewa przygryzła wargę. – N-niesamowite!
- Już pani mówiłem, że byłem tam służbowo.
- A-a nie zapomniał pan wziąć rachunku? Może komendant zwróci panu poniesione koszty?
- No cóż – Pilarski przeszedł do ataku – chociaż praca policjanta wymaga wielu poświęceń, to zapewniam panią, że tym razem było inaczej. Karina jest tak atrakcyjną dziewczyną, że...
- D-domyślam się – Ewa weszła w słowo – że są tam same atrakcyjne dziewczyny. J-już teraz rozumiem ten dobry nastrój, w jakim od rana się pan znajduje.
- Pani Ewo! – głos Pilarskiego stał się bardzo oficjalny. – Dostyc mam tych złośliwości. Moje spotkanie z Kariną wyjaśniło tyle, że Pytla możemy wykreślić z listy podejrzanych. Ta lista jest teraz pusta, a pani, zamiast rzucać insynuacje pod moim adresem, mogłaby pomyśleć, jak to zmienić.
- Czyżby zapomniał pan o Jakubku? Albo o jego tajemniczym gościu, prawdopodobnie Żydzie? Tak naprawdę do tej pory nie wiemy, który z nich został zamordowany i co się stało z tym drugim. Przecież z powodu

charakteru obrażeń w ogóle nie przeprowadziliśmy bezpośredniej identyfikacji zwłok.

– Ma pani rację. Wysłaliśmy pismo do Ambasady Rosji, zidentyfikowaliśmy siostrę Jakubka i jej wnuczkę, wykluczyliśmy z kręgu podejrzanych Tadeusza Pytla i to chyba wszystko, co do tej pory zrobiliśmy. Informacje od Pytla są jednak na tyle interesujące, że musimy sprawdzić, jakie dane o Jakubku zebrały służby specjalne. Intuicja podpowiada mi, że będą to ciekawe dokumenty. Musimy także ustalić, czy po zabójstwie Jakubek przekroczył granice Polski. Oczywiście, jeśli przyjmiemy, że to nie on został zamordowany. Proszę się tym zająć, pani Ewo.

Anna Kmita siedziała naprzeciw Pilarskiego z założonymi rękoma i wzrokiem utkwionym w blat biurka. Co chwila poprawiała się na krześle, obracała w palcach pierścioneł, szybko i ciężko oddychała. Starła się sprawiać wrażenie osoby wyluzowanej, ale Pilarski wiedział, że jest wylękniona, zagubiona i niepewna. Nie był tylko pewien przyczyny tego stanu. Nie wiedział, czy jest on wynikiem stresu z powodu miejsca spotkania; w końcu wezwanie do gmachu Komendy Wojewódzkiej Policji nie było zaproszeniem na spotkanie towarzyskie. Możliwe też, że kobieta chciała coś ukryć i nie była pewna, czy jej się to uda. Miał nadzieję rozwiązać te wątpliwości w bezpośredniej rozmowie. Tej zadbanej kobiecie o wrodzonej elegancji, tak bardzo lubiącej kapelusze, Pilarski nie dawał więcej niż sześćdziesiąt lat, chociaż dobrze wiedział, że przekroczyła siedemdziesiątkę.

– Pani Anna Kmita? – Pilarski upewniał się zgodnie z procedurą.

– Tak, nazywam się Anna Kmita.

– Jakie pokrewieństwo łączy panią z panem Michałem Jakubkiem?

– Jestem jego siostrą.

– Co może pani powiedzieć o swoim bracie?

– Pan wybaczy, ale nie rozumiem tego pytania. Michał został zamordowany, a pan doskonale wie, że o zmarłych mówi się dobrze albo wcale.

– Odmawia pani współpracy? – Pilarski odłożył notes i zmierzył kobietę mało przyjaznym wzrokiem.

– A pan próbuje milicyjnych sztuczek? – Anna Kmita oparła się oburącz na biurku, jakby chciała wstać. – Czy pan sugeruje, że skoro nie chcę odpowiadać na pytania, to tak, jakbym powiedziała, że brat był złym człowiekiem? O nie, drogi panie – pogroziła palcem – tak nie będzie.

– Niczego nie próbuję i niczego nie sugeruję – Pilarski spojrzał na Ewę, która w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie.

– Chcę powiedzieć, że nie zamierzam stosować żadnych, jak to pani nazwała, milicyjnych sztuczek. Czasy milicji już minęły. Teraz jest policja, droga pani Anno.

– Proszę wybaczyć – w głosie kobiety zabrzmiało oburzenie – ale nie jestem dla pana ani drogą, ani Anną.

– Zrozumiałem i przepraszam – przywołany do porządku Pilarski stał się nagle bardzo oficjalny.

– Czy utrzymywała pani kontakty z bratem?

– Nie. Mieszkaliśmy blisko siebie, ale nie widzieliśmy się od pogrzebu Julii. No wie pan, mojej bratowej. To już osiem lat. Boże, jak ten czas szybko leci – przetarła oczy chusteczką. – No i Natałka – rozpląkała się.

– Pani bratanica? – Ewa włączyła się do rozmowy.

– Tak. Zginęła trzy lata temu, a ja nie byłam na jej pogrzebie. Nie byłam i do dzisiaj nie mogę tego odżalować. Ja tak bardzo lubiłam tę dziewczynę. Wtedy leżałam w szpitalu, byłam po operacji. Wie pani, takie tam kobiece choroby. Nie mogłam być na pogrzebie, czy pani mnie rozumie? – spojrzała na Ewę pytającym wzrokiem.

– Oczywiście, pani Anno.

– A z Michałem to już od dawna nie mieliśmy wspólnego języka. No, może źle to ujęłam. Każde z nas miało swoje życie, z którego czas wykreślił tę drugą osobę, nic więcej. Nie było między nami konfliktu, jedynie czas nas oddalił.

– Co wiadomo pani o wojennej przeszłości brata?

– W 1939 roku Michał został zmobilizowany. Na wojnie był krótko i jeszcze we wrześniu wrócił do Rybak. Wie pani, to taka mała wioska nad Czeremoszem, w której mieszkaliśmy. Kiedyś była tam Polska, teraz jest

Ukraina. W 1946 roku wyjechaliśmy stamtąd do Polski. Z Polski do Polski. Dziwne, prawda?

– Prawda. Pokręcone drogi naszej historii.

– À propos historii – Pilarski odłożył długopis. – Co może powiedzieć pani o kontaktach brata z UPA? Kojarzy pani tę nazwę? To taka ukraińska Armia Krajowa.

– Jak pan śmie używać takich porównań? – Anna poczerwieniała. – Jak pan może wątpić, że nie wiem, czym była UPA? Ukraińska Powstańcza Armia to banda morderców! Pan nawet nie wie, do czego oni byli zdolni, ile nieszczęścia spotkało nas z ich strony! Tak, Michał mógłby powiedzieć, jacy oni byli naprawdę. On walczył z nimi na śmierć i życie.

– Przeciwno nim czy razem z nimi?

– Jest pan ignorantem i cynikiem – histeryczny krzyk kobiety wypełnił pomieszczenie. – Jak można Michała podejrzewać o współpracę z tymi zbrodniarzami? Pan kompletnie nie czuje sytuacji, w jakiej my, Polacy, wtedy byliśmy!

– Przepraszam, jeśli panią uraziłem, ale mamy na ten temat inne wiadomości.

– Co pan opowiada? Jakie wiadomości? To jakaś kpina!

– Zostawmy ten temat – Pilarski zajrzał do notatnika. – Czy jest pani pewna, że to pani brat został zamordowany?

– Co znowu pan kombinuje? A kto inny mógłby to być?

– Nie wiem – nadkomisarz rozłożył ręce. – To muszę dopiero ustalić. Nie przeprowadziliśmy identyfikacji zwłok, bo twarz była zmasakrowana.

– Jestem pewna, że to był on – kobieta opuściła głowę. – Będę się opiekowała jego grobem i w odróżnieniu od pana nie mam wątpliwości. Ja nie musiałabym oglądać twarzy, żeby brata rozpoznać.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– To, że Michał miał na lewym ramieniu dużą bliznę. To pamiątka po naszej Kasztance, klaczy, którą tylko on potrafił ujeździć. Kasztanka miała charakter i nigdy mu tego nie zapomniała. Żeby pan widział jej złość, kiedy

Michał ją dosiadał. No i odkuło się bydlę. Któregoś dnia mocno ugryzła go w ramię. Rana paprała się kilka tygodni. Michał gorączkował, a lekarze wycinali ropiejące ciało. Wszyscy myśleli, że gangrena, że brat umrze, ale w końcu jakoś się z tego wygrzebał. Ojciec sprzedał Kasztankę, a najbardziej żał jej było Michałowi.

Chociaż Pilarski dobrze pamiętał ten fragment protokołu z sekcji zwłok, w którym lekarz napisał, że na lewym ramieniu denata była nieregularna, głęboka i rozległa blizna niewiadomego pochodzenia, to właściwy test prawdomówności kobiety miał dopiero nadejść.

– Proszę powiedzieć, jaką religię wyznawała pani rodzina?

– Katolicką. Oczywiście, że katolicką.

– Czy wszyscy w pani rodzinie byli katolikami?

– Wszyscy. Nie wiem, do czego pan zmierza?

– Pani brat też był katolikiem?

– Oczywiście.

– Jak w takim razie wytłumaczy pani fakt, że był obrzezany? – Pilarski utkwiał wzrok w twarzy kobiety, jednak nie dostrzegł najmniejszych oznak zdenerwowania.

– To o to im wtedy chodziło – pani Anna uderzyła się dłonią w czoło. – I pomyśleć, że przez całe życie tego nie wiedziałam.

– Czego? Czego pani nie wiedziała?

– Spokojnie, zaraz państwu opowiem. Muszę się tylko chwilę zastanowić.

Pilarski i Ewa wymienili zdziwione spojrzenia.

– Miałam dwóch braci, dwóch starszych braci – Michała i Grzegorza. Dobrze pamiętam ten dzień, kiedy obaj weszli do stodoły. Wcześniej rozglądali się uważnie, jakby chcieli sprawdzić, czy nikt ich nie widzi. Udawałam, że bawię się w piasku, ale kiedy zamknęli drzwi stodoły, natychmiast do nich podbiegłam. Przez szparę widziałam, jak obaj ściągali spodnie i majtki. Czemuś się przyglądali, o czymś ze sobą rozmawiali. Nic nie widziałam, bo byli odwróceny tyłem. Usłyszałam tylko, jak Grzesiek mówił do Michała, że jego jest inny. Najpierw się bałam, a później się

wstydziłam zapytać o to rodziców. Kilka lat później, już jako dorastająca panienka, usłyszałam przypadkowo ich rozmowę. „Wiesz” – mówił ojciec – „dziwi mnie, że Michał nigdy nas o to nie pytał. Przecież dawno musiał to zauważyć”. „A mnie to nie martwi” – mówiła mama. „Niech będzie tak, jak jest”. Jeszcze później, dowiedziałam się od sąsiadów, że Michał był żydowskim dzieckiem, któremu szabrownicy zabili ojca i matkę. Dziecko miało rok, kiedy zaopiekowali się nim moi rodzice. Nie wiem, w jaki sposób to załatwili, ale Michał otrzymał nazwisko Jakubowski. No i wychowywał się ze mną i z Grzegorzem. Traktowaliśmy go jak brata.

– Wierzy pani w tę opowieść? – pytał Pilarski, kiedy Anna Kmita wyszła z pokoju. – Historia jak z brazylijskiego serialu.

– Wierzę – Ewa kiwnęła głową. – Kiedy pan zadawał pytania, ja uważnie obserwowałam panią Annę i nie zauważyłam u niej zaskoczenia albo zdenerwowania. Według mnie mówiła prawdę.

– Ja też tak myślę. Najważniejsze jednak, że został pochowany Michał Jakubek, a nie obywatel Izraela.

– No i mamy wszystko, o co prosiliśmy miesiąc temu – Ewa zaczęła zdawać relację.

– Znakomicie – Pilarski odłożył słuchawkę i przeciągnął się na krześle. – Przepraszam – powiedział, tłumiąc ziewanie. – To nieprzespana noc daje o sobie znać. Proszę wszystko opowiedzieć od początku.

– A chociaż ładna była?

– Kto? O kogo pani pyta?

– Nieważne, tak sobie głośno pomyślałam. Już mówię. Ambasada Federacji Rosyjskiej odpowiedziała, że nie udziela żadnych informacji o obywatelach swojego kraju. Zaprzeczyła też, że użycza samochodów prywatnym osobom. To może oznaczać, że rosyjski generał był na pogrzebie jako oficjalny gość. Nie uważa pan, że to ciekawe?

– „Gość” to nie jest dobre określenie, pani Ewo, ale wyciąga pani prawidłowe wnioski. Tylko czy one wnoszą coś do sprawy?

– Nie wiem. W aktach Jakubka także nie ma szczególnie interesujących

dokumentów. Jeden z nich pochodzi z roku 1952 i jest w nim nazwisko Jakubowski, co potwierdza, że Pytel mówił prawdę.

– Przynajmniej wątek z Pytlem wydaje się nie mieć słabych punktów – zgodził się Pilarski.

– Dobrze i to.

– Dorota Woroniecka obroniła pracę magisterską i wyjechała do Hiszpanii – Ewa przeglądała podręczne notatki. – Jeszcze nie wróciła, ale nie sądzę, aby powiedziała coś nowego. No i mamy protokół przesłuchania taksówkarza z Warszawy.

– Jakiego taksówkarza? – słowa Ewy wyrwały Pilarskiego z zamyślenia.

– Ciągle pan o niej myśli? – Ewa udała obrażoną. – Tego, który przywiózł gościa Jakubka do Wrocławia. Zapomniał pan? Ta nocna balanga tak pana rozkojarzyła?

– Nie było żadnej balangi – nadkomisarz zacisnął zęby. – Niech pani się wyluzuje. Zwyczajnie się zamyśliłem. Jak to pani załatwiła?

– No cóż – Ewa uśmiechnęła się tajemniczo. – Pan ma swoje sposoby, ja też je mam i jak pan widzi, są skuteczne.

– OK, OK. Niech pani wreszcie powie, co jest w tym protokole...

– Niestety, niewiele. Pasażer taksówki był małomówny. Taksówkarz zeznał, że jego klient, chociaż dobrze mówił po polsku, przyznał, że przyjechał do Polski po wielu latach nieobecności. Kierowca nie wiedział, kiedy pasażer ostatnio był w Polsce ani gdzie obecnie mieszka. Zapamiętał natomiast, że mówił ze śpiewnym wschodnim akcentem. Wyraził też przypuszczenie, że mógł być Żydem, chociaż nie potrafił tego sensownie uzasadnić. „To raczej intuicja niż pewność poparta jakimś dowodem” – powiedział przesłuchującym go policjantom. I co pan na to, panie nadkomisarzu?

– Co pan na to? – Pilarski powtórzył pytanie. – Zebrany materiał dowodowy pozwala stwierdzić, że stanęliśmy przed ścianą. Nie jesteśmy w punkcie wyjścia, ale wyczerpaliśmy wszystkie możliwości na postęp w prowadzonym śledztwie. Czy podziela pani moją opinię?

– Niestety tak – Ewa zamknęła notatnik. – W tej kwestii muszę się z

panem zgodzić.

– A jakich dowodów mógłbym jeszcze dostarczyć? – długa rozmowa z prokuratorem Kietlińskim wytrąciła Pilarskiego z równowagi.

– Jestem przekonany, że zamordowano Michała Jakubka. Potwierdzają to zeznania jego siostry, która przekonująco uzasadniła obrzezania denata i blizny na jego ramieniu. Pomimo wielu prób nie udało się pozytywnie zweryfikować hipotezy, że ofiarą albo zabójcą jest obywatel Izraela. Wszystko, co mogliśmy w tej sprawie zrobić, zostało zrobione. Dobrze pan wie, że są sprawy, w których nigdy nie udało się wykryć ani sprawców, ani motywów zbrodni. Moim zdaniem właśnie z taką sytuacją mamy do czynienia. Tylko przypadek może sprawić, że coś się tutaj zmieni – tłumaczył już spokojnie.

– Nie przypadek, panie nadkomisarzu – prokurator Kietliński gładził kilkudniowy zarost – tylko sensowne działanie. Doceniam wysiłki pana i pani Konieczny, ale jako nadzorujący śledztwo nie uważam, że w tej sprawie wszystko zostało zrobione.

– Nie rozumiem – Pilarski poczerwieniał. – Czego nie zrobiliśmy pana zdaniem?

– Moim zdaniem – kontynuował prokurator – obrzezanie denata i przeświadczenie kierowcy, że wiozł Żyda, to zbyt ważne fakty, aby wykluczyć, że nie zamordowano obywatela Izraela.

– Ależ panie prokuratorze – Pilarski zaprotestował energicznie. – Mamy zeznania pani Anny Kmity, która rozpoznała brata. Co prawda pośrednio, ale jednak rozpoznała.

– Pośrednio? Nie dostrzega pan słabości tego stwierdzenia? W naszym zawodzie liczy się pewność. Gdybym użył tych argumentów podczas rozprawy, to sąd i obrona oskarżonego zarzuciłyby mi niekompetencję. Przekonanie, że denatem jest Michał Jakubek oparł pan wyłącznie na zeznaniach starszej kobiety, a mnie życie nauczyło, że nikomu nie można ufać – nie przestawał gładzić brody. – Czy zdjęto odciski palców denata i porównano je z tymi, które w mieszkaniu gospodarz musiał zostawić w każdym kącie? Pytam retorycznie, bo nie przypuszczam, aby nie dopilnował pan tak podstawowej czynności.

Zmieszanie, które pojawiło się na twarzy Pilarskiego, zdumiało prokuratora.

– Nie zdjęto odcisków palców? – pytał z niedowierzaniem.

– Nie, panie prokuratorze, ale to nie było nasze niedopatrzenie. Denat miał dłonie poparzone kwasem i nie mogliśmy zdjąć odcisków palców. Linii papilarnych po prostu nie było.

– Jeśli tak – prokurator Kietliński wycierał chusteczką okulary – to znaczy, że zabójcy zależało, aby jego ofiary nie można było rozpoznać. Pozostaje kod DNA. Zlecił pan zbadanie kodu DNA? To nowa i stuprocentowo pewna metoda.

– Nie – Pilarski czuł na sobie karcący wzrok szefa. – Nie wydawało się nam to konieczne.

– Nie zbadaliście kodu DNA, a pan mówi, że wszystko w tej sprawie zostało zrobione – głos prokuratora Kietlińskiego nie wróżył niczego dobrego. – Myślę, że już pan wie, jak naprawić błąd.

Kiedy Ewa weszła do gabinetu, Pilarski siedział wyraźnie zmartwiony nad opieczętowaną kartką papieru.

– Tych kilka zdań podaje w wątpliwość dotychczasowe ustalenia śledztwa – powiedział przygnębiony. – Wynik badania DNA oznacza, że nie zachodzi jakiegokolwiek genetyczne podobieństwo między denatem a Anną Kmitą. Pani Ewo, siostra Jakubka, mówiąc, że rozpoznała w zamordowanym swojego brata, wprowadziła nas w błąd, a my tak łatwo daliśmy się na-brać – podał policjantce dokument.

– I tylko z tego powodu wzywał mnie pan do siebie?

– Tylko? – Pilarski zdziwił się. – Dlaczego bagatelizuje pani te wyniki? Przecież one przewracają śledztwo do góry nogami.

– Za dużo pan pracuje, panie nadkomisarzu. Proszę sobie przypomnieć przesłuchanie pani Anny Kmity. Powiedziała wtedy, że Michał Jakubek był jej przyrodnim bratem. Nie pamięta pan tego? Kody DNA pani Anny i Jakubka muszą się różnić.

– OK, OK – nadkomisarz szybko, chociaż z trudem przełykał gorycz

porażki. – Następnym razem na spotkanie z prokuratorem Kietlińskim pójdzie także pani. Gdybym wtedy wykazał się refleksem, nie ekshumowalibyśmy Jakubka.

Pilarski w kiepskim nastroju wrócił do gabinetu. Nie przywykł do porażek, a jednak w sprawie zabójstwa Jakubka przegrał. Zrobił porządek na biurku i bez entuzjazmu sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Dziękuję za współpracę, pani Ewo – powiedział. – Prokuratura umorzyła dochodzenie.

Rok 2010

Pilarski był w trakcie golenia. Na ściennym zegarze dochodziła siódma, kiedy zadzwonił telefon.

– Kto może dzwonić w sobotę o tak wczesnej porze? – zdziwił się. – Jasna cholera – zaklął, kiedy przyłożył słuchawkę do ucha, zapomniawszy, że twarz pokrywa obfita pianka.

– Co za miłe powitanie – usłyszał w słuchawce nieznany sobie głos. – Rozumiem, że pora jest wczesna, ale trochę pan przesadził.

– Bardzo pana przepraszam – Pilarski w pośpiechu wycierał twarz ręcznikiem. – To nie było do pana. Proszę przypomnieć nazwisko, bo nie rozpoznaję pańskiego głosu.

– Moje nazwisko nic panu nie powie. Jestem proboszczem w parafii Świętej Rodziny we Wrocławiu. Rozmawialiśmy ze sobą czternaście lat temu. Zabójstwo Jakubka, pamięta pan?

– Pamiętam – odpowiedział niepewnie i na chwilę zaniemówił. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego, że po tak długim czasie i o tak wczesnej porze zadzwoni do niego ksiądz, i to w sprawie, która nadal nie dawała mu spokoju. W ciągu dwudziestu lat służby w policji tylko trzech przypadków nie udało się mu rozwikłać, a zabójstwo Jakubka było jednym z nich. – Raz jeszcze przepraszam za niecenzuralne słowa – wykrztusił w końcu. – Tak jakoś mi się wyrwało.

– Nic się nie stało – zakłopotanie Pilarskiego na krótko rozbawiło księdza. Po chwili jednak spoważniał. – Wczoraj była u mnie pani Anna Kmita, siostra Michała Jakubka – powiedział. – Niech pan zgadnie, o co prosiła...

– Nie mam pojęcia. Może o mszę za brata?

– Nie. Prosiła o pochowanie brata na parafialnym cmentarzu.

– Panią Annę Kmitę pamiętam – Pilarski w pośpiechu przypominał sobie szczegóły tej sprawy – ale wydawało mi się, że nie miała dwóch braci.

– Bo nie miała. Pani Anna prosiła o pochówek jednego jedyne go brata Michała.

– Jasna cholera! To jakieś nieporozumienie. Przecież Michał Jakubek został zamordowany czternaście lat temu.

– Nie – ksiądz ściszył głos – to nie był on.

– Jak nie Jakubek, to kto?

– Nie wiem, nie jestem detektywem.

– Niech pan słucha uważnie – kierowca prywatnego busa okazał się miłym i uczynnym człowiekiem. – Za stacją benzynową w Będkowie pojedzie pan prosto. Nie obwodnicą, ale prosto do centrum Trzebnicy. Na światłach za bazyliką skręci pan w lewo. Po trzystu metrach będzie Rynek. Tam się pan zatrzyma i zapyta o dalszą drogę. To blisko Rynku – oddał kartkę z zapisanym adresem.

Pilarski podziękował, a po kwadransie stał przed drzwiami trzypiętrowego bloku z wielkiej płyty. Jego brzydotę z nawiązką wyrównywało położenie na jednym ze wzgórz wcinających się głęboko w samo miasto.

Drzwi otworzyła drobna, niespełna czterdziestoletnia kobieta.

– Inspektor Pilarski z Komendy Wojewódzkiej Policji – przedstawił się.

– Dorota Woroniecka – kobieta podała dłoń. – Proszę wejść, babcia na pana czeka.

– Pamiętam panią – Pilarski przytrzymał dłoń kobiety. – Czternaście lat temu była pani na pogrzebie Michała Jakubka. Nic a nic się pani nie zmieniła.

– Dziękuję za miłe słowa – kobieta zmieszała się. – Znajomi też mówią, że ładnie się starzeję.

– Pani Doroto – Pilarski pogroził palcem – ja nie to miałem na myśli.

– No przecież wiem – odpowiedziała z uśmiechem. – Proszę, niech pan wejdzie – ponowiła zaproszenie.

Duża, staromodna szafa, podobny w stylu stół i cztery krzesła stanowiły główne wyposażenie pokoju, tylko łóżko, w którym leżała Anna, nie pasowało do tych mebli. Zasunięte zasłony z ciemnozielonego materiału

sprawiwały, że w pokoju panował półmrok.

– Pan Pilarski – Anna zamyśliła się. – Pamiętam naszą rozmowę w komendzie. Sama wtedy przyjechałem, a dzisiaj... – machnęła ręką. – Szkoda mówić. Nawet przy stole nie usiądę. Choroba przykuła mnie do łóżka i tak już zostanie do końca.

– Przykro mi – policjant szukał słów pocieszenia. – Może tak źle nie będzie. Oczywiście może pani leżeć. Mnie to zupełnie nie przeszkadza – położył teczkę na podłodze i usiadł na krześle. – Mam nadzieję, że ta rozmowa pani nie zmęczy – dodał łagodnie. – Od razu chcę przeprosić za to najście. Jeśli się pani zmęczy, natychmiast przerwiemy rozmowę.

– Dobry z pana człowiek – Anna spojrzała na Pilarskiego ciepłym wzrokiem. – Nie przeszkadza nam pan. Ja na pogrzeb i tak nie mogę pojechać. Wszystkim zajmuje się moja kochana Dorotka – oddychała ciężko, ledwie łapiąc powietrze. – Wiem, po co pan przyszedł i jest mi przykro, że wtedy nie byłam z panem szczerą. To mój brat prosił, żebym w zamordowanym Żydzie rozpoznała właśnie jego. Wymyślił historię z ugryzieniem przez konia i z zabójstwem rodziców żydowskiego dziecka. On wtedy tak bardzo się bał. Czy pan wie, że jeszcze w dniu zabójstwa wyjechał z Wrocławia? – Anna z trudem sięgnęła po chusteczkę leżącą na krześle. – Osiem lat mieszkał w Borach Tucholskich – wytarła ślinę z kącików ust – u znajomego z czasów wojny. Chyba kapitan Zieliński mu było. Kiedy gospodarz umarł, Michał wrócił do mnie. Mieszkał z nami, ale nie wychodził z mieszkania. Czy pan wie, jaka to była katorga dla wszystkich? Czy pan wie, jaki to był problem, kiedy chorował i trzeba było wezwać lekarza? – mówiła zgaszonym głosem.

– Mogę się tylko domyślać. Nigdy nie doświadczyłem podobnej sytuacji.

– No i pana szczęście. Pana szczęście.

– Proszę powiedzieć, czy pan Jakubek podejrzewał kogoś o dokonanie tego zabójstwa?

– Nie wiem. Może i kogoś podejrzewał, ale nic o tym nie mówił. Często jednak wspominał, że to on miał zginąć.

– Czyli był przekonany, że wyrok wydano na niego, a jego gość zginął przypadkowo?

– Chyba tak właśnie było – Anna kiwnęła głową.

– Czy pani wie, jak nazywał się człowiek, który zginął zamiast pani brata?

– Wiem – Anna zamknęła oczy – Nazywał się Izaak Rotenbaum, a poznali się jeszcze przed wojną. W Rybakach chodzili do tej samej szkoły, a później razem walczyli przeciwko banderowcom.

– Co pani wie na ten temat? Może zapamiętała pani jakieś szczegóły?

– Nie chcę wracać do tych wspomnień. To bardzo bolesne przeżycia – Anna zamilkła, zmęczona rozmową, jednak po chwili mówiła dalej. – W 1991 roku Michał napisał podanie do Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w sprawie przyznania uprawnień kombatanckich. W czasie rządów komunistów nie chciał o to prosić, był jednak pewien, że po 1989 roku pozytywne załatwienie jego prośby będzie zwykłą formalnością. No i się przeliczył. Odmówiono mu. Kiedy odwołał się od tej decyzji, poprosili go o osobiste stawienie się w urzędzie. Brat w swojej naiwności sądził, że wszystko będzie po jego myśli, ale nie było. „Jak pan śmie!” – krzyczał kierownik urzędu. „Pańska bezczelność przekracza wszelkie granice! Chce pan uprawnień kombatanckich za służbę w NKWD, w zbrodniczej organizacji! Proszę natychmiast stąd wyjść!”. Michał był załamany i rozżalony, bo Polsce służył wiernie. Narażał życie swoje i rodziny, a jakiś urzędniczyna śmiał go zwymyślać i wyrzucić za drzwi – po policzku kobiety spłynęła łza. – Po tym zdarzeniu brat wziął się do pisania. Pytałam go, o czym pisze, ale nie chciał powiedzieć. Prosił, aby po jego śmierci dać to właśnie panu.

– Mnie? – Pilarski nie krył zaskoczenia. – Dlaczego mnie?

– Polubił pana. Wiedział, że to pan prowadził śledztwo. To, co pan robi, traktował jako przyjacielską pomoc w szukaniu morderców jego kolegi – Anna z trudem dźwignęła się na łóżku. – Dorotko – poprosiła wnuczkę – przynieś to, co wujek Michał napisał. Dużo tego jest. Michał miał lekkie pióro. Będzie pan zadowolony.

Dorota wróciła po kilku minutach.

– Szafa wujka Michała jest pusta – oznajmiła, patrząc pytająco na Annę.
– Znalazłam tylko list do pana Andrzeja.

Wczesnym popołudniem Pilarski był już w swoim mieszkaniu. Z przyzwyczajenia włączył telewizor. W TVN24 podawali najnowsze, jeszcze niepełne wyniki wyborów samorządowych, jednak dzisiaj polityka nie interesowała go zupełnie. Pożółkła koperta była zaklejona, a na niej równym, wręcz kaligraficznym pismem napisano: „Pan Andrzej Pilarski – detektyw”.

Nożem rozciął kopertę. Na papierze w kratkę tym samym charakterem pisma zapisanych było kilka zdań.

– Moje życie dobiega kresu, ale zanim to nastąpi, chcę zamknąć pewien jego rozdział – czytał półgłosem. – To okres mojej młodości, którą spędziłem w małej wsi nad Czeremoszem, tam gdzie dzisiaj jest Ukraina. Z mojego pokolenia odchodzą ostatni ludzie i właśnie im chcę poświęcić te wspomnienia. Ludzie, którzy urodzili się już po wojnie, nie wiedzą, co wtedy tam się stało. To dla nich zapisałem i opowiedziałem to, czemu mój znajomy obiecał nadać literacką formę. Nie wiem, jak pan Edward moje wspomnienia opíše, ale ja pisałem i mówiłem o prawdziwych ludziach i zdarzeniach. Może będzie pan chciał to przeczytać? Może znajdzie pan coś, co pomoże znaleźć zabójców Izaaka Wise, mojego przyjaciela ze szkolnych lat?

Pilarski obudził się o trzeciej nad ranem. Przewracał się z boku na bok, przykrywał głowę poduszką, ale list Jakubka nie pozwalał mu zasnąć.

„Kim jest Edward?” – zastanawiał się. „Gdzie mieszka? Co zrobił ze wspomnieniami Jakubka? Co takiego napisał Jakubek, że jego zdaniem może to pomóc w rozwiązaniu zagadki morderstwa na Sępolnie?”. Te i im podobne pytania dręczyły go do samego rana.

Wstał o szóstej, godzinę wcześniej niż zwykle. „Może znajdę coś, co spowoduje, że prokuratura wznowi śledztwo?” – myślał, jedząc jajecznicę. „Może znowu poprowadzimy je razem z Ewą? Młoda i ładna była, a w dodatku taka inteligentna”.

Po śniadaniu położył się na tapczanie i wrócił pamięcią do 1996 roku. Wtedy w miarę upływu czasu i prowadzonego śledztwa Ewę lubił coraz bardziej. Wieczorami spędzanymi samotnie w swojej kawalerce snuł nawet plany, w których młoda policjantka była jego towarzyszką życia. Odnosił wrażenie, że on także nie był jej obojętny. Zanim jednak zdążył wysłać

wyraźny sygnał, że jest dla niego nie tylko asystentką, że ją lubi i pożąda jej, śledztwo zostało umorzone, a Ewa wróciła do swojej pracy. Ich kontakty stały się sporadyczne, by w końcu ustać zupełnie. Później dowiedział się, że dziewczyna przeprowadziła się do Poznania.

Te wspomnienia tak go poruszyły, że bez chwili namysłu sięgnął po słuchawkę.

– Ewa Konieczny z Poznania? – dopytywała dziewczyna z informacji. – Nie zna pan dokładnego adresu?

– Niestety nie – przyznał i w tej samej chwili uprzytomnił sobie, że Ewa mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko.

– Mam dwie takie panie – informowała telefonistka.

Zapisał podane numery i spojrzał na zegarek. Była szósta trzydzieści. Uznał, że pora na telefonowanie jest za wczesna. Wypił szklanekę staropolanki i znowu położył się na tapczanie.

Obudził się kwadrans po ósmej mocno spóźniony. Nie czekając na windę, zbiegł po schodach i po chwili siedział w samochodzie. Chociaż zatłoczone miasto nie pozwalało na szybką jazdę i spóźnił się blisko pół godziny, po przyjsciu do biura od razu zatelefonował do Poznania. Żaden z wybranych numerów jednak nie odpowiadał.

– Miło znowu słyszeć pani głos – mówił rozemocjonowany, kiedy późnym popołudniem odezwał się jeden z poznańskich telefonów. – Co u pani słychać? Tak dawno się nie widzieliśmy... Naprawdę? Miło mi to słyszeć... Tak, przyznaję. To służbowa sprawa... No nie, proszę się nie gniewać. I bez tego bym do pani zadzwonił... OK, już mówię. Czy pamięta pani sprawę zabójstwa Michała Jakubka? Tak, właśnie jego... Pytam, ponieważ Jakubek zmarł dopiero dwa dni temu... Nie, nie drugi raz. Niech pani nie żartuje... Jutro będzie jego prawdziwy pogrzeb... Oczywiście, że tamten był prawdziwy. Źle to powiedziałem. Jutro będzie pogrzeb prawdziwego Jakubka... Tak, wiem to na pewno... Jasne, ma pani rację, ale w tej sprawie pojawiły się nowe fakty. Czy ona jeszcze panią interesuje? W takim razie zapraszam do Wrocławia. Proszę pamiętać, że pogrzeb Jakubka jest jutro... Potrzebuje pani pół godziny? Jasne, poczekam.

Telefon odezwał się po dwudziestu minutach, które Pilarskiemu wydawały się wiecznością.

– O 9:30 na Dworcu Głównym? – powtórzył dla pewności. Oczywiście, że będę... Kim jest Monika? Nic pani nie mówiła, że ma córkę... To prawda, że nie widzieliśmy się czternaście lat. Do widzenia – odłożył słuchawkę.

Wiadomość, że Ewa ma siedmioletnią córkę zmartwiła go. „Jeśli wyszła za mąż, to znowu się spóźniłem” – pomyślał.

Jazda z dworca na Sępólno zajęła im kilkanaście minut.

– W sobotę miasto powoli budzi się ze snu – Pilarski komentował niewielki ruch na ulicach.

– A ja nie mogę tego samego powiedzieć – Ewa tłumiała ziewanie. – Przez pana musiałam wstać przed piątą.

W cmentarnej kaplicy zastali księdza, ministrantów i dwie kobiety. Tylko one przyszły pożegnać Michała Jakubka.

– To Dorota Woroniecka – Pilarski dyskretnie wskazał szczupłą kobietę – wnuczka Anny Kmity.

Obok Doroty stała wysoka, może dwudziestopięcioletnia dziewczyna w kapeluszu z szerokim rondem i spuszczoną na twarz woalką. Proste, rude włosy dotykały swobodnie jej ramion. Chociaż woalka zasłaniała twarz, Pilarski zauważył, że dziewczyna jest ładna, a jej uroda miała w sobie coś intrygującego.

Z cmentarza pojechali do Parku Szczytnickiego. Poprosiła o to Ewa, która bardzo lubiła to miejsce. Spacerowali zacięzionymi alejkami, odpoczywali, siadając na parkowych ławkach i rozmawiali. Kiedy późnym popołudniem dotarli do mieszkania, Pilarski od razu zadzwonił do Trzebnicy.

– Kim jest kobieta, która stała obok pani podczas pogrzebu? – pytał Dorotę Woroniecką... Niemożliwe. Naprawdę widziała ją pani pierwszy raz? Do widzenia. Dziwne – odłożył słuchawkę. – Dorota Woroniecka nie zna dziewczyny w woalce. Gdyby pani nadal pracowała w Sekcji Poszukiwań, wiedzielibyśmy, jak się nazywa, gdzie mieszka i co robi, a tak, to klops.

– Jestem pewna, że i bez mojej pomocy chłopcy z Sekcji Poszukiwań

świetnie sobie z tym poradzą. Czy panu też zrobić herbatę? – zapytała, wychodząc do kuchni.

– Tak, proszę. Herbata jest w szafce obok kuchenki.

– Za dwie godziny mam pośpieszny do Poznania – położyła tackę z herbatą na stole. – Odwiezie mnie pan na dworzec?

– Zapraszałem panią na dwa dni – Pilarski nie krył zaskoczenia. – Jutro jest niedziela, więc nie musi pani iść do pracy.

– Zapomniał pan o Monice.

– Nie zapomniałem – upił łyk gorącego napoju. – Proszę zadzwonić do mamy i poprosić o opiekę jeden dzień dłużej. Jak pani widzi, moje mieszkanie ma dwa pokoje. Jeden z nich będzie wyłącznie do pani dyspozycji. Jutro z rana pojedziemy do Trzebnicy.

– A po co, jeśli można wiedzieć?

– Na spotkanie z panią Anną. Pan Jakubek napisał do mnie list. Wspomina w nim o swoim znajomym, ale wymienia tylko jego imię. Nie wiem, jak się nazywa, nie znam jego adresu. Właśnie to chcę jutro ustalić.

– A nie może pan zrobić tego przez telefon?

– Próbowałem – Pilarski kiwnął głową. – Próbowałem, ale pani Anna źle się czuła. Poza tym uznała, że takie sprawy załatwia się osobiście. Ta kobieta ma charakter.

– Dlaczego ta sprawa jest dla pana taka ważna?

– Nie dla mnie, pani Ewo, ale dla śledztwa. Ważna jest, ponieważ Jakubek spisał jakieś wspomnienia. Jego znajomy obiecał wydać je drukiem. W swoim liście Jakubek zachęca do przeczytania tych wspomnień i sugeruje, że mogą w nich być cenne dla nas informacje.

– Brzmi tak intrygująco – Ewa uśmiechnęła się tajemniczo – że chyba zostanę.

Pilarski promieniał ze szczęścia. Kobieta, która kilka dni temu ponownie zawładnęła jego umysłem, miała spędzić noc w jego mieszkaniu.

– Opowie pani coś o sobie i o Monice? – pytał, przygotowując kolację. – Co pani robiła po wyjeździe z Wrocławia?

– Kiedyś to panu opowiem, ale nie dzisiaj. Nie jestem w nastroju. Proszę mnie zrozumieć.

Przed południem byli w Trzebnicy.

– Przepraszam państwa za kłopot – Anna Kmita poprawiła kołdrę – ale to nie jest sprawa na rozmowę telefoniczną. Ukrywanie Michała nauczyło mnie ostrożności, dlatego poprosiłam was o przyjazd. Nie znam nazwiska pana Edwarda, ale wiem, że mieszka w Karlikowie. To mała wieś. Jestem pewna, że nie będziecie mieli problemu z odszukaniem go.

– Jeśli do Wrocławia wrócimy przez Oborniki – Pilarski otworzył drzwi samochodu – to Karlików będzie po drodze. Niech pani wsiada. Może jeszcze dzisiaj dowiemy się, co napisał Jakubek?

– Ź-źle się czuję – Ewa oparła się o samochód. – B-bardzo proszę, aby odwiózł mnie pan do domu.

Dopiero teraz Pilarski zauważył bladość twarzy kobiety.

– Dzień dobry – usłyszałem niespodziewanie. – Co się pan tak męczy?

Zajęty cięciem wykarczowanego jesionu, nie zauważyłem ani samochodu, który wjechał na podwórze, ani mężczyzny, który cicho niczym duch nagle stanął obok mnie.

– A pozwolenie na wycięcie drzewa to pan ma? – nieznajomy uśmiechnął się przyjaźnie.

– Mam – odpowiedziałem, kładąc na ziemi piłę łańcuchową.

Mężczyzna był wysoki, ubrany w dżinsową kurtkę i takie same spodnie, a na nogach miał czarne adidas. Wyglądał młodzieżowo, chociaż jego wiek oceniałem na czterdzieści, może pięćdziesiąt lat.

– Andrzej Pilarski z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu – wyciągnął rękę.

Pozwolenie rzeczywiście miałem, ale spotkanie z policjantem błyskawicznie uruchomiło mój rachunek sumienia.

– Proszę się nie martwić – mężczyzna znowu się uśmiechnął, widząc moją niepewną minę – ja nie w sprawie tego dębu do pana przyjechałem.

- Jesionu – poprawiłem, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.
- Może być jesionu – machnął od niechcienia ręką.
- Ładny ogród – powiódł wzrokiem po sadzie.
- Ładny – przyznałem – ale wymaga mnóstwa pracy.
- Pewnie dlatego mi się podoba – zerwał liść jabłoni.
- Pański adres dostałem od Anny Kmity.
- Anny Kmity? Nie przypominam sobie takiego nazwiska.
- To siostra Michała Jakubka.
- Teraz jasne – schyliłem się po piłę i siekierę. – Proszę przejść się po sadzie – zaproponowałem. – Sprzątnę narzędzia. Przy końcu ogrodu jest kilka śliw. Węgielki na pewno będą panu smakowały.

Usiedliśmy przy stole w dużym pokoju, który zdecydowanie na wyrost nazywaliśmy salonem.

- Dla pana kawa czy herbata? – zapytałem.
- Herbata – powiedział jakby od niechcienia i wyjął notatnik. – Nie piję kawy, mam nadciśnienie.
- No to możemy sobie podać ręce.
- Pan też ma nadciśnienie? – zdziwił się, jakby miał wyłączne prawa do tej choroby.
- Też – potwierdziłem i wyszedłem do kuchni.
- Czy pan wie, że Jakubek nie żyje? – częstował się herbatnikami.
- Nie – przyznałem. – Mój kontakt z panem Michałem był sporadyczny, a nikt mnie o jego śmierci nie powiadomił.
- Niedawno umarł – Pilarski kartkował notatnik. – Kiedy ostatnio się pan z nim widział?
- Kilka lat temu – usiłowałem przywołać w pamięci zdarzenia, które pozwoliłyby dokładniej określić rok. – Chyba ze trzy lata. Tak, w 2007 roku. Przyniósł wtedy wspomnienia i cały dzień przegadaliśmy.
- Ja w sprawie tych wspomnień przyjechałem – Pilarski nagle się ożywił.

– Są mi bardzo potrzebne.

– Pan wybaczy – uniosłem obie dłonie – ale to sprawa między mną i panem Jakubkiem. Podczas naszego spotkania pan Jakubek się otworzył. Miał osiemdziesiąt siedem lat, wiedział, że jego życie się kończy. Chyba dlatego potrzebował powiedzieć komuś o tym, co go dręczyło. No i wybrał mnie. Naprawdę czułem się wtedy jak spowiednik. Sam pan rozumie, że obowiązuje mnie tajemnica.

– Rozumiem – Pilarski bez przekonania kiwnął głową. Nadal kartkował notatnik; najwyraźniej czegoś szukał.

– Proszę to przeczytać – podał mi złożoną kartkę papieru. – Ten list otrzymałem od pani Anny. Jak pan widzi, jestem jego adresatem.

Uważnie przeczytałem list.

– No tak – przyznałem. – To zmienia postać rzeczy. – Czy dysponuje pan czasem? – zapytałem.

– Oczywiście. Nie mam żadnych ograniczeń czasowych. Sprawa, którą prowadzę, jest na tyle poważna, że mogę z panem rozmawiać tak długo, jak tylko będzie potrzeba, a pańska cierpliwość jeszcze się nie skończy.

– Co to za sprawa?

– Zabójstwo starszego mężczyzny – na twarzy Pilarskiego pojawił się grymas zniecierpliwienia. – Kilkanaście lat temu to było.

– Jakubek miał z tym coś wspólnego?

– To właśnie próbuję wyjaśnić. Proszę wybaczyć, ale nic więcej nie mogę powiedzieć.

W milczeniu kiwnąłem głową, chociaż sprawa wydała mi się intrygująca.

– Notatki Jakubka są niezwykle cenne – zacząłem swoją opowieść. – Są cenne, ponieważ dotyczą tragicznych wydarzeń z naszej historii, o których powszechna wiedza jest prawie żadna, a ludzie, którzy je pamiętają, szybko od nas odchodzą.

– Ma pan na myśli ludobójstwo dokonane przez Ukraińców na Polakach podczas wojny? – Pilarski wykazał się znajomością tematu.

– No właśnie – tym razem pokręciłem głową w geście dezaprobaty. –

Popelnia pan ten sam błąd uogólniania, który jest udziałem większości ludzi cokolwiek wiedzących na ten temat. Tak rodzą się stereotypy, które mają niewiele wspólnego z rzeczywistością.

– Nie rozumiem. Co ma pan na myśli?

– To mianowicie, że zbrodni dokonywali nie Ukraińcy w ogóle, ale jedynie ich nacjonalistycznie nastawiona część należąca do Ukraińskiej Powstańczej Armii. Historycy szacują, że stanowili oni zaledwie dziesięć procent narodu.

– No tak – Pilarski poczuł się zakłopotany. – Ma pan rację. Niby wiem coś na ten temat, ale nie do końca.

– Wspomnienia Jakubka są cenne z jeszcze jednego powodu – nie komentowałem skruchy swojego gościa. – Polacy byli ofiarami tych czystek. Na Kresach stanowili etniczną mniejszość, żadnych form polskiej państwowości od 1939 roku już tam nie było, dlatego ginęli masowo i w przerażający sposób. Jednak Jakubek pokazuje inną stronę tego dramatu.

– Jaką mianowicie? – policjant spojrzał na mnie z uwagą.

– W myśl teorii Dmytry Doncowa w drodze do niepodległego państwa z ziem uznawanych za etnicznie ukraińskie należało fizycznie usunąć wszystkich przedstawicieli innych nacji – dzieliłem się swoją wiedzą. – Tych ludzi nazywano cużyńcami, a zaliczano do nich Polaków, Żydów i Ormian. Polaków uważano za okupantów, dlatego we wrześniu 1939 roku Ukraińcy i Żydzi witali Rosjan kwiatami. Szybko okazało się jednak, że radziecka okupacja jest dużo gorsza od polskiej, dlatego także kwiatami ci sami Ukraińcy, a wraz z nimi Polacy, witali Niemców w czerwcu 1941 roku. Niemcy nigdy nie obiecywali utworzenia niepodległej Ukrainy, ale też tego nie wykluczali. Dodatkowo w 1942 roku połączyła ich z ukraińskimi nacjonalistami sprawa, jak to eufemistycznie nazwali, ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Historycy szacują, że na Kresach przedwojennej Polski zamordowano wtedy ponad pół miliona Polaków narodowości żydowskiej. Tak więc, od 1943 roku w drodze do niepodległej Ukrainy Żydzi już nie przeszkadzali. Pozostali Polacy i nieliczna społeczność ormiańska. Pod koniec wojny, kiedy na Zachodnią Ukrainę wkraczała Armia Czerwona, Niemcy umiejętnie podsycali antypolskie i antyradzieckie nastroje. Wspierali przy tym materialnie i militarnie nacjonalistów z UPA i

nie uwierzy pan – zaczerpnąłem powietrza – ale nastąpiła taka sytuacja, w której NKWD stała się sprzymierzeńcem Polaków. Sprawily to działania UPA, wymierzone przeciwko jednym i drugim. Wtedy właśnie pod patronatem NKWD powstały istrebitielnyje bataliony, czyli oddziały wojskowo-cywilne do zwalczania banderowców. Michał Jakubek służył w tych oddziałach i odegrał w nich bardzo ważną rolę.

– I to wszystko opisał? – zdziwił się Pilarski.

– Nie wszystko. Dużo więcej opowiedział.

– Co mianowicie?

– Jak by to panu powiedzieć... – zastanawiałem się głośno. – Jestem już na emeryturze. Nie muszę jeździć do pracy, nie muszę martwić się nastrojami szefa ani stresować w delegacjach na różnych obiektach. Mam za to inne, równie absorbujące zajęcia, ale nie brakuje też czasu na realizację marzeń. Jednym z nich było ocalenie od zapomnienia i przybliżenie jak najszerszej społeczności spraw, o których teraz rozmawiamy.

– Podjął się pan roli historyka?

– Nie – zaprotestowałem stanowczo. – Opracowań naukowych i wspomnień są tysiące, ale mało kto je czyta. Podjąłem się napisania beletrystycznej powieści. Powieści o takiej fabule, że sięgną po nią liczni czytelnicy.

– I udało się to panu?

– A jeśli powiem, że tak, to będzie pan zaskoczony?

– Będę – powątpiewanie Pilarskiego przerodziło się w ciekawość. – Naprawdę pan to napisał?

– Tak – wyciągnąłem z szafki jeden z egzemplarzy *Michała*. – Należy do pana – podałem powieść swojemu rozmówcy.

– Skąd ten tytuł? – Pilarski kartkował gruby, zbindowany dokument. – Czyżby to było imię pana Jakubka?

– Tak, to jest imię pana Jakubka, ale jeśli będzie pan czytał tę powieść, proszę pamiętać, że powstała ona na podstawie wspomnień kilku osób, a postaci w niej występujące często są fikcyjne – w tym znaczeniu, że czasem mają cechy i doświadczenia zdarzeń, które w rzeczywistości były udziałem

dwóch, a nawet trzech osób. Same zdarzenia są jednak autentyczne.

– To umniejsza wartość pańskiej powieści – Pilarski zamknął *Michała*. – Oczywiście z mojego policyjnego punktu widzenia.

– Zależy, czego pan oczekuje. Podkreślam, że opisywane sytuacje w zdecydowanej większości miały miejsce.

– Nie szuka pan wydawcy? – mój gość sięgnął po filiżankę z herbatą.

– Szukam, oczywiście, że szukam – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Jednak dzisiaj mało kto interesuje się książką. Ludzie stali się wygodni i intelektualnie leniwi, a czytanie zmusza do pewnego wysiłku. Dużo łatwiej jest przełączać telewizyjne kanały w poszukiwaniu ulubionego serialu z Mroczkami, Cichopkami czy innymi Muchami.

– Ogląda pan takie filmy? – Pilarski spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Pan żartuje, czy pyta poważnie? – zapytałem z irytacją. – Oczywiście, że nie oglądam, ale kobiety robią to masowo. One to lubią, przeżywają, czekają niecierpliwie na kolejne odcinki. Gdyby *Michał* był z tego gatunku, prawdopodobnie miałby wydawnicze szanse.

– Wszystkie wydawnictwa panu odmawiają?

– Jak do tej pory tak. Książka musi na siebie zarobić. Czytają prawie wyłącznie kobiety, a one rzadko sięgają po tego rodzaju gatunek literacki, jakim jest *Michał*.

– I co pan zamierza robić? – Pilarski wydawał się zatroskany.

– Szlifować tekst i przedstawiać go kolejnym wydawcom. Powieść chyba nie jest zła, bo jedno z warszawskich wydawnictw przyznało, że opinia literacka o niej była na tyle interesująca, że oddali ją do recenzji historycznej. Ta również była dobra, a recenzent podkreślał historyczną rzetelność i obiektywizm.

– No i co?

– No i nic – rozłożyłem ręce. – Zrezygnowali z powodu trudnej sytuacji finansowej. Wszystkie wydawnictwa mają podobne problemy. Kseruję więc *Michała*, rozdaję jako prezent i zbieram opinie. Niektóre są na tyle interesujące, że dokonuję zmian w tekście. Tak powstają kolejne, mam nadzieję, że coraz lepsze wersje powieści. Może się pan zdziwi, ale takich

egzemplarzy wydałem blisko sto. *Michała* czytają ludzie w całej Polsce, a nawet w kilku europejskich krajach. Pożyczają sobie tekst i kopiują. Ta powieść żyje własnym życiem, a ja już dawno straciłem kontrolę nad jej dystrybucją.

– Zaintrygował mnie pan – Pilarski schował *Michała* do teczki. – Gdyby jeszcze dał mi pan te wspomnienia, to właściwie moglibyśmy naszą interesującą rozmowę zakończyć. Oczywiście skseruję je, a oryginały wrócą do pana.

– Oczywiście – podszedłem do biblioteczki. – List Jakubka pana uwiarygadnia.

Odkładałem kolejne książki, aby dostać się do tajnego, jak mi się zdawało zakamarka, w którym przechowywałem materiały źródłowe związane z pisaną powieścią. Przejrzałem je raz, potem drugi, ale skoroszytu ze wspomnieniami Jakubka nie znalazłem.

– Dziwne – bezradnie rozłożyłem ręce. – Ta teczka gdzieś się zapodziała.

– Proszę dobrze poszukać – Pilarski był gotów do udzielenia wszelkiej pomocy. – To dla mnie bardzo ważne.

Wznowiłem przeglądanie książek i dokumentów, jednak moje wysiłki znowu spęły na niczym.

– Co było w tych wspomnieniach? – w głosie policjanta dało się wyczuć irytację.

– Wspomnienia Jakubka z lat 1946-1947 – starannie dobierałem słowa. – Maszynopis *Michała*, który panu dałem, kończy się w styczniu 1946. Te wspomnienia miały pomóc mi w napisaniu jego dalszych losów. Jeszcze nie zdążyłem ich przeczytać.

Tuż przed północą Ewa wyszła z pokoju, który na czas pobytu we Wrocławiu przydzielił jej Pilarski.

– Ma pan coś do jedzenia? – zapytała w progu. – Jestem okropnie głodna – na jej bladej twarzy malowało się zmęczenie.

– Mam pizzę – Pilarski podszedł do lodówki.

- Sam ją pan zrobił? – kobieta dłonią maskowała ziewanie.
- Przecenia pani moje umiejętności. Jaką pani chce – z szynką czy z serem?
- Z pieczarkami – przekomarzała się.
- No i nie zaskoczyła mnie pani – położył na kuchennym blacie krążek opakowany w folię. – Mam też taką pizzę. Dużo pani przeczytała? – włączył piekarnik.
- Wszystko.
- Wszystko? Naprawdę przeczytała pani całego *Michała*?
- Tak. Teraz wezmę prysznic – otworzyła drzwi łazienki. – I proszę pamiętać, że jestem głodna.

Wyszła po kwadransie. Była boso. Jej mokre włosy spadały kosmykami na czoło i ramiona, a ciało otulał niebieski szlafrok. W świetle nocnej lampki, ustawionej w rogu pokoju, wyglądała zjawiskowo.

- Przyniosę jakieś kaptcie – zaproponował Pilarski, przetykając ślinę.
- Nie trzeba. W domu zawsze chodzę boso.
- Jestem pod wrażeniem – mówiła, polewając pizzę keczupem. – Nawet pan nie wie, jak bardzo lektura *Michała* poszerzyła moją wiedzę na temat spraw, które przewijały się w tle naszego śledztwa. Pan także powinien tę powieść przeczytać – sięgnęła po filiżankę.
- Tak, oczywiście – Pilarski zawahał się, kiedy luźno związany szlafrok Ewy rozchylił się, ukazując kształtne piersi.
- No to do jutra – śmiejąc się, pogroziła mu palcem. – I miłych snów panu życzę.

- Z zawodowego punktu widzenia intrygują mnie dwie sprawy – Pilarski mówił przez uchylone do kuchni drzwi.
- To ciekawe – Ewa weszła mu w słowo. – Ja też mam dwa pytania.
- To niech się pani nimi pochwali – zgasił gaz pod gwiżdżącym czajnikiem. – Może myślimy o tym samym?

Ewa przez chwilę zbierała myśli, jakby chciała ustalić hierarchię ważności problemów.

– Po pierwsze – zaczęła – czy Izaak Rotenbaum, który zdaniem Anny Kmity został zamordowany, oraz Izaak Wise to ta sama osoba?

– Brawo, brawo! Jeden do jednego. Myślałem dokładnie o tym samym. A po drugie?

– Po drugie, kto i dlaczego wyprowadził w Stanisławowie Jakubka z transportu?

– Pani Ewo – Pilarski wyciągnął rękę – możemy sobie podać dłonie. Nadajemy na tych samych falach i musimy powrócić do sprawy. Myślę, że tym razem rozwiążemy tę zagadkę.

– Też mam taką nadzieję – kiwnęła głową – ale jest pewien problem.

– To znaczy?

– Praca i córka. Mieszkam i pracuję w Poznaniu, no i sama wychowuję dziecko.

– Może uda się pani załatwić oddelegowanie do Wrocławia? Ja ze swojej strony postaram się pomóc. Oczywiście, pod warunkiem, że przekonam prokuratora Kietlińskiego do wznowienia śledztwa.

– Może – Ewa zamyśliła się.

– A co do córki, to może pani mama by się nią zajęła? Jest to realne?

– Może jest, a może nie – wytarła usta chusteczką. – Nie wiem, porozmawiam z nią. Jest na emeryturze, ma dużo czasu, ale nasze stosunki nie są najlepsze. Chociaż muszę przyznać, że Monikę bardzo kocha.

Drogę na dworzec odbyli w całkowitym milczeniu. Nie rozmawiali nawet przy kasach biletowych ani idąc na peron. Na pociąg nie czekali długo. Przyjechał tuż przed planowym odjazdem i Pilarski pomógł wsiąść Ewie do prawie pustego wagonu.

– No to do szybkiego zobaczenia – uścisnął jej dłoń na pożegnanie.

– Do widzenia – chwilę się wahała i nagle pocałowała go w policzek. – Zatelefonuję do pana.

Stał na peronie obserwując odjeżdżający pociąg. Stał nawet wtedy, kiedy

pociąg zniknął za odległym zakrętem.

– Witam, witam – Pilarski podniósł się energicznie, kiedy Ewa stanęła w drzwiach gabinetu. Był uśmiechnięty i zadowolony. – Witam miłego gościa. Jak minęła podróż?

– Ja też się cieszę – położyła torbę podróżną obok biurka. – Bardzo lubię Wrocław – rozpięła sportową kurtkę. – A z pytaniem o podróż to pan przesadził. Przecież to tylko dwie godziny jazdy.

– Jasne. To było kurtuazyjne pytanie. Napije się pani kawy czy herbaty?

– Może być herbata.

– Nic a nic się pani nie zmieniła.

– Po dwóch tygodniach trudno zauważyć zmianę.

– Jak pani mama? Zgodziła się zająć Moniką?

– Tak. Bezterminowo, ale mam przyjechać na każde jej żądanie.

– To chyba dobry układ?

– Bardzo dobry.

– Dzisiejszy dzień potraktujemy ulgowo – włączył czajnik. – Oprowadzę panią po komendzie i takie tam. Od kiedy pani odeszła, dużo się tutaj zmieniło, jednak od jutra zabieramy się ostro do pracy. Co pani na to?

– Może być – kiwnęła głową. – Kupuję ten plan.

– Gdzie pani zamieszka? – zapytał, kiedy sprawę obchodu Komendy mieli już za sobą.

– Mam wynajętą służbową kawalerkę przy Wita Stwosza. To podobno gdzieś blisko Rynku.

– Wiem – zamilkł na chwilę, zastanawiając się, czy kawalerka jest dobrą nazwą mieszkania, w którym mieszka samotna kobieta. – W pobliżu jest Bank PKO. Mam tam swoje konto.

Był zawiedziony. Miał nadzieję usłyszeć odpowiedź, że jeszcze nie wie, a wtedy on zaproponuje pokój w swoim mieszkaniu. Bardzo czekał na jej przyjazd. Marzył, że będzie mógł podawać Ewie śniadanie do łóżka,

oprowadzać ją po mieście, chodzić z nią do kina i teatru. Tymczasem plan wspólnego zamieszkania legł w gruzach już na samym początku.

– O czym pan myśli? – Ewa przerwała ciszę, która nagle zaległa.

– E – machnął ręką. – Nic ważnego. Porozmawiajmy o tym, co zrobimy jutro, OK?

– Oczywiście – kiwnęła głową.

– No więc doszliśmy do wniosku, że musimy sprawdzić, czy Rotenbaum i Wise to ta sama osoba. Najprościej będzie zapytać o to Ambasadę Izraela. Chciałbym, aby pani przygotowała pismo, bo w pisaniu jest pani wyjątkowo dobra.

– Chce pan powiedzieć, że w innych sprawach jestem do niczego?

– Ależ skąd? Dlaczego wyciąga pani takie wnioski?

– Moje pytanie wynika prosto z pana słów – Ewa nie przestawała się uśmiechać. – Jak inaczej mogę to rozumieć?

– Bardzo panią przepraszam – czuł się jak zbity pies. – Niestety zdarzają się mi takie gafy. Myślę nawet, że za często.

– No już dobrze, przecież żartowałam. Niech się pan przestanie zadrećcać. Oczywiście napiszę tę prośbę do Ambasady. Mam nadzieję, że na urzędowe pismo szybko odpowiedzą.

– Może na urzędowe tak, ale na prywatne listy mają zwyczaj nie odpowiadać. Wiem coś o tym. Podczas wojny rodzice kolegi mojego ojca przez rok ukrywali żydowskiego chłopca i on wojnę przeżył. Kiedy kolega ojca dowiedział się o tym, chciał się z nim spotkać.

Zgromadził wszystkie dostępne informacje i napisał do Ambasady Izraela. List zaadresował do samego ambasadora i dodatkowo na jego nazwisko wysłał e-mail takiej samej treści.

– I co?

– I nic. Ambasador nie odpowiedział, a przecież szlachetne pobudki kierowały tym człowiekiem. Napisał, że chce zorganizować spotkanie Polaków, Żydów i Ukraińców w tej samej wsi, w której mieszkali ich rodzice i dziadkowie. Takie ekumeniczne spotkanie chciał zrobić, wbrew

nacjonalistycznym ideom szerzącym się znowu na Zachodniej Ukrainie, ale pan ambasador nie podjął tematu.

– Szkoda, ale myślę, że na naszą prośbę odpowie.

– Miejmy taką nadzieję.

– Drugą niewiadomą są losy Jakubka po tym, jak zabrano go z transportu w Stanisławowie. Jego wspomnienia zagięły, ale ma siostrę mieszkającą w Trzebnicy. Ona na pewno o tym opowie. Od razu umówimy się na spotkanie – otworzył notes i chwilę czegoś szukał. – Jest – przytrzymał notes, wystukując numer telefonu. – Dzień dobry, pani Doroto – uśmiechnął się do słuchawki. – Andrzej Pilarski, Komenda Wojewódzka. Przeczytaliśmy *Michała* i mamy do pani Anny kilka pytań. Czy moglibyśmy się jutro spotkać z pani babcią? Niemożliwe? – zmarszczył czoło. – Dlaczego niemożliwe? – słuchał odpowiedzi, nerwowo ściskając długopis. – Kiedy to się stało? W jakim jest stanie? No wie pani, to może znaczyć dużo lub nic – zaczerpnął powietrza. – Oczywiście, ma pani rację, ale tak naprawdę to niewiele wiemy, w jakim świecie żyją ludzie po wylewie. Tak, tak, oczywiście. Do widzenia – odłożył słuchawkę. – No to mamy problem, pani Ewo. Trzy dni temu Anna Kmita miała wylew. Lekarze mówią, że z tego nie wyjdzie.

– Zaintrygowała mnie ta rozmowa, detektywie. Co miał pan na myśli, mówiąc, że może to znaczyć dużo albo nic?

– To dziwna sprawa – Pilarski zamyślił się. – Pani Dorota jest pewna, że jej babcia czegoś się boi. Jest sparaliżowana, nie może mówić ani się ruszyć, ale wszystkie emocje ukryte są w jej twarzy.

– To znaczy?

– Pani Dorota jest pewna, że w oczach babci widziała przerażenie. I jeszcze powiedziała, że ona ciągle patrzyła w stronę drzwi.

– Pismo do Ambasady Izraela już zostało wysłane – Ewa powiesiła torebkę na oparciu krzesła. – Musimy się raz jeszcze zastanowić, czy ważne jest dla nas to, co działo się z Jakubkiem w Stanisławowie, kiedy zabrano go z transportu. Po wylewie pani Anny zdobycie informacji na ten temat wydaje się prawie niemożliwe, a poza tym może być zupełnie niepotrzebne.

– Niepotrzebne? Jestem przekonany, że nie ma pani racji. Co do

niewykonalności, to mógłbym się zgodzić, ale mam pewien pomysł.

Podszedł do szafy, zastanawiał się przez chwilę, odchyłał cienkie skoroszyty i opasłe segregatory, a w końcu wyjął jeden z nich.

– Akta sprawy z 1996 roku – powiedział, nie podnosząc głowy. Przeglądał kartkę po kartce, najwyraźniej szukając czegoś, o czym wiedział, że istnieje. – Może pójdziemy tym tropem? – położył przed Ewą protokół z oględzin mieszkania na Sępolnie, w którym zamordowano Izaaka Rotenbauma. – Na biurku Jakubka znaleziono wtedy miesięcznik „Na Rubieży”. Jest to pismo, które zajmuje się dokumentowaniem zbrodni dokonanych na ludności polskiej przez ukraińskich nacjonalistów.

– Mogę włączyć? – Ewa pokazała laptop leżący przed Pilarskim.

– Proszę – podsunął komputer.

– Rozumiem, że chce się pan skontaktować z redakcją – sprawnie operowała myszką.

– Uhmhm.

– W jakim celu, panie Andrzeju, jeśli można wiedzieć?

– Być może redakcja dysponuje wiedzą o transportach z przemieszczaną ludnością – fakt wymówienia jego imienia, czego Ewa nie robiła od dawna, wyraźnie go ucieszył. – Chodzi o informacje, skąd wyjechały, dokąd i kiedy dotarły. Być może żyją jeszcze ludzie, którzy jechali tym samym transportem, co Jakubek. Jeśli tak, to może od nich czegoś się dowiemy? W każdym razie warto spróbować.

– Redakcja „Na Rubieży” mieści się we Wrocławiu przy ulicy Oławskiej 2. Jest otwarta od poniedziałku do piątku od dziesiątej do czternastej – odczytała z ekranu.

– Jest trzynasta – Pilarski spojrzął na ścienny zegar. – Spróbujemy tę sprawę załatwić jeszcze dzisiaj?

– Niech pan próbuje – wyłączyła laptopa.

– Chciałbym, aby to pani tam poszła. Stąd na Oławską jest tylko kwadrans na piechotę, a stamtąd do tej pani kawalerki to zaledwie kilka kroków. Może czegoś się pani dowie, a jutro zastanowimy się, jak to wykorzystać. Proszę panią, bo mam pilną sprawę do załatwienia. Służbową –

dodał, widząc brak entuzjazmu na twarzy asystentki.

Ewa wróciła do Komendy tuż przed szesnastą.

– M-musiałam tutaj przyjść – mówiła głosem pełnym emocji. – M-miał pan rację, to był dobry adres. Pracownicy redakcji nie potrafili mi pomóc, a nawet posprzeczałam się z jedną panią, ale starszy mężczyzna, który przyszedł załatwić jakąś sprawę, po usłyszeniu mojego pytania wyraźnie się ożywił. „Proszę pani” – powiedział – „ja przyjechałem z kieleckiego, ale mój kolega, z którym pracowałem przez piętnaście lat, a który niestety już nie żyje, pochodził właśnie z Kut. On cały czas mieszkał w Obornikach. Myślę, że tam dotarł ten transport, o który pani pyta”.

– Wiedziałem, że pani to załatwi – Pilarski był zadowolony. – Ale o jakiej sprzeczce pani mówi?

– W sumie nic takiego się nie stało – Ewa machnęła ręką. – Kiedy nasza rozmowa zesłała na bardziej ogólne tematy, starsza pani z redakcji zakwestionowała moją uwagę, że nie wolno winą za kresowe ludobójstwo obwiniać wszystkich Ukraińców. No wie pan, po przeczytaniu *Michała* jestem tego więcej niż pewna, dlatego powiedziałam to z naciskiem. Wtedy starsza pani się oburzyła. „Pani nic nie wie” – mówiła podniesionym głosem. „Oni wszyscy są tacy sami. Normalnie tego nie widać, ale kiedy wypiją, wtedy rozwiązują się im języki. Dopiero wtedy może pani usłyszeć, co naprawdę o nas, Polakach, myślą”. Próbowałam oponować, ale to jeszcze bardziej zdenerwowało moją rozmówczynię. „Proszę mi tu bzdur nie opowiadać!” – krzyczała. „Ja cudem przeżyłam Wołyń!”.

– No tak – Pilarski zamyślił się. – Nam jest trudno sobie wyobrazić, co dzieje się w sercach i umysłach ludzi, którzy to wszystko przeżyli.

– Ma pan rację – Ewa położyła dłonie na kolanach.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak pojechać do Obornik – nadkomisarz porządkował biurko. – Spotkajmy się jutro o ósmej na parkingu przy Nowym Targu. OK?

Ewa przyszła punktualnie. Nie ubierała się tak wyzywająco jak kilkanaście lat temu, ale w dalszym ciągu umiała podkreślać kobiecość sylwetki.

– Zupełnie nie widać, że urodziła dziecko – konstatował Pilarski.

Przejechali przez Most Uniwersytecki i wkrótce byli na Karłowicach. Minęli koszary wojskowe, dwie budowane obwodnice – Śródmiejską i Autostradową – i wyjechali z miasta.

– Po prawej stronie, za tym wzgórzem jest lotnisko sportowe – tłumaczył, kiedy minęli most na Widawie. Po dziesięciu minutach wjeżdżali do Obornik. – No i jesteśmy na miejscu – zatrzymał się na parkingu przy rondzie. W tej samej chwili uświadomił sobie, że właściwie nie mają żadnego punktu zaczepienia, żadnego nazwiska, żadnego adresu.

– I co teraz, detektywie? – Ewa zadała pytanie, na które nie umiał odpowiedzieć. – Będziemy zaczepiali ludzi i pytali o ten transport?

– No właśnie – zamyślił się. – Nie mam pomysłu, od czego zacząć. Ale i do pani można mieć pretensje.

– A to niby jakie?

– A takie, że nie zapytała pani o nazwisko mężczyzny, który z Kut przyjechał do Obornik.

– Ale on nie żyje, detektywie.

– Nie żyje, ale może ma rodzinę?

– Ma pan rację – zapomniałam o to zapytać. A jaką poniosę za to karę?

– Kary nie będzie, jeśli wymyśli pani, jak ten problem rozwiązać.

– Szkoda, bo chyba wiem, od czego zacząć.

– Do Gminy to trzeba cofnąć się do tyłu – tłumaczył podpity jegomość, którego Pilarski zapytał o drogę. – No, w stronę Wrocławia – wybełkotał.

Kiedy minęli posterunek policji i aptekę ukazał się im budynek urzędu gminy.

– Proszę pójść do Działu Promocji – dziewczyna z Biura Podawczego zastanawiała się przez chwilę, kiedy Ewa wyjaśniła sprawę, z którą przyszli. – Myślę, że pani Romana będzie najbardziej kompetentną osobą.

Pani Romana okazała się kobietą o zagadkowej urodzie.

– W moich żyłach płynie polska, ormiańska i ukraińska krew –

odpowiedziała, kiedy w trakcie długiej rozmowy Pilarski mało dyskretnie o tę jej urodę zapytał. – Myślę, że dobrze państwo trafili – mówiła. – Coś wiem na ten temat. Transport wyjechał z Kut szóstego stycznia 1946 roku. Był środek zimy. Nocą mróz dochodził do dwudziestu stopni. Po dwóch tygodniach transport dotarł do Obornik Śląskich. Jakubowski? Nie, nie znam takiego nazwiska, ale proszę chwilę zaczekać – podniosła słuchawkę i wprawnie wystukała numer telefonu. – Ciocia Nusia? Jak się ciocia dzisiaj czuje? – kiwała głową, cały czas słuchając. – To przez tę pogodę. Ja też nie czuję się najlepiej. Ciociu, mam gości. Gości – powtórzyła. – Chcą wiedzieć coś o Kutach, a ja nie na wszystko umiem odpowiedzieć – spojrzała na Pilarskiego. – Nie, nie, oni nie są z Kut. Czy możemy ciocię odwiedzić? To nic, że ciocia nie jest przygotowana – uspokajała. – Dobrze, będziemy za pół godziny – odłożyła słuchawkę. – Ciocia ma już osiemdziesiąt trzy lata – tłumaczyła. – Chcę państwa uprzedzić, że będzie narzekała na zdrowie, opowie o wszystkich swoich chorobach i chorobach sąsiadów, ale proszę cierpliwie słuchać. Kiedy zdobędą państwo jej zaufanie, odpowie na każde pytanie. Chcę jeszcze powiedzieć, że w 1944 roku ukraińscy nacjonaści z UPA wymordowali większość jej rodziny – tylko cioci i jej bratu udało się ująć z życiem. Rozmawiając, nie zapominajcie o tym.

Zachowanie starszej pani zaskoczyło Pilarskiego i Ewę, ale najbardziej panią Romanę. Ciocia Nusia nie narzekała, udzielała pełnych odpowiedzi i ani słowem nie wspomniała o trapiących ją chorobach.

– Tak, jechaliśmy w jednym wagonie z rodziną Jakubowskich – prostowała zdeformowane chorobą palce. – Pamiętam dobrze, jak w Stanisławowie NKWD wyprowadziło Michała. Jego żona, chyba Julia jej było, została z małą córeczką i płakały bidulki do samych Obornik. Nie wiem, co się później z nimi stało. Większość została w Obornikach, ale niektóre rodziny pojechały do Karlikowa i Jakubowska też. To dobrze – powiedziała na pożegnanie, kiedy Pilarski przyznał, że jest z policji. – Dobrze, że zajmiecie się tymi bandytami! Oni zrobili nam tyle krzywdy, a za komuny nie wolno było o tym mówić. Tylko kogo wy teraz znajdziecie? – bezradnie rozłożyła ręce.

Po wyjściu od starszej pani Ewa ujęła Romanę pod rękę.

– Jak mogę dojść do dworca? – zapytała.

– Chwila moment – Pilarski ściągnął brwi – do jakiego dworca?

Wracamy do Wrocławia, a po drodze wstąpimy do Karlikowa. Już tam byliśmy, zapomniała pani?

– Ja nie byłam. Źle się wtedy czułam, nie pamięta pan? Wiem, że zatrzyma się pan w Karlikowie na dłużej, a ja mam pilną sprawę do załatwienia. Zapomniałam o tym wcześniej powiedzieć.

– Czasem moja asystentka zachowuje się dziwnie – wyjaśniał Pilarski, kiedy Ewa ruszyła wskazaną drogą. Był zadowolony, bo Romana dla odmiany chciała do Karlikowa pojechać.

– Nie zna pan kobiet? – pasażerka zaśmiała się. – Proszę te zachowania przyjmować takimi, jakie są i nawet nie próbować ich zrozumieć. Często jest to zwyczajnie niemożliwe.

Jechali asfaltową drogą, pełną łat, w głębokich koleinach, wyżłobionych przez ciężarowe samochody.

– Remont by się przydał – Pilarski w ostatniej chwili ominął głęboką wyrwę.

– Ma pan rację. Wszystko jak zwykle rozbija się o brak pieniędzy. Poza tym w planach jest budowa nowej drogi po drugiej stronie torów, ale to odległa przyszłość.

– Wie pan, dlaczego z panem jadę? – zapytała, kiedy wjeżdżali do wsi.

– Polubiła mnie pani?

– Nie schlebia pan sobie przypadkiem? – Romana przymknęła jedno oko. – Prawda jest bardziej prozaiczna. Chcę po prostu poznać pana z moim znajomym. Wiem, że utrzymywał kontakt z Jakubowskim i że napisał powieść.

– Pan Edward? – Pilarski zatrzymał samochód na poboczu drogi. – A powieść ma tytuł *Michał*. Zgadłem?

– Zna go pan?

– Znam. To właśnie *Michał* sprowadził nas do pani.

Zatrzymała ich furtka zamknięta na kłódkę.

– No to mamy problem – Pilarski spojrzał na Romanę. – Niepotrzebnie się pani fatygowała.

– Ale z pana człowiek małej wiary – pokręciła głową. – Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście, to i z tej będzie.

– Najstarsza osoba we wsi? – zastanawiał się mężczyzna w średnim wieku, prowadzący rower z niewielką przyczepką, pełną złomu. Romana zaskoczyła go nietypowym pytaniem. – To chyba będzie pani Katarzyna Matusiak. Mieszka o tam – wskazał okazały budynek z pustaków.

– No widzi pan, a tak łatwo chciał pan zrezygnować – Romana nie kryła satysfakcji.

Drzwi domu Matusiaków otworzyła młoda kobieta z kilkuletnią dziewczynką.

– Proszę, niech państwo wejdą i usiądą – uczyniła zapraszający gest ręką, kiedy Pilarski wyjaśnił cel niespodziewanej wizyty. – Zaraz zrobię kawę. Babcia doi krowy i już niedługo powinna przyjść.

Odgłos kroków na drewnianych schodach werandy i szuranie butów dochodzące z sieni zdawały się potwierdzać jej słowa. Po chwili w drzwiach stanęła drobna kobieta o poranej zmarszczkami twarzy i pogodnym spojrzeniu, z trudem niosąca wiadro pełne mleka.

– A wy to kto? – położyła wiadro na podłodze. – Ją znam – ruchem głowy wskazała Romanę. – W gminie ja ją widziałam. Musi tam pracuje.

– Nazywam się Andrzej Pilarski i jestem policjantem.

– Jezusie, Maryjo! – kobieta złapała się za głowę. – Karolcia! Chodź tu migiem. Co ty takiego zrobiła, że policja nas nachodzi?

– Uspokój się, babciu – wnuczka przytuliła staruszkę. – Nic nie zrobiłam. Państwo do ciebie przyszli. Zapytać o coś chcą.

– Bogu dzięki niech będą – staruszka usiadła na taborecie. – Wystraszyli wy mnie jak pies jaki, co z łańcucha urwał się i po wsi biega. Karolcia, kubki przynieś, te duże. Mleka gościom dać trza, kiedy nic złego nie zamierują. – Lubią mleko? – zapytała, wycierając twarz zapaską.

– Ja trochę – Romana uśmiechnęła się niepewnie.

– A ja nawet bardzo – zadowolony Pilarski nie przeczuwał, co się święci.

– Karolcia wnuczka moja jest. Razem my żyjemy i ja jej gospodarke

przepisała.

Dziewczyna postawiła kubki na stole.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziała, otwierając lodówkę. – Zaraz podgrzeję mleko.

– Ty to całkiem Karolcia zdurniała, czy co? – staruszka podniosła się z taboretu. – Mleka grzać nie trza, ciepłe przecie jest – wprawnie naląa do kubków dopiero co przyniesionego mleka.

– Ależ babciu! Tak nie można.

– Cichoj ty bądź. Gadziny zdrowe, a mleko z pianką najlepsze.

Romana z Pilarskim wymienili niepewne spojrzenia.

– Ma oryginalny smak – powiedział dyplomatycznie Pilarski, ledwie dotykając ustami kubka.

– A co? Mówiła ja, że lepszego nie znajdą.

– O Jakubowską pyta? – zagadnęła staruszka, kiedy Pilarski z trudem przełknął kilka łyków. – Julia jej było, a jemu Michał. Z transportu go Ruskie zabrały. Ona sama do Karlikowa przyjechała, z małym dzieckiem jeno. Jak za mąż ja wychodziła, no, w czterdziestym siódmym, ona na weselu była. A ładna taka, że aż. Kawalery koło niej się kręciły. Ludzie mówili, że Żyd jakiś do niej przyjechał i...

– Babciu! – Karolina bezceremonialnie przerwała wypowiedź, której Romana i Pilarski słuchali z coraz większym zaciekawieniem. – Natychmiast przestań! Powtarzasz jakieś plotki.

– Taki mój los z nią jest – staruszka smętnie kiwała głową. – Kiedyś ludzie jedne drugim mówiły, co stało sie, jaki chłop jest, dobry czy zły, jakie choroby w domu. A teraz – spojrzała z wyrzutem na wnuczkę. – Wyuczone to wszystko, przemądrzałe, jakby rozumy wszystkie pozjadało. Szacowność dla starszych ma, powiedzieć nie moge, żeby nie, jednako mnie to nie podoba sie. Jeść daj, Karolciu, gadzinie – przerwała, kiedy usłyszała przeciągłe ryczenie krów. – Dawno temu – zmieniła nagle wątek, kiedy Karolina z córką wyszły z pokoju – krowów we wsi moc było. Każden gadzine trzymał, mleko do mleczarni odstawiał i żył jakoś. Krowy my na łąkach paśli, a i pić dawać trza nie było. Gadzina do strumyka sama szła i pić mogła do woli. Teraz

strumyk wyprostowali, doły wykopali i krowów poić nie można. Prawda, czasem i kłopot my mieli, kiedy gadzina w błoto się zapadła. Ciągli my, jednak gadzina ciężka i wyjść nie mogła. Był taki jeden, nazwiska musowo nie wspomnę, co kij brał i gadzine z całych sił okładał. Czasem gadzina wyszła, czasem nie. Tak kiedyś było – zamyśliła się. – Ten jeden, co kijem gadzine bił, nieduży był, a zrobić dużo umiał. I wieprzka ubić, kiedy trza było, i dzieciów strzyc, co by w kościele na mszy dobry wygląd mieli. Żonę miał, dobra kobita z niej była i syna jemu porodziła, jednak nieszczęście wielkie u niego stało się. Piersio żona dziecko karmiła i usnęła. Pierzyny i poduchy z gęsiego puchu były, bo i gęsiów we wsi moc była, to i się mocno zapadła i syna udusiła. Oj, zbił ją wtedy do nieprzytomności. „Syna urodzić masz!” – zagroził. „Jak nie, to ubije jak psa jakiego”. Jednak Pan Bóg jego nie posłuchał i cztery córki zesłał. Pierwsza ładna nie była, no, druga musowo piękna. Buzia drobnutka, oczy jak chabry w pszenicy, a włosy bielutkie jak płótno i kręcone były. Szesnaście roków miała, kiedy syna porodziła. Ludzie wiedzieli, że jej ojca dziecko to było, no co zrobić miały? I milicja wiedziała, i ksiądz, jednak nikt nic nie mówił. Przed sąd by go wzięli i może zamkli, to jakby żona i dzieci wyżyły? A i ksiądz cicho był, bo do kościoła chodził, na tacę dawał, jak każdy. Żona jeno ciągiem płakała, a córce z tego nieszczęścia mowę pomieszało. Dziecko musowo chore było. Downa jakiegoś miało, czy inną chorobę. No jak inaczej być miało, kiedy dwie takie same krwie pomieszały się? Jak we wsi na języki ich wzięli, to i Karlików zostawili i gdzieś pojechali – zamilkła, słysząc odgłosy z sieni.

– Krowy jeść i pić dostały – Karolina z córką weszły do mieszkania. – Możesz być, babciu, spokojna.

– Ale o czym to ja mówiła? A, ślub ja w czterdziestym siódmym miała, na wiosnę. Dziecko, no ojciec jej – wskazała głową Karolinę – pięć miesięcy po tym urodziło się. Jesienią my go chrzcili i na chrzcinach Jakubowska sama była, bez niego.

– Oj, babciu, babciu – Karolina kręciła głową.

– A tej znowu nie podoba się – staruszka zdjęła chustkę. – Śmiać się jeno potrafi, że ja pięć miesięcy z dzieckiem chodziła i zdrowe, że aż urodziło się. Czasy ciężkie były. Tyle ludziów na wojnie ubili, że czekać nie było co i dzieci szybko rodziły się. A Karolcia trzydzieści roków ma i jedno dziecko jeno. Mówi, że więcej nie będzie i gadaj z nią.

– Babciu! Tyle razy prosiłam, żebyś się do moich spraw nie wtrącała.

Dyskusja między kobietami powoli przeradzała się w otwarty konflikt.

– Czy pamięta pani, kiedy Michał Jakubowski przyjechał do Karlikowa?

– Pilarski szybko zadał ostatnie pytanie.

– W pięćdziesiątym szóstym to było. Gomułka amnestię zrobił, to i do niej wrócił. Życia jednak nie mieli. Pogubili się gdzieś, żyli jak siostra i brat, a nie mąż i żona. Ludzie mówili, że on sąsiadkę sobie, Elżbietę Nowakową znaczy się, co blisko dom miała, no, romans ze sobą mieli, a świństwa takie robili, że...

– Babciu, przestań. Państwa to nie interesuje.

– Trudno z taką babcią wytrzymać – Romana dała upust emocjom, kiedy wyszli na drogę. – To co? – zapytała. – Jest pan zadowolony z tego spotkania?

– Oczywiście. Bardzo się cieszę i dziękuję. Odwiozę panią do Obornik i wracam do swojej asystentki. Mam nadzieję, że już jej przeszło. A swoją drogą babcia Karoliny to bardzo sympatyczna starsza pani.

Od kilku dni w sprawie zbrodni sprzed lat nic istotnego się nie zdarzyło. Ambasada Izraela milczała i nie było wiadomo, czy coś się w tym względzie zmieni. Co działo się z Michałem Jakubkiem przez całe dziesięć lat po zakończeniu wojny, też było tajemnicą. Ci, którzy coś na ten temat mogli powiedzieć, już nie żyli.

– To w końcu sześćdziesiąt lat, detektywie – Ewa upiła łyk herbaty. – Czas wymazuje fakty z ludzkiej pamięci, zabiera świadków, zaciera ślady. Ot, zwykła kolej przemijania.

– Skąd dzisiaj u pani takie filozoficzne dywagacje?

– Bo to jest prawda, detektywie.

– Mogłaby pani darować sobie tego detektywa, to zaczyna mnie irytować.

– Jak rozkaz, to rozkaz, detektywie. Już przestaję.

Ich przekomarzanie się nie zmieniało faktu, że nowych pomysłów nie mieli. W tej sytuacji Ewa zdecydowała się na powrót do Poznania. Prosiła o

to jej matka, która od pewnego czasu zgłaszała, że Monika bardzo za Ewą tęskni.

W TVN24 akurat komentowano wizytę prezydenta Miedwiediewa, kiedy zadzwonił telefon.

– Tak, słucham – Pilarski wyłączył telewizyjny głos. – A, to pani – powiedział do słuchawki, kiedy rozpoznał Dorotę. – Bardzo pani współczuję. Kiedy to się stało? Tak, oczywiście. Możemy się jutro spotkać... Może Pod Złotym Psem. Tak, tak, w Rynku. Czy godzina trzynasta pani odpowiada? No to jesteśmy umówieni.

Dorota Woroniecka spóźniła się prawie pół godziny.

– Przepraszam pana – mówiła skruszonym głosem. – To wszystko przez remont drogi. Bus utknął w korku za Wisznią Małą i nic nie mogłam zrobić.

– Nie wybaczę tego pani – Pilarski usiłował zrobić groźną minę. – Czekaając, zjadłem kawał tortu kajmakowego i porcję lodów. Sama pani widzi, jak wyglądam – położył dłoń na brzuchu.

– Tak mi przykro – Dorota sięgnęła po chusteczkę i Pilarskiemu wydawało się, że zaraz zacznie płakać.

– OK, OK – powiedział pojednawczo – ja tylko żartowałem.

– Jest mi przykro – powtórzyła – bo ja też lubię słodyczne.

– Oj pani Doroto – Pilarski pogroził palcem. – A więc odnalazła pani jeszcze jeden rękopis Jakubka? Byłem pewien, że pani wujek wszystko przekazał panu Edwardowi.

– I ja tak myślałam – Dorota upiła łyk herbaty, którą zamówił Pilarski. Po śmierci babci zrobiłam w mieszkaniu porządki. Część rzeczy rozdałam sąsiadom, niektóre zniosłam do opieki społecznej, a inne zwyczajnie wyrzuciłam. Najbardziej zagrożony był pokój wujka Michała, bo po jego śmierci babcia nie pozwalała niczego ruszać. No to nie ruszałam, a wszystko pokrywał coraz większy kurz i pajęczyny. Cały dzień doprowadzałam pokój do porządku, a w końcu na dnie szafy znalazłam stare gazety. Nic ciekawego w nich nie było i zniosłam je do kotłowni, ale pod gazetami leżała papierowa teczka z napisem „1946-1947”. W środku było kilkadziesiąt stron zapisanych równym pismem wujka. Przeczytałam kilka z nich i pomyślałam o panu. To dlatego wczoraj zadzwoniłam.

Jeszcze tego samego dnia Ewa przyjechała do Wrocławia.

– Co się stało – pytała na peronie – że tak nalegał pan na mój przyjazd?

– Sama pani zobaczy, ale najpierw odwiozę panią do domu – wziął od niej torbę podróżną.

Zaparkował samochód w pobliżu Rynku i pomógł kobiecie wysiąść.

– Nie zapraszam pana do środka – Ewa szukała kluczy. – Nie było mnie dwa tygodnie i mieszkanie wymaga sprzątanía. Nie chcę przyjmować gości w takich warunkach. Te notatki przeczytam jeszcze dzisiaj, a jutro porozmawiamy. OK?

Wracał do samochodu ze zwieszoną głową. – Mieszkanie wymagające sprzątanía to niezła wymówka – mruczał pod nosem, czym zwrócił uwagę dwójki młodych ludzi, których właśnie mijał. „Może i dobrze, że mnie nie zaprosiła” – myślał. „Będzie miała więcej czasu na czytanie”.

Zepsuta winda zmusiła go do wspinaczki na piąte piętro. Zdjął buty i marynarkę i usiadł w fotelu. Krytycznym wzrokiem lustrował wszystko, co znajdowało się w pokoju. Z permanentnym bałaganem panującym w jego mieszkaniu czuł się bardzo dobrze, jednak słowa Ewy przywołały refleksję nad względnością dobra i zła, bałaganu i porządku, miłości i nienawiści i jeszcze kilku innych, pozornie przeciwstawnych pojęć i zachowań. Bez kolacji i wieczornej toalety położył się na złożonej wersalce.

– Witam panią, pani Ewo – Pilarski wstał zza biurka i podał dłoń kobiecie. – Jeśli wszystko pani przeczytała, to musi się pani zgodzić, że mamy i motyw zbrodni, i jej wykonawcę. To Jakubek zabił Rotenbauma. W tej zagmatwanej sprawie wreszcie wszystko zaczyna się układać w sensowną całość. I pomyśleć, że sprawił to przypadek.

– A ja nie wyciągałabym tak daleko idących wniosków. Dobrze pan wie, że ta hipoteza, przyznając, bardzo prawdopodobna, musi być zweryfikowana. Daliśmy raz plamę i to wystarczy.

– Ma pani rację, ale proszę przyznać, że trudno o bardziej wiarygodny motyw zabójstwa. To major Wise zabrał Jakubka z transportu. To na jego rozkaz Jakubek został okaleczony, co prawie przypłacił życiem. No i wreszcie zabójstwo Katryny, którego major Wise był pośrednim sprawcą. Za

sprawą tego człowieka Jakubek doświadczył tylu traumatycznych przeżyć, że chęć odwetu, nawet po pięćdziesięciu latach, ciągle mogła być silna.

– Zgadzam się z panem, chociaż zastanawia mnie, dlaczego w liście do pana Jakubek napisał, że być może jego wspomnienia pozwolą rozwikłać tę zagadkę.

– Rzeczywiście, tak napisał, ale czego pani nie rozumie?

– W *Michale* opisane są zdarzenia, które miały się w Kutach i okolicy w 1944 roku. Przeczytaliśmy tę powieść oboje, ale to nie pomogło nam w śledztwie, chociaż powinno, jak sugerował Jakubek. Ekscytuje teraz pana rękopis otrzymany od Doroty. Proszę jednak zwrócić uwagę na fakt, że otrzymał go pan przypadkiem. To nie pan był jego adresatem i Jakubek nie w nim widział rozwiązanie zagadki. Czy to pana nie zastanawia?

– Nie, pani Ewo, absolutnie nie. Na wspomnieniach Jakubka z lat 1946-1947 brakuje tylko podpisu prokuratora, aby stały się aktem oskarżenia. Przeciwno Jakubkowi oczywiście. Kto pozostając przy zdrowych zmysłach będzie chwalił zabiciem kilku polskich żołnierzy? Przecież to sprawa dla wojskowego prokuratora.

– To było tak dawno, detektywie, że na pewno uległo przedawnieniu. No, chyba żeby prokurator potraktował tę sprawę jako zbrodnię przeciwko ludzkości, ale nie sądzę, bo Jakubek działał w obronie własnej, realizując ważne, dużo ważniejsze zadanie.

– OK, pani Ewo. Wycofuję się ze swojej hipotezy, chociaż nie mam pewności, czy Jakubek nie chciał nas zmylić. Mógł zasugerować poszukiwanie motywów i sprawców morderstwa we wcześniejszym okresie. Jeśli pamięta pani wątki przewijające się w *Michale*, to nie znajdą się takie, które mogłyby rzucić podejrzenia właśnie na niego. No, chyba że sprawa Izaaka i Julii. Tak, to mógł być wystarczający motyw. Przecież major Wise wyraźnie adorował żonę Jakubowskiego.

– Panie Andrzeju – Ewa zamachała ręką – niech pan zejdzie na ziemię. Gdyby chociaż co dziesiąty przypadek adorowania kończył się zbrodnią, to ludzkość wyginęłaby w krótkim czasie. Wiem coś o tym, a poza tym z powieści nie wynika, żeby relacje Izaaka i Julii wykraczały poza fascynację i flirt.

– Bo powieść kończy się na początku 1946 roku. Michał ani słowem nie

wspomina o żonie i Izaaku. Nic nie wie? A może nie chce wiedzieć? W każdym razie milczy. Szkoda tylko, że ambasada Izraela też milczy. Wydaje się to o tyle dziwne, że ten kraj bardzo dba o swoich obywateli.

– A moim zdaniem wyjaśnienie ich milczenia może być zupełnie banalne. Sprawdzili to, o co prosiliśmy, a kiedy okazało się, że sprawa ich nie dotyczy, zwyczajnie nie nadali jej biegu i nie zadali sobie trudu poinformowania nas o tym. Nie sądzi pan, że tak mogło być?

– Nie wiem. Jedyne, co możemy zrobić, to raz jeszcze do nich napisać. Może poprzedni list nie dotarł?

– Może – Ewa kiwnęła głową. – Listy nie zawsze dochodzą. Nawet te polecane.

– To co, zajmie się tym pani?

– Oczywiście, jednak moim zdaniem adresatem listu nie powinna być Ambasada Izraela, tylko Interpol. Ambasadę już prosiliśmy i nic z tego nie wyszło. Zresztą od początku sugerowałam kontakt z Interpolem, ale pan upierał się przy Ambasadzie.

– Upierał, od razu upierał! – uwaga Ewy do żywego dotknęła Pilarskiego. – Proszę dołączyć wyniki badania DNA denata, które zrobiliśmy w 1996 roku. I niech pani poprosi o odszukanie rodziny Wise w Izraelu.

– Inaczej to pismo zredaguję, detektywie – Ewa zbierała się do wyjścia. – W końcu nie wiemy, czy Wise miał rodzinę, a jeśli nawet, to czy mieszka lub mieszkała ona w Izraelu.

Po tygodniu spotkali się znowu i Pilarski był podekscytowany.

– Pani Ewo! – mówił pełnym emocji głosem – przyszło pismo z Interpolu. Nie wiem, co napisali, ale szybkość, z jaką odpowiedzieli, wzbudza mój podziw.

– Część tego podziwu mnie się należy – twarz kobiety rozjaśnił pogodny uśmiech. – Tak, tak i proszę nie robić miny, jakby zobaczył pan białego krokodyla.

– Białego krokodyla? – na czole Pilarskiego pojawiły się głębokie bruzdy. – O czym pani mówi? Nic z tego nie rozumiem.

– A o tym mianowicie mówię, że pismo do Interpolu było dobrze napisane i dobrze udokumentowane. Niech pan zgadnie, kto to wszystko zrobił?

– Domaga się pani komplementów?

– Bynajmniej.

– To o co chodzi?

– O obiektywną ocenę mojej pracy.

– Oczekuje pani podwyżki?

– Oczekuję dobrego słowa. Jakoś trudno przechodzą one panu przez gardło.

– Ech, kobiety, kobiety – Pilarski kręcił głową. – Nic, tylko komplementów, westchnień i czułych słówek byście bez przerwy słuchały. To, że pani zleciłem tę pracę, chyba jest dowodem mojego zaufania do pani kompetencji. Prawda?

– Może, ale jednak wolałabym to usłyszeć.

– Interpol potwierdził nasze przypuszczenia – Pilarski odłożył dokument.
– Rotenbaum i Wise to ta sama osoba. W Rishon Le Ziyon, małym miasteczku blisko Tel Avivu, odnaleźli żonę Izaaka i jego syna. Kobieta ma na imię Fatma, a syn Jasir. Zbadali kod DNA Jasira i okazało się, że w mieszkaniu na Sępólnie w 1996 roku zamordowano jego ojca. To pewna informacja, pani Ewo. Mamy wreszcie mocny punkt zaczepienia.

– A ja bym się tak nie emocjonowała. Przecież takie podejrzania mamy od samego początku śledztwa.

– Ma pani rację, ale między podejzzeniami a pewnością jest ogromna różnica. Nie widzi pani tego?

– Poddaje pan próbie moją inteligencję? Fatma i Jasir to palestyńskie imiona, czy to pana nie dziwi?

– Jedyne, co mnie dziwi, to pani wszechstronna wiedza. Skąd pani wie, że to palestyńskie imiona?

– A Jasira Arafata pan kojarzy? Proszę zgadnąć, jakiej był narodowości?

– No i co z tego, że to palestyńskie imiona? Może to zastanawiające, ale

zupełnie nieistotne. Ważne jest to, że mamy i motyw zbrodni, i zidentyfikowaną ofiarę.

– Z ofiarą zgoda – Ewa kiwnęła głową – ale motyw to jedynie poszlaki. Po tylu latach trudno będzie zebrać mocne dowody. Obawiam się, panie Andrzeju, że prokurator Kietliński znowu zawiesi dochodzenie.

– Pani Ewo – Pilarski zamknął opasły segregator – możemy mieć jedynie pretensje do czasu, że zabierając Jakubka, nie pozwolił nam postawić go przed sądem. W naszej pracy i tak bywa, że sukces nie zawsze przekłada się na skazanie przestępcy. Niestety.

– A ja widzę to inaczej, detektywie. Czas, zabierając Jakubka, dał nam jednocześnie jego wspomnienia. To one pozwoliły rozwikłać tę skomplikowaną sprawę. Poza tym, a mówię to prywatnie, czyn Jakubka nie tylko rozumiem, ale też usprawiedliwiam. Źle bym się czuła, gdyby Jakubek stanął przed sądem. On tyle w życiu wycierpiał, że powinien być przez każdy sąd uniewinniony. Wiem, że tak by nie było i cieszę się, że czas rozwiązał tę sprawę w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Czy oprócz prawa i iberystyki ukończyła pani także filozofię? – Pilarski był zdegustowany. – Nie rozumiem, jak można ścigać przestępcę i jednocześnie mu współczuć... Pani minęła się z powołaniem. Przy pani empatii Fundacja Helsińska, Greenpeace albo jakaś organizacja humanitarna byłyby lepszymi miejscami pracy niż policja.

Ta wypowiedź wywołała widoczny gniew Ewy. Kobieta zamierzała stanowczo zareagować, ale na biurku Pilarskiego zadzwonił telefon.

– Komenda Policji, słucham – nadkomisarz podniósł rękę w geście proszącym o chwilę cierpliwości. – Skąd? Z ambasady Izraela? Oczywiście, natychmiast przynieść – powoli odłożył słuchawkę. – Pani Ewo – powiedział pojednawczo i pytająco – odezwała się ambasada Izraela. Nie wie pani, co ich do tego skłoniło? Przecież pisaliśmy tylko do Interpolu. Czy to pani sprawka?

– Nie. Co pan dzisiaj taki napastliwy?

– To może Interpol ich powiadomił?

– Interpol? – Ewa wzruszyła ramionami. – Nie widzę żadnego

uzasadnienia. Dlaczego miałyby to robić?

Koperta, którą przyniósł goniec, była pokaźnych rozmiarów.

– Pewnie przysłali folder turystyczny – zauważył z przekąsem Pilarski, pamiętając milczenie ambasady w 1996 roku.

– Israel invites you? – Ewa uśmiechnęła się tajemniczo.

– Co to znaczy, pani Ewo? – nie zrozumiał.

– Izrael zaprasza – uśmiechnęła się. – Ten folder, o którym pan mówi, tak się pewnie nazywa.

W kopercie folderu jednak nie było. Jej zawartość stanowiły dwa listy na drukach firmowych ambasady i kilka odręcznie zapisanych kartek, z których trzy były ledwie czytelne. Pilarski przejrzał pobieżnie oficjalne dokumenty. W jednym sam ambasador prosił o informowanie go o postępach śledztwa.

– Odpowiedź będzie krótka – zachnął się. – Ofiara zidentyfikowana, sprawca nie żyje, a dochodzenie zakończone. Tylko tyle możemy napisać.

Drugi dokument, podpisany przez rzecznika prasowego ambasady, informował o prośbie Fatmy Rotenbaum, aby przekazać polskiej policji odnalezioną przez nią korespondencję, jaką jej mąż prowadził z Michałem Jakubkiem. Dalej było napisane, że w 1996 roku Izaak Rotenbaum wyleciał samolotem z Tel Avivu do Rzymu. Nie mówił rodzinie o celu podróży, ale kiedy po trzech tygodniach nie dawał znaku życia, Fatma powiadomiła policję. Prowadzone dochodzenie nie dało jednak żadnych rezultatów i w końcu je umorzono. Polski ślad, jakim była korespondencja Izaaka z Jakubkiem, okazał się dla Fatmy dużym zaskoczeniem. Po zastanowieniu uznała jednak, że odnalezione listy mogą pomóc wyjaśnić przyczynę zaginięcia jej męża.

– A co można jeszcze wyjaśnić? – Pilarski wzruszył ramionami. – Tu wszystko jest już jasne.

– Nie byłabym tego taka pewna, detektywie. Przejrzałam te listy. Jakubek pisze ładnie, wręcz kaligrafuje, a Rotenbaum – Ewa machnęła ręką – zupełnie tak, jakby był lekarzem. Poza tym listy majora Wise noszą ślady kalki. Zastanawiam się, dlaczego pisał je przez kalkę, zostawiając sobie kopie...

– Tak, to ciekawe. Ale powiedziała pani: major Wise. Dlaczego?

– To taki sugestywny przekaz tej korespondencji. Major Wise często przewija się w listach pisanych przez Jakubka. Przeczytam panu jeden z nich. Proszę się dobrze wsłuchać w jego treść.

– Niech pani czyta – Pilarski rozparł się w fotelu. – Chociaż przez chwilę poczuje się jak dziecko, które matka kładzie do snu.

– To miał być komplement?

– Tak. Dzieci lubią, kiedy czyta się im bajki na dobranoc.

– A spotkał pan kiedyś matkę młodszą od syna? Zresztą nieważne.

Ewa, nie kryjąc emocji związanych z treścią listu i wątpliwym komplementem Pilarskiego, zaczęła czytać.

Drogi Michale!

Bardzo się cieszę, że mój ostatni list do Ciebie nie pozostał bez odpowiedzi. Miałem obawy, bo bardzo pogmatwałem Twoje życie, ale żywiłem też nadzieję, że jednak odpiszesz, że nie odtrącisz ręki, którą ja wyciągam do zgody.

Polskę opuściłem w 1968 roku z paszportem w jedną stronę. W Izraelu praktycznie prosto z pociągu poszedłem na front. Początkowo walczyłem z Arabami jak z banderowcami. Zwerbowałem kilku palestyńskich Żydów, którzy mieszkali wśród Arabów. Dostarczali oni informacji, z których skwapliwie korzystała izraelska policja. Ja jednak zaczynałem mieć wątpliwości. Okrucieństwo wojny, która dla mnie zaczęła się w 1939 roku, zbyt długo już trwało i mój stosunek do Arabów stawał się coraz bardziej łagodny. Zaczynałem rozumieć, że wypędzenie ich z ziem, na których mieszkali od tysięcy, lat było niehumanitarne. Sprzeciwiałem się tym wypędzeniom i walczyłem na miarę swoich możliwości o dobre traktowanie arabskich jeńców. Kiedy uświadomiłem sobie, że jedyną różnicą między nimi a nami jest religia, zająłem się działalnością charytatywną. Pomagałem dzieciom, które wskutek działań wojennych straciły rodziców, krytykowałem okupację arabskich ziem po wojnie z 1967 roku i sprzeciwiałem się budowaniu żydowskich osiedli na terytoriach okupowanych. Jednym słowem dążyłem do porozumienia z Palestyńczykami i walczyłem o finansową rekompensatę dla tych, którzy nie zaangażowali się w walkę, a zostali poszkodowani przez moje

państwo.

Żydowskie osadnicy traktowali mnie jak zdrajcę i grozili mi egzekucją. Z kolei palestyńscy przyjaciele ostrzegali przed ekstremistami z Hamasu, dla których nie było ważne, co robię, ale to, że jestem Żydem. Kilka razy grozili mi bronią, strzelali nad głowę, a w końcu pobili mnie, dając do zrozumienia, że od Arabów mam trzymać się z daleka. Nie zniechęcili mnie ani jedni, ani drudzy. Nie wiem, czy bardziej z miłości, czy na przekór im wszystkim ożeniłem się z palestyńską dziewczyną o imieniu Fatma, a swojemu synowi dałem palestyńskie imię Jasir.

Nasz świat tak szybko się zmienia, drogi Michale, że aż trudno w to uwierzyć. Polska i Ukraina są już niepodległymi państwami. W sumie to dobrze, ale nie wiem, czy śledzisz poczynania emigracji ukraińskiej. Ja się ich działalności uważnie przyglądam i widzę, że sprawy zmierzają w złym kierunku. Na Zachodniej Ukrainie odradza się nacjonalizm, taki sam, z jakim walczyliśmy obaj w czasie wojny.

Drogi Michale!

Ostatnio wpadła mi w ręce jedna z książek wydawnictwa Litopys UPA. To, w jaki sposób ją zdobyłem, może być tematem powieści sensacyjnej, jednak nie o tym chcę do Ciebie napisać. Powiem Ci tylko, że to wydawnictwo publikowało początkowo w Kanadzie, a po odzyskaniu niepodległości przez Ukrainę przeniosło się do tego kraju. Książkę napisano tendencyjnie, a jej głównym przesłaniem jest przemilczanie niewygodnych dla UPA faktów i wybielanie banderowców. Na pewno zainteresuje Cię wiadomość, że w jednym z rozdziałów jest opisana likwidacja sotni na stoku Rabińca. Autor, powołując się na różne dokumenty, dochodzi do wniosku, że wśród banderowców musiał być szpieg i zastanawia się, kto mógł nim być. Wymienia przy tym kilka nazwisk. Czytając je, wycierałem pot z czoła.

Drogi Michale!

W przyszłym roku przyjadę do Polski i jeśli wyrazisz taką wolę, to z przyjemnością się z Tobą spotkam. Wtedy porozmawiamy o tej sprawie i jeszcze o wielu innych.

Izaak Rotenbaum.

P.S. Masz wspaniałą żonę. Pozdrów ją gorąco ode mnie.

– To zostało napisane w grudniu 1995 roku, a pół roku później Izaak Rotenbaum już nie żył – Ewa położyła list na stole. – Czy pan wie, co to oznacza?

– Wiem – Pilarski wolno kiwał głową. – Znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Niezupełnie detektywie, ale cofnęliśmy się, to przyznaję. Poza tym zastanawia mnie pewna sprzeczność w słowach Rotenbauma. Z jednej strony pisze on „Drogi Michale”, a z drugiej prosi o nieodtrącanie ręki wyciągniętej do zgody. Zwrot „Drogi Michale” świadczy o poufałości i sugeruje, że pojednanie między nimi już nastąpiło, ale prośba o nieodtrącanie wyciągniętej ręki temu zaprzecza. Czy mam rację?

– Tak. Ja też, prosząc o pojednanie, użyłbym innych słów.

– Na przykład „Szanowny Panie”?

– Na przykład.

– No nie! – twarz Ewy wykrzywił nagły grymas zniecierpliwienia. – Oboje daliśmy się ponieść emocjom i opowiadamy bzdury. Przecież oni podczas wojny mówili sobie po imieniu.

– Nie – Pilarski wolno machał ręką z wyprostowanym palcem wskazującym. – Niedokładnie czytała pani *Michała*. Była tylko jedna taka sytuacja, kiedy przeszli na ty. W kantynie w Kutach to było, a major Wise dużo wtedy wypił.

– OK, ma pan rację. Nie wiem, dlaczego odniosłam takie wrażenie. Poza tym proszę zwrócić uwagę na fakt, że Rotenbaum opisuje, co robił po wyjeździe z Polski w 1968 roku. Moim zdaniem świadczy to o tym, że w 1995 roku po raz pierwszy próbował skontaktować się z Jakubkiem.

– To dlaczego pisze: „Drogi Michale”?

– Myślę, detektywie, że sposób odnoszenia się do rozmówców czy, tak jak w tym przypadku, do adresata listu jest indywidualną sprawą każdego człowieka. Jedni od razu mówią sobie po imieniu, innym wystarcza tylko „pan” czy „pani”. Przyjmijmy, że Rotenbaum należy do tych pierwszych.

– Należał, pani Ewo, należał.

– Oczywiście, ale to nie takie ważne. Bardziej istotne jest, co odpisał

Jakubek.

– A może w ogóle nie odpisał?

– Chyba jednak odpisał. W końcu Rotenbaum odwiedził go, więc musiał być zaproszony.

– No może – Pilarski podszedł do szafki pełniące funkcję kuchennego kredensu. – Naszej uwadze umknął jeszcze jeden fakt – napełnił czajnik wodą. – Taki mianowicie, że czytany przez panią list był drugim, jaki Rotenbaum napisał do Jakubka. Już na samym początku to wiadomo, kiedy mówi, że cieszy się, że jego poprzedni list nie został bez odpowiedzi. Dla pani kawa czy herbata? – nie czekając na odpowiedź, włączył elektryczny czajnik.

– Możliwa jest jeszcze inna sytuacja – Ewa zdawała się nie słyszeć pytania. – Jakubek postanowił grać i zwabić Rotenbauma do siebie. Zgodził się na jego przyjazd, a kiedy zjawił się w jego mieszkaniu, po prostu go zabił.

– Pani wybaczy, ale to się kupy nie trzyma. Kto, będąc przy zdrowych zmysłach, dokonuje morderstwa we własnym mieszkaniu?

– Dobre pytanie, detektywie – Ewa uniosła dłoń z wyprostowanym kciukiem. – Powinniśmy sprawdzić, czy Jakubek leczył się psychiatrycznie.

– Mówi to pani poważnie?

– Uhhmm.

– Dajmy temu spokój. Jak dotąd nie spotkaliśmy się z niczym, co uzasadniałoby takie przypuszczenia. Sprawdzimy oczywiście, ale na tę chwilę przyjmijmy, że był człowiekiem poczytalnym. No i po pięćdziesięciu latach zjawia się jego dowódca, można nawet powiedzieć, że prześladowca. Czy nie sądzi pani, że pół wieku to wystarczająco długi okres czasu, aby puścić w niepamięć doznane krzywdy i upokorzenia?

– Nie wiem. Tylu lat jeszcze nie przeżyłam.

– Znowu domaga się pani komplementu? – Pilarski wstał, aby wyłączyć gwizdzący czajnik.

– A panu co tym razem przyszło do głowy?

– Nico – otworzył szafkę. – Kawa czy herbata? – powtórzył pytanie

sprzed kilku minut.

– Kawa. A wracając do pańskiego pytania – nie umiem na nie odpowiedzieć. Chociaż... – zmarszczyła nagle czoło.

– Co znowu?

– Kobieta.

– Kobieta?

– Tak. U Jakubka sprawa konfliktu z okresu wojny wcale nie musiała wzbudzać największych emocji.

– Nie rozumiem.

– To proszę przeczytać post scriptum – podsunęła list Rotenbauma.

Sugestia Ewy była na tyle intrygująca, że Pilarski zdecydował się pójść tym tropem. Wspólnie ustalili, że to ja będę najlepszym źródłem informacji. Postanowili odwiedzić mnie w Karlikowie. To znaczy Pilarski postanowił.

– Ewa nie mogła wtedy przyjechać – wyjaśniał przy kolejnym spotkaniu.

We wsi Pilarski zjawił się nagle, bez telefonicznego uzgodnienia, no i miał pecha, bo ważne rodzinne sprawy wyciągnęły mnie na kilka dni z domu. W tej sytuacji uznał, że równie dobrym, jeśli nie lepszym źródłem informacji będzie Dorota Woroniecka.

Dzwonił do Trzebnicy kilka razy, jednak telefon kobiety nie odpowiadał.

– Pewnie wraca do domu i nie może odebrać telefonu – pomyślał, spoglądając na zegarek.

Prosto z Karlikowa pojechał do Trzebnicy. Zostawił samochód na parkingu przed jednym ze sklepów i na piechotę udał się na dobrze sobie znane osiedle. Zdziwiła go grupka ludzi stojących przed bramą, do której zmierzał.

– Co się stało? – zapytał starszego mężczyznę o nienaturalnie czerwonej twarzy.

– A pan to coś za jeden? – tęga kobieta z miotłą w rękach uprzedziła odpowiedź.

– Andrzej Pilarski z komendy wojewódzkiej – przedstawił się. Jestem policjantem i przyjechałem służbowo do pani Doroty.

Słowa Pilarskiego wprowadziły wśród zgromadzonych spore zamieszanie. Kilku mężczyzn oddaliło się w pośpiechu, z różnym powodzeniem starając się zachować prostą linię marszu.

– Taki z pana policjant jak ze mnie angielska królowa – kobieta splunęła na trawnik. – Policjant by wiedział, że pani Doroty w kostnicy trza szukać.

– Co się stało? – na czole Pilarskiego pojawiła się głęboka bruzda. Czuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

– Gazem się kobita struła – dozorczyńni wyjaśniała sprawę, zawzięcie przy tym gestykułując. – Smród taki był, że aż. Cud wielki, że w powietrze wszystko nie poszło. Musi chłop ją zostawił albo co. Wy wszystkie takie same jesteście.

Pilarski usłyszał jeszcze kilka niepocholebnych określeń pod adresem mężczyzn, a kiedy stwierdził, że niczego więcej się nie dowie, ruszył w stronę budynku prokuratury.

– Proszę, niech pan usiądzie – prokurator nadzorujący śledztwo zgasił papierosa. – Tak, prowadzimy dochodzenie w tej sprawie, jednak wygląda to na typowe samobójstwo. Obok ciała znaleźliśmy pudełko po środkach nasennych. Mam nadzieję, że prowadzone czynności pozwolą ustalić motyw decyzji denatki.

Zaciszne pomieszczenie restauracji Pod Złotym Psem na wrocławskim Rynku i nastrojowa muzyka stwarzały kameralny nastrój. Przy małym stoliku, wciśniętym w kąt niewiele większej wnęki, siedzieli Ewa i Pilarski. Chociaż wiedzieli, że dzielący ich dystans służbowych zależności powoli zanika, ustępując miejsca wzajemnej fascynacji, atmosfera przy stoliku była zdecydowanie robocza.

– Pani zdrowie – Pilarski wznosił toast kieliszkiem burgunda. – Zupełnie inaczej chciałem spędzić ten wieczór, ale przesyłka z ambasady zburzyła moje plany.

– To ciekawe – Ewa zalotnie mrużyła oczy.

– Nawet bardzo. Takie pojednanie po pięćdziesięciu latach nie często się zdarza.

– Nie to miałam na myśli.

– Nie to? – odłożył kieliszek. – Jak nie to, to co?

– Nieważne. Niech pan mówi dalej – upiła niewielki łyk wina.

– Dzisiaj z rana wspomniała pani, że motywem zabójstwa mogła być kobieta.

– Tak. Konkretnie Julia, żona Jakubowskiego. Moim zdaniem mieli romans.

– Romans? Chce pani powiedzieć, że...

– Tak. Chcę powiedzieć to, o czym pan teraz myśli.

– Skąd ta pewność?

– Znikąd. Po prostu kobieca intuicja.

– Intuicja, intuicja. Intuicja to żaden dowód. Na czym opiera pani tę swoją intuicję?

– Na tej scenie z *Michała*, w której Izaak kładzie dłoń na dłoni Julii, a ona się przed tym nie cofa.

– Też mi coś – Pilarski zachnął się. – Jeśli dotknę pani dłoni, a pani jej nie cofnie, to też będzie oznaczało, że mieliśmy romans?

– Niech pan spróbuje. I niech pan nie używa czasu przeszłego. Przyszłość wydaje się bardziej interesująca.

Pilarski zamilkł. Otwartość Ewy speszzyła go do tego stopnia, że nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Pomimo ciągle kawalerskiego stanu prawdziwych miłości i przelotnych miłostek poznał już tyle, że uważał się, jeśli nie za eksperta w stosunkach z kobietami, to przynajmniej za dobrego ich znawcę. Ewa zaskakiwała go jednak na każdym kroku.

– Zatańczymy? – jej przymilny głos wyrwał go z zamyślenia.

– Tutaj? – zdziwił się tak spontanicznie, że kilku klientów oczekujących na posiłek jednocześnie odwróciło się w jego stronę. – Tutaj się nie tańczy, to sala konsumpcyjna.

– Oj tam, oj tam – wzięła go za rękę. – To co, że konsumpcyjna? Trochę miejsca zawsze się znajdzie. Cohen – rozmarzyła się. – Uwielbiam Cohena.

– Lubisz Cohena? – zapytał i od razu uświadomił sobie, że w hierarchii uczuć uwielbienie stoi wyżej niż lubienie.

– Powiedziałam, że go uwielbiam. Barwa jego głosu zniewala mnie bardziej niż najlepsze wino. Przepraszam za tę bezpośredniość, ale sam widzisz, jak działa na mnie ta muzyka.

– Nie przepraszaj – przyłgął do niej całym ciałem. – Już dawno chciałem przejść z tobą na ty.

– To dlaczego nie przeszedłeś?

– No wiesz...

– Nie miałeś odwagi?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Och, wy mężczyźni. A czas ucieka.

– Co masz na myśli?

– Pomyśl. Dobrze, że jest taniec.

– Taniec... – szepnął do ucha, rozkoszując się puszystą miękkością i zapachem jej włosów. – Taniec jest substytutem pożądania.

– Ciekawa teoria, ale nie zaprzeczam. Mów dalej.

– Ludzie z natury nie są monogamiczni.

– Mówisz o mężczyznach?

– Nie tylko. Ludzie to także kobiety.

– Dobrze, że mi o tym przypomniałeś.

– Nie ma sprawy. To religia wcisnęła te naturalne ludzkie cechy w gorset zakazów i nakazów.

– Po co miałyby to robić?

– Po to, żeby kontrolować i kierować. Nie widzisz tego?

– Może.

– Nie może, ale na pewno. Czytałem ostatnio reportaż na temat walki z AIDS. W Afryce epidemia tej choroby przyjęła zastraszające rozmiary i różne organizacje usiłują temu przeciwdziałać. Nie bardzo im to jednak wychodzi.

– Bo?

– Bo Murzyni...

– Nie lubię tego określenia – wtuliła się w jego ramiona. – Poza tym nie jest ono oficjalnie poprawne.

– Bo uświadamiani Afrykanie mówią, że wolą zachorować, niż dochowywać wierności tylko jednemu partnerowi.

– Tacy są rozpustni?

– Są bliżej prawdziwej natury człowieka, no i luźno traktują nauki misjonarzy.

– A co ma z tym wspólnego taniec?

– Nie udawaj, że nie wiesz – mocniej objął ją w talii.

– A jeśli się tylko domyślam?

– Wiesz dobrze, nie udawaj. Gdybyś była mężatką...

– Skąd wiesz, że nie jestem?

– A jesteś? Poza tym przestań mi ciągle przerywać. Przez to tracę wątek.

– Uhm... – kiwnęła głową. – Już przestaję.

– Obcy mężczyzna trzymający za rękę zamężną kobietę...

– To staroświeckie określenie – weszła mu w słowo.

– Staroświeckie? Które?

– „Zamężną”.

– No to mężatkę.

– Tak lepiej.

– No i przez twoje gadulstwo zapomniałem, co chciałem powiedzieć.

– Szkoda, że nie przeze mnie.

– Nie rozumiem.

– Może kiedyś zrozumiesz.

– Chodzi mi o to, że taniec pozwala na dużo więcej niż każda inna sytuacja. W tańcu można się przytulać, szeptać czułe słowa, upajać zapachem włosów i perfum. I to wszystko bez ryzyka posądzania o cokolwiek. Przyznasz, że takie samo zachowanie bez muzyki to już zupełnie coś innego.

– Przyznaję – uśmiechnęła się. – A co zrobisz, kiedy Cohen przestanie śpiewać?

– Jest jeszcze jedno wyjaśnienie morderstwa sprzed lat – obracała w dłoniach szklankę z sokiem porzeczkowym.

– Co masz na myśli?

– Moim zdaniem Jakubek nie udawał. On naprawdę czekał na Rotenbauma jak na przyjaciela. Myślę, że samotność spowodowana śmiercią żony i córki skłoniła go do zmiany postawy.

– Jeśli było tak, jak mówisz, to kto, u licha, dokonał zabójstwa? Jeśli nie był to Jakubek, to ten ktoś musiał być z nim w zмовie. Najwyraźniej musiał być w zмовie, bo zabił natychmiast po przyjeździe Rotenbauma, a przecież on był w Polsce po raz pierwszy od 1968 roku. Nie było to zabójstwo na tle rabunkowym, bo z mieszkania nic nie zginęło. No i ten strzał w twarz, zarezerwowany dla zdrajców. Stanowczo za dużo niewiadomych.

– Moim zdaniem, drogi Andrzeju, to nie Rotenbaum, ale Jakubek miał zostać zamordowany, jednak z jakiegoś powodu zabito właśnie Żyda.

– Zdziwiasz mnie. Tego rzeczywiście nie brałem pod uwagę.

– Jest jeszcze gorzej, drogi Andrzeju. My takiej możliwości w ogóle poważnie nie rozpatrywaliśmy. Owszem, pojawiła się taka myśl podczas naszego dochodzenia, ale na serio nigdy się nią nie zajęliśmy. Nie wystawia to nam najlepszej opinii.

– Czy coś jeszcze państwu podać? – przechodząca kelnerka przystanęła, widząc puste szklanki na stoliku.

– Dwa soki z czarnej porzeczki – zdecydował Pilarski. – Ładnie dzisiaj wyglądasz, Basiu – dodał. – Ładniej niż zwykle.

– Dziękuję – dziewczyna, przywykła do komplementów, obdarowała policjanta sztucznym uśmiechem.

– Basiu? Skąd znasz tę dziewczynę? – zapytała Ewa, gdy kelnerka odeszła do baru.

– Studiuję ekonomię i jednocześnie pracuje – spieszył się. – Jej rodziców nie stać na opłacenie nauki. Często jadam tutaj obiady. Stąd znam jej imię.

– To ciekawe i mało przekonujące wytłumaczenie, drogi Andrzeju. No i jest ładna.

– No cóż – przeciągnął się, aż zastała stawy zatrzeszczały. – Mam po prostu dobry gust, a ty jesteś tego najlepszym przykładem.

– Dobrze, dobrze. Czarować to wy potraficie.

– Wy? – przyłożył palec do piersi.

– Nie udawaj. Wiesz dobrze, że myślałam o mężczyznach w ogóle.

– Fedor Primak – Ewa złożyła ręce. – On mógł stać za tym zabójstwem.

– Fedor Primak? – Pilarski ściągnął brwi tak mocno, że na jego czole pojawiła się głęboka pionowa bruzda. – Przypomnij, skąd znam to nazwisko?

– *Michał* i rola Jakubowskiego w likwidacji sotni na Rabińcu. Pamiętasz?

– Jasne – uderzył się dłonią w czoło. – Najpierw szkolny kumpel Jakubowskiego, a później jego śmiertelny wróg i dowódca sotni. Ale tam wszyscy zginęli.

– Wszyscy z wyjątkiem Primaka. Wasze męskie żądze pchnęły go w ramiona młodej wdowy. Dzięki temu ocalał.

– OK, niech ci będzie, ale z punktu widzenia Primaka te, jak to określiłaś, żądze okazały się zbawienne. Może to dobry przykład i pora, abyś zweryfikowała swój negatywny stosunek do mężczyzn?

– To, co myślę o mężczyznach, jest moją prywatną sprawą. Poza tym nie wiem, czy masz powody, aby twierdzić, że myślę o was źle.

– Może, może – nic bardziej sensownego nie przyszło Pilarskiemu do głowy. Obracał w palcach pustą szklankę. Postanowił nie brnąć dalej w zawiłą krainę damsko-męskich relacji. – Nie sądzisz jednak – powrócił do meritum sprawy – że pięćdziesiąt lat to wystarczająco dużo czasu, aby o

wszystkim zapomnieć?

– Nie wiem. Zastanawia mnie jednak ten fragment listu Rotenbauma, w którym pisze o książce wydanej w Kanadzie. On się wyraźnie bał.

– Od kiedy jesteś zwolenniczką teorii spiskowych?

– Od kiedy poznałam ciebie.

– Nie rozumiem.

– Może kiedyś to zrozumiesz.

– Już to dzisiaj mówiłaś.

– Widocznie powód jest ciągle aktualny.

W mieszkaniu wynajmowanym przez Ewę Pilarski był po raz pierwszy. Chociaż przyszedł godzinę temu, nadal pozostawał pod wrażeniem porządku panującego w tej ciasnej kawalerce. „Poznaniacy mają to w genach” – próbował usprawiedliwić chroniczny bałagan w swoim mieszkaniu.

Ewa przyniosła sałatkę, w której kolorowy makaron przemieszany był z owocami morza. „Jakie owoce morza?” – wewnętrzny głos Pilarskiego, a za nim całe ciało buntowały się przeciw konsumpcji takiego paskudztwa. „Jakie krewetki? To zwyczajne pędraki”.

Dla dobra ich coraz bardziej zażyłych relacji postanowił się jednak przemóc.

– Apetycznie to wygląda – powiedział – no i kolacja we dwoje. To takie romantyczne.

Zwątpił w tej samej chwili, kiedy zobaczył trzeci talerz i sztucce, które Ewa kładła na stole.

– Będziemy mieli gościa – rzuciła mimochodem, zamieniając miejscami nóż i widelec. – To moja niespodzianka na dzisiejszy wieczór.

– Jeśli o mnie chodzi – wykrzywił twarz w kwaśnym uśmiechu – to wolałbym innego rodzaju niespodzianki.

– Czyżby? To do ciebie niepodobne.

– Nie wiesz, o czym myślę.

– Domyślam się – poprawiła bluzkę.

Nie minęły dwie minuty, kiedy usłyszeli buczek domofonu. Ewa podbiegła do drzwi i podniosła słuchawkę.

– Tak, słucham. A, to ty. Trzecie piętro, drzwi po prawej, te bez numeru.

– To mój szef, a to mój dobry znajomy z Uniwersytetu – przedstawiała po chwili swoich gości.

– Paweł Biloński.

– Andrzej Pilarski.

Mężczyźni wymienili nazwiska i uściski dłoni.

– Rozlej wino, Andrzeju – poprosiła Ewa.

– Co to za wino? – Pilarski przyglądał się nieznanej sobie marce.

– Monseraz, portugalskie. Dostałam od znajomych. Proszę, nakładajcie sałatkę – zachęcała do konsumpcji.

– Owoce morza? – Biloński rozmarzył się. – Widzę, że nadal robisz takie smaczne sałatki.

– Skąd pan wie, że jest smaczna? – uwaga naukowca rozdrażniła policjanta. – Jeszcze pan nie spróbował.

– Pamiętam ten smak, tę poezję smaków – nie czekając na powtórny zachętę, Biloński nałożył taką ilość sałatki, która zdaniem Pilarskiego odpowiadała trzem porcjom. – Wyśmienite – chrupał krewetki polane jakimś sosem.

– Jedz, Andrzeju – Ewa, zmieszana faktem, że jej gość nie przypadł do gustu Pilarskiemu, starała się zachować matczyną łagodność głosu.

– Dziękuję, nie jestem głodny – blefował. – Zjadłem obiad w restauracji.

Rozmowa przy stole zupełnie się nie kleiła. Pilarski nie krył awersji do niechcianego gościa, a jego poirytowanie niebawem miało przerodzić się w furję.

– Po rozmowie z Ewą i przeczytaniu *Michała* dla mnie sprawa jest oczywista – wypalił nagle Biloński wycierając chusteczką tłuste od sosu usta. – Ewa ma rację. To emigracja ukraińska, prawdopodobnie z Kanady, zleciła

zabójstwo Jakubka.

– Wydaje pan tak kategoryczne opinie po przeczytaniu jakiejś beletrystyki? – Pilarski podniósł głos. – Ewa i ja zajmujemy się tym przypadkiem od dłuższego czasu i dla nas ta sprawa taka oczywista nie jest.

– Bo brakuje wam historycznej wiedzy, którą ja posiadam.

– Co to znaczy? Do czego pan zmierza?

– Już powiedziałem – Biloński rozpiął koszulę – ale pan nie chce słuchać. Mimo to powtórzę: morderstwo mogło zostać zlecone przez pogrobowców UPA, a jego ofiarą miał być Jakubek.

– Pogrobowcy UPA? O czym pan mówi?

– Trochę cierpliwości, Andrzej, błagam – Ewa starała się łagodzić napiętą sytuację. – Paweł zaraz nam wszystko opowie – drżącą ręką nalewała wino. – Wznoszę toast za nasze spotkanie – powiedziała pojednawczo. – Za to, aby było owocne.

Kiedy wypili, Biloński nałożył kolejną porcję sałatki.

„To już czwarta” – zarejestrował Pilarski, któremu coraz bardziej dokuczał głód.

– Niemcy rozbudzili nadzieje Ukraińców na powstanie niepodległego państwa – Biloński mówił z pełnymi ustami. – Wprawdzie Hitler nigdy takiej możliwości nie brał poważnie pod uwagę, myślał co najwyżej o jakiejś formie autonomii pod niemieckim protektoratem, ale nacjoniści ukraińscy jego mgliste obietnice traktowali zupełnie inaczej – pociągnął nosem i przełknął ślinę razem z ostatnią krewetką. – Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów kierowała się skrajnie faszystowską ideologią Dmytry Doncowa, zakładającą powstanie wielkiej i etnicznie czystej Ukrainy. To właśnie OUN propagowała eksterminację ludności polskiej i ormiańskiej, widząc w tym jedyną metodę do osiągnięcia swojego celu. Niemcy początkowo tępiłi taką postawę, jednak wskutek ponoszonych klęsk zaczęli ją tolerować. No i poczynając od Wołynia, na Kresach Drugiej Rzeczypospolitej organizowano najbardziej krwawe akcje UPA przeciwko cywilnej ludności pochodzenia polskiego – Biloński przerwał i błagalnym wzrokiem spojrzał na Ewę. – Zrób gorącą herbatę, koteczku – powiedział głosem, który Pilarskiemu wydał się skowytym bezpańskiego kundla. – Pali

mnie jak cholera.

„Dobrze ci tak, sukinsynu” – policjant cieszył się w duchu z problemów ewidentnie jego zdaniem przemądrzałego naukowca. „Zaraz, zaraz” – uświadomił sobie nagle dwuznaczność sytuacji – „powiedział do niej: »koteczku«”. Nagle przypomniał sobie historię sprzed kilku lat, kiedy sam użył takiego słowa. Było to wtedy, kiedy po rozwiązaniu jednej z bardziej zawiłych zagadek kryminalnych jego szef, prawdopodobnie w dowód uznania, zaprosił go do domu na obiad. Szef dobiegał pięćdziesiątki, ale żonę miał o dziesięć lat młodszą. Była szczupłą brunetką o niedużym biuście, wyraźnie wciętej talii i brązowych oczach. Świadoma fizycznej doskonałości podkreślała ją odpowiednio dobranym ubiorem. W tym dniu miała krótką spódniczkę, odsłaniającą więcej niż połowę uda i bluzkę z głęboko wciętym dekoltem. Pilarski od samego początku nie mógł oderwać od niej oczu. Jego stan rozkojarzenia pogłębiała świadomość, że kobieta interesuje się nim w podobny, jeśli nie bardziej intensywny sposób. Dla męża atrakcyjnej czterdziestolatki ta sytuacja również musiała być widoczna, ale nie zwracał na nią uwagi. Kiedy po obiedzie zadzwonił telefon, gospodarz znalazł się przy nim w jednej chwili. Po krótkiej rozmowie oświadczył, że w pilnej sprawie wzywają go na komendę i że wróci wieczorem. Jakiś czas później Pilarski dowiedział się, że sekretarka wzywająca szefa na naradę była wprawdzie prawdziwa, ale narada już nie, a relacje kobiety z jego zwierzchnikiem miały inny, zupełnie pozasłużbowy charakter.

Żona szefa Pilarskiego nie traciła czasu. Po wspólnej kąpieli oboje odpłynęli tam, gdzie najśmielsze marzenia stają się rzeczywistością. Właśnie wtedy Pilarski, gładząc łono niewiernej mężatki, mamrotał coś o koteczku. Kiedy przywołał w pamięci tę scenę, na chwilę się rozmarzył, ale ten stan nie trwał długo. Natychmiast wyobraził sobie Ewę w miłosnym uścisku z Bilońskim i szlag go nieomal trafił. Zacisnął jednak zęby i milczał.

– Mogłoby się wydawać – Biloński siorbał herbaciany wrzątek – że zakończenie wojny oznaczało koniec OUN. Tak jednak nie było. Działacze tej organizacji wycofali się wraz z Niemcami i osiedlili w Bawarii. Stamtąd kierowali walką oddziałów UPA pozostałych na Zachodniej Ukrainie. Te oddziały były stopniowo likwidowane przez wojsko radzieckie i cofały się coraz bardziej na zachód, aż dotarły do Bieszczadów i Beskidu Niskiego. Banderowcy terroryzowali miejscową ludność – głównie Łemków – stanowiącą ich naturalne zaplecze, dzięki czemu mogli przebywać na tych

terenach, prowadzić walkę i skutecznie się ukrywać. Dowódcy kureni i sotni utrzymywali kontakt z OUN poprzez emisariuszy kursujących ciągle między Polską i Monachium. Do Niemiec przesyłali raporty, a z Bawarii otrzymywali ciągle ten sam rozkaz: „Wytrwajcie! Trzecia Wojna Światowa wkrótce wybuchnie i wtedy wszystko się zmieni”. Teraz, patrząc z perspektywy lat, wiemy, że złudne to były nadzieje, jednak wtedy sprawiały, że UPA trwała. Została zlikwidowana dopiero w akcji „Wisła”, czyli praktycznie pod koniec 1947 roku – Biloński upił nieco wina marki Monseraz. – Przywódca OUN – kontynuował po chwili – byli odpowiedzialni za ludobójstwo Polaków i Ukraińców i powinni zostać osądzeni tak samo jak zbrodniarze hitlerowscy. Jednak jak zwykle sprawiedliwość przegrała z polityką. Po prawdziwej wojnie nastąpiła zimna i członkowie antyhitlerowskiej koalicji stali się śmiertelnymi wrogami. Każdy, kto mógł być przydatny w ideologicznej walce ze Związkiem Radzieckim, każdy, kto miał wiedzę o tym imperium, był cenną osobą. Emigracyjni przywódcy OUN należeli do takich osób. Nie dość, że nie trafili przed oblicze sprawiedliwości państw zwycięskiej koalicji, to jeszcze otrzymali finansową pomoc i ochronę ze strony rządów Stanów Zjednoczonych, Kanady i Wielkiej Brytanii. Znane są przypadki, że zostawali agentami służb specjalnych tych krajów, w tym CIA. Ta sytuacja trwa do dzisiaj, a głównymi krajami, w których działają ukraińscy nacjonałiści są Stany Zjednoczone, Kanada, Niemcy, Wielka Brytania i Francja. Działa w nich ponad sto nacjonalistycznych partii, stowarzyszeń i organizacji wydających blisko dwieście gazet i pism. Monachium, Augsburg, Nowy Jork, Toronto, Londyn, Paryż i Rzym to główne, chociaż nie jedyne miasta, w których kwitnie emigracyjny ukraiński nacjonalizm, propagowany przez oficyny wydawnicze, uniwersytety, biblioteki i muzea. To właśnie stamtąd przenikają do Zachodniej Ukrainy emisariusze propagujący nacjonalistyczne idee. To samo dotyczy zresztą Polski, chociaż oczywiście w znacznie mniejszym zakresie.

– Polski? – Pilarski był zaskoczony. – Nie rozumiem.

Biloński sięgnął do okazałych rozmiarów teczki, którą przyniósł ze sobą. Chwilę w niej grzebał, by w końcu wyciągnąć gruby, zbindowany dokument noszący tytuł *FRAGMENTY UCHWAŁY KRAJOWEGO PROWIDU ORGANIZACJI UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW* podjętej 22.VI.1990 [4]. Przeglądał go w skupieniu, a kiedy znalazł to, czego szukał, zwrócił się do

Pilarskiego:

– To manifest współczesnej emigracji ukraińskiej. Wróc – powiedział do samego siebie – źle to ująłem. Emigracja jest powojenna, a manifest – współczesny. Jest on obszerny, dlatego powiem tylko o najistotniejszych stwierdzeniach w nim zawartych. Otóż – głos Bilońskiego przyjął mentorski ton – Krajowy Prowid OUN na emigracji podzielił swój manifest na trzy części. Pierwsza dotyczy działań wobec Polaków na Ukrainie, ze szczególnym uwzględnieniem Ukrainy Zachodniej. Zaleca się w niej utrzymywanie z Polską przyjaznych stosunków, a w celu niedrażnienia polskiej opinii publicznej i polskiego rządu postuluje się przyznanie Polakom, którzy mieszkają na Ukrainie, niewielkich uprawnień w zakresie wiary, kultury i szkolnictwa. Stanowczo zabrania się wyrażenia zgody na istnienie jakiegokolwiek polskiego ruchu politycznego i zdecydowanie zaleca się narzucenie Polakom ounowskiego punktu widzenia na polsko-ukraińskie stosunki historyczne. Postuluje się wciąganie polskiej młodzieży do różnego rodzaju patriotycznych akcji, w tym także tych sławiących UPA, aby docelowo zachwiać ich wiarę w pogląd na te sprawy głoszony w Polsce przez wiele nieprzyjaznych UPA środowisk. Sugeruje się systematyczne rozprawianie się z poglądem, że Lwów, Tarnopol, Stanisławów i inne duże miasta były kiedykolwiek znaczącymi polskimi ośrodkami kultury. Emigracyjna OUN zaleca uzależnienie oddawania polskich kościołów na Ukrainie od oddawania Ukraińcom cerkwi w Polsce. Co ciekawe – kontynuował Biloński – OUN zaleca sporządzanie i aktualizowanie spisu wszystkich Polaków mieszkających na Ukrainie w celu ścisłego kontrolowania ich poczynań. Po dekomunizacji Ukrainy właśnie ci Polacy, a także polscy księża i zakonnice powinni złożyć deklarację lojalności i wierności samostijnej Ukrainie. Ten postulat jest wcielany w życie, bo od czasu do czasu, chociaż ostatnio coraz rzadziej, słyszymy o polskich księżach wydalanych z Ukrainy za prowadzenie działalności politycznej. OUN postuluje ułatwianie wyjazdu na stałe Polaków mieszkających na Ukrainie do Polski, a tym, którzy Polskę odwiedzają i powracają, zaleca utrudnianie wstępu na ukraińskie uczelnie wyższe. Wszystko po to, aby nie dopuścić do tworzenia się na Ukrainie polskiej inteligencji.

Druga część manifestu mówi o działaniach wśród Ukraińców mieszkających poza granicami kraju. Tutaj główny nacisk położono na wybielanie roli UPA i negowanie wszelkich prób przedstawiania jej jako

organizacji zbrodniczej. Postuluje się wyolbrzymianie polskich zbrodni dokonanych na narodzie ukraińskim i przemilczanie podobnych dokonanych na Polakach, których dopuściła się UPA.

W trzeciej części szeroko potraktowano działania w Polsce, a zwłaszcza na obszarze tak zwanej Ukrainy Zacurzońskiej, czyli terenów Zamojszczyzny, Bieszczadów, Beskidu Niskiego, ogólnie prawie całego województwa Podkarpackiego, które to ziemie OUN zawsze uważała za ukraińskie. Emigracyjni pogrobowcy OUN i UPA zalecają podsycanie nastrojów antyrosyjskich, uważając, że dobre stosunki Polski i Rosji są dużym zagrożeniem dla niepodległości Ukrainy. Postulują ciągłe prowokowanie dyskusji o Katyniu, wywózkach na Sybir, NKWD i UB celem odwrócenia uwagi Polaków od UPA. Zalecają mówienie o akcji „Wisła” i doprowadzenie do przyznania się Polaków do jej zbrodniczego charakteru i w konsekwencji do jej potępienia. Tutaj muszę zauważyć – Biloński dla podkreślenia wagi swoich słów zrobił krótką przerwę – że ten cel został osiągnięty. W 1990 roku z inspiracji senatorów o ukraińskim rodowodzie nasz Senat podjął uchwałę potępiającą akcję „Wisła”. Emigracyjna OUN zaleca przenikanie do redakcji pism celem publikowania artykułów dyskredytujących osoby piszące krytycznie o OUN i UPA oraz o metodach ich walki o samostijną Ukrainę. Podaje także listę tych osób. OUN zaleca też podsycanie separatyzmów regionalnych Ślązaków, Kaszubów i Górali. Wszystkie te działania mają na celu osłabienie państwa polskiego, a w przyszłości być może nawet siłowe oderwanie od terytorium Polski ziem Ukrainy Zacurzońskiej. I co wy na to powiecie? – Biloński ponownie zawiesił głos.

– To wszystko, o czym pan powiedział, jest zastanawiające, a ostatnie stwierdzenie wręcz szokuje – Pilarski na chwilę zapomniał o awersji do naukowca.

– A widzi pan. Żeby jednak być w zgodzie z realiami, muszę zwrócić uwagę na fakt, że manifest ten został wydany rok po upadku komunizmu w Polsce i rok przed jego upadkiem na Ukrainie. Nie ma to jednak większego znaczenia, bo idee w nim zawarte wcielane są w życie do dnia dzisiejszego.

– Tym razem ja nie rozumiem – oświadczyła Ewa, która dotąd nie brała udziału w dyskusji.

– A czego to mój kotek nie rozumie?

– Tego stwierdzenia o wcielanych ideach nie rozumiem. Mógłbyś podać jakiś przykład?

Biloński chwilę przeglądał tekst manifestu, a w końcu przeczytał na głos jeden z jego fragmentów:

– Kupować audycje w polskim radiu oraz miejsca w polskich gazetach. Wchodzić do polskich zespołów redakcyjnych. Dyskusje prowadzić w duchu heroizmu UPA i niekwestionowanej ukraińskości Ukrainy Zacurzońskiej ze stolicą w książęcym grodzie Przemyślu [5]. A propos Przemyśla – Biloński zmarszczył czoło, najwyraźniej zbierając myśli. – Otóż środowiska Kresowiaków organizują różne spotkania, sesje naukowe i seminaria, podczas których w referatach i dyskusjach przypominają o zbrodniczej roli UPA i o kresowym ludobójstwie. W 2005 roku jedna z takich sesji miała się odbyć w przemyskim Klubie Garnizonowym, ale po stanowczych protestach Ambasady Ukrainy, Związku Ukraińców oraz zwierzchnika grekokatolików w Polsce arcybiskupa Jana Martyniaka została przeniesiona do Domu Katolickiego Roma. Kresowiakom zarzucono próbę przywoływania upiorów przeszłości i wzniecania antyukraińskich nastrojów. Także Muzeum Narodowe w Przemyślu, po naciskach naszego Ministerstwa Kultury, w ostatniej chwili zrezygnowało z wystawy dokumentującej zbrodnię UPA. Wyobrażacie to sobie!?! – Biloński ostatnie pytanie dosłownie wykrzyczał. – Po raz kolejny w imię poprawności politycznej i niedrażnienia wschodniego sąsiada zabroniono ofiarom mówienia o zbrodniach ich katów. To w europejskiej skali wręcz niebywałe zdarzenie. Podam wam jeszcze jeden przykład – Biloński był w swoim żywiole. – 14 października 2005 roku UPA obchodziła 63. rocznicę powstania. Z tej okazji w Kijowie miały miejsce demonstracje zwolenników i przeciwników tej organizacji. Relacje z tego zdarzenia ukazały się w większości polskich gazet, w tym w dwóch o największych nakładach. Sam przebieg manifestacji oba dzienniki opisały rzetelnie; ale... W jednym tak napisano – Biloński wyjął z teczki poniszczony egzemplarz „Rzeczpospolitej” i chwilę przewracał kolejne strony, najwyraźniej chcąc zacytować fragment reportażu. – Posłuchajcie – założył okulary i zaczął czytać: – „W 1943 r. UPA rozpoczęła eksterminację polskiej ludności Wołynia. W wyniku masowych mordów zginęło około 60 tys. Polaków. W 1944 r. fala zabójstw przesunęła się na tereny Małopolski Wschodniej, gdzie śmierć poniosło 35-40 tys. Polaków. UPA działała na terenie ZSRR do połowy lat pięćdziesiątych” [6]. A co było w „Gazecie

Wyborczej”? Nic, dosłownie nic. Nic o zbrodniach na cywilnej ludności! Nic o okrutnych rzeziach! – Biloński poczerwieniał. – A przecież wiedza w społeczeństwie na ten temat jest znikoma! Była okazja, aby ją pogłębić, ale z niej nie skorzystano! – To przykłady sprzed kilku lat, może mało znane ogółowi społeczeństwa. Ale o rowerowym rajdzie Bandery słyszeli chyba wszyscy. O dekretach Juszczenki, czyniących z Bandery bohatera narodowego Ukrainy, a z UPA organizację narodowo-wyzwoleńczą, pewnie też. Przykłady można mnożyć w nieskończoność – sięgnął po wodę mineralną.

– Sugeruje pan, że pogrobowcy UPA, jak ich pan nazywa, aktywnie działają na Ukrainie oraz w wielu krajach świata i stamtąd wpływają na rozwój sytuacji w Polsce?

– Uważam, że tak. Albo jeszcze to – tym razem Biloński sięgnął do przepastnej kieszeni. Wyjął z niej grzebień, paczkę chusteczek higienicznych i jakieś klucze. – Gdzieś mi się to zapodziało – penetrował drugą kieszeń, w której oprócz zapalniczki i pudełka zapalek znalazł złożoną kartkę. – Afera Wikileaks – mruknął pod nosem. – To mam od swojego asystenta. Czytaj, koteczku – podał kartkę Ewie.

– „Amerykański raport ujawnia” – kobieta zaczęła czytać, a widząc zaciskane rytmicznie szczęki Pilarskiego, trąciła go kolanem – „że jeden z przywódców OUN, współodpowiedzialny za rzezie na Ukrainie Mykoła Łebed, był po II wojnie światowej chroniony przez CIA i wykorzystywany m.in. do pracy wywiadowczej przeciwko ZSRR – pisze »Independent on Sunday«” [7].

– Ten fragment możesz opuścić, już rozmawialiśmy o tym. Czytaj... o, odtąd – Biloński pokazał palcem końcową część artykułu.

– „W 1949 r. CIA ściągnęła Łebeda do Nowego Jorku, gdzie nie groził mu zamach na życie – pisze »Independent on Sunday«, nie wyjaśniając, gdzie był on i co robił między zakończeniem wojny a przyjazdem do USA. W Stanach Zjednoczonych kierował finansowaną przez CIA organizacją Prolog, zbierającą dane wywiadowcze przeciw ZSRR aż do końca lat 60. Jeszcze w roku 1991 uchodził za cennego współpracownika CIA. W tym czasie agencja amerykańskiego wywiadu chroniła go przed FBI, które ścigało zbrodniarzy hitlerowskich i z czasem go zidentyfikowało. Nigdy jednak nie stanął przed sądem. Zmarł w 1998 r.” [8].

– No właśnie, no właśnie – Biloński szukał w teczce miejsca dla kartki. – Tak Zachód odnosił się do zbrodniarzy. Unikali kary, jeśli byli do czegoś potrzebni.

– Podsumujmy – Pilarski podszedł do okna. Kilkoro dzieci bawiło się na kamiennym podwórku. – Biorąc to wszystko pod uwagę, proszę powiedzieć, czy w pana opinii ukraińscy nacjonaści mogli dokonać zbrodni, którą Ewa i ja próbujemy rozwikłać?

– Sami raczej nie – Biloński drapał się po głowie – ale mogli ją zlecić.

– Sądzi pan, że dzisiaj jest to jeszcze możliwe? No, takie komando wysłane z misją zabicia kogoś – Pilarski, nim skończył, uświadomił sobie bezsensowność pytania.

– Jak najbardziej, panie Andrzeju. Są miejsca i kraje, gdzie niewygodne osoby zwyczajnie się usuwa. Pamięta pan sprawę Anny Politkowskiej? Była rosyjską dziennikarką pokazującą wojnę w Czeczenii w prawdziwy, więc niewygodny dla Putina sposób. I co? Gdzie jest teraz? A sprawa otrucia byłego szpiega rosyjskiego o nazwisku Litwinienko, mieszkającego w Wielkiej Brytanii, który na własną rękę szukał zabójców dziennikarki? Takie rzeczy także dzisiaj się zdarzają.

– Ale czy istnieją dowody, że za podobnymi sprawami może stać emigracyjna OUN? – w pytaniu Pilarskiego zawarty był duży ładunek sceptycyzmu.

– Panie Andrzeju – Biloński spojrzał z politowaniem i ponownie sięgnął do teczki, z której tym razem wyjął książkę. – Witalij Masłowski, *Z kim i przeciw komu walczyli nacjonaści ukraińscy w latach II Wojny Światowej*. Proszę zerknąć na przedmowę i przeczytać, o to – podał książkę Pilarskiemu, pokazując podkreślone ołówkiem fragmenty tekstu.

– „Wiele miejsca Witalij Masłowski poświęcił opisom służby OUN na rzecz Niemiec hitlerowskich zarówno w okresie międzywojennym, jak i w czasie wojny, demaskując w oparciu o dowody z archiwów obecną propagandę nacjonalizmu ukraińskiego o jego rzekomej walce przeciwko hitleryzmowi. Witalij Masłowski kilka rozdziałów swej pracy poświęcił zbrodniczej działalności UPA, udowadniając, że nie była to formacja narodu ukraińskiego, że OUN Bandery przez swoją »Służbę Bezpieki« terrorizowała ludność ukraińską południowo-wschodnich terenów II RP.

Omawiana tutaj książka ukazała się latem 1999 roku, a Witalij Masłowski w listopadzie tegoż roku zginął śmiercią tragiczną w nieustalonych dotychczas okolicznościach w bramie lwowskiej kamienicy, w której mieszkał, w następstwie odniesionych ran [9]” – policjant odłożył książkę. – No cóż – powiedział głosem, w którym były szacunek dla wiedzy Bilońskiego, przyznanie się do własnej porażki i wściekłość za „koteczka” – myliłem się. To, o czym pan opowiedział, brzmi wiarygodnie, chociaż niewyjaśniona śmierć Masłowskiego niekoniecznie musi potwierdzać pańską teorię.

– Masłowskiego – sprostował naukowiec. – Zgoda, ale przyzna pan, że to wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności. Po roku 1989 Polska stała się krajem otwartym – kontynuował. – Łatwo było do nas przyjechać i równie łatwo wyjechać. Moim zdaniem OUN w jakiś sposób dowiedziała się, że Michał Jakubowski żyje i mieszka we Wrocławiu.

– Ale skąd wiedzieli o roli, jaką odegrał w likwidowaniu sotni UPA? – Ewa włączyła się do rozmowy.

– Twoje pytanie jest zasadne, kocieczku, ale niestety tego nie wiem. Przyjmijmy na razie, że to nie jest istotne. Na Jakubowskiego wydano wyrok, jednak przypadkowo wykonano go na Rotenbaumie. Będąc na waszym miejscu, przyjąłbym taką właśnie hipotezę, a poszukiwania egzekutorów rozpoczął od środowiska mafii ukraińskiej działającej wtedy w Polsce. Oczywiście nie daję żadnej gwarancji, że ten trop doprowadzi was do celu – zakończył, nakładając kolejną porcję sałatki.

– Co łączy ciebie i Bilońskiego? – Pilarski nie potrafił powstrzymać się od zadania tak osobistego pytania.

– Pozwól, że zachowam to dla siebie – Ewa nie kryła irytacji. – To historia, do której nie chcę wracać. Nie ma najmniejszego wpływu na moje obecne życie, a gdybym wiedziała, że tak się zachowasz, tobym chyba Bilońskiego nie zapraszała.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że uznałam, iż jego wiedza może uwiarygodnić moją hipotezę na temat okoliczności zabójstwa Rotenbauma.

– Nie o to mi chodziło.

– A o co?

– Mówiłaś o moim zachowaniu, a ja niczego niestosownego nie zrobiłem.

– Dajmy temu spokój – głos Ewy przyjął pojednawczy ton. – Lepiej zastanówmy się, jak sprawdzić to, o czym mówił Paweł.

„Paweł” – grymas niezadowolenia pojawił się na twarzy Pilarskiego. „A może Pawełek!?” – pomyślał. „Zbyt ciepło się o nim wyraża. Najwidoczniej ich stosunki były kiedyś bardzo zażyłe”.

– Pojedziesz do Warszawy, do Komendy Głównej Policji. Dowiesz się o wszystkich prowadzonych i zakończonych śledztwach, w których przewijają się osoby kojarzone z ukraińską mafią. Biloński, albo jak wolisz: Paweł, miał rację, sugerując rozpoczęcie weryfikacji tej hipotezy od tego właśnie środowiska. Gdybym był na miejscu Primaka, to w pierwszej kolejności szukałbym zabójców w ukraińskiej mafii.

– Widzę, że uczucie empatii nie jest ci obce – Ewa chłodno przyjęła przekazane przez Pilarskiego informacje. – Jednak w tym konkretnym przypadku twoja empatia może szokować postronnego obserwatora.

– Znowu zaczynasz? Zapomniałaś, że umiejętność wczuwania się w emocje innych to podstawa naszej pracy?

– Bynajmniej, ale tym bardziej dziwi mnie, że tak łatwo przeszedłeś do porządku dziennego nad listem Rotenbauma. Nie zastanowiło cię, że on się wyraźnie bał? Spróbuj postawić się w jego sytuacji i pomyśl, dlaczego...

– Kolejna teoria spiskowa? Powinnaś pisać powieści kryminalne.

– Może. Nie zastanawia cię jednak śmierć Doroty, i to w chwili, kiedy jej wiedza była nam potrzebna?

– Przypadek. To było samobójstwo.

– Samobójstwo, jeśli to rzeczywiście było samobójstwo, nie jest przypadkiem. A jeśli moja, potwierdzona przez Bilońskiego, hipoteza jest prawdziwa? Jeśli działało i nadal działa emigracyjne komando, którego zadaniem jest zamordowanie wszystkich krewnych Jakubka?

Pilarski milczał. Pasja, z jaką Ewa mówiła o sprawie, odebrała mu chęć polemiki i jakby mimochodem przypomniwała rozmowę ze mną. Sięgnął po telefon.

– Pani Romana Manug? – zapytał. – Już pani wychodzi? Proszę, bardzo proszę, aby pani poczekała. Tylko małą chwilę. Wiem, że znała pani Michała Jakubka i jego znajomych. Chciałem prosić o zrobienie drzewa genealogicznego jego najbliższej rodziny... Tak, to pilna sprawa... Dziękuję – powoli odłożył słuchawkę. – Jesteś usatysfakcjonowana?

– Też mi coś. Dla mnie to robisz, czy co?

– Weryfikuję twoją hipotezę. Powinnaś czuć satysfakcję.

– Poczuję ją, jeśli twoje działania przyniosą konkretne efekty.

– Dla efektów konieczne będą ekshumacje.

– Niekoniecznie. Myślę, że dokumentacja lekarska wystarczy. Jedynie w wątpliwych sprawach będziemy wnioskowali o ekshumację.

– No, no – Pilarski odkładał kolejne dokumenty. – Czyżbyś miała rację? – zauważył, że przyznawanie Ewie racji, co w jakimś stopniu było potwierdzeniem własnej porażki, przychodzi mu nad wyraz łatwo. Trochę się dziwił, bo nie pamiętał, aby w podobny sposób traktował kogokolwiek innego. „Ewa to jednak Ewa” – tłumaczył sobie.

– Rodzice Michała Jakubka odeszli kilka lat po wojnie – Pilarski zdawał relację. – Zmarli śmiercią naturalną, co do tego nie ma wątpliwości. Julia, jego żona, zresztą też. Rak piersi – podobno w jej rodzinie to dziedziczna sprawa. Jednak pozostałe przypadki są zastanawiające. Córka Natalia zginęła w wypadku samochodowym pod Zieloną Górą. Samochód terenowy wyprzedził ją „na trzeciego”, a chcąc uniknąć zderzenia z ciężarówką, zepchnął fiata, który prowadziła, na pobocze. Kobieta nie opanowała samochodu i uderzyła w drzewo. Zmarła następnego dnia w szpitalu w Nowej Soli.

– Kto prowadził terenówkę? – głos Ewy drżał z emocji.

– Nie wiadomo. Kierowca odjechał z miejsca wypadku i nie został odnaleziony. Nie można wykluczyć, że ten manewr wykonał celowo.

– Nie można – Ewa wzięła jeden z odłożonych przez Pilarskiego dokumentów. – Z drugiej jednak strony sama miałam kilka podobnych sytuacji, a nie sądzę, aby ktoś czyhał na moje życie.

– Wariatów i zbrodniarzy na drodze nie brakuje – Pilarski krótko zamknął wąż śmierci Natalii. – Anna Kmita miała wylew – od razu przeszedł do następnego przypadku. – W jej wieku to częsta sprawa, ale przypominam sobie słowa Doroty, która mówiła, że w oczach babci widziała przerażenie, że ciągle patrzyła w stronę drzwi. Jest prawdopodobne, że ktoś panią Annę przestraszył tak bardzo, że dostała wylewu. Czysta robota, bez pozostawienia śladów. Zetknąłem się już z podobnym przypadkiem.

– Nie było śledztwa?

– Nie. Z medycznego punktu widzenia ta sprawa nie wzbudziła podejrzeń, więc lekarze nie wzywali policji. – A teraz posłuchaj uważnie – dla podniesienia dramaturgii sytuacji Pilarski na chwilę zawiesił głos. – Rodzice Doroty byli żeglarzami i utonęli oboje na jeziorze Niegocin. Mieli na sobie kapoki, jacht się wywrócił, chociaż w tym dniu była flauta.

– Utonęli w kapokach? – Ewa zmarszczyła czoło. – Nie znam się na tym, ale kapoki są chyba po to, aby nie utonąć?

– Kapoki są po to, aby nie utonąć... – powtórzył jak echo, pochłaniając wzrokiem dalszą część dokumentacji. – Na rękach i twarzy obojga znaleziono siniaki i zadrapania, ale nie dopatrzono się w tym działania osób trzecich. Uznano, że pochodzą od takielunku jachtu, a powstały wskutek wywrotki jachtu i walki obojga o życie.

– Nie rozumiem. Okaleczyli siebie nawzajem?

– Nie, raczej nie. Wywrotka to gwałtowne zdarzenie i wszystko dzieje się szybko. Myślę, że te obrażenia powstały wskutek uderzeń o burtę jachtu, może o bom, maszt i wanty. Chociaż nie musiały, bo oboje byli doświadczonymi żeglarzami. Najbardziej zastanawia jednak wywrotka przy bezwietrznej pogodzie. Tego nie potrafię zrozumieć. No i wreszcie Dorota. Sekcja jej zwłok to formalność, ale na wszelki wypadek sprawdzę – sięgnął po telefon komórkowy. Chwilę przeglądał książkę adresową, a w końcu przyłożył telefon do ucha. – Witam pana prokuratora. Andrzej Pilarski Komenda Wojewódzka – przedstawił się. – Dzwonię w sprawie sekcji zwłok Doroty Woronieckiej... Wiem, że pan nie może, ale proszę nie być formalistą. Tak, o to mi chodzi... Niemożliwe... Chociaż z drugiej strony... Dobrze, będę z panem w kontakcie.

Położył telefon na biurku i bez słowa podszedł do uchylonego okna.

Kilka razy wziął głęboki oddech i odwrócił się.

– Mów, czego się dowiedziałeś? Co się stało?

– Dorota Woroniecka nie popełniła samobójstwa. Sekcja zwłok nie wykazała obecności środków nasennych, które rzekomo zażyła. Zginęła porażona prądem. Sprawę prowadzi Trzebnica, ale prawdopodobnie my ją przejmujemy.

– No to mamy problem – Ewa sięgnęła po drzewo genealogiczne opracowane przez Romanę. Uważnie przyglądała się kartce papieru i coś na niej zaznaczała. – Wszyscy z rodziny Jakubowskiego już nie żyją – powiedziała po chwili.

– Wydział do Zwalczania Zorganizowanej Przestępczości Kryminalnej nie prowadzi aktualnie żadnego dochodzenia, w które zamieszani są obywatele Ukrainy – Ewa już w drzwiach składała meldunek z pobytu w Warszawie. – Zmęczyła mnie ta delegacja – zagłębiła się w wysłużonym fotelu i wyciągnęła nogi. Założyła jedną na drugą.

– Chcesz powiedzieć, że nic nie załatwiłaś?

– Ocenisz to sam – splótła palce obu dłoni i przeciągnęła się.

– To mów – Pilarski z trudem rozwiewał quasi-erotyczne wizje, w których Ewa splecione właśnie dłonie zarzucała mu na szyję i ubrana jedynie w przepaskę z kwiatów prowadziła go spod cienistej palmy do ciepłego oceanu. – Dlaczego się z tym ociągasz?

– Bo mi przerywasz.

– OK. Kawa czy herbata?

– Kawę poproszę – zakryła dłonią usta, tłumiąc ziewanie. – Przepraszam. Z Warszawy przyjechałam w środku nocy, spałam tylko cztery godziny.

– Możesz się pocieszyć, że ja też wczoraj miałem ciężki dzień.

– Dochodzenia, które prowadzą w Warszawie, z naszego punktu widzenia nie są interesujące, ale zdobyłam informacje o Ukraińcach odsiadujących wyroki w naszych więzieniach. Jest ich kilkunastu, ale tylko czterej to płatni mordercy. Trzech dostało dożywocie, a czwarty dwadzieścia pięć lat. Wydaje

się, że tym ostatnim powinniśmy się zainteresować. I to z kilku powodów.

– Mianowicie?

– Po pierwsze, został skazany w 1997 roku, a więc już po śmierci Rotenbauma. Jest prawdopodobne, że znał zabójcę, którego szukamy.

– Może – Pilarski walczył z zapalniczką. Kiedy ją ujarzmił, kłęb błękitnego dymu wolno uniósł się ku sufitowi.

– Musisz palić? – Ewa machała ręką, chcąc rozwiać dym.

– Nałóg – podszedł do okna i otworzył je na oścież. – Jest silniejszy ode mnie.

– A po drugie?

– Po drugie odsiedział już tyle, że może ubiegać się o warunkowe zwolnienie. Gdyby nam pomógł, miałby większe szanse. Trzeba mu to uświadomić.

– Dobrze kombinujesz – Pilarski przysiadł na parapecie.

– Jest jeszcze po trzecie. Więzień odsiaduje wyrok w Rawiczu. To tak blisko Wrocławia...

– „Więzienie w Rawiczu funkcję ciężkiego zakładu karnego pełniło od chwili adaptacji w roku 1818 poklasztornego budynku oo. Reformatorów i uruchomienia z dniem 15 grudnia 1820 r. jako Domu Kary i Poprawy. Do odbywania kary kierowano tu więźniów skazanych na kary od jednego roku do dożywotniego więzienia oraz recydywistów. W tym okresie możliwe było jednoczesne osadzenie w celach czterystu pięćdziesięciu więźniów. Jednakże z czasem dochodziło do przeludnienia cel i osadzenia w tym więzieniu aż tysiąca trzystu trzydziestu pięciu skazanych w roku 1890. W tej sytuacji wybudowano w roku 1910 pawilon „czerwony”. Od początku istnienia więzienie w Rawiczu wskutek ciężkich warunków bytowych, wynikających z przeludnienia cel, przymusowej pracy, obowiązującego do połowy XIX wieku nakazu milczenia, karcerów, a także bicia, było powszechnie uznawane jako wyjątkowo ciężkie” – Ewa skończyła czytanie, kiedy znaleźli się na Karłowicach. – To wydruk z internetu – uprzedziła pytanie Pilarskiego [10].

Zatrzymały ich czerwone światła. Przechodzący przed maską ludzie zasłaniaли się od zacinającego wiatru i deszczu. Jakaś staruszka schyliła się po foliową torbę, którą upuściła na ulicę.

– Mam prośbę – Ewa patrzyła prosto przed siebie.

– Tak? – wrzucił pierwszy bieg i ruszył płynnie.

– Skręć w Obornicką.

– W Obornicką? Za późno. No, chyba że na następnym skrzyżowaniu.

Na skrzyżowaniu Żmigrodzkiej i Bałtyckiej musieli pojechać prosto. Skręcili dopiero w ulicę Wołowską i po minucie dojechali do Obornickiej. Sznur pojazdów, zdający się nie mieć końca, zatrzymał ich na dłużej.

– Co jest na ulicy Obornickiej? – Pilarski nerwowo bębnił palcami po kole kierownicy, nie mogąc włączyć się do ruchu.

– Koszary wojskowe. Nie widzisz?

– Masz randkę z jakimś oficerem?

– Ale wymyśliłeś – wzruszyła ramionami.

Minęli obwodnicę Śródmiejską i Autostradową. Przejechali przez Lipę Piotrowską i Świniary – dwie wsie włączone do Wrocławia w 1973 roku. Ewa cały czas milczała.

– Teraz w prawo – odezwała się dopiero wtedy, kiedy wjechali do Szczepanowa.

Minęli nowy budynek szkoły podstawowej i gimnazjum, podskakując na wylewanych jeszcze przez Niemców betonowych płytach.

– A tu jest kościół – dotknęła szyby prawą ręką. – Zabytkowy, z XIV wieku.

– Skąd znasz Szczepanów? – zapytał i w tej samej chwili zaklął siarczyście. Wjechali w olbrzymią dziurę. – Cholera! – powtórzył przekleństwo. – Zero-jedynkowa. Mogliśmy w twoim Szczepanowie zakończyć podróż.

Nie podjęła dyskusji i nie odpowiedziała na pytanie.

– Zatrzymaj się tutaj – poprosiła, kiedy znaleźli się na szczycie płaskiego

wzgórza.

– Tutaj? – zapytał zdziwiony, zatrzymując samochód przed cmentarną bramą.

– Poczekaj – wysiadła z gracją. Krótka spódniczka odsłoniła jej zgrabne nogi. – Za kwadrans będę z powrotem.

Wróciła po półgodzinie i jak się mu zdawało, miała spuchnięte oczy.

Naczelnik więzienia w Rawiczu dokładnie sprawdzał dokumenty wręczone przez Pilarskiego.

– W porządku – powiedział po chwili.

Przeszli do pokoju z dużym zakratowanym oknem, z którego rozciągał się widok na kamienice otaczające zadbane rynek miasteczka.

– Proszę poczekać – naczelnik podniósł słuchawkę. – To może trochę potrwać. Bezskutecznie wykręcał ten sam numer. Po drugiej stronie nikt nie odbierał telefonu. – Obowiązują nas procedury – wyjaśniał, kierując się w stronę drzwi. – Nie możemy natychmiast doprowadzić więźnia. Mogę jednak zapewnić, że wasze spotkanie będzie owocne. Skazany, którego chcecie przesłuchać, chętnie z nami współpracuje i w mojej opinii ma duże szanse na skrócenie kary.

Kiedy naczelnik wyszedł, Ewa wyjęła z torebki duży notes.

– Nikołaj Fatczuk – czytała. – Został skazany za zabójstwo biznesmena. Ofiara była winna milion złotych za wykonanie instalacji elektrycznej w dużej galerii handlowej. Szef firmy, która tę instalację wykonała, chociaż wyczerpał wszystkie legalne sposoby, pieniędzy nie odzyskał i musiał zwolnić trzy czwarte załogi. W końcu zdesperowany nawiązał kontakt z ukraińską mafią. Porwanie przebiegło bez problemów, jednak podczas stosowania wymyślnych tortur sytuacja wymknęła się spod kontroli i biznesmen zmarł. Fatczuka skazano na ćwierć wieku odsiadki, a pechowego właściciela firmy na osiem lat.

– Typowa sprawa początkowego okresu ustrojowej transformacji – Pilarski sięgnął po papierosa.

– Tutaj się nie pali – Ewa wyprostowaną ręką pokazała planszę z papierosem, stylizowaną na znak zakazu; wisiała na ścianie za biurkiem

naczelnika.

Fatczuk nie pasował do obiegowego wizerunku zawodowego mordercy. Średniego wzrostu, szczupły, o jasnych, krótko obciętych włosach, na pierwszy rzut oka mógł być przedstawicielem każdej profesji, ale nie mafijnym egzekutorem. Wzrokiem wyposzczonego pokutnika przyglądał się Ewie.

– Odsiaduje pan wyrok od 1997 roku – Pilarski nie uznał za stosowne przedstawić się. – Który z pana rodaków przebywających w tym czasie w Polsce był do wynajęcia?

– Nie rozumiem tego pytania – polszczyzna więźnia była więcej niż poprawna.

– Dobrze pan rozumie, ale doprecyzuję. Chodzi mi o nazwiska zawodowych morderców.

– Pytali mnie już o to, ale skoro pan chce, to powiem jeszcze raz. Było ich trochę. Ja znałem pięciu – Fatczuk nie odrywał wzroku od Ewy, która, speszona jego wzrokiem, naciągała spódniczkę na kolana. Więzień, widząc to, uśmiechnął się. – Sasza Kiryłow miał pseudonim Ryba. Mało chłop mówił, jak to ryba. Na Iwana Stećko wołali Szrama, bo miał bliznę na prawym policzku.

– Zupełnie jak Roman Dywczuk – skojarzył Pilarski.

– Michaił Rowczuk to Rezun. W Afganistanie był komandosem, a nożem posługiwał się lepiej jak pan długopisem. Był jeszcze Petro Załynuk, ksywa Cygaro. Palił jak parowóz. Był Niko Paszczuk. Miał taką babską ksywę Katia. Jego dziewczyna tak miała na imię. Zabił ją. Dowiedziała się, co robi i z nim zerwała. Dlatego ją zamordował.

– Dobrze, dobrze – Pilarski uniósł obie ręce, jakby chciał zatrzymać całe zło atakujące go z opowiadania Fatczuka. Obawiał się, że wyliczanka zawodowych morderców nigdy się nie skończy. – Czy słyszał pan o zabójstwie starszego mężczyzny z Wrocławia? To był rok 1996.

Fatczuk poprawił się na krześle.

– Tak – odpowiedział po dłuższej chwili.

– Tak, czyli co? Co pan wie na ten temat?

Ewa i Pilarski wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Nareszcie pojawiła się nadzieja na konkret w sprawie, w której tyle rzeczy było ulotnych. I to być może konkret z pierwszej ręki. Może sam Fatczuk był zabójcą?

– Mówiło się wtedy, że to robota naszych z Niemiec – więzień spojrział spod oka na Pilarskiego. – Podobno zabójca nieźle się obłowił.

– To nas nie interesuje – Pilarski odruchowo sięgnął po papierosa, ale Ewa pogroziła mu palcem.

– Chcemy wiedzieć, kto to zrobił...

– Ładnego ma pan anioła stróża – Fatczuk odsłonił w szczerym uśmiechu wszystkie zęby.

– Chce pan wcześniej wyjść z tej dziury, czy nie? – cierpliwość Pilarskiego została poddana kolejnej próbie, zwłaszcza że kątem oka zauważył dobrze maskowany uśmiech na twarzy Ewy. – Pytałem, kto to zrobił.

– Nikt nie mógł zrozumieć – więzień nagle spowaźniał – że ktoś zapłacił takie pieniądze. Żeby chociaż powód był konkretny, a tu szło o jakieś porachunki z przeszłości. Ale w naszym fachu liczy się tylko kasa. Nie wiem, kto zlecił robotę. Znałem dwóch takich, jak ich pan nazywa, ludzi do wynajęcia. Działali w Niemczech. Siergiej Stepaniuk i Symon Babij. Literat i Włóczęga, po naszymu Brodjaga. Żyli w Monachium, ale przyjeżdżali do Polski.

– Gdzie są teraz?

– Tam, gdzie ja wrócę po rozmowie z panem – twarz Fatczuka wykrzywił grymas kwaśnego uśmiechu.

Kiedy wyszli za więzienną bramę, Pilarski mógł wreszcie zapalić.

– I co? – zapytał, głęboko się zaciągając. – Jak twoje wrażenia?

– Obiecująco to wygląda, detektywie. Mamy co sprawdzać.

– Też tak myślę – otworzył drzwi samochodu. – Wsiadaj. Wracamy do Wrocławia.

– Ty wracasz – spojrziała proszącym wzrokiem. – Zawieź mnie na

dworzec. Muszę być dzisiaj w Poznaniu.

– Na długo znikasz? – pytał z przyklejonym do wargi papierosem, kiedy zatrzymali się na parkingu przed dworcem. – Dobrze mi się z tobą pracuje.

– Czyżby?

– Uhm – potwierdził kiwnięciem głowy.

– Czasem odnoszę zupełnie przeciwne wrażenie – szczelnie zapinała płaszcz. – Przyjadę po niedzieli. Nie wiem, może w środę.

W drodze do Wrocławia Pilarski cały czas rozmyślał o rozmowie z Fatczukiem. Chciał jak najszybciej znaleźć się w biurze, aby wszystko zanotować, zanim coraz bardziej zawodna pamięć nie wyrzuci części wiedzy na informacyjny śmietnik.

Kontrolka sygnalizująca rezerwę paliwa zmusiła go do przerwy w podróży. Zatankował i zapłacił kartą kredytową. Kiedy otrzymał paragon, postanowił, że po drodze coś jeszcze sprawdzi.

W Wiszni Małej skręcił w prawo i po kilku minutach znalazł się na tym samym cmentarnym wzgórzu, które odwiedzili z rana. Szedł alejkami wzdłuż grobów, uważnie się rozglądając. Skonstatował, że najstarsze pochodzą z początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. „Nowy cmentarz” – pomyślał.

Przy jednym z grobów starsza kobieta wyrywała zielsko.

– Dzień dobry – powiedział, przechodząc obok niej.

– Niech będzie pochwalony – wyprostowała się z trudem, łapiąc się za kręgosłup. – A pan to kogo szuka? – uważnie przyglądała się Pilarskiemu.

– W zasadzie nikogo – odpowiedział mało grzecznie. – Jadę cały dzień i zrobiłem przerwę na rozprostowanie kości.

– Na cmentarzu? – kobieta wybałuszyła oczy.

– Uhm. To dobre miejsce, nie sądzi pani?

– Idź pan do diabła z tym swoim humorem.

Na płycie z porośniętego mchem lastriko zobaczył palący się znicz. Przyjrzał się mu uważnie i z satysfakcją pokiwał głową. Musiał się palić od kilku godzin. Przeczytał nazwisko i zapamiętał, że zmarły w 1999 roku

mężczyzna miał pięćdziesiąt osiem lat.

– To pani zapaliła znicz na grobie Kazimierza Stawskiego? – wracając, zapytał tę samą kobietę.

– Coś pan! – kobieta poczerwieniała. Usiadła ciężko na drewnianej ławeczce i splunęła na ziemię. – Dobrze, że zdechł jak świnia, kanalia jedna! Że też takim pan Bóg rodzić się pozwala.

– A co takiego on zrobił?

– Idź pan i o nic nie pytaj. Mówić o tym straszno.

Do samego Wrocławia próbował odgadnąć, kim dla Ewy był Kazimierz Stawski.

„Pięćdziesiąt osiem lat w 1999 roku, to teraz miałyby siedemdziesiąt” – liczył w pamięci.

– Trzydzieści lat różnicy – powtarzał na głos. – Ojciec, starszy kochanek?

Znał przypadki, kiedy różnica wieku żyjących ze sobą par była jeszcze większa. – Choćby ten znany aktor. Zaraz, zaraz... – uaktywnił całą swoją pamięć, ale bez rezultatu. Widział jego twarz, wiedział, że ma żonę młodszą od wnuczki, ale nie potrafił przypomnieć sobie nazwiska. Nie wiedział, że Ewa zapaliła taki sam znicz na jeszcze jednym grobie.

– Dziwna sprawa – Pilarski był zaskoczony informacjami, jakie przyniosła Ewa. – Jak to możliwe, że Symon Babij nie figuruje w archiwach Interpolu? Przecież Fatczuk mówił, że to człowiek od mokrej roboty. Naprawdę nie mają żadnych informacji na jego temat?

– Nie. Babij nie figuruje także w bazie danych naszej policji, ale za to na temat Literata mam trochę danych. Są ciekawe.

– Nie przeciągaj. Mów, czego się dowiedziałaś.

– Siergiej Stepaniuk vel Literat urodził się w 1958 roku we wsi Stankowa w Iwanofrankowskiej obłasti – Ewa, pochylona nad segregatorem, przeglądała odręczne notatki.

– Przed wojną województwo stanisławowskie – wszedł jej w słowo.

– Kazałeś nie przeciągać, a sam to robisz. Chcesz w końcu czegoś się

dowiedzieć czy jest ci wszystko jedno?

– Mów, mów. Przepraszam.

– W 1987 na zaproszenie Helmuta Jaroszuka wyjechał do Burg-Kirchen, małej miejscowości w Bawarii, leżącej u podnóża Alp, tuż przy granicy niemiecko-austriackiej. Dwa lata później ponownie odwiedził Niemcy, ale na Ukrainę, a właściwie do Związku Radzieckiego, już nie wrócił. Ożenił się z Marią Jaroszk, córką Helmuta i został w Niemczech na stałe – Ewa zamknęła segregator.

– To wszystko? – Pilarski nie krył rozczarowania. – Mówiłaś, że masz ciekawe informacje.

– To są ciekawe informacje, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, sprawa samego wyjazdu do Niemiec. Zauważ, że działo się to dwa lata przed upadkiem Muru Berlińskiego.

– Nie robiłbym z tego sensacji. Mur już wtedy się chwia, podobnie jak całe radzieckie imperium. Być może uzyskanie pozwolenia na wyjazd nie było aż takie trudne. Poza tym nie zapominaj, że dolary, a wtedy jeszcze niemieckie marki, pozwalały załatwić wiele spraw, które pozornie były nie do ruszenia.

– Po drugie – sceptycyzm Pilarskiego nie zdeprymował Ewy – Jaroszk to typowe ukraińskie nazwisko. Literat został zaproszony do Niemiec przez mieszkającego tam Ukraińca. Niczego ci to nie mówi?

– Nie. Jeśli mam być szczery, to nie. Jeśli także w tym dopatrujesz się sensacji, to ja się poddam. Czy sądzisz, że rodowitego Ukraińca zaprosi do Niemiec rodowity obywatel tego kraju? Czy zastanawiałaś się kiedyś nad informacjami o milionach obcokrajowców odwiedzających Polskę? Czy sądzisz, że to Niemcy z niemieckimi korzeniami albo Amerykanie z amerykańskimi? To prawie wyłącznie obywatele tych krajów polskiego pochodzenia. Materiał, który zebrałaś, nie jest kompletny.

– Sekcja Poszukiwań stanęła na wysokości zadania – Ewa nie kryła zadowolenia. – Pamiętasz tę dziewczynę w woalce, która była na pogrzebie Michała Jakubka?

– Pamiętam. Ryczała jak bóbr.

– Ta dziewczyna to Klaudia Hryćko. Mieszka w bloku przy Olszewskiego, tuż obok pętli tramwajowej na Biskupinie.

– Dobra robota. Jeszcze w tym tygodniu wezwiemy ją na przesłuchanie.

– Trochę taktu, Andrzej – Ewa spojrzała z dezaprobatą. – Trochę taktu. Nie będziemy jej nigdzie wzywali. Według mnie to wyjątkowo wrażliwa dziewczyna. Jeśli pozwolisz, załatwię tę sprawę w zupełnie inny sposób. Po naszej ostatniej rozmowie czułam się upokorzona. Staralam się bardzo, a ty tego nie doceniłeś. Boję się, że podobnie potraktujesz Klaudię.

– Ja upokorzyłem? Nie przypominam sobie.

– Tak się wtedy czułam. Może intencje miałeś inne, ale czułam się zganiona jak uczennica, która nie odrobiła zadania domowego. Nieważne zresztą – machnęła ręką. – Helmut Jaroszuk, ten sam, który zaprosił dwukrotnie do Burg-Kirchen Siergieja Stepianiuka, jest synem Jewhena Jaroszuka, mieszkającego w Niemczech od 1946 roku – zaczęła. – W Archiwum Akt Nowych znajduje się oryginał uzasadnienia wyroku Sądu Okręgowego we Lwowie z sierpnia 1935 roku. Wiesz, za co wtedy skazali go na dwadzieścia lat?

– Za morderstwo – Pilarski nie miał wątpliwości. – Taki wyrok można otrzymać tylko za morderstwo.

– Nie tylko, drogi Andrzej. Jewhena Jaroszuka skazali za przynależność do OUN i aktywny udział w akcjach dywersyjnych bojówek tej organizacji. Czy nadal uważasz, że efekty mojej pracy nie wnoszą niczego do sprawy?

– Jeszcze dwadzieścia minut – Ewa spojrzała na zegarek. Z domu wyszła godzinę temu, zakładając, że właśnie tyle czasu zajmie przejazd przez zatłoczone miasto, jednak dzisiaj ruch był znacznie mniejszy i do kawiarni dotarła wcześniej. Z mieszanymi uczuciami odbierała wyraźne zainteresowanie swoją osobą ze strony samotnego mężczyzny, siedzącego dwa stoliki dalej. Obawiała się, że przystojny czterdziestolatek o nieco przeredzonych włosach wkrótce się do niej przysiadzie. Na jej szczęście Klaudia przyszła punktualnie.

– Czyżbym się spóźniła? – zapytała zakłopotana. – Nie mam zegarka, a przez te remonty komunikacja kursuje, no, sama pani wie jak. Bardzo

przepraszam.

– Ależ skąd! – Ewa wyciągnęła rękę na powitanie. – Przyszła pani punktualnie.

Klaudia zdjęła kapelusz z dużym rondem i poprawiła proste, rude włosy, sięgające do ramion. Dużą tekturową teczkę położyła na krześle tak niefortunnie, że kilka arkuszy papieru wypadło na podłogę. – To szkice do albumu – mówiła, zbierając rozsypane rysunki.

– Zajmuje się pani grafiką?

– Tak, to mój zawód.

– Pani Klaudio... Przepraszam, czy mogę się do pani zwracać w ten sposób?

– Oczywiście – na twarzy dziewczyny zagościł szczery uśmiech. – Będzie mi miło.

– Pani wie, że pracuję w policji.

– Wiem – Klaudia wyjęła z torebki lusterko. – Wspomniała pani o tym przez telefon – przeglądała się krytycznie dyskretnemu makijażowi.

– Proszę powiedzieć, kim był dla pani Michał Jakubek? Dlaczego była pani na jego pogrzebie?

– Dlaczego? – dziewczyna zamknęła torebkę. – To długa i dziwna historia. Przynajmniej dla mnie jest ona dziwna. Wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu, kiedy w wypadku drogowym zginął mój ojciec. Miałam wtedy dziewięć lat – sięgnęła po chusteczkę. – Przepraszam, ale dla mnie to ciągle żywe wspomnienia. Dla mamy i dla mnie w jednej chwili cały świat legł w gruzach. Ot tak, po prostu. Był tata i nagle, jak za dotknięciem różdżki złego czarownika, nie było taty. W jednej chwili – pociągnęła nosem. – Mama była pielęgniarką. Wie pani, ile wtedy zarabiała pielęgniarki?

– Domyślam się, że niewiele.

– Bardzo mało. Skromne życie i utrzymanie mieszkania przekraczały nasze możliwości. Zadłużaliśmy się systematycznie i w pewnym momencie zagroziła nam eksmisja. Byliśmy załamane. Nie wiedziałyśmy, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Właśnie wtedy stała się rzecz dziwna – Klaudia szklistymi oczyma spojrzała na Ewę. – Zupełnie jak w bajce o Kopciuszku.

Pewnego dnia mama otrzymała list. Ktoś obiecał spłacić nasze długi i wykupić mieszkanie na własność. Mało tego. Ten nasz księżę napisał, że będzie opłacał czynsz i że niczego w zamian nie oczekuje. „To sprawa spokoju mojego sumienia” – tak w tym liście napisał. List był anonimowy. Wyobraża sobie pani taką sytuację?

– Jest niecodzienna, przyznaję.

– Robiliśmy wszystko, aby odnaleźć autora listu, ale się nie udało. Nadal żyliśmy skromnie, ale już we własnym mieszkaniu. No i nie miałyśmy długów. Kilka lat po śmierci taty przyszedł do mamy list z Kanady. Nadawca nie był nam znany, ale mama podjęła korespondencję. Listy przychodziły często, a mama regularnie na nie odpowiadała. Nie znałam szczegółów tej znajomości, wiedziałam tylko, że mama korespondowała z jakimś mężczyzną. Wtedy zaczęłam się buntować. Czułam, że ten ktoś może zająć miejsce taty, którego dobrze pamiętałam i bardzo kochałam. Miałam kilkanaście lat, wiek buntu, pewnie pani pamięta. Chociaż mama miała ze mną ciągle problemy z tego powodu, nie przerwała tej korespondencji. Dzisiaj mam gorzką satysfakcję, że moje obawy, obawy nastolatki, okazały się trafne. Cztery lata temu mama wyjechała do Kanady. Taka satysfakcja ze łzami w oczach – wyjęła chusteczkę. – Nasz dobroczyńca zadzwonił na początku lipca. „Chciałbym, aby przyszła pani na mój pogrzeb” – mówił łamiącym się głosem. „To będzie za kilka dni na cmentarzu na Sępolnie. Proszę czytać ogłoszenia na kościelnej tablicy i szukać mojego nazwiska”. Zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale wzruszenie mu nie pozwoliło. Zdołał jedynie wyszeptać, że nazywa się Michał Jakubek – głos Klaudii także się łamał. – To dlatego byłam na jego pogrzebie – dziewczyna rozplakała się i bez słowa pożegnania wyszła z kawiarni.

– To wszystko nie ma sensu – Pilarski był poirytowany. – Jak można zapraszać na swój pogrzeb? Do jasnej cholery, czy Jakubek był jasnowidzem? Kto potrafi przewidzieć dzień swojej śmierci?

– To proste, Andrzej – Ewa patrzyła przed siebie. – Ten, kto sam ją chce sobie zadać. Jakubek był samotnym i schorowanym człowiekiem. Po śmierci żony i córki jego życie straciło sens. Uważał, że dla siostry Anny, u której mieszkał, jest zbyt dużym ciężarem. Myślę, że dlatego popełnił samobójstwo. Nie zgłębialiśmy przyczyny jego śmierci, przyjmując, że zmarł w sposób

naturalny, ale wcale nie musiało tak być.

– Jednak ani pani Anna, ani Dorota nie wspomniały, że zmarł śmiercią gwałtowną – Pilarski kontestował bardzo prawdopodobną diagnozę swojej asystentki.

– Myślę, że samobójstwem w rodzinie nikt się nie chwali. Poza tym Jakubek mógł się domyślać, że ktoś chce go zabić. Postanowił nie dać mu tej szansy. Zauważ, że zagadkowa śmierć trzech osób w ciągu dwóch tygodni uwiarygadnia hipotezę o komando wysłanym przez tajemniczego mściciela.

Logiczne wytłumaczenie zaistniałej sytuacji sprawiło, że Pilarski zamilkł. „Jaki iloraz inteligencji ma ta dziewczyna?” – zastanawiał się. Wiedział, że jest niezwykle rzadką kombinacją piękna ciała i umysłu. Taką, co do nieba może zaprowadzić, ale i do piekła.

– W takim razie masz do wykonania dwa kolejne zadania – próbował przejąć inicjatywę. – Po pierwsze, dowiesz się wszystkiego o Klaudii. No wiesz – rodzina, przyjaciele, kontakty, zainteresowania. To wydaje się bardzo ważne.

– A po drugie?

– Po drugie, sprawdzisz, czy w dniu zabójstwa Jakubka Literat, czyli Siergiej Stepianiuk, był we Wrocławiu.

– Mówisz poważnie? Wiesz, że to niewykonalne. W jaki sposób mogę sprawdzić zdarzenia, które miały miejsce piętnaście lat temu?

– Liczę na twoją inteligencję – odpowiedział z przekąsem. – Niejeden raz dawałaś jej przekonujące dowody.

– OK! Jeśli liczysz na moją inteligencję, to podpowiem ci inne rozwiązanie. Wczoraj raz jeszcze przeglądałam akta sprawy. Wśród śladów zabezpieczonych w mieszkaniu Jakubka jest kilka włosów. DNA pokazało, że dwa z nich należą do Izaaka Rotenbauma, ale właściciel trzech pozostałych jest nieznany. Wiemy też, że nie są to włosy Jakubka. Ta wiedza nie była dotąd przydatna, teraz jednak podejrzewamy konkretną osobę. Tylko w ten sposób możemy potwierdzić obecność Literata piętnaście lat temu.

Siedzieli na ławce przed schroniskiem na Hali Szrenickiej, podziwiając

odległy Grzbiet Izerski i Szklarską Porębę położoną w malowniczej dolinie.

– Miałeś dobry pomysł z tym wypadem w góry – Ewa klepnęła Pilarskiego w kolano.

– Potrzebowałem tego. Praca obciąża psychikę, a wysiłek fizyczny ją regeneruje. Dlatego zaproponowałem wycieczkę.

Południowe słońce przesłonił duży cumulus i zrobiło się chłodniej. Ewa włożyła kurtkę.

– O czym myślisz? – zapytała.

– O wszystkim i o niczym – odpowiedział. – O przemijaniu, o nieodwracalności niektórych zdarzeń.

– Skąd taka refleksja?

– Nie wiem. Mam czterdzieści pięć lat, jakąś zawodową pozycję, materialne bezpieczeństwo, ale jestem sam. Nie mam rodziny. Zawsze, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że to rodzina w życiu człowieka jest najważniejsza, a ja jej po prostu nie mam.

– Jestem w podobnej sytuacji – oparła głowę na jego ramieniu.

– Interpol potwierdził, że włosy znalezione w mieszkaniu na Sępolnie należą do Literata! – Pilarski promieniał z radości. – To twoja zasługa. Miałaś rację z badaniem DNA.

– A obiegująca opinia głosi – Ewa w teatralny sposób zwiesiła głowę – że kobiety nie mają takich zdolności kojarzenia faktów i logicznego rozumowania jak mężczyźni.

– Z logicznym myśleniem zgoda, ale z kojarzeniem faktów – absolutnie nie.

Pilarski przypomniał sobie sprawę z nieodległej przeszłości, kiedy Joanna, z którą pozostawał w nieformalnym związku, skojarzyła jednak to i owo, gdy jego już fascynowała Dominika. Awanturę, jaką mu wtedy zrobiła, zapamiętał na całe życie.

– Oczywiście nie dotyczy to ciebie. Ty jesteś szlachetnym wyjątkiem potwierdzającym regułę. Ale wróćmy do zawodowych spraw. Przygotuj

dokumentację do Europejskiego Nakazu Aresztowania Siergieja Stepaniuka, moja droga asystentko – przytulił ją do siebie.

– A ty to dobrze się dzisiaj czujesz? – zapytała zdziwiona.

– Wyjątkowo dobrze – odpowiedział.

– Szczęście nam sprzyja, Andrzej – Ewa weszła bez pukania do gabinetu Pilarskiego. – Europejski Nakaz Aresztowania nie będzie potrzebny. Siergiej Stepaniuk został zatrzymany w Hiszpanii.

– Siadaj – odsunął krzesło z drugiej strony biurka. – Znasz szczegóły?

– Nie. Wiem tylko, że zatrzymali go w Moraira. Sprawdziłam na mapie. To małe miasteczko na Costa Blanca między Alicante i Walencją.

– Polecisz ze mną do Hiszpanii?

– Oczywiście, ale...

– Ale co?

– Naprawdę możesz to załatwić?

– Spokojna głowa – uśmiechnął się tajemniczo.

– Wrocław? – szef Guardia Civil w Moraia, kapitan Jose Gonzalez, był zaskoczony. – Wybaczenie – rozłożył ręce w wymownym geście dezorientowania. – Krakow, Wieliczka tak, ale Wrocławia nie znam. – Niech pan zapali – podsunął pudełko cygar. – Cohiba – wyszczerzył zęby w szczerym uśmiechu. – Kubańskie, jedne z najlepszych. Palić jest rzeczą ludzką, a palić cygara – boską. Zna pan to powiedzenie?

– Nie, nie znam – pewność siebie opuściła Pilarskiego. Był palaczem niemalże nałogowym, ale cygar nigdy nie próbował. Wiedział tylko, że ich palenie to nie taka prosta sprawa.

Kapitan Jose Gonzalez zorientował się w sytuacji i wyciągnął paczkę Marlboro.

– Nauczę pana, jak pali się cygara. Mañana.

Pilarski wykrzywił twarz w sztucznym uśmiechu.

– Odbyliście długą podróż – kapitan podał ogień, a następnie sam zapalił – ale trafiliście pod zły adres. – To prawda – wypuścił kłęb dymu – aresztowaliśmy Siergieja Stepaniuka. Moraira to jednak mała miejscowość. Nie mamy warunków do przetrzymywania tak groźnego przestępcy.

– Chce pan powiedzieć, że Stepaniuka nie ma w Moraira?

– Nie ma. Jest w Alicante.

– To komplikuje nasze plany – Pilarski zgasił do połowy wypalonego papierosa. – Daleko stąd do Alicante?

– Niedaleko – kapitan Gonzalez patrzył na popielniczkę, w której tlił się dowód marnotrawstwa jego gościa. – Najwyżej siedemdziesiąt kilometrów.

– Proszę podać adres i nazwisko osoby w Alicante, z którą możemy się w tej sprawie kontaktować – Pilarski przejmował inicjatywę. – Za godzinę wyjeżdżamy.

Zaskoczenie na twarzy kapitana Gonzaleza zamieniło się w głębokie zdziwienie.

– Mañana – powiedział spokojnym głosem – jest już południe. Stepaniuk wam nie ucieknie. Do Alicante pojedziecie jutro. Korzystajcie z uroków Morairy i ładnej pogody. Mamy trzy plaże, mnóstwo hoteli i restauracji. Na pana miejscu, gdybym był w towarzystwie tak atrakcyjnej kobiety, do Alicante pojechałbym za miesiąc albo wcale.

Ewa, która pełniła funkcję tłumacza, zarumieniła się.

– No właśnie. No właśnie – kapitan Gonzalez zauważył to i pokręcił z dezaprobatą głową.

– Co to jest ta *mañana*? – Pilarski zapytał natychmiast po wyjściu z budynku Guardia Civil.

– Według słownika oznacza to *jutro* – Ewa, poruszona komplementem kapitana Gonzaleza, zbierała rozproszone myśli. – Jednak dla Hiszpanów *mañana* oznacza *później*. W praktyce może to być za chwilę, za godzinę, jutro, za miesiąc albo nigdy.

– Dziwni ludzie.

– Dlaczego dziwni? Po prostu inni. Żyją spokojniej niż my. Jestem

pewna, że są od nas szczęśliwsi.

– Rozumiem, że kupiłaś radę kapitana.

– Tak. Uważam ją za bardzo rozsądną propozycję, ale to ty jesteś szefem.

Po godzinie wychodzili z hoteliku przy Cabo Negro.

– No to zobaczmy te plaże, o których mówił kapitan Gonzalez – w głosie Pilarskiego nie było entuzjazmu. Ewa nie oponowała.

Plaża Platgetes nie wydawała się gościnna. Stromo opadające dno morza i podwodne skały nie zachęcały do kąpieli. Znacznie ciekawsza była plaża de l’Ampolla. W dużej odległości od brzegu widzieli dorosłych ludzi, podskakujących w rytm wysokich fal zupełnie jak małe dzieci. Z ich zachowania wnioskowali, że bawią się znakomicie.

– Mam nadzieję, że tutaj nie ma rekinów – Pilarskiemu powoli mijała złość.

– Zobaczymy jeszcze tę główną plażę – zachęcała Ewa.

Szli szerokim chodnikiem wzdłuż brzegu, podziwiając wyrastający z morza skalisty Cape d’Or. Trafili do portu, w którym odbywała się sprzedaż ryb, krewetek, ośmiornic i wszystkiego, co zgarnęły rybackie sieci. Podziwiali jachty – kilkaset stało zacumowanych do portowych kei.

– Plaża del Portet? – powtórzył pytanie Ewy właściciel jednego z jachtów. – Nie, tędy nie przejdziecie. Musicie się cofnąć i przejść ulicą.

Strome kamienne schodki doprowadziły ich do labiryntu wąskich uliczek i zaułków wśród hotelików i zwykłych domów.

– Może znowu spotkamy naszego kapitana? – Ewa pokazała tabliczkę wskazującą drogę do Guardia Civil.

– Stęskniłaś się za jego komplementami?

– Też mi coś – fuknęła jak kotka. – Chociaż... – nie dokończyła zdania.

Plaża del Portet okazała się wąską wstęgą piasku zalewaną przez fale. Kilkunastu plażowiczów tłoczyło się na dwóch jej suchych końcach.

– Wracamy – zdecydował Pilarski. – Nie podoba mi się tutaj.

Kamiennymi schodkami zeszli na gorący piasek plaży l’Ampolla.

Kąpielowe ręczniki rozłożyli przy kamiennym murze chroniącym plażę przed osuwaniem się ziemi i skał. Pilarski, rozebrany do spodenek, z zainteresowaniem przyglądał się plażowiczom korzystającym z uroków morza, słońca i piasku. Mężczyźni i kobiety, dzieci, młodzież i ludzie dobiegający siedemdziesiątki, ubrani w kolorowe stroje kąpielowe, zajmowali całą plażę. Panie w stroju topless najbardziej przyciągały wzrok policjanta.

Ewa zdjęła sukienkę. Ku zdziwieniu Pilarskiego oprócz granatowych stringów nie miała niczego więcej. Zauważyło to także kilku Hiszpanów, którzy bezceremonialnie przyglądali się atrakcyjnej, nieznannej sobie kobiecie. Pilarski odnosił wrażenie, że Ewa doskonale to widzi i że jest zadowolona.

– Ten olejek do opalania kupiłam specjalnie na nasz wyjazd – mówiła, wcierając złocisty płyn w ramiona, piersi i uda. – Ma faktor odpowiedni do intensywności promieni hiszpańskiego słońca. Posmarujesz mi plecy?

– Oczywiście – Pilarski z trudem opanowywał emocje. – Od kiedy rozłożyliśmy ręczniki, czekałem na taką propozycję.

– No nie wiem – Ewa, śmiejąc się, kręciła głową. – Sam jakoś na to nie wpadłeś.

Wcierał olejek metodycznie, zwracając uwagę, aby żaden skrawek jej ciała nie został pominięty. Wcierał nawet wtedy, kiedy olejek już się skończył. Ukradkiem obserwował wścibskich Hiszpanów, przyglądających się mu wzrokiem pustynnych wędrowców, którym właśnie wypija ostatnią porcję wody.

Leżeli obok siebie bez ruchu. Południowe słońce paliło niemiłosiernie.

– Pójdziemy do wody? – Pilarski, któremu upał coraz bardziej dawał się we znaki, spojrzał pytająco na Ewę.

– Oczywiście – kobieta bez wahania przyjęła tę propozycję.

Szli po równym, łagodnie opadającym dnie i wkrótce byli daleko od brzegu. Duże fale sprawiały, że woda czasem sięgała do kolan, by za chwilę przykryć ich całkowicie.

– Podaj rękę – Ewa wyciągnęła dłoń. – Drugą też.

Stali bokiem do fal, podskakując równocześnie.

– Fantastyczna zabawa – Pilarski cieszył się jak dziecko.

– Dla mnie też rewelacja – przyznała.

Siedzieli na tarasie małej restauracji, przyklejonej do stromej skały i obserwowali słońce chowające się powoli za linią horyzontu.

– Znamy się od dawna, a tak niewiele o sobie wiemy – Pilarski upił łyk wina.

– Sceneria do zwierzeń jest wymarzona – Ewa plastikową rurką mieszała kostki lodu pływające w coca-coli. – Pytaj, detektywie. Pytaj, o co tylko chcesz.

– Kiedy zaczęliśmy współpracę... – zawahał się.

– To co? – natychmiast zadała pytanie.

– Jak by ci to powiedzieć...

– Najlepiej wprost.

– No, nie miałas w Komendzie dobrej opinii. Nie chodzi o sprawy zawodowe, ale osobiste. Ludzie mówili, że zmieniasz mężczyzn jak rękawiczki.

– Miałam opinię dziwki? – odsunęła od siebie szklankę z chłodnym płynem. – N-nie musisz odpowiadać. P-po twojej minie widzę, że tak.

Podeszła do stalowej balustrady, za którą kilkanaście metrów niżej fale tworzyły wodną kipieli. Jednym susem znalazł się przy niej. W niejasnym przeblasku podświadomości wydawało mu się, że Ewa zamierza popełnić samobójstwo.

– Ładny widok – powiedziała, patrząc przed siebie.

– Ładny – przyznał i odetchnął z ulgą. – Usiądźmy.

Wziął ją za rękę i poprowadził do stolika. Nie protestowała.

– Tak, mam problem – wypila wino do końca. – Polega on na tym, że lubię uwodzić mężczyzn.

– I to nazywasz problemem? – Pilarski, uśmiechając się, napełniał kieliszki. – Każdy mężczyzna lubi być uwodzony. Zwłaszcza przez tak

atrakcyjne kobiety jak ty.

– To nie tak. Uwodzę mężczyzn i bez powodu zrywam znajomość. Odchodzę tak, jakbym wychodziła ze sklepu czy tramwaju – umoczyła usta w winie. – Wiem, że ich krzywdzę – zamyśliła się. – Byłam i u psychologów, i u psychiatrów – przygryzła dolną wargę. – Zadawali tysiące pytań, no i postawili diagnozę. Taką samą, niezależnie od siebie. Powiedzieli, że mój problem zaczął się w dzieciństwie. Trudno mi o tym mówić.

– To nie mów – mężczyzna, chociaż zżerała go ciekawość, uznał, że granicy jej intymności nie powinien przekraczać.

– Kiedy ja muszę – wierzchem dłoni starła spływającą łzę – ja chcę ci to powiedzieć. Wychowałam się na wsi w wielodzietnej rodzinie. Miałam trzy siostry. Matka była prostą kobietą, ale dbała o nas i o dom, jak tylko mogła. Ojciec pił. Nie pamiętam ani jednego dnia, w którym był trzeźwy. Oczywiście z powodu pijaństwa nie mógł znaleźć pracy. Utrzymywaliśmy się z tego, co udało się wyhodować w gospodarstwie i sprzedać. Z ojcem mieliśmy jeszcze jeden problem. Nie dość, że sam nie przynosił pieniędzy, to jeszcze zabierał te, które z takim trudem zdobywaliśmy. No i bił. Bił matkę, bił nas. Ale ciebie to chyba nie interesuje – spojrzała na milczącego Pilarskiego.

– Mów, mów – zaprzeczył ruchem głowy. – Ja po prostu nie chcę ci przerywać.

– Najgorsze było to, że ojciec matkę przy nas gwałcił. Tego nigdy nie zapomnę. „Patrzcie, kurwy, co was kiedyś czeka” – mówił. Stałyśmy przerażone, bo za próbę ucieczki było dodatkowe bicie, a rękę ojciec miał ciężką. Wódka i wiek ojca sprawiły, że zaczął mieć problemy z erekcją. Niby dla mamy powinno być lepiej, ale było odwrotnie. Za swoją niemoc ojciec obwiniał mamę i nas. Wściekał się wtedy i bił bez opamiętania.

– Nie mogłyście tego zgłosić na policję?

– To nie dzisiejsze czasy, Andrzeju. Wtedy jeszcze była milicja, a ojciec przypominał nam, że jeśli komuś piśniemy choćby słówko, to wyrznie nas wszystkie. Wyciągał przy tym duży kuchenny nóż. Bałyśmy się go panicznie i paraliżował nas strach. Kiedy miałam osiemnaście lat, ojciec zapił się na śmierć i nasz koszmar odszedł razem z nim. Może to nie było normalne, ale wszystkie, łącznie z mamą, szalałyśmy wtedy z radości.

– Wierzę – Pilarski nie potrafił zdobyć się na inny komentarz.

– Tak, miałam wielu partnerów. Lekarze powiedzieli, że to zemsta mojej podświadomości na mężczyznach za zło, jakie w dzieciństwie wyrządził nam ojciec.

– A Monika?

– Monika – Ewa zamyśliła się. – Monika jest dzieckiem gwałtu. Nie miłości, jak to się ładnie mówi, ale właśnie gwałtu. Osiem lat temu związałam się z Krzysztofem. Idealny mężczyzna, wzór pod każdym względem, wprost wymarzony kandydat na męża. Starał się o moje względy kilka tygodni, jednak kiedy kipiał już pożądaniem, a ja powiedziałam: „nie”, uderzył mnie. Co było później, możesz się domyślić. Fizycznie był znacznie silniejszy ode mnie. Monikę wychowuję sama. Pomaga mi matka. Jakoś dajemy sobie radę. No i to jest moja cała tajemnica – znowu upiła łyk wina. – A ty? – zapytała po chwili. – Powiedz coś o sobie. Ty o mnie wiesz wszystko, a ja o tobie prawie nic. Masz kogoś?

– Nie mam – przyznał. – Próbowałem kilka razy, ale nie wyszło.

Słońce już dawno schowało się za horyzontem, znacząc swoją pozycję złocistą poświatą, powoli ginącą w zapadającym mroku. Szli obok siebie stromymi uliczkami Morairy. Mijali liczne restauracyjki, w których dopiero teraz zaczynało się budzić życie. Wkrótce dotarli do hotelu.

– Dziękuję za ten wieczór – powiedział, całując ją na pożegnanie.

– Podziękuj kapitanowi Gonzalezowi – uśmiechnęła się, muskając ustami jego policzek. Z gracją obróciła się na pięcie i znikła za drzwiami hotelowego pokoju.

Pomimo metod, które z pewnością oprotestowałyby każda organizacja praw człowieka, Guardia Civil nie potrafiła zmusić Stepaniuka do mówienia.

– Mamy niezbite dowody – Pilarski pieklił się – a ten skurwiel wszystkiego się wypiera. I tak go wsadzimy, ale jego wiedza bardzo by się nam przydała.

Więzień złamał się dopiero po trzech dniach, kiedy Pilarski i Ewa skłonni byli wracać do Polski.

– Tak, byłem wtedy we Wrocławiu – sepleniał przez spuchnięte wargi. – To ja spotkałem się z Wiktorem koło Panoramy Raławickiej i zawiozłem go na Sępólno. To ja sprawdziłem, czy ten, kogo miał sprzątnąć, jest w domu. Do mieszkania weszliśmy obaj, ale to Wiktor wykonał wyrok. Ja nie miałem przy sobie broni. Hiszpanie zatrzymali mnie za narkotyki, a nie za morderstwo. Nikogo w życiu nie zabiłem.

– Jesteś wyjątkową kanalią – Pilarski nie krył oburzenia. – Uważasz, że morderstwo jest wtedy, kiedy pociąga się za spust pistoletu, rozwała głowę kijem bejsbolowym albo podrzyna gardło? Nawet nie wiesz, ile osób zabiły narkotyki, które szmuglowałeś! Jak nazywa się Wiktor?

– Pan da napić się – Stepaniuk błagalnie spoglądał na butelkę coca-coli stojącą przed Pilarskim.

– Mów, jak nazywa się Wiktor!

– Nie znam nazwiska – więzień z trudem oderwał język przyklejony do suchego podniebienia. – Do Wrocławia przyjechał z Hanoweru. Ma ksywę Owal. To chyba z powodu twarzy.

– Jakiej twarzy?

– No, swojej. Wiktor ma twarz podobną do... – Stepaniuk usiłował naprędce znaleźć dobre porównanie. – No, do jaja strusia – uśmiechnął się zadowolony.

„Wiktor, Hannower i jajo strusia” – Pilarski kręcił głową. „Chłopcy z Interpolu będą mieli niezłą rozrywkę”.

Samolot WizzAir kołował na pas startowy lotniska w Alicante.

– A jednak nie miałem racji – Pilarski czytał odpowiedź Interpolu. – Nie doceniałem ich fachowości. Wiktor Kwietkin, pseudonim Owal, jest w Izraelu.

– Chyba nie powiesz, że pojechał z pielgrzymką do Ziemi Świętej, co? – Ewa czekała na szczegóły.

– Prawie, prawie – siedzi w pudle. Słyszysz, droga koleżanko? Prawdopodobny zabójca Izaaka Rotenbauma siedzi pod kluczem, czyli jest nasz.

– Osobiście wątpię – ton głosu Ewy zdawał się potwierdzać jej słowa. – Izrael nie wydaje swoich obywateli.

– Wydaje, nie wydaje. W sumie nieważne. Istotne jest to, że zebrane dowody są na tyle mocne, że także w Izraelu będzie można go skazać. To ma ręce i nogi. W końcu został zamordowany Żyd, obywatel tego kraju. Byłaś kiedyś w Izraelu?

– Nigdy. Wyjazd do Hiszpanii był moją pierwszą zagraniczną podróżą. Ale, ale... – zmrużyła oczy. – Dlaczego pytasz? Zamierzasz przesłuchać Kwietkina w Izraelu?

– Chciałbym. Obawiam się jednak, że nie będzie to możliwe. Pewnie znowu poprosimy o pomoc Interpol.

– A ja mam inny pomysł – uśmiechała się tajemniczo.

– To mów. Co tym razem wykombinowałaś?

– Dzięki listom Jakubka i Rotenbauma nastąpił przełom w dochodzeniu. Wydaje mi się, że pracownicy Ambasady odnoszą się z życzliwością do prowadzonego przez nas śledztwa. Uważam, że warto to wykorzystać. Może nie będzie to zgodne z procedurami, ale spróbuję załatwić przesłuchanie Kwietkina, korzystając z pomocy Ambasady.

– Miło mi pana poznać – izraelski dyplomata zachowywał się bardzo uprzejmie. – Proszę, niech pan usiądzie – odsunął drewniane, bogato zdobione krzesło. – Po rozmowie telefonicznej z panią Ewą wiem ogólnie, czego pan od nas oczekuje, chciałbym jednak usłyszeć, w czym konkretnie mogę pomóc...

– Niestety, mam do przekazania przykrą wiadomość – Pilarski położył na stole teczkę z dokumentami.

– Proszę pana – dyplomata uśmiechnął się dobrotliwie – jestem Żydem i obywatelem Izraela. Cokolwiek pan powie, będzie to niewiele znaczącym epizodem w tragicznej historii mojego narodu. Czy tą przykrą wiadomością jest sprawa zaginięcia Izaaka Rotenbauma?

– Tak. Właśnie w tej sprawie przyjechałem. Z całą pewnością wiemy, że w 1996 roku Izaak Rotenbaum został zamordowany, ale pochowano go jako

Michała Jakubka. W błąd wprowadziła nas rodzina Jakubka, a zrobiła to tak dobrze, że przez długi czas sprawdzaliśmy fałszywy motyw zbrodni i myliliśmy ofiary zabójstwa. To był nasz błąd, za który bardzo pana przepraszam.

– Ależ ja się wcale nie gniewam – dyplomata rozłożył ręce. – Pomyłki każdemu mogą się przytrafić, a pan nie pomylił ofiary i zbrodniarza. To tylko faszyści mogą tak zrobić. Czy pan wie, że niektórzy Niemcy uważają się za ofiary hitleryzmu, bo ich dziadek zginął podczas wojny, spadając z wieży wartowniczej w Oświęcimiu? Czy pan to sobie wyobraża?

Pełna empatii postawa dyplomaty uspokoiła Pilarskiego.

– Tutaj jest cała dokumentacja sprawy – przesunął teczkę z dokumentami na środek stołu. – Są też pytania, które chcielibyśmy zadać Kwietkinowi. Z tym może być problem, bo dokumentacja jest w języku polskim, a wiem, że Kwietkin jest w Izraelu.

– Proszę pana – dyplomata uśmiechnął się – to żaden problem. Język polski jest w Izraelu bardzo popularny. Gwarantuję panu, że tą sprawą zajmę się osobiście. Jestem pewien, że za trzy, no, może cztery tygodnie będziemy mieli protokół tego przesłuchania.

To były najdłuższe trzy tygodnie w życiu Pilarskiego. Sprawa wyjaśnienia zabójstwa zbliżała się do końca, a to, jaki ten koniec będzie, zależało od przesłuchania, na którego przebieg policjant nie miał żadnego wpływu. Przygotował pytania, ale nie był pewien, czy izraelska policja sobie z tym poradzi? On znał wszystkie aspekty tej zawilej sprawy, a oni jedynie suche pytania.

– Czy mogę przyjechać ze swoją asystentką? – pytał przez telefon dwa dni przed upływem ustalonego terminu.

– Oczywiście – dyplomata nadal był taktowny i uprzejmy. – Miło mi będzie poznać panią Ewę.

„Ciekawe, że zapamiętał jej imię” – ten fakt zdziwił Pilarskiego.

Ze wspólnego wyjazdu nic jednak nie wyszło. Dzień wcześniej Ewa oznajmiła, że musi wracać do Poznania.

Jechał służbowym samochodem przez ulicę Krzywoustego. „Dobra droga” – konstatował, mając w pamięci niezliczone dziury i permanentny remont zakończony ledwie przed tygodniem.

– Nie będzie ta, to będzie inna – zanucił, wciskając mocno pedał hamulca.

Na poboczu drogi, na wysokości Centrum Handlowego „Korona” zobaczył ładną dziewczynę, trzymającą tabliczkę z napisem „Warszawa”. Oparł się łokciem na siedzeniu pasażera, aby otworzyć drzwi.

– Proszę, niech pani wsiada – powiedział. – Właśnie jadę do stolicy.

Dziewczyna była niezwyklej urody. Delikatna, drobna twarz, duże brązowe oczy i naturalne, proste blond włosy, sięgające ramion, musiały się podobać. Obcisła bluzeczka z dużym dekoltem i krótka spódniczka sprawiały, że wyglądała niezwykle seksownie. Jedyne makijaż wydał się Pilarskiemu zbyt mocny.

– Mam na imię Karolina – oznajmiła pasażerka. Zanim zdążył się przedstawić, otrzymał propozycję intymnego spotkania za jedyne dwieście złotych. – Możemy jechać do hotelu albo do mojego mieszkania w Oleśnicy – propozycja przyjęła konkretny wymiar.

Pilarski był zażenowany i zaskoczony. Wiedział, że wystraszy dziewczynę, kiedy powie, że jest policjantem na służbie, a rozśmieszy, udając cnotliwego małżonka.

– Jest pewien problem – powiedział dyplomatycznie.

– Jaki problem? Problemy są po to, by je rozwiązywać.

– Ale nie w tej konkretnej sytuacji – płynnie zmienił pas ruchu, wyprzedzając pełznące cinquecento.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jestem księdzem – swoimi słowami Pilarski zdziwił się bardziej od Karoliny, która wyraźnie się ożywiła.

– No to będzie tak jak w *Ostatnim kuszeniu Chrystusa* – przymknęła lewe oko. – Zna ksiądz ten film?

– Nie znam, tylko o nim słyszałem. Kuria zabrania oglądania takich

filmów.

– Takich, to znaczy jakich?

– Do czego pani zmierza?

– Do randki z księdzem, to chyba oczywiste. I niech ksiądz nie udaje, że nigdy nie miał kobiety albo że nigdy żadnej nie pożądał.

– A jeśli powiem, że nie?

– To nie uwierzę. Ksiądz jest tylko człowiekiem i Chrystus nim był. Dlaczego ksiądz udaje, że sprawy seksu go nie interesują? To przecież ludzkie.

– Droga pani Karolino – Pilarski wziął głęboki oddech. – Do tej pory to ja pouczałem, a teraz widzę, że role się odwróciły. Pani wiedza i słownictwo każą mi przypuszczać, że przed chwilą opuściła pani klasztorne mury bardzo postępowego zakonu.

Zatrzymali się na parkingu jednej z trzech restauracji w Borowej.

– Jest ksiądz w błędzie – mówiła przy stoliku. – Nigdy nie byłam w zakonie, ale wychowałam się w katolickiej rodzinie. To z domu wyniosłam tę wiedzę.

– Nie będę z panią polemizował. Poglądy ma pani zdecydowane, ale radziłbym nieco pokory w ich prezentowaniu. Nie można uogólniać. Jak sama pani powiedziała, księża są tylko ludźmi, a ludzie mają różne przywary i czasem ulegają pokusom.

– Czasem? – Karolina zaśmiała się głośno. – Ksiądz chyba żartuje. To raczej reguła niż sporadyczne przypadki. Moja znajoma ma pięćdziesiąt lat, ale nadal jest atrakcyjną kobietą. Wysoka, szczupła i wysportowana, musiała być w młodości niezłą laską. Grała w siatkówkę na Śląsku w klubie, który już nie istnieje. Po jednym z meczów podszedł do niej facet około czterdziestki i powiedział, że chce porozmawiać. Umówili się na spotkanie przy kawie. „Kupię ci mieszkanie, będziesz miała dożywotnią pensję i niczego ci nie zabraknie” – oznajmił. Krótko mówiąc, zaproponował jej sponsoring.

– OK, ale co to ma wspólnego z tematem naszej rozmowy?

– Ma. Nieznajomy, jak się okazało, był katolickim biskupem. Czy to jeszcze mało?

Pilarski zamilkł, a chwilę, w której powiedział, że jest księdzem, uznał za bardzo niefortunną.

– Może to i dobrze, że księdza spotkałam – Karolina zmieniła nagle ton głosu i temat rozmowy. – Studiuję ekonomię, ale sama muszę się utrzymać. Do Anglii wyjeżdżać nie zamierzam, no to skąd mam wziąć na życie i studia?

– Nie wiem – przywołał kelnera – ale radzę poszukać innej pracy. Na mnie już czas – podał rękę na pożegnanie. – Miło było panią spotkać.

Przez resztę drogi rozmyślał o spotkaniu z Karoliną i zastanawiał się, dlaczego nie skorzystał z jej propozycji. Wjeżdżając do Warszawy, już znał odpowiedź.

– Ewa – powiedział półgłosem, stojąc na czerwonych światłach.

– A gdzie jest pani Ewa? – izraelski dyplomata był zawiedziony, że Pilarski zjawił się sam. – Bardzo chciałem ją poznać.

– Obowiązki zatrzymały ją we Wrocławiu.

– Wielka szkoda, wielka szkoda – dyplomata uprzejmym gestem zapraszał do niewielkiego pomieszczenia, mającego pełnić funkcję sali projekcyjnej. – Obejrzymy nagranie z przesłuchania Wiktora Kwietkina, który, jak pan wie, odsiadywa w Izraelu karę dożywotniego więzienia. Pewnie się pan zdziwi, ale nie mieliśmy problemów z nakłonieniem go do mówienia, chociaż... Właściwie można się było tego spodziewać. Dożywocie i pewność, że Izrael nie wydaje swoich obywateli, utwierdziły go w przekonaniu, że już nic gorszego nie może go spotkać. Kwietkin odpowiadał chętnie. Myślę, że chciał zrzucić z siebie część winy za zło, jakie w życiu wyrządził. A ma na sumieniu niemało, oj, niemało – dyplomata wyjął z czarnej skórzanej teczki zadrukowaną kartkę papieru. – Poprosiłem nasze służby o przygotowanie krótkiego CV Kwietkina – spojrział wzrokiem, w którym było oczekiwanie na pochwałę.

– O, to miło z pana strony – Pilarski bezbłędnie odczytał stan ducha swojego rozmówcy. – Z góry za to dziękuję.

– Niech pan posłucha, co napisali – dyplomata, ugłaskany pochwałą, założył okulary i zaczął czytać: – Kwietkin urodził się i dorastał w Polsce, do której jego rodzice przyjechali w roku 1956. Kilka lat później rozeszli się, a

ojciec z nową żoną wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Matka z synem zostali w Polsce, ale w latach osiemdziesiątych Wiktor uciekł do RFN, a stamtąd do USA. Miał zieloną kartę i mógł ułożyć sobie życie, ale nie wykorzystał tej szansy. Skontaktował się z rosyjską mafią, z którą w końcu popadł w tak poważny konflikt, że powrócił do Polski. Tutaj jednak naraził się mafii pruszkowskiej i był notowany przez policję, więc uciekł do Izraela. Mógł to zrobić, bo jego ojciec był z pochodzenia Żydem. Kwietkin nie mówi po hebrajsku, język angielski zna słabo, a po rosyjsku tylko świetnie przeklina. Język polski za to zna bardzo dobrze – dyplomata podał kartkę Pilarskiemu. – Za chwilę sam się pan przekona, jakiego typu jest to człowiek. Takich to nawet strażnicy więzienni się boją – włączył komputer i włożył płytkę DVD.

Wkrótce ciekłokrystaliczny ekran wypełniła opalona twarz mężczyzny o niebieskich oczach i jasnych kręconych włosach. Wydatny orli nos zupełnie nie pasował do owalnej, niemal okrągłej twarzy. „Strusie jajo” – Pilarski przypomniał sobie słowa, które usłyszał w Alicante. „Dobre porównanie”.

– *Musiałem uciekać z Ameryki, bo byłem w złym towarzystwie – mówił Kwietkin. – Poznałem Ruskich, którzy przyjechali do Stanów, a że mieli żydowskie pochodzenie, to przyjęli mnie jak swego. W Ameryce mało mówiłem po angielsku. Rozmawialiśmy po rusku, a z ojcem i macochą po polsku. Ojciec chciał wysłać mnie do szkoły, ale mnie to nie interesowało. Z Ruskimi śmialiśmy się z włoskiej mafii. Wszyscy się ich bali, a oni byli słabi i miękczy jak wata. Oni tylko gadać potrafili. Kiedy zabiliśmy kilku, reszta szybko stała się uczciwymi ludźmi.*

– *Kogo zabiłeś w Stanach? – jeden z oficerów prowadzących przesłuchanie odhaczył pytanie na kartce.*

– *Zabijałem tylko złych ludzi. Nie chcę o tym mówić.*

– *Trudno było ci zabić człowieka? – pytał zza kadru ten sam głos.*

– *Jak człowiek był zły, to zabić było łatwiej niż psa – twarz Kwietkina wykrzywił grymas pogardy. – Z pistoletu zabić łatwo. Wszystko jedno, czy z tłumikiem, czy bez. Uciekłem z Ameryki, bo poszło o dziewczynę. Monika miała piękny głos. Śpiewała w knajpach, ale chciała to rzucić i zostać piosenkarką. Tym z mafii zależało jednak na jej dupie, a ja ją kochałem. Chcieliśmy uciec do Polski. Tam jeszcze żyła moja matka i była jej rodzina.*

Nie mieliśmy pieniędzy na bilet. Wtedy poznałem człowieka, który powiedział, że jest w Polsce sprawa do załatwienia. Dał trzy tysiące dolarów i adres w Monachium. Tam miałem się dowiedzieć, co to jest za sprawa, i dostać zaliczkę. Do Niemiec przylecieliśmy z Moniką w czerwcu. W Monachium umówiono mnie na spotkanie w Olympiapark. Od człowieka przedstawiającego się jako Filip otrzymałem zdjęcie mężczyzny, którego miałem zabić, jego adres we Wrocławiu, pięć tysięcy dolarów zaliczki, kluczyki do escorta i numer telefonu w Kanadzie. Miałem tam zadzwonić po wykonaniu roboty.

„Dzwoni listonosz, przesyłka została doręczona, wracam na pocztę” – do dziś pamiętam te słowa. Właśnie taką wiadomość kazano mi przekazać. Dostałem też klucze do skrytki pocztowej w centrum Monachium, z której miałem odebrać trzydzieści tysięcy dolarów tydzień po wykonaniu roboty. Już wtedy przeczuwałem, że mogę zostać wykiwany, dlatego zapisałem numery mercedesa, którym odjechał Filip. Zatrzymaliśmy się na nocleg w Legnicy, u siostry Moniki. Następnego dnia sam pojechałem do Wrocławia. Do spotkania z Siergiejem włóczyłem się po mieście, a później pojechaliśmy na Sępólno.

Początkowo wszystko szło zgodnie z planem, bo Siergiej obserwował faceta przez dwa tygodnie. Niestety drzwi otworzył zupełnie inny mężczyzna niż ten z mojej fotografii. Trzymałem w ręku pistolet gotowy do strzału, ale błyskawicznie podjąłem decyzję, że go nie użyję. Wtedy zostałem zaatakowany. Nie miałem wyboru. Strzeliłem prosto w serce, a później kilka razy w twarz, aby nie można było rozpoznać ofiary. Nie wiedziałem, co mam dalej robić. Najpierw chciałem poczekać na tego, którego miałem zabić, ale w końcu ściągnąłem z ręki trupa zegarek, zabrałem jego dokumenty, skórzaną teczkę i spokojnie opuściłem mieszkanie. Do Kanady zadzwonił Siergiej, a ja cztery godziny później byłem już w Niemczech. Wieczorem dotarłem do Erlangen. Zatrzymałem się u ukraińskich emigrantów, których adres otrzymałem od Siergieja. Zanim poszedłem spać, zajrzałem do paszportu i dowiedziałem się, że zabiłem Izaaka Rotenbauma, obywatela Izraela. W teczce znalazłem list od Michała Jakubka. Przeczytałem go i wiedziałem, że zostałem oszukany. Jakubek i Rotenbaum byli starymi znajomymi i dobrymi ludźmi, a mnie powiedzieli, że mam zabić wojennego zbrodniarza. Wiedziałem, że nie dostanę tych trzydziestu tysięcy dolarów. Do Monachium pojechałem dopiero po dwóch tygodniach. Tak jak

przypuszczałem, skrytka pocztowa była pusta. Skontaktowałem się z Siergiejem, który obiecał pomoc w odszukaniu Filipa. Po tygodniu znalazłem jego prawdziwe nazwisko, adres i numer telefonu. Kiedy zadzwoniłem, był kompletnie zaskoczony. Zapytałem, czy woli, abym go zamordował, czy przekazał policji zdjęcie jego mercedesa, które zrobiłem podczas spotkania. Od razu zgodził się oddać dług. Umówiliśmy się w Hirschgatren o szóstej po południu. Ja byłem tam już od rana – Kwietkin uśmiechnął się. – Znalazłem kryjówkę w krzakach i czekałem. Trzy godziny przed spotkaniem na skraju parku zatrzymał się czarny mercedes Filipa. Wysiadł z niego mężczyzna w średnim wieku, który uważnie rozglądał się dokoła. Mercedes odjechał, a facet stał w tych samych krzakach, jakieś trzydzieści kroków od miejsca, w którym mieliśmy się spotkać. Czekał na mnie, ale pół godziny później już nie żył.

Filip przyjechał punktualnie. Udawał, że cieszy się na mój widok. Dał mi plik studolarówek i zażądał zdjęcia. Kiedy osuwał się na ziemię, miał bardzo zdziwiony wyraz twarzy. Zabierając jego dokumenty, zauważyłem metalowy znaczek wpięty w klapę marynarki. Był koloru czarnego i czerwonego, z dziwnym symbolem, jakby harpunem. Nigdy podobnego nie widziałem. Dopiero później dowiedziałem się, że to nie harpun, ale tryzub – Kwietkin poprosił o wodę.

– Przeszukałem kieszenie marynarki Filipa i do Polski wróciłem z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. Taka kasa pozwalała zmienić życie. Razem z Moniką otworzyliśmy na przedmieściach Warszawy małą restaurację i wszystko zaczęło układać się po naszej myśli. Monika zaczęła pisać listy do mojej macochy do Stanów i obie bardzo się polubiły. Interes rozwijał się dobrze aż do dnia, w którym mafia zażądała pieniędzy za ochronę. Oczywiście odmówiliśmy. Przyszli wieczorem. Zaczęli wybijać szyby, chcieli podpalić restaurację, ale byłem na to przygotowany. Ciała zakopałem w lesie, a w południe byliśmy już w Niemczech. Nie miałem wyboru. W Polsce szukała mnie i mafia, i policja. Następnego dnia przylecieliśmy do Izraela. Przez kilka miesięcy żyliśmy spokojnie, jednak kiedy zaczęły kończyć się pieniądze, nie odmówiłem wykonania kolejnego zabójstwa. Szybko zostałem złapany i skazany na odsiadkę do końca życia. Monika wyjechała do Ameryki na koszt mojego ojca i przestała się ze mną kontaktować.

– To wszystko, proszę pana – dyplomata wyłączył komputer. – Dalej są

pytania i odpowiedzi dotyczące przekraczania granicy, zdobywania fałszywych dokumentów, ukrywania broni i tym podobnych spraw. To obejrzy pan w spokoju już we Wrocławiu. Ta płytka DVD jest dla pana, a tutaj znajduje się protokół z tego przesłuchania – podał Pilarskiemu kilkanaście zbindowanych stron. – Jak pan widzi, jest wykonawca zabójstwa, który przyznał się do zbrodni i chyba z pańskiego punktu widzenia tę sprawę można zamknąć.

– Niezupełnie, bo trzeba jeszcze znaleźć zleceniodawcę z Kanady. Tego samego, do którego po dokonaniu morderstwa zadzwonił Siergiej. Chcę jednak panu podziękować za zaangażowanie i wzorcowe spełnienie naszej prośby.

– Łatwo go pan znajdzie – gospodarz odłączył projektor od komputera. – W protokole z przesłuchania jest numer w Kanadzie, na który dzwonił wspólnik Kwietkina.

– OK. A wie pan, że nie doceniałem siły i wpływów emigracji ukraińskiej?

– Powinien pan powiedzieć: nacjonalistycznej emigracji ukraińskiej – poprawił go dyplomata. – Ta emigracja nie odcięła się od swoich wojennych korzeni. Obserwuję ukraińską scenę polityczną i bardzo się wam Polakom dziwię. Mówię to jako osoba prywatna, a nie izraelski dyplomata.

– A czemu się pan tak bardzo dziwi? – Pilarski zamienił się w słuch.

– Nie wie pan? Wszyscy wasi prezydenci: Wałęsa, Kwaśniewski i Kaczyński – po każdym nazwisku prostował jeden palec prawej ręki – poparli Pomarańczową Rewolucję. Nie wiem, dlaczego nie chcieli zauważyć, że ta rewolucja miała nacjonalistyczny charakter. Dla mnie, osoby prywatnej, to bardzo dziwne. Popieraliście Blok Julii Tymoszenko i Naszą Ukrainę Wiktora Juszczenki, a przecież obie partie w sierpniu 2004 roku zorganizowały ogólnoukraińską akcję pod hasłem „Wołyń – ukraińska ziemia, OUN i UPA – nasi bohaterowie”. Ludzie z tych partii pikietowali waszą ambasadę w Kijowie i domagali się, żeby prezydent Kuczma nie przepraszał za to, co zrobiła UPA. W obu partiach znaczące stanowiska zajmują ludzie o skrajnie nacjonalistycznych poglądach. Czy pamięta pan sprawę Cmentarza Orląt Lwowskich?

– Tak, oczywiście. Głośno o tym było w mediach.

– No właśnie, no właśnie! Radni Lwowa za nic mieli apele prezydenta Kuczmy, który prosił o otwartość i dialog z Polakami. Oni zapraszali na obrady weteranów UPA, którzy z tych zaproszeń korzystali. Przychodzili w galowych mundurach, a co najważniejsze, ich głos w dyskusji bardzo się liczył. Telewizja pokazywała to wielokrotnie. Popieraliście Zachodnią Ukrainę, a byliście przeciwni tej za Zbruczem, tej Janukowycza. Wasi politycy zapomnieli, że to właśnie Ukraińcy z tamtych terenów przyjmowali polskich uchodźców, którzy uciekali przed UPA. Odnoszę wrażenie – proszę pamiętać, że ciągle jako osoba prywatna – że wasze poparcie dla Pomarańczowej Rewolucji było próbą moralnego zadośćuczynienia za kolonizację i polonizację ukraińskich ziem. To wielka polityka, panie Andrzeju. Wielka i brudna polityka.

– Żałuję, że nie mogłam być z tobą w Warszawie – Ewa krótko skomentowała relację Pilarskiego ze spotkania z izraelskim dyplomatą. – Myślę, że nie powinniśmy mieć problemów z identyfikacją właściciela telefonu w Kanadzie.

– Też tak myślę. Zwłaszcza jeśli ty przygotujesz wniosek do Interpolu.

– Możesz na mnie liczyć, detektywie – całus pieczętujący zapewnienie wylądował na policzku Pilarskiego.

W Centrum Handlowym „Korona” premier Tusk z kilkudziesięciu telewizorów odpierał ataki posłów Prawa i Sprawiedliwości w związku z raportem MAK w sprawie katastrofy smoleńskiej.

– Lubisz dzieci? – pytanie Ewy zaskoczyło Pilarskiego.

– Nie wiem, nigdy ich nie miałem – odpowiedział niepewnie. – Tak ogólnie oczywiście lubię, ale dlaczego o to pytasz?

– Nieważne. Nie potrzebujesz kremu do golenia? – szybko zmieniła temat, kiedy przechodzili obok stoiska z kosmetykami.

– John Primak, Oshawa, Oxford Street – Pilarski z naciskiem wymawiał każde słowo.

– Oshawa leży na wschód od Toronto – Ewa, która wcześniej zapoznała się z raportem Interpolu i mapą Kanady, zdawała relację. – John Primak, urodzony w 1951 roku, syn Kanadyjki ukraińskiego pochodzenia Elisabeth Sotonkiewicz i ukraińskiego emigranta Fedora Primaka. Skrajnie nacjonalistyczne poglądy, współpracownik Litopys UPA. Ma dwóch synów, żona zmarła w 1999 roku. W willi przy Oxford Street znaleziono dwadzieścia osiem listów napisanych przez Katarzynę Hryćko – emigrantkę z Polski, z którą mieszka w nieformalnym związku od 2007 roku.

– Zaraz, zaraz – policjant zmarszczył czoło – te nazwiska już skądś znam.

– No właśnie – uśmiechała się tajemniczo. – Ja też je znam. Nieskromnie przypomnę, że znasz je dzięki mojej pracy. Ty ciągle o tym zapominasz.

– Oj tam, oj tam – Pilarski machnął ręką. – Od razu zapominasz.

– Fedor Primak był dowódcą sotni, która zginęła w podziemnym bunkrze na stokach Rabińca – Ewa odświeżała pamięć kolegi. – Jakubek ich wytropił, a Rosjanie wysadzili wejście do bunkra. Tylko Primak się wtedy uratował. Pamiętasz *Michała*?

– A mówią, że łajdactwo nie popłaca – Pilarski przypomniał sobie, że Primaka uratowała noc spędzona z Hucułką.

– To tylko wyjątek, który potwierdza regułę.

– Jaką regułę?

– Taką, że tylko jedno wam w głowie.

– Gdyby tak nie było, świat przestałby istnieć – Pilarski odciął się. – A wy nie udawajcie, że z tego powodu bardzo jest wam źle. A więc zabójstwo zlecił syn Fedora Primaka. Nazwisko Hryćko także obito mi się o uszy. Nie pamiętasz, w jakich okolicznościach?

– Oczywiście, że pamiętam. To nazwisko Klaudii.

– Tej, która była na pogrzebie Jakubka?

– Tej samej.

– Primak, Hryćko, Jakubek – Pilarski zamyślił się. – Co, u diabła, łączy te trzy osoby?

– Katarzyna Hryćko, córka Katryny Basłak, ojciec nieznany. Urodzona 10 maja 1947 roku w Porohatem Wyżnem. Boże ty mój! – Ewa nie potrafiła opanować emocji, czytając dostarczony właśnie dokument. – Przecież matka Klaudii jest córką Michała Jakubka. Pamiętasz jego wspomnienia, które przyniosła Dorota? Pisał, że w maju 1947 roku podczas akcji „Wisła” polski oficer zastrzelił Katrynę podczas porodu...

– Oczywiście, że pamiętam. Jakubek nie wspomniał jednak, że dziecko przeżyło.

– Ale nie napisał też, że umarło.

– No dobrze, przyznaję ci rację. Jak jednak wytłumaczysz fakt, że nici służbowego i prywatnego życia Jakubka spotkały się w Oshawa? Hej, do ciebie mówię, odezwij się.

Ewa nie reagowała. Bez reszty była zatopiona w lekturze kserokopii odręcznie zapisanych kartek, dołączonych do raportu Interpolu.

– To nie był przypadek, Andrzej – powiedziała po dłuższej chwili. – Przejrzałam pobieżnie listy Katarzyny Hryćko do Johna Primaka. W większości nie zawierają one szczególnych informacji. Katarzyna pisze o problemach rodzinnych, o kłopotach z dorastającą córką, o niskich zarobkach, jednak w jednym z listów informuje o częstych, chociaż przelotnych spotkaniach podczas spacerów z sympatycznym starszym panem. W lipcu 1996 Katarzyna Hryćko napisała bardzo emocjonalny list, którego fragment ci przeczytam:

Z żalem piszę do Ciebie, że mój znajomy ze spacerów został zamordowany. To było brutalne zabójstwo, a w całej dzielnicy aż huczy od plotek. Ludzie gubią się w domysłach na temat przyczyn tej zbrodni, a przeważa ten, że był to napad rabunkowy.

Sępolno jest dzielnicą starszych ludzi i wielu z nich się boi. Żal mi tego człowieka. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, ale zawsze, kiedy mnie widział na spacerze, uśmiechał się do mnie. Lubiałam go i wiem, że też on darzył mnie sympatią.

– Katarzyna Hryćko pisała o swoim ojcu. Z jej listu wynika jednak, że Jakubek nie przyznał się do tego, że jest ona jego córką.

– Mnie to nie dziwi – Pilarski nie miał wątpliwości. – Jakubek chciał

uniknąć plotek i negatywnej reakcji ze strony siostry Anny i Doroty. To ludzkie i logiczne. Ciekawi mnie natomiast, w jaki sposób John Primak odnalazł Jakubka...

– Tak, to ciekawe, ale chyba nigdy się nie dowiemy.

– Więcej optymizmu, koleżanko. Aresztowanie Primaka to sprawa najbliższych dni. Wtedy będziemy wiedzieli. Na razie możemy tylko spekulować.

– To jaką masz teorię, spekulancie?

– Być może było tak, że dowództwo sotni, której oddział odnalazł Jakubka w pobliżu Porohatego Wyżnego, otrzymało jakieś informacje od Fedora Primaka. Być może skojarzono zachowanie Jakubka w górach koło Kut i w Beskidzie Niskim, dochodząc do wniosku, że to właśnie on jest odpowiedzialny za likwidację sotni na Rabińcu. Tego rzeczywiście nie wiemy. Jakubek służył w wojsku, ale kiedy wojna się skończyła, jego oddział prawdopodobnie rozformowano i ślad po nim zaginął. Nie można jednak wykluczyć, że któryś z banderowców, może nawet sam Primak, wiedział o nieślubnym dziecku Jakubka z Katryną Baślak. Miejsce deportacji Łemków z Porohatego Wyżnego na pewno nie było tajemnicą. Wystarczyło dyskretnie obserwować córkę Jakubka. Sprawa jego dekonspiracji musiała być kwestią czasu.

– Nie wierzę, aby śledzili ją bez przerwy kilkadziesiąt lat.

– A dlaczego nie? Nie twierdzę, że ktoś chodził za nią z podniesionym kołnierzem i w ciemnych okularach, ale mogli interesować się jej życiem. Być może założyli, że przyjdzie taki czas, kiedy ojciec będzie chciał pomóc swojej córce i wtedy się ujawni. No i się doczekali. Stało się to wtedy, kiedy zginął jej mąż. Resztę znamy z opowiadania Klaudii – wnuczki Jakubka. Oczywiście to tylko spekulacje, ale może nie są odległe od prawdy?

Sprawę wyjaśnienia zbrodni na Sępolnie mieli już za sobą. John Primak przebywał w kanadyjskim areszcie. Został oskarżony o zlecenie zabójstwa Michała Jakubka. Zabójcy Izaaka Rotenbauma także byli za kratami. W tej sytuacji perspektywa rozstania z Ewą stała się bardzo prawdopodobna.

Siedzieli przy stoliku jednej z licznych kawiarenek na obrzeżach

wrocławskiego Rynku, ale rozmowa się nie kleiła. Mieli świadomość, że łączą ich pozazawodowe relacje i że coś z tym muszą zrobić, jednak przy stoliku panowała cisza.

– Zatańczymy? – płynąca z głośników *Lady in red* zmobilizowała Pilarskiego do działania.

– *Is dancing with me* – Ewa i Chris de Burgh niespodziewanie stworzyli piosenkarski duet.

– *Cheek to cheek?* – spojrzała zalotnie.

– Cziki tu cziki? Nie rozumiem.

– Policzek przy policzku, głuptysku – dotknęła palcem jego nosa.

Tańczyli, odmierzając upływający czas liczbą niewypowiedzianych słów.

– Pytałam kiedyś, czy lubisz dzieci. Pamiętasz?

– Pamiętam. Nie powiedziałaś wtedy, dlaczego o to pytasz.

– Chciałam się dowiedzieć... – jej odpowiedź przerwał buczone komórki Pilarskiego.

– Cholera – zaklął. Sięgnął po telefon, nie przestając tańczyć. – Pilarski, słucham – prawą ręką obejmował Ewę, a lewą trzymał przy uchu. – Kto? Manug? A, pani Romana. Tak, tak, pamiętam. Kiedy? W drugiej połowie sierpnia? Dobrze, porozmawiam z Ewą i oddzwonię. Do widzenia – wyłączył telefon. – Pani Romana Manug organizuje wycieczkę do Kut i zaprasza nas do wzięcia w niej udziału. Ja jestem za, a ty?

– Ja też – odpowiedziała bez chwili wahania.

– No to jedziemy – pocałował ją szarmancko w rękę, dziękując za taniec. – Najpierw jednak muszę odpocząć. Zapowiadają ładną pogodę i chyba wybiorę się nad jezioro.

– Wędkowanie?

– Nie, żeglowno. Jezioro Powidzkie. To blisko Poznania. Wpadnij na kilka dni – na odwrocie wizytówki zapisał adres.

– Może wpadnę – schowała kartonik do torebki. – A pytając o dzieci, chciałam się dowiedzieć, czy moglibyśmy zamieszkać we troje: ty, ja i Monika.

Pilarski zacumował i sklarował żaglówkę, pozdrowił wędkarza wypływającego z zatoki na wiosłowej łodzi i wszedł do przyczepy. W łódźce znalazł jedynie masło i twaróg. Nie miał wyjścia, dzisiaj musiał stołować się w barze. Idąc przez opustoszały kemping, zauważył mały namiot, którego z rana nie było. „Dziwne” – pomyślał. „Prawie koniec lata i jeszcze ktoś przyjechał”.

Zamówił barszcz i ruskie pierogi. Wziął sztucce, oddał papierowy ręcznik, pełniący funkcję serwetki i rozejrzał po obszernej sali. W rogu między ścianą a wygaszonym kominkiem siedziała kobieta, której sylwetka wydała się mu znajoma.

– No nie! – zawołał. – Ewa? – przysiadł się do niej i z niedowierzaniem pokręcił głową. – Cieszę się, że przyjechałaś – powiedział w końcu.

– Ruskie proszę! – barmanka wrzasnęła tak głośno, jakby chciała przekrzyczeć wypełnioną po brzegi, a nie przecież pustą salę.

– Zjedz coś – ociągał się z konsumpcją polanych skwarkami pierogów. – Samemu jeść nie wypada.

– Wypada – Ewa upiła łyk herbaty. – Mną się nie przejmuj. Przytyłam kilogram i od dzisiaj zaczynam odchudzanie.

Nic nie powiedział. Przekroił widelcem pierwszego pieroga i zapach ziemniaków oraz podsmażanej cebuli podrażnił ich przyjemnie.

– Rewelacja – powiedział z pełnymi ustami. – Koniecznie musisz spróbować.

– Nic z tego – pogroziła palcem. – I nie wódź mnie na pokuszenie.

– Liche to twoje lokum – ruchem głowy wskazał namiot, kiedy wyszli z baru. – Zapraszam do przyczepy.

– Więcej nie potrzebuję – rozsunęła zamek niewielkiego przedsionka. – Byle nie padało.

– Jak chcesz, ale po południu zabieram cię na wodę. Zobacysz, ile radości daje żeglowanie.

Umówili się o trzeciej przy pomoście.

Ewa przyszła punktualnie. Była ubrana tak, jak prosił – lekko, sportowo i – co było dla niego ważne – przyniosła ze sobą tenisówki.

– A tenisówki to po co? Przewidujesz zawody sportowe?

– Nie, ale sprawdź, czy od spodu są czyste.

Przyglądała się uważnie to butom, to jemu.

– Są – oznajmiła krótko. – Co to za kontrola? Jesteśmy w muzeum, czy co?

– I tym razem nie – uśmiechnął się. – Względy bezpieczeństwa, moja droga.

– Straszysz mnie? Chcesz powiedzieć, że coś nam grozi?

– Nie straszę – sprawdzał naciąg want – ale jestem przewidujący.

Usiadła w kokpicie, tak jak ją o to poprosił. Korzystny wiatr sprawił, że już po chwili byli daleko od brzegu. Bliskość wody, wścibskie rybitwy, płochliwe perkozy i zadziorne łabędzie, pilnujące potomstwa, co chwilę powodowały spontaniczne wybuchy jej radości. Łagodny zachodni wiatr zmuszał do halsowania.

– Dlaczego płyniemy raz w lewo, raz w prawo? – zapytała.

– Bo chcemy dopłynąć do Powidza, a właśnie z tamtej strony wieje wiatr. Takie pływanie raz w lewo, raz w prawo, jak to ładnie powiedziałaś, nazywa się halsowaniem.

Dojście do kei, którą był dziurawy pomost dawnego przykościelnego pola namiotowego w Powidzu, wykonał wzorowo i razem ruszyli na zakupy.

– Uważaj na te deski – ostrzegał. – Są spróchniałe.

– Kartofle, boczek i cebula? – dziwiła się, kiedy te produkty kupował w wiejskim sklepie. – Co z tego będzie?

– Zobaczysz – uśmiechnął się tajemniczo. – Po południu zapraszam na grilla.

Umył ziemniaki, obrał je i przekroił na pół. Boczek i cebulę pokroił w plastry i włożył między połówki ziemniaków. Tak przygotowane kuleczki zawinał w folię aluminiową i położył nad żarzącym się węglem.

– Co jest w tych sreberkach? – zapytała, kiedy po kwadransie pojawiła się obok przyczepy.

– Tajemnica – powiedział, przewracając kuleczki na drugą stronę. – Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

Nie pomylił się.

– Fantastyczne – przyznała. – Pierwszy raz jadłam coś takiego.

– Cieszę się – odstawił grill do ostygnięcia. – Nie jest ci zimno? To już koniec lata, prawie wrzesień.

– Od Hanki zimne wieczory i ranki? – przypomniała popularne przysłowie. – Nie, nie jest mi zimno.

– Nie powiedziałaś, na jak długo przyjechałaś.

– Sugerujesz, że powinnam odjechać? Już ci się znudziło moje towarzystwo?

– Nie o to chodzi – zachnął się. – Chciałem ci pokazać jezioro. Jest duże, a ponieważ wszystko zależy od pogody, trzeba by to jakoś zaplanować.

– A przez kilka dni zniesiesz moje towarzystwo?

– Nawet przez kilka tygodni.

– A miesiące i lat?

– Muszę się zastanowić – dotknął nosem jej nosa.

Siedzieli obok siebie, wpatrzeni w kładące się do snu jezioro.

– Na mnie już czas – oświadczyła nagle, wstając z gracją. – Dziękuję za pyszną kolację – podała rękę na pożegnanie.

– No i jak? – zapytał, kiedy po długim rejsie wracali na kemping. – Już się nie boisz?

– Dużo mniej – przyznała z uśmiechem. – Żeglowanie bardzo mi się podoba, ale to takie statyczne pływanie, a ja lubię ruch.

– Wolisz kąpiel w jeziorze?

– Nie wiem, czy wolę – przysłoniła oczy dłonią. – Na pewno lubię.

– No to będziesz miała okazję – wyluzował szoty i przyciągnął rumpel,

biorąc kurs na pobliską zatoczkę.

– Co robisz? – zapytała, kiedy dziób żagłówki zarył w piasek.

– Przerwę w żeglowaniu – zrzucił grot i fok. – Jesteśmy w zatoczce z piaszczystym dnem i wodą sięgającą najwyżej po szyję. To idealne miejsce do kąpieli.

– Nic z tego – przyznała ze smutkiem. – Nie wzięłam stroju.

– To kąp się nago – wzruszył ramionami – jaki problem? Jesteśmy sami, a mnie się chyba nie wstydzisz?

– Nic z tego – powtórzyła. – Zapomnij o tym.

– Ja mam zapomnieć? – wskazującym palcem dotknął własnej piersi. – To ty lubisz pływać. Ale bikini chyba masz?

– Uhhmm – kiwnęła głową.

– To pływaj w nim. Później ją zdejmiesz i wrócisz w szortach i koszulce. Chyba może tak być?

– Może – przyznała z pewnym wahaniem.

W zacisznej zatoczce byli zupełnie sami.

– Woda czysta jak kryształ – mówiła z uznaniem, zanurzając się coraz bardziej. – I nawet ciepła – ochlapywała ramiona i plecy. Oburącz zagarniała wodę, zanurzając coraz bardziej ramiona. Nagle z całej siły chlusnęła nią prosto w Pilarskiego.

– Auuu! – krzyknął. Nie był przygotowany na takie zachowanie, ale odwdzieczył się tym samym. Stali w wodzie, ochlapując się jak małe dzieci.

– Szukałaś zaczepki, no to będziesz miała – coraz energiczniej pracował rękoma.

– Wygrałeś! – krzyknęła po kilku minutach. – Poddaję się.

– Ciepła woda – mówiła, kiedy wdrapywali się na żagłówkę.

– Kilka dni temu była jeszcze cieplejsza.

– Nie podglądaj – ujęła go za ramiona i odwróciła tyłem do siebie. – Muszę się przebrać.

Stał wpatrzony w przybrzeżne trzciny, a kołysanie żagłówki pobudzało jego wyobraźnię.

– Już? – zapytał po kilku minutach.

– Już.

Siedziała na pokładzie w szortach i koszulce. Rozczesywała mokre włosy, a obok niej leżało niebieskie bikini.

Wczesnym popołudniem wybrali się na spacer.

– Pokażę ci kemping jeszcze ładniejszy od naszego – powiedział tajemniczo.

– Lubię spacerować – przystała na tę propozycję z ochotą.

Szli wąską i dziurawą asfaltową drogą, mając po prawej stronie las, a po lewej zadbane domki letniskowe.

– Teren prywatny – zwrócił uwagę na tabliczkę przymocowaną do drewnianego ogrodzenia otaczającego wiatrak. – Coraz więcej takich napisów, a przecież to obiekt zabytkowy.

– No i dobrze – powiedziała. – Przynajmniej dbają o wiatrak i się nie rozleci.

Na szczycie łagodnego wzgórza zeszli z asfaltowej drogi. Minęli maszt przekaźnika telefonii komórkowej i skierowali się do wsi. – To Ostrowo Stare – wyjaśniał. – Po lewej stronie zobaczysz bocianie gniazdo.

Kiedy wyszli zza drzew porastających wzgórze, ich oczom ukazała się olbrzymia topola. W jej konarach przez całe lata bociany budowały gniazdo, którego aktualna wysokość wzbudzała szacunek.

– Ojej! – krzyknęła Ewa, łapiąc go za rękę. – Zobacz!

– Spokojnie – uśmiechnął się – to tylko zaskroniec, i to wcale nie taki duży. Na kempingu widziałem większego.

– No to mnie pocieszyłeś! – dygotała z emocji.

Asfalt skończył się przy tablicy oznaczającej koniec wsi i ustąpił miejsca piaskowi. Szli wąską, wydeptaną ścieżką wzdłuż torów kolejki wąskotorowej. Czasem zatrzymywali się na poboczu, aby przepuścić samochody nielicznych turystów, które pędziły bez opamiętania, wzbijając

tumany kurzu.

– Chodź – ujął ją pod rękę i poprowadził przez młody las. – Coś ci pokażę.

Po krótkim marszu las przerzedził się nieco.

– Popatrz – powiedział szeptem, pokazując krzyż, wokół którego stało kilka wypalonych zniczy.

– Afrodyta – przeczytała. – I nazwisko niepolskie. Czyj to grób?

– Nazwisko jest greckie, ale to nie grób. W tym miejscu chory psychicznie chłopak zastrzelił z zazdrości córkę Eleni.

– Tej piosenkarki?

– Tak. Dziewczyna miała siedemnaście lat, chodziła do liceum plastycznego. On, jej narzeczony, był o cztery lata starszy. Rozstali się miesiąc wcześniej.

– Chodźmy stąd – przytuliła się do jego ramienia. – Boję się. To bardzo ponure miejsce.

– Wiesz, że Eleni mu wybaczyła?

– Nie – pokręciła głową. – Ja bym nie potrafiła. Za żadne skarby świata.

Nocna burza rozbudziła jego nadzieje. Był pewien, że Ewa wystraszy się nawałnicy i przyjdzie do przyczepy. Marzył, że dziewczyna poprosi o nocleg, a on oczywiście nie odmówi. Chciał nawet, żeby wiatr zerwał namiot, żeby woda zalała miejsce, w którym stoi, żeby jakiś zaskroniec, najlepiej duży, skołowany wściekłym wyciem wiatru i lejącymi się z nieba strumieniami wody, wpełzł do namiotu w poszukiwaniu zacisznego miejsca. Wszystkie te jej nieszczęścia miały być źródłem jego szczęścia. Nic takiego jednak się nie stało, a kolejny dzień przywitał go słoneczną pogodą.

– Coś pan taki barbarzyńca? – ochryply kobiecy głos wyrwał go z zamyślenia. – Co pan robisz?

Odwrócił się. Obok schludnego zadaszenia z dwoma zlewozmywakami młody mężczyzna patroszył ryby. Niewysoka kobieta z rękoma opartymi w miejscu, gdzie zwykle ludzie mają talię, z uwagą śledziła każdy jego ruch.

– Ryby skrobię. Nie widzi pani?

– Małe są. Wypuścić trzeba.

– Nie po to łapałem, żeby teraz wypuszczać – mężczyzna szlachtował kolejną ofiarę. – A co do wielkości, to pani powiem, że szprotki większe nie są.

– Ale pan skrobie ukleje!

– No i co z tego?

Ożywioną dyskusję zagłuszył serwis informacyjny płynący z radia, które ktoś włączył na cały regulator.

– ...w pobliżu Kut, na Ukrainie. W ciągu tygodnia to już drugi taki przypadek – usłyszał końcówkę wiadomości. Czekał na dalszy ciąg, ale spiker wymienił dzisiejszych solenizantów i zadedykował im *Córkę rybaka*.

Bez chwili wahania udał się do namiotu Ewy.

– Słuchałaś wiadomości? – zapytał, chociaż od celu dzieliło go jeszcze kilka kroków. „Na pewno tak” – ucieszył się, słysząc Rudiego Szuberta śpiewającego o całuskach i rybich łuskach.

– Cześć – Ewa wierzchem dłoni maskowała ziewanie, ściągając równocześnie suszący się ręcznik. – Idę do łazienki.

– O czym mówił spiker na koniec wiadomości? – przytrzymał ją za rękę.

– Puść – wyrwała się – to boli. Coś taki brutalny? Jakiś polski turysta zaginął na Ukrainie – zakładała tenisówki. – Zapomniałam ci powiedzieć, ale dwa tygodnie wcześniej w tym samym miejscu zaginęła młoda dziewczyna.

Znowu byli na jeziorze. Cieszyli się słońcem, wiatrem, żaglami i samotnością we dwoje. Podziwiali klucze ptaków ciągnących do miejsca zbiórki przed lotem na południe. W powietrzu i na wodzie czuło się pierwsze oznaki kończącego się lata.

– Zacumuj w tej zatoczce – poprosiła, kiedy wracali na kemping.

– Masz ochotę na kąpiel? – zapytał, kierując żaglówkę do brzegu.

– Mam – odpowiedziała tajemniczo.

Do połowy podniesiony miecz zarył w piaszczyste dno, fala zakołysała trzciniami. Zrzucił żagle i przycumował dziób i rufę łodzi do zgarniętych dłonią kępek trzciny.

– Łódź stoi przy kei – zameldował, stając na baczność.

– Odwróć się i nie podglądaj – siedząc upinała włosy. – Muszę się przebrać.

Niechętnie spełnił jej prośbę. Obserwował trzciny, czuł kołysanie żaglówki, szybsze bicie serca i wzrastającą adrenalinę.

„Weszła do wody” – pomyślał, kiedy usłyszał plusk. Odwrócił się i oniemiał. Stała w wodzie z założonymi na piersiach rękoma. Na pokładzie leżał złożony kostium kąpielowy.

– Namawiałeś mnie tyle razy – tłumaczyła się – że postanowiłam spróbować.

Nie zastanawiał się ani chwili. W pośpiechu ściągnął ubranie i wskoczył do wody.

– Prawda, że fajnie? – pytał, płynąc obok niej.

– Uhmhm – przyznała.

Pływali bez przerwy już od kwadransa.

– Muszę odpocząć – zakrztusił się wodą. Stanął na miękkim piasku w miejscu, w którym woda sięgała mu do piersi.

– Ja też się zmęczyłam.

Podpłynęła, objęła jego szyję rękoma, a nogi oplótła na biodrach. Widziała, że się bardzo spieszył.

– Jutro odjeżdżam – wyszeptała, zamykając mu usta zmysłowym pocałunkiem. – Dziękuję za wszystko.

Tajemnicze zaginięcia dwójki młodych turystów w miejscu, które Pilarski znał z lektury *Michała*, pobudzały wyobraźnię i skłaniały do działania. Nie było to jednak proste. Po powrocie znad jeziora wspomnienia czasu spędzonego z Ewą nie pozwalały mu na koncentrację. Nie mogąc wybrnąć z patowej sytuacji, przedłużył urlop o kilka dni, kiedy jednak wrócił do pracy, przekonał się, że absolutnie nic mu to nie dało. Przemierzał pokój wzdłuż i wszerz. Był zły na siebie. Zły za to, że nad jeziorem inicjatywa należała do Ewy, że to ona decydowała o tym, co między nimi było, a raczej – czego nie

było.

– Idiota, kretyn – powtarzał półgłosem, co na krótką chwilę przynosiło mu masochistyczną ulgę. Nawet nie zajrzał do akt dwóch nowych spraw, którymi miał się teraz zająć.

W południe zadzwonił do Obornik Śląskich. Od Romany dowiedział się, że przygotowania do wycieczki przebiegają zgodnie z planem. Potwierdził swój udział. Dowiedział się też, że w Kutach wszyscy żyją sprawą zaginięcia dwójki młodych Polaków, jednak Romana nie miała konkretnych wiadomości.

– Spekulacje, plotki, przypuszczenia – mówiła do słuchawki. – Tak naprawdę nikt nic nie wie. Ukraińska policja działa opieszale, a właściwie w ogóle nie działa. Ludzie tworzą teorie spiskowe porównywalne do tych związanych z katastrofą smoleńską.

Po obiedzie, na który składała się sucha bułka z plastrem żółtego sera i butelka wody mineralnej, doszedł do wniosku, że na własną rękę zajmie się tą sprawą. Na własną nie znaczy, że sam. Ewa była zbyt cennym współpracownikiem, a prywatnie zbyt lubianym, żeby nie powiedzieć: pożądanym człowiekiem, aby bez niej chciał zmierzyć się z nowym wyzwaniem.

– Co u ciebie? – pytał wieczorem przez telefon, siedząc w wygodnym fotelu. – Naprawdę? – udawał zdziwionego, słysząc o najlepszych wakacjach w jej życiu. Po kilku grzecznościowych formułkach i wysłuchaniu problemów wychowawczych z Moniką przedstawił swoje plany. – Wchodzisz w to? – zapytał wprost. – Bardzo się cieszę – odpowiedział, kiedy usłyszał, że tak. – Na początek postaraj się o nazwiska i adresy zaginionych osób, OK?

Ewa oznajmiła, że dwa dni jej na to wystarczą, a za trzy obiecała przyjechać do Wrocławia.

Przyjechała po tygodniu.

– Nie mogłam wcześniej – tłumaczyła się po wyjściu z pociągu. – Takie tam rodzinne obowiązki. Fajnie, że po mnie przyjechałeś. Mam trochę informacji w sprawie tych zaginięć. Przekażę ci je przy kolacji.

– Jestem zaproszony na kolację? – uśmiechnął się, wręczając jej bukiet polnych stokrotek, który trzymał za plecami.

– To dla mnie? Naprawdę? – położyła torbę na peronie. – Skąd wiesz, że lubię stokrotki? Tak, jesteś zaproszony na kolację – potwierdziła, nie czekając na odpowiedź.

Wypite wino i wspomnienia wspólnych wakacji nie tworzyły atmosfery sprzyjającej rozwikływaniu kryminalnych zagadek. Tak się przynajmniej Pilarskiemu wydawało i dla osiągnięcia zupełnie innego celu już się z tym pogodził, kiedy niespodziewanie Ewa włączyła światło.

– Agnieszka Zduńska z Warszawy i Paweł Zakonieczny z Gdyni – zdmuchnęła płomień świecy.

– O czym mówisz? Co to za nazwiska?

– Te osoby zaginęły na Ukrainie. Prosiłeś, abym się tego dowiedziała.

– Jasne – wykonał nieokreślony ruch ręką. – Zamyśliłem się, przepraszam.

– Mam adresy, a nawet telefony. Jakby co, możemy skontaktować się z ich rodzinami.

– Warszawa, Gdynia i Ukraina – Pilarski kręcił głową. – Przyznasz, że to odległe miejsca.

– Masz rację, ale już to wyjaśniam. Od ubiegłego roku jedno z biur turystycznych z Lublina organizuje wczasy pod hasłem: „Huculszczyzna – kraina, w której czas się zatrzymał”. Turnusy są od maja do września, trwają dwa tygodnie, a ich atrakcją jest to, że turyści zostają zakwaterowani w podupadłych gospodarstwach, w bardzo prymitywnych warunkach. No wiesz, bez bieżącej wody, z wychodkiem na dworze, często bez elektryczności.

– Są jeszcze takie gospodarstwa? – Pilarski obserwował smużki dymu zgaszonej świecy, w których widział symbol swoich rozwianych marzeń.

– Są. W Paliwce i Berezce koło Kut, w górach na wysokich połoninach. Niedużo ich jest, ale jeszcze się ostały. Agnieszka i Paweł wykupili takie właśnie wczasy.

– W jakich okolicznościach zaginęli?

- Tego nie wiem. Właściwie nic więcej nie wiem.
- A to biuro turystyczne z Lublina?
- Biuro nazywa się Komasznia. Ładna nazwa, prawda?
- Może być – potwierdził kiwnięciem głowy. – Jest tajemnicza, dobrze brzmi, można powiedzieć, że jest trendy.
- Jest tajemnicza, dobrze brzmi, jest trendy – powtórzyła ostatnie słowa.
- W kontekście tych zaginięć jest nawet bardzo tajemnicza. Komasznią nazywali Huculi ucztę pogrzebową połączoną z zabawą. Wyobrażasz sobie biuro turystyczne o nazwie Stypa?
- Dziwne – Pilarskiego przeszył dreszcz emocji. – Bardzo dziwne. Nie mamy wyjścia, koleżanko. Musimy odwiedzić rodziny zaginionych.

Uzgodnili, że dla przyspieszenia dochodzenia pojedą w tym samym czasie, ale każde z nich w inne miejsce. Drobnny spór o to, kto gdzie ma pojechać, rozstrzygnęli przez losowanie. Pilarskiemu wypadła Gdynia, a Ewie Warszawa.

Rodziny Pawła i Agnieszki chętnie zgodziły się ich przyjąć. Informacja, że są z policji i świadomość, że na Ukrainie niewiele się w tej sprawie dzieje, sprawiły, że obojgu udzielono odpowiedzi na wszystkie postawione pytania. Teraz z pozyskaną wiedzą oboje siedzieli przy kawie w mieszkaniu Ewy, mając nadzieję, że uda się im dojść do konkretnych wniosków.

- Słodzisz? – Pilarski podsunął cukiernicę.
- Znamy się tak długo, tyle kaw razem wypiliśmy, a ty pytasz, czy słodzę? – Ewa z niedowierzaniem kręciła głową. – W sprawach zawodowych jesteś bardzo spostrzegawczy, bystrzacha, można powiedzieć, a poza pracą – machnęła ręką – szkoda mówić. Nie wiesz, że kawy nie słodzę, nie zauważyłeś, że wczoraj byłam u fryzjera, że mam nową sukienkę i buty. Co z tobą?
- Twoje spostrzeżenia – Pilarski wsypał cukier do szklanki – to i diagnoza musi być twoja. Taki już jestem i nic na to nie poradzę – zamieszał, dzwoniąc łyżeczką.

– No właśnie. Przypadek z gatunku tych beznadziejnych – skomentowała

i jakby chcąc przypomnieć podstawowe zasady dobrego wychowania, cicho zamieszała kawę.

– Agnieszka ma dwadzieścia osiem lat – upiła łyk gorącego napoju. – Działa w Związku Harcerstwa Polskiego. Jest instruktorką, czy jakąś inną funkcyjną osobą. Nie znam się na stopniach harcerskich, ale w hierarchii tej organizacji stoi wysoko. Organizowała obozy wędrowne. Głównie w północnej Polsce na Kaszubach i Mazurach, ale była też w Bieszczadach. Jej matka mówiła, że Agnieszka bardzo lubiła góry. Pogodna, wesoła, gra na gitarze. Mam jej zdjęcie. Chcesz zobaczyć?

Potwierdził skinieniem głowy i wkrótce blondynka z krótkimi prostymi włosami i gitarą w rękach spoglądała na niego dużymi brązowymi oczyma.

– Ładna – odłożył fotografię.

– Nawet bardzo, chociaż podobno na tym zdjęciu wyszła niekorzystnie.

– Panna?

– Tak, ale ma chłopaka. Podobno z Trójmiasta czy okolic, dokładnie nie wiem.

– Może mieszka w Gdyni i nazywa się Paweł Zakonieczny?

– Nie, nie, na pewno nie. O Pawła zapytałam, ale to ktoś inny.

– Żartowałem. Paweł ma żonę i dwoje dzieci – tym razem Pilarski dzielił się zdobytą wiedzą. – Pracuje w banku jako informatyk, jego pasją są obozy wędrowne z pogranicza szkoły przetrwania. Ma kolegów, z którymi każdego roku wyjeżdża za koło podbiegunowe, gdzieś do północnej Skandynawii. Wykupują bilety w obie strony, ale karty płatnicze i pieniądze zostawiają w domu. Zabierają ze sobą plecaki i tylko to, co do nich wejdzie. Idą dwieście, trzysta kilometrów do docelowej miejscowości. Żywią się tym, co zdobędą po drodze, śpią w namiocie, zwykle w lesie, aby nie rzucać się w oczy.

– Dziwni ludzie – Ewa upiła kolejny łyk kawy. – Ja bym tak nie potrafiła. Przecież tam to tylko ugór, krzaki i wilkołaki.

– A oprócz tego wilki, niedźwiedzie, dziewicze lasy i kryształowo czyste jeziora. Zgadzam się z tobą, ale jak widać, są ludzie, których to pociąga. Nie dziwię się, że wykupili te wczasy na Ukrainie. To ich żywioł.

– No i się doigrali – Ewa uzupełniła ciasteczka, które za sprawą

Pilarskiego szybko znikwały z salaterki. – Z górami nie ma żartów.

– Znowu masz rację, ale tutaj sprawa jest dziwna. Giną młodzi, wysportowani ludzie w niezbyt wysokich górach, mniej więcej takich jak nasze Beskidy. Giną latem, przy dobrej pogodzie, prawie z dnia na dzień.

– Nie zaginęli w tym samym czasie – Ewa sięgnęła do notatek. – Oba zdarzenia dzieli dwanaście dni.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Nie mam. To luźna uwaga.

Rozważali różne aspekty tej dziwnej sprawy przez całe popołudnie, ale do konkretnych wniosków nie doszli.

– Robię kolację – Ewa spojrzała na ścienny zegar. – Zjesz coś konkretnego?

– Wszystko jedno. Nie mam szczególnych wymagań.

– Parówki i warzywa z wody mogą być?

– Oczywiście, ale o chleb to bym poprosił.

– Załatwione. Już się robi, szefie.

Od razu się jednak nie zrobiło. Wszystko za sprawą komórki, która rozdzwoniła się zanim Ewa zdążyła otworzyć lodówkę.

– Ewa Konieczny, słucham – przechyliła głowę, przyciskając komórkę do ramienia i równocześnie penetrując wychłodzone półki lodówki. – A, to pani. Poznają. Pewnie, że poznają... Co u pani? U mnie też nic nowego... Kiedy to było? Gdzie ją pani znalazła? Nie wiem, ale to ciekawe. Dobrze, odezwę się... Tak, na pewno. Dobranoc – odłożyła telefon. – Dzwoniła matka Agnieszki. No, tej, którą próbujemy odnaleźć – dodała, widząc niepewną minę Pilarskiego. – Mówiła, że przed wyjazdem na Ukrainę Agnieszka czytała *Michała*. Wczoraj pani Zduńska, sprzątając pokój córki, znalazła tę powieść i z ciekawości ją przekartkowała. Kiedy zorientowała się, że akcja toczy się na terenach, gdzie zaginęła Agnieszka, zadzwoniła do mnie. Nie sądzisz, że to interesująca sprawa? – wrzuciła parówki do wrzátku.

– Sądzę – Pilarski skubał suchy chleb. – Tak, ta sprawa jest bardzo interesująca.

– Ciekawe, skąd Agnieszka miała tę powieść? – Ewa położyła przed Pilarskim stos parujących berlinek.

– To akurat wiem.

Jedząc, opowiedział o spotkaniu ze mną. Dobrze zapamiętał słowa, które wtedy wypowiedziałem: „Może się pan zdziwi, kiedy powiem, że takich egzemplarzy wydałem blisko sto. *Michała* czytają ludzie w całej Polsce, a nawet w kilku europejskich krajach. Pożyczają sobie tekst i kopiują. Ta powieść żyje własnym życiem, a ja już dawno straciłem kontrolę nad jej dystrybucją”.

– W tej sytuacji *Michał* mógł trafić wszędzie – Pilarski wytarł usta serwetką. – Byłoby jeszcze ciekawiej, gdyby tę samą powieść czytał Paweł Zakonieczny.

Pobudzony świeżym pomysłem od razu sięgnął po telefon. Chwilę przeglądał książkę adresową i w końcu przyłożył komórkę do ucha.

– Abonent jest chwilowo niedostępny – usłyszał beznamiętny głos. – Proszę zadzwonić później.

– Nic dziwnego – skomentował półgłosem. – Późna pora, dwójka małych dzieci. Pewnie żona Pawła wyłączyła telefon. – À propos późnej pory – rzucił okiem na zegar. – Na mnie już czas.

– Niekoniecznie – Ewa uśmiechnęła się tajemniczo. – Do domu masz kawał drogi, a stąd – wskazała uchylone drzwi pokoju – do komendy tylko pięć minut. Możesz u mnie przenocować. Jeśli oczywiście chcesz.

Wziął prysznic i szybko wsunął się pod kołdrę. Ewa, zajęta czymś w kuchni, nawet tego nie zauważyła.

– Dobranoc – powiedział, licząc na inną odpowiedź.

– Dobranoc – usłyszał.

Długo nie mógł usnąć. Słyszał, kiedy brała prysznic. Oczyma wyobraźni stał obok niej, tak jak wtedy podczas kąpieli w jeziorze. W marzeniach mydlił i splukiwał jej ciało, całował ramiona. Na jego myśli nakładało się bicie kościelnych dzwonów, odmierzających godziny z dokładnością do kilku minut. Niespodziewany sen przyszedł tuż po pierwszej.

Jechali służbowym samochodem przez zakorkowany Wrocław, ale

nigdzie nie stali. Na każdym skrzyżowaniu dla wszystkich kierunków paliły się zielone światła, więc szybko znaleźli się poza miastem.

„Trzebnica 6 km” – przeczytał na tablicy i skręcił w polną, wyboistą drogę.

– Dokąd jedziemy? – twarz Ewy była blada jak płótno. – Boję się – spoglądała przez okno, nie mogąc dojrzeć dna przepaści. Zatrzymali się pod pochyłym dębem.

– Tam jest Wrocław – wyciągnął rękę w kierunku słońca.

– A tam? – przysłoniła dłonią oczy.

– Kuty. Nie poznajesz? Ta rzeka to... – zawahał się na moment.

– Odra?

– Nie, Czeremosz. Kuty leżą nad Czeremoszem. A tam Paliwka i Berezka. Pamiętasz?

– Tak – twarz Ewy rozjaśnił pogodny uśmiech. – Pamiętam.

– Stoimy pod pochyłym dębem – odwróciła się w stronę drzewa. – Pamiętasz pochyły dąb?

Skinął głową, że tak.

– Chodźmy – wzięła go za rękę. Szli od zagrody do zagrody, od połoniny do połoniny. Mijali baców i watahów.

*Tam to brenyt' trembity zwuk,
Szebecze liubo sopiłka.
A jak zwirna poczuje zwuk,
W czelusty pliune mu ciwka.*

– śpiewali spotykani watahowie.

*Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato!
Tam runom ich pozwólcie rósć,
Tam idźcie na całe lato.
– odśpiewywali im bacowie.*

Wąską, chybotliwą kładką przeszli nad górskim strumykiem. Rozsunęli

worinie i przez łąkę, na której Huculi układali siano w stogi, dotarli do gęstego lasu. Przedzierali się przez chaszczę, kalecząc ręce i twarze.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytał zdziwiony.

– Cicho – Ewa położyła palec na ustach. – Nie budź ich.

– Kogo?

– Ich.

Drewniana chata, sprawiająca wrażenie niezamieszkałej, stała na skraju polany. Kiedy wchodzili na werandę, jeden z drewnianych schodków załamał się.

– Stary i spróchniały – zauważyła. – Ale nic dziwnego, to już tyle lat.

– Ile? – zapytał.

– Wieczność. Chodź – odgarnęła włosy, w które wplątała się pajęczyna. Odsunęła drewniane łóżko. Spłoszona mysz wybiegła na środek pokoju i skuliła się ze strachu przy nodze koślawego stołu. Ewa stanęła pod ścianą i tupnęła trzy razy. Odczekała chwilę i znowu zrobiła to samo. Rozległo się głośne dudnienie, dom zatrzęsł się w posadach. Deski podłogi podniosły się, odsłaniając czarną czeluść. Nagle z mroku wyłoniła się zarośnięta, koścista twarz z głęboką blizną od ucha do kącika ust.

– Poznajesz mnie? – kościotrup w podartych łachmanach podszedł blisko, najbliżej. W szerokim uśmiechu pokazywał rząd pożółkłych, zżartych próchnicą zębów. – Nie poznajesz? – zachichotał szyderczo. – Przecież czytałeś *Michała!* – krzyknął i rozpląnął się w ciemności.

Obudził się zlany potem. Kościelne dzwony wybiły trzecią. Nie usnął już do rana.

– Jak ci się spało? – Ewa nakrywała do stołu.

– Koncepcyjnie – odpowiedział zdawkowo.

– To znaczy?

– To znaczy, że coś muszę sprawdzić.

Pierwszą czynnością, jaką wykonał zaraz po śniadaniu, był telefon do Gdyni. Tym razem połączył się od razu.

– Andrzej Pilarski z Wrocławia. Dzień dobry. Czy możemy chwilę porozmawiać? Dobrze. Zadzwoń za pół godziny.

Zadzwoił po kwadransie.

– Mam do pani pytanie – mówił pełnym emocji głosem. – Chodzi mi o to, czy pani mąż przed wyjazdem na Ukrainę czytał powieść o tytule *Michał*. To taka gruba, zbindowana książka... Musi pani sprawdzić? Dobrze, poczekam.

Oczekiwanie skracał bębnieniem palcami o blat stołu.

– Tak? – ożywił się nagle. – Jest na półce? No właśnie. Tak przypuszczałem... Do widzenia pani.

Kazimierz Stawski. Zmarł 14.10.1999. Żył 58 lat. Spoczywaj w pokoju – Pilarski przebiegał wzrokiem wyblakłe litery na ciemnej granitowej płycie wmurowanej w lastrikowy nagrobek. Od dnia wizyty w Rawiczu ten grób nie dawał mu spokoju. Nie wiedział, kim dla Ewy był Kazimierz Stawski i jednocześnie czuł, że musi to wiedzieć, że dla niego jest to bardzo ważne. Oczywiście najprościej byłoby wprost ją o to zapytać, ale nie miał odwagi. „Jeśli sama nic nie mówi, to widocznie ma powody” – powtarzał.

Miał nadzieję, że spotka kogoś z miejscowych i jeszcze raz o Stawskiego zapyta, ale na cmentarzu był sam.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Do umówionego spotkania miał jeszcze godzinę. Przechadzał się cmentarnymi alejkami wśród granitowych i lastrikowych nagrobków, ale nazwiska zmarłych nic mu nie mówiły. Nie wiedział, dlaczego zatrzymał się przy grobie w rogu cmentarza. Z uwagą przyglądał się lastrikowej płycie nagrobka, na której stał wypalony do połowy znicz, taki sam jak na grobie Stawskiego. Jego uwagę zwróciła granitowa płyta podobna do tamtej. Tym samym krojem czcionki jakiś kamieniarz wypisał imię Marcin. Nie było daty urodzin i śmierci, jedynie informacja, że przeżył osiem lat.

Kiedy pełen sprzecznych myśli opuszczał cmentarz, przy bramie natknął się na tę samą kobietę, co wtedy.

– Niech będzie pochwalony – nigdy niewymawiane powitanie ledwie przeszło mu przez gardło.

– Na wieki wieków, amen – kobieta przyglądała się mu uważnie. – A my to już się gdzieś widzieli – przysłoniła oczy dłonią. – Był tu pan jakiś czas temu.

– Byłem – przyznał. – Ma pani rację.

– Ma tu kogo?

– I tak, i nie. W sumie sam nie wiem.

– To ma albo nie ma? Inaczej być nie może.

– O Stawskiego pytałem, ale nie chciała mi pani nic powiedzieć.

– Bo i co tu mówić? – kobieta położyła na ziemi wiązaną sztucznych kwiatów. – Mój dobry był, to co dzień tu przychodzi. Tamten drań i pijak. Trutką na stonkę struł się. Wypity był i truciznę wypił. Myślał, że wódka. A milicji ile było! Sam prokurator z Trzebnicy przyjechał.

– Prokurator?

– A jak. Wódka w kuchni była. No nie wódka, jeno trutka zamiast wódki. W takiej samiutkiej butelce. Ludzie mówili, że jego kobity i córki palce na butelce milicja znalazła. Szukali, pytali i nic, a ludzie swoje wiedzo. Mówio, że to jej robota była.

– Żony?

– Musowo. Drań był, kobite bił, to i milicja mocno nie szukała. Ludzie swoje wiedzą, a i ja wiem. Kobita by tego nie zrobiła. Jeść trza, dzieciów ubrać, do szkoły przysposobić, a skąd pieniądze brać? Ona pracy nie miała. Po prawdzie to i on nie miał, no, czasem do roboty w polu najął się, czasem żelastwo do punktu woził, takim wózkiem, co do rowera czepiał. Co zarobił przepijał, no, nie wszystko. Dla kobity i dzieciów też troche było. Przybłęda jedna, ścierwo.

– Przybłęda? Dlaczego przybłęda? – Pilarski schylił się po kwiaty, widząc, że rozmowa zbliża się do końca.

– A tak! Cmentarz jeden jest. Ze Szczepanowa umarłych tu grzebio, z Karlikowa i Ozorkowa.

– To Stawski nie mieszkał w Szczepanowie?

– A skąd! Z Karlikowa on, ścierwo, jest. Z porządnymi ludziami leży.

Tfu! – splunęła na ziemię.

Biuro turystyczne Komasznia mieściło się w jednym z mieszkań odnowionej kamienicy w zachodniej części Lublina. *Huculszczyzna, kraina, w której czas się zatrzymał* – taki napis w okiennej witrynie zachęcał do wyjazdów na Ukrainę. Pilarski zwrócił uwagę na fakt, że ofert wycieczek do innych krajów nie było.

– Tylko Ukraina i Huculszczyzna – zauważył półgłosem. – Nie wydaje się ci to dziwne?

– Nie wiem – Ewa podziwiała uroki połonin przedstawione na wielkoformatowych fotografiach. – Wyspecjalizowali się w tym, pewnie robią to dobrze i mają zyski, to i oferty nie poszerzają. Zresztą możemy o to zapytać – nacisnęła stylizowaną klamkę.

- Myrom – ładna blondynka około trzydziestki przywitała ich wyuczonym uśmiechem. – To huculskie powitanie. Proszę, niech państwo usiądą – wskazała dwa proste drewniane krzesła.

Biuro zajmowało obszerny salon, tak zaprojektowany, aby klient już w chwili kupowania wczasów czuł klimat Huculszczyzny. Ściany od podłogi do sufitu pokryte były fototapetami przedstawiającymi wnętrza starej huculskiej chaty. Wszystkie meble pozostające na wyposażeniu biura zdawały się do niej przynależać, jedynie włączony komputer, drukarka i stacjonarny telefon wprowadzały zamęt w klimacie z minionej epoki.

– Czuję się – Pilarski nie krył zachwytu – jakbym był w Rotundzie Panoramy Raclawickiej i skansenie równocześnie.

– Robi wrażenie, prawda? – dziewczyna bez zdziwienia przyjęła pochwały kolejnych gości. – Ten wystrój wszystkim się podoba. Tak mieszkali Huculi. Ich chaty, położone samotnie na połoninach, nazywały się grazdami i miały charakter obronny. Tutaj, w mieście, z oczywistych powodów nie jesteśmy w stanie odtworzyć całej huculskiej zagrody, ale wnętrza chaty i owszem, chociaż w skromnym zakresie. Proszę zobaczyć – otworzyła szafę. – To jest *gugla*, czyli peleryna weselna. Ten bogato zdobiony kożuszek nazywa się *kieptar*, a ta futrzana czapka – *kuczma* – tak jak jeden z byłych prezydentów Ukrainy. To jest *berbenica* – wskazała drewnianą beczułkę stojącą obok kominka. – Huculi przechowywali w niej

bryndzę lub wódkę. Kominków Huculi nie mieli, tylko piece z bogato zdobionych kafli, które nazywali *hrabami*. Jeśli spojrzą państwo przez niby okno tej tapety, to zobaczą rozległe połoniny z *kolibami* dla pasterzy, *plajami* [11], *torpaszami* [12], *basztarnyki* [13] z *pryluczkami* [14]. To piękna kraina – usiadła za biurkiem.

– Pani wiedza jest niesamowita – Pilarski kręcił z uznaniem głową. – Pani tym żyje, to jest pani pasja.

– Niezupełnie – dziewczyna obdarowała Pilarskiego uśmiechem, tym razem szczerym. – To moja praca, moje obowiązki, no i wymagania szefa oczywiście.

Ewa, która przechadzała się po salonie, przyglądając się uważnie eksponatom, zatrzymała się przy toporze wiszącym na ścianie.

– Pani szef to chyba często tam jeździ – ni to zapytała, ni to wyraziła swoje przypuszczenie.

– Ten topór to *barda* – objaśniała pracownica biura – a szef nie jeździ na Huculszczyznę. On tam po prostu mieszka.

– Przeprowadził się?

– Nie, zawsze tam mieszkał.

– Chce pani powiedzieć, że właścicielem biura jest obywatel Ukrainy?

– Tak – dziewczyna wyjęła z szuflady kolorowe foldery. – Rozumiem, że są państwo zainteresowani naszą ofertą.

– Poniekąd – Ewa uprzedziła odpowiedź kolegi.

– Niestety, muszę was zmartwić. W tym roku nie mamy już wolnych miejsc. Ten region to nie Tunezja czy Egipt. Zaczynamy sezon na świętego Jurija, czyli szóstego maja, a kończymy w drugiej połowie września. Tak jak kiedyś watahowie wypasający stada owiec na wysokich połoninach.

– Chcemy tam pojechać, ale... – na biurku rozdzwonił się telefon i Pilarski zamilkł.

– Przepraszam na chwilę – dziewczyna dała znak ręką. – Milena Kuźmiuk, biuro turystyczne Komasznia – mówiła aksamitnym głosem do słuchawki. – W czym mogę pomóc? – w milczeniu słuchała swojego

rozmówcy, od czasu do czasu kiwając głową. – OK – prawą ręką wystukała coś na klawiaturze. – Skreślam pana, ale wie pan, że straci 90% kosztów? Tak, aż tyle... Nic na to nie poradzę, takie są przepisy... Rozumiem pana i współczuję, ale turnus zaczyna się za trzy dni... OK, nie przedłużajmy rozmowy. Proszę napisać podanie – odłożyła słuchawkę. – Przypadek losowy – informowała. – Czasem i tak bywa.

– Za promocyjną cenę wezmę to miejsce – Pilarski wykazał się refleksem. – No takie *last minute* niech pani zrobi – uśmiechnął się. – Bez ogłoszenia w prasie.

– Państwo poczekają – dziewczyna wystukiwała na komórce długi numer. – Dobryj den, Michaił Fedorowicz... Da, da, Milena – dała znak ręką i wyszła do pomieszczenia obok, zamykając za sobą drzwi.

– Stań przy drzwiach – Ewa w jednej chwili znalazła się przy komputerze – tylko szybko.

Jej pendrive natychmiast wylądował w gnieździe USB, a kursor myszki błyskawicznie przemieszczał po ekranie, wypełniając chwilowe postoje charakterystycznym kliknięciem. Cała akcja nie trwała nawet pół minuty. Pilarski, przywołany ruchem ręki, usiadł ponownie przy biurku.

– Co zrobiłaś? – pytał szeptem.

– Ciii – przyłożyła palec do ust.

– Załatwione – Milena wróciła do biura, uśmiechając się przyjaźnie. – Tysiąc dwieście. Połowa ceny. Wyjazd za trzy dni o szóstej rano spod biura.

– Tysiąc dwieście to połowa ceny? – Pilarski nie krył zaskoczenia. – Chce pani powiedzieć, że za dwa tygodnie pobytu w prymitywnych warunkach trzeba zapłacić dwa czteryście?

– Tak. Dokładnie dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąt.

– To strasznie dużo. Za takie pieniądze można polecieć na Wyspy Kanaryjskie.

– Wolny wybór, nie musi pan kupować. My nie narzekamy na brak klientów.

– OK, OK. Biorę te wczasy.

Ledwie wyszli z biura, Ewa dała upust nagromadzonym emocjom.

- Co ty kombinujesz? Nic nie mówiłeś, że chcesz pojechać na Ukrainę.
- Tak wyszło – nie próbował się tłumaczyć. – Ale i ty nie uprzedzałaś, że przeprowadzisz akcję w stylu Jamesa Bonda.
- Tak wyszło.
- Co właściwie zrobiłaś?
- Poczekaj, przekonamy się we Wrocławiu.
- Mam nadzieję, że biuro nie jest monitorowane.
- Nie jest. Sprawdziłam.

- Możesz mi pogratulować – Ewa nastawiła policzek, dotykając go palcem.
- Czego? – skwapliwie skorzystał z okazji.
- Skopiowałam katalog o nazwie „2010” i nie myliłam się. Mamy listy uczestników wszystkich tegorocznych turnusów, ich adresy, telefony, pesele.
- Jesteś niesamowita – objął ją i pocałował w drugi policzek. Zajęta przeglądaniem plików, w ogóle nie zwróciła na to uwagi.
- Znajdź turnusy, na których są Paweł Zakonieczny i Agnieszka Zduńska.
- Właśnie to robię.
- OK, nie przeszkadzam.
- Mam. Oba wyjazdy były w lipcu. Stalowa Wola, Konin, Drezdenko, Warszawa... – czytała kolejne miejscowości. – Jest Wrocław. Magdalena Dobrzańska z Wrocławia była na tym samym turnusie, co Paweł Zakonieczny.

Magda okazała się wysoką brunetką o niemal anorektycznej sylwetce. Nie była piękną dziewczyną, ale w jej twarzy było coś intrygującego.

- Studiuję architekturę. Jestem na trzecim roku. Mieszkam w akademiku. Pochodzę z Nowej Soli – odpowiadała krótko na kolejne pytania. Dopiero zapytana o powód wyjazdu na Huculszczyznę, dała próbkę swoich

oratorskich możliwości.

– Moja babcia urodziła się przed wojną w Kutach. Jako nastolatka dużo chodziła po górach. Wspominała Żabie, Dżembronię, Jaremcze, Krzyworównię, Zełene. Z jej opowiadań znałam te miejscowości, a wspominała je z takim emocjonalnym zaangażowaniem, z taką tęsknotą za ich niespotykanym nigdzie indziej klimatem, że sama postanowiłam to sprawdzić. Przeglądałam oferty wielu biur podróży, ale żadna z nich nie spełniała moich oczekiwań. Zwykle były to objazdowe wycieczki, w których interesujące mnie miejsca oglądało się przez szyby autokaru. Dopiero oferta Komaszni mnie zaintrygowała. Trochę się bałam spartańskich warunków i zniechęcała mnie wysoka cena, ale w końcu się zламаłam. Wczasy sfinansowali rodzice w nagrodę za dobrze zaliczoną sesję, no i pojechałam. Przyznam się państwu, że wróciłam z mieszanymi odczuciami. Miejsca, w których przebywałam, urzekły mnie swoim surowym pięknem. Gospodarze byli nad wyraz uczynni i mili – takie słowiańskie otwarte dusze, które każdemu nieba przychylią, ale opieka rezydenta i pilota... – chwilę zbierała myśli. – Nie, nie umiem tego nazwać. To wszystko było takie dziwne. Myślałam, że to moje subiektywne odczucia, ale rozmawiałam z innymi uczestnikami wyjazdu i oni czuli to samo.

– To znaczy co? – Pilarski zaznaczył coś w kalendarzu.

– Nie umiem tego nazwać. Atmosfera tych wczasów była jakaś dziwna. Czuło się, że coś wisi w powietrzu. Coś nieuchwytnego, nieopisanego i niepokojącego. Coś, co przenikało człowieka na wskroś. Nie wiem, co to było, naprawdę.

– A Paweł Zakonieczny?

– Pawła poznałam w Lublinie pół godziny przed odjazdem busa. Był wysportowany, przystojny i pełen energii. Siedzieliśmy obok siebie podczas podróży, praktycznie przez cały dzień. Zabawiał mnie rozmową. Opowiadał o wyprawach do północnej Skandynawii, o żonie i dzieciach. Spodobał mi się. Nawet żałowałam, że ma rodzinę. Rozstaliśmy się Paliwce. On zamieszkał w samotnej chacie, chyba najwyżej położonej we wsi, a ja w zupełnie innym miejscu. Pamiętam, że prosił rezydenta o miejsce, z którego najlepiej widać Rabiniec.

– Rabiniec?

– Tak. To drugi co do wysokości szczyt w paśmie Hłyniany. Ma chyba 916 metrów. Wyższa jest tylko Spensowa.

– Widziała się jeszcze pani z Pawłem?

– Nie. Nikt się już z nim nie widział. Mogę się mylić, ale intuicja podpowiada mi, że Paweł stał się ofiarą tej dziwnej atmosfery.

Po raz pierwszy Pilarski był zły na Ewę. Ostrzegła go wprawdzie, że to połączenie z dwiema przesiadkami i w dodatku w środku nocy, ale zaaferowany przygotowaniami do wyjazdu, zbagatelizował jej słowa. Ruch wahadłowy z powodu wymiany trakeji po wypadku koło Gliwic sprawił, że do Krakowa dotarli z półgodzinnym opóźnieniem. Pociąg do Dębina wprawdzie na nich czekał, ale po drodze dołożyli kolejny kwadrans i sytuacja stała się mało komfortowa.

„Mogła być bardziej stanowcza” – myślał, spoglądając co chwila na zegarek.

Była za dziesięć szósta, kiedy wysiadał na dworcu w Lublinie.

– Biuro turystyczne Komasznia – wypalił jednym tchem, dosłownie rzucając się na tylne siedzenie taksówki.

– Czytać pan nie umie? – taksówkarz złamał licznik. – Pisze jak byk, żeby nie trzaskać drzwiami.

– Przepraszam – z trudem łapał powietrze. – Jestem już spóźniony. Bus odjeżdża o szóstej.

– Tak się panu do śmierci śpieszy?

– Nie rozumiem.

– I ja nie rozumiem, po co to panu. Chłopak z dziewczyną zginęli na tej Huculszczyźnie i pan też chce? – przejechali na czerwonym świetle przez puste skrzyżowanie.

– O ile wiem, to zaginęli, a nie zginęli.

– A jaka to różnica? Miesiąc ich nie ma, to pan myśli, że żyją?

Po dziesięciu minutach szybkiej jazdy i złamaniu jeszcze kilku innych przepisów byli na miejscu.

– O, stoi ten pana samochód – kierowca ruchem głowy wskazał białego busa. – Niech pan zobaczy, jaką ma tablicę. Dwadzieścia siedem się należy.

Pilarski wręczył dwa dwudziestozłotowe banknoty i z trudem wygramolił się z ciasnego wnętrza.

– Reszty nie trzeba – powiedział, lekko zamykając drzwi.

– Bardzo panu dziękuję – usłyszał basowy głos taksówkarza. – I niech pan uważa na siebie.

Mercedes Sprinter stał z uruchomionym silnikiem. Przy odsuniętych bocznych drzwiach mężczyzna w średnim wieku palił papierosa.

– Dzień dobry, panie Andrzeju – przywitał Pilarskiego śpiewnym głosem.
– Widzę, że podróż minęła z przygodami.

– No niestety. Dwie przesiadki i prawie godzinne spóźnienie.

– Bywa, bywa. Z Wrocławia kawał drogi – mężczyzna zaciągnął się głęboko i rzucił papierosa na chodnik. – Nie dziwi pana, że znam pana imię?
– gasił niedopałek butem, wprawiając piętę w ruch wahadłowy.

– Domyślam się, że do kompletu tylko mnie brakowało.

– Dobrze się pan domyśla – mężczyzna poklepał Pilarskiego po ramieniu.
– Proszę wsiadać. Torbę niech pan położy na tylnym siedzeniu. Powinna się jeszcze zmieścić.

Bus był wypełniony po brzegi podróżnymi w różnym, najczęściej średnim wieku i bagażami upchniętymi, gdzie tylko się dało. Prawdziwa piramida toreb, plecaków i walizek piętrzyła się na czterech ostatnich siedzeniach, kompletnie zasłaniając tylną szybę. Pilarskiemu zdawało się, że ani dla niego, ani dla okazałych rozmiarów nesesera nie będzie już miejsca.

– Dzień dobry państwu – powiedział, niepewnie rozglądając się po twarzach podróżnych – i przepraszam za małe spóźnienie.

– Dzień dobry, dzień dobry – głosy powitania, męskie i kobiece, utworzyły przyjazną kakofonię dźwięków. Jakiś młody mężczyzna wziął od Pilarskiego neseser i taszczył go na tył pojazdu, z trudem przeciskając się między fotelami. Ktoś wskazał jedyne wolne miejsce w przedostatnim rzędzie. Pilot zatrzasnął boczne drzwi, chwilę naradzał się z kierowcą i bus powoli ruszył. Z głośników sączyły się dyskretnie dźwięki skrzypiec i

akordeonów grających ukraińskie melodie ludowe. Wczasowicze zacieśniali dopiero co zawarte znajomości. Pilarski – zmęczony trudami nocnej podróży, kołyszany monotonnym szumem rozmów, muzyki i samochodowego silnika – przysnął.

– Szanowni państwo – za Zamościem obudził go głos pilota – proszę o chwilę uwagi. Jedziemy do krainy Huculów, więc wypada wiedzieć, kim oni są. Może ktoś z państwa wie, kim są Huculi? – odłożył mikrofon i odwrócił się w stronę pasażerów. Jego pytanie nie doczekało się jednak odpowiedzi, więc po chwili mówił dalej: – Otóż Huculi to grupa etniczna ukraińskich górali. To wymieszana krew Wołochów, czyli mieszkańców półwyspu Bałkańskiego i miejscowej ludności. Huculi zamieszkują ukraińską i rumuńską część Karpat Wschodnich, to znaczy Gorgany, Czarnohorę, Świdowiec, Karpaty Marmaroskie i Beskidy Pokucko-Bukowińskie, do których właśnie jedziemy. Z dala od szlaków handlowych, dróg i dużych miast stworzyli Huculi w dorzeczach Czarnego i Białego Czeremoszu, górnego biegu Prutu i Cisy swoją własną, oryginalną kulturę. Żyli z hodowli i wypasu bydła oraz myślistwa. Funkcjonują różne teorie tłumaczące pochodzenie nazwy Hucul. Ja skłaniam się ku tej, która twierdzi, że słowo to jest pochodzenia rumuńskiego i oznacza opryszka. Tak, tak, drodzy państwo – pilot wziął głęboki oddech – jedziemy do krainy potomków ludzi wyjętych spod prawa. Ich przodkowie, uciekając przed wymiarem sprawiedliwości setki lat temu, osiedlali się na odludziu, w trudno dostępnych miejscach, na wysokich połoninach, tam gdzie tylko diabeł mówi dobranoc – pilot wyłączył mikrofon i pochylił się w stronę kierowcy.

Rozmawiali szeptem dłuższą chwilę, na zmianę kiwając głowami. Pilarski nie był pewien, ale wydawało mu się, że nie rozmawiają po polsku.

– Szanowni państwo – z głośników ponownie popłynęły słowa pilota – jedziemy zgodnie z planem i za pół godziny będziemy na granicy. Aby odprawa poszła sprawnie, rozdám wam teraz karty imigracyjne. Wypełnimy je wspólnie, bo na granicy nie będzie na to czasu.

– Czy to prawda – zapytała dziewczyna w beżowej sukience – że na granicy stoi się kilka godzin?

– I prawda, i nieprawda. Jeśli zaufają mi państwo, może nie być tak źle. No, piszemy, piszemy – ponaglał. – Swoje dane państwo znają. Cel podróży oczywiście turystyczny. Osoba, do której jedziemy, to Michaił Fedorowicz

Gryczko. Adres: Paliwka, kosiwskij rajon, iwanofrankowska obłast. Proszę też przygotować banknoty. Najlepiej dziesięć euro albo dolarów.

– A pieniądze to po co? – zapytał młody człowiek spod okna.

– Powiem, kiedy będzie trzeba, ale przygotujcie je teraz, żeby później nie robić zamieszania.

Po polskiej stronie granicy kolejki nie było. Celnicy sprawdzili tożsamość każdego z pasażerów, pilota i kierowcy nie wyłączając, i zabrali paszporty.

– To trochę potrwa – pilot gasił pragnienie wodą mineralną. – Sprawdzają, czy ktoś z państwa nie miał konfliktu z prawem.

Trwało około kwadransa. Celnik oddał paszporty i życzył udanej podróży.

– Uwaga, uwaga – pilot uciszał panujący gwar. – Wkładamy do paszportu kartę imigracyjną i złożony na pół banknot, żeby nie wystawał. Proszę się pospieszyć.

– Ale to jest korupcja – młody człowiek, ten sam, który upychał nesesor Pilarskiego, był oburzony.

– Myli się pan – pilot był nad wyraz spokojny. – To pragmatyzm. Oczywiście można się oburzać i moją prośbę zignorować, ale wtedy będzie tak, jak mówiła pani Iwona – spojrział na dziewczynę w beżowej sukience – a my czasu nie mamy.

Młody człowiek mamrotał jeszcze coś pod nosem, ale sięgnął do portfela. Polecenie wykonano sprawnie i po minucie wszystkie paszporty znalazły się w rękach pilota.

Ukraińskie przejście było zakorkowane. Podwójny sznur samochodów osobowych miał blisko dwieście metrów długości. Obok nich cierpliwie czekało osiem busów i dwa autokary.

Bus Komaszni nie ustawił się w żadnej z tych kolejek, tylko od razu podjechał do jednego z dwóch wolnych stanowisk i zatrzymał się.

– Mam do państwa prośbę o zachowanie absolutnej powagi – pilot stanął przodem do pasażerów. – Żadnych żartów, żadnych śmiechów czy uśmiechów. Ukraińscy celnicy bardzo tego nie lubią.

Umundurowany funkcjonariusz zjawił się po kilku minutach. Przywitał się z pilotem po polsku, zabrał paszporty i odszedł. Chociaż nie rozmawiali, czujne oko i doświadczenie zawodowe powiedziały Pilarskiemu, że obaj panowie dobrze się znają.

– Podbiją paszporty i karty imigracyjne i ruszamy – objaśniał pilot.

Podbijanie trwało dwadzieścia minut. Ten sam funkcjonariusz wręczył paszporty pilotowi, powiedział coś po ukraińsku, zsalutował i wolno odszedł do swojego biura.

– Życzył nam szerokiej drogi – informował pilot, rozdając paszporty. – Karta imigracyjna jest bardzo ważna. Proszę jej nie zgubić. Zabiorą ją państwu przy powrocie.

– No, to jesteśmy wolni – spojrzał na zegarek. – Czterdzieści minut. Nie jest tak źle – włączył radio i z głośników popłynęły dźwięki tych samych ludowych melodii.

Po godzinie dojeżdżali do przedmieść Lwowa. Mimo ekwilibrystycznych zachowań kierowcy od kilku minut bus regularnie wpadał w głębokie dziury.

– Jak państwo widzą, na polskie drogi nie można narzekać – komentował pilot. – Tak się złożyło, że dzisiaj jest 24 sierpnia – święto państwowe Ukrainy. To dzień wolny od pracy i ruch na drodze jest mniejszy.

– Mam do pana pytanie – dziewczyna w beżowej sukience podniosła dwa palce.

– Proszę pytać – pilot obrócił się bokiem do kierunku jazdy – po to tutaj jestem.

– Od kiedy przekroczyliśmy granicę, w każdej mijanej miejscowości wiszą dwie flagi. Wiem, że sino-żółta jest flagą narodową Ukrainy, ale czerwono-czarna? Przeglądałam przewodnik, ale nic na ten temat nie znalazłam. Co to za flaga?

– Na pani pytanie można odpowiedzieć krótko, ale obawiam się, że nie wszystkich ta odpowiedź zadowoli. A więc trochę historii – pilot szepnął coś na ucho kierowcy i muzyka ucichła. – Niepodległa Ukraina ma dopiero dwadzieścia lat – mówił do mikrofonu. – Muszą państwo przyznać, że wobec tysiącletniej historii państwa polskiego to naprawdę niewiele. Można zadać pytanie, skąd nagle we wschodniej Europie znalazł się blisko

pięćdziesięciomilionowy naród. Gdzie był wcześniej? Czy w ogóle był? Otóż był, ale jego historia tak się potoczyła, że sam nie mógł stanowić o swoim losie. Niestety – muszę to przyznać z żalem i wstydem – przez sześćset lat sprawcą takiego stanu rzeczy była Polska. Za sprawą Kazimierza Wielkiego ziemie, na których teraz jesteśmy, w 1349 roku zostały włączone do Polski. Z formalnego punktu widzenia wszystko wtedy było w porządku: Jerzy, książę Rusi Halickiej był szwagrem Kazimierza Wielkiego. Na wypadek swojej bezpotomnej śmierci właśnie król Polski wyznaczył on swoim następcą. Rzeczywiście książę zmarł bezpotomnie w 1340 roku, mając zaledwie trzydzieści lat. Otruli go bojarowie niezadowoleni z prowadzonej przez niego polityki. Jednak włączenie Rusi do Polski nie nastąpiło automatycznie. Polski król musiał o to toczyć z bojarami ciężkie, choć ostatecznie zwycięskie walki. Od tego momentu Ruś stała się częścią państwa polskiego. Zapewne wszyscy z was czytali *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza. Chociażby z tej powieści wiadomo, że mieszkańcy tych ziem, nazywani Rusinami, nigdy nie pogodzili się z polską okupacją. W ciągu sześciu wieków było wiele zbrojnych powstań przeciwko Polsce, ale wszystkie one zostały stłumione. Realna szansa na niepodległość pojawiła się dopiero po pierwszej wojnie światowej, jednak Piłsudski nie dotrzymał danego Petlurze słowa i państwo ukraińskie nie powstało.

– Nie mógł dotrzymać – chłopak w okularach, siedzący przed Pilarskim, przerwał monolog pilota. – Po wojnie z bolszewikami Polska nie była dostatecznie silna, aby spierać się z nimi o przyszłość Ukrainy. Piłsudski chciał pokoju za wszelką cenę, nawet jeśli miałyby to oznaczać zerwanie sojuszu z Petlurą. Przeprósł zresztą za to. Pewnie pan wie, że w maju 1921 roku stanął przed internowanymi żołnierzami Petlury i powiedział: „Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam. Tak nie miało być”.

– I co z tego, że przeprósł? – pilot był poirytowany. – Czy z tych przeprosin narodziła się wolna Ukraina? Dobrze pan wie, że nie.

– A słyszał pan o UWO [\[15\]](#)? – okularnik nie ustępował. – Prowadzili czynną walkę ze strukturami państwa polskiego, mordowali jego urzędników. Słyszał pan, o ich próbie zamachu na Piłsudskiego w 1921 roku? Słyszał pan o Piernackim – ministrze spraw wewnętrznych, zabitym przez Bandere? Polacy nie mogli zapewnić niepodległości Ukrainie, ale swoim obywatelom pochodzenia ukraińskiego chcieli dać autonomię. Jednak to UWO doprowadziło do bojkotu referendum zorganizowanego w tej sprawie.

– Czy pan się temu dziwi? – pilot zapalił papierosa, chociaż przed wyjazdem kategorycznie zabronił palenia w busie. – Każdy, będąc w swoim kraju, chce mieć prawdziwą wolność, a nie jakąś autonomię. Niech pan nie zapomina, że na tych terenach Ukraińcy byli u siebie. To ziemie etnicznie ukraińskie.

– Przestańcie, panowie – dziewczyna w beżowej sukience podjęła się mediacji. – Historia Polski i Ukrainy jest skomplikowana i każdy naród ocenia ją inaczej. Myślę, że to nie jest dobra pora na dyskusje, które rozpalają emocje. Jedziemy w końcu na wczasy, żeby odpocząć.

Pilot, udobruchany pojednawczym głosem dziewczyny, mruknął coś pod nosem, otworzył okno i wyrzucił papierosa.

– Pani Iwona ma rację – powiedział, patrząc przed siebie. – Muszą jednak państwo wiedzieć, że stereotyp Polaka okupanta i wyniosłego pana jest na Zachodniej Ukrainie bardzo powszechny. To dlatego na granicy prosiłem was o powagę. Teraz też proszę. Pamiętajcie, że pomimo cofnięcia przez Janukowycza dekretów prezydenta Juszczenki Stepan Bandera i UPA uważani są nadal za bohaterów narodowych Ukrainy. Te czerwono-czarne flagi są tego przejawem. To flagi Ukraińskiej Powstańczej Armii, pani Iwono.

Pilarski nie włączał się do dyskusji. Przypomniawszy sobie słowa Magdy Dobrzańskiej o dziwnej atmosferze tych czasów i o tym, że łączyła ją ona z pilotem i rezydentem. Przypomniawszy sobie wieczór w mieszkaniu Ewy, kiedy Biloński wymądrzał się na temat emigracji ukraińskiej. Intuicja zawodowa podpowiadała mu, że to wszystko jest jakoś ze sobą powiązane. Próbował nawet dojść do tego jak, ale w tym samym momencie przypomniał sobie słowa Bilońskiego skierowane do Ewy: „zrób herbatę, koteczku” i jego myśli podążyły w zupełnie innym, zbrodniczym wobec naukowca kierunku.

Minęli Iwanofrankowsk. W Kołomyi pilot informował kogoś przez komórkę, że będą mniej więcej za godzinę. Przejechali przez podupadłe Kuty, w których urodzeni tutaj ludzie na próżno szukać by mogli śladów przedwojennej świetności, i późnym popołudniem dotarli do Paliwki. Bus mozolnie pokonywał kamienistą drogę, aż zatrzymał się na niewielkim placu. Tam około dziesięciu osób czekało przed małym sklepikiem, popijając piwo i prowadząc ożywioną dyskusję. Na drodze, która nie kończyła się w tym miejscu, tylko dalej wspięła w górę, stało kilka konnych zaprzęgów i dwa

samochody terenowe. Podróżni powoli wysiadali z busa.

– Jesteśmy na miejscu – pilot przeciągnął się, prostując zastale kości. – Moja rola skończona. Teraz wszystkie sprawy będą państwo załatwiać u Mykoły – położył dłoń na ramieniu chudego mężczyzny, którego twarz pokrywał kilkudniowy zarost. – Można powiedzieć, że to nasz rezydent.

– *Jakij ze mnie rezident?* – Mykoła uśmiechnął się. – Zakwateruję was, pójdziemy na dwie piesze wycieczki i to całe moje zadanie. Gospodarze zaraz was zabiorą. Wylosujemy, kto weźmie kogo, chyba że ktoś z was ma jakieś specjalne życzenia. Jak będziemy mogli, to...

– Ja mam – Pilarski podniósł rękę. – Chciałbym zamieszkać tam, skąd najlepiej widać Rabiniec.

Mykoła spojrział dyskretnie na pilota, a później zwrócił się do mężczyzny i kobiety w mocno średnim wieku:

– Najlepiej to od was, prawda?

– *Swjata prawda* – oboje zgodnie kiwali głowami. – Rabiniec wszędzie widać, ale od nas najlepiej.

Mały, krępy koń ciągnął wóz kamienistą drogą, noszącą ślady płynącego nią niedawno strumienia. Żelazne obręcze kół z łoskotem pokonywały wyschnięte płytkie koryto, wypełnione różnej wielkości kamieniami.

– Trjasti – Petro uśmiechnął się pod sumiastym wąsem. – Tydzień temu, trzy dni doszcz padał i padał. Wody bagato było, w dół jak wściekła rwała.

– Trzęsie – Pilarski kiwnął głową. Z przewodnika wiedział, że Wschodnie Karpaty są miejscem, w którym niżej znad Północnego Atlantyku zatrzymywane są przez wyższe syberyjskie i że ich spotkaniu towarzyszą obfite opady deszczu.

– Pół godziny tylko i na miejscu będziem – Marija trzymała się kłonicy. – W górę to nic, koń ma ciężko jeno, no na dół jechać straszno i nebezpiečno. Pęd taki, że pohamować wóz treba.

Mijali murowane i drewniane zagrody, otoczone parkanami z ostro zakończonych sztachet. Dachy domów i przytuł w większości pokryte były eternitem, czasem ocynkowaną blachą z rdzawymi zaciekami. Przy

niektórych zagrodach widać było bardziej lub mniej zadbane warzywne grządki. Gdzieniegdzie kury i owce skubały trawę. Przez niewielki strumień z kryształowo czystą wodą co jakiś czas przerzucona była drewniana kładka.

– A to co? – Pilarski wyciągnął rękę w kierunku młodej kózki, pasącej się za ogrodzeniem. Miała na szyi trójkąt z trzech związanych ze sobą patyków.

– Mała żywocina jest – tłumaczyła Marija. – Przez worinie by uszła.

Droga biegnąca dnem głębokiej doliny cały czas prowadziła w górę. Wzgórza znajdujące się po jej obu stronach wydawały się coraz niższe, a świerkowe lasy powoli ustępowały miejsca rozległym połoninom. Drewniane worinie cięły je bezlitośnie na duże pastwiska. Na niektórych pasły się owce, krowy i konie, na innych było siano złożone w wysokie stogi.

Uwagę Pilarskiego zwróciła okazała rezydencja, położona pośrodku jednej z połonin. Rozległe parterowe budynki z grubych drewnianych bali, obszerne werandy i dachy pokryte gontem świadczyły o bogactwie ich właściciela. Zamiast lekkich worini rezydencję otaczał masywny kamienny mur. Od dna doliny kamienista droga wspinała się zakosami przez połoninę, by zniknąć za dwoma wymurowanymi z kamieni słupami, połączonymi grubą belką. Cały mur i belka przykryte były dwuspadowym, także gontowym daszkiem. Za murem, na niewielkim płaskim parkingu stały dwa samochody terenowe z przyciemnionymi szybami.

– Michaił Fedorowicz w lecie tu mieszka – Petro uprzedził pytanie Pilarskiego. – W zimie takie śniegi są, że auta nie dają rady. A on – dotknął rzemieniem końskiego grzbietu – zawsze sanoczki pociągnie.

Koń machnął ogonem, ale nie przyspieszył kroku. Dalszą część drogi odbyli już w milczeniu.

– No i na miejscu my są – Petro pokazał batem typowy huculski osedok, położony malowniczo na łagodnym wzgórzu pośrodku szerokiej w tym miejscu doliny.

– Os' i sam Rabinec – przesunął rękę w lewo.

Na przedłużeniu ręki i bata, w odległości może dwóch kilometrów wznosił się majestatycznie pokryty lasem szczyt.

Osedok Petra i Marii stanowiły chata, komora, spichrzyk, koszara, drewnia i prytuła. Chata, posadowiona na kamiennym fundamencie, niwelującym pochyłości terenu, zbudowana była ze świerkowych okrągłaków, ociosanych i zakładanych na węgiel. Dwuspadowy dach, pokryty ocynkowaną blachą, nosił ślady rdzawych zacieków, jedynie rzeźbione deski, kryjące zewnętrzne krokwie i taki sam okap pod rynnami podpowiadały, że kiedyś na dachu zamiast blachy był gont. Niewielkie daszki z przodu i z tyłu chaty chroniły dwoje okien od słońca i deszczu. Taką samą ochronę miały pojedyncze okna pomieszczeń na poddaszu. Zaimpregnowane drewno miało kolor ciemnego brązu. Kolor ten Pilarski znał z fotografii starych łemkowskich i bojkowskich cerkwi z Beskidu Niskiego i Bieszczadów. Jedynie obramowania okien i same okna pomalowano na biało. Z werandy wchodziło się do sieni biegnącej przez całą długość chaty. Sień w połowie przegrodzona była kotarą, za którą gospodarze urządzili coś w rodzaju łazienki i pralni jednocześnie. Głęboka wanna i blaszana tarka pozwalały na ręczne pranie i kąpiel, a miednica z emaliowanej blachy – na osobistą toaletę. Żeliwny piecyk opalany drewnem umożliwiał korzystanie z pomieszczenia przez cały rok. Z sieni wchodziło się do dwóch obszernych izb, a wąskie, strome schody prowadziły na poddasze. Jedna z izb zajmowana była przez gospodarzy, a drugą zaadaptowano na potrzeby turystów. Ozdobą obu izb były kaflowe piece: piec w izbie gospodarzy był większy, wymurowany z brązowych kafli w wytłaczane symetryczne wzory, z zapiekiem i piekarnikiem. Piec dla letników wykonano z białych, malowanych ręcznie kafli, a każdy z nich – co wielokrotnie podkreślał Petro – miał inny wzór.

Wszystkie zabudowania tego huculskiego osedoka połączone były drewnianym parkanem.

Marija i Petro dobiegali sześćdziesiątki. Śniada, pomarszczona skóra ich twarzy i nabrzmiałe żyły szczupłych, wręcz kościstych dłoni świadczyły o ciężkiej pracy na świeżym powietrzu.

– Tu my się porodzili, tu pożenili i tu pomrzem – Marija, wzruszona własnymi słowami, wycierała zapaską wilgotne oczy. – Bieda u nas zawsze była, teraz nie. *Groszi* [16] u nas są, ale i problema. Nic pokupić nie możem.

– A to dlaczego? – Pilarski, odświeżony zimną wodą z blaszanej miednicy i higienicznymi chusteczkami, nasączonymi jakimś perfumowanym

preparatem, które za radą Ewy przezornie zabrał ze sobą, wiercił się na twardym drewnianym krześle.

– Nie można – Petro rozłożył ręce. – Turysty nie przyjadą. Dziwne, że jechać w taką biedę chcą, a nie w luksus. My telewizor pokupili, bo prąd u nas jest, ale Michaił Fedorowicz sprzedać kazał. Sam pokupił od nas i dobre groszi jeszcze dał, no innych kupować nie pozwolił.

„Turnusy charakteryzują się tym, że turyści są zakwaterowani w podupadłych gospodarstwach, w bardzo prymitywnych warunkach, bez bieżącej wody, z wychodkiem na dworze, często bez elektryczności” – Pilarski przypomniał sobie słowa Ewy.

– Od dawna przyjmujecie turystów? – zapytał.

– Cztery roki nazad sobaczka nasza ujadać zaczęła. My z Mariją do okna podeszli i moc obcych przy worini zobaczyli. Same diwczynonki. Iść chciały, no worinie na drodze byli. Od razu widać, że obce byli. Ubrane nie tak i stali, a przecie rozłohy jeno odsunąć trza było i doroga swobodna. „Dzień dobry – powiedzieli diwczynońki, kiedy my z Mariją wyszli. – Idziemy do cerkwi w Berezce. Proszę powiedzieć, jak tam dojść?” – pytali. Polaki to były. My z Mariją dziwowali się. Nigdy polskich ludzi tu nie było. Ojciec mówił, że w wojnę Polaki tu mieszkali, ale potem nie. Wyjechali. My poprosili diwczynońki do chati. Jak raz Ljubov – doczka nasza – była i oni dogadali się. No, a potem Michaił Fedorowicz za sprawę zabrał się i turysty przybywać zaczęły i groszi też. Dwa roki turyści u nas są, to i ja po polski mówić mało potrafię. Marija tako samo. Problema z mowo nie bedzie.

No i nie było, o czym Pilarski miał się przekonać w następnych dniach. Petro posługiwał się specyficznym językiem, w którym na różnych prawach funkcjonowały słowa polskie, ukraińskie i rosyjskie. W jego mowie raz dominowały jedne, raz drugie, a Pilarskiemu nie udało się zgłębić tajemnicy, w jakiej sytuacji Petro preferuje konkretny kraj. Nie było to jednak potrzebne, ponieważ język Petra był wystarczająco komunikatywny.

– Nie będzie – Pilarski przyznał rację gospodarzowi. – A powiedz, Petro, kim jest Michaił Gryczko?

– Ja nie wiem, a i Marija tako samo. Nie wiemy, co robi, ale groszi u niego *bagato* [17]. Tartaki pokupił, turystów sprowadził, komputery do szkół pokupił, drogi naprawia. Ludziam robotu daje i lubia jego wszystkie. Eto

nasz *dobrodinik* [18]. Ludzie mówio, że w Ameryce rodina jego jest i dolary śle. Może tak być, wy jego dom widzieli.

Zmęczony całodzienną podróżą, po ciężkostrawnej kolacji, na którą Marija podała duszoną cebulę na smalcu ze skwarkami i kiszone ogórki, Pilarski z przyjemnością wyciągnął się w świeżej, pachnącej pościeli.

„Dobrze, że chociaż prąd tutaj mają” – pomyślał, gasząc nocną lampkę z plastikowym kloszem malowanym w geometryczne wzory.

Sen nadchodził szybko. Nim jednak zasnął, przypomniał sobie o SMS-ie do Ewy. Zapalił lampkę i stwierdził, że pasek zasięgu jego komórki pokazuje zero. Podszedł do okna. Pomogło i na wyświetlaczu pojawiła się jedna kreska. Bez przekonania wystukał wiadomość. Kilka prób jej wysłania spełzło na niczym, ale w końcu się udało.

„Wiadomość została wysłana” – przeczytał z ulgą i po raz drugi zgasił lampkę. Izbę wypełniły nieprzenikniona ciemność i dzwoniąca w uszach cisza.

Obudził się z bólem brzucha. Ciągłe odbijanie się przypominało, co wczoraj jadł na kolację.

– Nie jestem głodny – skłamał, kiedy zobaczył na stole zacierkę na mleku, chleb, bryndzę i zsiadłe mleko. – Może mi pani zaparzyć herbaty? – zapytał z kwaśnym uśmiechem.

– *Pochano* [19] czuje sie? – Marija z troską przyglądała się swojemu gościowi.

– Trochę.

– Ziołów moc u nas – otworzyła kredens, z którego wyjęła trzy przykryte gazą słoiki. Z każdego z nich do blaszanego kubka wsypała po łyżeczce suszu i zalała wrzątkiem. Chwilę mieszała, przyglądając się cały czas Pilarskiemu.

– Niech pije – podała parujące naczynie. – Poki garjacje.

Wypił, parząc usta.

– *Szlunok* [20] u was słabyj – zabrała ze stołu zacierkę, bryndzę i zsiadłe

mleko. – Chlib tilki niech zje.

Zjadł trzy kromki chrupiącego chleba i poczuł się nieco lepiej.

– A Petro to gdzie jest? – zapytał, szykując się do wyjścia.

– Poki rosa, trawu od świta kositi. Nedaleko.

Petro i dwaj inni mężczyźni kładli trawę w równych pokosach, posuwając się wolno w poprzek stromego zbocza. Pracę musieli zacząć o świcie, bo skoszona była znaczna część ogrodzonej woriniami połoniny.

– Dobryj den – Pilarski mile zaskoczył ich powitaniem w ich ojczystym języku.

– Dobryj, dobryj – odpowiedzieli, przerywając pracę.

– Wy to całkiem nasza mowe znajete – Petro uśmiechał się od ucha do ucha, czyszcząc kosę garścią świeżo skoszonej trawy. – Chotite sprobovati? – podał kosisko.

– A spróbuję – Pilarski podjął wyzwanie.

Lekkość i płynność ruchów, z jaką pracowali kosiarze, utwierdziła go w przekonaniu, że koszenie to może i ciężka, ale łatwa praca. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna. Ku nieskrywanej ucieście odpoczywających kosiarzy za każdym razem czubek kosy Pilarskiego nurkował tak, jakby ktoś na nim zawiesił ciężki kamień.

– No niestety – poddał się po kilkunastu nieudanych próbach. – To trudniejsze, niż mi się zdawało.

Dwaj mężczyźni naostrzyli kosy i zabrali się do pracy, tylko Petro usiadł na skoszonej trawie.

– A gdzie to tak wybiera sie? – zapytał, zapalając papierosa.

– Na mały spacer. Nie najlepiej się czuję i na Rabiniec jeszcze nie wejdem.

– Ne chodite tam – Petro zaciągnął się. – Ekskursja bude. Mykoła was poprowadzi, no same ne chodite.

– A to dlaczego?

– U nas mówia, że to dla odnich gora swiata, dla drugich prokljata. Ne chodite tam.

Przestroga Petra nie byłaby w stanie odwieść Pilarskiego od rekonesansu okolicy z Rabińcem włącznie, gdyby nie bolący brzuch i ciągle jeszcze odczuwane trudy wczorajszej podróży. To one sprawiły, że dał sobie spokój ze wspinaczką. Zadowolił się długim spacerem wzdłuż strumienia przepływającego niedaleko gospodarstwa Petra i Marii.

Mijał pojedyncze zagrody. Widział suszącą się na woriniach wełnę, przygotowaną do gremplowania i pasące się w oddali niewielkie stada owiec. Nie spotykał ludzi. Widział ich twarze ukryte za firankami. Wiedział, że jest obserwowany, ale nie spotkał nikogo, z kim mógłby porozmawiać.

Po godzinie wędrówki droga stała się szeroką ścieżką i zostawiła strumień, który zniknął gdzieś wśród drzew porastających strome zbocze. Przeszedł jeszcze kilkaset metrów, jednak zmęczenie zniechęciło go do dalszego marszu. Po namyśle postanowił, że dzisiejszy dzień potraktuje ulgowo, a nad planem dalszych działań zastanowi się wieczorem. Usiadł na kamieniu i odpoczywał.

Jego uwagę zwróciła jakaś postać, która wąską ścieżką schodziła z jednego ze wzgórz pasma Hłyniany. Wyglądało na to, że ktoś szedł do Paliwki z zupełnie innej strony, niż przywieźli go Petro i Marija. W miarę upływu czasu rozpoznawał coraz więcej szczegółów, a po kwadransie już wiedział, że to dziewczyna w dopasowanych do ciała džinsach, wypuszczonej na spodnie flanelowej koszuli, ciemnych okularach i czarnym kapeluszu z dużym rondem, spod którego wylewały się fale blond włosów sięgających do ramion. Niosła plecak i gitarę na szerokim pasie przerzuconym na skos przez ramię. Wyglądała jak młoda Dolly Parton śpiesząca na festiwal country w Paliwce, ale była jeszcze zbyt daleko, aby mógł przyjrzeć się rysom jej twarzy. Wstał, kiedy była kilka kroków od niego. Dziewczyna doceniła ten pełen szacunku gest i jej twarz rozjaśnił pogodny uśmiech. Była ładna. W każdym calu potwierdzała obiegową opinię o urodzie Ukrainek.

– Dobryj den – powiedziała, kładąc na ziemi gitarę i zrzucając ciężki plecak. – Nazywam się Ljubov Petrovna – wyciągnęła rękę na powitanie. – A ty?

– Andrzej – podał dłoń, drugą odruchowo otrzepując spodnie.

– Jesteś Polakiem? – zapytała czystą polszczyzną z niewielkim śpiewnym akcentem.

Kiwnął głową, że tak.

– Moja rodzina też przyjmuje polskich turystów – zdjęła kapelusz.

– Ja wczoraj tu przyjechałem.

– A ja dzisiaj, jak widzisz, ale gapa ze mnie to jest – pokazała w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

– Gapa? – zdziwił się.

– No. Spóźniłam się na autobus – usiadła na zwolnionym przez Pilarskiego kamieniu i rozsznurowywała wysłużone traperki. – Musiałam pojechać następnym, ale on nie jedzie przez Paliwkę. Idę z Rostoki. To kawał drogi, no i te góry – z ulgą zdjęła buty i wyprostowała nogi. – Na długo przyjechałeś?

– Turnus trwa dwa tygodnie.

– Ja na tydzień. Do rodziców.

– Sama?

– Chodzi ci o to? – pokazała dłoń z wyprostowanym palcem, na którym połyskiwała złota obrączka, i nagle spoważniała. – Tak, sama. Mąż został w domu.

– Gdzie tak dobrze nauczyłaś się polskiego?

– Naprawdę dobrze mówię po polsku?

– Uhhmm – potwierdził, kiwając głową.

– Studiowałam polonistykę na uniwersytecie we Lwowie, no i pracuję w polskim konsulacie.

– W konsulacie we Lwowie? Naprawdę?

– A co w tym dziwnego? – Ljubov wzruszyła ramionami.

– No niby nic, ale mój kolega ze studiów też tam pracuje.

– Naprawdę?

– A co w tym dziwnego? – Pilarski uśmiechnął się od ucha do ucha.

– OK, mamy remis – uniosła obie dłonie. – W jakim dziale?

– Opieki konsularnej, czy jakoś tak. Ma na imię Rafał.

– Znam Rafała. Fajny chłopak. Pracuje w Dziale Prawnym i Opieki Konsularnej. Tak to się nazywa. No ale na mnie już czas – zasznurowała buty, włożyła kapelusz i przymierzyła się do plecaka.

– Pozwól, że ci pomogę – wprawnie zarzucił plecak na swoje ramiona. Był rzeczywiście ciężki. – Idę w tę samą stronę.

– Polacy zawsze słynęli z uprzejmości wobec kobiet – zauważyła, podnosząc gitarę. – No i niektórym to jeszcze zostało.

– Co masz na myśli?

– E tam – machnęła ręką. – Takie luźne spostrzeżenia z pracy w konsulacie.

Szli powoli. Czasem chwilę rozmawiali, ale ogólnie rozmowa się nie kleiła.

– Tam – dziewczyna wyciągniętą ręką pokazała odległą zagrodę Petra i Marii, stojącą pośrodku doliny – mieszkają moi rodzice.

– Żartujesz? – przystanął z wrażenia.

– Nie żartuję. Dlaczego tak pomyślałeś?

– Dlatego, że od wczoraj mieszkam w twoim rodzinnym domu – zaśmiał się. – Kto by pomyślał. Tyle przypadków podczas jednego spaceru. Tyle miłych przypadków.

Długo nie mógł usnąć, ale nie myślał o planie działań, którego przygotowanie wielokrotnie odkładał na wieczór. Jego umysł bez reszty wypełniała córka gospodarzy. „Śliczna dziewczyna” – powtarzał w myślach. „Szkoda, że chodzi w tych ciemnych okularach. Bez nich byłaby jeszcze ładniejsza”.

Z pomieszczenia na poddaszu usłyszał dźwięki gitary. Najpierw pojedyncze akordy, jakby Ljubov stroiła instrument, a później jej śpiew. Tekstu nie zrozumiał, ale zapamiętał słowa refrenu:

*Czervonu rutu
Ne szukaj veczoramy.*

*Ty u mene jedyna,
Tyl'ki ty povir.
Bo tvoja wroda
To je czystaja voda,
To je bystraja voda
Z synych' hyr.*

Jajecznicza na słoninie i chleb z kwaśnym mlekiem, które Marija podała na śniadanie, bardzo mu smakowały. Zastanawiał się chwilę, dlaczego sam nigdy nie robił takich posiłków, ale szybko powrócił do ciągle mglistego planu, jaki dzisiaj zamierzał zrealizować.

Wiedział, że za wszelką cenę musi pójść na Rabiniec, i to w dodatku z Ljubov, jednak im dłużej o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że na Rabiniec to jednak niekoniecznie, ale gdziekolwiek z Ljubov – na pewno. Pragnienie przebywania z dziewczyną, którą ledwie wczoraj poznał, było równie wielkie jak głód, którego doświadczył po czterech dniach przymusowego postu, kiedy w młodości wycięto mu migdałki. Zdziwił się, że takie właśnie porównanie przyszło mu do głowy, ale nie zgłębiał dlaczego. Wydawało mu się, że nigdy dotąd z powodu kobiety nie doznawał aż takich emocji, kiedy jednak przywołał w pamięci kąpiel z Ewą w jeziorze – zwątpił. W dodatku zupełnie niespodziewanie przypomniał sobie słowa piosenki, które mówiły, że każda miłość jest pierwsza, najgorętsza, najszczęśliwsza i że wszystkie inne usuwa w cień, no i pogubił się zupełnie.

– Idę w góry – powiedział, kiedy zostali sami przy stole. – Pójdiesz ze mną?

– Nie mogę – odmówiła. – Muszę pomóc rodzicom przy sianie.

Wędrówka bez Ljubov wydała mu się tak mało atrakcyjna, że nie śpieszył się z wyjściem. Zrobił to dopiero o jedenastej, a później włączył się bez celu po okolicy. Wrócił wczesnym popołudniem, kiedy zanosilo się na burzę.

Dwie sześciometrowej wysokości *biłanie* [21], wkopane w ziemię i podparte z trzech stron okorowanymi drągami, już były obłożone sianem, a Petro, Marija i Ljubov uwijali się przy trzeciej. Marija grabiła siano, Petro długimi widłami podawał je Ljubov, a ona układała stóg. Stała na jego wierzchołku, trzymając oburącz grabie w taki sposób, że obejmowała biłanie

wystającą wysoko ponad jej głowę.

– Dajcie – Pilarski podszedł do Petra, który przystawał co chwilę, krzywiąc się i trzymając za plecy.

– *Hrebiet* [22] u mene słabyj – tłumaczył się, oddając widły.

Podawanie siana wydawało się Pilarskiemu czynnością najprostszą z możliwych, ale i tym razem był w błędzie. Unoszone wprost pod nogi Ljubov siano dziewczyna ledwie mogła ściągnąć z wideł.

– Oj, słaby z ciebie robotnik – śmiała się, spoglądając z wysokości. – Kiedy podnosisz siano, musisz równocześnie obrócić widły.

Po godzinie ostatni stóg był gotowy. Petro wbił widły w ziemię i trzymał tak, aby mocno przylegały do stogu. Ljubov zwinnie się po nich zsunęła.

Po obiedzie, na który Ljubov z matką zrobiły pierogi, Petro zwałił się na łóżko. To zwijał się, to prostował, próbując znaleźć pozycję, w której ból kręgosłupa był najmniej dokuczliwy. Marija, widząc, że nie może mu pomóc, poszła oporządzić zwierzęta.

– Z rana mówiłeś coś o spacerze – Ljubov sprzątała ze stołu. – Poszedłbyś jeszcze raz? Siano złożone, a burzy chyba nie będzie – wyjrzała przez otwarte okno. – Nie, dzisiaj na pewno nie będzie.

Poprowadziła go wąską ścieżką w kierunku Spensowej.

– To najwyższy szczyt w okolicy – objaśniała. – Dziewięćset siedemdziesiąt jeden metrów. Widać z niego Czeremosz, Kutu, no i oczywiście Bukowinę.

Po godzinie marszu dotarli na szczyt. Widok, który się stąd roztaczał, rzeczywiście zapierał dech w piersiach, a Ljubov okazała się znakomitą znawczynią Karpat Pokucko-Bukowińskich. Zasypywała Pilarskiego mnóstwem informacji.

– Tam na wschodzie jest Wyżnicki Park Narodowy, a tam – wyciągnęła rękę na północny-wschód – Pisany Kamień. Daleko, daleko za nim pasmo Czarnohory i Howerła. Widzisz? – dopytywała. – To najwyższy szczyt Ukrainy.

– A tam? – pokazał górę nieco niższą od Spensowej, leżącą za przełęczą nie dalej niż trzy kilometry od miejsca, w którym się znajdowali.

- Rabiniec – powiedziała bez entuzjazmu.
- Wrócimy przez Rabiniec? – zapytał. – Nie lubię chodzić dwa razy tą samą drogą.
- Może innym razem, co? – zmieszała się i pochyliła głowę. – Dzisiaj jestem zmęczona. Składanie siana dało mi w kość, a poza tym Mykoła na pewno zabierze was na Rabiniec.
- Mykoła?
- Tak. Nie znasz Mykoły?
- Nie.
- To nasz rezydent. Zajmuje się wszystkim, czego potrzebują turyści.
- Jasne, jasne. Znam. Pilot przekazał nas pod jego opiekę.
- Poza tym ludzie boją się tej góry – wyjaśniała.
- Boją się?
- Tak. Jedni mówią, że to góra święta, a inni, że przeklęta.
- Dziwne.
- Może dziwne – przyznała – a może nie? Ludzie swoje wiedzą.
- Od dawna mieszkasz we Lwowie?
- Nie mieszkam we Lwowie.
- Jak to? Przecież mówiłaś, że pracujesz w polskim konsulacie.
- Bo pracuję, ale mieszkam w Iwanofrankowsku.
- I codziennie dojeżdżasz dwieście kilometrów?
- Sto siedemdziesiąt. Nie, tylko raz w tygodniu. We Lwowie wynajmuję kawalerkę.
- I to ci się opłaca?
- Finansowo tak. Poza tym w Iwanofrankowsku nie było dla mnie pracy.
- Nie nudzi ci się wieczorami? W wielkim mieście na taką dziewczynę jak ty czyha chyba wiele pokus...
- Nie wiem, co masz na myśli, a poza tym młoda nie jestem. Trzydzieści

cztery lata to już nie jest młodość – uśmiechnęła się.

– No chyba żartujesz.

– Nie żartuję. Dużo udzielam się społecznie, jestem przewodniczącą dzielnicowego koła Naszej Ukrainy.

– To partia Janukowycza?

– Juszczenko.

– Robisz karierę polityczną?

– Wręcz przeciwnie. Zastanawiam się nad wypisaniem z partii. Nasza Ukraina jest federacją wielu ugrupowań społecznych i politycznych. Jednym z nich jest Kongres Ukraińskich Nacjonalistów. Są wprawdzie w mniejszości, ale to ich najbardziej widać i to z nimi kojarzona jest cała partia. Pracuję w konsulacie, to wiem, jak Polacy odbierają ukraiński nacjonalizm. Zdaję sobie sprawę, jaki mają stosunek do rajdu Bandery, do nazywania ulic jego imieniem, do samego Bandery i UPA. A jeszcze Juszczenko na koniec taki numer zrobił, że dekretem uznał ich za bohaterów narodowych.

– W konsulacie wiedzą, że należysz do partii?

– Wiedzą.

– I?

– Jak się domyślasz, nie mam łatwego życia.

Komórka Ewy zadzwoniła w chwili, kiedy oglądała opakowanie z jogurtem, szukając daty przydatności do spożycia.

– Ewa Konieczny – przedstawiła się jak zawsze. – A, pani Romana. Bardzo mi miło... Tak, jestem już gotowa do drogi... Już pani mówię. Pan Pilarski od kilku dni jest na Ukrainie i pewnie ma wyłączoną komórkę... Mnie też zaskoczył. Decyzję podjął niespodziewanie... Nie, nie sam. Z biurem turystycznym Komasznia... Tak, Komasznia... Dziękuję za zaproszenie, ale to dla mnie kłopotliwe. Jestem teraz w Poznaniu... OK. Trzeciego września, Oborniki, piąta rano... Tak, przyjadę pociągiem... Ojej! Dziękuję. Jeśli przekona pani kierowcę, to będę bardzo zobowiązana.

Ljubov wyjechała w niedzielę po obiedzie. Nie mówiła, dokąd i dlaczego, ale zapewniła, że wróci tak szybko, jak to będzie możliwe. Jej wyjazd wprowadził Pilarskiego w ambiwalentny stan duszy. Z jednej strony był zadowolony, bo mógł całkowicie skupić się na zadaniu, jakie miał wykonać, ale z drugiej zżerała go nostalgia. Ljubov najzwyczajniej w świecie mu brakowało.

– To dobra dziewczyna – Petro wyrwał go z zamyślenia – ta muż u niej łajdak. Ja ne pytał i Marija ne pytała, czomu ona czornyje okuljari nositi. My wiemy, Andrij. Mąż znowu ją pobił.

– To mąż ją bije? – Pilarski był poruszony do głębi. – Dlaczego?

– Wodka, Andrij. Wodka.

Pod wieczór Pilarski wybrał się na spacer, ale tym razem poszedł w dół Paliwki. Kiedy mijał rezydencję Michaiła Fedorowicza, jego uwagę zwrócił duży ruch panujący za kamiennym ogrodzeniem i kilka terenowych samochodów z przyciemnionymi szybami. Trzy z nich stały na parkingu na terenie rezydencji, a pozostałe na poboczu drogi. Pośrodku ustawionych w podkowie stołów musiał znajdować się grill. Nie widział go wprawdzie, ale charakterystyczny dym i zapach pieczonego mięsa, które południowy wiatr wciskał w dno doliny, dawały mu poszlakową pewność. Był zbyt daleko, aby rozpoznać twarze biesiadników.

Po powrocie ze spaceru swoimi spostrzeżeniami od razu podzielił się z Petrem.

– Weresen' wże. Den' narodżennja Michaiła Fedorowicza – gospodarz wiedział, w czym rzecz. – Sześćdziesiąt sześć років jemu. Goście przyjechali z Iwanofrankowska i Kołomyi. W kaźden rok przyjeżdżają. U Michaiła Fedorowicza bahato przyjacieli. Taki ten swiat, Andrij, jest – Petro położył dłoń na ramieniu Pilarskiego. – Bahato u tebe groszi, to bahato przyjacieli. Mało groszi, to i przyjacieli mało. Ludzie szeptajo, że Michaił Fedorowicz ojca w Kanadu ma. Teraz może i nie ma, bo pomrzeć mógł, ale groszi bahato jemu słał. Mateczka Michaiła Fedorowicza też pomarła. Pięć років temu. Sama całe życie była, no groszi u niej zawsze było. I ljudiam pożyczala, jak komu zbrakło, i w cerkwu remont zrobyła.

Przed pójściem spać Pilarski obliczył, że Michaił Fedorowicz Gryczko

urodził się w 1945 roku. Nic mu to nie powiedziało, więc sięgnął po egzemplarz *Michała* leżący na dnie nesesera. Miał nadzieję znaleźć jakiś ślad, jakąś wskazówkę, cokolwiek, co pozwoliłoby powiązać przeszłość z teraźniejszością. Zawodowa intuicja podpowiadała mu, że takie powiązanie istnieje, a zaginięcie dwójki młodych ludzi też ma z tym związek.

„Jak to dobrze, że rozdziały są ocechowane miejscem i czasem” – pomyślał, kartkując powieść. Rok 1945 znalazł na samym końcu. „Tylko dwie strony?” – nie krył rozczarowania. Wiedział, że nie znajdzie tego, czego szukał. Nie pomylił się. Odznaczenia żołnierzy za akcję na Rabińcu, pożegnalna kolacja wigilijna Polaków i Ukraińców, wyjazd z Kut na Ziemię Zachodnie niczego nie wniosły do sprawy. Wyprowadzenie Jakubowskiego przez nieznanych ludzi z transportu podczas postoju w Stanisławowie również nic mu nie dało. Nie dziwiło go to jednak, kiedy ponownie przypomniał sobie naszą rozmowę: „Jeśli będzie pan tę powieść czytał” – powiedziałem wtedy – „to proszę pamiętać, że powstała ona na podstawie wspomnień kilku ludzi, a postaci w niej występujące często są fikcyjne. W tym znaczeniu fikcyjne, że czasem mają cechy i doświadczają zdarzeń, które w rzeczywistości były udziałem dwóch, a nawet trzech osób. Same zdarzenia są jednak autentyczne”.

„Beletrystyka” – pomyślał. „Beletrystyka nigdy nie będzie dowodem”.

– Szanowni państwo – Romana mówiła do mikrofonu, kiedy bus wjechał na Autostradową Obwodnicę Wrocławia i hałas w jego wnętrzu wyraźnie osłabł. – Proszę o chwilę uwagi. Tę podróż planowaliśmy od dawna. Jest ona zwieńczeniem kilkuletnich kontaktów z Ukraińcami, podziękowaniem im oraz pożegnaniem.

– Dlaczego pożegnaniem? – przerwała młoda dziewczyna z trzeciego rzędu. – Nie zamierza pani już nigdy pojechać na Ukrainę?

– Nie wiem – Romana zamyśliła się – ale nasz wyjazd kończy coś naprawdę niezwykłego. Nie będę mówiła o historii osobistych kontaktów z Ukraińcami ani o dziesiątkach przeszkód, jakie musieliśmy pokonać, proszę mi jednak wierzyć, że było warto.

Niespodziewane drapanie w gardle sprawiło, że Romana musiała ratować się łykiem pepsi-coli.

– Chcę państwu powiedzieć – mówiła już po chwili – że oprócz wymiany młodzieży osiągnęliśmy coś jeszcze. Otóż we wsi Rybaki, do której teraz jedziemy, w jesienny wieczór 1944 roku, a dokładnie 10 listopada, dwie sotnie UPA zamordowały dwudziestu trzech Polaków i spaliły drewniany katolicki kościółek. Zapewne państwo wiedzą, że w tym samym miejscu, w którym była świątynia, postawiono pomnik. Przypomina on katolicki krzyż, wykonany jest z biało-czerwonych płytek, a jego główny element stanowi kamień z wmurowaną tablicą i napisem po polsku i ukraińsku: „Z Wami do 1944”. Pomysł postawienia pomnika, jego projekt i wykonanie są dziełem mieszkańców Rybak. To coś doprawdy niezwykłego.

– Czy nie za bardzo się pani tym ekscytuje? – wątpiła ta sama dziewczyna. – Jeśli są pieniądze, to postawienie pomnika nie jest chyba czymś nadzwyczajnym?

– Jest, pani Magdo. W przypadku Zachodniej Ukrainy – owszem. Wielu Polaków, którzy przeżyli kresowe ludobójstwo, nie potrafi przebaczyć i nie chce zrozumieć, że nie wszyscy Ukraińcy byli i są tacy sami. Nie potrafi, chociaż istnieje mnóstwo przykładów pomagania przez nich Polakom, ukrywania polskich sąsiadów z narażeniem życia własnego i rodziny albo ostrzegania przed atakiem banderowców. Ci z nas, którzy nie potrafią przebaczyć, też chcą stawiać pomniki. Chcą stawiać takie pomniki, gdzie wprost będzie napisane, że to UPA dokonała tych zbrodni. No i napotykają sprzeciw miejscowej ludności. W naszym przypadku takiego sprzeciwu nie było. Nasz pomnik powstał z potrzeby polskich i ukraińskich serc. Bez słów porozumiewaliśmy się w kwestiach tragicznej historii obu narodów. Oni nie wypominali nam, że zawsze byli na swojej ziemi, że to my wieki temu te tereny skolonizowaliśmy. My nie mówiliśmy nic o zbrodniach UPA. I oni, i my wiedzieliśmy o tym, ale szanowaliśmy nawzajem swoją wrażliwość na te meandry wspólnej historii.

– Ale musisz, Romka, dodać – jedna z nauczycielek biorących udział w projekcie włączyła się do dyskusji – że nie wszyscy w Rybakach są naszymi przyjaciółmi i nie wszyscy nam sprzyjają. Pamiętasz wymianę młodzieży i wyrzucenie naszych dziewczynek z domu nauczycielki języka angielskiego przez jej teściową? Od Polaczków nas wyzwała i kazała się wynosić. Dziewczynki się popłakały, ja zresztą też. Naprawdę nie wszyscy nam sprzyjają.

– To fakt – przyznała Romana. – Pani Bożenka powiedziała o jednym z licznych przykładów świadczących o tym, że współczesny ukraiński nacjonalizm ma się bardzo dobrze. Nie wszyscy z was wiedzą, więc przypomnę, że kilka dni temu było święto państwowe Ukrainy. Myślę, że flagi nie zostały jeszcze zdjęte i że po przekroczeniu granicy zobaczą państwo wiele czerwono-czarnych flag Ukraińskiej Powstańczej Armii. Jeśli się wie, jak okrutne zbrodnie UPA popełniła, to widok tych flag robi przynębiające wrażenie.

– Nie można tego zabronić? – zapytał ktoś z tyłu busa. – U nas coś podobnego by nie przeszło. To jawna gloryfikacja faszyzmu.

– Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać – Romana próbowała w zwięzły sposób przedstawić problem, którego sama do końca nie rozumiała. – W 1991 roku Ukraina uzyskała niepodległość. Po raz pierwszy powstało niezależne państwo, o które Ukraińcy walczyli od wieków. Ludziom wydawało się, że skoro już są u siebie, skoro mają niepodległość, to od razu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, sklepy zapełnią się towarami, a portfele pieniędzmi. Tak jednak się nie stało, co w naturalny sposób musiało wywołać frustrację i niezadowolenie. Stąd już prosta droga do szukania winnych. W takich sytuacjach, jak państwo z polskiego podwórka wiedzą, winni zawsze są Żydzi, masoni, wszyscy o innym kolorze skóry i wyznający inną religię. Jednym słowem ci, którzy nie są tak zwanymi prawdziwymi Polakami. Na Ukrainie jest podobnie. Skoro nie ma pełnych sklepowych półek i pełnych portfeli, to pozostaje historia, pozostają bohaterowie, którzy o niepodległość walczyli. Problem, głównie zresztą nasz, jest w tym, że ukraińscy bohaterowie prawie zawsze walczyli z Polakami. Dobrze pamiętam własne zaskoczenie, kiedy podczas wyjazdu do Kijowa, w centralnym punkcie miasta zobaczyłam pomnik Bohdana Chmielnickiego. Zapamiętałam tę postać z historii i sienkiewiczowskiej Trylogii jako awanturnika dążącego do rozpadu Rzeczypospolitej, a moi ukraińscy koledzy z dumą mówili, że to ich wielki bohater, wspaniały człowiek i patriota. Ukraińcy do takich ludzi się odwołują, jednak głównie sięgają do swojej najnowszej historii, a tam, jak państwo wiedzą, jest Stepan Bandera, są OUN i UPA. W przypadku Zachodniej Ukrainy problem na tym jeszcze polega, że nacjonalizm wspierają elity polityczne. Ale koło właściwie się zamyka, bo elity znające nacjonalistyczne nastroje ludzi w swoich programach uwzględniają ten fakt i wygrywają wybory.

– Obiektywne rozliczenie z własną historią bywa trudne – szczupła kobieta o intrygującej urodzie, która jako ostatnia wsiadła do busa na stacji kolejowej w Obornikach Śląskich, po raz pierwszy zabrała głos. – Proszę zauważyć, ile emocji wywołują u nas powieści Tomasza Grossa, takie jak *Sąsiedzi* czy *Złote żniwa*. Odarcie Polaka z najszlachetniejszych cech bywa bolesne, a dla wielu wręcz niemożliwe do zaakceptowania. Sądzę, że to nie tylko nasz problem.

– Nie jest – przyznała Romana. – Dam na to państwu wzorcowy wręcz przykład. Otóż naszym gospodarzem i przewodnikiem po Ukrainie będzie Igor. Poznają go państwo już jutro. To otwarty, bardzo zaradny, uczynny i przyjazny Polakom człowiek. Jego żona pochodzi z mieszanego polsko-ukraińskiego małżeństwa i może dlatego Igor darzy nas wyjątkową sympatią. Podczas podróży na Ukrainę w 2005 roku zrobiliśmy wycieczkę do Kosowa, Kołomyi i Zabłotowa. Po drodze wstąpiliśmy do Trójcy, wsi nad Prutem, którą w 1944 roku spacyfikowali banderowcy. Ten fakt upamiętnia pomnik wystawiony w 1992 roku. Zapaliliśmy przy nim znicz i przez chwilę modliliśmy się. Igor był z nami i też przeczytał napis na tablicy, a był on taki – Romana wzięła skoroszyt i chwilę przeglądała dokumenty. – „Zginęły śmiercią tragiczną 64 osoby. Pamięci tych, którzy wierni Bogu i Ojczyźnie oddali życie 23.X.1944, hołd składają rodacy” – przeczytała. – Kiedy wsiadaliśmy do busa, Igor przytrzymał mnie za rękę. „Romana” – zapytał szeptem – „co się tutaj stało? To przecież połowa mieszkańców wioski”. „To trudna sprawa” – odpowiedziałam. „Nie rozmawiajmy o tym”. Igor zmieszał się i przez chwilę milczał. „To musieli być Niemcy przebrani za Ukraińców” – powiedział w końcu. Tak, drodzy państwo. Ukraińcy nie są jeszcze gotowi do zmierzenia się z własną historią. Musimy o tym pamiętać i to uszanować.

Bus mknął autostradą na wschód, pasażerowie drzemali umęczeni podróżą, a z głośników płynęły dźwięki *Białego misia*.

Pilarski siedział na zboczu Spensowej i obserwował wznoszący się za przełęczą szczyt Rabińca. Wiedział, że jest on grobem żołnierzy UPA zasypanych żywcem w podziemnym bunkrze. Wiedział, że sprawa zaginięcia dwójki młodych Polaków też była jakoś z tym związana, podobnie jak postać Michaiła Fedorowicza Gryczki. Jeszcze wczoraj zdawało mu się, że informacja o jego 66. urodzinach nada sprawie nowy impuls, ale tak się nie

stało.

„Szkoda, że nie ma Ewy” – pomyślał. „Razem na pewno wpadlibyśmy na jakiś pomysł”.

W pamięci utkwiała mu hipoteza Ewy, że być może morderstwo Jakubka zlecił Fedor Primak – dowódca sotni i zarazem jej jedyny ocalały żołnierz. Pamiętał, że ta hipoteza wydała mu się tak mało prawdopodobna, iż określił ją mianem teorii spiskowej. A jednak Ewa miała rację. Wiedza Bilońskiego, osobiste kontakty z Ambasadą Izraela i pisma Interpolu w pełni to potwierdziły. Szybko jednak doszedł do wniosku, że obecność Ewy i Ljubov mogłaby przynieść więcej problemów niż korzyści i przestał żałować.

„Ljubov Petrovna. Ciekawe, kiedy wróci?” – zastanawiał się. Chciał jej przyjazdu.

Nagle skojarzył, że na Ukrainie dzieci przyjmują drugie imię po ojcu. Pomimo przekonania, że beletrystyka nie może być dowodem w sprawie, zapragnął sięgnąć po *Michała*. Szybkim krokiem ruszył w drogę powrotną do domu.

Kartkował powieść, szukając fragmentu o nocy spędzonej z Hucułką przez Fedora Primaka.

„Jest” – ucieszył się. „Ale kiedy to było?”. Odpowiedź na to pytanie wydała mu się kluczowa. Z plecaka wyjął długopis i notes. Odwracał kartki powieści szukając czasowego punktu odniesienia.

Zimny grudniowy wiatr sprawił, że kucki rynek szybko opustoszał, tylko Olga, tuląca dziecko, ciągle stała pod murem – przeczytał. Przyjął, że był to 1 grudnia i tę datę zapisał w notesie.

Przy naradzie Wise i Jakubowskiego nie znalazł daty. Uznał jednak, że spotkanie odbyło się w tym samym dniu. „Nawet na pewno” – pomyślał. „Przecież wszystkim bardzo zależało na szybkiej likwidacji sotni”. Był pewien, że także w tym dniu Jakubowski mówił żonie, że nazajutrz rusza w góry. Poprawił datę na 2 grudnia.

Szedł już czwarty dzień – czytał kolejny fragment. Skreślił dwójkę i wstawił piątkę.

„No ładnie” – skomentował spotkanie Izaaka i Julii. „Jakubowski o krok od śmierci, a dowódca uwodzi mu żonę”. Daty w notesie nie zmienił.

Nie miał wątpliwości, że meldunek o odkryciu wejścia do bunkra Jakubowski musiał złożyć natychmiast, a najdalej następnego dnia, czyli 6 grudnia.

Za cztery dni, w piątek o ósmej rano, garnizony z Kut i Kosowa przeprowadzą wielką obławę w Paliwce i Berezce – to kolejna informacja. Za cztery dni, czyli 10 grudnia. Wiedział, że dobrnął do celu. Ale czy to był piątek?

Początkowo żałował, że nie ma kalendarza stuletniego, jednak szybko doszedł do wniosku, że wiedza, czy 10 grudnia 1944 wypadła w piątek, niewiele by mu dała. Przy tych założeniach, które, odtwarzając datę, musiał zrobić, nawet by się zdziwił, gdyby tak było.

10 grudnia 1944 – tę datę podkreślił w notesie. Petro mówił, że we wrześniu Michaił Fedorowicz Gryczko ma sześćdziesiąte szóste urodziny. Był pewien, że ten fragment puzzli ułożył poprawnie.

Odkrycie, że Michaił Fedorowicz Gryczko jest nieślubnym dzieckiem Fedora Primaka, poruszyło go do głębi. Pytanie, czy za sprawami zabójstwa na Sępolnie i zaginięcia dwójki młodych turystów stoją dwaj synowie ocalałego dowódcy sotni, który po wojnie uciekł do Kanady, ponownie uznał za kluczowe. Poszukiwanie odpowiedzi na tyle go absorbowało, że zrezygnował z pieszej wędrówki przez Krzywy Groń do Jaworowa, jaką miał poprowadzić Mykoła.

– Dasz radę, Andrzeju – rezydent usilnie starał się przekonać Pilarskiego do udziału w wędrówce. – W Jaworowie czekać będą terenowe samochody. Wrócimy przez Kosów i Kut. Każdego odwiozą tam, gdzie mieszka.

Mimo tak kuszącej oferty i zapewnień Mykoły, że ładniejszych widoków na pewno jeszcze nie zaznał, Pilarski nie zmienił decyzji. Przyrzekł natomiast, że weźmie udział w wycieczce na Rabiniec, którą wobec zapowiadanego pogorszenia pogody Mykoła zaplanował już następnego dnia. Tym razem punktem zbiorczym miała być zagroda Petra i Marii, a Mykoła zapowiedział, że przenocuje u gospodarzy Pilarskiego.

– Zawsze tak robi – tłumaczył Petro. – Do Rabińca od nas najbliższej, a Mykoła dobrze płaci.

Do samego wieczora usiłował zgłębić tajemnicę Rabińca. Rozważał dziesiątki hipotez, nawet tych najbardziej fantastycznych, ale jedynym wnioskiem, do jakiego doszedł, było przekonanie, że tylko wycieczka na górę świętą i przeklętą może rzucić nowe światło na tę mroczną historię.

Już się ściemniało, kiedy zakurzony jeep Mykoły wjechał na podwórze.

– Może pan żałować, Andrzeju, że nie było pana z nami – mówił, wypakowując z samochodu duży wojskowy plecak. – W Jaworowie upiekliśmy prosiaka, było śpiewanie i wódka.

– Jak zwykle na poddaszu? – zapytał Mariję.

– Tak, będziecie spali na górze – kobieta kiwnęła głową.

Mykoła zamknął drzwi samochodu i zniknął w sieni.

Kolacja wydawała się Pilarskiemu bardziej wystawna niż zwykle. Kiełbasa, świeży chleb, kiszzone ogórki i wódka w butelkach bez banderoli, ciągle donoszone, nie znikwały ze stołu. Liczne toasty, z których Pilarskiemu najbardziej podobał się „za romans na boku i w domu spokój”, bardzo rozluźniły atmosferę.

Mimo mocnej głowy Andrzej nie szarżował z piciem. Miał nadzieję, że wódka rozwiąże języki Petra i Mykoły i że dowie się czegoś więcej. No i się dowiedział.

– A Polaki to świnie są – wybełkotał nagle Mykoła. – Normalne świnie i już. Ty też jesteś Polak? – złapał Pilarskiego za rękę.

– Masz wątpliwości? – policjant nie próbował wyrwać się z mocnego uścisku.

– Nie filozofuj, tylko mów, jak przyjaciel pyta. Wiem, jesteś Polak. Dużo Polaków do nas przyjeżdża. Żal, żal za dziewczyną, za zieloną Ukrainą, co? – beknął. – Ukrainy wam szkoda, naszej ziemi wam szkoda. Jesteś świnia, Andrij, ale ja lubię świnie. Najbardziej pieczone – zaśmiał się rubasznie. – Za zdrowie świń – podniósł kieliszek do ust. Wypił jednym haustem i runął na stół, przewracając butelkę z wódką, słoik z ogórkami i talerz z kiełbasą.

– To ja już pójdę – Pilarski podniósł się z krzesła.

– Idźcie – Petro zbierał ogórki i kiełbasę. Chleb zmoczony ogórkowym sokiem i wódką Marija wrzuciła do wiadra. Oboje byli bladzi i przestraszeni.

Andrzej nie miał wątpliwości: bali się Mykoły. – Idźcie do siebie. A jego – Perto ruchem głowy wskazał śpiącego rezydenta – nie słuchajcie. Wypity jest, to i nie wie, co mówi.

Przed wycieczką Pilarski kilka razy przeczytał te fragmenty *Michała*, w których były opisy wędrówki Jakubowskiego przez góry oraz akcja radzieckich żołnierzy na Rabińcu. Zwracał uwagę na wszelkie informacje dotyczące ukształtowania terenu, lasów, połonin i znajdujących się tam budowli. Miał jednak świadomość, że tę wiedzę będzie musiał poddać gruntownej weryfikacji, uwzględniającej upływ czasu. Nie był pewien, czy w terenie cokolwiek zdoła rozpoznać.

Śniadanie zjedli w ciszy, prawie ze sobą nie rozmawiając. Jak na stopień wieczornego upojenia alkoholowego Mykoła trzymał się wyjątkowo dobrze, a jedyną rzeczą mogącą świadczyć o syndromie dnia następnego był fakt picia dużych ilości mleka. Najwidoczniej jednak takie sytuacje zdarzały się często, bo Marija była do tego dobrze przygotowana.

Wyszli przed dziewiątą. Pilarski nie zdziwił się, że oprócz niego w czteroosobowej grupce prowadzonej przez Mykołę były dobrze mu znane osoby, przejawiające aktywność na trasie z Lublina do Paliwki. Okularnik i młody mężczyzna od nesesera ubrani byli dokładnie tak jak podczas podróży, natomiast dziewczyna beżową sukienkę zamieniła na dżinsy.

– Co ciekawego jest na Rabińcu? – zapytał okularnik, kiedy zatrzymali się na krótki postój.

– Ładny punkt widokowy – Mykoła ciężko dyszał. – Bukowina, Czeremosz, Pisany Kamień, Czarnohora – wymieniał kolejno, za każdym słowem prostując jeden palec. Zastanawiał się chwilę, szukając kolejnej nazwy, aby wyprostować ostatni, ale w końcu machnął ręką. – To wszystko zobaczycie ze szczytu Rabińca.

Wyszli ze starego lasu na rozległą połoninę. Porośnięty lasem Rabiniec był na wyciągnięcie ręki, kiedy idąca za rezydentem dziewczyna zatrzymała się.

– Co to jest? – zapytała, pokazując ziemny stożek kilkumetrowej wysokości, porośnięty trawą. – Kurhan?

Uсыpisko znajdowało się w głębokiej niecce, tuż przy linii lasu. Było ogrodzone niskim, metalowym, pomalowanym na czerwono płótem. Z przodu, w centralnej części ogrodzenia znajdowała się zwieńczona łukiem brama, wykonana z rur pomalowanych na niebiesko.

Kilkanaście betonowych schodków kończyło się w połowie wysokości usypiska, a tuż nad nimi w dużym kamieniu osadzona była tablica z szarego granitu. Na szczycie kopca wkopano smukły metalowy krzyż. Po obu stronach w jego dolnej części przyspawane były ukośnie krótkie rurki, w które zatknięto drzewce dwóch flag: sino-żółtej i czerwono-czarnej.

– Chodźcie za mną – Mykoła wykonał kolisty ruch ręką.

Zatrzymali się przed bramą. Dopiero teraz mogli rozpoznać wieńce ze sztucznych kwiatów, położone pod krzyżem po obu stronach tablicy oraz schodów.

– To pomnik partyzantów Ukraińskiej Powstańczej Armii – wyjaśniał Mykoła. – Zostańcie na miejscu – lekko uniósł dłoń. Wszedł po schodach i zatrzymał się przed tablicą z granitu. – „Bohaterom z Ukraińskiej Powstańczej Armii, naszym ojcom, mężom i synom, którzy oddali życie za samostijną Ukrainę – Rodacy” – przeczytał. – Chyba nic więcej nie muszę dodawać.

– Ale dlaczego pomnik jest w tym miejscu? – dociekał okularnik. – Tutaj, na takim odludziu?

– Ukraińska Powstańcza Armia nie była regularnym wojskiem – rezydent położył plecak na ziemi. – Walczyła z Niemcami i Związkiem Radzieckim...

– Proszę nie zakłamywać historii – chłopak nie pozwolił dokończyć. – Z Rosjanami tak, ale z Niemcami absolutnie nie. Pan mija się z prawdą.

– Chce pan powiedzieć, że kłamię? – Mykoła położył rękę na piersi. – A czy zbrodnie Armii Krajowej na cywilnej ludności ukraińskiej to też jest kłamstwo? Czy wysiedlenie Łemków w akcji „Wisła” przez państwo polskie też nie miało miejsca?

– A co to ma do rzeczy? – chłopak nie ustępował. – Pan porusza zastępcze tematy. UPA nigdy nie walczyła z Niemcami. Było wręcz przeciwnie. To Niemcy wspierali OUN i UPA. Militarnie i finansowo.

– Daj spokój, Grzesiek – dziewczyna trąciła łokciem okularnika. – To nic

nie da.

– Tak, to nic nie da – powtórzył Mykoła. – Każdy z nas pozostanie przy swoim zdaniu. W tych sprawach nie tylko my nie możemy się dogadać.

Polemika zniechęciła rezydenta do dalszej wędrówki.

– Za godzinę wracamy – oznajmił. – Teraz macie wolny czas.

Położył się na ziemi i oparł głowę na plecaku.

– Idziemy na szczyt – dziewczyna przejęła dowództwo w grupie. – Pójdzie pan z nami? – zapytała Pilarskiego.

– Nie, raczej nie. Czuję się zmęczony.

Poszli we trójkę.

– Nie odpowiedział pan na pytanie – Pilarski przykucnął obok rezydenta, kiedy zostali sami.

– Na jakie pytanie?

– Dlaczego pomnik stanął w tym miejscu?

– Ten w okularach nie pozwolił. Zdenerwował mnie, gnojek jeden.

– Teraz go nie ma. Ja nie będę panu przerywał.

– Młodym się zdaje, że wszystkie rozumy zjedli – rezydent powoli odzyskiwał spokój. – Ukraińska Powstańcza Armia nie mogła stanąć do otwartej walki. Musiała prowadzić wojnę partyzancką, a góry dawały jej dobre schronienie. Dlatego tutaj postawiono ten pomnik. Właściwie, to Michaił Fedorowicz postawił.

Po powrocie z wycieczki Pilarski natychmiast sięgnął po *Michała*. Kolejny raz czytał zdanie po zdaniu, konfrontując je z tym, co dzisiaj zobaczył. Pamiętał, że opisy mogą mieć bardzo luźny związek z rzeczywistością, ale kilka rzeczy było zastanawiających.

Las się kończył i droga prowadziła przez rozległą połoninę, opadającą łagodnie w kierunku południowym – czytał. „*Nareszcie*” – ucieszył się, kiedy zobaczył nową *huculską chatę*. „Dzisiaj dom musi być stary” – Pilarski brał poprawkę na czas, który upłynął. Problem jednak w tym, że żadnej chaty nie

widział. Połonina rzeczywiście łagodnie opadała w kierunku południowym, ale domu nigdzie nie było. Tego był pewien, ponieważ po rozmowie z Mykołą spenetrował znaczną część lasu wokół pomnika. „Chyba że...”. Raz jeszcze spojrzął na tekst. „Chyba, że chata znajdowała się na dole połoniny. Opis tego nie przesądzał, a chatę mógł skrywać las”. Przewrócił kilka kartek. „Spokojne zakole wartkiego strumienia” – powtarzał w myślach przeczytany tekst. Strumień był, ale to raczej strumyczek. Do szczytu Rabińca nie było daleko i o wartkim strumieniu absolutnie nie można było mówić. „Beletrystyka” – zachnął się. „Pieprzona fantazja autora”. Nie zniechęcił się jednak i czytał dalej. *Saperzy kopali, a w innym miejscu jeden z pograniczników przyglądał się stercie świerkowych gałęzi. Sterta znajdowała się w lesie, najwyżej dwadzieścia kroków od jego skraju i wyglądała na niedawno i pospiesznie ułożoną. Pogranicznik zdejmował gałąź po gałęzi i wkrótce odstonił leśne poszycie, będące mieszaniną igliwia, mchu i ziemi. Wyglądało tak, jakby zryły je dziki. Ukląkł i rękoma zaczął odgarniać ziemię. Po chwili odkrył okorowany pal, grubości przedramienia. „Chodź szybko!” – zawołał najbliższego stojącego kolegę. Rozgarniali poszycie obaj i po kilku minutach odstłonili kwadratową pokrywę zrobioną z kilkunastu podobnych pali. Pokrywa leżała na dwóch znacznie grubszych, także okorowanych belkach. Bez słowa chwycili ją z dwóch stron i podnieśli. Ich oczom ukazał się kwadratowy otwór prowadzący pionowo w dół. Był niewiele szerszy od ramion dorosłego mężczyzny.*

„Wejście do bunkra” – Pilarski zaczynał gubić się w kolejno poznawanych faktach. Wyjął z plecaka notatnik i zaczął szkicować plan beletrystycznej rzeczywistości Rabińca z roku 1944.

Major Prochorenko opuścił podniesioną rękę – czytał dalej – i w tej samej chwili powietrzem targnęła potężna eksplozja. Ciemności rozświetlił ogień stokrotnie większy niż ten z rozpalonego przez nich ogniska. Na głowy posypał się deszcz gałęzi, kamieni i ziemi. Po chwili wszystko ucichło. Kiedy podeszli bliżej, w świetle latarek zobaczyli ogromny lej wypełniony kamieniami i kawałkami świerkowych pni. Po wejściu do bunkra nie zostało najmniejszego śladu.

Nanosił każdy opisany szczegół i po godzinie przyglądał się efektom swojej pracy. Ze szkicu jednoznacznie wynikało, że chata musiała znajdować się w dole połoniny, natomiast kopiec usypano w miejscu, gdzie znajdowało się górne wejście do bunkra, wysadzone przez żołnierzy majora Prochorenki.

Miał prawie pewność, że tak rzeczywiście było. Tylko po co Mykoła zaprowadził ich w to miejsce? Czy wycieczki, w których zaginęli Paweł i Agnieszka, wyglądały podobnie? Czy oboje mieli podobne dylematy jak on w tej chwili? Był pewien, że w tej całej sprawie ważną rolę odgrywa chata, w której znajdowało się drugie wejście do bunkra, ale czy chata rzeczywiście istnieje? Mógł to sprawdzić tylko w jeden sposób. Postanowił, że jutro raz jeszcze przemierzy tę samą drogę na Rabiniec.

Petro i Marija odwodzili go jak mogli, ale on się uparł. Nie działały ani prośby gospodarzy, ani ich groźby. Właśnie jako groźbę traktował kolejne przypomnienie o górze dla jednych świętej, dla innych przekłetej. Skłamał coś o niepowtarzalnych widokach, jakie można oglądać ze szczytu, i poszedł.

Do pomnika UPA dotarł przed dziesiątą. Zdziwiło go, że nie było wieńców ze sztucznych kwiatów, a przed kamieniem z tablicą leżała wiązanka żywych czerwonych goździków i palił się duży płaski znicz. „Dziwne” – pomyślał, kiedy zobaczył niewielkie oczko roztopionej stearyny wokół płonącego knota. Znicz musiał być zapalony niedawno, bardzo niedawno. Uważnie rozglądał się wokół siebie, ale nigdzie nie było śladu człowieka.

Schodził w dół środkiem połoniny. Według szkicu chata powinna znajdować się gdzieś przed nim, jednak, chociaż całą odkrytą przestrzeń widział jak na dłoni, po domu nie było najmniejszego śladu. Dotarł do ściany młodego lasu, zamykającego połoninę od dołu. Kilkumetrowej wysokości sosny otoczyły go ze wszystkich stron, szarpiąc ubranie kikutami uschniętych gałęzi, drapiąc ręce i twarz. Po kilkudziesięciu krokach uznał, że dalsza wędrówka nie ma sensu. Tą samą drogą wrócił do pomnika.

Zastanawiał się nad planem dalszych działań, nad tym, czy szkic jest mało dokładny, czy fantazja autora zbyt wybujała, kiedy jego uwagę ponownie przykuł kamień z wmurowaną tablicą. Był pewien, że coś się zmieniło. W pierwszej chwili nie wiedział co, ale nagle odwrócił się błyskawicznie. Rozglądał się uważnie po bliższej i dalszej okolicy. Usiłował zagłębić wzrok w gęstwinie dolnego i górnego lasu, wzdłuż i wszerz lustrował połoninę, by po chwili znowu przenieść wzrok na kamień. Był pewien, że przed kwadransem widział jeden znicz, a teraz paliły się dwa.

„Co jest?” – pomyślał. Przyglądał się uważnie obu zniczom i po chwili miał pewność, że się nie myli. Oczka płynnej stearyny wyraźnie różniły się wielkością. Jedno miało kilka centymetrów średnicy, a drugie dopiero zaczynało się tworzyć. Nie miał pomysłu na dalsze poszukiwania i wiedział, że jest obserwowany, więc podjął decyzję o powrocie.

Schodził tą samą ścieżką. Kiedy ponownie wszedł do dolnego lasu, jego uwagę zwróciła inna ścieżka. Odchodziła od głównej łagodnym łukiem i ginęła w gęstwinie sosen. Była tak niepozorna, że wchodząc na Rabiniec, w ogóle jej nie zauważył. Bez chwili wahania ruszył nowym tropem. Zdziwiła go panująca wokół cisza. Zawsze kojarzył las ze śpiewem ptaków, a teraz przedzierał się przez gęstwinę w głuchej, niemal absolutnej ciszy.

Po kilkudziesięciu krokach znalazł się na małej polanie. Miał przed sobą kapliczkę. Jej ściany, pomalowane na niebiesko, tworzyły regularny ośmiokąt. Każdą ze ścian zdobił obraz jakiegoś świętego z głową otoczoną białą aureolą. Postaci te były Pilarskiemu obce, ale dwie z nich rozpoznał. Był to święty Jerzy siedzący na koniu i przebijający włócznią trójgłowego smoka i Matka Boska trzymająca w rozpostartych rękach białą szarfę z napisem. Cyrylicę znał słabo, ale napis udało mu się przetłumaczyć.

– Chwała poległym w nierównym boju – przeczytał półgłosem.

Kapliczkę zwieńczał ośmiokątny daszek z cynkowej, bogato zdobionej blachy, nad którym było coś, co uznał za dzwonnice. Ona także była ośmiokątna. Nad dzwonnice znajdowała się kopuła w kształcie gruszki, a na jej szczycie połyskiwał srebrny katolicki krzyż.

Był pewien, że przydrożne kapliczki są zawsze otwarte, aby można się w nich pomodlić czy chociażby schronić przed deszczem, jednak drzwi tej świątyni były zamknięte. Masywne metalowe okucia łączyła równie mocna kłódka. Pociągnął ją w dół, myśląc, że jest jedynie atrapą, ale nie puściła. Nie był przygotowany na jej otwarcie. Postanowił wracać.

Chociaż wyprawę uznał za udaną, to nie dała ona odpowiedzi na podstawowe pytania. Było jeszcze gorzej. Im dłużej zastanawiał się nad tym, co zobaczył, tym więcej miał wątpliwości. W końcu uznał, że bez pomocy Petra niczego więcej się nie dowie. Tylko jak nakłonić go do mówienia? W swoich wypowiedziach był dotąd bardzo powściągliwy. Jego uwagi o

Rabińcu ograniczały się do powtarzania, że dla jednych to góra święta, a dla innych przeklęta.

„Wódka” – pomyślał. „To powinno zadziałać”.

Zajrzał do nesesera. Na dnie zawinięta w ręcznik leżała butelka Bolsa. Wprawdzie kiedy pakował neseser, Ewa zapytała, dlaczego chce wieźć drzewo do lasu, ale on nie uległ jej sugestii, aby bezsensownie nie powiększał ciężaru bagażu.

Sytuacja zdawała się mu sprzyjać. Między Petrem i Mariją musiało dojść do poważnej kłótni, co zauważył od razu po powrocie z Rabińca. Oboje chodzili wściekli, przepełnieni złością jak dwie chmury burzowe nabrzmiałe deszczem. „Ciekawe, co ich tak poróżniło?” – zastanawiał się, stawiając butelkę na nakrytym do kolacji stole.

– A i ja gorszy ne budu – Petro zrewanżował się tym samym. Marija widząc, na co się zanosi, wyszła oporządzać zwierzęta.

Wódka zniknęła szybciej niż kiszone ogórki i już wkrótce atmosfera zaczynała sprzyjać daleko idącym deklaracjom i szczerym wyznaniom.

– Kłopot z babą u mene, Andrij – Petro położył dłoń na ramieniu Pilarskiego. – Fuka jak kocica jaka, a co ja winny, że młoda pomocy potrzebuwała?

Z dalszych wyjaśnień Petra wynikało, że córka sąsiadów upadła tak nieszczęśliwie, że skręciła nogę i rozcięła kolano.

– Rana sierjorna, krew tekła kak Czeremosz posle dożdza, a diwczyna sama samiuteńka w domu. Ni kroka sdełat ne mogła – wyjaśniał Petro. Dalej powiedział, że kiedy usłyszał wołanie o pomoc, jako dobry sąsiad pospieszył jej na ratunek.

– Dżinsi tisnije i znjati musowo treba było – tłumaczył się. – Jakby sukienoczku miała, problema by ne było, a ty, Andrij, znajesz, tepier diwczynonki w dzinsach chodity.

Po kolejnym toaście Petro przyznał się, że ranę czyścił dokładnie, a opatrunek zakładał powoli. Wszystko dlatego, aby dziewczyna szybko wróciła do zdrowia.

– A majtki to ona miała? – Pilarski nagle zrobił się dociekliwy,

podejrzewając, że gospodarz nie mówi mu całej prawdy.

– Nu, jak ne? – Petra dopadła krótka czkawka. – Wot takije były – przed nosem Pilarskiego pojawiła się dłoń gospodarza, w której palec wskazujący od kciuka dzielił najwyżej centymetr. Później Petro wyraził przypuszczenie, że jego długa nieobecność zaniepokoiła Mariję. Zaczęła go szukać, znalazła i zrobiła taką awanturę, jakiej nigdy dotąd nie było. Najbardziej zabolalo Petra to, że Marija nazwała go zboczeńcem. Po wyrzuceniu z siebie tych traumatycznych przeżyć wypił dodatkowy kieliszek wódki i zapytał, czy on, Petro, jest zboczeńcem.

Opisywana sytuacja wydała się Pilarskiemu tak groteskowa, że zaśmiał się głośno. – Nie, nie jesteś, Petro – odpowiedział. – Gdybym to ja siedział bez spodni, a ty opatrywał moje kolano, to co innego, ale z młodą dziewczuszką? Na pewno, Petro, nie jesteś zboczeńcem.

Zdecydowana deklaracja Polaka uspokoiła gospodarza.

– Wot durnaja baba – ulżył sobie.

Pilarski przytaknął kiwnięciem głowy. Uznał, że sytuacja dojrzała do pytania o sprawy najważniejsze.

– Dzisiaj byłem na Rabińcu – oświadczył, uważnie obserwując gospodarza.

– Ja tebe mówił, ty tam ne chodyty – Petro przypomniał przestrożę, jaką dali mu oboje z Mariją, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiali.

– W lesie znalazłem kapliczkę – Pilarski nie przejął się przestrożą Petra. Ponownie napełnił kieliszki, uznając, że gospodarz jeszcze zbyt dobrze kojarzy fakty i zbyt trzeźwo odpowiada.

– Za zgodę między tobą i Mariją – wznosił toast. – Powiedz, Petro, dlaczego wybudowali kapliczkę w lesie? – zapytał.

Gospodarz milczał. Widać było, że jego skażona wódką świadomość toczy nierówną walkę z podświadomością.

– Ty хочysz znaty welikij sekret, a ja ne znaju, czy mogu tebe howority? – powiedział w końcu.

– Możesz, Petro – Pilarski odetchnął. – Paliwka mała, to i tajemnica wielka być nie może.

– Ne majesz raciju – Petro pogroził palcem. – Ne majesz. Wojna buła. Ruskije sałdaty bahato partyzantow ubili. Sto dwadcat, mozet byt i sto tridcat. Znajesz, Andrij, takije to schowiszcze w zemlu buło i wsie naszi ljudi tam buli. A i zradnik [23] buł i ruskim sałdatam wchid w schowiszczu pokazał. A ruskije sałdaty wchid wisadźuwali i wsie ljudi pogibnuli. W pjatij december 1944 eto buło.

„Niewiele się pomyliłem” – Pilarski przypomniał sobie, że według jego obliczeń wysadzenie bunkra nastąpiło pięć dni później.

– Okropna śmierć – powiedział. – Bez jedzenia, bez picia i bez powietrza.

Petro wydał usta i w milczeniu kiwał głową. Kolejne toasty zupełnie rozwiązały mu język. Powiedział, że starą, zniszczoną chatę ludzie rozebrali i postawili kapliczkę, a za wszystko zapłacił Michaił Fedorowicz. Za pomnik dla powstańców też. Raz do roku do tego miejsca odbywa się procesja. Ludzie gromadzą się w cerkwi, a później ksiądz prowadzi ich na Rabiniec. Idąc, modlą się i śpiewają. Przy pomniku odbywa się msza, a po niej Michaił Fedorowicz idzie do kapliczki z młodymi ludźmi, którzy chcą wstąpić do jego organizacji. Jaka to organizacja, tego Petro nie wiedział. Wiedział natomiast, że młodzi chłopcy i dziewczyny składają przysięgę pod ziemią. Kiedy o tym mówił, przeżegnał się trzy razy. Powiedział też, że najpierw procesje odbywały się 5 grudnia, ale zdarzyło się raz, że spadło tak dużo śniegu, że na Rabiniec pójść nie mogli. Wtedy przenieśli procesję na 6 maja, czyli świętego Jurija. I tak już zostało.

Pilarski przewracał się z boku na bok. Mimo panujących ciemności i dzwoniącej w uszach ciszy wypity alkohol i uzyskane od Petra informacje nie pozwalały mu zasnąć. Miał pewność, że chaty, której szukał, już nie ma, a w miejscu, gdzie stała, znajduje się teraz kapliczka. Zastanawiał się, jaki charakter może mieć tajemnicza organizacja Michaiła Fedorowicza Gryczki, skupiająca młodzież i co oznaczają słowa Petra, że składają oni ślubowanie pod ziemią. O tym, że wydarzenie to jest niezwykle, niesamowite, a może i straszne, świadczył fakt, że mówiąc o nim, mężczyzna trzy razy się przeżegnał. Kapliczka kryła jakąś tajemnicę, o której Petro ledwie wspomniał. Pilarski nie wiedział, czy gospodarz nie znał tej tajemnicy, czy nie chciał o niej powiedzieć.

Jego rozmyślania przerwał hałas dochodzący z sieni, którego źródła nie potrafił zidentyfikować. Stukanie, zamykanie drzwi, jakieś rozmowy o tak późnej porze wydały mu się podejrzane. Wyteżył wszystkie możliwe, chociaż stłumione przez alkohol zmysły. Nagle wszystko ucichło, ustępując miejsca nienaturalnej wręcz ciszy.

Mocny sen przerwał w połowie rozmyślania, jak tę pozyskaną wiedzę można wykorzystać.

Na śniadanie przyszedł z lekkim bólem głowy. Petro siedział sam z łokciami opartymi na stole i głową schowaną w dłoniach. Widać było, że cierpi. Pilarskiego zdziwiło dodatkowe nakrycie.

– Ktoś jeszcze przyjechał? – zapytał, pokazując krzesło dostawione do stołu.

– Da, da, prijechał – Petro nie wypuszczał głowy z dłoni. – Ljubov przyjechała – nagle przypomniał sobie język polski.

Wiadomość o przyjeździe Ljubov podziałała na Pilarskiego orzeźwiająco, niczym powiew chłodnego wiatru. Nagle przypomniał sobie o dziewczynie, z którą tak dobrze mu się rozmawiało i której zwyczajnie, po męsku pożądał. Wprawdzie wczorajszy dzień dostarczył tylu wrażeń, że pożądanie ustąpiło miejsca innym emocjom, jednak słowa Petra zmieniły to w sposób zasadniczy.

– Czym przyjechała? Jak długo będzie w Paliwce? Gdzie jest teraz? – zasypywał gospodarza pytaniami.

– Ne mucziti mene, Andrij – w głosie Petra była błagalna prośba. – Ja ne znaju.

Ljubov i Marija przyszły po kilku minutach.

– Dzień dobry, Andrzeju – dziewczyna postawiła na ławie wiadro z mlekiem. W dużych ogrodniczkach ojca wyglądała mniej atrakcyjnie niż w obcisłych dzinsach, które zawsze nosiła.

– Dzień dobry – Pilarski poczuł nagłą suchość w ustach. – A wy z samego rana to gdzie chodzicie?

– Z samego rana? – Ljubov zaśmiała się, wyciągniętą ręką pokazując coś za jego plecami.

Odwrócił się. Na wiszącym zegarze była za dziesięć dziewiąta.

– Oporządzałyśmy zwierzęta. I tak dzisiaj później niż zwykle.

Po śniadaniu Ljubov zaproponowała wspólną wycieczkę na zbocza Spensowej. Zgodził się bez sprzeciwu, chociaż z powodu ogólnej niedyspozycji najchętniej położyłby się do łóżka, podobnie jak Petro, który zrobił to jeszcze przed śniadaniem.

– Przejdzie to ojcu – mówiła. – Musi przejść do wieczora, bo jutro sobota. Do Kosowa jadą, przenocują u siostry ojca, żeby równo ze świtem być na targu.

– Chcą coś kupić?

– Nie, mają tam stoisko. Sprzedają wyroby z drewna. No wiesz, kasetki, breloczki, figurki i takie tam drobiazgi.

– Ale oni ze sobą nie rozmawiają. Petro mówił o wypadku córki sąsiadów i o tym, że jej pomógł.

– Ale krętacz z niego – Ljubov aż przystanęła z wrażenia. – Uwierzyłeś mu?

– Dlaczego miałbym nie wierzyć?

– Kobieta ma czterdzieści lat, jest wdową, a ojciec czuje do niej dziwną słabość, ze wzajemnością zresztą. Matka spać przez to nie może. Wystarczy?

– Odpocznijmy trochę – zaproponował, kiedy drogę przegrodził im pień okazałego świerku.

– Na długo przyjechałaś?

– W niedzielę wyjeżdżam.

– Tak szybko?

– Tak – kiwnęła głową. – W poniedziałek muszę być w pracy.

– Chciałabym ciebie o coś zapytać – złamała uschniętą gałązkę. – Mogę?

– Jasne.

– Masz żonę?

– Nie.

– Narzeczoną?

Zawahał się, próbując określić swoje relacje z Ewą, ale Ljubov to wystarczyło.

– Ładna jest? – zapytała.

– Tak – odpowiedział odruchowo. Zauważył, że Ljubov nagle spoważniała.

– Mam dobrą znajomą, ale chyba nie jest moją narzeczoną – szybko wyjaśnił.

– Spaliście ze sobą?

– Nie, a dlaczego pytasz?

– Tak z ciekawości.

– Ładnie grasz na gitarze – przerwał ciszę, która nagle zapadła – no i ładnie śpiewasz.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem. Pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy. *Czerwonu rutu* śpiewałaś, czy jakoś tak.

– To ładna piosenka – wyrzuciła gałązkę. – Lubię ją śpiewać. Wiesz, o czym są jej słowa?

– O miłości?

– Tak. O prawdziwej miłości, ale nie tylko. To ukraiński underground lat siedemdziesiątych. Chcieliśmy żyć w wolnym kraju, a byliśmy zniewoleni przez Związek Radziecki. *Czerwona ruta* to piosenka podkreślająca naszą ukraińską tożsamość. Wszędzie cenzura i donosicielstwo, a tu nagle wychodzą na scenę młodzi ludzie w strojach narodowych i śpiewają o miłości. Pozornie do dziewczyny, ale zauważ, że określenia „ty”, „ona”, „ciebie” pasują też do ojczyzny.

– Masz romantyczną duszę.

– Jak każda kobieta.

– E, chyba przesadzasz. Znałem kilka, ale nie odniosłem takiego wrażenia.

– Nie umiałeś patrzeć. Każda kobieta pragnie prawdziwej i czystej miłości. Czasem te pragnienia ukrywa pod maską obojętności, czasem odsuwają je w cień jej zawodowe ambicje, czasem rodzinne problemy, ale one są, Andrzej. Masz coś do pisania?

– Mam – kiwnął głową. Wyciągnął z kieszeni notes i długopis.

– Co chcesz napisać?

– Zobaczysz.

Zapełniała notes równym, wyraźnym pismem.

– Ale ja prawie nie znam cyrylicy – zauważył.

– Nie piszę cyrylicą. Gotowe – oddała notes i długopis. – Dasz radę przeczytać?

– Ty przynajmniej, zwitki w tebe Ti czary – co to za tekst?

– *Czerwona ruta*. Zapraszam wieczorem do wspólnego śpiewania. Gitara jest na poddaszu.

Przez całe popołudnie nie wychodził z pokoju. Ljubov, która po wyjeździe rodziców została sama i miała ochotę porozmawiać, była zaniepokojona. W końcu postanowiła sprawdzić, co się stało. Właśnie zaklejał kopertę, kiedy zapukała do drzwi.

– Proszę wejść – odpowiedział, smakując ze wstrętem pocztowy klej.

– Czy wszystko w porządku? – zatrzymała się w progu. – Tak długo nie wychodziłeś, że zaczynałam się martwić.

– Dzięki za troskę – uśmiechnął się. – Jak widzisz, nic mi nie jest. Miałem trochę pisania.

– Jasne – kiwnęła głową. – To co, masz ochotę na śpiewanie?

– Mam i nawet się do tego przygotowałem.

– O! – zdziwiła się. – Nauczyłeś się piosenki na pamięć?

– Nie, nie. Przeceniasz moje możliwości, ja tylko ją przetłumaczyłem.

– Żartujesz?

– Coś ty. Przynieś gitarę.

- To za chwilę. Najpierw muszę rozpałić w piecu i zagrzać wodę.
- Będziesz zmywać naczynia?
- Nie. Na koniec tygodnia tutaj bierze się kąpiel. No, idź po wodę.

Przyniósł dwa wiadra z ledwie widocznej w zapadających ciemnościach studni i wlał je do ocynkowanego kotła. Ogień buzował w żeliwnym piecyku, wypełniając się przyjemnym ciepłem. Wspólnie postawili kocioł na rozgrzanej płycie.

– To trochę potrwa – Ljubov włożyła do pieca duży kawał świerkowego drewna. – Przynieś jeszcze dwa wiadra.

Kiedy wrócił, stroiła gitarę.

– Kiedyś byłem dobry z polskiego – mówił, słuchając pojedynczych dźwięków. – Tłumacząc tekst, starałem się zachować rytm, tak abyśmy mogli razem zaśpiewać.

– Nie rozumiem – dłonią zdławiła drgające struny. – Ty po polsku, ja po ukraińsku?

– Tak.

– Ale to wyjdzie jakiś bełkot.

– Nie wyjdzie – sięgnął po kartkę z tłumaczeniem. – Będziemy śpiewali na zmianę. Ty linijkę po ukraińsku, ja następną po polsku. Razem po ukraińsku zaśpiewamy refren. OK?

– OK. Możemy spróbować.

– *Ty pryznajsa meni* – zanuciła, kilka razy delikatnie trącając struny. – No, czemu milczysz? Teraz twoja kolej.

– Jasne, przepraszam. Zamyśliłem się. Zaczynij jeszcze raz.

– *Ty pryznajsa meni* – śpiewając, patrzyła mu w oczy.

– *Skąd u ciebie te czary* – powielił jej zachowanie. – Ale, ale. Dlaczego przestałaś grać? Solo nie potrafię śpiewać. Właściwie w ogóle nie potrafię, a już bez muzycznego akompaniamentu mój śpiew to zupełna porażka. Graj tak, jakbyś sama miała śpiewać całą piosenkę, tylko opuść, co drugą linijkę, OK?

– OK – potwierdziła skinieniem głowy. Przy dźwiękach gitary zaśpiewali razem w tym dziwnym polsko-ukraińskim duecie:

*Ty pryznajsa meni,
Skąd u ciebie te czary,
Ja bez tebe vsi dni
Żyłem w smutku i żalu.
Może, des' u lisa'
Ziół magicznych szukałaś.
Sonce-rutu znalazła
I mnie oczarowałaś.
Czervonu rutu
Ne szukaj veczoramy
Ty u mene jedyna,
Tyl'ki ty povir.
Bo tvoja wroda
To je czystaja voda,
To je bystraja voda
Z synych' hydr.
Baczu ja tebe w snach',
I w dąbrowach zielonych,
Po zabutych steżkach',
Śmiejąc się, biegiesz do mnie
I ne treba nesti
Kwiatu złudnej nadziei,
Bo dawno uże ty.
Jesteś w moich marzeniach
Czervonu rutu
Ne szukaj veczoramy
Ty u mene jedyna,
Tyl'ki ty povir.
Bo tvoja wroda
To je czystaja voda,
To je bystraja voda
Z synych' hydr.*

– Dla mnie rewelacja – Ljubov odłożyła gitarę. – No i gratuluję pomysłu – wyszła do sieni.

Słyszał otwieranie drzwiczek, dokładanie do pieca i wlewanie wody. To wszystko trwało kilka minut.

– Kąpiel gotowa – powiedziała przez uchylone drzwi. – Dobranoc i nie podglądaj – posłała dłonią całusa.

Zasypiał zły na siebie jak nigdy dotąd. Chociaż barwa głosu, jaką się pożegnała, i posłany całus, mimo prośby o niepodglądanie były wyraźną zachętą do podglądania, on jej posłuchał. Zamiast cieszyć wzrok widokiem jej ciała, przeglądał bezwiednie tekst *Czerwonej ruty* i poprawiał tłumaczenie. „Idiota ze mnie” – powtarzał w myślach. „Skończony idiota”.

Ljubov weszła cicho jak kot.

– Śpisz? – zapytała.

– Nie – przysunął się do skraju łóżka.

– Mogę? – nie czekając na odpowiedź, usiadła obok niego. – Wyjątkowo ciemna noc – kreśliła na pościeli jakieś linie.

– Przyszłaś, żeby mi to powiedzieć?

– Taktowny to ty nie jesteś – uśmiechnęła się smutno. – Nie, nie po to przyszłam.

Ciemność skrywała twarz Ljubov, ale Pilarskiemu wydawało się, że widzi jej utkwione w pościeli oczy i grymas, który, chociaż mógł wyrażać różne emocje, w tym przypadku zdawał się świadczyć o zakłopotaniu.

– Czytałeś *Na wysokiej połoninie* Vincenza? – zapytała niespodziewanie.

– Nie – odpowiedział zdziwiony. – A kto to taki?

– Pisarz, tutaj się urodził. Facet zakochany w Huculszczyźnie, w jej przyrodzie, w ludziach, w ich zwyczajach, wierzeniach, opowieściach przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Fantastyczna, chociaż trudna w czytaniu powieść. Mam ją. Jak będziesz się nudził, polecam jej lekturę.

– OK – przytaknął, chociaż wiedział, że na czytanie nie będzie miał czasu.

– Michaił Fedorowicz Gryczko też ją zna. Kiedyś z nim rozmawiałam. Powiedział, że dla uatrakcyjnienia pobytu turystów zamierza odtworzyć niektóre z XIX-wiecznych zwyczajów. Rok temu zaczął od rozihrów i trzeba

przyznać, że trafił w dziesiątkę. Tegoroczne zainteresowanie turnusem w drugiej połowie czerwca było tak duże, że chociaż Komasznia podniosła cenę wczasów, to i tak wielu ludzi odeszło z kwitkiem.

– Co to za zwyczaj te rozchiry?

– Rozihry – poprawiła go. – Tutaj, na połoninach, wiosna przychodzi późno. No wiesz, duża wysokość i bliskość Czarnohory sprawiają, że śnieg dłużej zalega i wegetacja roślin jest opóźniona. Trawy i kwiaty, jakie możesz zobaczyć na nizinnych łąkach już w maju, tutaj rozkwitają dopiero w czerwcu. Ale właśnie ten krótszy okres wegetacji sprawia, że przyroda spieszy się. Wykorzystuje każdy promień słońca, każdy cieplejszy podmuch wiatru, aby trawy i kwiaty mogły rosnąć, rozwijać się i zakwitać, aby pszczoły, trzmiele i inne owady mogły je zapylać, dając roślinom nowe życie. A rodzajów kwiatów są tutaj setki. Każdy o innej porze otwiera się do słońca i o innej porze się zamyka. Owady to wiedzą i uwijają się jak w ukropie. Dawni Huculi wierzyli, że razem z owadami baraszkuje wśród kwiecistych łąk niauki, czyli leśne nimfy i niczym wodzirejki prowadzą taniec wszystkich istot żyjących na łąkach, połoninach i w lasach. W czerwcu, na świętego Jana przypadają te rozihry, czyli święto rozigrania się przyrody i bratania się z ziołami i kwiatami. Kiedyś w tym dniu młode mężatki i panienki wstawały przed świtem i biegały nago z rozpuszczonymi włosami wśród pokrytych rosą traw, ziół i kwiatów. Tańczyły, zanurzały się w nich i tarzały, próbując z otwierających się kwiatów odgadnąć swoje godziny świtowe. Młode Hucułki wierzyły, że taka godzina odczytana z kwiatów przynosi szczęście i radość, że o tej godzinie należy rozpoczynać każdą pracę i wszystkie ważniejsze zajęcia.

– Ciekawy zwyczaj – Pilarski przyznał bez wahania – ale jak Gryczko go wprowadził?

– Michał Fedorowicz ma pieniądze – Ljubov podniosła się na chwilę, wygładzając prześcieradło – a jak są pieniądze, to nie ma problemu. Michał Fedorowicz przywiózł z Iwanofrankiwska studentki i licealistki, tak po dwie, trzy na połoninę i na świętego Jana turyści mogli oglądać wskrzeszone rozihry. Gospodarze o wszystkim oczywiście wiedzieli i w przeddzień poinformowali swoich gości. Nie mówili, że to dla nich i na pokaz, tylko że tutaj tak jest od zawsze.

– To rzeczywiście marketingowy strzał w dziesiątkę – Pilarski nie krył

podziwu. – Chyba w czerwcu za rok jeszcze raz tutaj przyjadę.

– Myślę, że warto – przyznała Ljubov. – Zwyczaj od razu się przyjął, a w tym roku to dopiero się działo.

– To znaczy?

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale chyba w każdym człowieku drzemie jakiś pierwotny instynkt, który ciągnie go do natury. Wyobraź sobie, że do tych płasających wśród traw dziewczyn Michaiła Fedorowicza dołączyły trzy turystki z Polski i dwie licealistki z Kołomyi, które przyjechały do dziadków na wakacje. Z Polkami nie było problemu – płacą, to mogą robić, co się im podoba, ale tym panienkom z Kołomyi to się dostało. I nie od dziadka bynajmniej, ale od babci, która chciała odesłać je do domu. W końcu jakoś się udobruchała, mimo że wnuczki powiedziały, że za rok zrobią to samo.

– A ty? – Pilarski oparł się na łokciu. – Ty też biegałaś po połoninach?

Ljubov nie odpowiedziała. Andrzejowi zdawało się jednak, że się uśmiechnęła.

– Wiesz – mówiła już po chwili – tutaj w górach jest jeszcze inny zwyczaj. Taki, że gość ma prawo do jednego życzenia, a gospodarze muszą je spełnić.

– To ciekawe.

– Oczywiście muszą to być sensowne życzenia. Ty jesteś gościem i mógłbyś z tego skorzystać, ale ja proponuję zamienić role. Zgadzasz się?

– Dla ciebie zaryzykuję.

– Mówiłam, że mieszkam w Iwanofrankiwsku, mam męża i pracuję w polskim konsulacie we Lwowie.

– To prawda – Pilarski ukradkiem spojrzął na dłonie dziewczyny. Jego wzrok, przywykły do ciemności, wyławiał coraz więcej szczegółów. Wydawało mu się, że Ljubov nie miała obrączki.

– Mąż jest kierowcą w firmie budowlanej. To chory człowiek. Ubzdurał sobie, że we Lwowie mam przyjaciela. Święcie w to wierzy, a swoje frustracje topi w wódce.

– Jest kierowcą i pije?

– Tak, ale tylko w piątek po pracy i w sobotę. W niedzielę dochodzi do siebie. I tak tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Kiedy wracam do domu, on jest pijany, a kiedy odjeżdżam, trzeźwieje. Jest przy tym agresywny i bezwzględny. W sprawach intymnych też. Nie cierpię ciemnych okularów, ale muszę je nosić. Ciemne okulary u kobiety od razu nasuwają podejrzenia, że została pobita i zgwałcona przez męża pijaka. To takie skojarzenie na podstawie własnych doświadczeń.

– I nie ma z tego wyjścia?

– Rozwód. Coraz częściej o tym myślę, ale jest mi trudno podjąć decyzję.

– Zaczęłaś mówić o tajemniczym życzeniu, a rozmawiamy o twojej rodzinie i problemach.

– Moje życzenie ściśle się z tym wiąże. Nie wiem, jak mam to powiedzieć – utkwiała wzrok w podłozie. – To takie trudne. Tak łatwo o niesprawiedliwą opinię i złe zrozumienie.

– Mów śmiało. Mnie nie musisz się obawiać.

– Chciałabym – wzięła głęboki oddech – spędzić jedną jedyną noc z mężczyzną trzeźwym, delikatnym i czułym. Z tobą, Andrzeju.

Jej słowa wprowadziły go w stan emocjonalnego rozkojarzenia. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie takiej propozycji. Nie tego, że to, o czym od dawna marzył, zaproponuje mu sama Ljubov.

– Nie wiem, czy potrafię... – stracił zwykłą pewność siebie. Przesunął się pod ścianę, robiąc wolne miejsce.

– Potrafisz – wsunęła się pod pierzynę. – Na pewno potrafisz.

Obudziły ich głosy zwierząt upominających się o poranne karmienie.

– Musimy wstawać – przeciągnęła się.

– Jeszcze nie – odrzucił pierzynę. Dopiero teraz, w świetle dnia, mógł rozkoszować się widokiem jej nagiego ciała. Zawstydziała się, próbując zakryć piersi i łono.

– Nic z tego, moja droga – chwycił ją mocno za nadgarstki i powoli, choć stanowczo rozłożył ręce. – Masz zbyt piękne ciało, aby je zasłaniać.

– Miało nie być przemocy, pamiętasz? – uśmiechnęła się. Objęła udami

jego biodra, nogi splotła na jego udach i mocno przyciągnęła do siebie.

– Pamiętam – przylgnął do niej całym ciałem. Całował i dotykał najdelikatniej, jak potrafił, ciesząc się, że doprowadza tym Ljubov do szaleństwa.

Niedziela przyniosła zmianę pogody. Szczyty gór tonęły w nisko wiszących chmurach, z których co jakiś czas padał niewielki deszcz. Ochłodziło się o kilka stopni, a w powietrzu unosiła się zgniła wilgoć.

Przed śniadaniem Pilarski poprosił Ljubov do swojego pokoju.

– Usiądź na chwilę – powiedział. – Nie wiem, czy jeszcze się spotkamy – tulił jej dłonie w swoich dłoniach – ale cieszę się, że mogłem cię poznać i dziękuję za wszystko.

Ljubov uśmiechnęła się. Widać było, że te słowa sprawiają jej przyjemność.

– Nie chcę, żeby nasze pożegnanie przypominało scenę z tandetnego filmu, ale mam do ciebie prośbę.

– To mów – zamieniła się w słuch.

– Tu jest koperta dla Rafała. Przekaż mu ją i powiedz, żeby otworzył po otrzymaniu SMS-a ode mnie. Nie wcześniej, pamiętaj.

– Co ty kombinujesz? – dziewczyna zaniepokoiła się.

– Nic takiego, ale to ważne. To bardzo ważne – dodał z naciskiem.

Domownicy wyszli zaraz po śniadaniu. Petro i Marija na mszę do cerkwi, a Ljubov do autobusu, który w drodze z Putiły do Kosowa zahaczał o Paliwkę.

Pilarski wszedł do warsztaciku Petra. Duże imadło było przymocowane do masywnego stołu, a piłkę do metalu, obcęgi i młotek znalazł bez problemu. Długo przerzucał metalowe rupiecie, co chwila odkładając na bok gwoździe i kawałki grubego drutu. Po półgodzinie kilka różnej wielkości wytrychów włożył do małego plecaka. Dorzucił jeszcze latarkę, dwie kromki suchego chleba i wyszedł. Zatrzymał się na werandzie i wyjął komórkę. Bateria była naładowana, a na pasku zasięgu widniała jedna kreska. Napisał

kilka słów i ucieszył się, że wiadomość została wysłana.

Deszcz przestał padać, jednak chmury ciągle szczelnie przykrywały szczyty gór, znacznie ograniczając widoczność. Bał się, że w tych warunkach łatwo zgubi drogę. Nic takiego jednak się nie stało i po godzinnej wspinaczce stanął przed kapliczką.

Kłódkę udało mu się otworzyć dopiero po kwadransie. Przez okienko znajdujące się w tylnej ścianie kapliczki wpadało niewiele światła, a pochmurna pogoda i otaczający las sprawiały, że w środku panował mrok. Zaświecił latarkę i punktowym światłem wyłuskiwał kolejne przedmioty.

Kapliczka przypominała cerkiew w miniaturze. Jej centralną część stanowił oryginalny ikonostas, składający się nie z ikon, ale z klepsydr wymalowanych na sklejonych deskach, tworzących dużą drewnianą płaszczyznę. W każdej klepsydrze, w środku grubego czarnego obramowania, obok katolickiego krzyża wykaligrafowane było imię, nazwisko i data urodzenia. Na kilku ze starych fotografii spoglądały różne, najczęściej młode twarze. W centralnej części ikonostasu znajdowała się duża fotografia, oprawiona w drewnianą ramę. Przedstawiała młodego mężczyznę z głęboką blizną, kobietę niezwyklej urody i dwie małe, bardzo do siebie podobne dziewczynki. Twarz mężczyzny wydawała się Pilarskiemu znajoma, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach ją widział.

Zdjął fotografię i uważnie się jej przyglądał. Na odwrocie czarnym tuszem były wypisane nazwiska i daty śmierci.

Roman Dywczuk – 2.12.1944

Oksana Dywczuk – 12.07.1958

Juliana Dywczuk – 5.11.1944

Swietłana Dywczuk – 5.11.1944

W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, dlaczego na klepsydrach wypisane są daty urodzenia, a na trzymanej w ręku fotografii daty śmierci, kiedy jednak nad ikonostasem zobaczył taki sam napis jak na pomniku UPA, wszystko stało się jasne.

„Bohaterom z Ukraińskiej Powstańczej Armii, naszym ojcom, mężom i synom, którzy oddali życie za samostijną Ukrainę 7.12.1944 roku” –

przeczytał. „Dat śmierci nie trzeba było podawać” – konstatował – „ponieważ wszyscy zginęli w tym samym dniu. Z rodziną Dywczuka było inaczej. Najpierw w Rybakach Rosjanie zamordowali jego dwie córki i rodziców. Oksana, żona Dywczuka, ukrywała się w Paliwce i właśnie tam go złapali. 2 grudnia 1944 zawisł na szubienicy w Kosowie, obok Pomnika Tarasa Szewczenki”. O tym wszystkim wiedział po przeczytaniu *Michała*.

Powiesił fotografię na swoim miejscu. Nie miał wątpliwości, że kapliczka była sanktuarium żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii pogrzebanych żywcem 67 lat temu. Nagle wydało mu się, że słyszy trzask łamanych gałęzi. Zgasił latarkę i cały zamienił się w słuch. Wokół panowała jednak niczym niezakłócona cisza.

Po raz drugi zaczął się zastanawiać, czy Agnieszka i Paweł byli w tej kapliczce. Jeśli tak, to co znaleźli? Do jakich wniosków doszli? No i najważniejsze – gdzie są teraz? Był przekonany, że jeśli w swoim rozumowaniu nie popełnił błędu, to na ostatnie pytanie prawdopodobnie zna odpowiedź. Pewność wymagała jednak determinacji.

Przywiązał drutem drzwi kapliczki do jednej z poprzecznych belek i rozpoczął poszukiwania.

Właz znalazł za ikonostasem. Znajdował się pod dużą, zamkniętą na kłódkę skrzynią, tak ciężką, że z największym trudem udało mu się ją odsunąć. Kłapę wjazdu stanowiły sosnowe drzwiczki osadzone na dwóch zawiasach przymocowanych do podłogi.

Nie wierzył w Boga, ale przed ich otwarciem przeżegnał się. Drzwiczki łatwo dały się otworzyć. „Zbyt łatwo” – pomyślał.

W świetle latarki zobaczył drabinę ginącą gdzieś w czarnej czeluści pionowej studni.

Bogaty program wycieczki realizowano zgodnie z planem. Jej uczestnicy byli już w Okopach Świętej Trójcy, czyli w miejscu, w którym Zbrucz wpada do Dniestru. Właśnie tam z racji dogodnego położenia pod koniec XVII wieku wybudowano twierdzę mającą wiązać wojska tureckie stacjonujące w Kamieńcu Podolskim i Chocimiu. Wycieczka odwiedziła też obie te miejscowości. Wszystkich urzekł Dniestr. Ten milczący świadek skomplikowanych polsko-kozacko-turecko-rosyjskich zmagania płynął

majestatycznie potężnymi zakolami wśród niewysokich wzgórz, a gdyby mógł mówić, to opowiadałby niekończącą się historię wojen, pokojów, rozejmów, miłości, gwałtów, branek i powrotów. Podobały się Czerniowce – miasto nad Prutem, z licznymi zabytkami, zadbane i odnawiane. Teraz stolica obwodu czerniowieckiego, a przed wojną stolica rumuńskiej Bukowiny. W Kołomyi Igor zaprowadził do Muzeum Huculszczyzny i do Muzeum Pisanki – jednego z dwóch na świecie. Wycieczka przejechała Pętlę Huculską, czyli trasę z Kosowa przez Verhovynę, Vorohtę, Jaremcze, Delatyń, Jabłonów i Kołomyję do Kosowa, po drodze odwiedzając Słobodę Runguską – miejsce urodzenia Stanisława Vincenza. Wreszcie na koniec Igor pokazał prawosławny klasztor na Górze św. Anny.

Ostatnim i najważniejszym miejscem były Rybaki. Właśnie tam przy pomniku upamiętniającym żyjących tutaj do 1944 roku Polaków miało się odbyć spotkanie z Ukraińcami i z ich grekokatolickim księdzem. Jeszcze raz Polacy i Ukraińcy chcieli się zadumać nad tragiczną historią obu narodów. Polacy obawiali się tego spotkania, ale i chcieli go. To ono, a nie wszystkie dotąd odwiedzone miejsca, przywiodło ich na Ukrainę.

Ewa Konieczny, która dołączyła do wycieczki na dworcu kolejowym w Obornikach Śląskich, okazała się znakomitą towarzyszką podróży, wesołą, inteligentną i lubianą. Teraz także przygotowywała się do ostatniego etapu eskapady i jak wszyscy narzekała na deszczową pogodę.

– Dobrze, że wzięłam parasolkę – powiedziała do Romany. – Jest duża, w razie potrzeby możemy się obie pod nią schować.

Zakładała buty, kiedy przyszedł ten SMS. Przeczytała go i nagle spoważniała.

– Nie pojedę do Rybak – oznajmiła głosem tak zdecydowanym, że nikt nie próbował nakłaniać jej do zmiany decyzji.

Na przystanku dowiedziała się, że na żaden autobus nie może dzisiaj liczyć. Taksówek także nie było. Jediną szansą, aby dostać się do Paliwki, było skorzystanie z uprzejmości kogoś z mieszkańców Kut. Chcąc nie chcąc stanęła przy drodze jako autostopowiczka.

Wysłuzona łada, pamiętająca gorbaczowską pierestrojkę, zatrzymała się od razu.

– Podwiezie mnie pan do Paliwki? – zapytała proszącym głosem. –

Bardzo mi na tym zależy.

Mężczyzna w średnim wieku skrzywił się.

– Dobrze zapłacę – wyjęła z torebki dwadzieścia euro.

Perspektywa kilkudniowego zarobku za półgodzinny kurs diametralnie zmieniła sytuację.

– Wsiadajcie – na twarzy mężczyzny pojawił się szczerzy uśmiech. Oparł się na siedzeniu pasażera i otworzył drzwi od środka.

Kiedy wyjechali z Kut, Ewa sięgnęła po komórkę i raz jeszcze przeczytała wiadomość.

Mieszkam u Petra i Marii Karbiuków. Idę na Rabiniec. Kapliczka=wejście do bunkra. Nie ufam Petrowi i Mykole. Uważaj na Gryczkę. A.P.

– Zna pan Petra i Mariję Karbiuków? – zapytała kierowcę.

– Nie. W Kutach nikt taki nie mieszka.

– Nie w Kutach, w Paliwce.

– W Paliwce nie znam nikogo. Wy Polka?

– Tak – odpowiedziała zdawkowo.

– Mam rodzinę w Polsce – właściciel łady zręcznie ominął głęboką wyrwę. – W Hrubieszowie żyją.

Nie miała ochoty na rozmowę. Chciała jak najszybciej znaleźć się w Paliwce, w gospodarstwie, w którym zatrzymał się Pilarski.

– Do cerkwi was zawiozę, tam zapytacie – kierowca wyczuł jej nastrój i już nie męczył rozmową. Uznała tę propozycję za całkiem sensowną. Przekonała się, że to dobry pomysł, kiedy dojechali na miejsce równo z końcem mszy.

– Dziękuję panu – wręczyła umówiony banknot.

– To ja dziękuję i do widzenia pani.

Młoda para, którą zapytała o Petra i Mariję, nie wiedziała, ale zgarbiona, lekko przygłucha staruszka – tak.

– O, tam są – sękatym kijem, jakim się podpierała, wskazała grupkę ludzi rozmawiających pod cerkwią.

Oficjalne przywitania, pierwsze słowa, pierwsze gesty od razu wprowadziły klimat wzajemnej nieufności. W przypadku Ewy sprawił to SMS od Pilarskiego. *Nie ufam Petrowi i Mykole. Uważaj na Gryczkę* – napisał. No to i ona im nie ufała. Nie wiedziała, kim są Mykoła i Gryczka, więc całą nieufność skierowała na Petra.

W przypadku Karbiuka zadziałał instynkt samozachowawczy.

– Sama tak przyjechała? – pytał podejrzliwie.

Do tej pory turystów przywoził bus, pilot przekazywał ich Mykole, a on rozdzielał do rodzin. Był porządek i był spokój. Przyjazd Ewy zakłócił ten ład. Petro nie wiedział, co na to powie jego hołowa, czyli Mykoła. Nie wiedział, jak zareaguje Michaił Fedorowicz – hołowa Mykoły. Nie wiedział, bał się i nie ufał.

– Sama. Wynajęłam w Kutach samochód.

– A po co przyjechała?

– Mój znajomy mieszka u was.

– Wy jego żona?

– Jeszcze nie.

– Na długo przyjechała?

– Nie wiem. Chciałam się u was zatrzymać.

– Miejsca nie ma. Pan Andrij całą izbę zajmuje.

– Dobrze zapłacę.

– Skilki zapłaci? – milcząca dotąd Marija włączyła się do rozmowy.

– Dwadzieścia.

– Hrywnów – twarz kobiety wykrzywił grymas zawodu.

– Euro.

Petro i Marija zamilkli.

– Dwadzieścia euro za każdy dzień – Ewa sięgnęła do torebki. – Sto za

pięć dni.

– Izbu Ljubow uprzątniem – Marija nie zastanawiała się, co na to wszystko powie hołowa hołowy.

– Bida bude – Petro podjął rozpaczliwą próbę obrony istniejącego układu.
– Mykoła...

– Ty zdurniał, czy co? De dwadczat’ ojro zarobi?

– Za każdy dzień – Ewa dolewała oliwy do ognia.

– Za każdyj den – jak echo powtórzyła Marija.

Szli powoli, niewiele ze sobą rozmawiając. Droga do zagrody zajęła im pół godziny. Przeszukali dom i wszystkie budynki gospodarcze, ale Pilarskiego nigdzie nie było.

Ewa sięgnęła po komórkę. Mimo wielu prób, nie udało się jej ani wysłać SMS-a do Pilarskiego, ani nawiązać z nim bezpośredniego kontaktu.

– Pan Andrij tilki po horach chodyty – Marija próbowała uspokoić Ewę. – Ne nerwuje sie. Do prismerka [\[24\]](#) pryjde.

Nie przyszedł.

– Zaginął człowiek – Ewa była roztrzęsiona. – Trzeba zgłosić na milicję.

– Tu nie ma milicji – Petro rozłożył ręce. – A Andrij przyjdzie, niech będzie spokojna.

Tej nocy nie spała nawet godziny. Jej obawy, z którymi jechała do Paliwki, zdawały się w pełni potwierdzać. Pilarski odkrył wejście do bunkra i spotkał go ten sam los, co Pawła i Agnieszkę. Nie dopuszczała jednak myśli, że nie żyje. „To absurd” – strofowała samą siebie. Z rana jej niepokój udzielił się także gospodarzom.

– Do Michaiła Fedorowicza by trza pójść – Petro drapał się po głowie.

– Kim jest Michaił Fedorowicz? – zapytała. Była gotowa pójść do samego diabła, byle tylko coś zrobić, byle zacząć działać.

– Gryczko – Marija włączyła się do rozmowy. – Michaił Fedorowicz Gryczko, nasz dobrodinik. On wse może.

Uważaj na Gryczkę – przypomniawszy sobie wiadomość od Pilarskiego.

- A milicji tutaj nie ma? – zapytała.
- Ja mówił, że nie ma. W Kutach jest.
- Zna pan numer telefonu?
- 02. Triwożnyj [25] telefon, no, pani Ewa – Petro skrzywił się. – To niszczo ne da.

Niezrażona uwagą gospodarza, sięgnęła po komórkę, ale szybko zmarkotniała. W izbie nie było zasięgu. Wyszła na zewnątrz i po kwadransie poszukiwań zobaczyła na wyświetlaczu jedną, czasem dwie kreski. Numer alarmowy milicji jednak nie odpowiadał.

Wtedy przypomniała sobie o Romanie. Pamiętała, że jakiś czas temu jej numer zapisała w pamięci telefonu. Nie była tylko pewna, czy przy okazji porządkowania kontaktów nie skasowała go razem z innymi.

Z uwagą wpatrywała się w wyświetlacz, coraz bardziej marszcząc czoło.

„Cholerne nawyki” – przeklinała swoją skłonność do ładu i porządku. W książce adresowej nie było ani Romany, ani Manug. Zaniechała szybkiego wyszukiwania. Przeglądała kolejno wszystkie kontakty, mając nadzieję, że tak potrzebny jej teraz numer zapisała pod innym hasłem. „Oborniki Śląskie?” – zdziwiła się, ale i ucieszyła. Oprócz Romany w Obornikach nie знаła nikogo.

Połączenie uzyskała nadspodziewanie szybko.

– Dzień dobry pani, Ewa Konieczny przy telefonie. Czy możemy chwilę porozmawiać? Ja też się cieszę i na pewno bardziej niż pani. Pani Romano, zaginął Andrzej Pilarski. Tylko pani może mi pomóc... Niestety, możliwe... Proszę mnie uważnie wysłuchać. Potrzebuję pilnie pomocy ukraińskiej milicji. Posterunek jest w Kutach. Niech pani zadzwoni do tego Ukraińca, u którego nocowaliśmy... Tak, do Igora. I poprosi go o pomoc... Oczywiście. I proszę do mnie zadzwonić, jak się sprawy mają. Koszty oczywiście pokryję... Tak, tak. Bardzo pilne.

Czekanie było dla Ewy katogą. Siedziała na ławce przed domem Petra i Marii i obserwowała skąpany w porannym słońcu Rabiniec. „On gdzieś tam jest” – ta myśl nie dawała jej spokoju.

Romana zadzwoniła po godzinie.

– Witam, witam – Ewa uśmiechnęła się. – No i co, udało się? Nie? Dlaczego? Tylko jeden milicjant? Nie może opuścić posterunku? Dlaczego nie może przyjąć zawiadomienia? A jakie to ma znaczenie, że Pilarski jest dla Igora obcą osobą? Cholera! Oczywiście, że to nie do pani. Przepraszam... Ja mam się zgłosić na posterunek w Kutach? To jakaś paranoja! Proszę jeszcze raz powtórzyć... Dziękuję. Do widzenia.

Wiadomość, którą usłyszała od Romany, pozbawiła ją resztek nadziei. Milicjant z Kut sugerował, żeby w sprawie zaginięcia skontaktowała się z Michałem Fedorowiczem Gryczką. Biegiem ruszyła z powrotem.

– Petro – patrzyła w oczy gospodarza – musi mi pan pomóc.

– Pomożem pani, a jakże. Ja pomogę i Marija.

– Na milicję nie można liczyć. Sama pójde na Rabiniec, ale potrzebuję przewodnika.

– Nie, pani – Petro nagle zbladł.

– Dobrze zapłacę – położyła przed gospodarzem sto euro.

– Nie, pani – Petro odsunął banknot. – Ja ne idu i wy ne idte.

– Może ktoś ze wsi ze mną pójdzie?

– Nihto ne pojde.

Kiedy opuszczała zagrodę, zauważyła Petra z Mariją stojących przy oknie i pomachała im. Myślała, że zrobią to samo, że pozdrowią, życząc powodzenia, a oni oboje się przeżegnali.

Pomnik znalazła od razu, ale kapliczki nie było w zasięgu wzroku. Znalazła ją po półgodzinie, kierując się zapamiętanym opisem z *Michała* i policyjno-kobiecą intuicją. Drzwi do kapliczki były zamknięte na kłódkę. Na taką ewentualność nie była przygotowana.

– Andrzej! Andrzej! – krzyknęła i nasłuchiwała. – Andrzej! Andrzej! Wokół panowała cisza. Nie było słyhać nawet śpiewu ptaków.

Położyła plecak na ziemi i obesza kapliczkę dokoła. Drugich drzwi nie było.

– Trudno – pomyślała. – To barbarzyństwo, ale innego wyjścia nie mam.

Po krótkich poszukiwaniach znalazła świerkowy palik. Szkło z rozbitej

szyby wpadło do środka. Przez apaszkę wyciągnęła kilka ostrych kawałków i włożyła rękę, szukając zamknięcia, aby otworzyć okno. Nie znalazła – było na stałe związane ze ścianą. Delikatne ramy łamały się łatwo i wkrótce po oknie zostały jedynie rozbite szkło i kawałki drewna.

Wejście do środka okupiła rozdarciem nogawki i skaleczeniem dłoni.

– Andrzej! Andrzej! – zawołała. Odpowiedziała jej głucha cisza. – Andrzej! Andrzej! – powtórzyła, z takim samym rezultatem.

Pobieżna lustracja podłogi nie dała żadnych wyników. Nie widać było niczego, co przypominałoby wejście do bunkra.

Uklękła i z najbliższej odległości oglądała każdą szparę. Skaleczona dłoń zostawiała na podłodze czerwone plamy. Wejścia pod ziemię nie było. Nagle usłyszała charakterystyczny dźwięk. W normalnych warunkach nie zwróciłaby na to uwagi, ale teraz ten odgłos ją sparaliżował. Ktoś otwierał kłódkę.

Podniosła się z klęczek. Wpatrzona w otwierane drzwi, powoli cofała się za ikonostas. Nagle na jego tylnej ścianie zobaczyła jakiś rozmyty cień. Wydawało się jej, że się poruszył. Powoli odwróciła się i zamarła. Przez wybite okno zobaczyła człowieka w kominiarce. Stał tuż przy ścianie kapliczki z pistoletem w dłoni.

Słyszała skrzypienie drzwi i jakieś stłumione głosy. Po chwili dwaj mężczyźni, także z twarzami zasłoniętymi kominiarkami, wcisnęli się za ikonostas. Wyższy z nich również trzymał w dłoni pistolet. Na małej powierzchni, ograniczonej dodatkowo masywną skrzynią, znaleźli się we troje. Stali niemal ramię w ramię. Czują zapach nikotyny i woń potu. Własnego potu.

Mężczyzna z pistoletem chwycił ją za przegub ręki, którą energicznie wykręcił do tyłu. Syknęła z bólu. Popchnął ją pistoletem, cały czas trzymając wykręconą rękę na wysokości łopatki. Kiedy znaleźli się między drzwiami a ikonostasem, nieznacznie zwolnił uchwyt.

Mimo emocji sięgających zenitu realnie oceniała rzeczywistość. Dobra znajomość wschodnich sztuk walki, choć kilka razy pozwoliła jej wyjść cało z opresji, tym razem zdawała się bezużyteczna. W konfrontacji z trzema mężczyznami, z których dwóch trzymało broń, nie miała żadnych szans. Nie pozostawało jej nic innego, jak bez sprzeciwu wykonywać polecenia

zamaskowanych mężczyzn.

– Ja gotow – usłyszała lekko zachrypły głos.

Kiedy wrócili za ikonostas, poczuła, że nogi ma z waty. Skrzynia była odsunięta, a podniesiona kłapa odsłaniała zejście pod ziemię. Mroczna czeluść ją przerażała. Nie potrafiła i nie chciała ocenić jej głębokości. Jak przez mgłę widziała kilka szczebli pionowej drabiny.

– Wlizati – mężczyzna puścił jej rękę.

– Nie zrobicie tego – w jej głosie słychać było stanowczość i uległość, odmowę i prośbę.

– Wlizati! – mężczyzna podniósł głos, wykonując przy tym kilka obscenicznych ruchów biodrami. Ten przekaz był dla niej jasny – jeśli sama nie wejdzie, zostanie zgwałcona i wrzucona.

Trzymając się skrzyni, drżącymi rękoma postawiła nogę na pierwszym szczeblu drabiny.

Siedziała na wilgotnej ziemi i ryczała. Perspektywa bliskiej śmierci przerażała ją do tego stopnia, że jej płacz stał się mieszaniną histerycznego szlochania, jęków miłosnej ekstazy i pospolitego skomlenia. Nie wiedziała, jak umrze. Z głodu? Z braku powietrza? A może wcześniej serce nie wytrzyma olbrzymiego stresu? Właściwie było jej wszystko jedno. W ciągu ostatnich kilkunastu minut dojrzała do tego, do czego większość ludzi dochodzi przez całe życie – dojrzała do filozofii umierania. Z jednej strony do akceptacji tego, co nieuchronne i ciekawości tego, co jest po, ale z drugiej ogarniał ją paniczny strach przed samym umieraniem, przed fizycznym bólem, niedołęstwem i łaską bądź niełaską innych. Tutaj przynajmniej łaski bądź niełaski nie musiała się obawiać. Była sama.

Płacz oczyścił jej duszę i znowu zaczęła odczuwać fizyczność własnego ciała i otoczenia. Bolała ją skaleczona ręka, ziemia atakowała wilgocią, a udo uciskał jakiś przedmiot. Wstała, trzymając się szczebli drabiny. Wsunęła dłoń do kieszeni.

„Komórka” – ucieszyła się. Telefon zawsze nosiła w torebce, ale dzisiaj po rozmowie z Romaną zamiast do plecaka włożyła go do kieszeni spodni. Plecak został na zewnątrz, a ona przynajmniej ma komórkę. Nacisnęła jakiś

klawisz. Wyświetlacz zaświecił niebieskim światłem. Bateria była naładowana, ale na pasku zasięgu nie świeciła się ani jedna kreska. „Tyle dobrego, że mam latarkę” – pomyślała.

W słabym świetle komórki zobaczyła jakiś przedmiot. Był w zasięgu ręki, ale z powodu ciemności nie wiedziała o jego istnieniu. Po bliższych oględzinach rozpoznała plecak Pilarskiego. Pamiętała, że razem wkładali go do nesesera. Widok plecaka uprzytomnił jej powód, dla którego tu jest. Przyszła ratować kolegę, a tymczasem sama znalazła się w śmiertelnym potrzasku. Przyszła, chociaż nie musiała.

„Kim jest dla mnie Andrzej?” – krótka refleksja ustąpiła miejsce innej, że to właściwie nie ma już znaczenia. Z drugiej strony śmierć Pilarskiego i jej własna wydały się tak nierealne i niesprawiedliwe, że postanowiła działać.

Otworzyła plecak. Na dnie przemieszane ze sobą leżały latarka, dwie mapy, kromka czerstwego chleba, kilka wytrychów i komórka. Najbardziej ucieszył ją widok latarki. „Ma diody LED” – pamiętała, jak Andrzej cieszył się, kiedy ją kupił. „Na jednej baterii będzie świeciła przez cały rok” – mówił.

Nacisnęła przycisk wyłącznika. Wąski snop białego światła wyłapywał szczegóły najbliższego otoczenia, słabo rozjaśniając panujące ciemności.

– Andrzej, jesteś tu? – chciała zawołać donośnym głosem, ale wyszedł z tego ledwie słyszalny bełkot. Emocje nie pozwalały na więcej.

Stała w niewielkiej niszy o ścianach z grubych, okorowanych świerkowych belek. Cała konstrukcja sprawiała wrażenie dość nowej, najwyżej kilkuletniej. Z niszy były dwa wyjścia. Pionowe, z drabiną, było zamknięte. Ewa nie miała wątpliwości, że dodatkowo przywalone jest ciężką skrzynią. Poziome kończyło się po kilku metrach. W pierwszej chwili wydało się jej to dziwne, ale po dokładnej obserwacji przekonała się, że korytarz skręca w tym miejscu w lewo.

Strach ją obezwładniał, dlatego wahała się. Ostatecznie zwyciężyła świadomość, że być może Pilarski jest w pobliżu, żyje i potrzebuje pomocy, no i że we dwoje zawsze raźniej. Z duszą na ramieniu ruszyła w głąb labiryntu.

Zatrzymała się przy pierwszym zakręcie. Postanowiła, że zanim pójdzie dalej, sprawdzi, czy nikt za nią nie idzie. Niebezpieczeństwo takie ciągle

istniało, ponieważ nie miała pojęcia, co dzieje się w kapliczce. Nie wiedziała, czy mężczyźni w kominiarkach nadal są na górze, czy uznali, że wypełnili misję i zeszli do wsi. Z drugiej strony miała świadomość, że gdyby nawet ktoś za nią szedł, to ona i tak nie ma gdzie uciekać. Odwróciła się, ale w świetle latarki zobaczyła jedynie plecak Pilarskiego.

Ostrożnie wychyliła się zza narożnika. Przed nią był pusty, kilkumetrowej długości korytarz, łagodnie prowadzący pod górę. Nie było żadnych wnęk, załamań sufitu, po prostu kilka metrów równych ścian. Po kilku kolejnych zakrętach zatrzymały ją ciężkie stalowe drzwi, zamknięte na metalowy skobel. Zdobiał je kuty w żelazie ornament, otaczający centralnie osadzony tryzub. Strach, który jej cały czas towarzyszył, nagle przerodził się w panikę. Bała się tego, co zobaczy za drzwiami. Nie miała odwagi otworzyć drzwi i czekała. Szybko jednak przekonała się, że nie ma nic gorszego niż czekanie, że każda prawda, nawet ta najgorsza, jest lepsza niż scenariusze podsuwane przez wyobraźnię. Wyjęła skobel i pociągnęła drzwi.

Uderzyły ją chłód, wilgoć i nieprzyjemna woń moczu. Tuż za drzwiami w dziwnie skulonej pozycji leżał człowiek.

– Boże! – krzyknęła. Cofnęła się o krok i znieruchomiała, sparaliżowana strachem. W świetle latarki rozpoznała zarzuconą na głowę kurtkę Pilarskiego.

W jednej chwili znalazła się przy nim. Kiedy ściągnęła z głowy kurtkę, uprzytomniła sobie, jak bardzo musiał się męczyć. Zgięte w kolanach nogi miał związane sznurem. Ręce wciśnięte między łydki i uda również oplatała gruba linka. Włożoną w usta szmatę przytrzymywała zawiązana z tyłu głowy chusta. Drżącymi rękoma ściągnęła chustę i wyjęła szmatę.

– Andrzej, Andrzej – klepała go po twarzy. – Powiedz coś. Odezwij się.

Rozwiązała ręce i nogi. Przyłożyła palec do tętnicy szyjnej. Wydawało się jej, że czuje słaby puls. Prostowała na przemian ręce i nogi Pilarskiego. Oceniała, że w tej pozycji mógł być całą dobę i że taka gimnastyka jest mu potrzebna.

– Przepraszam – usłyszała nagle słaby głos.

– Och, ty – przytuliła twarz do jego twarzy. – Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę.

Siedzieli w tej samej niszy, z której drabina prowadziła wprost do kapliczki.

– Dzięki, Ewuniu – dotknął palcem jej nosa. – Byłem pewien, że ze mną już koniec.

– Teraz zmieniłeś zdanie?

– Uhmhm – skierował światło latarki na komórkę. – Mamy szansę.

Naciskał kolejne przyciski, ale komórka była martwa.

– Co jest? – dziwił się. – Nigdy tego nie było.

Dopiero teraz zauważył brak tylnej ścianki telefonu.

– Jasna cholera – zaklął. – Zabrali baterię i kartę.

– A co by to zmieniło? – w głosie Ewy pobrzmiwała rezygnacja. – I tak nie ma zasięgu.

– Jest, czasami jest. Znajdujemy się blisko szczytu. Gdzieś w pobliżu jest stacja przekaźnikowa.

– Straciłeś jakieś ważne telefony?

– Tak.

– No i co z tego? To i tak nie ma już znaczenia.

– Ty nic nie rozumiesz – Pilarski zdenerwował się. – Masz Nokię?

– Mam.

– Jaki model?

– Nie wiem. Sam sprawdź – podała telefon.

– Inny, ale na wielkość taki sam. Przekładamy – zdecydował.

– Co przekładamy?

– Baterię i kartę. Wydaje się, że numer Ljubov zapisałem w pamięci telefonu.

– Kim jest Ljubov?

– To córka Petra i Marii. Podaj PIN.

- 7971. Łatwy.
- Łatwy? Nic mi to nie przypomina.
- Data moich urodzin.
- Jutro masz urodziny?
- Tak, i to okrągłe.

Przeglądał kontakty. Znajomi jego i Ewy znaleźli się na jednej liście.

– Andrzej Pil – uśmiechnął się, kiedy zobaczył swój numer. – Jest! Jest! – krzyknął. – Mam numer do Ljubov.

W świetle latarki napisał długi tekst. Sprawdził go raz jeszcze i chciał wysłać, ale zasięgu nie było.

– Usiądź z boku – poprosił. – Wejdę na drabinę, a gdybym spadł, to nic z ciebie nie zostanie.

- Może poświecić?
- Nie, nie trzeba.

Wspiął się na sam szczyt drabiny. Głową naciskał sufit z całych sił, ale włąz ani drgnął. Zrezygnowany spojrzał na komórkę. Zasięgu nadal nie było.

- Musimy próbować i próbować – tłumaczył już na dole.
- Co napisałeś?
- Prośbę o pomoc. Taki esemesowy SOS.
- Będzie wiedziała, co ma zrobić?
- Tak. Przewidziałem taką sytuację.
- Nieźle cię urządzili.
- Już wracałem. Byłem w połowie drabiny, kiedy kazali mi zejść. Trzech ich było, mieli broń.
- Wracałeś?
- Tak. Przeszedłem do końca korytarza.
- Oni tam są?

- Są. Związali ich tak samo jak mnie. Okropna śmierć.
 - Zmienili się?
 - Nie. Tutaj musi być jakiś specyficzny mikroklimat. Agnieszka wygląda tak samo jak na zdjęciu.
 - Bałeś się? Przepraszam, głupie pytanie. Nie odpowiadaj.
 - Jasne, że się bałem, ale to ja przepraszam.
 - Ty? A za co?
 - No wiesz... Cuchnę okropnie. Na fizjologię nie ma siły.
 - Pewnie – fuknęła. – Powinieneś mnie przywitać w śnieżnobiałej koszuli, w garniturze skropionym perfumami od Armaniego. Daj spokój. Długi jest ten korytarz.
 - Od tych drzwi, za którymi mnie znalazłaś, ciągnie się jakieś pięćdziesiąt metrów. Na końcu jest duże pomieszczenie, takie jak izba u Petra. Na jednej ścianie wiszą klepsydry, podobne do tych w kapliczce. Pośrodku stoi dębowy stół, a na nim leży duży drewniany krzyż.
 - Prawosławny?
 - Grekokatolicki. Prawdopodobnie w tym miejscu młodzi ludzie z organizacji Michaiła Fedorowicza Gryczki składają przysięgę.
 - O czym mówisz? Nic nie rozumiem.
 - W grudniu przypada rocznica wysadzenia bunkra. Każdego roku z Paliwki pod pomnik idzie procesja, a później w podziemiach kapliczki młodzi ludzie wstępujący do organizacji składają przysięgę.
 - Co to za organizacja?
 - Nie wiem. Gryczko ma pieniądze. To on odbudował część bunkra i postawił kapliczkę. Gdzieś za tym pomieszczeniem, w którym składana jest przysięga, znajduje się grób stu dwudziestu siedmiu banderowców.
 - Agnieszka i Paweł zginęli tak samo jak oni. My też tak zginiemy – rozplakała się.
 - Spokojnie – przytulił ją do siebie. – Jeszcze mamy szansę.
- Znowu wspiął się po drabinie. Operował klawiszami przez kilka minut i

nagle zaczął schodzić w pośpiechu.

– Wysłałem! – szepnął Ewie do ucha. – Wysłałem wiadomość.

– Fajnie – powiedziała bez entuzjazmu. – Wiesz, ja ciągle myślę o tych stu dwudziestu siedmiu. Dla nas oni są bandytami, a dla Ukraińców bohaterami. Ci sami ludzie, którzy z Polakami żyli chata w chatę, uprawiali ziemię miedza w miedzę, chrzcili się w tych samych kościołach, zawierali między sobą małżeństwa, nagle stali się potworami wyzutymi z wszelkich ludzkich uczuć. Nie wydaje ci się to tragiczną ironią losu?

– To wojna. To ona wyzwala demony, które siedzą w każdym z nas, w tobie, we mnie. Nikt z nas nie wie, jak zachowałyby się w sytuacji skrajnej, takiej z koniecznością ostatecznych wyborów.

– Pamiętam opis z *Michała* – objęła go mocniej. – Ten z akcji na Rabińcu, tuż przed wysadzeniem wejścia do bunkra. Rosjanie byli na górze, część bunkra zalewała woda, a oni siedzieli w pułapce. Nie wiadomo, co myśleli i co robili, ale na koniec, kiedy wiedzieli, że już nie ma dla nich ratunku, zaśpiewali. Pamiętasz co?

– Nie pamiętam.

– Nie była to pieśń patriotyczna, taka, z którą na ustach wracali ze spalonych wsi, gdzie dokonywali okrutnych zbrodni. Zaśpiewali tęskną dumkę. Pamiętam jej słowa i nawet znam melodię.

*Jihaw kozak na wijnońku
proszczaw swoju diwczynońku:
Proszczaj, myleńka czornobryweńka,
ja idu w czuzu storońku.*

– zanuciła stłumionym głosem.

– Prawda, że ładna?

– Prawda – przyznał.

– No właśnie. Zwyczajni ludzie, tacy jak my, tyle że omamieni zbrodniczą ideologią wpajaną przez ówczesne elity.

Obudziły ich jakieś kroki i odgłos przesuwania skrzyni. Z niepokojem

spoglądali ku górze, nie wiedząc, czy to pomoc, czy egzekucja. Snop światła wyłowił z mroku dwie przytulone do siebie postaci.

– Widzę ich – powiedział ktoś po polsku.

Pilarski leżał w wannie cały zanurzony w pianie. Ewa siedziała obok na drewnianym stołku.

– Odmakam, odmakam – śmiał się, rozdmuchując pianę. Rzeczywiście, zmywał z siebie fizyczny i psychiczny brud ostatnich kilkudziesięciu godzin.

– Uważaj, dolewam – Ewa zdjęła z piecyka garnek gorącej wody.

– Kto by przypuszczał – skulił się – że Michaił Fedorowicz Gryczko i John Primak to przyrodni bracia, tyle że jeden z oficjalnego małżeństwa, a drugi nie. John przysyłał pieniądze, a Michaił Fedorowicz inwestował. Obu łączyła pamięć o ludziach z sotni ojca, dlatego postawili pomnik, kapliczkę i odrestaurowali część bunkra. Michaił Fedorowicz w swoich działaniach poszedł jeszcze dalej. Pamiętasz, co mówił twój przyjaciel Biloński o wytycznych OUN na emigracji?

– Biloński nie jest moim przyjacielem – fuknęła. – To tylko dobry znajomy.

– OK, OK. Nie obrażaj się.

– Chodzi ci o kupowanie audycji radiowych i dyskusje w duchu heroizmu UPA?

– Tak, ale nie tylko. Chodzi mi ogólnie o indoktrynację. Komasznia, wykorzystując sentyment do ziemi utraconej, ma przyciągać Polaków na te tereny. I robi to. Później sprawy w swoje ręce bierze pilot, a tutaj na miejscu niejaki Mykoła. Gdybyś ich słyszała...

– Co mówią?

– Robią zwyczajne pranie mózgow.

– A Agnieszka i Paweł?

– Jestem przekonany, że to przypadek. Przyjechali żądni przygód, odkryli wejście do bunkra i znaleźli się w świętym dla Gryczki miejscu. Musieli zginąć.

– Musieli? Tylko przez to, że weszli do bunkra?

– Dla Michaiła Fedorowicza mógł to być poważny występki. Być może bunkier UPA to jego obsesja, miejsce najświętsze ze świętych. Zauważ, że gdyby nie przypadek, gdyby nie noc spędzona z Hucułką, Fedor Primak zginąłby razem ze swoimi ludźmi i nie byłoby na świecie ani Johna, ani Michaiła Fedorowicza.

Już leżał w łóżku, kiedy na jego komórkę z kartą Ewy przyszła wiadomość.

Cieszę się, że mogłam Ci pomóc. Twoja narzeczona jest bardzo ładną dziewczyną. Życzę wam szczęścia. Ljubov.

„Skąd Ljubov zna Ewę?” – zastanawiał się. Zasnął, nie znajdując odpowiedzi.

Przeżycia z poprzedniego dnia sprawiły, że Ewa spała wyjątkowo długo. Słońce, które penetrowało pokój, wyławiając z półcienia kolejne przedmioty, w końcu trafiło na jej łóżko i dopiero wtedy się obudziła. Chociaż organizm buntował się przeciwko wstawaniu, energicznie odrzuciła koc. Kilka ćwiczeń przywróciło ją do zwykłej formy. Już miała zejść na śniadanie, kiedy zobaczyła bukiet świeżych kwiatów, jakie widziała na połoninach. Leżał na stole, na zapisanej kartce kratkowanego papieru. Odsunęła kwiaty i zaczęła czytać:

*Chwilę wytchnienia, kropelkę rosy,
Puchową lekkość chmury na niebie,
Pośród pól spacer poranny bosy,
W bukietik życzeń składam dla Ciebie.
Wiążę je tęczy kolorów wstęgą,
Igraszka z deszczem promieni słońca,
Chwilami szczęścia, co wkrótce będą
I tak bez końca.
I tak bez końca?
W dniu urodzin – Andrzej*

– Ładne życzenia – mówiła po śniadaniu. – Dzięki za pamięć i wierszyk. Skąd go wzięłaś?

- Z głowy.
- Sam go napisałeś? Jestem pod wrażeniem.
- Kiedyś byłem niezły z polskiego.

Wyszli na werandę. Słońce stało już wysoko, oświetlając dolinę i wznoszące się nad nią szczyty. Przejrzyste powietrze sprawiało, że Rabiniec wydawał się być w zasięgu ręki.

- Pójdziemy? – ruchem głowy wskazała tę górę.
- Jeszcze ci mało?
- Nic nam nie grozi. Mykoła i Gryczko są w areszcie, a ich ludzie mają pewnie takiego pietra, że cicho siedzą w domach.

Szli wyboistą drogą, prowadzącą wzdłuż strumienia płynącego przez środek Paliwki.

- Pamiętasz spotkanie Olgi i Iwana pod pochyłym dębem? – zapytała niespodziewanie.
- Pamiętam.
- Iwana powiesili banderowcy, a Mykołę Rosjanie.
- Kim dla Olgi był Mykoła?
- To jej mąż. Iwan był jej kochankiem. Po schadzce na Rabińcu urodziła jego dziecko.
- Ech, wy, kobiety – pokręcił głową. – Macie pamięć do takich rzeczy.
- Ciekawe, czy Olga jeszcze żyje? W 1944 mogła mieć osiemnaście lat. Policzysz, ile miałyby teraz?
- Osiemdziesiąt... pięć – powiedział po chwili namysłu.

Na przydrożnym kamieniu siedział stary człowiek. Na sękatym kiju opierał splecione dłonie, a na nich brodę. Obok niego pasły się dwie młode kozy. Staruszek z uwagą obserwował zbliżających się turystów.

- Dzień dobry panu – Ewa uśmiechnęła się. – Szukamy Olgi Tymoszuk. Wie pan, gdzie mieszka?
- Wy Polaki? – na twarzy staruszka zagościło przyjazne zdziwienie.

– Tak. Mieszkamy u Petra i Marii.

– Polaków dużo teraz we wsi.

– Zna pan Olę Tymoszuk?

– Nie pani, nie znam. O tam – pokazał mały, biały domek. – Tam mieszka Olga, ale nie Tymoszuk, Demianiuk jej jest.

– Naprawdę? – Ewa prawie podskoczyła z radości. Zrobiła to tak spontanicznie, że Pilarski i staruszek wymienili zdziwione spojrzenia.

– Z czego się tak cieszysz?

– Demianiuk to panińskie nazwisko Olgi. Andrzej, to najwspanialsza wycieczka w moim życiu. Literacka fikcja nagle staje się rzeczywistością. Czy to nie jest piękne?

– Może... – nie do końca rozumiał jej entuzjazm.

Zatrzymali się przed domem Olgi. Krzywe drzwi nie przylegały do futryny. Miejscami odstawały od niej tak bardzo, że bez trudu można było włożyć dłoń. Z powodu wyłamanej zamka drzwi od środka zamknięte były na haczyk. Ewa zapukała delikatnie. Czekali w milczeniu, ale nikt nie otwierał.

– Może nie słyszała? – Pilarski ponowił pukanie, tym razem znacznie głośniejsze. Po chwili za drzwiami rozległo się szuranie.

Spod czepca, całego w kwiatach i pozlótce, z przypiętymi dziesiątkami kolorowych jedwabnych wstążek, opadały na ramiona Olgi długie, złociste niczym dojrzały łan pszenicy, kręcone włosy. Biała, długa do samej ziemi koszula i brązowa spódnica-zapaska podkreślały kobiecość jej sylwetki. Krzyżyki wyszywane na rękawach i wycięciu koszuli okalającym piersi były typowym haftem ukraińskim. Mnóstwo różnokolorowych koralików zdobiło jej smukłą szyję. Wyglądała jak baśniowa bogini, która przypadkiem zjawiała się w tej górskiej wiosce – Ewa nie wiedziała, dlaczego przypominał się jej ten fragment Michała.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc i chwiejąc w luźnych zawiasach. Stała w nich zgarbiona, drobna staruszka w brązowej spódnicy z czarną zapaską. Miała na sobie białą bluzkę, bogato wyszywaną na piersiach i rękawach. Spod dużej kwiecistej chusty wyglądały gęste, siwe, zaczesane do góry

włosy. Zdeformowane palce obu dłoni mówiły, że ciężka praca towarzyszyła jej przez całe życie.

– Dzień dobry pani – Ewa starała się przywitać staruszkę najdelikatniej, jak umiała.

– Dobry den. Wy Polaki?

– Tak. Ja nazywam się Ewa Konieczny, a to jest mój kolega Andrzej Pilarski.

– Tak dawno Polaków tu nie było. Tyle lat, Boże mój, tyle lat – staruszka nie potrafiła ukryć wzruszenia. – A po co wy tu przyszli? – zapytała ciepło.

– Idziemy na Rabiniec. Chcemy napić się wody.

– To do chaty, proszę. Biednie u mnie. Ja sama, stara i słaba już, mnie osiemdziesiąt cztery roki.

Izba, do której weszli, pełniła funkcję kuchni, sypialni i pokoju gościnnego. Wyposażona była skromnie, wręcz biednie, ale panowały w niej czystość i porządek. W rogu izby stał chlebowy piec z tradycyjnym zapiekiem. Nad nim przymocowane do ścian wisały nieduże blaszane rondelki i deska do krojenia chleba. W drugim kącie stało metalowe łóżko przykryte szarym, bogato zdobionym lyżnikiem. Obok łóżka znajdował się dębowy stół, a przy nim również dębowa wąska ławka. Drewnianą podłogę przykrywało kilka małych chodników.

– Tu żył Polak, przed wojną. Nowak jemu było, chyba Stefan nazywał się – Olga gładziła palcami rąbek kwiecistej chusty. – Jak ja młoda była, ja narzeczonego miała, Iwana. On był przyjaciel Kasi – Nowaka doczki [\[26\]](#). Ona dzieci uczyła. Ja była o nią zazdrosna – staruszka uśmiechnęła się smutno i nagle spoważniała. – Ubili ich. Kasię ubili, Iwana ubili.

Ewa i Pilarski słuchali w milczeniu. Scenę gwałtu na Kasi i jej zabójstwa wciąż mieli w pamięci.

– A jagody to zjedzą? – zapytała nagle staruszka.

– Ma pani jagody? Sama je pani zbierała?

– Nie, nie sama. Nogi u mnie słabe. Michaił Fedorowicz młodych zebrał. Starym młode pomagają – rodzinom partyzantów z wojny. Oni jagód nanieśli. Prawda, jagody nie tak urodziwe jak na Rabińcu, ale tako samo

dobrze.

Pożegnali się z Olgą i zaczęli powolny marsz w kierunku szczytu. Szli tą samą drogą, którą przemierzała Olga dawno, dawno temu, śpiesząc na spotkanie z Iwanem. Oboje pamiętali ten fragment Michała.

Droga prowadziła w górę. Po lewej stronie znajdowały się huculskie zagrody ogrodzone zwykle szczelnym drewnianym płotem, a czasem tylko drewnianymi drągami. Z prawej strony z kamienia na kamień przeskakiwał górski strumień, szmerząc przy tym głośno. Swoje źródła miał gdzieś pod Krzywym Groniem i wcale nie najprostszą drogą zmierzał do nieodległego Czeremoszu. Na dużych stromych polanach pasły się krowy i owce. Wyżej znajdowały się pasterskie i bydłęce szałas. Wioska powoli traciła swoją i tak dość luźną zabudowę. Pojedyncze domy znajdowały się w coraz większej odległości od siebie, ale były praktycznie wszędzie. Czasem stały pojedynczo, czasem dwa lub trzy razem – wszystkie z drewna. Ich dachy pokrywały drewniane łupki, słoma, a czasem błyszcząca w słońcu blacha. Niewielkie okna nie wpuszczały do środka zbyt wiele dziennego światła. Droga niepostrzeżenie stała się ścieżką i zostawiała w dole towarzyszący im dotąd strumień. Im wyżej się wspinała, tym bardziej rozległy i urokliwy pokazywała im krajobraz.

– Zobacz, jak tu pięknie – Ewa przystanąła na chwilę.

Kiedy stanęli pod pochyłym dębem, położyła plecak na mchu. Wolno podeszła do Pilarskiego i splotła ręce na jego karku.

– Dziękuję – szepnęła. – Za tyle wzruszeń, za refleksje, za życzenia. Olga była kiedyś śliczną młodą dziewczyną, a teraz... Wszystko przemija. Szkoda tracić czasu. Niedaleko stąd jest miejsce, w którym będziemy zupełnie sami – mówiła szeptem. – Chodźmy tam – ujęła delikatnie dłoń Pilarskiego.

Świerkowy las stawał się coraz bardziej gęsty, ale wkrótce dotarli do strumyka. Wspinali się łagodnym skalistym zboczem i po krótkim marszu znaleźli na płaskiej i rozległej polanie, pełnej słonecznych promieni. W tym miejscu strumyk zmieniał kierunek, tworząc spokojne zakole.

Pilarski dobrze pamiętał, co było dalej. Pełne napięcia spotkanie kochanków, którym panujący wtedy obyczaj nie pozwolił żyć razem. Sama myśl o tym, że za chwilę czeka go to samo, podniosła mu adrenalinę do niespotykanej wysokości.

Ewa podeszła do niego. Rozpięła i zdjęła jego kurtkę i koszulę. Powoli ściągnęła spodnie i bokserki. Był nagi i oszołomiony tym, co się działo.

– Teraz ty – szepnęła. Stała nieruchomo i uśmiechała się, kiedy trzęsącymi się dłońmi rozsuwał suwak jej kurtki. Uniosła ręce. Bawełnianą koszulę ściągnął przez głowę. Została w samych dżinsach i apaszcze na szyi. – Resztę ja sama – zdjęła apaszkę, którą przewiązała mu oczy.

Z ubrań zrobiła posłanie na płaskim kamieniu.

– Chodź – wzięła go za rękę. – Połóż się i czekaj.

Leżał i czekał, tak jak go prosiła. Czekał na ucztę ciał i zmysłów.

„Boże” – myślał – „jak ona potrafi rozpaścić wyobraźnię. Takiej gry nie doświadczyłem nigdy dotąd”.

Jednak chwile zaczęły zamieniać się w wieczność, a czekanie w katorgę. Uzmysłowił sobie, że to oczekiwanie trwa za długo. Nagle przypomniał sobie rozmowę w hiszpańskiej Morairze, spotkania w Karlikowie i na szczepanowskim cmentarzu. Jego pamięć w błyskawicznym tempie skanowała zdarzenia z przeszłości i słowa, które ona wtedy wypowiadała, a do których on nie przywiązywał zbytnej wagi. „Mój problem zaczął się w dzieciństwie” – mówiła. „Uwodzę mężczyzn, a później bez powodu zrywam znajomość. Ot tak, jakbym wyszła ze sklepu czy tramwaju. Po prostu odchodzę. Kiedy miałam osiemnaście lat, ojciec zapił się na śmierć”.

„Szesnaście lat miała, kiedy syna porodziła” – to słowa pani Matusiak z Karlikowa. „Ludzie wiedzieli, że jej ojca dziecko to było, ale co zrobić mieli? Żona tylko ciągle płakała, a córce z tego nieszczęścia mowę pomieszało. Dziecko chore było. Downa miało. No jak inaczej być miało, kiedy dwie takie same krwie się pomieszały? Jak we wsi na języki ich wzięli, to i Karlików zostawili i gdzieś pojechali”.

„To pani zapaliła znicz na grobie Kazimierza Stawskiego?” – pytał na cmentarzu w Szczepanowie. „Coś pan!” – usłyszał wtedy. „Dobrze, że zdechł jak świnia. Bo i co tu mówić? Tamten drań i pijak był. Trutką na stonkę struł się. Wódka w kuchni była. Nie wódka, ale trutka zamiast wódki. W takiej samiotkiej butelce. Ludzie mówili, że jego kobity i córki palce na butelce milicja znalazła. Ja swoje wiem. Kobita by tego nie zrobiła. Jeść trzeba, dzieci ubrać, do szkoły przysposobić, a skąd pieniądze brać? Ona pracy nie miała”.

Te strzępy rozmów i pozornie nieistotnych zdarzeń zaczęły się układać w niepokojąco spójną całość. Ewa była córką człowieka, o którym opowiadała babcia Karoliny. Tego samego, który bił krowy uwięzione przez muliste brzegi rzeczki i którego żona przypadkowo udusiła pierworodnego syna. Kiedy rodziły mu się same córki i wiedział, że żona syna mu już nie da, zainteresował się Ewą. Z ich kazirodczego związku urodził się syn z zespołem Downa, który przeżył tylko osiem lat. Ewa zaczęła się jąkać, a upokorzona, sama postanowiła wymierzyć sprawiedliwość. Być może to ona podmieniła butelki, a pijany ojciec tego nie zauważył. Jej łzy na szczepanowskim cmentarzu mogły być żalem za popełniony czyn, ale też reakcją na własne zmarnowane życie, w którym nie potrafiła na stałe związać się z żadnym mężczyzną.

Jednym szarpnięciem zerwał apaszkę. Ewy i plecaka przy nim nie było. Zobaczył ją na skraju połoniny, jak z plecakiem na ramionach schodziła do Paliwki.

Uczestnicy turnusu, zżyci na wspólnych wycieczkach i spotkaniach, prowadzili w busie ożywione rozmowy, ale Pilarskiego to nie interesowało. Upokorzenie, jakiego doświadczył pod Rabińcem, zgasiło jego entuzjazm i wyłączył się zupełnie. Przysypiał, co chwila budzony salwami śmiechu rozbawionych podróżnych.

Stał za parawanem i przez szczelinę obserwował kąpiącą się Ljubov. Siedziała w wannie schowana w obfitej pianie.

– Wiem, że tam jesteś – powiedziała nagle. – Chodź, pomożesz mi.

Nie poszedł, stchórzył. Leżał przykryty kołdrą. Był zły na siebie jak nigdy dotąd. Nagle usłyszał dobrze znane dźwięki gitary i śpiew Ljubov:

*Ty pryznajsja meni,
Zwitky w tebe Ti czary,
Ja bez tebe vsi dni
U połoni peczali.
Može, des' u lisa'
Ti czar-zillaja szukała,
Sonce-rutu znajszła
I mene zczarowała.*

*Czervonu rutu
Ne szukaj veczoramy -
Ty u mene jedyna,
Tyl'ki ty povir.
Bo tvoja wroda -
To je czystaja voda,
To je bystraja voda
Z synych' hyr.
Baczu ja tebe w snach',
U dibrovach' zelenych'
Po zabutych stezkach'
Ty prychodzisz do mene.
I ne treba nesti
Meni kvitku nadiji,
Bo dawno uže ty
Uviszła w moji mriji.*

– To nie tak było – zaprotestował. – Śpiewaliśmy na zmianę po polsku i ukraińsku.

– Proszę się obudzić – siedzący obok okularnik potrząsał jego ramię. – Zbliżamy się do granicy. Pilot prosił, żeby przygotować paszporty, karty imigracyjne i dziesięć euro.

Sięgnął do kieszeni po dokumenty. Kątem oka zauważył, jak pilot wyjmując z odtwarzacza płytę kompaktową i wkłada ją do koperty.

– Panie Andrzeju – odwrócił się przodem do pasażerów – to dla pana.

Podał kopertę chłopakowi siedzącemu najbliżej.

– Ljubov prosiła, żeby odtworzyć tę płytę przed granicą. *Czerwona ruta* – rozmarzył się. – Właśnie jej wysłuchaliśmy.

Pilarski wyjął CD z koperty.

Sofia Rotaru, „Czerwona ruta” – zobaczył napis wykonany czarnym grubym markerem. Na obwodzie krążka była dedykacja. Napisana cienkim markerem, początkowo nie rzucała się w oczy. *Wspomnij Paliwkę i czasem mnie – Ljubov* – przeczytał.

– To pan zna Ljubov? – zdziwiony zapytał przewodnika.

Bibliografia [27]

A. Pozycje książkowe:

1. Gudowski J., *Ukraińskie Beskidy Wschodnie*, t. 2, Warszawa 1998.
2. Kurzowa Z., *Polszczyzna Lwowa i kresów południowo-wschodnich do 1939*, PWN 1985.
3. Kwiecień K., *Góry Ukrainy z plecakiem – Czarnohora*, Kraków 2006.
4. Laskowski E., *Gdzie szum Prutu, Czeremoszu, tam moje korzenie*, Grodzisk Wielkopolski 2000.
5. Łozko H., *Rodzima wiara ukraińska*, Wrocław 1997.
6. Masłowski W., *Z kim i przeciw komu walczyli ukraińscy nacjonaści w latach II wojny światowej*, Wrocław 2001.
7. Poliszczuk W., *Doktryna Dmytra Doncowa – tekst i analiza*, Toronto 2008.
8. Poliszczuk W., *Gorzka prawda – zbrodnicość OUN/UPA*, Toronto 1995.
9. Prus E., *Atamania UPA*, Warszawa 1988.
10. Tałko-Bryncewicz J., *Zarys lecznictwa ludowego na Rusi południowej*, Kraków 1983.
11. Trzeciak S., *Talmud o gojach a kwestia żydowska w Polsce*, Warszawa 1995.
12. Vincenz S., *Na wysokiej połoninie. Barwinkowy wianek*, Sejny 2005.
13. Watt R.M., *Gorzka chwała. Polska i jej los 1918-1939*, Warszawa 2005.
14. *Wielka Księga Obornik Śląskich – My Oborniczanie*, Oborniki Śl. 2005.

B. Reportaże prasowe:

1. Beauvois D., *Demokracji szlacheckiej nie było*, „Gazeta Wyborcza” 2006: 28-29 stycznia.

2. Czech M., *Jak agent „Bogusław” rozbił UPA*, „Gazeta Wyborcza” 2007: 28-29 kwietnia.
3. Czyżewski M., *Hajstra nad chyżą*, „Gazeta Wyborcza Turystyczna” 2009: 11-12 lipca.
4. Goławski J., *Krwawy śnieg*, „Gazeta Wrocławska”: 26 stycznia 2001.
5. Korman A., *Polscy ISTRIEBITIELE z lat 1944-1945 w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu*, „Semper Fidelis” 1995: 3.
6. Kościński P., *UPA kontra komuniści*, „Rzeczpospolita”, 15 października 2005.
7. Kulczycka A., *Pawłokoma już tak nie dzieli*, „Gazeta Wyborcza” 2006: 15 maja.
8. „Nasze Słowo – Tygodnik Ukraiński” 2007: 27-30 kwietnia (wydanie specjalne z okazji 60. rocznicy Akcji „Wisła”).
9. Nowakowska J., *Pojednanie na cmentarzu*, „Wprost” 2003: 28 (1076).
10. Pawliw W., *Lach brat Kozaka – czy na pewno?*, „Gazeta Wyborcza Świąteczna” 2009: 6-7 czerwca.
11. Popow G., *Cała prawda o tej wojnie (4 reportaże)*, „Gazeta Wyborcza Świąteczna” 2005: kwiecień-maj.
12. Romanowski A., *Ukraina*, „Gazeta Wyborcza” 2006: 7-8 stycznia.
13. Smoleński P., *Co pana obchodzi ten kamień?*, „Gazeta Wyborcza” 2008: 10-11 maja.
14. Woźniak J., *Historia wsi Kobyłowloki*, „Semper Fidelis” 2004: 2 (79).

C. Publikacje internetowe:

1. Archiwum Akt Nowych, <http://www.aan.gov.pl> (dostęp na dzień 14.06.2013).
2. Artykuły: *Lipna; Łemkowie i Łemkowszczyzna przed 1947 rokiem; Dzieje wsi Czertyżne do 1947 roku; Geneza i przebieg akcji „Wisła”; Przebieg wysiedlenia i rozsiadlenia mieszkańców Czertyżnego na Ziemiach Zachodnich; Łemkowie w Polsce; 50-lecie akcji „Wisła”; Akcja „Wisła” w Gorlickiem; Jaworzno; Kim są Łemkowie i co to właściwie znaczy?; Wierzenia Łemków*, www.lemko.org (dostęp na dzień 14.06.2013).

3. CIA chroniło odpowiedzialnego za rzezie na Ukrainie; 12.12.2010 – PAP, <http://dzieje.pl/content/cia-chroni%C5%82o-wsp%C3%B3%C5%82odpowiedzialnego-za-rzezie-na-ukrainie> (dostęp na dzień 17.06.2013).

4. Historia Beskidu Niskiego i Łemków: *Osadnictwo; Dzieje przedwojenne; I Wojna Światowa; II Wojna Światowa; UPA i wysiedlenie; Śladami Łemków: Pochodzenie nazwy; Miejsce zamieszkania; Wygląd zewnętrzny; Język; Zajęcia; Zabudowa; Cerkwie; Święta Bożego Narodzenia*, <http://mlodek.republika.pl/> (dostęp na dzień 14.06.2013).

5. Historia Ukrainy, http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_Ukrainy (dostęp na dzień 14.06.2013).

6. Hymn ZSRR z 1943 r., http://pl.wikipedia.org/wiki/Hymn_ZSRR#Wersja_pierwotna_.281943.29 (dostęp na dzień 17.06.2013).

7. Jantóń Z., *UPA w Polsce („Zakierzoński kraj”); Walki w Bieszczadach w latach 1944 – marzec 1947; Operacja „Wisła” (Wschód); Zbrodnie popełnione przez UPA w latach 1944-1947; Zbrodnie Wojska Polskiego popełnione w Bieszczadach (i na pograniczu) na osobach cywilnych*, <http://www.twojebieszczady.net/upa/upa3.php> (dostęp na dzień 14.06.2013).

8. Konferencja Episkopatu Polski; Orędzie Biskupów Polskich do ich Niemieckich Braci w Chrystusowym Urzędzie Pastorskim, <http://web.archive.org/web/20120223054907>, http://www.opoka.org.pl/biblioteka/W/WE/kep/oredzie-niem_18111965.html (dostęp na dzień 17.06.2013).

9. Kwiecińska S., *Szabasowe opowieści*, www.bilgoraj.lbl.pl (dostęp na dzień 14.06.2013).

10. Maciejewska B., *Razem z nimi jechał strach*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1836574.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

11. Maciejewska B., *Stał dwór drewniany, lecz podmurowany*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1836588.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

12. Maciejewska B., *My, oni, sąsiedzi*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1836595.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

14.06.2013).

13. Maciejewska B., *Szkoło bolesne, obraz dni*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1844729.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

14. Maciejewska B., *Tak daleko od domu*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1844738.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

15. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, http://pl.wikipedia.org/wiki/Ministerstwo_Bezpiecze%C5%84stwa_Publicznego (dostęp na dzień 14.06.2013).

16. *Mniejszość ukraińska w okresie II RP*, www.lo2.olsztyn.pl (dostęp na dzień 14.06.2013).

17. Notki biograficzne: *Kazimierz Missona*, www.liceum.brzesko.pl (dostęp na dzień 14.06.2013).

18. Orlicki Ł., *Tajemnice bieszczadzskich szlaków*, <http://www.ukraine-poland.com/u/publicystyka/publicystyka.php?id=3658> (dostęp na dzień 14.06.2013).

19. Poliszczuk W., *Przyczyny mordów dokonanych przez banderowców na ludności ukraińskiej*, cz. I i II, http://wsercupolska.org/joomla/index.php?option=com_content&view=article&catid=6:warto-przeczytac&id=1743:dr-hab-wiktor-poliszczuk-przyczyny-mordow-dokonanych-przez-banderowcow-na-ludnoci-ukraiskiej-czi-i-ii (dostęp na dzień 14.06.2013).

20. Poliszczuk W., *Tragedia Łemków, UPA na Łemkowszczyźnie, Akcja „Wisła”, Jaworzno, Łemkowie w Polsce*; Jan Hastan, *Nie omijajcie prawdy – nie tylko o Wołyniu*, http://akcjawisla.fm.interia.pl/dwunasty_artykul.html (dostęp na dzień 14.06.2013).

21. Rudner M., *Kuty – echoes of a vanished heritage*, tłum. Krzysztof Kirkorowicz, <http://www.ibiblio.org/yiddish/Places/Kuty/kuty-p0.htm> (dostęp na dzień 14.06.2013).

22. *Stopnie NKWD 1935-1940*, http://pl.wikipedia.org/wiki/NKWD#Stopnie_NKWD_1935-1940 (dostęp na dzień 14.06.2013).

23. *Szkołnictwo powszechne w latach 1918-1939*,

<http://sp7krosno.republika.pl> (dostęp na dzień 14.06.2013).

24. *Polski październik 1956*, <http://historia-polski.klp.pl/a-6273-4.html> (dostęp na dzień 20.07.2013).

25. *Medal Za zasługi bojowe*, http://pl.wikipedia.org/wiki/Medal_Za_zas%C5%82ugi_bojowe (dostęp na dzień 20.07.2013),

26. *Rawicz. Centralne więzienie*, <http://hczarnecki.republika.pl/rawicz.html> (dostęp na dzień 20.07.2013).

D. Wspomnienia zamieszczone w Wielkiej Księdze Obornik Śląskich:

1. Adamski A., *Z tajemniczego ogrodu dziadka Stefana*.
2. Łysiak H., *Błaszany kogucik*.
3. Maślej K., *List wysłany*.
4. Obrocka R., *Dwie fotografie*.
5. Remian A., J., *Gospodarstwo*.

E. Wspomnienia niepublikowane:

- a) Elżbieta Burgier
- b) Stanisław Ciołek
- c) Bolesław Gruberski
- d) Jakub Kirkorowicz
- e) Jadwiga Migocka-Drzazga
- f) Jan Sitnik
- g) Maria Wojtuś

Teksty piosenek ukraińskich i ich tłumaczenie:

Jan Sitnik (Niemcza)

Tłumaczenia zwrotów ukraińskich i rosyjskich:

Dorota Lutek (Trzebnica)

Tłumaczenia zwrotów łemkowskich:

Klaudia Maślej-Feluś (Uraz k. Wrocławia)

F. Oryginalne słowa przyśpiewek weselnych z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych:

a) Rozalia Pleszewa (Zajązków k. Wrocławia)

b) Maria Więcek (Pęgów k. Wrocławia)

G. Oryginalny tekst przedstawienia odgrywanego przez kolędników w latach sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych:

Józef Skowron (Zajązków k. Wrocławia)

H. Wiersz Tarasa Szewczenki *Do Polaków* w tłumaczeniu Jerzego Jędrzejewicza

- [\[1\]](#) Źródło: patrz bibliografia – C/24.
- [\[2\]](#) Konferencja Episkopatu Polski; Orędzie Biskupów Polskich do ich Niemieckich Braci w Chrystusowym Urzędzie Pastorskim (źródło: patrz bibliografia – C/8).
- [\[3\]](#) Źródło: patrz bibliografia – C/25.
- [\[4\]](#) Źródło: patrz bibliografia – A/8.
- [\[5\]](#) Źródło: patrz bibliografia – A/8.
- [\[6\]](#) Źródło: patrz bibliografia – B/6.
- [\[7\]](#) Źródło: patrz bibliografia – C/3.
- [\[8\]](#) Źródło: patrz bibliografia – C/3.
- [\[9\]](#) Źródło: patrz bibliografia – A/6.
- [\[10\]](#) Źródło: patrz bibliografia – C/26.
- [\[11\]](#) Płaj – (huculski regionalizm) górską ścieżką.
- [\[12\]](#) Torpasz – (huculski regionalizm) ścieżką wydeptaną przez owce.
- [\[13\]](#) Basztarnyk – (huculski regionalizm) prastary las jodłowy.
- [\[14\]](#) Pryłuczka – (huculski regionalizm) leśna polana.
- [\[15\]](#) UWU – Ukraińska Wojskowa Organizacja.
- [\[16\]](#) Groszi (ukr.) – pieniądze.
- [\[17\]](#) Bagato (ukr.) – dużo.
- [\[18\]](#) Dobrodinik (ukr.) – dobroczyńca.
- [\[19\]](#) Pochano (ukr.) – źle.
- [\[20\]](#) Szłunok (ukr.) – żołądek.
- [\[21\]](#) Biłania (ukr.) – okorowana kłoda drewna.
- [\[22\]](#) Hrebiet (ukr.) – kręgosłup.
- [\[23\]](#) Zradnik (ukr.) – zdrajca.
- [\[24\]](#) Prismerk (ukr.) – zmrok.

- [\[25\]](#) Triwożnyj (ukr.) – alarmowy.
- [\[26\]](#) Doczka – córka.
- [\[27\]](#) Bibliografia wspólna dla powieści *Julia i Michał*.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Rok 2009, Karlików](#)

[Rok 1948](#)

[Rok 1952](#)

[Rok 1953](#)

[Rok 1954](#)

[Rok 1956](#)

[Rok 1957](#)

[Rok 1961](#)

[Rok 1962](#)

[Rok 1963](#)

[Rok 1964](#)

[Rok 1965](#)

[Rok 1966](#)

[Rok 1967](#)

[Rok 1970](#)

[Rok 1996](#)

[Rok 2010](#)

[Bibliografia](#)

[Przypisy](#)